

Charlotte Link

Ostatni ślad:

Listopad 2002

W weekend miał spaść śnieg. Tak przepowiadali meteorologowie i wydawało się, że mają rację - listopadowe popołudnie było bardzo zimne. Z północnego wschodu wiał przenikliwy wiatr. Jeśli ktoś musiał tego dnia wyjść z domu, zaraz zaczynały mu łzawić oczy. Zapadł wczesny zimowy zmierzch. Przez cały dzień było szaro, a teraz panujący za dnia półmrok niepostrzeżenie przeszedł w wieczór.

Młoda kobieta wyglądała żałośnie. Była zmarznięta, blada na twarzy, miała zaczerwienione policzki. Ręce splotła na piersi, jakby nawet tutaj nie była w stanie uciec przed okrutnym zimnem. Mimo że piwnica oddziału medycyny sądowej była dobrze ogrzewana, a w każdym razie małe pomieszczenie, do którego inspektor Fielder i jego współpracownica, sierżant Christy McMarrow, wprowadzili kobietę, po tym jak zidentyfikowała ona zwłoki znalezione w Epping Forest.

Rzuciła tylko jedno, przelotne spojrzenie na zastygłą twarz, następnie prędko się odwróciła i słychać było, że próbuje powstrzymać odruch wymiotny. Chociaż nie widziała zmasakrowanego ciała.

Jego widok, pomyślał inspektor Fielder, przyprawiłby ją o utratę przytomności.

Minęła chwila, zanim kobieta odzyskała mowę.

- To ona. To Jane. Jane French.

W korytarzu poprosiła o papierosa. Fielder podał jej ogień. Dłonie jej drżały, ale nie tylko na skutek aktualnej sytuacji. Kobieta była

uzależniona od narkotyków i inspektor zauważył to na pierwszy rzut oka.

Prostytutka, jak zdradzał jej strój. Spódnica, którą miała na sobie, była taka krótka, że niewiele by zmieniło, gdyby wcale jej nie włożyła. Cienkie czarne pończochy, które ani trochę nie chroniły jej przed zimnem. Kozaki na wysokim obcasie i kurtka do bioder z błyszczącego materiału, którą rozpięła, żeby wyeksponować obfity, ładny biust. Była młoda. Około dwudziestki, jak oszacował Fielder.

- Panno Kearns - powiedział, siłąc się na opanowany, rzeczowy ton, żeby pomóc jej wziąć się w garść. - Czy jest pani całkowicie pewna, że denatka to... Jane French?

Lii Kearns zaciągnęła się głęboko dymem i skinęła głową.

- Jestem pewna. To ona. Od razu ją poznałam. Wygląda już... no cóż, trochę inaczej... ale to ona!

- Prawie przez tydzień leżała w lesie, zanim ją znaleziono. Oznacza to, że została zamordowana mniej więcej dziesiątego listopada.

- Zamordowana... Czy to pewne?

- Niestety tak. Rodzaj obrażeń oraz więzy nie pozostawiają żadnych wątpliwości.

- Cholera - powiedziała Lii.

Zgłosiła się na posterunek rankiem akurat tego dnia, kiedy policja już porzuciła nadzieję, że uda się ustalić tożsamość ofiary z Epping Forest. Prawie od dwóch tygodni poruszano się po omacku. Pechowi spacerowicze znaleźli ciało, a rodzaj

zadanych ran i okrucieństwo, z jakim torturowano, a następnie zabito kobietę, w pierwszej chwili odebrały mowę nawet najtwardszym funkcjonariuszom.

- To dzieło psychopaty - odezwał się w końcu ktoś, a reszta pokiwała głowami. - Ta dziewczyna musiała paść ofiarą jakiegoś kompletnie chorego człowieka.

Jej ubranie - a raczej to, co z niego pozostało - zdradzało, że zamordowana była prostytutką, nasuwał się więc wniosek, że wsiadła do samochodu z niewłaściwym klientem. Niestety, podobne wypadki nie należały do rzadkości, chociaż nieczęsto policja miała do czynienia z tak bezprzykładną brutalnością. Ale po ulicach chodziło mnóstwo dewiantów i najczęściej wyszukiwali oni swoje ofiary

wśród ulicznych prostitutek. Nie po każdym było od razu widać, że jest chory.

Inspektor Fielder miał już do czynienia z gwałcicielami, których wygląd i sposób bycia powodowały, że niejedna matka chciałaby mieć kogoś takiego za zięcia.

Denatka nie miała przy sobie papierów i nie można było przyporządkować jej do żadnej z kobiet z kartoteki osób zaginionych. Jej zdjęcie opublikowano w gazetach - bez żadnego oddźwięku. Aż w końcu na policji zjawiała się panna Kearns, twierdząc, że rozpoznała na fotografii swoją byłą współlokatorkę.

- Zniknęła na początku marca! Nie powiedziała ani słowa. Po prostu nie wróciła do domu. Aż tu nagle widzę ją w gazecie!

Fielder chciał wiedzieć, dlaczego panna Kearns nie zawiadomiła policji o zaginięciu koleżanki, ale w odpowiedzi kobieta wzruszyła tylko ramionami. Domyślał się, że panna Kearns bynajmniej nie paliła się do kontaktów ze stróżami prawa. Jako narkomanka była prawdopodobnie wplątana w działalność przestępczą albo przynajmniej znała ludzi z tego środowiska. Nie chciała napytać sobie biedy.

Chociaż twierdziła, że dopiero teraz zobaczyła zdjęcie koleżanki w starej gazecie, inspektor Fielder domyślał się, że musiała

o nim wiedzieć wcześniej. Potrzebowała trochę czasu, żeby zebrać się na odwagę i stawić się w komisariacie. W końcu to jednak zrobiła. Fielder nie zamierzał jej gnębić. Chodziło mu wyłącznie o informacje o ofierze.

Niestety Lii nie była w stanie wiele powiedzieć. Stojąc w małym pokoju na oddziale medycyny sądowej, paliła nerwowo papierosa

i chwiejąc się na zabójczo wysokich obcasach, wymieniała znane jej fakty.

- Jane French. Pochodzi z Manchesteru. Zdaje się, że tylko matka żyje. Trzy lata temu przyjechała do Londynu. Chciała tu zrobić karierę! - Słowo „kariera” Lii wypowiedziała w taki sposób, że zabrzmiało ono niemal obscenicznie. - Tak między nami, to chciała poznać jakiegoś miłego gościa, który by się z nią ożenił i zapewnił jej lepsze życie niż to, które prowadziła. Pracowała to tu, to tam... Nie mam pojęcia, co dokładnie robiła. Wreszcie trafiła na ulicę. Nie miała co jeść ani gdzie mieszkać. Pamiętam, że chciałam ją przepędzić, bo stała w moim rewirze.

- Kiedy to było? - zapytała Christy McMarrow.

- Mniej więcej rok temu. Potem zrobiło mi się jej żal. Pozwoliłam jej u siebie zamieszkać. Razem chodziłyśmy do pracy.

- Dla kogo pracowałyście?

Lii spojrzała przelotnie na Christy.

- Dla nikogo! Nie będę oddawać moich pieniędzy jakiemuś su-tenerowi! Byłyśmy z

Jane niezależne.

- I w marcu następnego roku zniknęła?

- Tak. Po prostu nie wróciła. Przychodzę któreś nocy do domu, a jej nie ma. Nic nadzwyczajnego. No tak, ale ona już nigdy więcej się nie pojawiła! - Wyrzuciła niedopałek na podłogę, przydeptała go. - Ale przecież nie zabito jej w marcu, no nie?

- Nie - powiedział Fielder. - Jak wspomniałem, nie żyje od góra trzech tygodni.

- Dziwne. Gdzie się do tej pory podziewała?

Inspektor Fielder też chętnie by się tego dowiedział, ale nie zanosiło się na to, że Lii Kearns pomoże im w rozwiązaniu tej kwestii.

- Czy spotkała pani jakichś jej przyjaciół? Znajomych? Kogoś, z kim utrzymywała kontakty?

- Nie. Wydaje mi się, że nikogo takiego nie było. Chociaż... raz pomyślałam sobie... - przerwała.

- Tak? - zainteresował się inspektor Fielder.

- To było mniej więcej w styczniu. Zapytałam ją, czy kogoś poznała. Czy kogoś ma. Bo nagle zaczęła się dużo lepiej ubierać.

- Co to dokładnie znaczy, dużo lepiej ubierać?

- No więc, nosiła... - uśmiechnęła się - nosiła dalej ubrania do pracy. Wie pan, o co chodzi. Tak jak ja. Ale jakieś... lepsze. Drogie. Jakby nagle miała więcej pieniędzy.

- I pani zdaniem nie kupowała ich z własnych oszczędności?

- Nie. Wiedziałam, ile zarabia. Na pewno by jej nie starczyło.

- Uważa pani zatem, że miała jakiegoś przyjaciela, który dawał jej prezenty?

- Owszem, tak mi się wydawało. Ale ona zaprzeczyła. Więcej się nie dopytywałam. Co mnie to obchodzi.

Fielder westchnął. Posunęli się do przodu tylko o tyle, że znali teraz nazwisko ofiary. Niestety wyglądało na to, że śledztwo w tym miejscu utknie. Lii Kearns była tak zajęta walką o przetrwanie, że ledwo dostrzegała swoją sublokatorkę. Z uwagi na jej sytuację inni ludzie pozostawali jej już od dawna obojętni, chyba że byli w stanie sfinansować następną działkę.

- Panno Kearns, bardzo nam pani pomogła - mimo wszystko powiedział Fielder. - Dziękujemy, że zgłosiła się pani do nas.

- No jasne... przecież... Strasznie mi przykro z powodu Jane. Głupio się skończyło! - odgarnęła włosy z czoła, na którym perliły się kropelki potu. Od momentu kiedy zobaczyła zwłoki, czuła się fatalnie.

Inspektor Fielder wyciągnął z kieszeni kluczyki do samochodu.

- Odwiozę panią do domu - powiedział.

- Naprawdę? Ale pan miły! - powiedziała Lii z wdzięcznością. Przy okazji obejrzy pokój, w którym do chwili zniknięcia mieszkała Jane French. Domyślał się jednak, że niewiele to pomoże.

Miał wieloletnie doświadczenie w zawodzie policjanta i mógłby iść o zakład, że przypadek Jane French przyjdzie mu zaliczyć do porażek. Młoda kobieta żyła w patologicznym środowisku, i to bardzo utrudniało śledztwo.

Wyglądało na to, że nie ma świadków zbrodni.

Ale jeśli nawet ktokolwiek był w stanie powiedzieć coś więcej na temat brutalnego zabójstwa Jane French, to była to najprawdopodobniej osoba z tego samego

środowiska, w którym żyła Jane. W tych kręgach niezwykle niechętnie współpracowano z policją. Ludzie z półświatka obawiają się kary za swoje machlojki, ale także odczuwają strach przed zemstą.

Wydaje się zatem mało prawdopodobne, że zgłosi się jakiś świadek.

Inspektor Fielder niechętnie by się do tego przyznał, ale wyglądało na to, że zabójstwo Jane French ujdzie mordercy na sucho.

Piątek, 10 stycznia 2003 roku

Gdyby zdecydowała się na poranny lot z Heathrow do Malagi, byłaby już dawno na miejscu. W Gibraltarze. Pogoda w brytyjskiej enklawie, na południowym krańcu Półwyspu Iberyjskiego, była zapewne lepsza niż w Londynie, gdzie od rana mgła nie tylko nie opadła, lecz nawet jeszcze bardziej zgęstniała. Teraz kiedy spotęgował ją wczesny zimowy zmrok, miasto pogrążyło się w nieprzeniknionej masie, która zdawała się pochłaniać wszystkie światła, a nawet ruch i dźwięki.

O tej porze w Gibraltarze ognście czerwona tarcza słońca spadała z pastelowego nieba wprost do ciemnoniebieskiego morza, a na firmamencie zapalały się pierwsze gwiazdy. Prawdopodobnie. A nawet jeśli nie - nie miało to w tej chwili znaczenia. Najważniejsze, że już by t a m była.

Gdyby nie wybuch płaczu i załamanie nerwowe Geoffa poprzedniego wieczoru, mogłaby zgodnie z pierwotnym planem polecieć przed południem. Musiałaby bardzo wcześnie wstać, żeby być na czas w Londynie, a to by oznaczało, że wynajęta na następne trzy dni pielęgniarka musiałaby podać Geoffowi śniadanie. Ale wszystko zostało omówione. Rezulutna opiekunka obiecała przyjść punktualnie.

- Proszę się o nic nie martwić, panno Dawson! Może pani spokojnie wyjechać. A my ukołyszemy dziecko do snu!

Później zrozumiała, że przez cały czas podświadomie spodziewała się załamania Geoffa. Zbyt spokojnie przyjął jej zapowiedź wy-

10

jazdu na trzy dni do Gibraltaru. Nie był zadowolony, podszedł jednak do tego całkiem dojrzałe.

- Wyjazd dobrze ci zrobi, Elaine. Jasne, że nie jestem z tego powodu szczęśliwy. Ale ponieważ tyle dla mnie robisz, nie chcę być egoistą. Potrzebujesz trochę wytchnienia!

- Sama nie rozumiem, dlaczego Rosanna mnie zaprosiła. Właściwie nigdy nie miałyśmy ze sobą wiele wspólnego. To znaczy, nigdy nie byłam jej przyjaciółką...

W tym momencie Geoff dał siostrze do zrozumienia, że jej podróż do Gibraltaru i on uważa za zbędną.

- Pewnie wiesz, co robisz, Elaine. Lecz moim zdaniem to jałmużna ze strony Rosanny. Prawdopodobnie matka ją do tego namówiła. Zawsze miała takie społeczne odruchy. „Musimy coś zrobić dla kochanej Elaine”... I w końcu, choć niechętnie, Rosanna się pewnie zaofiarowała. Tak... - Milczał znacząco. W powietrzu zawisły niewypowiedziane słowa: „Jeżeli mimo wszystko ma ci to sprawić przyjemność”... Może nie przyjemność - myślała teraz, z rozpaczą wpatrując się w migoczącą tablicę świetlną, która informowała, że jej lot do Hiszpanii, podobnie jak pozostałe loty z Heathrow zaplanowane na to późne styczniowe popołudnie, został odwołany - ale zobaczyłam wtym jakąś możliwość. Możliwość, żeby coś... zmienić. To mogła być szansa od losu.

Przy okienkach tłoczyli się zirytowani pasażerowie, którzy chcieli dowiedzieć się co dalej. Nieradzący sobie z sytuacją personel lotniska próbował zachować spokój i udzielał informacji. Na dobrą sprawę pewne było tylko jedno - tego wieczoru nie wystartuje stąd już żaden samolot.

Udało jej się zatrzymać pracownicę British Airways.

- Przepraszam bardzo... muszę jeszcze dziś polecieć do Malagi! Kobieta uśmiechnęła się profesjonalnie i beznamiętnie.

- Przykro mi. W przypadku mgły nie możemy nic zrobić. To by było zbyt niebezpieczne.

- Tak, ale... - nie mieściło jej się towgłowie. Raz, jeden jedyny raz w ciągu dwudziestu trzech lat przekłętego życia opuściła wieś,

11

w której się urodziła i wyrosła, i właśnie miała wyruszyć w podróż, próbując uwolnić się od śmiertelnej rutyny i monotonii codzienności, a teraz wszystko wzięło w łeb przez londyńską mgłę. Spostrzegłszy, że do oczu napływają jej łzy, ze wszystkich sił starała sieje powstrzymać. - Właściwie chciałam polecieć już dziś rano - mówiła bez związku. - W ostatniej chwili zmieniłam rezerwację...

- Nic na to nie poradzę - odparła pracownica linii lotniczych. - Do południa wszystko szło zgodnie z planem.

Poprzedniego wieczoru Geoff zupełnie niespodziewanie się załamał. Podczas kolacji nagle wypuścił łyżkę. Przedtem dziobał tylko apatycznie w jedzeniu, lecz to zdarzało się często. Teraz po policzkach spływały mu łzy.

- Przykro mi - szlochał. - Tak mi przykro!

- Och, Geoff! Geoff, nie płacz! To przeze mnie? Dlatego że... że wyjeżdżam?

Pytanie było czysto retoryczne. Wiedziała, że to przez Gibraltar. Dziwne, rozmowa, która nastąpiła, kręciła się wokół godziny odlotu, a nie wokół samej podróży.

- Gdybyś przynajmniej była na śniadaniu! Że też musisz tak wcześnie wyruszyć... A ja niedługo już zostanę wydany na pastwę tej obcej kobiety...

- Może da się polecieć później - zaproponowała bez przekonania. - Ślub jest dopiero w sobotę...

Od razu to podchwycił.

- Zrobiłabyś to dla mnie? Naprawdę? Poleciałabyś po południu? Mój Boże, Elaine, wtedy wszystko byłoby dla mnie o wiele łatwiejsze!

Właściwie dlaczego? Uratowałyby go te kilka godzin? Śniadanie?... Jednakże przez lata przyzwyczała się do takich zachowań Geoffa. Irracjonalnych. Niezrozumiałych. Taki bowiem już był. I taki miał pozostać.

- To co mam zrobić? Myśli pani, że inne lotniska... Gatwick? Stansted? Myśli pani, że stamtąd startują samoloty?

Pracownica British Airways potrząsnęła głową.

- Borykają się z tymi samymi problemami co my.

- Tak, ale...

- Mieszka pani w Londynie? - zapytała kobieta.

- Nie. W Kingston St. Mary. - Czy naprawdę mi się wydaje, że ktoś słyszał o tej dziurze? - zapytała się w duchu. - W hrabstwie Somerset - uzupełniła pospiesznie. - To niestety kawałek stąd... - Byłaby dodała: „A jeśli chodzi o połączenia, to istna

katastrofa", gdyby nie zauważyła, że rozmówczyni przestała się uśmiechać, a na jej twarzy irytacja walczy ze zniecierpliwieniem. - Myślę, że dziś wieczorem nie uda mi się tam dotrzeć.

- W takim razie na pani miejscu jak najszybciej poszukałabym hotelu. Na Heathrow utknęło dziś tyle osób, że niedługo w okolicy nie będzie można nic znaleźć. Albo niech pani zajmie sobie miejsce w jednej z hal i tu spędzi noc. Coś do jedzenia i picia można kupić gdzie bądź.

- Myśli pani, że uda się polecieć jutro rano? Dziewczyna wzruszyła ramionami.

- Tego nikt nie może pani zagwarantować. Ale to możliwe. Kobieta, która przysłuchiwała się rozmowie, wybuchła:

- Niesłychane! Nikt nie potrafi tu człowiekowi pomóc! Nie mam pojęcia, dokąd teraz pójść! Coś przecież trzeba zrobić!

Elaine rozejrzała się po hali. Jeszcze nigdy nie widziała takich rzesz ludzi. Kto miałby coś zrobić? Pracownica linii lotniczych udzieliła jej prawdopodobnie jedynej sensownej rady - musi poszukać sobie jakiegoś w miarę wygodnego miejsca na nocleg.

Oczy ponownie zaszyły jej łzami. Przez kilka minut stała z opuszczonymi rękoma pośród tego chaosu, niezdolna zrobić choćby kroku, niezdolna wymyślić nic sensownego. Wrzawa głosów narastała. Gwar rozmów zagłuszał komunikaty z głośników. Popychali ją spieszący ze wszystkich stron podróżni. Nie była w stanie zareagować. Stała w znoszonym brązowym płaszczu, który już w chwili zakupu przed czterema laty nie wyglądał elegancko, a teraz przypominał narzucony na plecy worek. U stóp miała walizkę. W jednej ręce Elaine trzymała torebkę z dermy, podróbkę markowego modelu, która kosz-

12

13

towała dziesięć funtów. Palcami drugiej ścisnęła paszport wsunięty do kieszeni płaszcza. Gotowy do kontroli. Która na dziś najwyraźniej została zakończona.

Muszę się zastanowić, co dalej - pomyślała wreszcie.

Zrobiła coś bardzo lekkomyślnego i kupiła sobie na ślub Ro-sanny naprawdę drogą sukienkę. Zazwyczaj bardzo ostrożnie obchodziła się z pieniędzmi, gdyż na pół etatu w gabinecie lekarskim w pobliskim Taunton niewiele zarabiała. Geoffrey dostawał skromną rentę i w ten sposób jakoś wiązali koniec z końcem. Nie starczało na ekstrawagancje, ale od czasu do czasu Elaine udawało się coś odłożyć - „na czarną godzinę”, jak mawiała. Pieniądze przeznaczone były rzecz jasna na wypadek prawdziwej potrzeby, a nie na szykowną sukienkę i lot do Gibraltaru, lecz nagle pomyślała: „Raz w życiu i mnie coś się należy! Ładna sukienka! Huczna zabawa! Trochę... szaleństwa”.

Na co dzień raczej nie pozwalała sobie na szaleństwa. Wymagający opieki przykuty do wózka brat nie pozostawiał zbyt dużo swobody, która dopuszczałaby lekkość bytu i beztroskę. W ogóle Geoffrey pod każdym względem dawał jej niewiele swobody. Był jak ośmiornica. O długich silnych ramionach. Trzymał ją mocno w uścisku. Tylko ona mu została. Nigdy jej nie wypuści.

A podejmowane przez nią próby emancypacji najwyraźniej nie cieszyły się wstawiennictwem gwiazd. Ledwie bowiem zebrała się, żeby uchylić nieco drzwi

przed losem, wszystkie siły sprzysięgły się przeciwko niej. Potrafiła sobie doskonale wyobrazić, jak będzie wyglądać po nocy spędzonej na siedząco w przepełnionej hali odlotów. Jeśli dopisze jej szczęście, polecą jutro rano, ale nawet wtedy znajdzie się zbyt późno na miejscu, żeby chociaż na chwilę wstąpić do hotelu. Prawdopodobnie przyjdzie jej przebrać się w toalecie na lotnisku w Maladze, gdzie nie ma szans na kąpiel czy choćby na umycie włosów i jako takie ich ułożenie. W pogniecionej sukience, zziębnięta i rozczochrana niczym strach na wróble w ostatniej chwili wpadnie do kościoła. Podczas uroczystości dręczyc ją będzie bolesna świadomość niekorzystnego wyglądu, tak że w pewnym mo-

14

mencie zacznie odliczać minuty dzielące ją od powrotu do domu. I na tym skończy się próba zakosztowania bez troski i radości życia! W ten sposób Elaine potwierdzi powszechne wyobrażenie o sobie. Wszyscy bowiem zobaczą, że nic się nie zmieniło. Będzie przy tym oczywiście Rosanna, panna młoda. Będą jej rodzice. Jej brat. Ludzie, których Elaine zna od dziecka. Którzy widzieli, jak dorasta. Którzy aż nazbyt dobrze wiedzą, że zawsze stała po ciemnej stronie życia. Jak to Geoffrey trafnie ujął? „Musimy coś zrobić dla kochanej Elaine”...

Kochana Elaine. Biedna Elaine. Do której smutnego losu doskonale pasuje to, że jej lot został odwołany z powodu mgły, że omal nie spóźniła się na przyjęcie, że wystąpiła w sukience przypominającej jedną wielką zmarszczkę. Nieumyta i nieuczczona. Jak zawsze niepozorna.

„Biedna Elaine, ona taka już jest” - powiedzą pewnie.

Teraz łzy cisnęły jej się do oczu z taką mocą, że nie była w stanie ich dłużej powstrzymać. Jakiś mężczyzna spojrział na nią zdumiony. Dwie kobiety szeptały między sobą, patrząc w jej stronę. Dziecko wskazało na nią palcem, a następnie podekscytowane zwróciło się do matki.

Nie mogła tu tak stać, zalewając się łzami, które wzbierały niczym fala gotowa łąda chwila przerwać tamę. Podniosła walizkę i szlochając, ruszyła na oślep przed siebie. Toaleta. Gdzieś tu przecież musi być toaleta. Pragnęła zaszyć się w samotni małej cuchnącej kabiny, pogрузić się w półmroku z dala od pędzących, pokrzykujących i gapiących się ludzi. Opaść na klozet, skulić się w pozycji embrionalnej i płakać, płakać, płakać...

Zamglonym od płaczu wzrokiem dostrzegła upragnioną tabliczkę informacyjną. Małe piktogramy zwiastujące możliwość schronienia. Taszcząc bagaż, niemal oślepiona łzami, potykając się, dobiegła do drzwi. Pchnęła je z impetem i zderzyła się z mężczyzną, który właśnie opuszczał wyłożone białymi kafelkami zatłoczone wnętrze.

- Wolnego! - powiedział.

Próbowała precyzyjnie się obok niego, ale chwycił ją za ramię.

15

- Pani wybaczy. To męska toaleta. Czy na pewno tutaj chce pani wejść?

Mimo że była zapłakana i roztrzęsiona, słowa jakoś dotarły do jej uszu.

Spojrzała na nieznajomego.

- Męska? - spytała takim tonem, jakby po raz pierwszy słyszała to określenie.

- Pani powinna wejść tam - powiedział, wskazując drzwi obok.

- Ach, tak - odparła i opuściwszy walizkę, dalej płakała.

Ponieważ inni mężczyźni próbowali zarówno dostać się do toalety, jak i opuścić ją, a oni dwoje blokowali wejście, nieznajomy podniósł jej walizkę i pociągnął Elaine kilka kroków dalej, w róg hali, gdzie nie przeszkadzali nikomu.

- Mogę pani jakoś pomóc? - zapytał. - To znaczy... jest pani na lotnisku sama czy?... - Powiódł wzrokiem dokoła, jakby w nadziei że z nieprzebranego tłumu zaraz ktoś się wyłoni i zabierze od niego tę zanoszącą się płaczem kobietę. Ponieważ nie pojawił się nikt, kto by wyglądał na towarzysza Elaine, wyciągnął w końcu chusteczkę i podał jej.

- Proszę się uspokoić. Na pewno nie jest aż tak źle. No, już lepiej?

Jego łagodny głos podziałał na nią kojąco. Rozłożyła chusteczkę, wydmuchała nos i osuszyła twarz.

- Przepraszam bardzo - powiedziała cicho.

- Nie ma o czym mówić - odparł.

Miała wrażenie, że chętnie by już odszedł, ale z poczucia obowiązku stoi wciąż niezdecydowanie przy niej.

- To przez to, że... odwołano mój lot do Malagi - wybąkała i w tej samej chwili poczuła się jak idiotka.

Uśmiechnął się.

- Wszystkie loty z Londynu zostały dziś odwołane. Przeklęta mgła!... Miałem lecieć do Berlina, a teraz mogę wracać do domu.

- Moja koleżanka wychodzi jutro za mąż w Gibraltarze.

- Może uda się pani polecieć z samego rana. O ile do tej pory wznowią loty.

Oczy ponownie zaszczyły jej łzami.

- Może...

Sprawił wrażenie poirytowanego. Przez chwilę zastanawiała się, co mu właściwie chodzi po głowie. Prawdopodobnie zapytywał siebie samego, dlaczego akurat on musiał owego dnia mieć takiego pecha. Nie poleciał do Berlina i być może pokrzyżowało mu to ważne plany zawodowe. A potem jeszcze zderzył się z zapłakaną nieatrakcyjną kobietą, która w zamroczeniu próbowała wtargnąć do męskiej toalety, i przyzwoitość nie pozwoliła mu zostawić jej własnemu losowi.

- Cóż, ja teraz jadę do domu - powiedział. - Może panią gdzieś podrzucić? Mam samochód na lotnisku.

- Nie mieszkam w Londynie. - Ponownie wydmuchała nos. Muszę świetnie wyglądać, pomyślała zrezygnowana, czerwona na twarzy i ze spuchniętym nosem. - Mieszkam w... ech, na pewno tam dziś już nie dojadę. To na końcu świata.

Wykluczone.

- No cóż... - rozejrzał się. - Na lotnisku warunki są niezbyt komfortowe. Może jakiś hotel?...

- Nie wiem, czy jeszcze znajdę gdzieś pokój. Poza tym... -Tak?

Właściwie nie miało to już znaczenia. Cała sytuacja była wystarczająco nieprzyjemna.

- Poza tym prawdopodobnie nie starczy mi pieniędzy. Na pewno będę musiała zapłacić za hotel w Gibraltarze, nawet jeżeli dziś tam nie dotrę...

- Niekoniecznie - odrzekł. - Ale co do Heathrow, ma pani całkowitą rację: wątpliwe,

żeby znalazł się wolny pokój.

- No właśnie... - Spróbowała się uśmiechnąć zadowolona, że przynajmniej wyczerpał się zapas łez. - Lepiej więc rozejrzę się za jakimś wygodnym miejscem w którejś z poczekalni. Przynajmniej jest tu ciepło i sucho.

Zawahał się.

- Wie pani, mógłbym... Może by pani przenocowała u mnie? Pokój gościnny mam wprawdzie maleńki, ale prawdopodobnie wygodniejszy niż ta hala. A rano bez problemu dojedzie tu pani metrem.

Zaskoczyła ją ta propozycja. Znów była w stanie myśleć i widzieć dostatecznie jasno, aby zarejestrować, że stoi naprzeciwko bardzo przystojnego mężczyzny. Ubrany w drogi płaszcz, wysoki i szczupły, o pociągłej inteligentnej twarzy. Pod czterdziestkę. Z gatunku tych, którym wystarczy strzelić palcami, a już mają przed sobą gromadkę pięknych, interesujących kobiet do wyboru. Z całą pewnością nie oszalał na punkcie zasmarkanej niepozornej dwudziestotrzylatki błakającej się po lotnisku i mazgającej się jak dziecko, bo nie powiódł się jej plan. A i pokój gościnny zaproponował jej oczywiście nie dlatego, że go zafascynowała. Ani nie dlatego, że chciał ją bliżej poznać. Był po prostu miły i zrobiło mu się jej żal. W normalnych warunkach nawet nie zwróciłby na nią uwagi.

- Chyba nie mogę się zgodzić - powiedziała, żeby zyskać na czasie.

Wzruszył ramionami lekko zniecierpliwiony, jak jej się wydało.

- Może pani, bo proponowałem szczerze, w przeciwnym razie bym się nie odzywał. A właśnie, nazywam się Reeve. Marc Reeve. Proszę... - zaczął szukać w kieszeniach marynarki, po czym wyciągnął kartonik i podał Elaine. - Oto moja wizytówka.

- Jest pan adwokatem? - Tak.

Jej świętej pamięci matka oczywiście powtarzała, żeby się nie zadawać z nieznanymi mężczyznami. Żeby pod żadnym pozorem nie wsiadać do ich samochodów, o chodzeniu z nimi do domu nie mówiąc. „Mężczyźni zawsze opacznie to rozumieją” - powtarzała - „i potem możesz się tłumaczyć, a i tak nikt ci nie uwierzy, że to nie ty sprowokowałaś kompromitującą sytuację”.

Och, mam, pomyślała teraz Elaine. chciałaś mojego dobra, ale gdybyś mnie ciągle przed wszystkim i przed wszystkimi nie ostrzegała, moje życie nie utknęłoby w tej okropnej ślepej uliczce.

Poza tym nie miała wątpliwości, że ze strony Marca Reeve'a nie musi się niestety niczego obawiać. Atrakcyjny londyński adwokat. Prawdopodobnie była dla niego tak pociągająca jak łyk odstałej wody. Ale miał żyłkę społecznika.

Jestem jego dobrym uczynkiem na dziś. Wspaniale!

- Nazywam się Elaine Dawson - powiedziała - i byłabym naprawdę bardzo wdzięczna, gdybym mogła u pana przenocować.

- W takim razie chodźmy - rzekł, podnosząc jej walizkę. - Samochód jest na parkingu.

Elaine wypuściła ostatni balon zwiadowczy:

- Czy żona nie będzie się gniewać, jeśli bez zapowiedzi przyprowadzi pan kogoś do domu?

- Nie mieszkamy razem - odparł krótko.

Ruszyła w ślad za nim przez tłum. Pomimo dużego tłoku posuwał się prędko do

przodu, tak że z trudem za nim nadażwała. Serce biło jej szybciej i mocniej niż zwykle. Nawet jeśli nic się nie stanie, zawsze lepsze to niż Kingston St. Mary, pomyślała, lepsze to niż ciągle to samo. Dzień w dzień. No pewnie, że lepsze!

Dyskretnie wsunęła rękę do taniej torebki z dermy i wyszukawszy w środku telefon komórkowy, wyłączyła go. To podłe z jej strony, ale wyjątkowo nie chciała, by Geoffrey ją dopadł.

Tylko przez tę jedną noc.

18

Piątek, 8 lutego 2008

Niemal w każdy piątkowy wieczór Denis Hamilton i jego syn Robert wszczynali kłótnię, i powoli zaczynało to męczyć Rosannę. Rozumiała ich obu: zarówno szesnastoletniego Roberta, który chciał wyjść z kolegami i zakosztować nocnego życia, jak i Denisa, który uważał, że jego syn jest na to za młody, na każdym kroku wietrząc alkohol, narkotyki i inne pokusy.

- Gdybym ja w wieku szesnastu lat próbował włóczyć się po nocach z kolegami, już ojciec wybiłby mi to z głowy - stwierdził Denis, wywołując słowem „włóczyć się” gwałtowną reakcję syna.

- My się nie włóczymy! Dlaczego zawsze musisz krytykować wszystko, co robię? Dlaczego zawsze...

- Koniec dyskusji!

- To niesprawiedliwe! Tato, ale ty jesteś niesprawiedliwy! Tego wieczoru padły te same słowa co zawsze. Finał dyskusji

był także znajomy: Robert pobiegł do swojego pokoju, z hukiem zatrzaskując za sobą drzwi. Po chwili rozległa się głośna muzyka, zadudniły basy, wprawiając w drżenie cały dom. Denis poderwał się z fotela.

- Już ja go nauczę, jak...

Siedząca obok Rosanna w powstrzymującym geście położyła mu dłoń na ramieniu.

- Daj spokój. Nie dolewaj oliwy do ognia. Lepiej zostaw go teraz samego.

23

- Jak można tak głośno słuchać muzyki!

- Po prostu wyładowuje gniew. Za kwadrans do niego zajrzę i poproszę, żeby przyciszył. To zawsze skutkuje.

- Wyładowuje gniew - odburknął Denis. - Teraz panicz jeszcze ma czelność się gniewać! Ja w jego wieku...

- Czasy się zmieniły, Denis. Może powinieneś mu bardziej zaufać?

- Ach tak? Więc może to moja wina, że ciągle się kłócimy? A kto tu nie umie się zachować? Do jasnej cholery! - Denis wstał, ale na szczęście nie poszedł do pokoju Roberta, tylko wyjął z kredensu szklankę i nalał sobie whisky. - Skaranie boskie z tym dojrzewającym synem!

Rosanna miała nadzieję, że tego wieczoru obędzie się bez awantury, ponieważ zamierzała omówić z Denisem pewną delikatną kwestię. Sytuacja wyjściowa była nader niekorzystna. Denisa wyprowadziło z równowagi nie tylko zachowanie syna, lecz również fakt, że Rosanna, choć dokładała wszelkich starań o dyplomatyczne rozwiązanie konfliktu, wydawała się bardziej otwarta na argumenty i punkt widzenia Roberta niż jego ojca.

- Ostatecznie to nie ty jesteś za niego odpowiedzialna - parsknął. Wzdrygnęła się.
- Przepraszam, nie powinnam była się wtrącać. To ty jesteś jego ojcem. Ja nie jestem matką. Ale kiedy trzeba ugotować obiad, zrobić pranie, pomóc mu w lekcjach, wstawić się za nim u nauczycielki albo zawieźć go z całym okablowaniem na przyjęcie internetowe, wtedy mam wrażenie, że ani tobie, ani jemu nie zależy na precyzyjnym ujęciu tej kwestii.
- Przecież nie twierdzę, że...
- Właśnie że tak. Mówiąc, że ostatecznie to nie ja jestem za niego odpowiedzialna, co pod względem formalnym rzeczywiście się zgadza, dajesz mi do zrozumienia, że mam się nie wtrącać. Co innego, kiedy...
- ...kiedy pierzesz jego rzeczy i tym podobne. Tak, wiem. Przepraszam - nagle wydał się jej zmęczony. - Nie to miałem na myśli - dodał.

24

Rosanna od razu była gotowa do pojednania.

- Doskonale rozumiem twoje obawy. Ledwie te dzieciaki skończą szesnaście lat, a już wydaje im się, że są dorosłe. Człowiek po prostu się o nie martwi.

Rosanna naprawdę potrafiła zrozumieć Denisa. Kiedy brali ślub, Robert miał jedenaście lat i był miłym piegowatym chłopaczkiem. Stanowił owoc związku bardzo młodego Denisa i jeszcze młodszej studentki, którą całkowicie przerosło macierzyństwo i która za wszelką cenę chciała uwolnić się od dziecka. Kamień spadł jej z serca, gdy Denis przejął nad nim wyłączną opiekę. Ojciec i syn mieszkali w dwóch do czasu, kiedy w ich życiu pojawiła się Rosanna. Robertowi od samego początku zastąpiła matkę, której nigdy nie miał. Denis tak samo postrzegał jej rolę w rodzinie, ale sporadycznie wykorzystywał fakt, że z prawnego punktu widzenia to on jest wyłącznym opiekunem Roberta. Na początku ich związku nic podobnego się nie zdarzało, jednakże odkąd Robert zaczął dojrzewać i - co normalne w tym wieku - przysparzać więcej kłopotów wychowawczych, takie sytuacje zaczęły się mnożyć. Denis nie zdawał sobie sprawy, jak poważnie rzutują one na jego relacje z Rosanną. Czy on w ogóle zdaje sobie z czegośkolwiek sprawę? - zapytywała się w duchu Rosanna.

Cierpiała z powodu konfliktu między ojcem a synem, lecz kiedy mu o tym mówiła, nie słuchał jej.

Była nieszczęśliwa w Gibraltarze i tęskniła za Anglią, lecz kiedy mu o tym mówiła, nie słuchał jej.

Brakowało jej pracy w zawodzie dziennikarki, lecz kiedy mu o tym mówiła, nie słuchał jej.

Gdyby ktoś go zapytał, z ręką na sercu oświadczyłby, że jego żona jest szczęśliwa, a ich związek harmonijny.

Rosanna wiedziała, że tego wieczoru nierozsądnie będzie rozpoczynać rozmowę na drażliwe tematy, ale nie miała wyjścia.

- Lecę jutro do Anglii - powiedziała.

Denis usiadł, kołyszając energicznie w dłoni szklaneczkę whisky.

- Wiem. I wiem również, że chciałabyś...

25

- Nie, nic podobnego. Nic się nie stanie, jeśli zostaniesz - przerwała mu.

Jej ojciec obchodził w niedzielę sześćdziesiąte szóste urodziny, pierwsze od czasu, kiedy pod koniec minionego roku niespodziewanie owdowiał, i właśnie z tej okazji wybierała się w podróż. Początkowo Rosanna chciała, żeby Denis jej towarzyszył, ale mąż miał w poniedziałek kilka ważnych spotkań - tego, czy specjalnie poprzekładał terminy, nie była w stanie sprawdzić. Denis lubił swojego teścia, ale niechętnie odwiedzał Anglię. Służbowych podróży nie był w stanie uniknąć, jednakże z prywatnych starał się za wszelką cenę wykręcić. Przez pięć lat małżeństwa Rosanna nie zdołała dociec, skąd bierze się jego niechęć do ojczyzny.

- W niedzielę zadzwonię do twojego ojca z życzeniami - obiecał Denis.

Rosanna wzięła głęboki oddech i skoczyła na głęboką wodę.

- Pamiętasz Elaine Dawson? - zapytała.

- Elaine Dawson?

- Moją przyjaciółkę z Kingston St. Mary... Cóż, przyjaciółka to za dużo powiedziane. Nasi bracia chodzili razem do klasy. Była sporo młodsza ode mnie.

Zmarszczył czoło.

- Masz na myśli tę dziewczynę, która miała przyjechać na nasz ślub, a zamiast tego zniknęła?

- Bez śladu. Do dziś nie wiadomo, co się z nią stało.

- Coś sobie przypominam. Nigdy jej nie poznałem.

- Przez ostatnie lata często o niej myślałam - powiedziała Rosanna. - Zastanawiałam się, co też mogło się jej przytrafić.

Twarz Denisa wyrażała całkowity brak zainteresowania.

- Pewnie uciekła z domu - odparł - i zamieszkała gdzie indziej.

- To zupełnie do niej niepodobne. W końcu jednak nawet policja wysunęła takie przypuszczenie. Podejrzewano również, że padła ofiarą przestępstwa.

- O ile pamiętam, utknęła z powodu mgły na Heathrow. W jaki sposób na tak zatłoczonym lotnisku ktoś miałby ją niepostrzeżenie zamordować i ukryć zwłoki?

26

- Opuściła lotnisko z mężczyzną. W trakcie śledztwa jakoś to wyszło na jaw. Zdaje się, że gość nawet sam się zgłosił na policję. Ponoć zaproponował jej nocleg, bo w hotelach nie było już wolnych pokoi.

- W rzeczywistości ów mężczyzna to Kuba Rozpruwacz, który ją...

- Bzdura. Zaklinał się, że następnego dnia z samego rana odprowadził ją do metra jadącego w kierunku Heathrow. Niczego nie można mu było udowodnić.

- Co potwierdza moją hipotezę - powiedział Dennis. - Elaine żyje sobie gdzieś daleko i świetnie się miewa.

- Oby tak było - powiedziała Rosanna i zaraz dodała: - Mam napisać o niej reportaż. Denis odstawił szklankę i osłupiałym wzrokiem wpatrywał się w Rosannę.

- Co masz zrobić?

- Właściwie nie tylko o niej. Dziś rano zadzwonił do mnie Nick Simon.

- Nick Simon?

- Redaktor naczelny „Covera”. Wiesz, ten...

- Wiem, kim jest Nick Simon. To gość, dla którego kiedyś pracowałaś. Czego on od ciebie chce?

- Planuje cykl artykułów. O osobach, które przepadły bez śladu. Po których wszelki

słuch zaginał. Które po prostu... jakby zapadły się pod ziemię.

- Aha. Jak wpadł na to, że akurat ty masz się podjąć tego zadania? Przecież od pięciu lat dla niego nie pracujesz!

- Wspomniałam mu kiedyś, że chętnie przyjąłabym takie czy inne zlecenie - odparła Rosanna, unikając wzroku męża. - Teraz sobie o tym przypomniał. Poza tym wie, że znałam osobiście Elaine Dawson. Najwyraźniej uważa, że się do tego nadaję.

- Ustaliliśmy przecież, że przez kilka lat nie będziesz pracować!

- My niczego nie ustalaliśmy. To ty wyraziłeś takie życzenie, a ponieważ w Gibraltarze i tak nie mam prawie żadnych perspektyw na pracę, zgodziłam się. Ale nieraz mówiłam ci, że brakuje mi pracy w moim zawodzie.

27

- A ja wystarczająco często proponowałam ci pracę na pół etatu u mnie w biurze! Sądziła, że wykaże choć trochę zrozumienia.

- Denis, jesteś agentem nieruchomości. Nie mam absolutnie nic wspólnego z tą branżą. Jestem dziennikarką. Czy możesz zrozumieć, że chciałabym pracować w swoim zawodzie?

- Owszem, ale oczekiwałam od ciebie większej elastyczności

- odwarknął. Nagle z hukiem odstawił szklanekę na stół i poderwał się z miejsca. - Zaraz mu powiem, żeby ściszył tę przeklętą...

Rosanna także wstała.

- Nie wyładowuj się na nim, dlatego że jesteś wściekły na mnie. Sama się tym zajmę! Stanęli naprzeciwko siebie. Widać było, że Denis czuje się oszukany, jednakże Rosanna z doświadczenia wiedziała, że czułby się tak również wówczas, gdyby wybrała lepszy moment na rozmowę i poprowadziła ją bardziej dyplomatycznie. Po prostu nie był w stanie zaakceptować tego, że jego żona ma inne zdanie niż on. Nie był typem ma-cho, ale Rosanna często odnosiła wrażenie, że jego potrzeba kontroli przybiera obsesyjny charakter. Potrzebował pewności, że Rosanna jest sercem i duszą po jego stronie, i chociaż był trzeźwo myślącym człowiekiem, najwyraźniej nie zdawał sobie sprawy, że podobnego porozumienia nie da się zawrzeć raz na zawsze, a co dopiero wymusić.

- Zakładam - powiedział w końcu - że przystałaś już na propozycję pana Simona.

- Na razie zgodziłam się z nim spotkać w poniedziałek w Londynie na obiedzie - odparła i w tej samej chwili znienawidziła się za ogarniające ją poczucie winy. Miała trzydzieści sześć lat! I wolno jej było umawiać się na służbowe spotkania bez pytania męża o zgodę.

- W poniedziałek koło południa miałaś być już w Gibraltarze

- przypomniał jej Denis.

- Wiem. Odwołałam powrotny lot. Chcę omówić z Nickiem to zlecenie. Jeśli się okaże, że jego propozycja w ogóle mnie nie interesuje, postaram się zarezerwować bilet na poniedziałek wieczór lub wtorek rano. W przeciwnym razie...

28

-Tak?

- W przeciwnym razie będę musiała zostać nieco dłużej w Londynie. Żeby zebrać materiał. Pisać mogę też tutaj.

Denis przez chwilę milczał.

- Dobrze to sobie zaplanowałaś - rzekł w końcu. - Moje gratulacje. Najpierw mówisz mi, że jedziesz do ojca na urodziny i następnego dnia wracasz. W rzeczywistości już od dawna jesteś umówiona ze swoim byłym szefem i właśnie to spotkanie było od samego początku prawdziwym powodem twojej podróży!

- To nieprawda - odparła Rosanna z naciskiem. - Zawsze chodziło wyłącznie o urodziny taty. Ale kiedy zadzwonił Nick, pomyślałam, że skoro i tak będę w Anglii, a w poniedziałek muszę jechać do Londynu, żeby wrócić do domu, mogę się z nim umówić na spotkanie. Mój Boże, cóż w tym złego?

Jednym haustem wychylił szklanekę whisky.

- Nic. W zasadzie nic. Ale chyba zdajesz sobie sprawę, że przygotowania do całego cyklu reportaży zatrzymają cię w Anglii na dłużej niż kilka dni. Nie muszę ci mówić, jak wpłynie to na kondycję naszej rodziny.

- Nasza rodzina... Wiem, co cię dręczy. Zupełnie straciłeś kontakt z synem i teraz ja pełnię rolę pośrednika. Dzięki mnie masz na niego jeszcze jakikolwiek wpływ. Tylko ja jestem w stanie zapobiec eskalacji waszych konfliktów. Gdyby mnie zabrakło, nie wiedziałbyś nawet, jak go rano nakłonić, żeby wstał i poszedł do szkoły!

- A nawet jeśli to prawda, to co? Przechodzi wyjątkowo trudny okres. Wielu chłopców w jego wieku nie słucha się ojców!

- Mimo wszystko nie mogę bez przerwy czuwać, żebyście sobie nie skoczyli do oczu. Denis, musisz spróbować odbudować relacje z synem. Nie oczekuj ode mnie, że przejmę twoje ojcowskie obowiązki. Robertowi nie wyszłoby to na dobre.

- Myślałem, że...

- Owszem, lubię Roberta. Z chęcią zastępuję mu matkę. Ale nie ojca. Poza tym nie mogę żyć przywiązana do tego domu, dlatego że pod moją nieobecność mogłoby dojść do wybuchu wojny. Oszaleć

29

można! Muszę mieć w życiu coś innego do roboty niż ciągle łagodzenie waszych waśni!

- Przecież sama się do tego rwiesz! Wystarczy, że chcę kazać Robertowi przyciszyć muzykę, a już mnie powstrzymujesz. Bo ty potrafisz lepiej przedłożyć mu tak nedorzeczną prośbę.

- Z pewnością nie jestem bez winy. Za bardzo się angażuję, to prawda. Mimo wszystko nie możesz żądać ode mnie, żebym została. To jeszcze jeden powód, żeby na jakiś czas wyjechać.

- Na jakiś czas, dobre sobie. A więc to już postanowione, że chcesz przyjąć to zlecenie? Ten służbowy obiad, od którego rzekomo zależy twoja decyzja, to czysta farsa!

- Skąd ta pewność? Na przykład nie wiem jeszcze nic na temat wynagrodzenia.

- Och, pan Simon na pewno nie poskąpi grosza. W końcu stanowiłaś niegdyś całkiem niezły okaz w jego stajni. Byłby szczęśliwy, mając cię znowu u siebie.

- W przeciwnym razie nie złożyłby mi przecież tej oferty! - odparła Rosanna gniewnie. Wiedziała, że dalsza dyskusja nie ma sensu. Denis był zły i miał do niej pretensje, ona zaś czuła się w obowiązku usprawiedliwiać, w tej sytuacji nie zamierzała kontynuować tej rozmowy. Wiedziała, że racja leży po jej stronie, lecz było dla niej również jasne, że wszelkie próby przekonania Denisa skazane są na

niepowodzenie. Mimo wszystko dorzuciła: - Najpierw muszę zobaczyć, jak będę się czuła w St. Mary. W rodzinnych stronach Elaine. Może się przecież okazać, że to miejsce podziela na mnie tak deprymująco, że w ogóle nie będę w stanie zająć się tą sprawą.

- Wobec tego nie porzucam nadziei - skwitował cynicznie Denis. Podszedł ponownie do kredensu, sięgnął po butelkę whisky i nalał sobie pełną szklanę.

Rosanna ruszyła w stronę drzwi, żeby poprosić Roberta o przyciszenie muzyki.

Właściwie, pomyślała, wychodząc, krótkie rozstanie dobrze nam zrobi.

Sobota, 9 lutego

Wciąż jeszcze czuła niepokój, kiedy w środku nocy przechodziła przez pusty plac przed pubem, następnie skręcała w prawo i wchodziła w wąską wymarłą uliczkę, na której końcu mieszkała.

Nie, pomyślała, idąc z pochyloną głową, niepokój nie jest właściwym słowem. Boję się. Wciąż jeszcze się boję.

Szczególnie nienawidziła piątkowych wieczorów i pierwszych sobotnich godzin. W każdy piątek po wyjściu ostatniego gościa podliczano tygodniowy utarg i każdy grosz skrzętnie zapisywano w opasłym notesie. Justin McDrummond, właściciel pubu, rachunki prowadził bardzo skrupulatnie, wszak od tego zależała jego egzystencja.

Dwójka jego pracowników musiała pozostać w pubie dopóty, dopóki wszystko nie zostało skontrolowane i nie zgadzało się co do ostatniego miejsca po przecinku.

Dlatego zwykle było już dobrze po północy, kiedy wreszcie wolno im było iść do domu. Inne osoby zatrudnione w pubie miały o tej porze już od dawna wolne; jedynie Bert, kucharz, oraz ona, kelnerka, musieli siedzieć do samego końca.

Jak na nieszczęście, Bert szedł w przeciwnym kierunku, nie było więc szans, żeby przejść razem chociaż kawałek. Poza tym zawsze spieszył się do żony i dzieci.

Ale i tak, pomyślała, nie wpadłby na pomysł, żeby mnie odprowadzić. Nikomu by nie przyszło do głowy, że mogłoby tu się stać coś złego. Nie w Langbury. Gdzie diabeł mówi ludziom dobranoc.

31

Spojrzała na zegarek. Kilka minut po wpół do drugiej. Na dworze nie było żywego ducha. Latem też rzadko kiedy przewalały się po ulicach tłumy, jednakże w jasne ciepłe noce można było natknąć się na parę zakochanych czy przechodnia z psem. Ale nie w lutym. Była lodowato zimna noc, wiatr hulał po ulicach i wzbijał w górę płatki śniegu. W oknach było ciemno.

Przeszła na ukos przez plac przed pubem i skręciła w brukowaną kocimi łbami uliczkę, pnąc się lekko w górę i tak wąską, że mieszkańcy przeciwległych domów, wychyliwszy się przez okno, mogli uścisnąć sobie dłonie. Budynki były już bardzo wiekowe i prawie wszystkie stały nieznacznie wychylone do przodu. Turyści odwiedzający Langbury zachwycali się nimi właśnie dlatego, że są takie wąziutkie i krzywe. Jakież one stare, jakież angielskie!

Pomyślała, że te wąskie długie kiszki o maleńkich nieuszczelnionych oknach, ciasnych pokojach i stromych wewnętrznych schodach, grożących upadkiem i skruceniem karku, mogą urzekać tylko kogoś, kto nigdy nie musiał w czymś takim mieszkać. Czy ktoś kiedykolwiek zastanawiał się, jak niewiele światła wpada do środka? Jak tam ciemno, nawet w środku lata? Jak ciasno? Oczywiście nikt sobie tym nie zaprzątał

głowy. Widok, jaki roztaczał się przed zwiedzającymi małą wieś w Northumberlandii, określano mianem romantycznego, aby następnie wrócić do własnych domów, jaśniejszych, bardziej komfortowych i przestronnych.

Z drugiej strony powinna być zadowolona, że w ogóle udało jej się znaleźć mieszkanie. I pracę u pana McDrummonda. Kiedy straciła ostatnią posadę - sortowanie i etykietowanie towaru w magazynie sklepu obuwniczego - była zrozpaczona. Czynność ta bynajmniej nie sprawiała jej wyjątkowej przyjemności, ale w zamkniętym pomieszczeniu, odizolowana od reszty świata, czuła się bezpiecznie. Oprócz swoich kolegów mało kogo widywała. Nie było to życie, o jakim marzyła, ale miała spokój, który liczył się dla niej bardziej niż poczucie samotności i świadomość, że prawdziwe życie toczy się gdzie indziej. Najgorszy bowiem był strach. Dlatego z wdzięcznością przyjmowała każde schronienie,

32

nawet takie, które jednocześnie odgradzało ją od ludzi, przyjaźni i miłości.

Pub był właściwie ostatnim miejscem, w jakim miała ochotę pracować. Większość gości stanowili mieszkańcy wsi, ale latem przychodziło też sporo turystów. Obcy. Każdy mógł tu wejść, przez cały czas. Także...

W pubie Pod Słoniem pracowała już od czerwca zeszłego roku. A wciąż jeszcze wzdrygała się ze strachu, za każdym razem kiedy otwierały się drzwi. Natychmiast zaczynały jej się pocić dłonie. Potrzebowała kilku minut, żeby puls wrócił do normy. Po prostu nie mogła znaleźć innej pracy. Zalegała już dwa miesiące z czynszem. Pan Cadwick, właściciel domu mieszkający pod nią, wyczekiwał na nią na schodach.

„Tak dalej być nie może. Nie dam pani tu mieszkać za darmo. Nie jestem instytucją charytatywną. Jeśli do przyszłego tygodnia nie dostanę pieniędzy, wezwę policję!”

W akcie desperacji przyjęła więc posadę w pubie. Justin całkiem nieźle płacił, tak że po doliczeniu napiwków zarabiała więcej niż przedtem. Za to gorzej sypiała i straciła na wadze. Rozglądała się za innym zajęciem, ale jak do tej pory nie udało jej się niczego znaleźć.

W połowie drogi przystanęła na chwilę. Właściwie miała całkiem niezłą kondycję, ale była tak spięta i wystraszona, że oddychała za płytko i za szybko, i złapała ją kolka. Przycisnąwszy rękę do boku, spróbowała zaczerpnąć powietrza. Po obu stronach ulicy ciągnęły się ciemne i głucho ganki. Na myśl o tym, jak łatwo można się w nich ukryć, jej oddech znów stał się płytki i przerywany i poczuła nasilający się ból. Przerwa w marszu nic nie pomoże. Na chwilę sparaliżował ją strach.

Jesteś znerwicowana, powiedziała do siebie w duchu, ruszając biegiem do przodu. Kompletnie znerwicowana!

Ale gdyby ktoś widział to, co ona... Gdyby przeżył...

Dość. Musi przestać o tym myśleć. Jeszcze dwieście metrów i będzie na miejscu. Kiedy znajdzie się w mieszkaniu, kiedy upewni się, że nikt nie zaczął się na nią w ciemnym kącie, kiedy opuści rolety i zarygluje drzwi, położy się pod kołdrą z termoforem na brzu-

33

chu i szklanką gorącego mleka z miodem w rękę, wówczas poczuje się lepiej.

Dopiero wtedy będzie miała pewność, że udało jej się przetrwać kolejny dzień.

Zatrzymała się przed drzwiami, żeby wyszukać w torebce klucze. Było zupełnie

ciemno, trudno było cokolwiek dojrzeć. Nagle oślepiło ją światło latarki, które rozbłysło niespodziewanie w ciemności. Podniosła głowę, próbując wołać o pomoc, lecz głos uwiązł jej w gardle.

Niedziela, 10 lutego

1

Rosanna była zaskoczona, widząc, że Cedric znowu pali.

- Na pogrzebie mamy nie paliłeś - powiedziała.

Skinał głową i z wyraźną przyjemnością zaciągnął się głęboko dymem.

- W okolicach Bożego Narodzenia złamałem się. Wiesz, ciągle te idiotyczne przyjęcia świąteczne. Wszyscy palą, w końcu i ja zacząłem.

- Myślałam, że w Stanach nie da się żyć inaczej niż w ascezie. Przecież tam prawie wszędzie jest zakaz palenia.

Cedric uśmiechnął się.

- Dla chcącego nic trudnego. Im więcej zakazów, tym więcej pomysłów, jak je ominąć. Myślisz, że w czasach prohibicji piło się mniej niż przedtem i potem?

Spojrzała na swojego starszego brata z łagodnym uśmiechem. Doceniała fakt, że przyleciał specjalnie na urodziny ojca aż z Nowego Jorku, chociaż w głębi duszy była zdania, że powodem jego wizyty jest nie tyle troska o niedawno owdowiałego ojca, ile jego własna samotność. Cedric prowadził niespokojne, powierzchowne życie, czego najwyraźniej potrzebował, lecz co nie wychodziło mu na zdrowie. W zeszłym roku na pogrzeb matki przybył w towarzystwie przyjaciółki, dziewczyny demonicznym makijażem, prawie nastolatki. Przedstawił ją jako swoją partnerkę.

Wyglądało na to, że owa znajomość należy już do przeszłości, nie zdziwiło to jednak Rosannę.

35

Najdłuższy jak do tej pory związek Cedrica trwał pół roku, wszystkie inne rozpadały się jeszcze prędzej. Jej brat miał trzydzieści osiem lat. Rosanna uważała, że powinien już znaleźć swoje miejsce w życiu. Założyć rodzinę i wreszcie się ustatkować.

- Masz ochotę? - zapytał Cedric, podsuwając jej paczkę papierosów.

Potrząsnęła głową.

- Nie, dziękuję. Nie skuszę się.

- Twój ukochany Denis prawilby ci kazania, co? Pałace kobiety na pewno nie pasują do jego konserwatywnej wizji świata! - Cedric nie znosił szwagra od chwili, kiedy się poznali, a Denis z całego serca odwzajemniał ową niechęć. Ale przyznać trzeba, że trudno wyobrazić sobie parę mężczyzn bardziej różnych od siebie niż ci dwaj.

Stali w ogrodzie Hazel. Zawsze tak o nim mówili - ogród Hazel, chociaż oczywiście należał do całej rodziny i wszyscy z niego korzystali. Ale Hazel kochała ten ogród, pielęgnowała go i nadała mu niepowtarzalny charakter. Zasadziła tu drzewa, krzewy i kwiaty. To dzięki niej nieco mroczny mur okalający posesję obrósł dzikim winem, a na tyłach ogrodu można było późnym latem objadać się do woli owocami. Rosły tam jeżyny, agrest, porzeczki, no i oczywiście jabłonie, grusze i śliwy - ile dusza zapagnie. Kiedy Rosanna wspominała matkę, nieodmiennie miała przed oczami kobietę w kaloszach albo w sandałach, drepczącą pośród swoich roślin, która każdego gościa, choćby nawet najbardziej niespodziewanego, uszczęśliwiała jakimś podarunkiem ze swojego ogrodu - a to ofiarowała mu parę kwitnących gałązek do

wazonu, a to bukiet lśniących dorodnych tulipanów, a to pojedynczą różę o niepowtarzalnym zapachu. Hazel lubiła dawać prezenty. Nie do wiary, że już nigdy nie wyłoni się spośród drzew, żeby z uśmiechem na twarzy zmierzać w stronę domu. W tę ponurą lutową niedzielę wczesnym rankiem spadł śnieg, mokry i ciężki, który teraz, koło południa, zaczynał topnieć. Żdźbła trawy wyzierały spod białej powłoki, podobnie jak liczne fioletowe i żółte krokusy, które zakwitły na łąkach. Smutny był to widok, emanowała z niego samotność i przygnębienie.

Opuszczony ogród, pomyślała Rosanna, opuszczony przez Hazel. Tak jak my wszyscy. Czuje się to szczególnie dotkliwie w taki dzień jak dziś.

Puściła mimo uszu uwagę Cedrica na temat Denisa, wzdrygnęła się tylko z zimna.

- Brrr. Kończysz już palić? Chcę wejść do środka.

- Jesteś o wiele za cienko ubrana. Mieszkając w Gibraltarze, zapomniałaś, co to prawdziwa zima.

- Dobrze pamiętam zimę. I bardzo mi jej brakuje - potoczyła wzrokiem po smutnym ogrodzie. - To pewnie ostatni, może przedostatni śnieg w tym roku. W ciągu najbliższych tygodni rozszaleje się wiosna. Nie uwierzysz, jak bardzo mi tego brak. Tych wyraźnych zmian pór roku. Myślę, że angielskiej wiosny nie da się porównać z niczym na świecie.

Cedric wyrzucił niedopałek w topniejący śnieg.

- Cóż, o ile dobrze zrozumiałem, zabawisz tu jakiś czas. Z powodu tych reportaży dla gazety.

- O ile w ogóle będę je pisać. Zobaczymy, co przyniesie jutrzejsza rozmowa z Nickiem.

- Och, daj spokój! Zrobisz to niezależnie od wyniku spotkania! Myślisz, że nie widać po tobie, jak bardzo brakuje ci prawdziwego wyzwania? Zwróciłem na to uwagę już na pogrzebie mamy. Sprawiasz wrażenie kompletnie sfrustrowanej!

- Na pogrzebie mamy sprawiałam wrażenie smutnej, bo faktycznie tak się czułam, i nie miało to związku z brakiem wyzwań.

- Jasne, że byłaś smutna. Ale zauważyłem coś jeszcze, co nie miało związku ze śmiercią mamy. To było zmartwienie, które już od dłuższego czasu musiało żłobić twoją twarz. Nie jesteś szczęśliwa z Denisem w Gibraltarze, siostrzyczko, i widać to na pierwszy rzut oka.

- Za to ty jesteś szczęśliwy w Nowym Jorku, tak?

- Tego nie powiedziałem. Ale ty, wychodząc za Denisa, zachowywałaś się tak, jakby był on najwspanialszym mężczyzną pod słońcem, a Gibraltar jedynym miejscem, w którym można żyć. Nie

36

37

dało się tego słuchać. Zdaje się, że w ciągu ostatnich pięciu lat coś się zmieniło.

- Mimo wszystko spędziłam tam pięć lat - odparła ostro Rosanna - a z tego co wiem, żaden z twoich romansów nie trwał nawet w przybliżeniu tak długo. To chyba normalne, że w naszym związku tu i ówdzie odprysnął lakier. Ale jesteśmy razem.

Cedric już miał coś odpowiedzieć i sądząc po wyrazie jego twarzy, riposta nie miała należeć do najgrzeczniejszych, lecz w tej samej chwili za ich plecami otworzyło się okno i wychylił się Victor, ich ojciec.

- Rosanno! Cedric! Chodźcie do domu! Obiad gotowy!

Cedric zatrzymał dla siebie cisnące mu się na usta słowa i podążył za siostrą do środka. Z tarasu wchodziło się prosto do jadalni, gdzie Victor już nakrył do stołu. Porcelana Hazel na specjalne okazje. Rosanna zaproponowała, że ugotuje ulubioną potrawę ojca, jednakże Victor nalegał, aby przyrządzić przysmak dzieci - potrawkę według przepisu Hazel.

- Wasza mama też by tak zrobiła, widząc was wreszcie po tak długim czasie. Byłaby taka szczęśliwa!

Rosanna patrzyła, jak ojciec stawia na stole potrawkę z jagnięciny i otwiera butelkę wina. Śmierć żony nie pozbawiła go ciepłego uśmiechu ani serdecznego sposobu bycia, mimo że wówczas przez wiele tygodni pozostawał w szoku. Tamtej soboty, pod koniec listopada, Hazel pojechała z nim na targ, a po południu miała zamiar zacząć przedświąteczne wypieki. Niespodziewanie jednak źle się poczuła, skarżyła się na zaburzenia widzenia i ledwo trzymała się na nogach. Wezwano lekarza, który zdiagnozował lekki udar i natychmiast zadzwonił po karetkę. W samochodzie Hazel przeszła kolejny udar i w ciągu kilku minut zmarła. Rosanna przyleciała późnym wieczorem z Gibraltaru i zastała ojca w kuchni, gdzie kompletnie zdezorientowany zajęty był pieczeniem ciasteczek.

- Wyrobiła już ciasto - powtarzał raz po raz.

Teraz Victor wrócił do normalności, ale samotność otulała go niczym gruby ciężki płaszcz, który bardzo powoli, prawie niepostrzeżenie ściągał go ku ziemi.

38

Zasiedli do stołu i kiedy tak wpatrywali się w pochmurny dzień za oknem, Rosanna zastanawiała się, jak wyglądają niedziele, gdy ojciec jest sam w domu. Zimowa cisza, przerywana miarowym tykaniem zegara. Nagle zrobiło jej się zimno, dużo zimniej niż przed chwilą w ogrodzie. Chłód pochodził z samego środka.

Cedric niemal całkowicie zdominował rozmowę przy stole, zabawiając towarzystwo dowcipnymi opowiastkami o swoich ostatnich przeżyciach w Nowym Jorku. Pił dużo i szybko i jak zawsze pod wpływem alkoholu stał się ożywionym i zajmującym kompanem. Rosanna z wdzięcznością zarejestrowała, że Victor raz po raz wybucha śmiechem i sprawia wrażenie rozluźnionego. Kiedy zjedli deser, powiedział:

- Wiecie co, dzieci? Ja pozmywam, a wy się przespacerujcie. Dawno już nie byliście w Kingston St. Mary. Na pewno chętnie rozejrzycie się po okolicy!

- To nie wchodzi w... - zaczęła Rosanna, ale Cedric przerwał jej w pół słowa.

- Byłoby fantastycznie, gdybyś mógł obejść się bez nas przez jakieś dwie, trzy godziny. Chciałbym... cóż, pomyślałem sobie, żeby odwiedzić Geoffa. Dawno go nie widziałem.

- Ale nie w urodziny taty! - powiedziała Rosanna oburzona.

- Kto wie, kiedy znowu tu przyjadę!

- Chyba nie zamierzasz już jutro wracać do Nowego Jorku?

- Nie. Ale wybieram się do Londynu. Chcę odwiedzić paru starych znajomych.

- To do ciebie podobne. Jeden dzień w Kingston St. Mary i już masz dosyć.

Myslałam, że zostaniesz tu trochę dłużej!

- Dobrze sobie! - Cedric rzucił jej spojrzenie przez stół. - O ile dobrze zrozumiałem, sama jedziesz jutro do Londynu, siostrzyczko. Zgadza się? I ty długo tu nie zabawisz.

- Mam tam służbowe spotkanie, a to co innego!

- Ba, jak dla... - zaczął Cedric, ale Victor powstrzymał go, unosząc dłonie w pojednawczym geście.

Nagle wydał się Rosannie zmęczony i dużo starszy niż w rzeczywistości.

39

- Dzieci, bardzo proszę, nie kłóćcie się! Doskonale rozumiem, że oboje, każde z innego powodu, chcecie pojechać do Londynu. Nie widzę w tym nic złego. Poradzę sobie bez was.

- Ale dziś są twoje urodziny. Uważam, że to nie w porządku...

- Zmyję naczynia, a potem trochę się zdrzemnę. Dobrze mi to zrobi, nawet w moje urodziny. Rosanno, może pójdziesz z Cedri-kiem odwiedzić Geoffreya! Przecież znasz go jeszcze z dawnych lat. Wystarczy, jak wrócicie na podwieczorek. Do tego czasu sobie odpocznę.

Cedric był zachwycony i od razu przystał na propozycję ojca.

- Świetny pomysł. Rosanno, miałabyś ochotę? Byłoby mi rażniej, gdybyś się ze mną przesła. Rozmowy z Geoffem są... sama wiesz. Od wypadku bardzo się zmienił.

- Nic dziwnego. Wyobraź sobie, że jesteś całkowicie sparaliżowany i siedzisz zupełnie sam w domu, bez żadnych widoków na przyszłość.

- Rosanno, rozmowa z nim może okazać się dla ciebie całkiem interesująca - powiedział Victor. - Mam na myśli twój artykuł. Dowiesz się, co Geoff ma do powiedzenia na temat zniknięcia Elaine. Na pewno ma swoją teorię na ten temat. Poza tym uważam, że byłoby nie w porządku, gdybyście będąc tu, go nie odwiedzili. Jako dzieci tyle się razem bawiliście.

Rosanna wstała, ciężko wzdychając.

- Okay. Przekonaliście mnie. Pójdę tam. Mieszka teraz w Taunton, tak?

- Dopiero się zdziwi, kiedy nas zobaczy! - powiedział Cedric. Rosanna wyszła za swoim bratem z pokoju, myśląc o tym, że

Cedric nie lubi komplikować sobie niepotrzebnie życia. Trudne zadanie konwersacji ze zgorzkniałym i niewykluczone, że agresywnym Geoffreyem może teraz przekazać siostrze, co nie przeszkodzi mu powrócić do Nowego Jorku w poczuciu dobrze spełnionego obowiązku wobec starego przyjaciela.

Niemniej ojciec miał rację - jeżeli rzeczywiście chce napisać artykuł o Elaine Dawson, tak czy inaczej będzie musiała porozmawiać z jej bratem - ostatnim żyjącym krewnym Elaine i człowiekiem, którego jej zniknięcie najsilniej dotknęło.

Pub Pod Słoniem był czynny również w niedzielę i powinna stawić się w pracy, jednakże po krótkim wahaniu zdecydowała się zadzwonić do Justina i poprosić go o jeszcze jeden dzień wolnego. Jak mogła się domyślić, szef nie był zachwycony, ale ponieważ o tej porze roku do miasteczka praktycznie nie przyjeżdżali turyści, a miejscowi w niedzielę tylko z rzadka zaglądali do pubu, nie mógł twierdzić, że nie poradzi sobie bez niej. Trzech, najwyżej czterech gości, których mógł się tego dnia spodziewać, zdoła obsłużyć pomoc kuchenna. Poprzedniego wieczoru, w sobotę, ruch był także niewielki, a mimo to Justin urządził taką scenę, jakby z powodu jej nieobecności miał się zawalić cały interes.

- Wczoraj powiedziałaś mi, że dziś już będziesz na nogach

- burknął.

- Tak sądziłam. Niestety cały czas czuję się fatalnie - odparła.

- Może to nie kolacja mi zaszkodziła, tylko złapałam jakiegoś wirusa.

- No cóż, przecież nie zmuszę cię do przyjścia - powiedział Justin zrzędlawie i odłożył słuchawkę.

- Faktycznie niewyraźnie pani wygląda - powiedział z troską w głosie pan Cadwick. Tak jak poprzedniego dnia, musiała zejść do niego na dół i zapytać, czy może skorzystać z telefonu, ponieważ u niej nie było aparatu. Wiedziała, że gospodarz ma w zwyczaju podsłuchiwać jej rozmowy, i uspokoiło ją to, że bez mrugnięcia okiem kupił wczorajszą bajeczkę o rozstroju żołądka, a teraz o wirusie. Wciąż jeszcze była blada na twarzy i miała podkrążone oczy.

- Nie czuję się najlepiej - potwierdziła. Miała zamiar wrócić do siebie na górę. Zamknąć drzwi na zasuwę, położyć się do łóżka i sku-lić jak dziecko. Byle nie musieć już słuchać współczującej paplani-ny pana Cadwicka. Kiedy zalegała z czynszem, chciał ją wyrzucić na bruk. Odkąd znalazła pracę w pubie i znów regularnie mu płaciła, udawał przyjaciela. Nic dziwnego, niełatwo by mu było znaleźć kogoś na jej miejsce. Kto chciałby zamieszkać w Langbury, a do tego jeszcze zaszyć się w najbardziej ponurym zakątku miasta? Po świecie nie chodzi aż tylu neurotyków, żeby od razu pojawił się następca.

- Powinna pani iść do lekarza - zasugerował pan Cadwick.

- Wygląda pani jak półtora nieszczęścia, jeśli wolno mi się tak wyrazić. Takich spraw nie należy lekceważyć.

- Poleżę jeszcze dzień w łóżku i dojdę do siebie - przekonywała.

- Może zrobić pani herbatę? Nie ma pani nikogo, kto by się panią zajął? Ma pani w ogóle coś do jedzenia?

Gdyby nie miała okazji przekonać się, jak bezwzględny potrafi być pan Cadwick, teraz może nawet byłaby mu wdzięczna za okazaną troskę. Chociaż uważała, że jest obleśny. Pan Cadwick miał prawie siedemdziesiąt lat, był starym kawalerem i zdawało jej się, że wodzi za nią lubieżnym wzrokiem. Może niesprawiedliwie go oceniała, ale była przekonana, że w swojej dusznej, nigdy niewietrzonej bawialni, gdzie unosiły się wieloletnie opary niezliczonych posiłków, regularnie ogląda filmy porno. Wprawdzie nie miała żadnych dowodów, ale to byłoby do niego podobne. Dwa razy w miesiącu wyruszał w podróż z przesiadkami do Newcastle, nie wspominając choćby słówkiem, jaki jest cel tych wypraw. Była pewna, że chodzi do burdelu. I że jest amatorem perwersyjnych gier. Czuła to. Jej nieufność wobec gospodarza powodowała, że każdego wieczoru zastawiała drzwi komodą. Pan Cadwick posiadał wszak zapasowy klucz. Nie miała ochoty, obudziwszy się którejs nocy, zobaczyć, jak stoi przy jej łóżku i się onanizuje.

- Mam wystarczająco dużo jedzenia, dziękuję - skłamała.

- Chwilowo wcale nie mam apetytu. Muszę jeszcze trochę poleżeć i wszystko będzie dobrze. Dziękuję za udostępnienie telefonu, panie Cadwick.

Odwróciła się do drzwi.

- Gdyby pani czegoś potrzebowała... - zdążył jeszcze za nią zawołać, zanim pozostał sam, sfrustrowany, w niedzielnej beznadziei.

Jego niedzielna beznadzieja to nie mój problem, pomyślała, kiedy znalazłszy się na

górze, z westchnieniem ulgi zamknęła drzwi, a następnie zastawiła je komodą. Moje życie składa się wyłącznie z beznadziejnych dni, i nikogo to nie obchodzi.

W bezpiecznym schronieniu od razu poczuła się lepiej. Ponieważ w poniedziałki pub był nieczynny, zyskała w sumie dwa dni, które mogła spędzić w domowym zaciszu. Potem jednak będzie musiała stawić się w pracy i pozostawało jej mieć nadzieję, że do tego czasu poczuje się na tyle dobrze, żeby podjąć walkę od nowa. Dwa i pół roku temu przeszła podobne załamanie - o ile można tak określić mdłości, gorączkę, dreszcze i zawroty głowy. Wtedy wydało jej się nagle, że w Morpeth przed sklepem rybnym zobaczyła Pita. Mogłaby przysiąc, że to on - spłaszczona czaszka, rzadkie włosy, żylasta sylwetka, po której nikt się nie spodziewał takiej siły, dopóki nie poczuł tego na własnej skórze. Cała postać, nawet widziana od tyłu, emanowała brutalnością. Zawsze dużo bardziej obawiała się Pita niż Rona, ponieważ Ron był inteligentniejszy i bardziej przewidywalny. Natomiast Pit - co do tego nie miała żadnych wątpliwości - był psychopata. W każdej chwili mógł stracić nad sobą panowanie i biada temu, kto wszedłby mu wtedy w drogę.

Do Morpeth wybrała się tylko dlatego, że potrzebowała nowych dzinsów. Tam, pod sklepem rybnym, była przekonana, że wybiła jej ostatnia godzina. Później nie potrafiła sobie przypomnieć, w jaki sposób dotarła na przystanek, wsiadła do autobusu i wróciła do miasteczka, w którym wówczas mieszkała, a następnie jeszcze trafiła do domu.

Przez resztę dnia kilkakrotnie wymiotowała i aż do wieczora miała gorączkę.

Powtarzała sobie, że nie istnieje żaden racjonalny powód, dla którego Pit miałby się kręcić po Morpeth w Northum-berlandii. Jedynym powodem mogła być ona.

Przez dwa dni nie była zdolna nawet do pracy w magazynie, czuła się chora i trzęsły jej się ręce. Początkowo chciała spalić za sobą

42

43

wszystkie mosty i przenieść się gdzieś indziej, jak najdalej. Może do Szkocji albo na Hebrydy... Jednakże nazajutrz wieczorem nie miała już pewności, czy mężczyzną sprzed sklepu rybnego był rzeczywiście Pit. Wciąż od nowa odgrywała w pamięci scenę spotkania, aż w pewnym momencie wydawała jej się ona zupełnie nieprzekonująca. Mężczyzna z Morpeth był wyższy od Pita i w ogóle miał trochę inną sylwetkę. I ciemniejsze włosy, może tylko odrobinę, ale jednak ciemniejsze. Wreszcie spytała się w duchu zdumiona, jak choć na moment mogła ulec wrażeniu, że mężczyzna widziany w Morpeth to Pit, i od razu poczuła się znacznie lepiej.

Tym razem wydarzyło się jeszcze mniej. Sobotnia noc, ciemna uliczka, błysk latarki. Była pewna, że już po niej. Znalazł ją. Ukrył się za załomem muru i czekał tu na nią. Nie ma co liczyć na łaskę, teraz spotkają straszliwy koniec.

Zanim się zorientowała, że to nie on, tylko starsza drobna sąsiadka z naprzeciwka, panna Pruett, która stała przed nią tak samo wystraszona, z bassetem na smyczy i latarką w dłoni, jej ciało przeszło szereg typowych reakcji: nagle poty, dygotanie, łomotanie serca, które mogłoby wprawić w drżenie całą kulę ziemską. Pamiętała, że próbowała krzyczeć, ale głos uwiązał jej w gardle i nie mogła wydobyć z siebie słowa. Prawdopodobnie nie dłużej niż kilka sekund stała oślepią blaskiem latarki, ale wydawało jej się, że minęła wieczność. Wreszcie panna Pruett opuściła latarkę i

drżącym głosem powiedziała:

- A, to pani. Co pani tu robi?

Po dwóch bezskutecznych próbach wreszcie udało jej się wykrztusić:

- Panno Pruett, sama chciałam o... o to panią zapytać!

Okazało się, że Zeb, basset, jest chory - miał zapalenie pęcherza, jak wyznała z zażenowaniem panna Pruett - i co chwila trzeba go wyprowadzać. Ponieważ starsza pani nie miała ani ogródka, ani podwórka, nie pozostało jej nic innego, jak przez całą noc co godzinę wychodzić na spacer.

Niewinna sytuacja, która znowu doprowadziła do katastrofy.

Muszę przestać żyć w tym ciągłym strachu, powiedziała do siebie i marszcząc czoło, skierowała wzrok na komodę, która barykadowała drzwi. To mnie wykończy. Wpędzi w obłąd.

Minęło już tyle lat. Może nie miała się już czego obawiać. Niepotrzebnie wegetowała, przykulona jak zwierzę w ciemnej norze. Może nadszedł czas, żeby zerwać z przeszłością i zacząć wreszcie żyć.

Powinna zrobić pierwszy krok, odsuwając tę żalosalną komodę. Pan Cadwick nie był niebezpieczny, co najwyżej odrażający. Nadstawiła uszu, próbując wyłowić z dołu jakieś dźwięki, ale panowała tam całkowita cisza. Zazwyczaj wiedziała, w której części mieszkania znajduje się gospodarz, ponieważ docierało do niej zarówno powłóczenie nogami, jak i jego ciągłe odchrząkiwanie. Kiedy tak jak teraz żaden dźwięk nie zdradzał jego obecności, wyobrażała sobie z niepokojem, że zakradł się na palcach pod drzwi jej mieszkanie i czai się tam w nadziei, że zobaczy coś podniecającego.

A może to tylko ta przeklęta nerwica lękowa podsuwała jej podobne myśli. W rzeczywistości pan Cadwick siedział pewnie na dole w fotelu i czytał gazetę albo popijał herbatę. I do głowy by mu nie przyszło, żeby skradać się po schodach, a co dopiero żeby próbować wtargnąć do mieszkania swojej lokatorki.

Mimo wszystko nie mogła się przemóc, żeby odsunąć mebel. Potrzebowała tej zapory, chroniła ją przed panem Cadwickiem, innymi niebezpieczeństwami i własnym strachem.

Daleko mi jeszcze do normalności, pomyślała.

Podeszła do jednego z nieszczelnych okien, przez które całe ciepło uchodziło na zewnątrz, a do środka wpadał chłód, i wyjrzała na ulicę. Na dworze nie było widać żywego ducha, w powietrzu wirowało kilka płatków śniegu. Pogoda bez zmian.

Ponuro i zimno. Nic jeszcze nie wskazywało na rychłe nadejście wiosny.

Położyła się na łóżku i wpatrując w sufit, próbowała uporządkować docierające do niej dźwięki. Przyzwyczajenie, które weszło jej w krew: zawsze być czujną, mieć wszystko pod kontrolą.

Kiedyś od tego może zależeć jej życie.

Ale dom tonął w ciszy, tak więc wreszcie zasnęła.

44

45

Geoffrey Dawson był zaskoczony, gdy w pokoju pojawiła się pielęgniarka i poinformowała go, że ma gości. Rzadko kiedy ktoś go odwiedzał, mimo że w okolicy mieszkało jeszcze kilkoro przyjaciół i znajomych z dawnych lat. Początkowo często

do niego zaglądali, przez pierwsze dwa lata po wypadku. Potem strumień odwiedzających gwałtownie się urwał - nic dziwnego, kto by chciał przesiadywać godzinami w jednym pokoju z kaleką, patrząc na jego nieszczęśliwą minę. Po zniknięciu Elaine, kiedy musiał przenieść się do domu opieki dla osób niepełnosprawnych w Taunton, zainteresowanie jego osobą na jakiś czas odżyło. Niektórym pewnie było go szczerze żal, gdyż stracił dom, a to, czego obawiał się najbardziej - ośrodek opieki - stało się rzeczywistością. Ale Geoff się nie łudził - większość gości przywiodła do niego ciekawość. Zniknięcie Elaine wprowadziło dużo zamieszania, ten i ów miał pewnie nadzieję, że dowie się od Geoffa jakichś szczegółów, o których nie można przeczytać w prasie. Poza tym pociągał ich demoniczny urok domu opieki. Długie korytarze wyłożone wypolerowanym na błysk linoleum, nieodmiennie włączone światło jarzeniówek, po obu stronach drzwi, za którymi w małych celach wegetowały żaloszne istoty skazane na dożywocie. Lepiej sytuowani pensjonariusze mogli liczyć na własny pokój. Geoff się do nich nie zaliczał. Dzielił pokój z dwoma mężczyznami, z których jeden często bełkotał bez sensu, czym niemal na śmierć zameczał swoich współlokatorów. Niestety tylko niemal. Geoff często myślał o samobójstwie, ale nie miał pomysłu, w jaki sposób mógłby je o własnych siłach popełnić.

W każdym razie odwiedziny były nieczęstym wydarzeniem. Od pięciu lat nie było żadnych wieści o Elaine i zainteresowanie jej losem przygasło. Nawet personel domu opieki nie wzbudzał już w nikim dreszczyku emocji. Po co ktoś miałby marnować czas na wizytę u Geoffreya, którego los i tak pozostawał bez zmian, więc pocieszenie „wszystko będzie dobrze” mogło zabrzmieć wyłącznie cynicznie. Jedynie Victor Jones z Kingston St. Mary wpadał tu od czasu do czasu. Z czystej litości, co do tego Geoffrey nie miał złudzeń.

- Kto przyszedł? - zapytał, otrząsnąwszy się nieco z zaskoczenia. Siostra, jedna z miłszych, uśmiechnęła się. Zdawało się, że naprawdę cieszy się z odwiedzin.

- Pan Jones i pani Hamilton - odparła. - Czekają w świetlicy. No proszę, pomyślał Geoff, rodzeństwo Jonesów! Cedric i Rosanna. Nie widział ich od wieków. I nagle się tu zjawiają.

Wiedział, że Rosanna wyszła za mąż w Gibraltarze - jak mógłby o tym zapomnieć? Przecież to na jej weselu Elaine tak bardzo pragnęła pojechać. Ślad za nią urwał się na londyńskim lotnisku Heathrow. Potem nikt jej już nie widział.

Natomiast Cedric od dawna mieszkał w Nowym Jorku, rzadko bywał w Anglii. Dziwne, że teraz oboje przyjechali do Taunton i nie mieli nic lepszego do roboty, niż odwiedzić starego przyjaciela z młodzieńczych lat, z którym los tak surowo się obszedł.

Geoffrey miał ochotę poprosić pielęgniarkę, żeby odprawiła niezapowiedzianych gości. Akurat tych dwoje! Atrakcyjny Cedric, który wprawdzie nie ułożył sobie życia, ale za to cieszył się wyjątkowym powodzeniem u kobiet. Oraz Rosanna, której nie potrafił wybaczyć, że zaprosiła Elaine na swój ślub.

- Ja... - zaczął, ale siostra już chwyciła wózek i energicznie pchnęła go do wyjścia.

- Nic z tego! - powiedziała. - Przyjmie pan gości!

Po wyrazie jego twarzy musiała poznać, co chodzi mu po głowie.

- Wydaje mi się, że... - spróbował raz jeszcze, gdy pielęgniarka wyprowadziła go na

korytarz.

- Musi się pan odrobinę postarać! - rzuciła i w tej chwili Geoff ją znienawidził. Za to, że zmusiła go do tego spotkania. Za to, że odebrała mu prawo do decydowania o sobie.

A wszystko w dobrej wierze, pomyślał wyczerpany.

Geoffrey był początkowo przeciwny wyjściu do położonej naprzeciwko ośrodka kawiarni, a precyzyjnie rzecz ujmując temu, żeby się dać do niej zawieźć, ale Rosanna nalegała w ten sam serdeczny, acz nieugięty sposób, który cechował także większość pielęgniarek.

- Potrzebujesz świeżego powietrza - powiedziała, rozglądając się po świetlicy wyłożonej, podobnie jak reszta pomieszczeń w ośrodku, linoleum w kolorze skisłego mleka, gdzie w świetle jarzeniówek nawet najzdrowsze osoby wyglądały na chore. Na parapetach stały wprawdzie doniczki z kwiatami, a na ścianach wisiały obrazy namalowane przez pacjentów, ale i tak panowała tam przygnębiająca atmosfera ośrodka opieki dla osób ciężko upośledzonych. Wnętrze wyglądało niegościnnie i nie zachęcało do wejścia.

- Można się tu napić kawy - powiedział Geoff - i jeśli macie ochotę, możecie też dostać kawałek ciasta.

Jednakże Cedric, wyraźnie zdegustowany, natychmiast podchwycił propozycję siostry.

- Świetny pomysł - powiedział. - Geoff, Rosanna ma rację, musisz się trochę przewietrzyć!

I oto siedzieli w kawiarni, mieszały kawę i wszyscy troje czuli się skrępowani.

Geoffrey dziękował Bogu, że przynajmniej może poruszać rękoma i samodzielnie jeść i pić, jakkolwiek nieco nakruszył na stół i spodnie. W ośrodku opieki przebywali również pacjenci po urazie rdzenia kręgowego, którzy potrafili tylko ruszać głową. Musieli być karmieni jak niemowlęta. Na to by już nie pozwolił. Wówczas broniłby się rękami i nogami przed tym idiotycznym wyjściem na zewnątrz.

Rękami i nogami, pomyślał i byłby się zaśmiał, gdyby nie był aż tak przygnębiony. Cedric, na którego Geoff wciąż mimowolnie przenosił wzrok, gdyż emanował on wyjątkową siłą i zdrowiem, opowiadał o Nowym Jorku, ale nie było w tym radości i swobody, raczej jakieś zażenowanie, które Geoffrey widywał już u innych zdrowych osób - chciały one poprawić nastrój rozmową, mając jednocześnie świadomość, że mówią o życiu, które dla rozmówcy pozostanie na zawsze niedo-

48

stępne, i męczyły się, próbując przedstawić swoją codzienność tak, żeby słuchający nie popadł od razu w depresję. Na pierwszy rzut oka widać było, że odczuwają litość i w gruncie rzeczy mają ochotę uciec. Jakże nie cierpiał takich sytuacji! Naprawdę lepiej jest nie przyjmować wizyt.

- O ile dobrze zrozumiałem, jesteś fotografem? - zapytał uprzejmie, mimo że wcale go to nie interesowało.

Cedric skinął głową.

- Tak, pracuję w studiu fotograficznym. Mam nadzieję, że kiedyś będę mógł otworzyć własne.

- Żona, dzieci?

- Romanse. Nie spotkałem jeszcze tej jedynej - powiedział Cedric i w przypiływie samokrytycyzmu dorzucił: - To pewnie moja wina. Mam trzydzieści osiem lat, powinienem być już coś osiągnąć. Prawdopodobnie robię coś nie tak. Jest wiele powodów, dla których związek pomiędzy kobietą a mężczyzną się rozpada.

- O tak - odparł zjadliwie Geoff. - Jednym z nich może być to, że mężczyzna nie potrafi o własnych siłach chodzić, srać ani się pieprzyć. Mówię wam, to znacznie ogranicza wybór partnerki!

Rosanna i Cedric wydawali się skonsternowani i przez chwilę Geoff napawał się ich zakłopotaniem. Lubił szokować otoczenie, szczególnie kogoś takiego jak rodzeństwo Jonesów, niezasłużonych wybrańców losu. Ale z doświadczenia wiedział, że poczucie tryumfu trwa bardzo krótko. Zresztą nie było to prawdziwe zwycięstwo, ponieważ nie przynosiło żadnej zmiany: inni byli nadal zdrowi i silni, on wciąż chory i słaby.

Podczas gdy Cedric dziobał widelcem w ciastku i ukradkiem spoglądał na zegarek, Rosanna wyprostowała się na krześle i przybrała pozycję, którą Geoff nazwałby... ofensywną. Miała do niego jakąś konkretną sprawę. Prawdopodobnie nie przyjemnego, ale przynajmniej przerwą tę męczącą pogawędkę.

- Geoffrey, przyjechałam do Anglii nie bez powodu, oczywiście pomijając urodziny mojego ojca - powiedziała. - I chciałabym z tobą o tym porozmawiać...

49

- Słucham. Zawahała się.

- Chodzi o Elaine - powiedziała w końcu.

Zaczerpnął głęboko powietrza. Miał rację, szykowało się coś nieprzyjemnego.

- O Elaine?

- Dokładnie rzecz biorąc, chodzi o cykl reportaży, który mam napisać dla „Covera”. Wiesz, to...

- Wiem. To ten tani brukowiec, dla którego kiedyś pracowałaś.

Geoff pamiętał, że potrafiła być dość szorstka, jeśli ktoś ją sprowokował. W normalnych warunkach zareagowałaby na tak obraźliwą opinię. Ale z nim nie chciała się kłócić. W stosunku do niepełnosprawnych ludzie byli obrzydliwie mili.

- Mam napisać cykl artykułów o osobach, które zagięły bez śladu. I zacząć od Elaine.

- Aha - próbował nie dać po sobie poznać, jak gwałtowną reakcję wzbudził w nim temat Elaine. Tętno mu podskoczyło, zaschło w gardle, zaczęły pocić się dłonie. Choć minęło już tyle czasu. Całe pięć lat.

- Sądzę, że Nick, redaktor naczelny, wybrał mnie do tego zadania z uwagi na moją znajomość z Elaine. Chciałabym... przyjąć to zlecenie.

- Jasne. Na to nie potrzebujesz mojej zgody.

- Nie. Ale mógłbyś odmówić rozmowy. Byłoby to dla mnie zrozumiałe.

- Czyżby? Co właściwie chcesz napisać? Wszystko, co wiadomo w tej sprawie, zostało już powiedziane. Czemu ma służyć ten artykuł?

- Mam jeszcze raz opisać tamte wydarzenia. To, co stało się owego wieczoru na Heathrow. Naszkicować przebieg śledztwa, które podjęła w tej sprawie policja. Napisać o Elaine, przybliżyć jej sylwetkę. To ma być po prostu... - wzruszyła bezradnie ramionami - relacja z tajemniczego zdarzenia, które nigdy nie zostało do

końca zbadane.

-I którym ludzie uwielbiają się ekscytować, wiem! - Geoff odsunął prawie nietknięte ciastko. Kątem oka spostrzegł, że Cedric odwrócił się zakłopotany. Również Rosanna straciła niedawną pewność siebie. Dobrze im tak.

- Wiesz co? - odezwał się Geoffrey. - Mogę porozmawiać z tobą o Elaine. I o twoim niedorzecznym pomysle, żeby zaprosić ją na ślub. Porozmawiam z tobą o zafajdanym życiu, jakie przyszło mi wieść, gdyż los samotnego upośledzonego brata to temat, który na pewno spodoba się czytelnikom „Covera”. Zrobię to, ale oczekuję od ciebie czegoś w zamian. Chcę, żebyś w swoim artykule raz na zawsze rozprawiła się z Markiem Reeve'em. Rzuciła go ludziom na pożarcie. Niech jego koszmarny sny staną się rzeczywistością. Niech sąsiedzi wytykają go palcami, niech odwrócą się od niego ostatni żałośni klienci. Oto mój warunek. W przeciwnym razie nie powiem ani słowa!

Była kompletnie zdezorientowana.

- Marc Reeve?

- Marc Reeve - powtórzył Geoff. - Mężczyzna, który tego wieczoru zwabił Elaine do swojego mieszkania. Rosanno, to on ją zamordował. Niestety nie można mu było niczego udowodnić. Marc Reeve zabił moją siostrę i zrujnował mi życie i możesz być pewna, że gdybym nie był bezsilnym kaleką, już dawno pociągnąłbym go do odpowiedzialności. Załatw go, Rosanno! Możesz liczyć na moją pomoc!

Rosanna przyglądała się Geoffreyowi w zamyśleniu.

Poniedziałek, 11 lutego

1

Angela Biggs wiedziała, czego chce. Pragnęła wydostać się z beznadziei mieszkania komunalnego w Islington i zacząć lepsze życie. Nie miała już siły wegetować w przytłaczającej ciasnocie osiemdziesięciometrowego mieszkania, w którym gnieździła się ze swoimi rodzicami i czwórką młodszego rodzeństwa. Małeńki pokój dzieliła z siostrą. W nieco większym pokoju obok spali trzej bracia. Rodzice rozkładali wieczorem sofę w dużym pokoju. Ojciec sporadycznie pracował, ale częściej był bezrobotny. Matka z samego ranka zaczynała pić. Ostatnio najstarszego brata przyprowadziła do domu policja, gdyż razem z innymi chłopakami włamał się do sklepu monopolowego. Siostra Angeli, szesnastoletnia Linda, od kilku miesięcy pokrywała twarz grubą warstwą pudru i nosiła spódnice, które były tak krótkie, że właściwie mogłyby ich wcale nie wkładać. Z tego powodu przed trzema dniami pokłóciła się z ojcem.

- Nigdzie nie pójdziesz w takim stroju! - ryknął, kiedy właśnie zbierała się do wyjścia ubrana w dzinsową minispódniczkę i sięgające wysoko za kolana kozaki.

- Boże, o co ci chodzi? - odrzyknęła. - Rozejrzyj się dookoła! Wszyscy się teraz tak noszą!

Nie była to prawda i Angela dobrze o tym wiedziała. Wiele młodych dziewcząt ubierało się seksownie, ale nie tak krzykliwie i tandetnie. Pstrokaczna stroju Lindy przyprawiała o zawrót głowy, a obcasy jej butów były zabójczo wysokie. Spódnica ledwie zasłaniała

52

jej tyłek. Jednakże uwagę Angeli przede wszystkim zwróciła jakość ubrań. Całość

wyglądała tanio, ale poszczególne elementy garderoby zdecydowanie do takich nie należały. Angela trochę się na tym znała, ponieważ w swojej tęsknocie za lepszym życiem często przechadzała się po eleganckich wnętrzach Harrodsa, potajemnie dotykając szlachetnych tkanin. Miała wyrobione oko i potrafiła ocenić ich wartość. Pozostawało dla niej tajemnicą, skąd Linda, która rzuciła szkołę, praktyki zawodowe, a w końcu również pracę w biurze warsztatu samochodowego, ma pieniądze na takie stroje.

Angela chciała zapytać o to siostrę, nie zdążyła jednak tego zrobić. Dyskusja pomiędzy ojcem a córką przerodziła się w gwałtowną awanturę, którą słyhać było w całym bloku. W końcu ojciec krzyknął:

- Nie chcę cię tu więcej widzieć, ty dziwko!

- I nie zobaczysz! - odparowała Linda i trzaskając drzwiami, opuściła dom.

Od tamtej pory nie wróciła. Od trzech nocy jej łóżko stało puste.

Przez pierwsze dwa dni wszyscy myśleli, że Linda poszła do swojego byłego chłopaka. Rozstali się wprawdzie pół roku wcześniej, ale dość dobrze się dogadywali i Linda dwa albo nawet trzy razy u niego nocowała. W niedzielę Angela spotkała go jednak przypadkiem na przystanku, gdzie kopał z kumplami puste puszki po piwie.

Kiedy zapytała go o Lindę, spojrzał na nią zdziwiony.

- Linda? U mnie jej nie ma. Już dawno jej nie widziałem. Angela opowiedziała o tym w domu, początkowo nie wywołując większego zaniepokojenia.

- Wobec tego jest u jakiegoś innego kumpla - parsknął ojciec. - Ciągłe prowadza się z jakimiś chłopakami, jak nie z tym, to z innym. Nie wiedziałyby co ma ze sobą zrobić, gdyby nie miała adoratora!

Teraz był poniedziałek rano i zaraz po przebudzeniu Angela spojrzała na sąsiednie łóżko, w nadziei że Linda wróciła w nocy do domu i że zobaczy na poduszce pofarbowane niedawno na platynowy blond długie włosy siostry. Łóżko było jednak puste i Angela nagle poczuła się nieswojo.

53

Wstała i wyszła do wąskiego przedpokoju. Sally, jej matka, jeszcze spuchnięta po wieczornym pijaństwie, usiłowała właśnie wyciągnąć synów z łóżek i nakłonić do pójścia do szkoły. Ojciec, Gordon, siedział przy stole w kuchni i czytał gazetę. Angela usiadła obok niego.

- Linda jeszcze nie wróciła - powiedziała. Ojciec nawet na nią nie spojrzał.

- Ach tak? Pewnie zastanawia się, jak należy się przyzwoicie ubierać. Dobrze jej to robi.

- Ale gdzie ona się podziewa? Na dworze jest zimno. Przecież nie włóczy się przez cały czas po parkach.

- Powiedziałem ci już. Jest u jakiegoś chłopaka. Spała chyba z każdym facetem w Londynie, na pewno któryś pozwolił jej u siebie zamieszkać.

Sally weszła do kuchni i głośno wzdychając, opadła na stojący w kącie stół.

Zapała papierosa i zaciągnęła się głęboko dymem.

- Jeśli uda im się skończyć szkołę - powiedziała, mając na myśli swoich synów - zapalę świeczkę w kościele. Słowo daję.

Gordon roześmiał się, lecz ona zapewniała z uporem:

- Naprawdę to zrobię. Jeśli mnie wcześniej nie wpędzą do grobu. Z łazienki dochodziły dzikie wrzaski. Chłopcy najwyraźniej pobili się o to, kto pierwszy ma wejść pod prysznic.

Sally rozejrzała się po kuchni.

- Gdzie jest Linda?

- Właśnie próbuję porozmawiać o tym z tatą - powiedziała Angela. - Jeszcze nie wróciła do domu. Uważam, że to bardzo dziwne.

- Też tak sędzę - odparła Sally. - To już trzecia noc z rzędu! Mój Boże! Gdybym ja w jej wieku sobie na coś takiego pozwoliła! Ona ma dopiero szesnaście lat!

- Zawsze była rozpuszczona! - warknął jej mąż. - Na wszystko jej pozwalałaś. Nic dziwnego, że wyrosła na pierwszorzędną podfruwajkę.

- Moja córka nie jest żadną podfruwajką!

- Czyżby? Przyjrzałaś jej się ostatnio? Jak ona wygląda? To nie jest już twoja mała córeczka!

- Ma szesnaście lat. Czego od niej chcesz?

- Trochę przyzwoitości! Szacunku! Przynajmniej w stosunku do rodziców! Co to ma znaczyć, żeby po prostu uciec z domu i całymi dniami nie wracać!

- Powiedziałeś, że nie chcesz jej tu więcej widzieć - przypomniała Angela.

Gordon w końcu odłożył gazetę.

- Powiedziałem, że nie chcę widzieć jej tu w tym stroju! Jak się normalnie ubierze i zmyje z twarzy tapetę, może wrócić.

- Zauważyliście, że nosi drogie ubrania? - zapytała Angela. Rodzice spojrzeli na nią pytającym wzrokiem.

- Drogie? - zaciekawiła się Sally.

- Przecież prawie nic na sobie nie ma - prychnął ojciec. - Jak coś takiego może być drogie?

- To kosztowne materiały. Z ekskluzywnych sklepów. Zastanawiam się, skąd bierze pieniądze.

- Ha, jeśli się jeszcze okaże, że kradnie... - zaczął Gordon groźnie, ale Sally natychmiast mu przerwała.

- Nie kradnie! Moje dzieci nie robią takich rzeczy!

- Czyżby? Przecież właśnie dlatego była u nas ostatnio policja. Twój rodzony syn...

- Namówiono go. Wpadł w złe towarzystwo. Sam z siebie nigdy... Na miłość boską! Muszę się napić! - Sally wykorzystała sytuację, żeby spożyć pierwszą tego dnia rację alkoholu.

- Może Linda spotyka się z jakimś nadzianym facetem - zastanawiał się Gordon głośno - i od niego dostaje drogie fatalaszki. To by znaczyło, że ma jeszcze trochę oleju w głowie. Ten jej ostatni chłopak to był największy nieudacznik w całym Islington. Byłaby głupia, gdyby się z nim nadal spotykała.

Po kuchni rozszedł się zapach alkoholu. Sally naląła sobie od serca i usiadła na stołku.

- Dlaczego? Może wdała się we mnie? - spytała złośliwie. - Co się tyczy łapania nieudaczników!

Gordon cisnął gazetę na podłogę. Spod przymrużonych powiek spojrzął na żonę.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

Sally nie zdążyła się jeszcze upić, położyła więc uszy po sobie.

- Nic - odparła.

Angela była zrozpaczona. Rodzice zaraz znów się pokłócą i upiją. Za chwilę nie będzie można się z nimi w ogóle porozumieć.

- A jeśli coś jej się stało? I dlatego nie wraca do domu?

- Co miało jej się stać? - spytał Gordon. - Pewnie leży właśnie w łóżku z jakimś facetem i ani myśli wracać. Za jakiś czas przyjdzie. Zobaczysz!

- Angela ma rację - stwierdziła Sally. - Linda ma dopiero szesnaście lat i od trzech dni nie wraca do domu.

- To co mam na to poradzić? - zdenerwował się Gordon. - Mam iść jej szukać czy co?

- Trzeba powiadomić policję - podpowiedziała Angela. - Linda jest niepełnoletnia i zaginęła. Od jakiegoś czasu opływa w gotówkę, a my nie wiemy dlaczego. Może to nic, a może... - nie dokończyła zdania. Widziała, jak twarze rodziców tężeją. W tej części Islington, a szczególnie w ich bloku, kontaktów z policją unikano jak ognia. Już i tak wystarczająco często kręcili się tu stróże porządku. W większości rodzin regularnie dochodziło do awantur z użyciem przemocy i od czasu do czasu, gdy sytuacja niebezpiecznie eskalowała, na anonimowe wezwanie któregoś z sąsiadów przyjeżdżał radiowóz. Także mieszkająca tu młodzież miała już na swoim koncie rozmaite wykroczenia. Bezrobocie było wysokie, spożycie alkoholu jeszcze wyższe. W niemal każdej rodzinie był ktoś uwikłany w działalność przestępczą. Choćby dlatego nikt przy zdrowych zmysłach nie wpadłby na pomysł, żeby wzywać policję, nie mając ku temu naprawdę ważnego powodu. Gliniarze byli wrogami. Rzadko kiedy się do czegoś przydawali.

- Tylko dlatego, że ma kochanka? - zaprotestował Gordon.

- Moglibyśmy ją w ten sposób wpędzić w tarapaty - zgodziła się z nim Sally.

Szklanka była już prawie pusta. Czas na następną. Angela wiedziała, że tego dnia nie ma co liczyć na rodziców. Zresztą mogli mieć rację. Linda poznała nowego chłopaka, który

najwyraźniej hojnie ją obdarowywał, a po awanturze z ojcem przyjął do siebie. Na pewno byłaby wściekła, gdyby rodzice napuścili na nią policję. A jednak... Angela miała jakieś niejasne przeczucie. Nie potrafiła go sprecyzować, gdyż właściwie nie było nic dziwnego w tym, że Linda, chcąc napędzić rodzinie strachu, na kilka dni zniknęła z domu. Lecz wewnętrzny głos podpowiadał jej, że coś jest nie w porządku. Nie umiałyby tego logicznie wytłumaczyć. Był to rodzaj intuicji, której Angela, podobnie jak większość ludzi w takich sytuacjach, po prostu nie dowierzała.

Mimo wszystko postanowiła, że po południu pójdzie na policję. O piątej kończyła pracę w zakładzie ogrodniczym. Potem zgłosi zaginięcie Lindy.

I będzie szczęśliwa, jeśli jej obawy okażą się bezpodstawne.

- Tak - powiedział Nick Simon. - Koniecznie musisz porozmawiać z Markiem Reeve'em. A czy masz się z nim raz na zawsze rozprawić, to inna historia. Moim zdaniem facet nie miał nic wspólnego ze zniknięciem Elaine, a mimo to został srogo ukarany.

Siedzieli w indyjskiej restauracji w Londynie, ulubionym lokalu Rosanny z dawnych

lat; to, że Nick jeszcze pamiętał jej gusta, ucieszyło ją i wzruszyło. Rosanna właśnie relacjonowała Nickowi swoją rozmowę z Geoffreyem Dawsonem, w tym również jego zaciekły atak na Marca Reeve'a. Nick był wyraźnie zadowolony z faktu, że udało mu się nakłonić Rosannę do współpracy. Jeśli chodzi o Elaine Dawson, Rosanna miała jak nikt inny dostęp do informacji z pierwszej ręki.

Rosanna także była zadowolona. Z tego, że jest w Londynie i siedzi w restauracji, do której przychodzili na obiad dziennikarze. Zauważyła kilku dawnych kolegów i z radością się z nimi przywitała. Dookoła wrzało życie, w powietrzu czuło się pośpiech i podekscytowanie. Aktywni zawodowo ludzie wstępowali tu coś przekazać, wymieniali kilka uwag i biegli dalej do swoich codziennych spraw.

56

57

Kiedyś był to również jej świat, jej codzienność. Wtedy nie widziała w tym nic szczególnego. Dopiero teraz uświadomiła sobie, jak bardzo brakuje jej dawnego życia. Czuła się znudzona i uwięziona. Czy było po niej widać, że jest sfrustrowana, jak twierdził Cedric? Nick nic na ten temat nie wspomniał. Nie prawil jej jednak jak dawniej komplementów.

Nagle w przyptywie paniki zapytała siebie, czy rzeczywiście ma to wypisane na twarzy. Ale co? Oto kolejne pytanie. Niezadowolenie z życia? Nieszczęśliwy związek? Sprawy, które potoczyły się inaczej, niż powinny?

To nie jest właściwy moment na takie rozmyślenia, zdecydowała. Może później, nie teraz.

Skoncentrowała się na rozmowie z Nickiem. Zgodziła się przyjąć zlecenie, obiecała, że da z siebie wszystko.

- Marc Reeve - powtórzyła. - Człowiek, który jako ostatni widział Elaine i rozmawiał z nią. Jak go właściwie odnaleziono? Czyżby sam zgłosił się na policję?

Nie pamiętała dokładnie, jak potoczyły się wypadki, co wiązało się głównie z faktem, że mieszkała wówczas w Gibraltarze, z dala od centrum wydarzeń. Matka relacjonowała jej przez telefon, co o całej sprawie pisano w prasie. Wiedziała, że policja przesłuchiwała w związku z zaginięciem Elaine jakiegoś mężczyznę, jednakże nie udowodniono mu naruszenia prawa. Szczegółów nie znała.

- Z tego co pamiętam - powiedział Nick - informacja pochodziła od sąsiadów, ale jednocześnie Reeve sam zgłosił się na policję. Przyniosłem ci kopie artykułów z naszego archiwum, możesz tam o wszystkim przeczytać. Zdjęcie Elaine ukazało się w „Daily Mirror” i natychmiast rozdzwoniły się telefony. Ktoś utrzymywał, że widział ją w Szkocji, ktoś inny w tym samym czasie zauważył ją jakoby w Kornwalii, jeszcze ktoś inny twierdził, że widział, jak spaceruje w szpilkach pośród innych prostytutek po paryskim bruku. Do policji docierały najróżniejsze sygnały, rozumiesz? Ale na dwie informacje zwrócono uwagę, gdyż po pierwsze brzmiały prawdopodobnie, po drugie zaś istniała między nimi zbieżność. Chodzi o zgło-

58

szenie sąsiada Marca Reeve'a oraz samego Reeve'a. Tego mglistego wieczoru sąsiad podobno widział, jak Elaine wchodzi w towarzystwie Reeve'a do jego domu. A Reeve to potwierdził. Spotkał ją na Heathrow i zaproponował jej nocleg. Na lotnisku panował chaos, tysiące podróżnych, w hotelach brak wolnych pokoi, podróżni

zmuszeni byli spędzić noc w hali odlotów. W tych warunkach może to nic dziwnego, że Elaine przystała na propozycję Reeve'a. Ten przysięgał, że następnego dnia z samego rana odprowadził ją na stację metra Sloane Square, skąd miała pojechać na Heathrow, żeby spróbować dostać się jakoś do Gibraltaru. Nie ma żadnych świadków, którzy widzieliby ich w drodze na stację. Nie ma w tym nic niezwykłego, jeśli wziąć pod uwagę, że było jeszcze ciemno i mglisto. Nie znaleziono żadnych dowodów na to, że było inaczej, niż utrzymywał Reeve. W końcu ślad się urwał...

- Ale zawsze to jakiś ślad - powiedziała Rosanna. - Ostatni. Dlaczego Geoffrey Dawson jest święcie przekonany, że Marc Reeve zamordował jego siostrę? Czy były jeszcze jakieś poszlaki?

Nick potrząsnął głową.

- Właściwie nie. Chyba że uznamy, iż Reeve'a czyni w najwyższym stopniu podejrzanym fakt, że zaprosił nieznaną kobietę do siebie na noc. Z drugiej strony mógł zrobić to z niewinnych pobudek. Gazety się o nim rozpisywały. Po tym co przeczytałem, trudno mi sobie wyobrazić, że Reeve to morderca, gwałcieciel i Bóg raczy wiedzieć kto jeszcze. Był wówczas szanowanym adwokatem u progu wielkiej kariery w jednej z najbardziej renomowanych londyńskich kancelarii. Pieniądze, sukces. To przystojny mężczyzna. Z rodzaju tych, którzy nie muszą podstępem zwabiać kobiety do domu. Powiedziałbym raczej, że mógłby mieć kłopot, żeby powstrzymać kobiety przed rzucaniem mu się na szyję. Wydaje mi się, że Geoffrey Dawson potrzebował kozła ofiarnego i wybrał do tej roli Reeve'a. Nie tylko on tak to widział.

- Kto jeszcze?

- Przede wszystkim prasa. Oczywiście z innych powodów niż Dawson. Sąsiad, który zgłosił się na policję, chętnie udzielał wywia-

59

dów. Najwyraźniej był spragniony sławy. Albo miał z Reeve'em na pieńku, czyja wiem. W każdym razie dochodzenie mogłoby zostać przeprowadzone bez udziału publiczności, gdyby gość nie narobił takiego szumu. Trzeba przyznać, że wspierał go w tym ze wszystkich sił żądny krwi Geoffrey Dawson. Sama wiesz, jakie są gazety, nie twierdzą, że „Cover” jest inny, wszyscy potrzebujemy chwytliwych historii. Coraz to nowszych. A samo zniknięcie Elaine nie było niczym szczególnym. W wypadku dzieci jest inaczej, ale dorosła kobieta... Mój Boże, mogła przecież po prostu uciec z kochankiem, czy coś w tym rodzaju! A więc poświęcono Reeve'a. Mężczyznę, który zagadnął ją na lotnisku i zabrał ze sobą do domu. Zaraz potem przepadła bez śladu. Można z tego sklecić ekscytującą opowieść, i tak też zrobiono. Zmieszano Reeve'a z błotem, a to, że koniec końców niczego mu nie udowodniono, nie powstrzymało jego upadku. Zmarszczyła czoło.

- Powiedziałeś, że został srogo ukarany?

- Przyczepiono mu łatkę porywacza. Widziano w nim nie mężczyznę, który udowodnił swoją niewinność, lecz człowieka, którego winy nie udało się dowieść, a to - jak się domyślasz - zasadnicza różnica. Plany kariery w renomowanej kancelarii spaliły na panewce. Klienci odsunęli się od niego. Wspólnikom, z którymi do tamtej pory był związany, przestał odpowiadać jako partner. Zdaje się, że sam zrezygnował z posady. Obecnie pracuje na własny rachunek i podobno nawet nieźle sobie radzi.

Ludzie nie kojarzą go już z porwaniem i nie wytykają palcami. Niemniej jego kariera zawodowa mocno ucierpiała. Zakładając, że faktycznie był niewinny, to istna katastrofa.

- Jest żonaty?

- Rozwiedziony. Nie wiem, czy ożenił się ponownie. Kiedy wypłynęła sprawa Elaine, był w trakcie rozwodu. Żona wyprowadziła się z domu, zabierając ze sobą syna. Także to prasa wykorzystała przeciwko niemu. Dlaczego żona od niego odeszła? O czym to świadczy? - Nick znów potrząsnął głową. - Stek bzdur. Nikt nie wie, dlaczego ich związek się rozpadł. Takie rzeczy zdarzają się co dzień. Jeśli nieudane małżeństwo czyni z człowieka potencjalnego mordercę, to... uchowaj Boże! - uśmiechnął się.

Rosanna odpowiedziała mu uśmiechem. Wiedziała, że Nick jest trzykrotnie rozwiedziony.

- Masz adres Reeve'a?

- Mam numer telefonu do jego biura. Nawiasem mówiąc, nie mieszka już tam gdzie wcześniej. O ile wiem, po rozwodzie przeprowadził się do mniejszego mieszkania. W teczce z artykułami prasowymi znajdziesz wszystko, czego potrzebujesz, żeby się z nim skontaktować. Rosanno - popatrzył na nią poważnym wzrokiem - wiesz, jak bardzo zależy mi, żebyś pracowała nad tym cyklem właśnie ze względu na twoją znajomość z Elaine Dawson. Miej jednak na uwadze, że jej przypadek to tylko pierwsza z historii. Nie angażuj się w to zanadto. Musisz napisać jeszcze pozostałe artykuły. Nie chodzi też o to, żeby rozwiązać zagadkę. Ważne jest, żeby jeszcze raz przedstawić minione zdarzenia i pokazać, jaki wpływ miały one na życie innych ludzi. W przypadku Elaine Dawson dwie najciekawsze postaci to bez wątpienia brat, który wylądował w domu opieki dla osób niepełnosprawnych, oraz adwokat, którego kariera legła w gruzach. Więcej nas nie interesuje.

Skinęła głową.

- Przyjmuję to zlecenie, Nick - odparła. - Ale mam wrażenie, że pod względem emocjonalnym będzie to dla mnie trudniejsze, niż sądziłam. Kiedy przyjechałam do Kingston St. Mary, kiedy spotkałam się z Geoffreyem w Taunton, odżyło we mnie tyle wspomnień z tamtych lat. Jako dzieci byliśmy paczką, zawsze trzymaliśmy się razem. Mój brat Cedric i Geoffrey byli dobrymi przyjaciółmi, a jednocześnie przywódcami naszej zgrai. Decydowali, co będziemy robić, i nadawali ton zabawie. Elaine była sporo młodsza ode mnie i dlatego nie miałyśmy ze sobą wiele wspólnego, ale należała do grupy. Chodzi o to... że jest częścią mojego dziecięcego świata. Naprawdę chciałabym się dowiedzieć, co się z nią stało.

- Rozumiem cię - odparł Nick. - Ale nie skupiaj się wyłącznie na tej myśli. Nie dojdiesz prawdy. Policja nie natrafiła na żaden ślad, a od jej zniknięcia mija właśnie pięć lat. Czasem trzeba żyć z nierozwiązanymi zagadkami.

- To trudne.

60

61

- Uda ci się - dodał jej otuchy Nick i skinął ręką na kelnera.

- Muszę wracać do redakcji. A ty?

- Pójdę do hotelu i zadzwonię do męża. Muszę mu powiedzieć, że przyjąłem zlecenie

i zostaną jeszcze trochę w Anglii.

- Patrząc na ciebie, wnioskuję, że ta rozmowa nie będzie należała do najłatwiejszych.

- Denis woląłby mieć mnie przy sobie w Gibraltarze.

- Jeśli wolno mi wyrazić swoje zdanie, marnujesz swój talent. Byłaś kiedyś dobrą dziennikarką.

Uśmiechnęła się.

- I tym razem cię nie rozczaruję. Będiesz ze mnie zadowolony, obiecuję - sięgnęła po teczkę z artykułami prasowymi w przezroczystych koszulkach. Na samej górze zauważyła kartkę z imieniem i numerem telefonu. Marc Reeve. - To będzie mój następny telefon

- powiedziała. - Spróbuję umówić się z nim na rozmowę. Nie mogę się już doczekać, żeby go poznać.

- A ja nie mogę się doczekać, żeby przeczytać, co o nim napiszesz - powiedział Nick. Położył kilka banknotów na rachunku, wstał i pochyliwszy się nad stołem, pocałował Rosannę w oba policzki.

- Na razie. Gdybyś czegoś potrzebowała, dzwoń!

Patrząc za nim, pomyślała, że chciałaby mieć rozmowę z Denitem już za sobą.

Sally była zbyt pijana, żeby rozmawiać z policją, za to Gordon, który zaczynał pić dopiero po zmroku, był w pełni władz umysłowych i rzecz jasna, niewymownie wściekły, że Angela samowolnie zgłosiła się na policję. Córka stała z obydwojma mężczyznami w drzwiach mieszkania swoich rodziców i miała ochotę zapaść się pod ziemię. Sądziła, że po prostu zgłosi zaginięcie siostry i będzie mogła wrócić do domu, ale policjanci nalegali, by od razu porozmawiać z jej rodzicami. Dwaj funkcjonariusze, którzy przedstawili się jako posterunkowy Burns i posterunkowy Carley, przywieźli ją samochodem do domu i weszli z nią na górę. Mina Gordona nie wróżyła niczego dobrego. Angela wiedziała, że ojciec jest wściekły i po wyjściu policjantów zrobi jej awanturę.

- W zeszły piątek zaginęła pańska córka Linda, zgadza się?

- zapytał Burns, starszy z dwóch przybyłych funkcjonariuszy. - Tak w każdym razie zeznała na posterunku pańska córka Angela.

- Zaraz tam zaginęła... - mruknął Gordon. - Jest pewnie u jakiegoś faceta. Jak zawsze.

- Jak zawsze? Czy zdarzało się wcześniej, że córka tak długo nie wracała do domu?

- Tak długo to jeszcze nigdy - przyznał niechętnie Gordon.

- Czy możemy wejść? - zapytał Carley. - Może porozmawiamy w środku.

Gordon zaprowadził policjantów do kuchni, gdzie przy stole siedziała Sally, tępo wpatrując się w ścianę. Przed nią na blacie stała butelka wódki.

- O... g-goście - wybelkotała.

- Czy domyśla się pan, u jakiego faceta może być pańska córka? - zapytał Burns.

Gordon lekceważąco machnął ręką.

- Nie znam wszystkich mężczyzn, z którymi się zadaje - powiedział.

- To niemożliwe. Dzisiaj ten, jutro inny. To podfruwajka. Niestety.

- M-moja córka n-nie jest... - chciała zaproponować Sally, ale straciła wątek i zamilkła.

Mimo to Burns spróbował się od niej czegoś dowiedzieć.

- Pani Biggs, pani też nie ma pojęcia, gdzie może przebywać córka? - zapytał.

Sally zmarszczyła czoło, na jej twarzy malował się wysiłek. Nic jednak nie

powiedziała. Burns westchnął.

- Panna Angela Biggs wspomniała, że jej siostra żyła ostatnio ponad stan - powiedział Burns. - Co widać było po jej strojach. Czy domyśla się pan, skąd miała pieniądze?

62

63

- Niece - odparł Gordon. - Nie mam pojęcia. Na pewno nie z pracy. Praca nie jest w jej stylu. Pewnie wreszcie daje dupy komu trzeba, facetowi z kasą. Nic innego nie przychodzi mi do głowy.

- Czy pokłócił się pan z córką, zanim w piątek wieczorem opuściła mieszkanie? - zapytał Burns.

Ojciec posłał Angeli druzgocące spojrzenie.

- Nie nazwałbym tego kłótnią - próbował łagodzić Gordon.

- Podobno powiedział pan, żeby nie pokazywała się na oczy, dopóki... nie ubierze się przyzwoicie?

- Szkoda, że jej pan nie widział! Wyglądała jak dziwka! Nie mogę przecież na to pozwolić, żeby moja córka latała tak po ulicy! Wyglądała po prostu strasznie!

- Ale nie udało się panu zapobiec, żeby tak nie latała, jak się pan wyraził - powiedział Burns. - Wręcz przeciwnie, wyrzucił ją pan za drzwi. Czy to możliwe, że Linda nie ma odwagi wrócić do domu?

- Linda? Ona niczego się nie boi. Może mi pan wierzyć. Pozwala sobie na wszystko. Jeśli nie wraca do domu, to na pewno nie przeze mnie.

-Tylko...?

- Czyja wiem. Tak jak powiedziałem. Mieszka u jakiegoś faceta. Idę o zakład!

- Radziłbym panu zgłosić zaginięcie - powiedział Burns. - Pańska córka ma dopiero szesnaście lat. W tym wieku nie powinna przebywać tak długo poza domem bez wiedzy rodziców.

- Myślałem, że Angela już...

- Tylko prawni opiekunowie mogą...

- No dobra - odburknął Gordon. - Co mam zrobić?

Carley wyjął z torby formularz i długopis i nie czekając na zaproszenie, usiadł naprzeciwko półprzytomnej Sally.

- Potrzebujemy kilka informacji dotyczących pańskiej córki. Imię, data urodzenia, wiek, wzrost, kolor włosów i tym podobne. Co miała na sobie w dniu zaginięcia? Pomocne byłoby również jakieś zdjęcie.

- Co za bzdury - półgębkiem skomentował Gordon, ale przysunął sobie krzesło i usiadł przy stole.

- No dobra, Linda Biggs - zaczął. - Szesnaście lat, urodzona ósmego grudnia dziewięćdziesiątego pierwszego, włosy blond, farbowane...

Strach chwycił Angelę za gardło. Zupełnie niespodziewanie. Musiało mieć to związek z sytuacją. Z obecnością policjanta, który siedział w ich obskurnej kuchni przy brudnym stole i sprowadzał Lindę do kilku linijek tekstu. Teraz zostanie oficjalnie uznana za zaginioną.

Dobry Boże, niech się okaże, że po prostu uciekła z domu, modliła się w duchu Angela, która na co dzień bynajmniej nie była pobożna.

Ale z jakiegoś powodu nie wierzyła w ucieczkę.

Za oknem wirowały płatki śniegu, szare stalowe niebo wisiało nisko nad ziemią. Jednakże gdy tylko śnieg dotknął asfaltu, momentalnie topniał. W samochodach, które przedzierały się przez popołudniowe korki na ulicach Londynu, wycieraczki pracowały na najwyższych obrotach, pomagając kierowcom odnaleźć drogę w śnieżnej zawierusze. Miasto spowite było w ponure odcienie szarości. Do centrum Londynu nie dotarły jeszcze żadne zwiastuny wiosny.

Odwróciwszy wzrok od okna, Rosanna rozejrzała się po pokoju, który przez nadchodzące dwa tygodnie miał zastąpić jej dom. Nick nie poskąpił grosza - wybrał hotel Hilton przy Park Lane, imponujący drapacz chmur położony tuż obok Hyde Parku. Pokoje były przestronne i luksusowo wyposażone. Duże łóżko, kanapa z fotelami, telewizor, barek, garderoba wyłożona mahoniową boazerią, łazienka w marmurze. Ponadto Rosanna dostała do dyspozycji własne biurko z dostępem do Internetu. Wszystko, czego potrzeba do intensywnej, efektywnej pracy.

Rozległo się pukanie do drzwi i do pokoju wszedł Cedric. Na czas swojego pobytu w Londynie, w trakcie którego planował przede

64

65

wszystkim odwiedzić starych znajomych i przyjaciół, wynajął pokój naprzeciwko siostry. Rosanna domyślała się, że przekraczało to nieco jego możliwości finansowe, ale nic nie powiedziała. Cedric był dorosły, miał trzydzieści osiem lat. Nie znośił, kiedy inni wtrącali się do jego życia, a zwłaszcza kiedy robiła to jego młodsza siostra. Teraz ubrany był w ciemnobrązową skórzaną kurtkę, na której lśniły kropelki wody, włosy też miał zupełnie mokre. Otrząsnął się jak pies.

- Boże, jaka paskudna pogoda! Przemokłem do suchej nitki, idąc tu od metra! Dasz mi jakiś ręcznik?

- Weź sobie z łazienki - odpowiedziała Rosanna.

Jej brat znikł, pozostawiając za sobą mokre ślady na jasnoszarym dywanie i białej terakocie.

Mógł przecież najpierw wstąpić do siebie, pomyślała zirytowana.

Cedric wrócił z wielkim białym ręcznikiem, którym wytarł twarz, a następnie osuszył włosy. To do niego podobne, wziął największy ręcznik kąpielowy. Mniejszy by mu nie starczył.

- Gdzie byłeś? - spytała.

- U koleżanki ze studiów. Nie znasz jej - rzucił ręcznik na łóżko. Patrzyła na brata, jego zmierzwiłone włosy, niedbały strój. Mimo

że była jego siostrą, doskonale rozumiała, dlaczego kobiety za nim szaleją. Nie dziwiło jej, że mógł mieć każdą dziewczynę, na którą tylko skinął palcem. Niestety, ostatnio wybierał niewłaściwe partnerki. Potarła palcami skronie.

- Boli cię głowa? - zapytał Cedric.

- Nie. Tylko... rozmawiałam z Denisem. Powiedziałam mu, że przyjmę zlecenie i zostanę tu jakiś czas. To była... nieprzyjemna rozmowa - przygryzła wargi.

Właściwie nie miała zamiaru podsycać niechęci Cedrica do swojego męża, ale była tak poruszona niedawną rozmową, że musiała się komuś wyżalić. Tego, co przed chwilą miało miejsce, nie można było nawet nazwać rozmową. Rosanna mówiła,

przekonywała, wyjaśniała, podczas gdy Denis zacięcie milczał. Na koniec powiedział tylko:

66

- Chyba wiesz, co robisz. Jeżeli chcesz na wiele tygodni zostawić rodzinę, proszę, droga wolna. Konsekwencje też cię pewnie nie interesują.

- Jakież to straszliwe konsekwencje może pociągnąć za sobą moja decyzja? Jeżeli na dwa tygodnie zostanę w Anglii i...

- Nie mam ci nic więcej do powiedzenia. - Denis po prostu jej przerwał i odłożył słuchawkę.

Wzdrygnęła się na wspomnienie suchego trzasku.

- Jeśli chcesz znać moje zdanie - odezwał się Cedric - Denis ma obsesyjną potrzebę kontroli. Zwróciłem na to uwagę już na samym początku waszej znajomości. Nie mam pojęcia, skąd się to bierze, może boi się, że inaczej cię straci. W każdym razie wygląda na to, że spokój wewnętrzny daje mu tylko świadomość, że trzyma cię w garści. Pobyt w Anglii, kontakty z byłym szefem, człowiekiem, którego nie zna... Przypuszczam, że to wszystko bardzo go niepokoi.

Była skonsternowana.

- Nie spodziewałam się, że akurat ty okażesz wobec Denisa tyle wyrozumiałości.

- To nie wyrozumiałość. Po prostu zastanawiam się, skąd może brać się to zachowanie. Nie lubię go, dobrze o tym wiesz. Nigdy nie udało mi się pojąć, dlaczego...

- Wiem - odrzekła krótko. Chciała przerwać rozmowę, zanim wpadną w błędne koło: Cedric po raz n-ty przeprowadzi druzgocącą analizę błędów i deficytów Denisa, w której Rosanna z przerażeniem dostrzeże wiele słuszności. Następnie weźmie męża w obronę, próbując przekonać głównie samą siebie.

- Cedric, muszę teraz gdzieś zadzwonić - powiedziała, ucinając rozmowę o mężu. - Do Marca Reeve'a, żeby umówić się z nim na spotkanie. Obawiam się, że to może być niełatwe.

- Z pewnością nie będzie zachwycony, gdy się dowie, że odgrzebujesz wydarzenia sprzed lat - przyznał jej rację Cedric. - W jego interesie jest raczej, żeby całą tę sprawę pokrył wreszcie kurz historii.

67

- Ładnie powiedziane. A teraz proszę... - zwróciła głowę w kierunku drzwi. - W odróżnieniu od ciebie przyjechałam tu pracować.

- Zrozumiałem - odparł Cedric. Uświadomiła sobie, że była dla niego za szorstka.

- Cedric - powiedziała cicho - cieszę się, że możemy znowu być razem. To już tyle lat...

- Ja też się cieszę. - Cedric otworzył drzwi. - Może wieczorem pójdziemy razem do Trader Vic's coś zjeść?

- Z przyjemnością. Do zobaczenia.

Rosanna poczekała, aż brat zamknie za sobą drzwi, a następnie wróciła do telefonu. Nakazała sobie przestać myśleć o Denisie, który prawdopodobnie siedział teraz zadowolony z siebie w biurze i czekał, aż ponownie do niego zadzwoni, próbując go udobruchać. Wybrała numer Marca Reeve'a, który dostała od Nicka. Miała cichą nadzieję, że prawnik nie odbierze, obawiała się bowiem jego reakcji, która mogła

wszak sięgać od wściekłości, poprzez złość, aż po głośne lamentowanie, jednakże Reeve odebrał już po drugim dzwonku.

- Halo? Odchrząknęła.

- Yhm... Dzień dobry, panie Reeve. Mówi Rosanna Hamilton...

- Tak, słucham? - Jego głos brzmiał przyjaźnie i cierpliwie. Widocznie sądził, że rozmawia z potencjalną klientką.

- Jestem dziennikarką. Pracuję dla czasopisma „Cover”. To...

- Proszę sobie darować wyjaśnienie, znam „Covera” - powiedział Reeve już mniej przyjaźnie. - Co mogę dla pani zrobić? - Napięcie w jego głosie zdradzało, że domyśla się, co za chwilę nastąpi.

Rosanna czuła się coraz bardziej skrepowana.

- Piszę cykl artykułów. O ludziach, którzy zaginęli bez śladu, których losów nigdy nie ustalono. I...

- I do nich należy Elaine Dawson - dokończył zrezygnowany. - Mój Boże. Dokładnie pięć lat temu byłem na tyle głupi, żeby zaproponować zrozpaczonej młodej kobiecie nocleg w moim domu,

68

i nie wyobraża sobie pani, jak często i jak gorzko od tamtej pory tego żałowałem! Dzisiaj na wszelki wypadek nie biorę nawet autostopowiczów, ale to już niczego nie zmieni.

- Doskonale pana rozumiem, panie Reeve. To, że... jest pan zgorzkniały i...

- Myli się pani - przerwał jej Reeve. - Włożyłem dużo wysiłku w to, żeby nie ulec zgorzknieniu. Ale tamta historia wywróciła moje życie do góry nogami i szczerze mówiąc, nie mam najmniejszej ochoty odgrzebywać tej sprawy i zostać rzuconym ponownie na pożarcie prasy.

- Nie chodzi o żer dla prasy. Mam po prostu opisać różne historie i to, jaki wpływ na życie innych ludzi może mieć takie tajemnicze zniknięcie, które nigdy nie zostało wyjaśnione. W przypadku Elaine Dawson zdarzenie to dotknęło przede wszystkim jej brata Geoffreya, który jak pan wie, jest sparaliżowany...

- Tak, miałem wątpliwą przyjemność go poznać - ponownie przerwał jej Reeve. - I wiem, że opętany jest myślą, że to ja zamordowałem jego siostrę. Nękał mnie telefonami, aż w końcu musiałem postarać się o sądowy zakaz kontaktowania się, ale i to niewiele pomogło. Cóż, przynajmniej na razie przestał mnie terroryzować. Ale nie wiem, co jeszcze może mu strzelić do głowy.

Rosanna zrozumiała, że Reeve jest dokładnie taki, jakim nie chciał się stać -

zgorzkniały i na swój sposób nieprzejednany. Mimo to spróbowała ponownie.

-I dlatego warto, żeby skorzystał pan z szansy zabrania głosu. Proszę potraktować mój artykuł jako możliwość przedstawienia swojego punktu widzenia.

Zrelacjonowałby pan jeszcze raz przebieg tamtego wieczoru i być może dzięki temu rozwiałby pan ostatnie wątpliwości. Zależy mi na bezstronnej relacji, a nie na tym, żeby przypisywać komuś czyny pozostające w sferze mglistych domysłów. Mogę panu również zagwarantować, że pańskie nazwisko nie pojawi się w prasie.

- Jest wystarczająco dużo czytelników, którzy od razu będą wiedzieć, o kogo chodzi - odparł Reeve. - Nie, pani Hamilton, przykro mi. Nie jestem skory do współpracy.

69

- Czy mimo wszystko zgodziłby się pan ze mną porozmawiać? Może mogłabym panu jeszcze raz dokładnie wyjaśnić, co...

- Pani Hamilton...

Miała wrażenie, że lada chwila odłoży słuchawkę.

- Proszę się z tym przespać i w spokoju przemyśleć moją propozycję - powiedziała pospiesznie. - Chyba mogę o to pana poprosić, prawda? Mój telefon na pewno pana nieco zaskoczył. Czy mogę panu dać swój numer? A jutro zadzwoni pan do mnie i powiadomi mnie o swojej decyzji.

- Nie sądzę, żebym zmienił zdanie - zastrzegł Reeve, ale zanotował numer telefonu. Po czym bez słowa odłożył słuchawkę.

Rosanna poczuła się rozczarowana. Oczywiście mogła napisać artykuł, mimo że Reeve odmówił rozmowy, ale pomijając dziennikarską ambicję, była osobiście zainteresowana sprawą i paliła ją ciekawość, żeby poznać człowieka, który jako ostatni widział Elaine.

Postanowiła wziąć gorącą kąpiel dla relaksu. Nieprzyjemne rozmowy, przeprowadzone jedna po drugiej, zdeprymowały ją. Jeśli nie chciała być przez cały wieczór w złym humorze, musiała coś zrobić dla odzyskania wewnętrznej równowagi.

Wtorek, 12 lutego

1

O wpół do jedenastej wyszła z domu i udała się do pubu. Wczorajszy wolny dzień pozwolił jej dojść do siebie i ukoić skołatane nerwy. Z rozdygotanej ruiny człowieka stała się na powrót zdolną do życia ludzką istotą. Wieczorem udało jej się nawet wyjść na krótki spacer po wsi. Mimo że przerażała ją myśl o czyhających na zewnątrz niebezpieczeństwach, po trzech dniach siedzenia w domu czuła się tak sfrustrowana ciasnotą i brzydotą mieszkania, że postanowiła się przejść. Nie da się przecież na okrągło czytać albo oglądać telewizji, będąc młodym i spragnionym życia. Czasami zastanawiała się, jak długo jeszcze jest w stanie to wytrzymać. Niejednokrotnie przychodziło jej do głowy, że cała ta zabawa w chowanego jest niepotrzebna, że już nikt jej nie szuka. Była to pociągająca wizja, aczkolwiek wpędzała ją głębiej w depresję, dowodziła bowiem kompletnej bezsensowności lęku, który zdominował wszystkie jej działania

i przysporzył tylu cierpień. Uświadamiała jej również, że niezależnie od tego, na co się zdecyduje - wyjść do ludzi czy dalej się ukrywać - nie będzie wiedziała, czy nie popełnia straszliwego błędu, i nigdy nie zdoła zapanować nad strachem i nerwicą.

Kiedy poprzedniego wieczoru szła przez wieś, wciągając głęboko powietrze, w którym po raz pierwszy czuło się tchnienie wiosny, nagle w oczach stanęły jej łzy. Tęsknota, którą zwykle miała pod kontrolą, tym razem przerwała tamę i zalała ją falą smutku i rozpacz. Miłość, ciepło, życie. Mąż, dzieci, przyjaciele. Spokój i bezpieczeństwo. Zastanawiała się,

71

jak to jest z niecierpliwością oczekiwać wiosny, zamiast, tak jak ona, jej się obawiać, gdyż radosny nastrój i budząca się do życia przyroda jeszcze wyraźniej podkreślały jej samotną egzystencję.

Zanim ktokolwiek zdążył zdziwić się na widok płaczącej kobiety, uciekła z

powrotem do domu. Jej zasada, żeby pod żadnym pozorem nie zwracać na siebie uwagi, do tego stopnia weszła jej w krew, że bezwiednie się jej podporządkowywała, nawet kiedy myślami była zupełnie gdzie indziej.

Tego dnia miała przynajmniej jakieś zakotwiczenie w rzeczywistości. Pub był czynny już od dwunastej, musiała przyjść na czas do pracy i chociaż w tym miejscu jej nerwy wystawione były na szczególną próbę, dziś pub wydał jej się spokojną przystanią na oceanie cierpienia.

Kiedy wychodziła z mieszkania, o mały włos nie zderzyła się z panem Cadwickiem, który najwyraźniej stał pod drzwiami i podsłuchiwał.

Wydała z siebie krótki zdławiony okrzyk, również pan Cadwick odskoczył przestraszony krok do tyłu.

- Ach! - zawołał.

Prawdopodobnie stoi tu częściej, niż mi się wydaje, pomyślała.

Zazwyczaj ostrzeżeniem był dla niego dźwięk odsuwanej komody, ale tego dnia z samego ranka musiała wyjść po chleb i mleko, bo nie miała w domu absolutnie nic do jedzenia, a po powrocie już się nie zabarykadowała. Maleńki krok w stronę normalności.

- Panie Cadwick - powiedziała i zauważyła, że serce zaczęło jej bić jak oszalone. - Co pan tu robi?

- Stoję sobie - odpowiedział. - To mój dom, więc wolno mi stać!

Fakt, że został przyłapany, najwyraźniej wzbudził w nim agresję. Wiedział, że czając się w ciemnym korytarzu, wygląda żałośnie. Spojrzał na swoje stopy. Miał na nich szare, dość brudne skarpety. Wszystko było tak, jak sobie to zawsze wyobrażała. Zdjął buty i kręcił się bezgłośnie po domu.

Nie odpowiedziała. Obrzydliwy staruch, pomyślała.

- Dzisiaj w nocy - powiedział pan Cadwick - nie mogłem spać. I dużo myślałem. O pani.

Nadal milczała.

Ty świrze, wykrztuś to z siebie wreszcie.

- Zastanawia mnie, jak pani żyje - ciągnął mężczyzna. Przeszedłszy do ataku, odzyskał pewność siebie. - Od kiedy pamiętam, ten tryb życia, to zachowanie... Jest pani atrakcyjną młodą kobietą! Dlaczego pani się tak dziwnie zachowuje?

Najchętniej odepchnęłaby go na bok i bez słowa wyszła z domu, ale wiedziała, że to nie rozwiąże problemu. Coś mu leżało na sercu. Czekalby tu na nią wieczorem i jutro rano też.

- Co pan ma na myśli? - zapytała.

- No... przypomina mi pani kreta. Zawsze w ciemnościach. Zawsze w czterech ścianach. Żadnych przyjaciół. Ani... chłopaka. Czy w pani życiu nie ma żadnego mężczyzny? To niezdrowe!

- A co to pana obchodzi?

- Mieszka pani u mnie!

- Płacę regularnie czynsz, nie niszczę sprzętów, nie zakłócam ciszy nocnej i przestrzegam regulaminu domu. Nic innego nie powinno pana interesować! Teraz zmienił ton.

- Po co od razu tak się unosić? Nie miałem nic złego na myśli. Po prostu się o panią

martwię. Nie wygląda mi pani na szczęśliwą!

Wyszła z mieszkania, zamykając za sobą drzwi. Przekręciła dwa razy klucz w zamku, wiedziała jednak, że nie na wiele się to zda, jeśli pan Cadwick zechce pod jej nieobecność wejść do środka.

- Wbrew temu, co pan twierdzi... że nie ruszam się z domu... mam pracę i nie chcę się do niej spóźnić. Muszę pozostawić pana samego z jego myślami.

- Jest pani bardzo niemiła - stwierdził z przykrością pan Cadwick i popatrzył na nią tęsknym wzrokiem, przesunął się jednak na bok, dając jej przejść. Kiedy była już prawie na dole, przechylił się przez poręcz schodów i zawołał: - Wie pani, co o tym wszystkim myślę?

72

73

Mimowolnie zatrzymała się.

- Pani się przed kimś ukrywa! Tak, tak mi to wygląda. Czegoś albo kogoś się pani boi! Ucieka pani przed czymś i akurat mój dom wybrała sobie pani na kryjówkę. I jak coś takiego ma mnie nie obchodzić?

Serce podskoczyło jej do gardła. Szybko skierowała się do drzwi.

- Ja tylko chcę pani pomóc! - krzyknął za nią.

Wyszła na ulicę, trzaskając za sobą drzwiami, oparła się o futrynę i odetchnęła z ulgą. Czuła, że na twarzy i dekolcie pojawiły się czerwone plamy, a na czole perlą się krople potu.

Tylko nie panikuj, pomyślała. Zastanów się...

To raczej niemożliwe, żeby pan Cadwick faktycznie coś wiedział. Po prostu wyraził przypuszczenie i przypadkiem zgadł. Nie wymagało to szczególnej bystrości. Była lękliwa, nerwowa, izolowała się od otoczenia, nie miała życia prywatnego. Ani przyjaciół, ani rodziny. Panu Cadwickowi musiała jawić się jako kobieta przybyła znikąd, żyjąca w nicości, która kiedyś w nicość odejdzie. Egzystowała w próżni, którą od czasu do czasu wypełniały napady paniki. Nic dziwnego, że wydawało mu się to dziwne i zaprzętało jego myśli.

Pytanie brzmiało: czy mógł być niebezpieczny?

Szła wąską uliczką, jak zawsze ze spuszczoną głową, z szalem nasuniętym na twarz. Nie było już wprawdzie tak zimno jak przez ostatnie dwa tygodnie, ale wciąż wiał chłodny wiatr, tak że jej strój nikogo nie dziwił. Jeszcze nie. Kiedy się zrobi ciepłej, przyjdzie jej zrezygnować z kamuflażu, który zapewniały zimowe stroje. Dlatego wiosna stanowiła dla niej ciężką porę roku. Kiedy nadejdzie lato, zdąży się już przyzwyczaić do stanu zwiększonej bezbronności, ale początki były zawsze trudne. Pan Cadwick raczej nie stanowił zagrożenia. To niemal wykluczone, żeby wiedział coś o jej przeszłości albo znał kogoś z jej poprzedniego życia. W przeciwnym razie na pewno by o tym wspomniał. Istniało ryzyko, że zwróci się do policji. Ale z czym? Co miałby powiedzieć funkcjonariuszom? Że jego lokatorka jest samotna, nie

74

spotyka się z mężczyznami i sprawia wrażenie niesłuchanej wylęknionej? Przecież z takiego powodu policja nie podejmie śledztwa, a nie miał jej nic więcej do zarzucenia.

Z jej barków spadł ciężar, który złożył tam pan Cadwick.

Mimo wszystko czuła, że jej czas w Langbury dobiega końca. Pan Cadwick od samego początku wydawał jej się wyjątkowo niesympatyczny, ale przynajmniej zostawił ją w spokoju. Teraz nie mogła już na to liczyć. Facet nie był głupi. Z pewnością wyczuł, że tego ranka przyparł ją do muru, i będzie próbował zrobić to ponownie. Może więc powinna poszukać innego lokum. Tylko że Langbury było takie małe. Nawet przeprowadzka nie zdoła powstrzymać pana Cadwicka przed dalszymi prześladowaniami. Poza tym już dawno przyjęła zasadę, żeby nie zagrzewać nigdzie miejsca. Lepiej się wynieść, zanim ludzie zaczną stawiać niewygodne pytania i dziwić się osobliwemu zachowaniu przyjezdnej. Wyobraziła sobie, że już niedługo wyprowadzi się z ciemnej nory nad panem Cadwickiem, i od razu poczuła się lepiej. Żwawym krokiem ruszyła do przodu z głową uniesioną wyżej niż zwykle.

2

Odmowa Marca Reeve'a rozbiła ją nieco, ale Rosanna przekonywała samą siebie, że wcale nie musi jej utrudnić pracy. Nick zaopatrzył ją w taką ilość materiałów archiwalnych, że była w stanie zrekonstruować wydarzenia sprzed lat bez pomocy świadków. Co do obecnego życia prawnika, zdana była na domysły. Wiedziała tylko, że nie udało mu się podjąć współpracy z żadną dużą kancelarią i od tamtego czasu działał na własny rachunek. Z pewnością nie było to łatwe. Co robił teraz? Czy uporządkował swoje życie zawodowe i prywatne? Czy powetował sobie poniesione straty? Chociaż gdyby wszystko pomyślnie się ułożyło, czy byłby wówczas taki zgorzkniały? W trakcie rozmowy telefonicznej sprawiał wrażenie zmęczonego i sfrustrowanego.

75

Czy wciąż jeszcze ciągnął się za nim cień tamtego zdarzenia? Ostrożnie ze spekulacjami, napomniwała się Rosanna, trzymaj się faktów!

Tego ranka przejrzała także materiały dotyczące pozostałych spraw, o których miała pisać. Staruszek - osiem lat temu uciekł z domu opieki, słuch po nim zaginął, ciała nigdy nie odnaleziono. Młodzieniec - wieczorem wyszedł po piwo, przepadł jak kamień w wodę. Dziewczyna - udała się na przystanek autobusowy, gdzie była umówiona ze swoim chłopakiem; wyszła z domu, ale nie dotarła na przystanek, choć miała do przejścia zaledwie parę metrów. I jeszcze dwa inne przypadki. W sumie sześć.

Miała pełne ręce roboty. Musiała się skontaktować i spotkać z całą masą ludzi, spisać ich wypowiedzi. Nie mogła sobie pozwolić na wgrzanie się w historię Elaine. Nick ostrzegał ją, żeby nie angażowała się zanadto w tę sprawę.

Rozległo się pukanie do drzwi i do środka wszedł Cedric. Świeżo wykąpany, w skórzanej kurtce i znoszonych dzinsach.

- Dzień dobry - powiedział. Rosanna uśmiechnęła się.

- Jest jedenasta. Dopiero wstałeś? Cedric ziewnął.

- Tak, a ty? Już pracujesz?

- Przejrzałam notatki. Czeka mnie masa roboty.

- To jeszcze jeden powód, żeby dać sobie spokój z Reeve'em - stwierdził Cedric.

Poprzedniego wieczoru w restauracji opowiedziała mu o swojej rozmowie z adwokatem i Cedric przekonywał ją, że nie powinna dopuścić do tego, żeby jego

opór uniemożliwił jej dalszą pracę. Próbowała mu wytłumaczyć, co nią powodowało, że chciała za pośrednictwem Reeve'a zbliżyć się do Elaine, nie z uwagi na zlecenie, lecz dla samej siebie.

- Nie mogę powiedzieć, żebym czuła się bezpośrednio winna - odezwała się Rosanna - ale nie da się zaprzeczyć, że to właśnie na moje wesele wybierała się wtedy Elaine. To na moje zaproszenie opuściła Kingston

76

St. Mary i udała się do Londynu. Znając Elaine, było to dla niej wielkie przedsięwzięcie. Wreszcie dociera do Heathrow, a następnie znika.

- To nie twoja wina.

- Wiem. Ale mimo wszystko przyczyniłam się do jej zniknięcia. Jestem jakby... częścią tej historii. Gdyby nie ja, nie moje wesele, wszystko potoczyłoby się zupełnie inaczej.

- Nie możesz się teraz tym zadrećzać - odparł Cedric. - Nikomu to już nie pomoże. Wszyscy jesteśmy częścią jakiejś historii, ale nie ponosimy z tego powodu odpowiedzialności za jej przebieg. Wychodziłaś za męża i miło z twojej strony, że zaprosiłaś Elaine na ślub. Nie masz stuprocentowej pewności, że jej zniknięcie ma związek z podróżą do Gibraltaru. A może Elaine wykorzystała twoje wesele jako okazję? Żeby na przykład zwać z żonatym kochankiem. Gdybyś ty jej nie zaprosiła, zrobiłaby to tydzień później!

- Daj spokój, Cedric! Elaine i żonaty kochanek! Trudno wyobrazić sobie Elaine z jakimkolwiek kochankiem! - Oboje wybuchnęli śmiechem, ale nie był to radosny i beztroski śmiech. Zbyt wiele nieszczęść spadło na Dawsonów, znacznie więcej, niż była w stanie znieść jedna rodzina, jak czasem zdawało się Rosannie. Z dwójki rodzeństwa pozostał sparaliżowany brat, a siostra zaginęła bez śladu. Rodzice od dawna nie żyli, przez co młody człowiek skazany był na ośrodek opieki dla osób niepełnosprawnych.

- To dziwne - powiedziała Rosanna - że przez tyle lat prawie nie myślałam o Elaine, a teraz nie mogę o niej zapomnieć. Za bardzo się w tę sprawę zaangażowałam, Cedric.

- Denis mógłby pomyśleć, że postawił na swoim - zauważył Cedric. - A propos, czy twój małżonek dziś już dzwonił?

Potrząsnęła głową.

- Nie. I ja do niego też nie. Wczoraj uciał dyskusję, mówiąc, że nie ma mi nic więcej do zakomunikowania, po czym po prostu odłożył słuchawkę. Uważam, że teraz to on powinien się pierwszy do mnie odezwać.

- Będę z ciebie dumny, jeżeli uda ci się wytrwać w tym nastawieniu - powiedział Cedric z nutką sceptycyzmu w głosie. Spojrzał

77

na zegarek. - Muszę lecieć. Jadę do Cambridge spotkać się z koleżanką ze studiów. Mogę wziąć samochód?

Na podróż z Kingston St. Mary do Londynu wypożyczyli wspólnie samochód.

Rosanna skinęła głową.

- Nie będzie mi potrzebny. Cedric... - zawahała się. - Tak?

- Ach, już nic. - To nie był odpowiedni moment, żeby prawić mu kazania, mówić mu, że żyje z dnia na dzień, zamiast zająć się czymś, co by go popchnęło do przodu. Nie

miała ochoty na kłótnie.

- Nic takiego - powtórzyła.

Odetchnął z ulgą. Pewnie się domyślił, co jej chodziło po głowie.

- Muszę iść - powiedział. - Trzymaj się! Do zobaczenia wieczorem! - Otworzył drzwi, ale nagle zatrzymał się w progu. - Wracając do tego, że Reeve nie chce z tobą porozmawiać. Wspominałaś wczoraj wieczorem o sąsiedzie, który widział Elaine z Reeve'em i zgłosił to na policję. Mogłabyś z nim pogadać. Pewnie da się go odszukać. Może to nie to samo, ale i on widział Elaine. Powiedziałby ci, co to za gość, ten Marc Reeve.

Rosanna spojrzała na brata.

- Cedric, czasami jesteś genialny! Cedric uśmiechnął się szeroko.

- Po prostu leży mi na sercu spokój twojej duszy. Powodzenia!

- zawołał i zniknął.

Rosanna od razu sięgnęła po teczkę Elaine. Gdzie może znaleźć dane człowieka, który wówczas doniósł policji na Reeve'a?

Dwie godziny później Rosanna siedziała naprzeciwko byłego sąsiada Marca Reeve'a, nie dowierzając własnemu szczęściu. Nie dość, że go odnalazła, to jeszcze był w domu. I akurat miał dla niej czas.

78

Już po kilku minutach rozmowy eks - sąsiad dał się poznać jako gawędziarz i bufon. Historię Reeve'a i Elaine oraz rolę, jaką on sam odegrał przy tej okazji w mediach, traktował jako swoje piętnaście minut sławy. I pewnie nie posiadał się ze szczęścia, mogąc po latach ponownie zabrać głos.

Odnalezienie sąsiada okazało się proste. W jednej z gazet z 2003 roku Rosanna znalazła wskazówkę dotyczącą miejsca zamieszkania Reeve'a - oczywiście Belgravia. Nie podano nazwy ulicy, ale napisano, że chodzi o „małą uliczkę odchodzącą od King's Road, nieopodal Sloane Square". To znacznie zawężyło obszar poszukiwań. W innej gazecie wydrukowano zdjęcie domu. Był to stary budynek w szeregowej zabudowie, na którą składało się pięć domów z cegły klinkierowej, z pięknymi wykuszami i dwuspadowymi dachami. Małe zadbane ogródki wychodzące na brukowaną ulicę. Kilka drzew, których gołe gałęzie tego dnia, kiedy zrobiono zdjęcie, pokrywała warstwa śniegu. Cała okolica wyglądała niczym ze snu cukiernika. Spokojnie i dystyngowanie. Bardzo drogo.

Sąsiad nigdzie nie został wymieniony z nazwiska, figurował w prasie jako Richard H. (45).

O ile nie zmienił adresu, z łatwością go odnajdę, pomyślała.

Nazywał się Richard Hall, obecnie pięćdziesięcioletni, i mieszkał w budynku po prawej stronie dawnego domostwa Reeve'a. Był żonaty i miał dwójkę dzieci, a pracował w agencji finansowej. Na obiad wracał do domu, dlatego Rosannie udało się go złapać w ciągu dnia. Oczywiście zaproponowała, że przyjdzie w innym terminie, gdyż nie chciała przeszkadzać w posiłku, ale Hall palił się wręcz do tego, żeby jeszcze raz opowiedzieć całą historię i znowu pojawić się w prasie, momentalnie zapomniał więc o głodzie i poprosił żonę, niepozorną blondynkę o spłoszonym spojrzeniu, żeby zabrała jedzenie do kuchni.

- Odgrzejesz mi wieczorem - powiedział, a pani Hall bez słowa zaczęła sprzątać ze

starannie nakrytego stołu.

Ponieważ zdążyła już zapalić kominek, Hall zaproponował, żeby usiedli przy ogniu, przysunął krzesła i zajął miejsce naprzeciwko swo-

79

jej rozmówcy. Rosanna zlustrowała go wzrokiem, dyskretnie, ale dokładnie. Był wysoki, nieźle zbudowany, miał na sobie dobrze skrojony garnitur, jednakże cechę dominującą stanowiła okrągła twarz bez wyrazu, z której wyzierały osadzone zbyt blisko siebie malutkie oczy. Nieatrakcyjny mężczyzna starający się za wszelką cenę poprawić swój wygląd, niestety bezskutecznie. Rosanna niemal czuła, że Hall cierpi na kompleks niższości, starała się jednak nie wyciągać pochopnych wniosków.

Osobowość Halla interesowała ją o tyle, że mogła ułatwić jej oszacowanie prawdziwości jego słów. Przypuszczała, że mężczyzna ma skłonność do konfabulacji, przedstawiania domysłów jako faktów, ale raczej nie jest kłamcą.

- Tak - powiedział. - Widziałem ich dwoje tego wieczoru. Reeve'a i pannę Dawson. Przyjechali jego samochodem i weszli do domu. Reeve niósł jej walizkę. Sam miał tylko niewielką torbę podróżną.

- Skąd pan wie, że walizka należała do panny Dawson?

- Była czerwona, o ile dobrze zauważyłem w świetle latarni

- odparł Hall, który najwyraźniej zapamiętał najdrobniejszy szczegół. - Sprawiała wrażenie... taniej, a to nie w jego stylu.

- Rozumiem. O której godzinie przyjechali?

- Koło siódmej. Stałem w oknie bawialni i wyglądałem, czy mój syn nie idzie do domu. Był u kolegi i o siódmej powinien był wrócić. Miał wówczas dziewięć lat.

- Jakie wrażenie wywarła na panu Elaine Dawson? O ile w ogóle był pan w stanie coś dostrzec z takiej odległości i na dodatek w ciemności.

- Latarnie na naszej ulicy są bardzo jasne - powiedział Hall.

- Wszystko dokładnie widziałem. Patrzyłem uważnie, bo byłem nieco... zaskoczony.

- Zaskoczony?

- Panna Dawson nie była typową ofiarą Reeve'a.

- Chce pan przez to powiedzieć, że Reeve preferował inny typ kobiet?

- Cóż - powiedział Hall z widoczną przyjemnością i Rosanna ze zdziwieniem zarejestrowała, że przejawia nietypowe jak na męż-

80

czynę zainteresowanie plotkami - to było tak... Mniej więcej dziewięć miesięcy wcześniej wyprowadziła się pani Reeve. Zabrała ze sobą ich syna. Odtąd Reeve mieszkał sam i o ile się orientuję, pojawiło się w jego życiu kilka kobiet. Bardzo różnych. Zazwyczaj zostawały u niego na noc.

Jesteś bardzo spostrzegawczy, pomyślała Rosanna. Współczuła adwokatowi. Dla mężczyzny u progu wielkiej kariery taki sąsiad jak Hall, publicznie zdradzający intymne szczegóły życia innych, to istny koszmar.

- A Elaine Dawson nie pasowała do schematu?

- Ani trochę. Pozostałe towarzyszkę Reeve'a były bardzo atrakcyjne. Dobrze i drogo ubrane. W większości prawniczki, tak mi się przynajmniej wydaje, lub jakieś partnerki w interesach. Kobiety z klasą... jeśli pominiemy fakt, że bez wahania decydowały się spędzić noc z przygodnie poznanym mężczyzną. Ale jeśli o to

chodzi, czasy się zmieniły.

Aty mu zazdrościłaś, stojąc każdego wieczoru w oknie, pomyślała Rosanna, i z prawdziwą przyjemnością dobrałaś mu się do skóry. A dziś z rozkoszą zrobiłbyś to raz jeszcze!

- Natomiast panna Dawson była zupełnie inna - ciągnął Hall. - Po pierwsze była bardzo młoda, a wcześniej Reeve nie przyprawiał do domu aż tak młodych kobiet. A poza tym była taka... niepozorna. Tak, to jest właściwe słowo. Nie była brzydka, po prostu taka szara myszka. Miała na sobie okropny płaszcz, tani i źle skrojony. I ta plastikowa walizka. Włosy... pożałuj, Boże! Wyglądała jak dziewczyna ze wsi, która nie ma najmniejszego pojęcia, jak się porządnie ubrać.

Był to dość trafny opis Elaine, którą również Rosanna właśnie taką zachowała w pamięci.

- Jakie sprawiała wrażenie? Wystraszonej? Zadowolonej?

- Była zapłakana. To znaczy, akurat wtedy nie płakała, ale wcześniej na pewno tak. W każdym razie nie wyglądała na zadowoloną. Ale na wystraszoną też nie. Była może... odrobinę apatyczna. I wyczerpana.

81

- Weszli do domu?

- Tak, ale po mniej więcej dziesięciu minutach znowu go opuścili. -O?

- Cały czas stałem przy oknie. Martwiłem się. Syn zwykle wracał na czas. Mary... moja żona... dzwoniła właśnie do rodziców kolegi...

- A co zrobili Reeve i Elaine?

- Poszli w kierunku King's Road.

- Czy odniósł pan wrażenie, że byli...?

-...Parą? W żadnym wypadku. Ani jej nie objął, ani się nie trzymali za ręce, nic w tym rodzaju. Po prostu szli obok siebie. Dwójka znajomych bez zobowiązań.

- Czy wie pan, dokąd poszli?

- Reeve zeznał na policji, że byli we włoskiej restauracji. Właściciel podobno to potwierdził. Pamiętał ich. Ale co się działo później... - Hall wzruszył ramionami.

- W każdym razie nie widział pan, żeby wracali.

- Nie. Kiedy syn przyszedł do domu, zjedliśmy kolację, przejrzałem jego prace domowe, a potem oglądaliśmy z żoną telewizję. Nie wyglądałem już tego wieczoru przez okno.

- Nie widział pan również, żeby Reeve odprowadzał następnego ranka pannę Dawson do metra?

- Nie. Nie wystaję przecież godzinami w oknie! - powiedział Hall niemal oburzony. - W gruncie rzeczy nie interesuje mnie, co robią sąsiedzi.

- Rozumiem - odparła Rosanna. Była przekonana, że wiedział wszystko o swoich sąsiadach. Czowała się trochę jak wścibska kumoszka i miała lekkie wyrzuty sumienia w stosunku do Marca Reeve'a, mimo to zadała kolejne pytanie: - Czy wie pan, dlaczego pani Reeve się wyprowadziła?

Hall zwrócił się do żony, która właśnie składała obrus. Poruszała się tak cicho, że Rosanna zupełnie zapomniała o jej obecności.

- Mary, ty znałaś dobrze panią Reeve!

- Bardzo rzadko z nią rozmawiałam - zaprzeczyła pani Hall. - Nie lubiła mówić o

sobie. Miała chorą matkę, która mieszkała

82

w domu opieki w Cambridge. Pani Reeve często ją odwiedzała. Kiedy wracała, wydawała mi się zawsze taka... rozbita. Bardzo przeżywała jej chorobę. Pani Reeve była bardzo wrażliwą kobietą. Dużo malowała. Piękne akwarele. Słyszałam, że jest znana w artystycznych kręgach.

- Opowiadałaś mi kiedyś, że widziałaś kilka razy, jak wychodziła zapłakana z domu - przypomniał jej zniecierpliwiony mąż.

- To prawda. Nie podeszłam jednak do niej, udawałam, że jej nie widzę.

Pomyślałam... może nie chce, żeby inni widzieli ją w tym stanie. Nie mam pojęcia, co ją tak wyprowadzało z równowagi.

- Czasami, chcąc nie chcąc, człowiek jest świadkiem sąsiedzkich awantur - wtrącił Richard Hall i widać po nim było, że ów stan rzeczy bardzo mu odpowiada. - Jeżeli chce pani znać moje zdanie... - tu zrobił znaczącą pauzę.

Nic mnie ono nie obchodzi, pomyślała z niechęcią Rosanna, poza tym nie ma to żadnego związku ze sprawą.

Z drugiej strony to właśnie sytuacja osobista Reeve'a stanowiła łup dla prasy.

Rosannie przyszły na myśl rozmaite artykuły i relacje prasowe, które miała okazję przeczytać, te z gatunku dziennikarskich plotek. Nigdzie nie pominięto faktu, że pani Reeve wyprowadziła się, zabierając ze sobą syna. Między wierszami spekulowano na temat przyczyny rozstania - domysły sięgały od notorycznych zdrad, poprzez skłonność do bardzo młodych dziewcząt, po akty przemocy, do których jakoby regularnie dochodziło w małżeństwie. Poruszając się w granicach prawa, porównywano go do niepohamowanego zbrodniarza, aby na koniec zadać czytelnikom kluczowe pytanie: czy Marc Reeve zamordował Elaine Dawson? Mimo że Rosanna nic nie odpowiedziała, pan Hall nie odmówił sobie oczywiście przedstawienia własnej opinii.

- Jeśli chce pani znać moje zdanie - powtórzył - uważam, że romanse przestały mu wystarczać. I wcale bym się nie zdziwił, gdyby...

-Tak?

- Myślę, że mógł być nieobliczalny, kiedy coś szło nie po jego myśli. I pewnie nieszczęsna pani Reeve nieraz odczuła to na własnej skórze.

83

Rosanna pokiwała w zamyśleniu głową.

- Nie ma pan na to jednak żadnych konkretnych dowodów?

- Na to, że ją maltretował? Na to, że ustawicznie ją zdradzał? Oczywiście, że nie.

Reeve to bardzo ambitny i inteligentny człowiek. Tacy jak on potrafią doskonale się maskować. Ale to... po prostu... się czuło. Rozumie pani? W przypadku niektórych osób człowiek czuje, że pod przykrywką nienagannyh manier czai się coś nieprzyjemnego. To jak przykry zapach, który się czuje, ale nie można dociec jego pochodzenia. Reeve od samego początku wydał mi się niesympatyczny i podejrzany. Cieszę się, że wkrótce po rozwodzie się stąd wyniósł.

Podczas rozmowy Rosanna robiła notatki. Wreszcie zamknęła swój czarny zeszyt i wsunawszy go do torby, wstała.

- Nie chcę pana dłużej zatrzymywać - powiedziała. - Dziękuję za rozmowę, panie

Hall.

Hall również wstał.

- Cała przyjemność po mojej stronie - odparł, podając jej biały kartonik. - Gdyby miała pani jeszcze jakieś pytania, znajdzie tu pani telefon do domu i do biura, mój adres elektroniczny, numer faksu... W każdej chwili jestem do pani dyspozycji. Wydawało się, że nie może się już doczekać kolejnego spotkania.

- W porządku - odrzekła Rosanna. - Jeśli będę potrzebowała jeszcze jakichś informacji, skontaktuję się z panem.

Kiedy odprowadzał ją do drzwi, zwróciła się do niego z ostatnim pytaniem.

- Uważa pan zatem, że Marc Reeve ma coś wspólnego ze zniknięciem Elaine?
Zatrzymał się.

- Tego nie powiedziałem. -Ale...

- Ujmijmy to tak: nie zdziwiłbym się, gdyby się okazało, że miał z tym coś wspólnego. - Otworzył jej drzwi.

Poczuła na twarzy wilgotne powietrze. Zaczynało padać.

- Naprawdę - powiedział z naciskiem - wcale bym się nie zdziwił.

84

4

Georgina Ennis uwielbiała swojego psa Bluebirda, skrzyżowanie labradora z nie wiadomo czym, którego sierść w okresie szczenięcym miała niebieskawy połysk, czemu zwierzak zawdzięczał swoje imię. Obecnie sierść nabrała odcienia szarości, bowiem Bluebird skończył już dwanaście lat. Dla Georginy, która nie miała szczęścia do mężczyzn i w wieku pięćdziesięciu lat postanowiła porzucić marzenia o wielkiej miłości i oswoić się z myślą o staropanieństwie, pies był jedynym przyjacielem. Z całego serca życzyła mu, żeby żył jak najdłużej, ale w takie dni jak ten z lekką zazdrością i w poczuciu winy myślała o ludziach, którzy nie mają psów. I mogą w tę paskudną pogodę zostać w domu.

Przez parę ostatnich dni w powietrzu dało się wyczuć powiew wiosny, ale pod koniec tygodnia zaczął padać śnieg, który teraz przeszedł w deszcz i zamienił krajobraz w szarą beznadzieję. Można by pomyśleć, że wrócił listopad. Georgina, która pracowała w salonie fryzjerskim, chętnie zamówiłaby sobie, tak jak inne koleżanki, pizzę i odpoczęła kwadrans na zapleczu, ale jak co dzień w południe musiała pędzić do domu, żeby wyprowadzić Bluebirda. Na jej widok pies zaczął podskakiwać z radości, a kiedy wzięła do ręki smycz, całkiem oszalał. Zamiłowanie do spacerów bynajmniej nie minęło mu z wiekiem.

Georgina mieszkała w Epping, miasteczku leżącym na północny wschód od Londynu, i od jej bloku było zaledwie kilka kroków do Epping Forest, ogromnych terenów leśnych, które w weekendy zalewała fala spragnionych wypoczynku londyńczyków. Można tam było godzinami wędrować, jeździć na rowerze, urządzać pikniki albo po prostu przysiąść na ławce i pomarzyć. Również w tygodniu kręci-li się tu ludzie, tak że Georgina rzadko kiedy czuła się sama, nawet będąc głęboko w lesie. Poza tym nie należała do strachliwych. Był z nią wszak Bluebird. Pies miał imponujące rozmiary, nadal był całkiem żwawy i nie wyobrażała sobie, żeby ktoś mógł na nią napaść, kiedy jest w pobliżu.

85

Jednakże w ten zimny mokry dzień w lesie nie było nikogo. Georgina szła zamaszystym krokiem. Po pierwsze, miała nadzieję, że w ten sposób się rozgrzeje, po drugie, przerwa obiadowa nie trwała wiecznie i jeśli chciała przejść całą trasę, nie mogła się ociągać. Najpierw maszerowała spory kawałek szeroką piaszczystą drogą przez las, następnie zboczyła w wąską zacienioną ścieżkę, którą ktoś nie-znający okolicy mógłby łatwo przeoczyć. Zza wierzchołków drzew ledwie było widać skrawek nieba, do tego o tej porze roku tonęło się w błocie. Georgina tylko dlatego wybrała tę trasę, gdyż za jakiś czas ścieżka ponownie łączyła się z szeroką drogą, która po łuku prowadziła do punktu wyjścia.

Tego dnia pożałowała, że z przyzwyczajenia poszła dalej, zamiast po prostu zawrócić. Wiszące nisko nad ziemią wilgotne gałęzie smagały ją po twarzy i dwa razy omal się nie przewróciła, pośliznąwszy w błocie. Miała na sobie wysokie ocieplane gumowce, które łatwo było opłukać pod prysznicem, ale doprowadzenie po takim spacerze psa do porządku zakrawało na cud. Z niewyjaśnionych powodów wpadał w panikę, kiedy podchodziła do niego z rącznikiem. Georgina pomyślała, że spóźni się do salonu i pani Wenworth, jej szefowa, będzie kręcić nosem.

A właściwie gdzie podział się Bluebird?

Georgina zatrzymała się. Idąc z pochyloną głową, zasłaniając się przed deszczem i odgarniając sprzed twarzy gałęzie, nie zwróciła uwagi na zniknięcie psa. Zwykle biegł przed nią, co jakiś czas zawracając, żeby się upewnić, czy jego pani podąża za nim. Teraz uświadomiła sobie, że od dłuższej chwili go nie widziała.

- Bluebird! - zawołała. - Bluebird!

Nad głową Georginy wzbił się do lotu ptak, spłoszony jej krzykiem, poza tym wokół panowała cisza. Zawróciła i przeszła parę kroków.

- Bluebird! Do nogi! I to już! Bluebird!

Pies nie był typem myśliwego. Nigdy jeszcze nie rzucił się w pogoń za zającem albo sarną. Niemożliwe, żeby teraz to zrobił.

Nagle poczuła coś, czego jeszcze nigdy, przez wiele lat spacerów po Epping Forest nie doświadczyła - lekki strach, który dał o sobie znać delikatnym skurczem żołądka i łaskotaniem dłoni i który z każdą chwilą nieznacznie przybierał na sile. Uświadomiła sobie, że jest sama. Wokół niej ciągnął się nieprzenikniony i ciemny bezludny las.

Znów gdzieś w oddali rozległ się krzyk ptaka. Słysząc było szum deszczu.

Nie daj się zwariować, pomyślała, nakazując sobie spokój. Bluebird po prostu gdzieś pobiegł. Nic takiego się nie stało.

- Birdie! - zawołała. - Birdie! Birdie! Gdzie jesteś? Wsłuchiwała się w swój głos. Miała wrażenie, że deszcz pochłania jej wołanie.

- Birdie!

Nagle wydało jej się, że z głębi lasu dochodzi szczekanie. Tak ciche, że w pierwszej chwili sądziła, że się przesłyszała. Nastawiła uszu i czekała w napięciu. A jednak jej się nie zdawało. Gdzieś w oddali, o ile była w stanie to ocenić, zaszczekał pies. To mógł być Bluebird.

Georgina pobiegła przed siebie, nie zważając na chłostające ją po twarzy gałęzie.

Stopy grzęzły jej w błocie. Spóźni się do salonu i z krwawymi zadrapaniami na twarzy będzie wyglądać, jakby dopiero co uciekła ze zbójckiej jaskini, ale nie miało

to teraz znaczenia. Liczył się tylko Bluebird, jej jedyny prawdziwy przyjaciel. Na końcu ścieżki przystanąła, z trudem łapiąc oddech. Szła tak szybko, że złapała ją kolka. Normalnie skręciłaby teraz w prawo w szeroką leśną drogę, która prowadziła z powrotem na osiedle, ale zdawało jej się, że szczekanie dochodziło z drugiej strony. - Bluebird! Birdie! - zawołała ponownie.

Znów rozległo się szczekanie. Teraz słyszała je już całkiem wyraźnie. Naprzeciwko miejsca, w którym leśna ścieżka łączyła się z utwardzaną drogą, odkryła wąski prześwit pomiędzy drzewami. Był to dalszy ciąg grząskiego szlaku, którym tu przyszła. Tylko jeszcze węższy. I pewnie jeszcze bardziej błotnisty.

Potykaçąc się, szła przed siebie. Zanurzyła się w nieprzeniknionej gęstwinie. Woda dostała się jej pod kołnierz i spłynęła po plecach.

86

87

Wzdrygnęła się z zimna i wstrętu, czując lodowatą strużkę na rozgrzanej skórze. To, co początkowo wyglądało na wąziutki przesmyk pomiędzy drzewami, teraz zupełnie pochłonął gęszcz i musiała dosłownie przedzierać się przez zarośla. Po kilku minutach zupełnie straciła orientację, nie wiedziała, skąd przyszła i dokąd zmierza. Jedynym punktem zaczepienia było szczekanie psa - Bluebirda? - który za każdym razem, kiedy przystawała i wołała jego imię, niezawodnie odpowiadał. Przyszło jej namyśl, że łatwo zabłądzić w tym ogromnym, nieprzebytym lesie. Czytała o wędrowcach, którym nie udało się znaleźć drogi powrotnej. Poszukujące ich ekipy ratunkowe przeczesywały las centymetr po centymetrze.

Kiedy zacząć jej szukać? Czy w ogóle ktokolwiek zauważy jej zniknięcie? Szefowa, koleżanki z pracy. Ile czasu minie, zanim zaczną się niepokoić? Jak długo człowiek jest w stanie wytrzymać sam w lesie na zimnie i deszczu?

Zatrzymała się, żeby zaczerpnąć powietrza i uspokoić oddech. Jeszcze nie wszystko stracone, powiedziała sobie. Jak tylko znajdziesz Bluebirda, wszystko będzie dobrze. Pies zawsze trafi z powrotem do domu.

Georgina ponownie zawołała ulubieńca. Szczekanie dochodziło całkiem z bliska. Jeszcze tylko ostatni zarośnięty odcinek. Podstępne pędy jeżyn chłostały ją po twarzy i wplątywały się we włosy, ale wreszcie zaczęło się przejaśniać. Weszła na polanę z małym leśnym stawem. Zbiornik wodny był tak samo szary jak niebo tego dnia, jego brzegi porastała trzcina i wysokie trawy. Spadające krople deszczu znaczyły kręgi na powierzchni.

Na tym terenie było kilka małych jezior, w niektórych można się było kąpać. Zarząd lasu utrzymywał w czystości brzegi, okoliczne łąki były regularnie koszone, postawiono nawet kilka ławek. Siedzawka, nad którą stała Georgina, zdecydowanie nie należała do letnich kąpielisk. Była mała i trudno dostępna, gęsto otoczona lasem. Ponad sitowiem poderwało się do lotu kilka pardw. Okolica sprawiała wrażenie nietkniętej ludzką stopą, ale wydawało się mało prawdo-

88

podobne, aby był to faktycznie dziewiczy teren. Po prostu o tej porze roku nikt się tu nie zapędzał.

Georgina odetchnęła z ulgą, widząc znowu niebo, zadowolona, że wreszcie nic nie chłoscze jej po twarzy. Potem zauważyła Bluebirda, który wielkimi susami pędził w

jej stronę. Pies był podekscytowany, szczekał głośno, jak zawsze kiedy chciał, żeby rzucić mu piłkę.

Georgina ukłękła i objęła psa, który był jedną wielką zabłoconą kulą, ale było jej to obojętne.

- Birdie, głuptasie, co ty wyprawiasz? Nie możesz tak po prostu uciekać! Tak się o ciebie martwiłam! Przez ciebie spóźnię się do pracy i będę miała masę nieprzyjemności.

Bluebird, który zwykle uwielbiał pieszczoty, wyrwał się jej i odskoczywszy do tyłu, zaszczekał. Georgina podniosła się z kolan.

- Co jest? Chcesz mi coś pokazać?

Bluebird pobiegł przodem. Georgina ruszyła za nim. Słyszeć było tylko deszcz.

Pardwy ucichły. Mimo że Georgina była rozgrzana po biegu, zaczęła trząść się z zimna. Tak jak przed chwilą, kiedy nagle uświadomiła sobie, że jest zupełnie sama. Znowu poczuła ten sam skurcz żołądka. To niejasne przeczucie.

Co takiego znalazł Bluebird?...

Ujrzała leżącą w szuwarach kobietę. Brzeg był w tym miejscu tak gęsto zarośnięty, że nie zauważyłaby jej, gdyby nie precyzyjnie się za psem przez chaszczę. Kobieta leżała w nienaturalnej pozycji, dziwnie powyginana. Z twarzą zanurzoną w mętnej wodzie. Wokół głowy rozpościerały się długie blond włosy pływające w brązowej brei. Bluebird, który najwyraźniej już od jakiegoś czasu próbował wyciągnąć ciało, zmącił w tym miejscu wodę.

- O Boże - szepnęła Georgina. - O Boże!

Chciała zawrócić i jak najszybciej stąd uciec, ale nie była w stanie się ruszyć. Kilka sekund stała jak sparaliżowana, nie mogąc oderwać wzroku od ciała. Dopiero gdy Bluebird zaczął ujadać, otrząsnęła się z letargu. Ale zamiast zrobić to, co powtarzał jej raz po raz jakiś wewnętrzny głos - „Uciekaj! Uciekaj!” - podeszła bliżej do kobiety, przyciągana osobliwą magią tej potworności.

89

Patrzyła na jeszcze dziewczęce ciało, szczupłe, gładkie i umięśnione. Długie zgrabne nogi, wokół których na wysokości kostek zwisały czarne podarte rajstopy.

Dziewczyna była bosa, ale Georgina zauważyła nieopodal ciemny pantofel na obcasie, który ugrzązł w błocie. Majtki miała ściągnięte do kolan - mokry czarny skrawek bielizny. Tego, czy są, podobnie jak rajstopy, porwane, Georgina nie wiedziała. Ciemne pasma zakrzepłej krwi na udach, podciągnięta do pasa sukienka zdradzały wyraźnie, co się stało: dziewczyna została w bestialski sposób zgwałcona na tym odludziu, a następnie... rzuciła się w rozpacz do stawu...

To niemożliwe.

Georgina zauważyła, że ręce ofiary są skrupowane na plecach sznurkiem, i pomyślała, że chyba nikt się nie wiąże przed utopieniem, to zaś doprowadziło ją do przerażającego wniosku, że ktoś inny, prawdopodobnie gwałciiciel, przyciągnął tu swoją ofiarę jak worek i wrzucił do wody. Widok, który miała przed oczyma, świadczył nie tylko o wyjątkowej brutalności, lecz także o straszliwej pogardzie, upokorzeniu, które wykraczało poza akt gwałtu i odmawiało ofierze godności nawet w momencie śmierci.

Krzyk pardwy przerwał ciszę zalegającą nad polaną i nagle Geor-ginie przemknęło

przez myśl, że to, co tu widzi, nie jest wielodniową czy wielogodzinną martwą naturą, lecz dopiero co się zdarzyło. Bluebird zaskoczył i przegonił sprawcę, ale morderca mógł się jeszcze tu kręcić i naraz Georginę naszły wątpliwości, czy stary pies i kobieta będą w stanie przeszkodzić mu w dokończeniu dzieła.

- Birdie - szepnęła. - Birdie, do nogi! Zwiewamy stąd! Bluebird zaszczekał.

A jeśli dziewczyna jeszcze żyje? Jeśli dopiero co ją... Jak długo człowiek jest w stanie przeżyć z twarzą pod wodą? Georgina nie miała pojęcia, wiedziała jednak, że zanim znajdzie drogę powrotną i zaalarmuje z domu policję, kobieta na pewno nie będzie już żyła. Półprzytomna ze strachu, ze wszystkich sił próbując opanować przerażenie, ostrożnie weszła do płytkiej wody i zbliżyła się do ciała.

- Halo? - szepnęła i w tej samej chwili zawstydzila się swojej naiwności.

90

Oczywiście nie nastąpiła żadna reakcja. Georgina stała tuż obok zmasakrowanego ciała, próbując powstrzymać silny odruch wymiotny. Nie czuła przykrego zapachu, ale sam widok był wystarczająco potworny. Patrząc na ten koszmar, stojąc samotnie na tym pustkowiu w strugach lodowatego deszczu, z mętną wodą na zabłoconych gumiakach - to przekraczało możliwości Georginy. Wstrząsana torsjami, poruszając się sztywno jak staruszka, pochyliła się do przodu, ujęła w dłonie głowę dziewczyny i obróciła w swoją stronę.

Z nosa i lekko uchylonych ust wypłynęła biała piana. Spuchnięta, zakrwawiona twarz, martwy wzrok.

Dziewczyna nie żyła.

Georgina wypuściła ciało, które osunęło się znów do wody, i odwróciwszy się lekko, zwymiotowała raz i drugi, a gdy wypłuła już tylko gorzką żółć, oddaliła się od brzegu, potykając się o własne nogi. Ponieważ Bluebird nie reagował na jej słaby zachrypnięty głos, Georgina sięgnęła po smycz, którą miała zawieszoną na szyi. Chwiejnym krokiem cofnęła się, zaczepiła karabińczyk na obroży i pociągnęła psa tak mocno, że ten, nieprzywykły do takiego traktowania, posłusznie ruszył za nią.

- Uciekajmy! Uciekajmy stąd!

Weszli w las. Georginie nieco ulżyło, kiedy Bluebird przejął prowadzenie i bez wahania odnalazł drogę. Deszcz przybrał na sile i mieszał się z łzami, które spływały po twarzy obojętnej na wszystko Georginy.

Po drodze na stację Sloane Square, leżącą nieopodal domu pana Halla, Rosanna wyjęła z torebki telefon i zauważyła, że ktoś próbował się do niej dodzwonić. Numer, który się wyświetlił, wydał jej się znajomy, a rzut oka na dokumenty potwierdził jej podejrzenie, kim jest dzwoniący.

Zakłęła w duchu. Marc Reeve. Że też musiała przegapić akurat jego telefon. Pewnie nie usłyszała dzwonka, słuchając głośnych wy-

91

wodów pana Halla. Wyszła z wprawy, w przeciwnym razie pamiętałaby o tym, żeby wyjąć telefon z torebki i położyć na stole.

Ponieważ padało, przez chwilę rozważała, czy nie skryć się przed deszczem na stacji metra i nie oddzwonić do Reeve'a, jednak zdecydowała się pozostać na dworze. Na stacji było wprawdzie sucho, lecz w panującym tłoku miałyby całą masę niechcianych słuchaczy. Tu, u wylotu małej uliczki, stała może w strugach deszczu,

ale przynajmniej w zasięgu wzroku nie było żywego ducha. I tak była przemoczona do suchej nitki, ulewa nie miała zatem już większego znaczenia.

Tak jak poprzednio, Reeve zgłosił się po drugim sygnale.

- Witam panią, pani Hamilton - powiedział. Najwyraźniej i on już na pierwszy rzut oka rozpoznał jej numer.

- Dzwonił pan do mnie, panie Reeve. Jestem właśnie w mieście i nie usłyszałam telefonu - przemilczała, że stoi przed jego dawnym domem i dopiero co były sąsiad Reeve'a zapoznał ją z intymnymi szczegółami na jego temat. Taka uwaga byłaby z pewnością niewskazana.

- Uzgodniliśmy, że odezwę się do pani w związku z wczorajszą propozycją - powiedział Reeve. - I chciałbym panią poinformować, że moja decyzja nie uległa zmianie. Nie zależy mi na tym, żeby po raz drugi zostać wplątany w tę sprawę. Mam nadzieję, że mnie pani rozumie.

Problem polegał na tym, że dobrze go rozumiała, lecz zostawienie go w spokoju nie leżało w jej interesie. W mgnieniu oka zdecydowała się zmienić strategię.

Postanowiła mianowicie zagrać w otwarte karty.

- Panie Reeve, doskonale pana rozumiem - zapewniła prędko. - Proszę mi wierzyć, że wcale nie odpowiada mi rola natrętnej dziennikarki. Tylko że... nie powiedziałam panu wszystkiego, jeśli chodzi o motywy mojego działania.

- Motywy pani działania?

- To... to wszystko prawda, cykl artykułów i tak dalej. Ale jest jeszcze jeden powód, dla którego właśnie mnie wybrano do tego zadania, choć od pięciu lat nie pracuję w zawodzie... - Wzięła głęboki oddech. - Jestem... byłam przyjaciółką Elaine Dawson.

- O! - wydawał się zaskoczony.

Zaraz uściśliła wypowiedź. Intuicja podszeptowała jej, że jeśli chce coś wskórać, musi być wobec Reeve'a całkowicie szczerą.

- No, może przyjaciółka to za dużo powiedziane. Ale znałam ją od dziecka.

Wychowałyśmy się w jednej wsi. Elaine była siedem lat młodsza ode mnie.

Wszystkie dzieciaki we wsi trzymały się razem i...

- Czyli - wpadł jej w słowo Reeve - abstrahując od dziennikarskiego obowiązku, jest pani zainteresowana sprawą z powodów osobistych?

Skinęła głową, mimo że nie mógł jej przecież widzieć.

- Tak, zgadza się. Nie wiem, czy Elaine zdradziła panu powód swojej podróży do Gibraltaru...

Myślał przez chwilę, po czym odrzekł:

- O ile sobie przypominam, wybierała się na jakiś ślub.

- Na mój ślub, panie Reeve. Wyszłam za mąż jedenastego stycznia dwa tysiące trzeciego roku w Gibraltarze. Zaprosiłam Elaine na wesele, ale nigdy tam nie dotarła. Nie czuję się winna, ale... na pewno powiązana z jej zniknięciem.

- Rozumiem - rzekł Reeve.

Rosanna miała wrażenie, że rzeczywiście tak jest.

- Jest pan ostatnią osobą, która ją widziała i z nią rozmawiała - kontynuowała. - W każdym razie ostatnią znaną mi osobą. Chciałabym się po prostu dowiedzieć, jaka była wtedy Elaine, co mówiła, jakie wywarła na panu wrażenie. Przez pięć lat nie interesowałam się jej losem, ale teraz odczuwam potrzebę, by to zrobić. Myślę, że to

pozwole mi uchronić ją od zapomnienia. I jeszcze raz pochylić się nad nią, taką jaką była...

- Pani Hamilton...

- Czy byłby pan skłonny spotkać się ze mną prywatnie? Obiecuję, że nie wspomnę o panu w moim artykule ani słowem. Nie będę robić żadnych notatek ani nagrań.

- Redaktor naczelny nie będzie zachwycony.

- Redaktor naczelny nie dowie się o tym.

Zawahał się. Nie mogła mu mieć za złe, że nie ufa jej jako przedstawicielce prasy. Szczególnie po tym, co przeszedł.

92

93

- Proszę - nalegała. - Naprawdę nie chcę pana oszukać. Chodzi mi wyłącznie o Elaine. Nickowi, mojemu zleceniodawcy, powiem, że odmówił pan wywiadu.

- Oto, co proponuję - powiedział w końcu Reeve. - Spotkajmy się, żeby się nawzajem poznać. A potem zobaczymy, w jakim stopniu będę skłonny pani pomóc.

Odetchnęła z ulgą.

- Dziękuję panu. Czy mam przyjść do pańskiego biura?

- W ciągu dnia jestem zajęty - odparł. - Może spotkamy się dziś wieczorem? W jakiejś restauracji?

- Chętnie. W której części Londynu pan mieszka?

- A pani?

- W hotelu Hilton przy Park Lane. - Nie uszło jej uwagi, że broni dostępu do swojego terytorium. Odmówił spotkania w biurze i w pobliżu domu. Był jak dziecko, które raz się sparzyło. Trzymał ją na dystans. Dlatego zaproponował spotkanie na neutralnym gruncie, możliwie jak najdalej od domu.

- Przyjadę po panią o siódmej - powiedział. - Do zobaczenia, pani Hamilton.

Pożegnawszy się, wsunęła mokry telefon do wilgotnej kieszeni płaszcza. Deszcz przybrał na sile. Zastanawiała się, jak Nick zareagowałby na właśnie zawartą przez nią umowę. Na myśl o jego gniewnym komentarzu mimowolnie spuściła głowę.

Woda chlupała jej w butach, kiedy biegła do metra. Wróci do hotelu i znowu weźmie gorącą kąpiel, zamówi kanapkę, a do tego może nawet kieliszek wina.

Dziś sobie na to zasłużyła.

6

Wieczorem przed drzwiami mieszkania Biggsów ponownie stanęli posterunkowi Burns i Carley. Drzwi otworzył im Gordon, którego zawsze na widok policji ogarniał niepokój. Tym razem poczuł się

wyjątkowo nieswojo. Wyraz twarzy obu stróżów prawa zupełnie mu się nie spodobał.

- Panie Biggs... - zaczął Carley, zamilkł jednak, spoglądając pytająco na kolegę.

- Możemy wejść? - odezwał się Burns.

- Pewnie - odparł Biggs, choć miał ochotę posłać obu policjantów do stu diabłów.

Wizyty glin nigdy nie wróżyły niczego dobrego, a tego dnia posterunkowi wyglądali szczególnie złowieszczo.

Tak jak minionego dnia, Gordon zaprowadził ich do kuchni, gdzie Sally i Angela siedziały przy stole, a jeden z synów, Patrick, stał oparty o ścianę z puszką piwa w ręku. Sally, jak co dzień, była wstawiona, ale ponieważ koło południa miała wizytę u

lekarza i przez trzy godziny znajdowała się poza domem i nie miała dostępu do butelki, można powiedzieć, że była prawie trzeźwa. Przeglądała gazetę. Angela piła herbatę.

- Znowu przyszła policja - powiedział Gordon, wchodząc do kuchni.

Pozostali członkowie rodziny także wyczuli wiszące w powietrzu niebezpieczeństwo.

Angela poderwała się z miejsca. Patrick, który właśnie zamierzał wziąć łyk piwa, odjął od ust puszkę. Sally podniosła wzrok znad stołu.

- Tak? - zapytała zaniepokojona. Odkasznawszy, Burns odezwał się:

- Na wstępie chciałbym powiedzieć, iż nie mamy pewności, że chodzi o państwa córkę Lindę - zaczął.

- Znaleźliście ją? - spytała Angela.

- Tego właśnie jeszcze nie wiemy - odparł Burns. Po krótkim wahaniu powiedział: - Dziś w południe w Epping Forest pewna kobieta odkryła...

zwłoki młodej dziewczyny. Z opisu wynika, że może chodzić o Lindę.

- Zwłoki? - powtórzył Gordon tępo. Sally zasłoniła usta dłonią.

- Cholera - mruknął Patrick.

- Jak zostało powiedziane - wtrącił się Carley - nie mamy pewności. Dlatego byłoby wskazane, żeby ktoś z państwa poszedł z nami zidentyfikować zwłoki.

- Czego Linda miałaby szukać w Epping Forest? - zapytał Gordon. - Nigdy w życiu tam nie była!

- Nie zostało jeszcze ustalone, czy zbrodni dokonano na miejscu, czy dziewczyna została przewieziona tam później. Na to pytanie właśnie próbuje odpowiedzieć lekarz sądowy. Fakt, że ciało leżało na deszczu, nie pomaga zrekonstruować okoliczności zbrodni.

- Jak ją... To znaczy, w jaki sposób... - jąkała się Angela.

Nie była w stanie dokończyć, jednakże Burns domyślił się, o co chciała zapytać.

- Nie mamy jeszcze ostatecznego raportu. Ale wygląda na to, że zgon nastąpił przez utonięcie.

- Ale Linda umiała pływać - rzucił stojący w kącie Patrick - i to całkiem niezłe.

- To prawda - powiedziała Sally. - Jako dziecko należała nawet do drużyny pływackiej. Jeździła na zawody. Zdobyła dwa puchary, co nie, Gordon?

- Zgadza się - potwierdził Gordon.

Na twarzach zebranych członków rodziny pojawiła się nadzieja, którą posterunkowy Burns musiał w chwilę później rozwiać.

- Dziewczyna nie utonęła... tak po prostu - rzekł ostrożnie. - Wygląda na to, że została związana i rzucona w szuwar. Prawdopodobnie była nieprzytomna. Leżała z twarzą w wodzie. W ten sposób utonęła.

Cisza. Ponieważ Biggsowie nie posiadali zegara ściennego, nie słychać było nawet tykania. Jedynie cichy szmer lodówki. Po kilku sekundach Carley dodał:

- Może wcale nie chodzi o Lindę i niepotrzebnie się państwo zamartwiają. Panie Biggs, czy zechce pan nam towarzyszyć?

Gordon przejechał ręką po twarzy. Jego dłoń lekko drżała.

- Czy... czy została zgwałcona? - zapytał cicho.

- Nie chcę wdawać się w szczegóły, zanim nie dokonamy identyfikacji zwłok - odparł Burns wymijająco.

Sally wstała.

- Idę z tobą - oświadczyła. - Gordon, pójdziemy razem.

96

— Mamo, chyba nie dasz rady - zaproponowała Angela. Była blada jak ściana.

— Chcę tam pójść - nalegała Sally. - Może to moja Linda. Chodź, (kordon. Może to nasze dziecko. Musimy tam iść.

— Tylko włożę buty - powiedział Gordon.

Miał na stopach filcowe kapcie. Kiedy powłócząc nogami, wychodził z kuchni, rozległo się smutne szuranie.

— Mamo - powiedziała Angela błagalnym tonem.

— Zajmij się braćmi - nakazała Sally. - Chłopcy lada chwila wrócą do domu. Nic im nie mówcie. Daj im kolację i poślij do łóżka. Okay? Mogę na ciebie liczyć?

— Tak - odpowiedziała Angela, wybuchając płaczem.

— Patrick, pomóż siostrze - powiedziała Sally.

Zazwyczaj Patrick ostro sprzeciwiał się podobnym zaleceniom, tym razem jednak skinął głową.

— W porządku. Nie ma sprawy.

Sally opuściła kuchnię, za nią wyszli policjanci. Angela patrzyła za nimi tępym wzrokiem. Po raz pierwszy w życiu miała potrzebę paść na kolana i modlić się na głos, a nie po cichu, w ukryciu. Nie zrobiła tego jednak. W rodzinie Biggsów nie modlono się i obawiała się, że brat mógłby ją wyśmiać.

7

Dochodziła siódma. Rosanna właśnie przebrała się na spotkanie z Reeve'em, kiedy zadzwonił telefon. Przemknęło jej przez głowę, że może to Reeve dzwoni, żeby odwołać spotkanie, gdyż się rozmyślił, ale spojrzawszy na telefon, rozpoznała swój domowy numer w Gibraltarze. Denis. Nareszcie. Milczał przez dwadzieścia cztery godziny i już zaczynała się denerwować. Czyżby był na nią aż tak wściekły?

— Halo? - powiedziała, odbierając rozmowę.

Po krótkiej chwili milczenia w słuchawce odezwał się głos.

97

- Rosanna?

Robert. To Robert, nie Denis. Była rozczarowana, ale próbowała nie dać tego po sobie poznać.

- Robert! Jak miło, że dzwonisz! Co słychać? - Brzmiała nienaturalnie i zdawała sobie z tego sprawę. Czyżby Robert wiedział, że jego ojciec się z nią pokłócił?

- W porządku - powiedział obojętnie, jak nakazywał mu wiek. - A co u ciebie?

- Też wszystko porządku. Pogoda jest okropna, ale czego można się spodziewać po Londynie.

- Tata ciągle powtarza, że właśnie dlatego nie da się w Anglii żyć - rzucił Robert.

- Wiem... - Chłopak z pewnością nie dzwonił tylko po to, żeby z nią porozmawiać o pogodzie, ale najwyraźniej nie wiedział, jak zacząć. Przemogła się i powiedziała: - Rob, pokłóciłam się z twoim ojcem. Mam nadzieję, że Denis nie jest z tego powodu zbyt rozdrażniony.

Robertowi wyraźnie ulżyło.

- Jest totalnie rozdrażniony. - Chociaż Robert silił się na obojętność, w jego głosie

wyczuwało się przygnębienie. - Zupełnie na nic mi nie pozwala. W sobotę w szkole jest bal absolwentów. Kilka osób z naszej klasy zostało zaproszonych. A ojciec zabronił mi tam iść.

- Robert! Wiem, że to dla ciebie przykre. Ale czy naprawdę nie jesteście na to odrobinę za młodzi? Bal absolwentów... przecież oni są dużo starsi od was!

- Mają osiemnaście lat! Ja mam szesnaście! Co za różnica?

- Dwa lata, Rob. Dwa lata to duża różnica!

- Inni mogą iść. Tylko ja nie. Tata jest po prostu... - szukał właściwego słowa. - Tata jest po prostu podły - powiedział wreszcie, ale dało się wyczuć, że i ten epitet wydaje mu się o wiele za słaby.

Stara śpiewka. Rosanna w pełni rozumiała obawy i obiekcje Denisa, ale domyślała się też, jakim tonem wypowiedział swój zakaz. Problem stanowiło nie to, że Denis próbuje chronić Roberta, lecz sposób, w jaki to robił. Na myśl o balu absolwentów Denisowi

przychodziły do głowy najgorsze skojarzenia, takie jak alkohol, narkotyki i seks bez zabezpieczeń. Z niewyjaśnionych powodów nie był w stanie prowadzić z synem spokojnej i rzeczowej rozmowy na ten temat. Jedyne co potrafił, to wydać szorstkim tonem zakaz, któremu towarzyszył niewypowiedziany komentarz „Bez dyskusji!”. W takich warunkach eskalacji konfliktu nie dało się uniknąć. Nawet Rosanna nie była w stanie, mimo swych dyplomatycznych starań, załagodzić sytuacji.

- Twój ojciec nie jest podły - powiedziała. - Nie możesz w ten sposób myśleć. On po prostu... martwi się o ciebie. Czy naprawdę tak trudno to zrozumieć? Boi się, że za dużo wypijesz. Że wszyscy będą za dużo pić. Że starsi koledzy wezmą was do samochodów i urządzą sobie wyścigi. Ma przed oczyma obrazy, które budzą w nim niepokój.

-Ale...

- Twój ojciec cię kocha, Rob. Czasem trudno ci go zrozumieć, ale on naprawdę cię kocha. I to bardzo.

Robert milczał przez chwilę i Rosanna pomyślała, że jej nie dowierza.

- Kiedy wrócisz? - zapytał wreszcie, siląc się na obojętność.

- Jak tylko będę mogła. Ja też za wami tęsknię. Szczególnie za tobą... - Mówiła prawdę, tęskniła za nim. Brakowało jej tej piegowatej twarzy. Tego wymuszonego wyrazu nonszalancji, po którym od razu było widać, że to tylko poza. Pod tą maską wyczuwała dziecko, jakim wciąż jeszcze był: wrażliwego małego chłopca pozbawionego matki, którego nieplanowane i niechciane narodziny stanowiły dla jego zbyt młodych i niedojrzałych rodziców ogromny problem. Jako dziecko Robert cierpiał z tego powodu dużo bardziej, niż można się było domyślać.

-Aha.

W tej samej chwili zadzwonił hotelowy telefon.

- Przepraszam cię na chwilę - powiedziała Rosanna, podnosząc słuchawkę.

Dzwoniono z recepcji.

- Pani Hamilton, pan Reeve czeka na panią.

98

99

- Zaraz przyjdę - odparła Rosanna. Następnie zwróciła się ponownie do Roberta. -

Rob, posłuchaj, niestety muszę...

- Kto to jest pan Reeve? - zapytał Robert, do którego najwyraźniej dotarł głos recepcjonistki.

- To człowiek związany z jedną ze spraw, o której mam pisać. Swego rodzaju świadek. Muszę mu zadać kilka pytań.

- Aha. Dobra. No to... na razie. Pa! - powiedział Robert i odłożył słuchawkę.

Rosanna wyłączyła telefon i zamyśliła się. Kiedy Robert pytał ją o Reeve'a, wyczuła w jego głosie szczery strach. Chłopak nie zadzwonił tylko po to, żeby się jej poskarżyć na ojca. Zadzwoił, gdyż chciał nawiązać z nią kontakt, upewnić się, że Rosanna jeszcze istnieje i jest częścią jego życia. Robert wiedział o kłótni pomiędzy nimi. I o tym, że nie lubiła Gibraltaru. Że tęskniła za zawodem dziennikarki. Że jej związek z Denisem naznaczony był licznymi codziennymi utarczkami - oraz narastającą frustracją Rosanny. Rosanna przez cały czas wiedziała, jaki Robert był szczęśliwy, kiedy przejęła rolę jego matki i towarzyszki ojca, jednakże dopiero teraz dotarło do niej, że chłopiec żyje w ciągłej niepewności, obawiając się, że jego nowa rodzina może się w każdej chwili rozpaść. Uświadomiła sobie, że naprawdę cierpi z powodu jej wyjazdu do Anglii, nie mając pewności, czy wróci. Wszak nie była jego biologiczną matką. A przez tą został porzucony. Miał cztery tygodnie, kiedy kobieta, która wydała go na świat, zanosząc się histerycznym płaczem, podała go mężczyźnie, który go spłodził, krzycząc: „Już nie mogę! Już nie mogę! Już nie mogę!”.

Rzecz jasna, nie pamiętał tamtej chwili. Lecz była ona decydującym elementem jego biografii i jego tożsamości, miała odbicie w jego marzeniach i lękach.

Ach, Robert, pomyślała Rosanna, gdybyś potrafił mi zaufać. Jasne, że do ciebie wrócę. Naprawdę!

Najchętniej zaraz by do niego oddzwoniła i powiedziała mu, że go kocha i że jest częścią jej życia, nie był to jednak najlepszy moment. Poczuliby się pewnie nieprzyjemnie dotknięty takim wyznaniem.

Z zasadzie potrzebna im była dłuższa rozmowa, twarzą w twarz. Poza tym na dole w holu czekał na nią Marc Reeve.

Nie wiedziała, gdzie podziewa się Cedric, wsunęła mu więc pod drzwiami karteczkę: „Jestem na kolacji z Markiem Reeve'em”.

Zabrała płaszcz i wyszła z pokoju.

Rosanna знаła twarz Reeve'a ze zdjęć w prasie i wiedziała, że jest przystojnym mężczyzną. Niczego innego nie była w stanie się dopatrzeć. Jego sfotografowane kamienne oblicze nie zdradzało żadnych uczuć. Trudno było stwierdzić, czy mężczyzna jest wesoły czy poważny, łagodny czy surowy, sympatyczny czy nieżyczliwy, serdeczny czy chłodny. Przez telefon wydał jej się bardzo uprzejmy, jego głos brzmiał sympatycznie. Nic ponadto. Rosanna stworzyła więc na własny użytek jego wizerunek, dla którego pożywką były informacje z artykułów prasowych, okraszone opowieściami pana Halla: atrakcyjny, inteligentny, ambitny, wyrachowany, a przynajmniej strategicznie myślący.

Przypisała mu typowe cechy, jakie zwykle charakteryzują prawników. Gdyby po godzinie obcowania z Reeve'em miała powiedzieć, co o nim sądzi, do głowy przyszyłoby jej następujące określenie: ostrożny. Był jednym z najostrożniej szych ludzi, jakich w życiu spotkała.

Siedzieli w indyjskiej restauracji przy Marshall Street. Wcześniej Reeve zapytał ją, co woli - kuchnię włoską czy hinduską? A może miałyby ochotę na coś zupełnie innego? Nagle poczuła głód i na myśl o curry z baraniny pociekła jej ślinka.

- Hinduską - odparła, a on skinął głową.

- Znam niezłą restaurację na Soho. Jeśli ma pani ochotę...

- Chętnie.

Szybko i pewnie przedzierał się przez wieczorne zatłoczone ulice. Zdawało się, że zna miasto jak własną kieszeń, gdyż dwukrotnie uniknął korka, skręcając w małe boczne uliczki, w których plataninie Rosanna nie była w stanie się połapać, i wyjechał dokładnie tam, gdzie planował. Udało mu się znaleźć miejsce do zaparkowania nieopodal restauracji, choć na zdrowy rozum nie mogło tam być żadnej

100

101

luki; samochody stały zaparkowane zderzak w zderzak. Wysiadając, Rosanna zastanawiała się, czy pięć lat temu Reeve jeździł już czarnym range-roverem. Czy był to ten sam samochód, którym niegdyś jechała Elaine? Czy siedziała w tym samym fotelu? Auto nie wyglądało na nowe, jednakże nie chciała pytać. Marc Reeve zgodził się na to spotkanie pod pewnymi warunkami, nie miała zamiaru go spłoszyć, zasypując pytaniami jak nadgorliwa dziennikarka.

W restauracji było ciepło i przytulnie, w powietrzu unosiła się woń indyjskich przypraw, a wszyscy kelnerzy mieli na sobie wyszywane kaftany i turbany. Był wczesny wieczór, a w dodatku środek tygodnia, więc tylko kilka stołów było zajętych. Marc Reeve poprosił o stolik na tyłach sali. Najwyraźniej nie chciał, żeby ktoś usłyszał ich rozmowę.

Zamówili potrawy. Czekać na kolację, sączyli wino, które od razu im podano, i gawędzili o tym i owym. Rosanna opowiadała o życiu w Gibraltarze, potem rozmowa zeszła na pogodę w Anglii i katastrofalną sytuację na drogach. Najbardziej osobista uwaga, na jaką zdobył się Reeve, brzmiała: „Marzę czasem o tym, żeby wyprowadzić się na wieś. Mamy w Anglii tyle pięknych, spokojnych miejsc”.

Dyskretnie zmierzyła go wzrokiem. Z jakiegoś powodu wyobrażała sobie, że jest opalony, jeśli nie na słońcu, to przynajmniej w solarium, ale Reeve był bardzo blady. Typowa zimowa bladość mieszkańców Europy Środkowej i Północnej. Ciemne włosy, przez które tu i ówdzie przebijała siwizna. Koszula, krawat, ciemny garnitur. Pewnie przyjechał po nią prosto z biura. Wyglądał na zmęczonego.

Wreszcie Reeve wykonał pierwszy krok. Twarz mu spoważniała, pochylił się nieco do przodu i spojrzał na Rosannę.

- Nie spotkaliśmy się, żeby rozmawiać o pogodzie czy rychłej katastrofie komunikacyjnej w Londynie, lecz o Elaine Dawson. Chcę pani powiedzieć, że zgodziłem się na to spotkanie wyłącznie dlatego, że rozumiem pani osobiste zainteresowanie losami panny Dawson z uwagi na waszą znajomość. Zakładam... proszę wybaczyć, jeśli zabrzmiało to jak zarzut... że takie przedstawienie sprawy nie jest z pani strony dziennikarską sztuczką. I trzymam panią za słowo, że nasza

102

rozmowa ma charakter poufny i że bez mojej autoryzacji nic z tego, co zostanie dziś powiedziane, nie ukaże się w prasie. Oto moje warunki na ten wieczór.

Rosanna skinęła głową.

- Daję panu słowo, panie Reeve. Przyszłam tu jako przyjaciółka, czy raczej dobra znajoma Elaine Dawson. Niejako dziennikarka.

Mimo że na jego twarzy pojawił się wreszcie przelotny uśmiech, który mógłby nieco rozładować napiętą atmosferę, Rosanna nie zauważyła, żeby choć odrobinę się rozluźnił. Może i nie uważał, że ble-fuje, ale daleki był od tego, żeby jej zaufać.

Nagle Rosanna zapytała się w duchu, dlaczego właściwie Reeve przystał na to spotkanie. Co mógł zyskać?

Wydawało się, że odgadł jej myśli, ponieważ nagle odezwał się:

- Chcę być z panią zupełnie szczerzy, pani Hamilton. Po pani telefonie trudno mi było podjąć decyzję. Odgrzebywanie tamtej historii sprzed lat jest ostatnią rzeczą, na jakiej mi zależy. Ale pomyślałem sobie... - zawahał się.

- Tak? - spytała Rosanna.

- Jak już powiedziałem, rozumiem pani motywy osobiste. Ostatecznie przekonał mnie jednak fakt, że tak czy inaczej napisze pani swój artykuł dla „Covera”. Jeśli zgodzę się na współpracę, istnieje szansa, że będę miał jakiś wpływ na rezultat pani pracy. W przeciwnym razie napisze pani, co zechce.

- Jest pan wobec mnie bardzo szczerzy - stwierdziła Rosanna. Po chwili milczenia dodała: - Mam wrażenie, że cała ta historia sporo pana kosztowała.

Ponownie się uśmiechnął, tym razem gorzko.

- Pięć lat temu w styczniu miałem nieszczęście zderzyć się w drzwiach męskiej toalety na Heathrow z zapłakaną młodą kobietą. Może powinienem był ją minąć i pójść dalej. Nie miałem z nią nic wspólnego i nic mnie nie obchodziła. Ale płakała tak... rozpaczliwie, że zapytałem, czy mógłbym jej jakoś pomóc. Jedyne, co w owej chwili mogłem dla niej zrobić, to zaoferować jej nocleg. Na moje nieszczęście przyjęła propozycję. A potem... już nic nie było jak przedtem.

103

Kelner postawił na stole zamówione potrawy. Pachniały kusząco.

- Ale jestem głodna - rzuciła Rosanna.

- Ja też - przytaknął. - To mój pierwszy porządny posiłek dzisiaj.

- Mój również. - Zamiast zjeść przyzwoity obiad, obgadywałam cię z twoim sąsiadem, pomyślała zawstydzona. Miała nadzieję, że Reeve nigdy się o tym nie dowie.

Przez kilka minut jedli w milczeniu. Nagle Reeve zapytał:

- Właściwie dlaczego wszyscy twierdzą, że stało jej się coś złego?

- Czyżby wszyscy tak uważali? - Rosanna odpowiedziała pytaniem na pytanie.

Reeve przytaknął.

- W każdym razie większość. Z bratem panny Dawson na czele. Geoffrey Dawson jest o tym święcie przekonany. Także policja rozważała taką możliwość, co wydaje się w pełni zrozumiałe, w końcu to ich praca. Gazety uznały to za pewnik, ale... cóż, morderstwo sprzedaje się lepiej niż zwykłe zaginięcie.

- Prawdopodobnie nikt nie był w stanie uwierzyć, że Elaine po prostu zniknęła bez śladu. Hm... ja też nie mogę sobie tego wyobrazić...

- Przecież znała ją pani - przerwał jej Reeve. - Ten, kto ją znał, musiał wiedzieć, jaka była nieszczęśliwa i zdesperowana. Nawet mnie, obcemu człowiekowi, od razu o tym

opowiedziała. Uwiązana do swojego brata. Do wsi. Nie widziała przed sobą żadnych perspektyw. Zrobiła na mnie wrażenie osoby, która o niczym innym nie marzy, jak tylko o ucieczce.

-Ale...

- Dlaczego nikt nie wziął pod uwagę, że po prostu uciekła ze swoim chłopakiem? - powiedział, odkładając widelec. - I że odtąd ukrywa się przed swoim bratem?

Rosanna spojrzała na niego poirytowana.

- Z chłopakiem. Elaine miała chłopaka? Wyglądał na zdziwionego.

- Nie wiedziała pani?

- Nie, nie miałam pojęcia. Wzruszył ramionami.

- Tak mi w każdym razie powiedziała. I że jej brat nie może się o niczym dowiedzieć. Że marzy o tym, by wyrwać się ze wsi. Wie pani co, kiedy się dowiedziałem, że zniknęła, w ogóle mnie to nie zdziwiło.

Rosanna była zupełnie zdezorientowana. W życiu Elaine istniał jakiś mężczyzna. A to całkowicie zmienia postać rzeczy, pomyślała.

104

Środa, 13 lutego 1

W nocy przyśnił jej się Pit. Nie zdarzyło się to już od tak dawna, że rankiem obudziła się kompletnie zdezorientowana i z bólem głowy. Przez chwilę czuła się jak wtedy, zaraz po ucieczce, kiedy koszmary senne stanowiły nieodzowny element jej życia. Moment, w którym zniknęły, odnotowała jako pierwszy zwiastun zwycięstwa nad przeszłością. Lecz teraz...

To normalne, pomyślała, wstając z łóżka. W małym pokoju było jak zawsze zimno, przez nieszczelne okna wpadało do środka lodowate powietrze. Za oknem panowała szaruga. W domu naprzeciwko ktoś wywiesił kołdrę za okno, która w rezultacie raczej zawilgotnieje, niż się przewietrzy.

Przyśniła jej się scena na parkingu supermarketu. Pełna dziwacznych, surrealistycznych obrazów, jak to często bywa w snach. Supermarket był wieżowcem, właściwie drapaczem chmur, co nie zgadzało się z rzeczywistością, gdyż tak naprawdę sklep mieścił się w niskim szerokim budynku. We śnie budowla rzucała zimny, ponury cień na całą tonącą w mroku okolicę. Człowiek czuł się tam jak mała zmarznięta mróweczka ciągnąca do światła, którego nie będzie jej dane nigdy więcej ujrzeć.

To pewnie dlatego, że w pokoju jest tak zimno, pomyślała, wzdry-gając się, bowiem w rzeczywistości... owego dnia...

O ile pamiętała, był to początek września, ciepły dzień późnego lata. Wtedy jeszcze kochała Pita, w każdym razie wmawiała sobie, że tak jest. Rzecz jasna dziwiła ją jego ciągła nerwowość oraz to, że nie czuje się szczęśliwa. Kiedy wreszcie naprawdę się w kimś zakocha, myślała kiedyś, będzie promieniować radością, lekkością. Wszystko będzie ją cieszyć. Ogarnie ją euforia. U boku Pita nic takiego nie miało miejsca. Zwykła to jednak tłumaczyć ciągłą obecnością Rona. Ron był typem spod ciemnej gwiazdy, ale Pit go niestety ubóstwiał. Wciąż zapraszał go do ich wspólnego mieszkania. Żeby zadowolić Rona, musiała wtedy gotować wystawne obiady.

Tamtego dnia Ron zażyczył sobie indyka „ze wszystkimi szyskanami”, jak się wyraził.

Kiedy chciała wyjść po zakupy, Pit w ostatniej chwili wpadł na pomysł, żeby jej towarzyszyć.

Ależ była naiwna, myślała teraz, jak mogła nie zauważyć, że w jej związku z Pitem od początku coś było nie tak. Marzyła o wspólnym życiu, ale wystarczyło, że chciał z nią jechać do sklepu, a oblatywał ją strach, do oczu zaś cisnęły jej się łzy. Wyprawy na zakupy stanowiły dla niej krótką ucieczkę na wolność. Mogła spacerować sama pomiędzy regałami, porównywać ceny, przyglądać się ludziom. Przez chwilę czuła się jak jedna z owych troskliwych pań domu, które powoli i z namaszczeniem wkładają do wózka zakupy, pozwalające wyciągnąć wnioski na temat ich trybu życia. Uwielbiała wyobrażać sobie, jak żyją inni ludzie. Kobieta, która kupowała całą baterię butelek mleka i masę kartonów z różnymi gatunkami chrupek, miała prawdopodobnie kilkoro dzieci. Inna znów starannie, z pietyzmem wręcz, wybierała puszki z karmą dla kotów i ciasteczka. Pewien młody mężczyzna robiący zakupy w wielkim pośpiechu był pewnie studentem - napełnił bowiem koszyk kawą oraz colą i do głowy mu nie przyszło, żeby wziąć coś do jedzenia. Może czekały go egzaminy i musiał jakoś zwalczać senność podczas nocnej nauki.

W obecności Pita nie mogła oddawać się podobnym fantazjom. rzeczywiście Pit potrafił być dla niej czuły, kiedy akurat był w odpowiednim 11: istroju, ale umiał ją również boleśnie urazić, dając dobitnie do zrozumienia i, że uważają za głupią kozę. Snucie domysłów na temat innych ludzi na podstawie zawartości koszyków z zakupami uznałby za idiotyzm.

106

107

Tego dnia Pit od samego rana był rozdrażniony. Kazał jej prowadzić, potem zaś przez całą drogę ją strofował. A to że za szybko albo za wolno jedzie, a to że za wcześnie albo za późno hamuje - cokolwiek zrobiła, był niezadowolony. W związku z tym coraz bardziej się denerwowała i rzeczywiście coraz mniej pewnie kierowała.

- Nie do wiary - jęknął Pit teatralnie, kiedy wjeżdżając na parking Tesco, o mały włos nie potrąciła rowerzysty, który w ostatniej chwili ratował się karkołomnym unikiem i pojechał dalej, rzucając przekleństwa pod jej adresem. - Nie do wiary, jak można tak beznadziejnie prowadzić!

- Dlaczego sam nie usiadłeś za kierownicą, skoro uważasz, że nie potrafię jeździć? - zapytała bliska łez.

- A jak masz się czegokolwiek nauczyć, jeśli będę wszystko robił za ciebie?

Najwyższy czas się trochę usamodzielnić! Cholera jasna!

Przynajmniej udało jej się zaparkować samochód, nie wzbudzając przy tym nadmiernego niezadowolenia Pita. Narzekał wprawdzie, że zatrzymała się za daleko od wejścia, ona jednak specjalnie zaparkowała właśnie tutaj - sąsiednie miejsce było wolne, dzięki czemu mogła wjechać po szerszym łuku. Była rozdygotana i mogłaby jeszcze zarysować komuś samochód.

Tego, co wydarzyło się potem, nie była w stanie dokładnie zrekonstruować.

Przeoczyła decydujące sekundy i nie umiała ocenić, czy rzeczywiście doszło - jak twierdził później Pit - do próby morderstwa. Dokładnie w chwili, kiedy wysiedli z samochodu, na miejsce po lewej stronie wjechał z piskiem opon czerwony mini cooper i mało brakowało, a urwałyby otwarte drzwi ich auta i potrącił Pita, który jak

zawsze pojeździe samochodem, choćby i kilkuminutowej, przeciągał się, prezentując swoje muskuły.

Koniec końców nic się nie stało. Mini cooper w porę się zatrzymał, nikt nie doznał szwanku, a kierowca, młody mężczyzna w swetrze i dżinsach, uśmiechnął się przepraszająco. Chyba rzeczywiście nieco za ostro wszedł w zakręt i niepotrzebnie kogoś wystraszył.

Pit wpadł w szal.

- Hej, dupku! - ryknął. - Wysiadaj! I to już!

Uśmiech zamarł na twarzy młodego człowieka i ustąpił miejsca zdziwieniu.

- No już! Wysiadaj, powiedziałem! - wrzasnął Pit.

Młoda kobieta z dzieckiem w wózku spojrzała wystraszona i przyspieszyła kroku.

Przechodząca obok para staruszków także czym prędzej się oddaliła.

Mężczyzna cofnął nieco samochód. Przez chwilę wydawało się, że chce odjechać, i pewnie rzeczywiście przyszło mu to do głowy, ale w końcu duma wzięła górę.

Ostrożnie, ale zdecydowanie zaparkował samochód obok kipiącego złością Pita.

Bezskutecznie błagała go w duchu: „Nie zatrzymuj się! Jedź sobie!”.

Jednakże mężczyzna zamiast odjechać, wysiadł z samochodu. Trudno o silniejszy kontrast niż ten, który uwydatniał się przy zestawieniu młodego kierowcy z Pitem.

Właściciel mini coopera był wysoki, ubrany drogo i ze smakiem, sprawiał wrażenie inteligentnego i wykształconego. Przerastał o głowę Pita, który był jednym wielkim zbitkiem mięśni. Sprane postrzępione dżinsy ciasno opinały jego krótkie krzywe nogi. Miał na sobie białą koszulkę bez rękawów, na odsłoniętych ramionach widoczne były liczne tatuaże.

- Chodź no tutaj! - ryknął. - Jazda!

- Nie rozumiem, o co panu chodzi - powiedział młody człowiek. - Przykro mi, jeśli parkując, przestraszyłem pana. Na szczęście nic się panu nie stało i z tego co widzę, samochód także jest cały.

- Pyskować mi tu będziesz, co? Najpierw mnie atakuje, a potem jeszcze pyskować mu się zachciewa, tak? - nienaganne maniery rozmówcy wzmogły agresję Pita.

Podobnie jak mini cooper, sweter w serek, skórzane buty. Facet reprezentował sobą wszystko to czego Pit nienawidził.

- Zaraz oberwiesz w mordę! - krzyknął Pit.

Młody mężczyzna wyglądał niepewnie, chociaż próbował nie dać tego po sobie poznać. Był wyższy od Pita, ale gdyby doszło do bójki, niewiele by mu to pomogło. Nie zwykł rozwiązywać konflik-

108

109

tów siłowo, nie miał w sobie choćby ułamka tej brutalności, z której sływał Pit.

- Nic się nie stało - powtórzył spokojnie, ale wargi mu odrobinę przybladły.

- Nic się nie stało, he? Nic się nie stało? O mało mnie nie przejechałeś swoim samochodem, ty dupku, i jeszcze pieprzysz, że nic się nie stało? - Pit dla podkreślenia wagi swoich słów z całej siły kopnął w błotnik samochodu. Udało mu się spowodować niewielkie wgniecenie.

- Proszę przestać! - zaoponował mężczyzna.

- Mówiłeś coś? Podejź no tu do mnie, bo nic nie słyszę, dupku. Co powiedziałeś?

Głośniej, żebym cię słyszał! - Pit obszedł samochód dookoła i zatrzymał się niebezpiecznie blisko mężczyzny.

Temu najwyraźniej serce podskoczyło do gardła. Rozejrzał się wokoło, jakby w poszukiwaniu pomocy, ale kilka znajdujących się w pobliżu osób odwróciło wzrok i pospiesznie się oddaliło. Pit należał do tego rodzaju mężczyzn, których ludzie instynktownie omijali łukiem. Kto miałby ochotę wchodzić w konflikt z tym uosobieniem nienawiści i przemocy?

- Poprosiłem, żeby przestał pan kopać mój samochód - powtórzył mężczyzna, bo nie pozostało mu nic innego. - W przeciwnym razie wezwę policję.

- Gliny? Chcesz wzywać gliny, dupku? Najpierw próbujesz mnie zabić, a teraz chcesz dzwonić po gliny? Nie wydaje ci się, że to trochę bezczelne? Nawet bardzo bezczelne? Co? Głośniej, dupku. Nic nie słyszę.

- Nic nie mówiłem - odparł młody mężczyzna. Dlaczego po prostu nie odjechałeś, pomyślała zrozpaczona. Pit wziął zamach i trafił mężczyznę w nos. Ten pod wpływem

uderzenia zgiał się wpół i osunął na ziemię. Z nosa trysnęła mu krew. Zakrył twarz dłonią, w przerażeniu patrząc na Pita.

- Wciąż jeszcze chcesz wzywać gliny? Co? Nic nie słyszę! Nic nie słyszę! - z całej siły kopnął ofiarę w żebra.

Mężczyzna z krzykiem przewrócił się na bok i leżał skulony na zalanym słońcem asfalcie.

- Proszę, nie - jęknął cicho.

- Co? Co mówisz? Wydawało mi się, że coś powiedziałeś - kopnął go raz jeszcze. Tak mocno, że byłby w stanie naraz złamać kilka żeber. Młody mężczyzna jęknął głośniej.

Zauważyła, że kierowca przeniósł na nią błagalne spojrzenie. Odwróciła wzrok. Nie mogła mu pomóc. Wiedziała, co ją czeka, jeżeli będzie próbowała interweniować. To straszne, że bez żadnego powodu został pobity na tym parkingu. Tylko dlatego, że miał pecha i znalazł się w niewłaściwym momencie w niewłaściwym miejscu, i trafił na takiego nieudacznika jak Pit, który zawsze szukał kogoś, na kim mógłby wyładować swoją agresję i nienawiść. Ale przecież przeżyje i wróci do normalności, do swojego świata, w którym nie spotyka się typów pokroju Pita, gdzie ludzie odnoszą się do siebie uprzejmie i kulturalnie. Ona natomiast nie mogła stąd uciec. Była związana z Pitem i Ronem, nie mogła sobie pozwolić na to, by pogarszać swoje położenie. Pit wprawdzie jeszcze nigdy jej nie uderzył, ale raz mało brakowało i doskonale wiedziała, że prędzej czy później to zrobi. Na dobrą sprawę już wtedy przeczuwała, jakie piekło ją czeka.

Tego dnia na parkingu, mając u swych stóp zwijającego się z bólu, broczącego krwią mężczyznę, po raz pierwszy w życiu zadała sobie pytanie, czy jej dawne życie nie było mimo wszystko lepsze.

Do dziś pamiętała swoją odpowiedź. Przecież nie mogę żyć bez Pita! Nie mogę żyć bez mężczyzny, do którego należę!

Odwróciła wzrok od leżącego na chodniku człowieka. W końcu Pit uznał, że już wystarczy, wyrwał jej z rąk kluczyki i powiedział:

- Jedziemy!

- A... a nasze zakupy? - zapytała, jakby było to w owej chwili najważniejsze.

- Zakupy możemy zrobić gdzie indziej. Wsiadaj.

Wsiadli i odjechali z piskiem opon, ale nie było w tym nic nadzwyczajnego - Pit robił tak zawsze, kiedy siedział za kierownicą. W tylnym lusterku mignęła jej jeszcze leżąca na parkingu postać i ciarki przeszły jej po plecach. Pit pogwizdywał. Był w doskonałym

110

111

humorze i wstąpili jeszcze do sklepu obuwniczego, gdzie kupił jej w prezencie pantofle, czarne lakierki na dwunastocentymetrowym obcasie, zapinane z przodu na duże klamry. Chciał, żeby nosiła takie buty. Jej się nie podobały, ale nie śmiała mu się sprzeciwić.

Jak ta sprawa się skończyła? - zastanawiała się, stojąc w małej, ciasnej łazience w domu pana Cadwicka, podglądacza. W lustrze widziała swoją zatroskaną twarz, wyglądającą na o wiele starszą niż w rzeczywistości, i wciąż trzęsła się z zimna. Kierowca mini coopera złożył skargę na policji. Przechodnie, którzy nie mieli odwagi mu pomóc, przynajmniej zapamiętali numery rejestracyjne. Ale Pit pozostał właściwie bezkarny. To znaczy, ukarano go grzywną oraz karą pozbawienia wolności w zawieszeniu. Nie przejął się, że od tej chwili jest notowany na policji. Zdawało się, że był to dla niego wręcz powód do dumy.

Obmyła twarz i przeczesała włosy. Tego ranka postanowiła nie brać prysznic, ponieważ bojler był tak mały, że ciepła woda kończyła się zazwyczaj szybciej, niż się tego spodziewała, a dziś nie zniosłaby na swoim ciele lodowatego strumienia.

Czmychnęła do pokoju, prędko włożyła bieliznę, dzinsy, sweter i grube skarpety. Musiała jak najszybciej napić się gorącej kawy, żeby się ogrzać. To skandal, że pan Cadwick ma czelność wynajmować tak zimne mieszkanie. Okna już od dawna nadają się do wymiany. Gdyby przynajmniej był miły. Ale on kręcił się po przedpokoju, wystawał pod jej mieszkaniem z uchem przylepionym do drzwi, przeżywając młodzieńcze uniesienia. Otrząsnęła się ze wstrętem.

Obok w kuchni leżała na stole gazeta. Kupiła ją wczoraj i uważnie przejrzała część z ogłoszeniami o wynajmie nieruchomości. W jednej z sąsiednich wsi oferowano dwa mieszkania, które nie były droższe niż nora, którą teraz zajmowała, a na pewno nie mogły być gorsze. Problem polegał na tym, że nie mogłaby chodzić stamtąd na piechotę do pubu. Kursował wprawdzie autobus, ale nie w nocy, kiedy zwykle kończyła pracę. Musiałaby kupić rower, ale co będzie zimą? Być może udałoby jej się znaleźć pracę w innej wsi, mogłaby się rozejrzeć. Miejsce, w którym teraz mieszkała, było optymalne, ale od-

112

czuwała niemal chorobliwą niechęć do pana Cadwicka i nie potrafiła myśleć o niczym innym, jak tylko o przeprowadzce.

Zresztą kto wie, może już czas na zmianę. Pomyślała o tym, jak na początku, krótko po ucieczce, przysięgała sobie, że nie osiadzie na dłużej w jednym miejscu. Być może zaczynała tracić czujność, a obleśny pan Cadwick był znakiem od Boga, że powinna zwinąć obozowisko. Czasami myślała, że wszystko to sobie wmówiła, że pod wpływem traumatycznych przeżyć niepotrzebnie zadaje sobie trud nieustannych

przeprowadzek. Ale kiedy wspominała zdarzenie na parkingu Tesco, wiedziała, że nigdy dość ostrożności. Pobicie mężczyzny przed sklepem stanowiło preludium. Potem miały miejsce jeszcze inne zdarzenia. Pit był psychopata. W głębi duszy wiedziała, że nie spocznie, dopóki nie doprowadzi sprawy do końca. Czasem budziła się w nocy, czując, że Pit ciągle jej szuka.

Schowała gazetę do torebki. Od pana Cadwicka nie mogła dzwonić w sprawie ogłoszeń, to jasne. Zatelefonuje z pubu.

Może już nigdy nie będzie musiała zimą marznąć tak, jak w swoim dotychczasowym schronieniu.

Na myśl o tym od razu poprawił jej się humor.

W kuchni państwa Biggsów w Islington siedział inspektor Fielder ze Scotland Yardu i tego ranka bez entuzjazmu pełnił swoje obowiązki. Jako młody chłopak z zamiłowaniem czytał kieszonkowe wydania kryminałów, utożsamiając się ze słynnymi detektywami i inspektorami, i nawet przez chwilę nie miał wątpliwości, że w przyszłości będzie pracował w policji. Chciał ścigać morderców. Oddać zmarłym pośmiertnie sprawiedliwość. Pociągnąć do odpowiedzialności tych, którzy nie zawahali się przed popełnieniem najstraszliwszej zbrodni i odebrali życie drugiemu człowiekowi.

Prędko przekonał się, że rzeczywistość nie jest taka jak w powieściach. Nie da się też pozostać na zawsze małym chłopcem

113

kierującym się wyłącznie palącym poczuciem sprawiedliwości. Jednakże Fielder stracił dawny entuzjazm. Nie tylko dlatego, że wielu spraw nie udało mu się wyjaśnić. I nie dlatego, że ulegał zgorzknieniu, widząc, jak łagodne kary wymierza się ludziom, którzy wyrządzili innym nieopisane zło. Tym, co przede wszystkim wyniszczało Fieldera, było codzienne obcowanie z przemocą. Konfrontacja z gorszą, zepsutą, perwersyjną stroną ludzkiej natury. Wciąż wzywano go na miejsca zbrodni. Patrzył na ciała pomordowanych. Widział zgaszone życie. Badał ślady niezrozumiałej brutalności. Stawał oko w oko z cierpieniem, żałobą pozostałych przy życiu. Jako nastolatek nie zastanawiał się nad tym aspektem swojego zawodu. Nie myślał o tym, że będzie musiał obcować z bliskimi ofiar, patrzeć na grozę, jaka w jednej chwili zawładnęła ich życiem. Że będzie musiał ich przesłuchiwać, mimo że są w głębokim szoku i potrzebują zarówno spokoju, jak i psychologicznego wsparcia. Musiał zadreć ich pytaniami, dopóki ślady były świeże. Czasami czuł się, jakby wbijał komuś nóż i obracał go w ranie.

Ze względu na wagę przestępstwa sprawę Lindy Biggs skierowano do Scotland Yardu, dlatego Fielder nie miał wyjścia - musiał tego ranka dreć pytaniami pogrążoną w żałobie rodzinę Biggsów. Poprzedniego dnia Sally i Gordon bez wahania zidentyfikowali ofiarę z Epping Forest jako swoją córkę Lindę. W ten sposób denatka otrzymała imię, twarz i przeszłość.

Linda Biggs, lat szesnaście, urodzona ósmego grudnia 1991 roku, zamieszkała w Londynie, w dzielnicy Islington. Przerwana edukacja szkolna. Bez pracy.

Linda Biggs miała marne perspektywy na przyszłość. Ciasne mieszkanko w ubogiej dzielnicy. Siedem osób na osiemdziesięciu metrach kwadratowych. Ojciec najczęściej bez pracy. Matka alko-holiczka. Najstarszy brat wszedł już w konflikt z prawem.

Fielder wiedział, że niektórym młodym ludziom udaje się wyrwać z podobnego środowiska. Ale stanowili oni mniejszość. Większość rodziła się w społecznej nędzy, żyła w niej i umierała.

114

A jednak istniała dla Lindy jakaś nadzieja - była wyjątkowo atrakcyjna. Geny jej wyjątkowo niepowabnych rodziców wymieszały się nader korzystnie, dając zjawiskowo piękny owoc. Niestety Linda nie potrafiła tego wykorzystać. Sposób, w jaki się ubierała i malowała, zawsze stanowiłby dla niej przeszkodę na drodze do lepszych sfer. Miał rację jej ojciec, mówiąc: „Latała po ulicy ubrana jak dziwka”. Czy właśnie to przyciągnęło mordercę?

W domu zebrali się wszyscy członkowie rodziny. Chłopcy milczeli zaszokowani i najwyraźniej tego dnia nie byli w stanie iść do szkoły. Także Angela zadzwoniła do pracy i wzięła dzień wolnego. Oczy miała podpuchnięte i zaczerwienione. Pewnie przez całą noc płakała i była kompletnie wycieńczona.

Gordon siedział ze wzrokiem wbitym w ścianę. Przed Sally stała na stole butelka wódki, ale od przyjscia inspektora Fieldera ani razu po nią nie sięgnęła. Od czasu do czasu zaciskała ręce na szklance, jakby chciała się upewnić, że może liczyć na wsparcie, jeśli nie zdoła znieść bólu.

Fielder złożył wszystkim obecnym wyrazy współczucia, nie otrzymał jednak żadnej odpowiedzi. Odkasznął. Przeprosił za najście, na co Sally odparła:

- Rozumiem. To przecież pańska robota.

- Potrzebna będzie nam lista wszystkich przyjaciół i znajomych, którzy mieli kontakt z państwa córką - powiedział. - Przede wszystkim interesują nas osoby, z którymi spotykała się w ciągu ostatnich miesięcy. Ale także znajomi z wcześniejszego okresu. Czy ktoś z państwa jest w stanie sporządzić taką listę?

Jak na komendę wszyscy spojrzeli na Angelę. Ta przetarła spuchnięte oczy.

- Tak, mogę to zrobić. Myślę, że... najlepiej ją znałam.

- Miała pani dobry kontakt z siostrą? - zapytał Fielder. Angela wzruszyła ramionami.

- Właściwie tak. Chociaż przez ostatnie pół roku... nie aż tak bardzo dobry.

- Czy coś się stało?

115

- Wcześniej dużo mi o sobie opowiadała. Całymi nocami. Miałyśmy... wspólny pokój. Czasami musiałam ją prosić, żeby przestała wreszcie gadać, bo muszę się wyspać. Ale ona w kółko to samo. Tak bardzo... wszystkim się cieszyła.

Potrzebowała kogoś, z kim mogła dzielić swoją radość.

- Rozumiem - powiedział Fielder. Zastanowił się przez chwilę, po czym zwrócił się do Gordona: - Panie Biggs, jak wynika z raportu posterunkowego Burnsa, podczas jego wizyty mówił pan, że córka... zawierała częste znajomości z mężczyznami.

Wyraził pan wręcz pewność, że zatrzymała się u jednego z nich. Czy zna pan imiona i nazwiska tych osób?

Gordon spuścił głowę.

- Miała takiego jednego... jak mu było na imię? Ben. Ben Brooks. Mieszka w sąsiednim bloku.

- Czy był chłopakiem Lindy? Gordon przytaknął.

- Tak, był jej chłopakiem. Całkiem miły gość. Ale do niczego się nie nadawał.

- Nie nadawał?
- Bez zawodu. Popijał. Bez przyszłości. Rozumie pan? Fielder skinął głową. Rozumiał. Ben Brooks nie różnił się od większości chłopców w okolicy.
- Chodzili ze sobą przez dwa lata. Pół roku temu Linda go zostawiła.
- Pół roku temu - powtórzył Fielder w zamyśleniu. - Wtedy właśnie przestała się pani zwierzać, panno Biggs. Czy wie pani, co było przyczyną rozstania? Angela potrząsnęła głową.
- Na początku w ogóle mi o tym nie powiedziała. Spotkałam kiedyś Bena, był zrozpaczony, pytał mnie, co się dzieje. Linda niespodziewanie go rzuciła, nie podając żadnego powodu. Podobno jej się znudziło, tak przynajmniej powiedziała. Ben miał nadzieję, że dowie się ode mnie czegoś więcej, aleja nie miałam o niczym pojęcia.
- Z pewnością zapytała pani o to siostrę?

116

- Oczywiście. Powiedziała, że Ben jest maminsynkiem, dokładnie w ten sposób się wyraziła. Mówiła, że potrzebuje prawdziwego mężczyzny. Nie chciała zadawać się z maminsynkami.
 - Ile lat ma Brooks?
 - Osiemnaście. Miły z niego chłopak. To nie był zły wybór.
 - Nieudacznik - odburknął Gordon. - Miły nieudacznik.
 - A inni mężczyźni...? - próbował delikatnie podpytać Fielder. Angela posłała ojcu gniewne spojrzenie.
 - Tata zawsze jej to zarzucał. Mówił, że sypia z połową Londynu. To nieprawda. Wprawdzie przez dwa lata związku z Benem nie zawsze była mu wierna. Kiedyś na imprezie zdarzył jej się mały skok w bok z jakimś chłopakiem w toalecie. I raz poderwał ją w drogerii jakiś facet, z którym przez dwa tygodnie spotykała się za plecami Bena. To wszystko.
 - Z tego co pani wiadomo.
 - Mówiła mi o wszystkim - powiedziała stanowczo Angela.
 - Panie Biggs, czy ma pan konkretne dowody na rzekome znajomości córki z innymi mężczyznami? - zapytał Fielder.
- Gordon mruknął coś pod nosem.
- Tacie nie podobało się, że się tak ubierała - powiedziała Angela. - Twierdził, że wygląda jak...
- Sally, która do tego momentu milczała, z niespodziewaną ostrością włączyła się do rozmowy.
- Nie! Nie waż się tak mówić! Nigdy więcej nie mów tak o swojej siostrze!
 - To on zawsze tak się o niej wyrażał - broniła się Angela. Dostała wypieków na twarzy. - Mówił, że wygląda jak nie powiem kto, i stąd wnioskowałam, że tak samo się zachowuje.
 - Hm, jej wygląd... - zaczął Gordon, ale Fielder przerwał drażliwy temat.
 - W każdym razie nie znają państwo nazwisk innych mężczyzn, z którymi spotykała się państwa córka?
 - Nie - odparła Angela.
 - Nie - powiedział Gordon.

- Oczywiście porozmawiamy z Benem Brooksem - oświadczył Fielder - jak również z przyjaciółmi, znajomymi, sąsiadami Lindy. Każda najdrobniejsza informacja może okazać się istotna. Osobiście jestem skłonny przypuszczać, że około pół roku temu zaszła jakaś decydująca zmiana w życiu Lindy. Przemawiają za tym następujące fakty: Linda niespodziewanie rozstaje się ze swoim wieloletnim chłopakiem. Nagle przestaje opowiadać o sobie siostrze, która do tej pory była jej powiernicą. Podczas pierwszej rozmowy z policją Angela wspomniała, że jej siostra nagle zaczęła nosić drogie stroje. Nikt z rodziny nie potrafi wyjaśnić, skąd Linda brała na nie pieniądze. Czy także ta zmiana nastąpiła pół roku temu?

Angela zastanawiała się przez chwilę.

- Tak, to możliwe - odparła. Fielder skinął głową.

- Wygląda na to, że w życiu Lindy pojawił się w owym czasie mężczyzna - powiedział jakby do siebie - który miał pieniądze i wiele dla Lindy znaczył. Tak wiele, że nie opowiadała o nim nawet swojej siostrze.

- Czy sądzi pan, że to on ją zamordował? - zapytał Gordon.

- Na razie nic na to nie wskazuje. I dopóki nie wiemy kto to, poruszamy się po omacku. Nie musiał mieć nic wspólnego ze śmiercią Lindy. Ale być może to nasz jedyny punkt zaczepienia. Najprawdopodobniej zatrzymała się u niego po kłótni w domu. Mógłby nam pomóc zrekonstruować ostatnie dni jej życia. - Fielder podniósł się z miejsca. - Czy nie mają państwo nic przeciwko temu, żebym przejrzał jej rzeczy? Szafki, szuflady, torebki i tym podobne. Może znajdę tam jakąś wskazówkę dotyczącą tajemniczego nieznajomego.

Gordon także wstał.

- Jasne - powiedział. - Pokażę panu jej pokój.

- Idę z wami - powiedziała prędko Angela. W końcu był to również jej pokój.

Fielder skinął głową.

- Jeszcze jedno - zatrzymał się na chwilę. - Czy mówi coś państwu nazwisko Jane French?

Wszyscy zebrani wpatrywali się w inspektora.

- Jane French? - powtórzyła Sally.

- Czy to jakaś przyjaciółka naszej Lindy? - zapytał Gordon. Fielder potrząsnął głową.

- Nie - odparł. - Raczej nie. Jane French to młoda kobieta, która została zamordowana ponad pięć lat temu. Znalaziono ją w Epping Forest, choć w zupełnie innej części lasu niż Lindę. Oba przypadki nie muszą mieć ze sobą nic wspólnego. Ale... kiedy zobaczyłem zdjęcia Lindy, kiedy przeczytałem raport z autopsji, od razu przyszła mi do głowy tamta sprawa. Jane została zgwałcona i bestialsko pobita, następnie związano ją i porzucono przy brzegu stawu, gdzie się utopiła.

- Jak... nasza... - wyszeptała Sally.

- Możliwe jednak, że pomiędzy tymi morderstwami nie ma żadnego związku - powtórzył Fielder.

- Czy wiadomo... kto wtedy...? - zapytał Gordon.

Fielder z ubolewaniem potrząsnął głową. Sprawa Jane French stanowiła największą porażkę, jakiej doświadczył w swojej karierze zawodowej. Wszystkie ślady,

wszystkie wskazówki prowadziły donikąd.

- Sprawa Jane French nie została nigdy wyjaśniona.

Rosanna musiała chwilę poczekać, zanim po drugiej stronie zgłosił się Geoffrey. Siostra, która odebrała telefon w domu opieki, wysłuchawszy Rosanny, westchnęła głośno.

- Spróbuję - powiedziała. - Ale może być ciężko. Mam nadzieję, że pan Dawson zgodzi się z panią porozmawiać.

Najwyraźniej personel był już przyzwyczajony do humorów (ieoffreya. Czekając, Rosanna przypomniała sobie pełnego życia młodzieńca, jakim był niegdyś Geoff, i porównała ten obraz z kupką nieszczęścia, którą zastała podczas spotkania przed kilkoma dniami.

119

Bolesne zestawienie. Rozumiała jego wściekłość, nienawiść do świata, ludzi i losu. Pewnie sama zachowywałaby się podobnie.

Usłyszała, jak ktoś zbliża się do telefonu - ciche skrzywienie, prawdopodobnie odgłos gumowych kół na linoleum - a chwilę później rozpoznała głos Geoffreya.

- Cześć, Rosanno, co słychać?

- Cześć, Geoffrey. Przepraszam, że przeszkadzam... - zaledwie zdążyła to powiedzieć, miała ochotę ugryźć się w język. Pusta fraza, ale na Geoffreya musiała podzielać jak płachta na byka. Jeśli raz w miesiącu ktoś do niego dzwonił, raczej wnosił drobną odmianę w jego codzienność, niż mu się naprzykrzał.

- W porządku, w moim życiu nie ma nic takiego, w czym mogłabyś mi przeszkodzić

- odparł i jednym tchem dorzucił: - Rozmawiałaś z tą świnią, Reeve'em?

- Tak, wczoraj wieczorem. To była długa rozmowa.

- Ach tak? Zniżył się do spotkania z tobą? Zdaje się, że jest wyjątkowo pewny swego. No cóż, nie dziwię się. W zasadzie nikogo już nie interesuje sprawa Elaine. Wszyscy pogodzili się z jej zniknięciem. Może się przecież zdarzyć, że kobieta przepadnie bez śladu. Nie ma się czym ekscytować!

- Geoffrey - powiedziała Rosanna - czy wiedziałeś, że Elaine miała chłopaka?

Chwila konsternacji. Po krótkim milczeniu Geoffrey zapytał:

- Jak to: chłopaka? Masz na myśli...?

- Mężczyznę... Kochanka. Związek. Podobno opowiedziała o nim Reeve'owi.

Tamtego wieczoru.

- Stara śpiewka - odparł Geoffrey. - Już wtedy tak twierdził.

- Wtedy?

- Opowiadał na policji o jakimś tajemniczym kochanku. Mnie również o niego pytano. I moja odpowiedź już wówczas brzmiała: „nie”.

- Była to odpowiedź na pytanie, czy coś ci o tym wiadomo, czy też...?

- Moje „nie” odnosiło się do pytania, czy w życiu Elaine był jakiś mężczyzna. Nie, nie było. Reeve wymyślił tę historię na oczekaniu,

żeby odwrócić od siebie uwagę. Niezły pomysł, faktycznie sprytny z niego adwokat.

Sprzedaje bajeczkę o nieistniejącym mężczyźnie i natychmiast cała sprawa jawi się w innym świetle. Naraz wszyscy są przekonani, że Elaine związała z ukochanym. A

Reeve w ten sposób wybrnął z opresji.

Rosanna zawahała się. Następnie bardzo ostrożnie zapytała:

- Zatem całkowicie wykluczasz możliwość, że Elaine... zataiła przed tobą istnienie owego... mężczyzny?

- Myślisz, że trzymałaby w tajemnicy przede mną coś takiego? Aż potem nagle spotkała na lotnisku obcego faceta i otworzyła się przed nim? Wybacz, ale to czysty absurd.

Rosanna milczała. Nie dlatego, że ją przekonał. Zrozumiała, że rzeczowa rozmowa z Geoffreyem jest niemożliwa. Bronił się przed przyjęciem do wiadomości niewygodnych faktów. Prawdopodobnie nie był w stanie przyznać się przed sobą, jak ogromną presję wywierał na Elaine, jak kurczowo starał się ją przy sobie zatrzymać. Nie mieściło mu się w głowie, że siostra na marginesie ponurej codzienności niepozornej opiekunki stworzyła sobie inne życie, które utrzymywała w tajemnicy przed nim. Przyjęcie podobnej hipotezy równowałoby się utracie i tak już chwiejnej równowagi psychicznej, której zachowanie kosztowało go prawdopodobnie więcej wysiłku, niż ktokolwiek w jego otoczeniu przypuszczał.

Rosanna przypomniała sobie wczorajszą rozmowę z Markiem Reeve'em.

- Czy powiedział pan policji o przypuszczeniu, że Elaine uciekła z kochankiem? - zapytała. - Czy w ogóle wspomniał pan podczas przesłuchania o tym nieznanym? Reeve skinął głową.

- Oczywiście. Ale właśnie na tym polegał problem. Nikt o nim nie słyszał. Nie było ani nazwiska, ani rysopisu. W rozmowie ze mną Elaine nie wdawała się w szczegóły. Rozmawiano potem z Dawsonem, który uparcie zaprzeczał istnieniu jakiegokolwiek mężczyzny w życiu siostry. Na moje nieszczęście również jej koledzy z pracy nie mieli o niczym pojęcia. Przyjaciel pozostał zjawą, śladem prowadzącym donikąd.

120

121

- Rosanno! - powiedział Geoffrey dobitnie, wrywając ją z zamyślenia. - Posłuchaj, nie daj się omotać Reeve'owi! W życiu Elaine nie było żadnego mężczyzny. W przeciwnym razie wiedziałbym o tym. Ktoś musiałby o tym wiedzieć. Możesz przepytąć wszystkich mieszkańców Taunton i Kingston St. Mary, nie spotkasz nikogo, kto kiedykolwiek widział ją z mężczyzną. Zastanawiające, nieprawdaz? Przecież czegoś takiego nie da się ukryć!

Chyba że Elaine robiła wszystko, żeby zataić przed tobą tę znajomość, pomyślała Rosanna, i zadbała o to, żeby osoby trzecie nie mogły ci o tym donieść. Coś podobnego na dłuższą metę nie ma szans powodzenia, ale przez jakiś czas może się udawać.

- Rosanno, Reeve jest zbrodniarzem! To przystojny, interesujący mężczyzna i chyba już kompletnie się w nim...

- Bzdura. Geoffrey, proszę, uwierz mi, że jestem w stanie spojrzeć trzeźwo na sprawę. Nie odniosłam wrażenia, że Reeve kłamał, mówiąc mi o mężczyźnie w życiu Elaine. Niewykluczone jednak, że Elaine nieco ubarwiła swoją opowieść. Może spodobał jej się ktoś z otoczenia, zadurzyła się w nim i nazwała swoim przyjacielem, chociaż osoba, którą miała na myśli, nie zdawała sobie sprawy z własnego szczęścia. To przecież prawdopodobne.

- Aha. Nie mieści ci się w głowie, że Marc Reeve kłamie, łatwiej ci założyć, że to Elaine...

- Geoffrey, uwolnij się wreszcie od tego czarno-białego myślenia. Wcale nie twierdzą, że Elaine go okłamała. Może po prostu zdarzało jej się śnić na jawie. Każdy z nas lubi sobie czasem pomarzyć. Była dwudziesto-trzyletnią kobietą. Czynie sądzisz, że czasami zastanawiała się, jak to jest mieć chłopaka? Być przez kogoś kochanym? To przecież normalne.

- Miała mnie.

- Ty jesteś jej bratem.

- Byłem jej powiernikiem. Mówiła mi o wszystkim. Idę o zakład, że się mylisz, pomyślała Rosanna.

Rozmowa z Geoffreyem zmierzała donikąd. Reeve przepowiedział to poprzedniego wieczoru, kiedy zdradziła się z zamiarem rozmowy z nim na temat tajemniczego ukochanego.

- Powie to samo co wcześniej. Że to wykluczone. Że Elaine nie miała przed nim żadnych tajemnic.

Podala Geoffreyowi numer swojego telefonu komórkowego oraz numer do hotelu i poprosiła, żeby zadzwonił do niej, jeśli coś sobie przypomni. Geoffrey zanotował numery telefonów, próbując ją jednocześnie przekonać, że zmierza w niewłaściwym kierunku.

- Geoffrey, zadzwonię później - powiedziała wyczerpana. - Będę cię na bieżąco informować.

- Uważaj tylko, żeby Reeve cię nie...

- Nie jestem głupia - odparła krótko i odłożyła słuchawkę. Żal jej było Geoffa, ale irytował ją. Rozmowa z nim przypominała walenie głową w mur.

Ten człowiek jest jak gład, pomyślała. Jakby paraliż członków pociągnął za sobą również bezwład umysłu. Jego poglądy są jak wykute w kamieniu. Musi być tak, jak jemu się wydaje. Innych możliwości nie wolno nawet brać pod uwagę.

Naraz Rosanna poczuła się zmęczona i sfrustrowana. Cierpiała, patrząc na przyjaciela z dziecięcych lat, który nie był już taki, jakim go poznała. Ale nie tylko rozmowa z nim tak ją wyczerpała. Do myślenia dawała jej także dyskusja z Robertem. Jak również to, że Denis wciąż jeszcze nie spróbował się z nią skontaktować.

Zastanawiała się, czy całe to przedsięwzięcie nie jest z jej strony pomyłką. Historia Elaine wzburzyła ją bardziej, niż się tego spodziewała. Praca nad pozostałymi przypadkami nie posuwała się do przodu, ponieważ jej osobiste zaangażowanie całkowicie wstrzymywało dalsze działanie. Jej małżeństwo tkwiło w kryzysie, pasierb cierpiał na skutek jej nieobecności i dręczył go lęk, że mogłaby nie wrócić.

Ona natomiast mieszkała w pokoju hotelowym, który chociaż był wygodny i luksusowy to Rosanna czuła się tu obco. Nagle zatęskniła do swoich codziennych rytuałów, do tego, żeby nastawić pranie, odkurzyć pokój, uporządkować ogród. Iść na zakupy i zastanowić się, co ugotować Denisowi i Robertowi na kolację.

Spojrzała w lustro wiszące nad biurkiem.

122

123

- Chyba ci odbiło - powiedziała głośno. - Przecież właśnie te czynności, a przede wszystkim ich monotony przebieg, tak bardzo cię męczyły.

Wpatrywała się w swoje zatroskane oblicze.

Dobra dziennikarka musi zachować dystans do spraw, o których pisze, pomyślała. Postanowiła wyjść i trochę się przebiec. Na zewnątrz było szaro i mokro, ale przynajmniej przestało padać. Może po prostu potrzebuję trochę ruchu, pomyślała. Z doświadczenia wiedziała, że bieganie jej pomaga, kiedy próbując rozwiązać jakiś problem, utknęła w martwym punkcie.

Włożyła spodnie od dresu, buty do biegania i grubą bluzę, na głowę czapkę z daszkiem, po czym wyszła z pokoju. Cedrica od wczoraj nie widziała - albo wrócił bardzo późno i jeszcze śpi, albo spędził noc gdzie indziej. Trochę się o niego martwiła. Hotel był drogi, a wiedziała, że nie najlepiej mu się powodzi. Miała nadzieję, że wielodniowy pobyt w Londynie nie nadweręży za bardzo jego budżetu. Poza tym miał przecież zobowiązania w Nowym Jorku, jakąś pracę, wspominał, że chce otworzyć własne studio fotograficzne. To do niego podobne - zamiast wziąć się w garść, kręcił się po Londynie, spał do południa i odwiedzał starych przyjaciół. Znowu uciekał przed koniecznością uporządkowania swojego życia. Był dorosłym mężczyzną, ale także jej bratem, i przy okazji powinna poważnie z nim porozmawiać. Chłodne wilgotne powietrze dobrze jej zrobiło. Rosanna musiała w zasadzie tylko przejść przez ulicę i już znalazła się w Hyde Parku. Na dworze nie widać było tłumów, nieliczni właściciele psów przemykali pospiesznie z postawionymi kołnierzami płaszczy. Zauważyła też grupkę wyrostków, trzymających w zgrabiących dłoniach papierosy, oraz kilka osób, które najwyraźniej zaspaly do pracy. Tu i ówdzie widać było ludzi uprawiających jogging. Rosanna zaczęła biec, zauważyła jednak, że narzuciła za szybkie tempo, a nie była w formie. Zwolniła więc kroku, wreszcie odnalazła swój rytm. Równomiernie oddychając, biegła truchtem po piaszczystych ścieżkach. Unoszą-

ca się w powietrzu wilgoć osiadała na twarzy i ubraniu, przynosząc ochłodę, kiedy wreszcie przysiadła na ławce, żeby odetchnąć.

Kiedy po godzinie wróciła do hotelu, była cała mokra, ale czuła się lepiej. I miała silniejszą motywację, żeby iść dalej obraną drogą.

Już w korytarzu usłyszała dzwonek telefonu komórkowego, który pozostawiła na szafce nocnej. Rzuciła się do drzwi i wpadła do pokoju.

- Halo? - odebrała, z trudem łapiąc oddech.

- Gdzie ty się podziewasz? - powiedział z wyrzutem Nick. - Od co najmniej pół godziny próbuję się do ciebie dodzwonić!

- Poszłam pobiegać. Potrzebowałam trochę ruchu.

- Urządzenie, przez które rozmawiamy, zostało wynalezione po to, żeby je nosić przy sobie - powiedział zirytowany Nick. Zaraz jednak zmienił ton i ciągnął podekscytowany: - Rosanno, mam dla ciebie wspaniałą wiadomość! Zostaliśmy zaproszeni do telewizyjnego talk-show!

- Do talk-show?

- Nie wiem, czy znasz ten program. Chodzi o „Private Talk”. Kmitowany w piątki o dziesiątej. Zaprasza się dwóch albo trzech gości, którzy wprawdzie nie mają ze sobą nic wspólnego, ale z jakiegoś powodu są akurat na topie i znajdują się w centrum zainteresowania, przynajmniej przez chwilę. Aktorzy prezentujący swój nowy film, reporterzy, którzy zwietrzyli jakiś skandal, autorzy wzbudzających emocje powieści, nowa Miss Liverpoolu, która jakoby w nieuczciwy sposób zdobyła swój tytuł... coś w

tym stylu. Wiesz, o co chodzi.

- A teraz zaprosili ciebie? Nick roześmiał się.

- Kto by tam chciał oglądać podstarzałego redaktora? Nie, chcą młodą atrakcyjną dziennikarkę. Pojutrze jesteś gościem wieczoru!

Rosanna tak się wystraszyła, że nogi się pod nią ugięły i musiała przysiąść na łóżku.

- Ja? O Boże, Nick, jeszcze nigdy czegoś takiego nie robiłam!

- Wypadniesz świetnie, Rosanno. Jesteś inteligentna, elokwentna, a do tego jeszcze dobrze wyglądasz. Nie muszę ci chyba mówić, że to będzie fantastyczna reklama naszego cyklu.

- Zaproszono mnie z powodu tych artykułów - powiedziała Rosanna, i w tym momencie poczuła, że jej uwaga nie należała do najbystrzej szych.

- Jasne, że tak. Z uwagi na planowaną serię artykułów, a w szczególności z powodu Elaine i twojej znajomości z nią. Fakt, że dziennikarka zajmująca się tematem jest osobiście zainteresowana wyjaśnieniem tajemniczego zniknięcia dawnej koleżanki, dodaje całej sprawie pikanterii. Redaktorka prowadząca zapytała mnie, czy... - Nick zamilkł.

- Tak? - spytała Rosanna.

- Cóż, chcieli, żeby w programie wystąpił również Geoffrey Dawson. Brat, który wegetuje w ośrodku opieki dla niepełnosprawnych. Rozumiesz? Ale już im powiedziałem, że...

- Nie ma mowy! - wpadła mu w słowo Rosanna. Doskonale potrafiła sobie wyobrazić wystąpienie Geoffreya, plującego jadem i rzucającego oskarżenia pod adresem Marca Reeve'a. Jego wystąpienie telewizyjne byłoby jedną wielką tyradą nienawiści. Dla Reeve'a oznaczałoby to powrót koszmaru sprzed lat.

- Wiem, facet by sobie nie poradził - powiedział Nick. - Wy tłumaczyłem to już redaktorce.

Rosanna wiedziała, że Geoffrey doskonale by sobie poradził, że rwałby się do występu w programie, a w razie konieczności przyjechałby na wózku z Taunton do Londynu, jeśli tylko zwietrzyłby okazję, żeby zadać znieprawidzonemu Reeve'owi cios. Ale uważała, że lepiej będzie, jeśli zachowa tę wiedzę dla siebie. Niech Nick i ludzie z telewizji myślą, że występ na żywo przerasta możliwości Geoffreya.

- W każdym razie oznacza to dodatkowe zyski ze sprzedaży czasopisma - kontynuował Nick. - A o to przede wszystkim chodzi. Rosanno, pojedę razem z tobą do studia. Musimy się tam stawić dwie godziny wcześniej. Żeby omówić szczegóły, zrobić makijaż i tak dalej. Chyba nie masz tremy?

- Nie - odparła Rosanna.

Rzeczywiście nie miała tremy. Narastał w niej raczej osobliwy niepokój. Że cała sprawa nabierze trudnych do oszacowania rozmiarów. I w rezultacie wymknie się spod kontroli.

126

Wystarczająco dobrze znała Nicka, by wiedzieć, że próby wyperswadowania mu współpracy z „Private Talk” nie mają najmniejszego sensu. Nick od zawsze kierował się przede wszystkim wysokością nakładu. Nie zrezygnuje z bezpłatnej reklamy o masowym zasięgu, którą gwarantował mu występ w talk-show, tylko dlatego że jego dziennikarka żywi jakieś niejasne obawy. Właściwie powinna spojrzeć pozytywnie na

sprawę i być Nickowi wdzięczna, że nie skontaktował się z Geoffreyem Dawsonem. Na własny występ miała przynajmniej jakiś wpływ.

- To do zobaczenia w piątek wieczorem - powiedział Nick i odłożył słuchawkę. Wpatrując się w telefon, pomyślała: jak mam teraz powiadomić o tym Marca Reeve'a?

4

Na autostradzie M 11 doszło do wypadku i najwyraźniej policja zamknęła ruch, gdyż od godziny samochody nie posuwały się ani o centymetr. Kilka radiowozów i karetka pogotowia oraz dwa wozy strażackie przejechały poboczem na sygnale, tak że nietrudno było się domyśleć, że kolizja musiała być niebagatelna. W końcu na niebie pokazał się nawet helikopter.

No to sobie poczekamy, pomyślał Cedric zrezygnowany.

Kierowcy powysiadali z samochodów, stali, trzęsąc się z zimna na jezdni, rozmawiali, chodzili w tę i z powrotem, próbując opanować narastające zniecierpliwienie z powodu przymusowego postoju. Większość stanowili mieszkańcy przedmieść w drodze do pracy do Londynu, którzy nie zdążyli na ważne spotkania i cały plan dnia wziął w łeb. Niektórzy trzymali przy uchu telefon i nerwowo tłumaczyli coś swoim rozmówcom. Cedric, nie mając ochoty w ten lutowy poranek stać na zimnie, rozparł się wygodnie w ciepłym fotelu i pomyślał, że naprawdę nie ma na co narzekać. Stanie w korku nie należało wprawdzie do przyjemności, ale

127

Cedric niczego przez to nie przegapił. Czekał na niego pokój w hotelu i obiad w którejś z pobliskich restauracji, być może w towarzystwie Rosanny, o ile znajdzie dla niego czas. Nie miał jeszcze planów na popołudnie, było więc bez znaczenia, czy spędzi je na autostradzie czy gdzie indziej.

O dziwo, na myśl o tym nie poczuł się lepiej. Wręcz przeciwnie.

Przyglądał się zaaferowanym ludziom dookoła i ku własnemu zaskoczeniu w pewnym momencie stwierdził, że im zazdrości. Ułożonego życia, doniosłości i sensowności ich działań, a także celów, jakie wszyscy zdawali się mieć.

Właściwie już minionej nocy prześladowały go podobne myśli. Odwiedził koleżankę ze studiów, która mieszkała w Royston koło Cambridge. Małe spokojne miasteczko, zadbane domki, dookoła ścielą się łąki. Koleżanka była mężatką i miała trzy córeczki, urocze dziewczynki z długimi warkoczami w białych podkolanówkach.

Na parapecie okiennym w bawialni leżały dwa koty. Kiedy wieczorem wrócił do domu mąż, córki powitały go, rzucając mu się na szyję. Jeszcze kilka lat temu Cedric pomyślałby: co za drobnomieszczaństwo! Ale tamte czasy minęły. Przypomniał sobie swoje nowojorskie mieszkanie, które miało w sobie coś odpychającego i ponurego, wspominał wieczory w knajpach na Manhattanie, zmieniające się kochanki i samotne niedzielne poranki, które spędzał, czytając gazetę i lecząc kaca.

Poprzedniego wieczoru sporo wypili i znajomi zaproponowali mu, żeby spędził noc w pokoju gościnnym. Kiedy obudził się rankiem, w nogach leżał jeden z kotów i mrucał, zza okna dochodził śmiech i rozmowy dziewczynek. Cedric wstał i popatrzył za nimi, jak szły w szkolnych mundurkach na przystanek autobusowy. Nagle poczuł się bardzo samotny. Wrócił do łóżka, przyciągnął do siebie kota i

położył sobie na piersi. Miał absurdalne wrażenie, że miękkie futerko zwierzęcia ogrzewa jego zmarznięte wnętrze.

W gruncie rzeczy te uczucia i myśli - że coś w życiu przegapił, że przespał jakiś decydujący moment - nie były niczym nowym. Od jakichś trzech, czterech lat wwiercały się one coraz głębiej w jego

128

umysł i duszę. Działo się to na tyle niepostrzeżenie, że udawało mu

I się o nich zapomnieć lub je zagłuszyć, skupiając się na aktualnych wydarzeniach, znajomych, kobietach, hucznych imprezach i alkoholo-

lu. Nowy Jork oferował wiele możliwości wyparcia niewygodnych myśli. Ale co pewien czas ból się nasilał i zdawał się do niego mówić: „Jestem z tobą. Nigdy cię nie opuszczę. Gdy tylko się zatrzymasz, poczujesz mnie”.

Czasem wystarczył wieczór w towarzystwie szczęśliwej rodziny, i innym razem korek na autostradzie.

W Nowym Jorku Cedric był kilka razy u psychoterapeuty. Większość jego znajomych uczęszczała na terapię albo poddawała się psychoanalizie, i w okresie, kiedy czuł się wyjątkowo samotny

i i bezużyteczny, zobaczył w tym dla siebie jakąś szansę. Nie wiedział, czy siwowłosa mężczyzna, który siedział naprzeciwko niego w wygodnym skórzanym fotelu, w przestronnym jasnym pokoju, jest dobrym lekarzem, ale trzeba przyznać, że udało mu się odkryć w życiu pacjenta kilka punktów zapalnych. Ze szczególnym upodobaniem drażył temat Geoffreya. Ścisłej mówiąc, zajmowała go noc, w którą doszło do wypadku. Cedric musiał wciąż od nowa

| opisywać przebieg wydarzeń i analizować swoje uczucia, w końcu miał tego powyżej uszu. Więcej nie poszedł do terapeuty. Mówienie o Geoffreju źle na niego wpływało. Oczywiście nie był głupi,

[rozumiał, że właśnie ów uraz czy raczej trauma, która odżywała

I w nim na wspomnienie Geoffa, najbardziej interesowała terapeutę. Ale w takim razie lekarz powinien był mu udzielić doraźnej pomocy. Nie może przecież rozniecać w pacjencie takich emocji, ;i następnie odsyłać go domu w stanie skrajnego wzburzenia. Do zobaczenia za tydzień. Raz nawet, wracając od lekarza, rozplakał się. Nie chciał ponownie czegoś takiego przeżyć. Żeby pośrodku Manhattanu rozsłochać się jak dziecko... Co ten terapeuta sobie właściwie wyobraża?

Geoffrey. Geoffrey i Cedric. GeoffrejiCedric. Były czasy, kiedy ich imiona można było wymawiać i zapisywać jak jeden wyraz. Wszystko robili razem. No, prawie wszystko. Chodzili oddzielnie do

129

toalety i każdy na własną rękę umawiał się na randki z dziewczynami. Poza tym byli... nierozłączni. Jak bracia. Aż do tamtej nocy.

Spróbował otrząsnąć się ze wspomnień. Jeśli w tym przeklętym korku, który skazywał go na całkowitą bezczynność, zacznie rozmyślać o Geoffreju, zwariuje i będzie krzyczeć albo trąbić, bądź nawet jedno i drugie. Przyjazd do Anglii nie był chyba dobrym pomysłem. Ale zrobiło mu się żal samotnego ojca, a i jego trawiła samotność. Nie mógł przecież ze względu na Geoffreya do końca życia mieszkać na wygnaniu. Może nie powinien był go odwiedzać w tym okropnym domu opieki. Ale

wówczas czułby się jak ostatni drań.

Do tego akurat teraz Rosanna pracowała nad artykułem o Elaine. Tylko tego mu jeszcze brakowało.

Powinienem jak najszybciej stąd wyjechać. Nic dziwnego, że jestem wzburzony, pomyślał, skoro mieszkam w jednym hotelu z siostrą. Rosanna bez przerwy mówi o Elaine.

Właściwie nigdy za dobrze nie znał młodszej siostry Geoffa. Miał ją za płaczącą dziewczynę, która wszystkim działała na nerwy. Wyrosła na niezbyt urodziwą nastolatkę, wobec czego Cedric nigdy się nią nie zainteresował. Nie zwracał na nią uwagi. Nawet jej zniknięcie przed pięcioma laty nieszczególnie go poruszyło. Dziś, stojąc w korku na M 11, po raz pierwszy pomyślał: mała Elaine. Co, do cholery, mogło jej się przytrafić?

Znał dziewczęta, co do których byłby skłonny uwierzyć, że zwiały z chłopakiem. Albo takie, które łatwo sobie wyobrazić podróżujące bez celu autostopem, by w końcu osiedlić się w jakiejś komunie lub w alternatywnej wspólnotce na wsi. Takie, co ruszały do Paryża czy Prowansji, gdzie sprzedawały oliwki albo własnoręcznie malowane obrazy. Dziewczyny, o które nie trzeba się martwić, ponieważ są żadne przygód, ciekawe i spragnione życia.

Elaine jednak do nich nie należała.

Gdyby Cedric miał ją scharakteryzować, wymieniłby następujące cechy... Pełna zahamowań. Nudna. Pruderyjna. Prowincjonalna.

130

Wiedział, że Elaine wychowywała się bez ojca, który zmarł, gdy była jeszcze dzieckiem. A po śmierci matki z oddaniem pielegnowała Geoffreya. Czy to możliwe, że go porzuciła? Wiedząc, że oznaczało to dla niego życie w domu opieki?

Potrząsnął głową. To do niej niepodobne. Ale może to wyraz arogancji, że i on - jak każdy, kto znał Elaine - wyobraża sobie, iż wie, co do niej pasowało, a co nie. Była tak powściągliwa, że właściwie nikt nie miał prawa twierdzić, że ją zna. Elaine nie miała przyjaciółki, której by się zwierzała. Nikogo, komu powierzałaby swoje tajemnice. W każdym razie nikt o kimś takim nie słyszał.

Otóż to, pomyślał zły na siebie. Nic o niej nie wiem. Rosanna też nic o niej nie wie. Pewnie nawet Geoffrey wie mniej, niż mu się wydaje.

Była to zupełnie nowa myśl, ale bynajmniej nie wydała mu się ona absurdalna. A jeśli Elaine faktycznie była zupełnie inna, niż wszyscy sądzili? Czyżby pod maską niepozorności i nieśmiałości rozwinęła się przez te wszystkie lata zupełnie inna osoba, w niczym niepodobna do opiekuńczej siostry, obowiązkowej asystentki medycznej, szarej myszki? Czy to możliwe, że Elaine prowadziła podwójne życie? I wykorzystała podróż do Gibraltaru, żeby porzucić dotychczasową egzystencję? Cedric rozparł się w fotelu samochodu. Na horyzoncie pojawił się kolejny helikopter. Wypadek musiał być bardzo poważny.

To może potrwać.

Zrezygnowany przymknął oczy. Wygląda na to, że zdąży się zdrzemnąć, zanim ruszy w dalszą drogę.

Mieszkanie było co prawda mniejsze niż to zajmowane przez nią dotychczas, za to

sporo jaśniejsze i przytulniejsze. Pokój z niszą kuchenną, sosnowe meble, mała sypialnia, w oknie zasłony w kwiatki, na podłodze kolorowy chodnik, łazienka w błękitnej terakocie,

131

wprawdzie bez wanny, ale przynajmniej był prysznic. Za oknem roztaczał się widok na ciągnące się po horyzont łąki. Jeśli wychyliło się przez okienko w łazience i spojrzało w prawo, można było dostrzec w oddali skrawek morza.

Wiedziała, że czułaby się tu lepiej. Dużo lepiej niż w ciemnej norze u obleśnego pana Cadwicka.

Pani Smith-Hyde, właścicielka domu, miała na oko pod sześćdziesiątkę i bynajmniej nie była miła, ale może by się nie naprzykrzała i nie wtykała nosa w nie swoje sprawy. Od dwóch lat była wdową i przebudowała przestronny dom w ten sposób, że powstało dodatkowe mieszkanie.

- Dla mnie jednej dom był za duży - powiedziała. - Czuję się w nim zagubiona. Poza tym to nieprzyjemnie, tak przez cały czas być samej. Jestem spokojniejsza, kiedy wiem, że ktoś jeszcze jest w pobliżu.

- Pracuję jako kelnerka w pubie w Langbury. Wracam bardzo późno...

- Nie szkodzi. Najważniejsze, że ktoś się zorientuje, jeśli coś mi się stanie. Często się o tym czyta w gazetach, prawda? O starszych osobach, które przewróciły się w swoim mieszkaniu i zanim ktokolwiek się o tym dowiedział, było już za późno na pomoc. Chciałabym uniknąć takiego losu.

- Rozumiem panią.

Pani Smith-Hyde spojrzała na nią podejrzliwie.

- Kelnerka, powiada pani? Ale nie sprowadza pani mężczyzn do domu?

Dlaczego ludzie kojarzą kelnerki z dziewczętami lekkich obyczajów? zapytała się w duchu.

- Nie - odparła. - W żadnym wypadku. Nie sprowadzam mężczyzn.

- Nie prowadzę hotelu z pokojami na godziny - postawiła sprawę jasno pani Smith-Hyde. - Wynajmuję lokal pani, a nie jakimś mężczyznom, którzy ani się obejrzą, a mi się tu zadomowią.

- Proszę się nie obawiać.

132

Starsza pani odburknęła coś, co brzmiało jak „mam nadzieję”, a następnie kontynuowała:

- Czynnosc za pierwszy miesiąc pobieram z góry. To znaczy za resztę lutego i marzec. Jak również kaucję w wysokości dwóch miesięcznych opłat.

Przełknęła ślinę. Robiło się drogo.

- Kiedy mogę się wprowadzić? - zapytała.

- Choćby i dziś, jeśli pani chce.

- Hm - zastanowiła się. Zapłaciła panu Cadwickowi za luty i jeśli teraz się wyprowadzi, nie może oczekiwać, że z zapłaconych pieniędzy zobaczy choć pensja. Z drugiej strony nie wytrzyma u pana Cadwicka ani dnia dłużej. Nie pozostaje jej zatem nic innego, jak zapłacić podwójny czynsz za luty. To straszne marnotrawstwo, ale nie miała wyjścia. Na szczęście pan Cadwick będzie musiał zwrócić jej kaucję, więc nie obawiała się poważniejszych dziur w budżecie. Pozostanie jeszcze tylko

kwestia roweru. Bez środka lokomocji nie da rady wrócić w nocy z Langbury do swojego nowego lokum.

- Wobec tego wynajmuję od zaraz - powiedziała zdecydowanym tonem - i na dniach się wprowadzę. Do tej pory mieszkalam również w umeblowanym mieszkaniu. Właściwie mam tylko trochę ubrań.

- W porządku - zgodziła się pani Smith-Hyde. - To dobra decyzja, mówię to pani. Wystarczy wyjść z ogrodu, przejść przez łąkę i już jest się na plaży. Latem można się tam kąpać. Nie ma tłumów. Mało kto się tu zapuszcza.

Dokładnie to, czego mi trzeba, pomyślała. Równocześnie zrobiło jej się ciężko na sercu. Żyła w coraz większej alienacji, coraz bardziej odsuwała się od ludzi. Nie skończyła jeszcze trzydziestki, a chowała się gdzieś na końcu świata w domu zrzedliwej staruszki. Bez widoków na jakąkolwiek zmianę.

- Muszę się pospieszyć - powiedziała - jeśli chcę zdążyć na powrotny autobus do Langbury. Do widzenia pani. Cieszę się, że będę tu mieszkać.

- Tak dobrze jak u mnie nigdzie by pani nie było - powiedziała pani Smith-Hyde zadowolona z siebie.

133

Starannie zamknęła mieszkanie na klucz. Obie kobiety stały teraz na małym tarasie przylegającym do bocznej ściany budynku. Tu znajdowały się drzwi do lokalu. Kolejna zaleta: osobne wejście.

Biegnąc szybko na przystanek - żeby się ogrzać i nie przegapić autobusu - pomyślała: mieszkanie jest jasne. To zawsze coś. Może to jednak pierwszy krok. Może kiedyś moje życie się zmieni.

Przystanąła przed małym sklepem spożywczo-przemysłowym, pchnęła zdecydowanie drzwi i weszła do środka. Ponieważ tego dnia nie czytała jeszcze gazety, kupiła „Daily Mirror”. Starła się codziennie przeglądać prasę. Nie ze względu na krajowe wiadomości ani dlatego, że była zainteresowana tym, co dzieje się za granicą. Od pięciu lat żyła nadzieją, że kiedyś znajdzie krótką notatkę o tym, że Pit został aresztowany. Że na długie lata znikł za kratkami. Albo jeszcze lepiej: podczas próby aresztowania doszło do strzelaniny, w której wyniku zginął. Martwy. Nieszkodliwy. Garstka kości w ziemi i nic poza tym.

Wiedziała, że to mało prawdopodobne, żeby przeczytała o tym w gazetach, nawet gdyby spełniło się jej najgorętsze pragnienie. Pit, podobnie jak jego kumpel Ron, nie był żadną grubą rybą. Może się jednak myliła... Pewnie gdyby wyszło na jaw wszystko, co miał na swoim koncie, stałby się wart jakiejś wzmianki. Tak czy inaczej musiała być na bieżąco.

Z gazetą w ręku pomaszerowała dalej. Idąc, rzuciła okiem na pierwszą stronę. „Bestialskie zabójstwo w Epping Forest”, brzmiał jeden z nagłówków. Pod spodem znajdowało się zdjęcie bardzo młodej ładnej blondynki. „Kto zamordował Lindę Biggs?”, pytano, a poniżej zauważyła jeszcze napisane tłustym drukiem zdanie: „Któż mógł być zdolny do takiej zbrodni?”.

Następnie podawano szczegóły. Zatrzymała się. Zapomniała o autobusie, na który chciała zdążyć. W głowie miała tylko jedną myśl: tak samo jak Jane French!

Mój Boże, jak Jane French!

To tak, jakby otrzymała właśnie wiadomość od Pita. Ale nie tę, na którą liczyła.

Dopiero w środę późnym popołudniem Angela znalazła się w domu sama i odważyła się usiąść do komputera swojego brata Patricka. Dokładnie rzecz biorąc, nie była zupełnie sama w mieszkaniu, gdyż Sally leżała w dużym pokoju. Wzięła mocny proszek uspokajający, który w połączeniu z alkoholem dał piorunujący efekt - ledwo zdążyła doczłapać do sofy, a nogi dosłownie się pod nią ugięły, osunęła się jak kupa szmat i zapadła w głęboki sen. Usta miała lekko rozchylone, jej zorana bólem twarz wygładziła się. Niech śpi, pomyślała Angela. Na katastrofę, która niespodziewanie na nią spadła, Sally zareagowała tak, jak zwykle reagowała na problemy - szukała ukojenia w wódce. Jednakże tym razem stan upojenia nie przyniósł oczekiwanej ulgi, mimo zamroczenia wciąż prześladowały ją straszliwe obrazy i myśli. Dopiero tabletki pozwoliły jej odetchnąć.

Gordon, który od wyjścia inspektora Fieldera siedział w kuchni, wpatrując się w pustkę, nagle wstał i oświadczył, że oszaleje w mieszkaniu, musi wyjść na świeże powietrze, pobiegać, pooddychać, coś ze sobą zrobić. Błady jak ściana wciągnął buty, włożył kurtkę i wyszedł, głośno trzaskając drzwiami. Angela wiedziała, że próbuje uciec przed obrazami, które go dręczyły, które prześladowały ich wszystkich: były to sceny z ostatnich godzin, ostatnich minut życia Lindy. Nie chodziło tylko o to, że stracili córkę i siostrę, musieli od tej pory żyć ze świadomością, że ktoś z ich rodziny padł ofiarą niewyobrażalnej przemocy. Linda nie umarła w spokoju. Przeszła piekło, znęcano się nad nią i torturowano ją, prawdopodobnie walczyła o życie i błagała o litość, broniła się ze wszystkich sił, nie mając cienia szans na przeżycie.

- Zabójca Lindy to psychopata - oświadczył Fielder. - Wpadła w ręce sadysty. Ten kto to zrobił, jest chory. I w najwyższym stopniu niebezpieczny.

To będzie nas prześladować do końca życia, pomyślała Angela. Nigdy się od tego nie uwolnimy.

Nic nie będzie jak dawniej.

Chłopcy, z których żaden dziś nie poszedł do szkoły, jeden po drugim wymknęli się z domu. Dokąd się udali, nie było wiadomo. Pewnie włóczyli się gdzieś z kumplami, palili papierosy, kopali puszki po piwie i klęli siarczyście, żeby zwrócić na siebie uwagę. Zdjęcie Lindy ukazało się w porannej prasie. Wszyscy w Islington wiedzieli, jaki cios spadł na rodzinę Biggsów. Angela domyślała się, że bracia w tej sytuacji tym bardziej silili się na obojętność. To ich sposób na radzenie sobie z sytuacją. Sposób, który według Angeli żadnemu z nich nigdy nie pozwoli uwolnić się od tej traumy.

Już nieraz korzystała z komputera Patricka. Właściwie powinna go najpierw zapytać o zgodę, ale nie chciała, aby jej przeszkadzał. Na szczęście знаła się na komputerach. Wpisała typowe dla Patricka hasło - „fuck” - żeby połączyć się z Internetem, weszła na stronę Google'a i wpisała do wyszukiwarki imię, o które jej chodziło. Jane French. W chwilę później na ekranie wyświetliła się długa lista trafień.

Jane French została znaleziona siedemnastego listopada 2002 roku w Epping Forest. Leżała z twarzą w sadzawce tuż obok niewielkiej wiaty znajdującej się na odludnym polu biwakowym. Dwójka wędrowców, starsza para, schroniła się tam przed nagłą

ulewą. Turyści przypadkiem wyjrżeli przez tylne okno i odkryli martwą kobietę. Podczas obdukcji zwłok lekarz sądowy stwierdził, że ofiara musiała tam leżeć przez wiele dni. W listopadzie ludzie nie urządają pikników i na polanę nikt nie zaglądał od dłuższego czasu.

Miejsce odnalezienia zwłok nie było identyczne z miejscem dokonania morderstwa. U Jane French stwierdzono liczne obrażenia w okolicach krocza, musiała zostać zgwałcona za pomocą jakiegoś ostrego przedmiotu, na przykład butelki. Na całym ciele miała rany cięte, a na twarzy ślady uderzeń. Kilka złamanych żeber i ciężkie obrażenia podbrzusza wskazywały na to, że ofiarę brutalnie kopano. Ale nie to spowodowało zgon. Jako przyczynę śmierci wpisano „utonięcie”. Związaną i nieprzytomną położono ją przy brzegu tak, że twarz znajdowała się w wodzie. Angela odchyliła się na krześle. Poczula zbliżający się ból głowy i ogarniające ją mdłości. Kto mógł coś takiego zrobić? Sprawca znęcał się nad młodą kobietą z niewyobrażalnym okrucieństwem, aby wreszcie w brutalny i bezlitosny sposób ją zamordować. Czy w momencie śmierci była nieprzytomna? Czy może jeszcze doszła na chwile-łę do siebie, próbowała przekreślić się na bok, ale bezskutecznie, a ze względu na skrajne wycieńczenie nie była w stanie utrzymać głowy nad powierzchnią wody?

Przejrzała w Internecie dalsze raporty- Nikt nie zgłosił zaginięcia Jane French i policja przez prawie dwa tygodnie nie miała pojęcia, kim jest ofiara. Wreszcie jej przyjaciółka, której zdawało się, że rozpoznała Jane na zdjęciu w prasie, skontaktowała się z policją. Owa przyjaciółka, narkomanka i prostytutka, długo się wahała, zanim zadzwoniła na policję, bowiem sama miała niejedno na sumieniu i bała się kontaktów z władzą jak diabeł święconej wody. Na szczęście w końcu się przełamała i jednoznacznie zidentyfikowała zwłoki. Poinformowała, że Jane French w chwili śmierci miała dwadzieścia lat. Pochodziła z Manchesteru, w wieku siedemnastu lat przyjechała do Londynu. Ojciec od dawna nie żył, z matką zerwała kontakty, wobec czego ta nie mogła zauważyć zniknięcia córki. W Londynie początkowo utrzymywała się z rozmaitych dorywczych prac, lecz w końcu wylądowała na ulicy. Dzielila pokój z koleżanką. Jane nie brała narkotyków, nie piła nawet alkoholu i pragnęła zerwać z prostytutką. Marzyła o tym, żeby spotkać kogoś, kto się z nią ożeni i umożliwi jej lepsze życie. „Ale faceci, których poznawała - w raporcie przytoczono słowa koleżanki - byli nic niewarci.”

W marcu 2002 roku któregoś dnia nie wróciła do wspólnego mieszkania. Zniknęła bez słowa. Wyglądało na to, że wzięła ze sobą tylko torebkę - której jednak nie odnaleziono - oraz to, co miała na sobie.

Koleżanka Jane nie była ani szczególnie zdziwiona, ani zaniepokojona.

- Jane niewiele o sobie opowiadała. Pomyślałam, że wreszcie poznała jakiegoś faceta i przeniosła się do niego. Dlaczego nic ze

136

137

sobą nie wzięła? Nie mam pojęcia. Może po prostu chciała zerwać ze swoim dotychczasowym życiem. Wiedziałam, że zamierzała to wszystko rzucić.

Z doniesień prasowych wynikało, że policjanci szukali jakichś śladów w środowisku Jane, ale na nic się nie natknęli. Nie udało się odnaleźć żadnego z jej klientów i jak

można było się spodziewać, nikt nie zgłosił się na posterunek. Skontaktowano się z matką dziewczyny, ale ta nie widziała córki od trzech lat, nie miała też od niej żadnych wiadomości, nie mogła więc pomóc w śledztwie. W końcu porzeczono na podejrzeniu, że Jane, wykonując swe codzienne obowiązki, trafiła na psychopatę i niczego nie podejrzewając, wsiadła z nim do samochodu. „Klasyczne ryzyko zawodowe prostytutek”, pisała cynicznie jedna z gazet. Policja była przygotowana na kolejne morderstwa, gdyż przyjęto, że sprawca znów zapagnie ugasić swoje pragnienie, ale nie zdarzyło się nic, co można by porównać z przypadkiem Jane French. Jej zabójstwo pozostało jedyną tego rodzaju zbrodnią.

Aż do dwunastego lutego dwa tysiące ósmego roku. Do dnia, kiedy spacerująca po Epping Forest kobieta odkryła brutalnie zmasakrowane zwłoki młodzieńkiej Lindy Biggs.

Angela uniosła głowę. Piekły ją oczy. Tak długo siedziała wpatrzona w monitor, że zdrętwiała. Mimowolnie jęknęła - przy każdym ruchu kark i ramiona przeszywał ból. Wiedziała, że nie jest w stanie zastąpić policji, ale miała nadzieję, że natrafi na jakąś wskazówkę. Że odnajdzie jakąś zbieżność pomiędzy nieznaną Jane French a jej małą siostrą Lindą. Coś, na co policja nie zwróciła uwagi, a co ją, która znała Lindę jak nikt inny, naprowadzi na właściwy trop. Jak do tej pory nie natknęła się na żaden elektryzujący szczegół.

Ponownie skupiła wzrok na ekranie komputera.

Co łączyło ofiary?

Obie kobiety znaleziono w Epping Forest, chociaż w różnych zakątkach lasu.

Obie kobiety zostały zgwałcone w ten sam sposób - za pomocą ostrego narzędzia; były też bite i kopane. W obu przypadkach nie odnaleziono śladów płynów fizjologicznych sprawcy, co znacznie utrudniało śledztwo. Obie utopiły się.

Okoliczności ich śmierci wykazywały wiele podobieństw. A jak wyglądały okoliczności ich życia?

Jane French pracowała jako prostytutka. Linda zaś - Angela niechętnie musiała to przyznać - nosiła się jak prostytutka. Czyżby to był jakiś punkt zaczepienia? Czyżby mordercę pociągał ten konkretny typ kobiety?

Ale przecież setki kobiet chodziły tak po ulicach. Sprawca nie musiał zwlekać pięć lat ze znalezieniem następnej ofiary. Całe masy niewinnych gimnazjalistek zalewały w soboty dyskoteki, i to tak poubierane, jakby czekały na pierwszego lepszego klienta.

A może Gordon, nie zdając sobie z tego sprawy, miał rację, mówiąc o Lindzie „dziwka”? Czyżby to było powodem jej lepszej sytuacji finansowej w ciągu ostatniego półrocza? Może był to jej potajemny sposób na podreperowanie budżetu? I może przypadkiem trafiła na tego samego zwyrodnialca, który miał na sumieniu Jane French?

Pozostawało pytanie o czas dzielący oba morderstwa. Dlaczego sprawca nie porywał co parę miesięcy jakiejś dziewczyny z ulicy? Ponownie zagłębiła się w lekturze.

Nawet jeśli ma to potrwać do rana, coś znajdzie.

Czwartek, 14 lutego

Denis nie zadzwonił nawet w walentynki. Rosanna czekała od rana na telefon, a idąc biegać, na wszelki wypadek wzięła ze sobą komórkę, ale z Gibraltaru wciąż dochodziło tylko głucho milczenie.

Oto cały Denis. Jak się obrażał, to porządnie. Mógł nie odzywać się całą wieczność. Zastanawiała się, czyby nie okazać się tą mądrzejszą, która ustąpi i zadzwoni. Ale nie miała ochoty na mogącą się wywiązać dyskusję. Ponieważ Denis najwyraźniej wciąż żywił do niej urazę, z pewnością skorzystałby z okazji, żeby ponownie przedstawić jej swój punkt widzenia, a ponadto oświadczyć, że opinia Rosanny zupełnie go nie interesuje. To zaś doprowadziłoby do kłótni, a Rosanna czuła, że nie jest w stanie znieść dodatkowego stresu. Była wystarczająco spięta przed jutrzejszym występem w talk-show. Poza tym umówiła się na dziesiątą w kawiarni z Markiem Reeve'em. Musiała się skoncentrować.

Poprzedniego wieczoru zadzwoniła do Reeve'a, żeby poinformować go o swoim udziale w programie, co uważała za słuszne, biorąc pod uwagę fakt, że zgodził się z nią porozmawiać. Jak się okazało, wiedział już o wszystkim i sprawiał wrażenie podenerwowanego.

- Do mnie też dzwoniли - wyjaśnił. - Chcieli mnie zaprosić do studia. Odmówiłem, ponieważ to oznaczałoby tylko, że ludzie znowu sobie o mnie przypomną. Jakby nie dość było szumu wokół tej sprawy. A już mi się wydawało, że mam to wreszcie za sobą.

140

- Przykro mi, panie Reeve. Sprawie nadaje się większy rozgłos, niż mogłam się spodziewać. Niestety nie mogę odmówić udziału w programie. Mój szef...

- Wiem. To należy do pani obowiązków. Naprawdę panią rozumiem.

Rosanna wpadła na pewien pomysł.

- Czy moglibyśmy spotkać się przed programem? Skoro media są tak bardzo panem zainteresowane, to na pewno padnie pytanie o pański udział w całej historii. Może powinnam się trochę lepiej przygotować.

Zawahał się. Wyraźnie to wyczuła. Zrozumiała, że wciąż jej nie ufa.

- Ponawiam moją obietnicę, że nie napiszę i nie powiem niczego bez pańskiej zgody.

- W porządku.

Zgodził się z nią spotkać, a to zawsze coś. Ale Rosanna domyślała się, że dużo chętniej powiedziałby: „Dajcie mi wreszcie święty spokój! Oszczędźcie mi tego!”.

Już podczas pierwszego spotkania Reeve był wobec Rosanny szczery - zgodził się z nią porozmawiać, gdyż sądził, że dzięki temu zyska jakiś wpływ na bieg spraw.

Zrobił to jednak niechętnie i wciąż nie do końca jej ufał.

Rosanna czuła się jak natrętny mały terier, który uczeplił się nogawki przechodnia.

Nie była to rola, jaka by jej odpowiadała, i tego ranka pomyślała nagle, że pobyt w Anglii, przez który jej małżeństwo wystawione zostało na próbę, ma może jakąś dobrą stronę - przestanie tęsknić za pracą w zawodzie. Do jej dziennikarskich obowiązków należało wtrącanie się w życie innych osób, ale najwyraźniej przez ostatnie lata się zmieniła. Czuła się w tej roli nieswojo. Przynajmniej Denis będzie szczęśliwy, pomyślała.

Kwadrans przed umówionym spotkaniem Rosanna siedziała już w kawiarni przy Oxford Street, uświadamiając sobie, jak bardzo jest

zdeenerwowana. Zwykle nie dawała się ponieść emocjom. Żeby się czymś zająć, zaczęła robić notatki do jednego z pozostałych artykułów. Wciąż musiała sobie powtarzać, że były one nie mniej ważne

141

niż przypadek Elaine. Postanowiła, że w weekend napisze pierwszy artykuł poświęcony którejś ze spraw. Jutro po występie w talk-show zamknie temat Elaine. Wykorzysta dostępne jej materiały, opíše całą historię i nie będzie się tym dłużej zajmować. Koniec, i kropka. Musi skończyć z tą sprawą.

Marc Reeve zjawił się punktualnie co do minuty. Również tym razem sprawiał wrażenie zmęczonego i spiętego, mimo że było jeszcze wcześniej. Wyglądał tak, jakby miał za sobą nieprzespaną noc. Rosannę natychmiast opadły wyrzuty sumienia i poczuła także złość na Nicka. Napuścił ją na Reeve'a. Czyż nie powinno się zostawić tego człowieka w spokoju?

- Długo już pani czeka? - zapytał Reeve, spojrzawszy na zegarek.

Rosanna potrząsnęła głową.

- Po prostu przyszedłam wcześniej. To dlatego, że jestem taka zdeenerwowana. Ten jutrzejszy program... - urwała w pół zdania. - Dziękuję, że zgodził się pan ze mną spotkać.

- To leży w moim interesie - odparł Reeve, siadając. - Mogę pani poświęcić niecałą godzinę. Moja sekretarka złapała grypę, jestem sam w biurze i mam masę roboty. Co chce pani wiedzieć? Powiedziała pani, że chciałyby się lepiej przygotować?

- Hm... tak - prędko odsunęła na bok materiały dotyczące pozostałych spraw, wyjęła zeszyt, w którym prowadziła notatki - mam do pana kilka pytań...

Do ich stolika podeszła kelnerka. Zamówili po cappuccino, po czym Rosanna zwróciła się do Reeve'a:

- Jedna rzecz wydaje mi się niejasna. Tego styczniowego wieczoru wybierał się pan z Heathrow do Berlina. Pańska podróż, podobnie jak w przypadku innych podróży, nie doszła do skutku. Nazajutrz rano odprowadził pan Elaine na stację metra Sloane Square. Dlaczego nie pojechał pan razem z nią na lotnisko? I nie spróbował polecieć?

- Ponieważ sprawa była już nieaktualna. Chodziło o służbową kolację w Berlinie. Z pewnym polskim klientem. Kancelaria, w któ-

rej miałem wówczas zostać współnikiem, chciała go reprezentować. Kiedy wszystkie loty zostały odwołane, zadzwoniłem do naszego przedstawiciela w Berlinie i zapytałem, czy dałoby się przesunąć spotkanie na następny dzień. Okazało się, że to niemożliwe, gdyż nasz potencjalny klient musiał w sobotę rano być z powrotem w Polsce. Umówiliśmy się na spotkanie kilka tygodni później. Ale i do niego nie doszło, a w każdym razie ja w nim nie uczestniczyłem. Do tego czasu prasa zdążyła rozerwać mnie na strzępy, a szefostwo kancelarii dało mi do zrozumienia, że nie jest zainteresowane współpracą. Nie byłem im już potrzebny - wzruszył ramionami. Jego twarz nie zdradzała żadnych uczuć.

Rosanna, czując, że Reeve nie chce litości i zależy mu na rzeczowej rozmowie, skinęła tylko głową i zanotowała coś w zeszycie. Całe jego życie, pomyślała, całe jego życie w ciągu kilku chwil stanęło na głowie.

- Ostatni raz widział pan Elaine przy wejściu do metra? - kontynuowała.

- Nie - zaprzeczył Reeve. - Widziałem ją za szybą odjeżdżającego pociągu. Zszedłem z nią na dół, pomogłem jej kupić bilet i dopilnowałem, żeby wsiadła do właściwego pociągu. Przecież pierwszy raz była w Londynie, a do tego wciąż jeszcze była roztrzęsiona. Pomyślałem sobie, że wylądje Bóg wie gdzie, jeśli zostawię ją samą.

- Wciąż była roztrzęsiona?

- Nie płakała. Ale była bez wątpienia zdezorientowana. Nie tylko z powodu lotu do Gibraltaru. Chodziło o całe jej życie. Tak, zdaje się, że właśnie w ten sposób wyraziła się podczas naszej nocnej rozmowy. „Chodzi o całe moje życie”, powiedziała w pewnym momencie i dodała: „Teraz albo nigdy”. Tak mniej więcej brzmiały jej słowa.

- Czy domyśla się pan, co miała na myśli? Kelnerka przyniosła zamówione kawy i postawiła przed nim i ta
lerzyk z kruchymi ciasteczkami. Reeve wziął jedno do ręki, nie zjadł go jednak, tylko obracał w palcach.

L43

- Oczywiście, że się domyślam. I robię sobie do dziś wyrzuty, że nic mnie wówczas nie tknęło. W zasadzie dała mi wyraźnie do zrozumienia, że chce się wyrwać. Że nie jest pogodzona ze swoim życiem. Że pragnie uciec, przede wszystkim od brata, ale również od swojej pracy, z rodzinnej wsi... słowem, od wszystkiego. Gdybym się nad tym głębiej zastanowił, pewnie by do mnie dotarło, że Elaine wykorzysta okazję i zniknie, a ja jako ostatnia osoba, która ją widziała, zostanę w to wciągnięty. Ale wtedy o tym nie myślałem. Mówiąc szczerze, nie interesowała mnie na tyle, żebym intensywnie rozmyślał nad jej losem. Spełniłem dobry uczynek. Zapropo nowałem jej nocleg, wysłuchałem jej wielogodzinnych skarg i narzekań, wreszcie odprowadziłem ją na stację metra. Na tym koniec. Wróciłem do domu, usiadłem przy biurku i zabrałem się do pracy.

- Cóż innego mógł pan zrobić?

- Otóż to. Co mogłem zrobić? Już po fakcie często zadawałem sobie to pytanie. Jechać z nią na Heathrow, upewnić się, czy aby na pewno wsiadła do samolotu? Wówczas miałbym dowód na to, że opuściła mój dom cała i zdrowa. Nalegać, żeby zadzwoniła do brata i powiadomiła go, że wszystko z nią w porządku? A może zawieźć ją osobiście do Somerset dla zyskania pewności, że nie popełni żadnego głupstwa? Teraz łatwo powiedzieć. A swoją drogą, jakim prawem? Elaine była wprawdzie młoda, ale bądź co bądź dorosła. Mogła robić, co chciała.

- Myślę - powiedziała Rosanna łagodnie - że nie ma pan sobie nic do zarzucenia. Reeve potrząsnął głową.

- Owszem, mam. Ale bynajmniej nie zaniedbanie. Powinienem sobie wyrzucać, że niepotrzebnie w ogóle coś zrobiłem. Moim podstawowym błędem było to, że zabrałem tę płaczącą młodą kobietę ze sobą do domu. To... - niemal z wściekłością odłożył pokruszone ciastko na talerzyk - był kompletny idiotyzm!

- Chciał jej pan pomóc.

- Tak, chciałem jej pomóc. I nie pomyślałem o mogących z tego wyniknąć komplikacjach. Chociaż... przez krótką chwilę na lotnisku... - Reeve zamilkł w pół zdania.

- Tak? - zapytała Rosanna. Reeve nie patrzył na nią.

- Był taki moment, kiedy mój instynkt samozachowawczy jeszcze działał. Zanim zaproponowałem jej nocleg. To był... odruch. Spojrzałem na nią, próbując oszacować jej wiek.

- Jej wiek?

- Spróbowałem odpowiedzieć sobie na pytanie, czy jest pełnoletnia. Nie żywiłem w stosunku do niej żadnych zamiarów. Ale niepełnoletniej dziewczyny nie wziąłbym do domu. Po prostu żeby zaoszczędzić sobie nieprzyjemności. I tego właśnie nie mogę sobie do dzisiaj wybaczyć. Zauważyłem światło ostrzegawcze, ale odwróciłem wzrok. Elaine Dawson miała na pierwszy rzut oka co najmniej dwadzieścia lat. Tym samym uznałem problem za rozwiązany. I to był mój błąd. Powinienem być wiedzieć, że zabranie obcej kobiety do domu może pociągnąć za sobą problemy, nieważne, czy ma ona piętnaście czy dwadzieścia trzy lata.

- Odruch - powtórzyła Rosanna. - Powiedział pan, że to był odruch.

Reeve uśmiechnął się niewyraźnie.

- Prawdopodobnie mężczyźni mają to we krwi.

- Ocenianie wieku nieznanymi kobietami?

- No cóż... - przepraszająco wzruszył ramionami. Rosanna zastanowiła się. A może raczej mają to we krwi podrywacze? Tacy jak ty? Według twojego sąsiada...

Potrząsnęła głową, odrzucając prędko tę myśl. Nie może polegać na opinii byłego sąsiada Marca Reeve'a. Hall był do niego wyraźnie uprzedzony.

- Nigdy nie mówił pan o chwili, w której zarejestrował pan ów sygnał ostrzegawczy, prawda? - zapytała. - W każdym razie prasa o tym nie wspominała.

- Nie, nigdy o tym nie mówiłem. Wykorzystano by to przeciwko mnie. Zarzucono by mi, że specjalnie zabrałem Elaine do domu, ponieważ byłem spragniony przygód, a stąd tylko krok do oskarżenia o gwałt i morderstwo, co większość dziennikarzy postawiła sobie za cel. Udało im się go zresztą osiągnąć, nieważne, jakie argumenty przytaczałem na swoją obronę.

144

145

Dotarli do punktu, który był dla Rosanny wciąż niejasny. Mimo że tyle już o tym czytała, mimo że знаła liczne zeznania Marca Reeve'a.

- Panie Reeve - powiedziała wolno - proszę mnie nie zrozumieć źle, ale... jest jeszcze coś...

-Tak?

- Coś, co nie do końca rozumiem. Mimo że wielokrotnie pan to wyjaśniał. Niech pan nie myśli, że mu nie ufam czy...

- Proszę pytać. Zebrała się na odwagę.

- Może zabrzmiało to dziwnie, ale muszę powiedzieć, że jeszcze żadna z pańskich odpowiedzi nie wydała mi się przekonująca. Dlatego pytam po raz kolejny, chociaż z pewnością ma pan tego dość: dlaczego dziesiątego stycznia dwa tysiące trzeciego roku zabrał pan Elaine Dawson do domu? Dlaczego zaproponował pan nocleg całkowicie obcej kobiecie? Czy miała w sobie coś szczególnego, że zdecydował się pan na ten krok? Co w panu poruszyło?

Rosanna sądziła, że Reeve będzie zirytowany. Pewnie często zadawano mu to pytanie.

Ku jej zaskoczeniu głęboko się zamyślił.

- To dobre pytanie - powiedział wreszcie. - Jeszcze nikt tego w ten sposób nie ujął. Trafiła pani w sedno. Co poruszyła we mnie Elaine Dawson? O to chodzi w tej całej sprawie, prawda? Przede wszystkim o to. Spróbuję to pani wyjaśnić.

Prawie cały dobytek spakowała do jedynej torby, jaką posiadała, a kilka przedmiotów, które nie zmieściły się do środka - przede wszystkim artykuły spożywcze - włożyła do reklamówki. Zadzwoiła do pubu i zwolniła się z pracy z powodu wizyty u dentysty. Usprawiedliwienie zostało przyjęte z pewnym niezadowoleniem. - Będę wieczorem - powiedziała pojednawczo.

- Mam nadzieję - odburknął Justin. - Bo przyjdzie cała drużyna sportowców. Przydasz nam się!

- W porządku! - Miała nadzieję, że do wieczora uda jej się zorganizować rower. Może pani Smith-Hyde miała jakiś w garażu.

Musiała poczekać, aż pan Cadwick wyjdzie z domu. Zdecydowała się po prostu odejść, nie wdając się w niepotrzebne dyskusje. Gdyby zobaczył ją z torbą, niechybnie zasypałby ją pytaniami. Na szczęście kiedyś jej wspomniał, że przed południem wychodzi kupić sobie coś na obiad.

- Robienie zakupów na zapas to nie dla mnie. Wtedy bym się wcale nie ruszał z domu.

Prawdopodobnie także dziś wybierał się do sklepu. Pół godziny to wystarczająco dużo czasu, żeby niepostrzeżenie wymknąć się z domu i dojść na przystanek autobusowy. Jeśli pan Cadwick się trochę pospieszy, może nawet uda jej się złapać autobus o dwuna-stej. Za parę dni zajrzy do niego i poprosi o zwrot kaucji. Pewnie ją zwymyśla, ale będzie mogła mu przypomnieć, że zapłaciła czynsz za cały luty, chociaż nie zamierzała mieszkać u niego do końca miesiąca. Miała nadzieję, że do tej pory zadomowi się nieco w swoim nowym lokum i będzie czuła się na tyle pewnie, żeby stanąć twarzą w twarz z obleśnym starcem.

Jej cierpliwość była wystawiona na ciężką próbę. Do godziny dziesiątej z dołu nie dochodziły żadne dźwięki. Pewnie pan Cadwick kręcił się po korytarzu, zachodząc w głowę, dlaczego jego lokatorka nie poszła do pracy. Albo zastanawiał się, czy przeoczył jej wyjście wczesnym rankiem. Mógł to łatwo sprawdzić, wchodząc do pokoju, dlatego na wszelki wypadek zastawiła drzwi komodą. Jeśli spróbuje je otworzyć, zorientuje się, że lokatorka jest w środku, a wtedy będzie musiała wykpić się bólem zęba i trzymać kciuki, żeby mimo wszystko wybrał się na zakupy. Życie z takim gospodarzem było nie do zniesienia. Nie miała pojęcia, czemu tak długo zwlekała z wyprowadzką.

O jedenastej dał wreszcie znak życia. Wzdrygnęła się na dźwięk jego głosu. Dobiegał on z korytarzyka pod drzwiami jej mieszkania.

146

147

- Halo! Panienko! Jest tam kto?

Nie odpowiedziała. Zatem zauważył, że nie poszła do pracy.

- Wiem, że jest pani w środku! - zawołał.

Najwyraźniej mimo swego chorobliwego wścibstwa nie chciał stanąć nagle twarzą w twarz ze swoją lokatorką w jej mieszkaniu, gdyż nie próbował otworzyć drzwi.

- Halo! - zawołał ostrożnie po raz drugi.

Najchętniej by go po prostu zignorowała, ale obawiała się, że wówczas mógłby w ogóle nie wyjść i przez resztę dnia byłaby uwięziona w domu, więc w końcu, trzęsąc się ze złości, odpowiedziała:

- Jestem tutaj, panie Cadwick. Wszystko w porządku.

- Dlaczego nie poszła pani do pracy?

- Boli mnie ząb.

- No to musi pani iść do dentysty, moje dziecko! Takich spraw nie wolno lekceważyć!

- Umówiłam się na wizytę dziś po południu.

- Czy mogę pani pomóc?

- Nie, dziękuję. Poradzę sobie. - A w duchu pomyślała: spieprzaj!

Po chwili milczenia pan Cadwick oświadczył:

- Idę na zakupy. Potrzebuje pani czegoś?

- Dziękuję. Mam wszystko.

- Musi pani więcej jeść! Taka pani chudziutka!

Można by sądzić, że rozmawia z miłym, troskliwym staruszką.

Aleja znam cię nie od dziś, pomyślała.

- Przecież jem. Naprawdę, panie Cadwick, proszę się o mnie nie martwić, wszystko w porządku! - Chętnie by mu się odcięła, ale wołała nie wdawać się w dyskusję. Jeśli zaraz sobie stąd nie pójdzie, nie zdąży na autobus, myślała coraz bardziej zła.

- No dobrze! To wychodzę! - zawołał.

Nareszcie! Tylko się pospiesz! Spadaj i za szybko nie wracaj. Dwie minuty później usłyszała trzaśnięcie drzwiami. Po chwili odważyła się wyrzucić przez okno.

Zobaczyła, że pan Cadwick idzie

ulicą, ociężale i nieporadnie, w sposób typowy dla ludzi, którzy mają za mało ruchu. Wszystkiego dobrego, panie Cadwick. Może znajdzie pan kiedyś nową ofiarę, którą będzie pan mógł tyranizować!

Prędko włożyła kozaki i palto, chwyciła torbę podróżną i reklamówkę i po raz ostatni obrzuciła przelotnym spojrzeniem wnętrze, w którym przemieszkała prawie dwa lata. Nigdy nie czuła się tu szczególnie dobrze, mimo to przyzwyczaiła się do podniszczonych, brzydkich mebli. Prędko zdusiła w sobie przyływy melancholii.

Przy swoim trybie życia nie mogła sobie pozwolić na zapuszczanie korzeni. W każdej chwili musiała być gotowa do odejścia.

Do przystanku nie było wprawdzie daleko, ale walizka jej ciążyła. Co chwilę przystawała, żeby odpocząć. Musiała też nadłożyć drogi, ponieważ w przeciwnym razie mogłaby się natknąć na wracającego z zakupów pana Cadwicka. Idąc, rozmyślała o artykule, który tak wzburzył ją minionego dnia. Nieszczęsna dziewczyna, która została w bestialski sposób zamordowana w Londynie, nazywała się Linda Biggs. Trudno powiedzieć, czy Pit miał z tym coś wspólnego. Okoliczności morderstwa, które opisano w prasie, przywoływały na myśl Jane French, ale niejednokrotnie czytała o tak zwanym naśladownictwie zbrodni. Złoczyńca wyszukiwał jakąś starą historię i urządzał sobie zabawę, kopiując zachowanie poprzednika. W grę wchodzić mógł jakiś szalenciec, który natknąwszy się w Internecie na przypadek Jane French, doznał głębokiej fascynacji. Być może ta historia do tego stopnia nim zawładnęła, że nie był w stanie o niczym innym myśleć,

wciąż od nowa odgrywał w myślach wszystkie straszliwe sceny poprzedzające zgon Jane. Minęło wiele lat od tamtego morderstwa i przyszły oprawca zdążył się pozbyć wszelkich zahamowań. Los podsunął mu młodą dziewczynę, no i popełnił zbrodnię. Takie rzeczy się zdarzały. Często się o tym słyszało. Morderstwa popełniane w afekcie przez szaleńców, którzy w dzisiejszych czasach regularnie wpadali do szkół i college'ów i biorąc przykład ze swoich poprzedników, strzelali na oślep do wszystkich, którzy stanęli im na drodze. Krwawe scenariusze znali z filmów, gier komputerowych czy

148

149

doniesień prasowych i nie mogli się od nich uwolnić. Może Linda Biggs padła ofiarą właśnie takiego szaleńca?

Wolałabym takie wyjaśnienie, pomyślała, bo słabo robi mi się na myśl, że Pit nic a nic się nie zmienił. Bo mimo wszystko mam nadzieję, że teraz jest inny.

Musiała przyznać, że uczepliła się iluzji. Pit mógł nie mieć nic wspólnego z zabójstwem Lindy Biggs, ale to jeszcze nie znaczy, że się zmienił. Dał jej się poznać jako psychopata, była pewna, że nie myliła się w swojej ocenie. A psychopata pozostanie psychopata, gdyż jest niemożliwe, żeby ktoś z dnia na dzień pozbył się tak głębokiego zaburzenia, zmieniając się nie do poznania.

Dotarła na czas na przystanek i dziesięć minut później siedziała w autobusie.

Wyjrawszy przez okno, stwierdziła, że się wypogodziło. Po raz pierwszy od wielu dni gęste chmury rozsnuły się, odsłaniając błękitne niebo, przebłyskiwało słońce, zalewając ciepłym światłem ponury krajobraz. W powietrzu wciąż czuło się zimę i wiedziała, że tu, na północy Anglii, wiosna nigdy nie spieszy się z nadejściem, ale wydało jej się, że dziś wysłała swoich zwiastunów, i przyjęła to jako dobry znak.

Podróż autobusem trwała piętnaście minut. Czekala ją jeszcze męcząca marszruta z ciężką walizką do domu pani Smith-Hyde. Pomimo chłodu i lodowatego wiatru była spocona jak mysz, kiedy wreszcie, ciężko dysząc, dotarła na miejsce. Tak jak poprzednio, i tym razem wydało jej się, że pani Smith-Hyde patrzy na nią z lekką pogardą, ale może po prostu taka była i nic się za tym nie kryło.

- Jestem - powiedziała najzupełniej niepotrzebnie.

- Przecież widzę - odparła surowo nowa gospodyni. - Co za lekkomyślność, żeby targać taką ciężką walizkę! Podźwiga się pani i nabawi problemów z kręgosłupem!

- Nie miałam wyjścia. Zanim zapomnę... Może ma pani jakiś stary rower, który mogłabym kupić? Albo zna pani kogoś, kto chciałby taki sprzedać?

- Rower? A na co pani rower?

- Inaczej nie będę miała jak wrócić nocą z Langbury. O ósmej odjeżdża ostatni autobus.

150

- Wie pani co? - powiedziała pani Smith-Hyde. - Zastanawiałam się nad tym. Nie podoba mi się, że pracuje pani w tym pubie. To nie jest miejsce dla młodej kobiety. I żeby co noc wracać do domu na rowerze?... Jak pani wyobraża to sobie zimą? Pomijając różne niebezpieczeństwa, jakie mogą czyhać nawet w tak spokojnym miejscu.

Zdrętwiała ze strachu. Czyżby pani Smith-Hyde nie chciała jej jednak wynająć

mieszkania? Za nic nie chciała wracać do pana Cadwicka.

- Ja... cóż, to moja praca... - wyjąkała.

- Potrzebuję sprzątaczkę - oznajmiła pani Smith-Hyde bez ogródek. - Znam kilka rodzin, które też byłyby zainteresowane. Młoda kobieta, która dotychczas sprzątała dla całej wsi, niedługo będzie rodzić i przez jakiś czas nie będzie w stanie pracować. To jak? Zacznie pani u mnie, a ja polecę panią sąsiadom. Wieczory będzie pani mogła spędzać w domu i w ogóle będzie pani miała spokojniejsze życie.

Rozważyła to. Jej życie raczej nie stanie się spokojniejsze. Pani Smith-Hyde z pewnością nie należała do łatwych pracodawców, a kto wie, jaka była reszta. Ale rzeczywiście w ten sposób oszczędziłaby sobie nocnych eskapad rowerowych, a do tego mogłaby definitywnie spalić za sobą wszystkie mosty łączące ją z Langbury. Już wcześniej przyszło jej do głowy, że pan Cadwick, powodowany gniewem, mógłby zacząć nachodzić ją w pubie. Jeśli przyjmie propozycję pani Smith-Hyde, wszystkie problemy zostaną rozwiązane.

- Zastanowię się jeszcze - obiecała.

- Byle nie za długo - burknęła pani Smith-Hyde. W gruncie rzeczy już się zdecydowała. Spodobała jej się myśl o odcięciu się od przeszłości.

W czwartek około południa Angela wreszcie natrafiła na jakiś ślad. W środę wieczorem nie mogła długo siedzieć przy komputerze, ponieważ niespodziewanie wrócił Gordon i kompletnie się załamał.

151

Siedział skulony w pokoju i szlochał, zaklinając się, że bardzo kochał Lindę. Angeli kusilo, żeby mu przypomnieć, jak pogardliwie się o niej wyrażał i jak bezdusznie ją zawsze traktował, ale w końcu litość wzięła górę, usiadła przy ojcu i objęła go ramieniem.

- Kto mógł coś takiego zrobić? Kto? - pytał raz po raz, ale co miała mu odpowiedzieć na to pytanie? Wszak i w niej okoliczności śmierci Lindy budziły wyłącznie przerażenie.

Jaki człowiek jest w stanie potraktować w ten sposób swojego bliźniego?

Ponieważ Angela do końca tygodnia była na zwolnieniu, została w czwartek w domu. Sally, z nietypową dla siebie werwą, namówiła rano swoich trzech synów do pójścia do szkoły, a następnie nafasze-rowana tabletkami i wódką opadła z sił w kuchni.

Gordon siedział przy niej i lamentował, nikt nie zwracał jednak na niego uwagi.

Angela zaczęła od nowa przeglądać notatki dotyczące morderstwa Jane French, ale znalazła tylko znane już sobie fakty: zerwanie kontaktów z rodziną, prostytutka w Londynie, wypowiedzi jej przyjaciółki i współlokatorki na temat ich wspólnego życia. Nie posuwała się do przodu. Wyglądało na to, że ofiar nic nie łączyło.

Jakiś czas później natknęła się jednak na obszerny wywiad ze współlokatorką Jane French i po raz pierwszy przeczytała o czymś, co wzbudziło czujność Angeli.

„Najwyraźniej znalazła jakieś nowe źródło dochodów” - odpowiedziała koleżanka Jane na pytanie o styl życia ofiary - „w każdym razie w ostatnich tygodniach przed zniknięciem. Ciuchy, które sobie kupowała, były dużo droższe niż moje. Ja nigdy nie mogłabym sobie pozwolić, żeby wydawać tyle pieniędzy na ubrania!”

Angela zacisnęła powieki. W jej ciele zagnieździł się niepokój. To jest to, oto podobieństwo łączące obie sprawy. Dokładnie na to samo zwróciliśmy uwagę w

przypadku Lindy. Ubrania, które nagle tak wyraźnie się poprawiły.

Wstała i wyszła z pokoju, nasłuchując dźwięków dochodzących z kuchni. Dotarł do niej monotony bełkot ojca. Sally nie było słyhać. Nic dziwnego, Angela na własne oczy widziała, jak matka po-

152

łyka dwie tabletki nasenne, chociaż na opakowaniu było wyraźnie napisane, że wystarczy jedna, żeby zasnąć na kilka godzin.

Nie miała ochoty tłumaczyć czegokolwiek swoim rodzicom. Chciała od razu porozmawiać z inspektorem Fielderem. Zostawił jej swoją wizytówkę.

- Gdyby coś przyszło pani do głowy - powiedział - nawet jeśli będzie pani uważała, że to błażostka, proszę do mnie zadzwonić. Niech się pani nie obawia śmieszności. Każda informacja może okazać się ważna.

Przemknęła do salonu, gdzie stał telefon. Rodzice zapomnieli złożyć sofę. Leżąca na wierzchu pościel była całkiem pognieciona. Angela domyśliła się, że Gordon całą noc rzucał się przez sen.

Obawiała się, że skontaktowanie się z Fielderem może okazać się trudne, ale jak sobie później uświadomiła, myśl ta brała się z głębokiego przekonania, że mieszkańiec bloku komunalnego w Isling-lon nie ma co liczyć na niczyją uprzejmość. W rzeczywistości natychmiast ją połączono. Zanim zdążyła otrząsnąć się z zaskoczenia, usłyszała w słuchawce głos inspektora.

- Panno Biggs! - wykrzyknął niemal uradowany. - Czy coś się pani przypomniało? Pewnie poruszają się po omacku, pomyślała, skoro tak entuzjastycznie reaguje na mój telefon.

- No cóż... nie wiem, czy to pomoże w śledztwie, ale... - Angela przedstawiła mu rezultat swoich internetowych poszukiwań. Fielder przysłuchiwał się jej uważnie.

- To rzeczywiście ważna zbieżność - powiedział, kiedy Angela skończyła.

Miała wrażenie, że ów szczegół był mu już znany, ale z uprzejmości to przemilczał.

- To kolejna wskazówka przemawiająca za tym, że za zabójstwem Jane French i pani siostry stoi ten sam sprawca.

-Ale kto to jest...?

- Tego w dalszym ciągu nie wiemy. Możemy jednak zawęzić krąg poszukiwań i zająć się osobami z otoczenia pani siostry.

153

- Czy rozmawiał pan z byłym chłopakiem Lindy? - zapytała Angela. Fielder przytaknął.

- Niestety nie posunęło to śledztwa ani o krok. Możemy go jedynie wykluczyć jako podejrzanego. Jest zaszokowany i zropaczony. Zdaje się, że nie pogodził się jeszcze z rozstaniem z Lindą. Linda nie podała mu żadnego powodu zerwania. Oczywiście wyraził przypuszczenie, że na horyzoncie pojawił się inny mężczyzna. Ale Linda nigdy tego nie potwierdziła.

- Zatem policja nadal nic nie wie - powiedziała Angela zrezygnowana.

Fielder spróbował dodać jej otuchy:

- Chcę znaleźć mordercę pani siostry, panno Biggs. Proszę mi wierzyć. Zależy mi na tym tak samo jak pani.

- Ale policja nie ma prawie żadnych punktów zaczepienia.

- Sporo faktów przemawia za tym, że w życiu pani siostry pojawił się jakiś mężczyzna. Spędzała z nim dużo czasu, prawdopodobnie również swoje ostatnie dni po tym, jak... jak pokłóciła się z ojcem. Ktoś przecież musiał ich razem widzieć. Ludzie nie poruszają się w próżni, bez względu na to jak bardzo próbują się ukryć. Zdjęcie Lindy ukazało się we wszystkich gazetach. Ktoś w końcu się zgłosi, zobaczy pani.

- Ale czy ten ktoś nie powinien był już dawno skontaktować się z policją?

- Och, różnie z tym bywa - powiedział Fielder. - Większość ludzi boi się, że powie coś nie tak, że coś im się przywidziało i że się ośmieszą. Przyglądają się zdjęciu w gazecie i mają wrażenie, że gdzieś już widzieli pokazaną na nim osobę, ale chcą się jeszcze upewnić. Rozpytują się wśród znajomych i sąsiadów: „Czy to przypadkiem nie jest ta kobieta, która w zeszłym tygodniu wychodziła z mieszkania Iksińskiego?”. Kilka osób przyznaje im rację, inni zaprzeczają. Są niepewni, zastanawiają się. Wreszcie ktoś im radzi, żeby zgłosili się na policję i tam podzielili swoimi przypuszczeniami. Ponownie się głowią, aż w końcu zbierają się na odwagę i idą na posterunek. To może trwać nawet tydzień.

154

- Czy będzie informować mnie pan na bieżąco o postępach śledztwa? - zapytała Angela.

- Naturalnie - odparł bez wahania Fielder. Po krótkiej przerwie dodał: - Pani odkrycie jest bardzo ważne. Proszę do mnie dzwonić, gdyby coś jeszcze sobie pani przypomniiała.

Obiecała to zrobić, a następnie pożegnała się i odłożyła słuchawkę. Nie miała wrażenia, że udało jej się choćby odrobinę zbliżyć do martwej siostry. O ile w ogóle mogło się to udać. Do tej pory sądziła, że odetchnie z ulgą, kiedy dowie się wreszcie, kto jest odpowiedzialny za okrutną śmierć Lindy.

Naraz opuściła ją dawna pewność. Może wcale nie będzie lepiej.

Może dla bólu, który odczuwała, nie było żadnego ukojenia.

Denis Hamilton wrócił z biura o piątej po południu - jak na niego wyjątkowo wcześnie, chociaż miał jeszcze masę pracy. Tego dnia nie czuł się jednak najlepiej, od rana dokuczał mu silny ból głowy i podej-I rzewał początki grypy. Zaraz po przyjsciu do domu wziął dwie aspiryny, w nadziei że lek zdoła uciszyć morderczy łomot pod czaszką.

Prawie nigdy nie chorował. Może to nie przypadek, że zdarzyło mu się to akurat dziś. W walentynki.

Nie zadzwonił do Rosanny. Wiedział, że to on powinien odezwać się pierwszy. Po ich ostatniej rozmowie było jasne, że teraz jest jego kolej. Zdawał sobie sprawę, że nie powinien być jej tak gwałtownie alakować z powodu przyjęcia zlecenia w Anglii. Zazwyczaj wiedział, kiedy zachował się nie w porządku, również w stosunku do syna. Mimo to nie potrafił nad tym zapanować. Do takich reakcji popychał go strach, który zagnieździł się w nim tak głęboko, że Denis nie miał nad nim żadnej kontroli. Wszedł do kuchni, nalał sobie kieliszek białego wina i przeszedł się po parterze domu. Być może alkohol nie uśmierzy bólu głowy, ale na pewno poprawi jego stan ducha. Ten dom tak bardzo koja-
rzył mu się z Rosanną, że znowu boleśnie poczuł jej nieobecność. To ona wybrała

obrazy wiszące na ścianach, kupiła hiszpańskie dywany, które leżały na posadzce z terakoty. Na bielonym wapnem kominku z pietyzmem poustawiała portrety rodzinne w białych ramkach. Wygodne sofy z kolorowymi poduszkami, proste białe zasłony, to wszystko było jej dziełem. Rosanna nadała domowi niepowtarzalny charakter, łącząc ze smakiem hiszpańskie i angielskie elementy wystroju. Na zewnątrz, na kamiennym dziedzińcu, założyła i starannie pielęgnowała kwiatowe rabatki. Dołożyła wszelkich starań, żeby stworzyć jemu, Robertowi i sobie przytulne gniazdo. Mimo że bynajmniej nie czuła się szczęśliwa w Gibraltarze. Wiedział o jej tęsknocie za Anglią. Ba - ale co mógł na to poradzić?

Stanął w oknie i wyjrzał na zewnątrz. Tu, w Gibraltarze, w połowie lutego wiosna już była w rozkwicie. Drzewa obsypane kwieciami. Uwielbiał ten widok. Lubił Hiszpanię, ciepło, bujną roślinność. Nigdy nie cierpiał angielskiego klimatu. Ale oczywiście nie mógł oczekiwać, że Rosanna będzie widziała to w ten sam sposób. Mógł się jedynie powoływać na fakt, że wychodząc za niego, wiedziała, gdzie mieszka, gdzie pracuje. A mimo to nie odwołała ślubu.

Jedenastego stycznia 2003 roku. Owego szalonego dnia przed pięcioma laty. Teraz tamten dzień jakby im o sobie przypominał. Być może owa Elaine Dawson, której Denis nigdy nie miał okazji poznać, nie zaginęłaby, gdyby Rosanna nie zaprosiła jej na swoje wesele. I gdyby poprzedniego dnia w Londynie nie zalegała mgła. Gdyby, gdyby... W każdym razie wówczas Nick Simon nie miałby powodu, żeby akurat Rosannie powierzyć napisanie tego idiotycznego cyklu o osobach zaginionych, i jego żona poleciałaby wprawdzie na urodziny ojca do Anglii, ale dzień później byłaby z powrotem. Spędziliby razem walentynki, a wieczorem wyszliby do restauracji. Nie pokłóciliby się. Atak...

Wypił łyk wina.

To było jedenastego stycznia 2003 roku. Sporo gości nie dotarło na ślub, gdyż większość przyjaciół miała przylecieć z Anglii i pomijając tych, którzy przybyli wcześniej, wszyscy utknęli na Heathrow albo na którymś z pozostałych londyńskich lotnisk. Matka Rosanny, która zjawiała się trzy dni wcześniej, lamentowała, że to był fatalny pomysł, urządzać ślub w styczniu. Rosanna jej wtórowała. Od początku była temu przeciwna. Chciała wyjść za mąż latem. Ale Denis postawił na swoim. Zwrócił jej uwagę na letnie upały w Gibraltarze („I co z tego? Możemy wziąć ślub w Anglii!”, odparła Rosanna, a Denis jęknął: „Tak - może jeszcze w Kingston St. Mary?”), poza tym Denis był romantykiem i chciał, żeby ślub odbył się w rocznicę ich pierwszego spotkania. A poznali się jedenastego stycznia - w urodziny Rosanny.

Tym argumentem ostatecznie przekonał Rosannę. A tym samym pokpił sprawę. Uroczystość odbyła się w dużo mniejszym gronie, niż planowano. Rosanna płakała, bo jej ukochany brat w drodze z Nowego Jorku, podczas międzyładowania na Heathrow, padł również ofiarą mgły. Raz po raz dzwoniли znajomi, przepraszaali i podawali nowe terminy przyjazdu. Panował chaos, dzień ów daleki był od najpiękniejszego dnia w życiu.

- Przynajmniej jesteśmy teraz mężem i żoną - powiedział Denis, kiedy wreszcie późną nocą kompletnie wyczerpani położyli się spać.

Bez słowa przewróciła się na drugi bok. Zepsuł jej uroczystość weselną, co z

pewnością nie było najlepszym początkiem małżeństwa. Denis pocieszał się, że rozpadło się wiele małżeństw, które pięknie i szczęśliwie się zaczęły. Nie należy ulegać przesądom.

Wybierając partnerkę, Denis pragnął mieć całkowitą pewność. Przede wszystkim ze względu na Roberta. Chłopcu tak bardzo brakowało matki. Kiedy jego syn miał pięć lat, Denis poznał pewną kobietę, z którą potem zamieszkał. Rob ją ubóstwiał i traktował jak matkę. Ją natomiast to zadanie przerosło. W końcu poznała innego mężczyznę i z lekkim sercem ich obu porzuciła. Świat Roberta legł w gruzach. Potrzebował dużo czasu, żeby zaleczyć rany po stracie, ale na jego duszy pozostała wyraźna blizna. Wówczas Denis poprzysiągł sobie, że coś podobnego nie ma prawa się powtórzyć. Albo zostanie sam z synem, dopóki ten nie dorośnie, albo znajdzie kobietę, co do

której będzie miał stuprocentową pewność. O ile taka osoba w ogóle istniała.

Rosannę poznał przypadkiem podczas dwutygodniowego służbowego pobytu w Londynie. Zatrzymał się u starego przyjaciela ze studiów, który w owym czasie był redaktorem w magazynie „Co-ver”. Tego wieczoru, kiedy Denis przyleciał do Anglii, był on akurat zaproszony na urodziny koleżanki z pracy, więc poszli na przyjęcie razem. Denis nie był tym zachwycony, miał wrażenie, że się wprasza, ale w końcu, choć niechętnie, zgodził się pójść. Na szczęście w małym mieszkaniu Rosanny Jones panował gwar i ścisk, jedni goście wchodzili, inni wychodzili, tak że nikt nie zwrócił na niego uwagi. W którejś chwili zaczął rozmawiać z gospodynią. Stała na tle dużego okna w salonie, a za szybą puszyste płatki śniegu opadały powoli na place i ulice Londynu, otulając miasto w osobliwą ciszę, którą potrafi wywołać tylko świeży śnieg. W pokoju paliło się kilka świec i większość gości już wyszła. Było grubo po północy.

Denis wciąż pamiętał, jak Rosanna wyglądała tamtego wieczoru. Ubrana była w krótką czarną sukienkę z dzianiny. Nie miała na sobie prawie żadnej biżuterii, tylko kolczyki z perłami w uszach. Ciemne, krótko ścięte włosy sterczały krnąbrnie na wszystkie strony, nie dając się ujarzmić. Denis uwielbiał kobiety z długimi włosami, ale Rosannie tak dobrze było w krótkich, że trudno było wyobrazić ją sobie w innej fryzurze. Miała bardzo ciemne oczy, najciemniejszy odcień brązu, jaki kiedykolwiek widział. W ogóle nie była w jego typie, a mimo to wydała mu się przepiękna. Szukał staromodnej dziewczyny o konserwatywnych poglądach. Rosanna wyglądała młodo, sprawiała wrażenie rzutkiej, nieokiełznanej, spragnionej życia. Staromodne miała jedynie imię, którego jak się później dowiedział, z całego serca nienawidziła.

Staromodne było Kingston St. Mary - wieś, z której pochodziła. Tam świat był jeszcze taki jak kiedyś. To dodawało mu otuchy.

Zakochał się w Rosannie bez pamięci. Musiał ją zdobyć. Dla siebie i dla Roba. Tej nocy pomyślał, że nie może wrócić do Gibraltaru, jeśli nie będzie miał choć cienia nadziei, że do niego dołączy.

Podczas jego pobytu w Londynie jeszcze kilka razy się spotkali, co należy przypisać natrętnym wręcz telefonom Denisa i jego za-

158

proszeniom do kina, restauracji, teatru czy na drinka. Przyłgnał do Rosanny i zasypywał ją dowodami swojej atencji. W pewnym momencie poczuł, że wzbudził

jej zainteresowanie, a w końcu Rosanna zaczęła odwzajemniać jego uczucie. Dwa dni przed jego wyjazdem do Gibraltaru zaprosiła go na weekend do Kingston St. Mary. To miejsce go zafascynowało, miał wrażenie, że czas stanął tam w miejscu. Małe domki, ogródki, po których nawet w styczniu było widać, jak wypielegnowane i kolorowe muszą być latem, wąskie uliczki, niewielka szkoła, której okna zdobiły wycięte z papieru krasnoludki i kwiatki. Kamienny kościół z romantycznym cmentarzem, porośniętym pięknymi starymi drzewami. O tej porze roku były one wprawdzie nagie, ale latem tworzyły pewnie zielony baldachim nad miejscem spoczynku zmarłych, i Denis doskonale rozumiał Rosannę, kiedy powiedziała:

- Niezależnie od tego, gdzie spędzę życie, tu pragnę zostać pochowana.

Poznał jej rodziców, Victora i Hazel Jonesów, i dziękował Bogu, że najwyraźniej od pierwszego spotkania go polubili. W głębi duszy już widział w nich swoich przyszłych teściów. Pojął, że Rosanna wychowała się w rodzinie, która zaszczepiła jej konserwatywne poglądy, a do tego jeszcze we wsi, gdzie dzieci dorastały z dala od miejskiego zepsucia. Obracając się w dziennikarskim światku w Lon-I dynie, oddaliła się oczywiście nieco od tej idylli. Wyglądało na to, że również jej brat, którego wtedy znał tylko z opowiadań, rzucił się w Nowym Jorku w wir wielkomiejskiego życia. Pochodzenie Rosanny jednak go przekonało. Miał już dość samotności. Chciał wreszcie założyć normalną rodzinę. Również ze względu na Roba gotów był na ten krok.

Kiedy pokazała mu Glastonbury, owo magiczne miejsce na równinie Somerset, gdzie jak głosi legenda, trzydzieści lat po śmierci Chrystusa Józef z Arymatei zbudował pierwszy kościół w Anglii, zapytał ją w katedrze, czy zechce zostać jego żoną. Była kompletnie zaskoczona, a gdy nieco doszła do siebie, powiedziała:

- Bardzo szybko się to potoczyło, nie sądzisz?

159

Tym samym wykręciła się od odpowiedzi, ale nie powiedziała też „nie”. Uznał to za dobry znak. I rzeczywiście, w końcu dopiął swego. Przyjęła jego zaproszenie do Gibraltaru, spędziła z nim i z Robertem wakacje, a na Boże Narodzenie ojciec i syn odwiedzili ją w Kingston St. Mary. Mijał dokładnie rok od ich pierwszego spotkania, kiedy się pobrali. Denis czuł się najszcześliwszym człowiekiem pod słońcem. Aż do dziś. Nagle zaczął narastać w nim lęk. Lęk, który rozsadał go od środka, a którego nie potrafił zdefiniować. Dopóki nie ustali jego źródła, nie uda mu się przed nim obronić. Jak ma zaatakować wroga, który jawi mu się tylko jako niewyraźny cień? Usłyszał otwierające się drzwi i odwrócił się.

- Rob? - zawołał. - To ty?

Robert wszedł do salonu. Jak zawsze nadaşany, z nieprzystępną miną. Denis czasami się zastanawiał, jak wygląda uśmiej jego syna. Czy Rob w ogóle jeszcze wiedział, jak to się robi? Czy też kąciki ust nie były już w stanie unieść się do góry?

- Już wróciłeś? - zapytał Robert, a w jego głosie bynajmniej nie słychać było zadowolenia.

- Boli mnie głowa. Dlatego wcześniej wyszedłem z pracy. - Zastanawiał się nad czymś przez chwilę. - No to jak? Może pójdziemy jak dwaj słomiani wdowcy coś zjeść? Ty wybierasz miejsce. Pod warunkiem, że to nie będzie McDonald...

- Myślałem, że boli cię głowa - powiedział Rob.
- Wziąłem dwie aspiryny. Już czuję się lepiej. Rob wzruszył ramionami:
- Czyja wiem...

Denis nakazał sobie cierpliwość.

- To tylko propozycja. Może zamówimy pizzę?
- Właściwie to nie jestem głodny. - Wyraz twarzy Roberta zdradzał wyraźnie, co chce przez to powiedzieć: nie miał ochoty jeść obiadu ze swoim ojcem. Nie miał ochoty spędzać z nim wieczoru.

Nic z tego, nie uda mi się do niego dotrzeć, pomyślał Denis.

- Pomyśl jeszcze - powiedział na głos. - Jestem otwarty na propozycje.

160

- W porządku - odparł Rob. Już chciał wyjść z pokoju, ale przystanął i odwrócił się do ojca. Jego mina zdradzała gotowość do podjęcia walki.

- Chciałem ci tylko powiedzieć... żebyś wiedział... idę jutro na tę imprezę. To postanowione.

Denis nie od razu zrozumiał.

- Na jaką imprezę?
- Bał absolwentów. Jutro wieczorem.
- Rozmawialiśmy już o tym. I wszystko zostało powiedziane.
- To ty wszystko powiedziałeś! - syknął Rob. - Ale nawet nie wysłuchałeś moich racji!
- Owszem, wysłuchałem cię. Ale wyraziłem również swoje obawy i wyjaśniłem ci, dlaczego nie chcę, żebyś tam szedł.
- I tak pójdę. Wszyscy idą. Nie zostanę jako jedyny w domu tylko dlatego, że mój ojciec jest... - zająknął się.
- Tak? - zapytał Denis. - Dokończ! Kim jest twój ojciec? Filistrem? Durniem? No kim?

- Nazistą! - powiedział Robert z taką nienawiścią, że Denisa przeszły ciarki po plecach. - Prawdziwym nazistą!

Denis był raczej zaskoczony niż wściekły.

- Nazistą?
- Niszczysz wszystko, co nie jest po twojej myśli! Nie pozwalasz nikomu na własne zdanie. Najchętniej zamknąłbyś tych, którzy nie robią tego, co im każesz, za kratkami. Nawet Rosannę wypędziłeś z domu!
- Chwileczkę! Rosannę zostaw w spokoju. Jest w Anglii, bo otrzymała ciekawą propozycję zawodową. Nie uciekła przede mną!
- Ona już nie wróci! - zawołał Rob. - Zrozum to wreszcie, ona już nie wróci! Ma ciebie dosyć! Tak samo jak ja!

Robert wypadł z salonu, pobiegł do swojego pokoju i trzasnął drzwiami tak mocno, że w kuchni spadła z półki szklanka i z brzękiem roztrzaskała się na podłodze. Denis usłyszał zgrzyt klucza w zamku. Zaraz potem w mieszkaniu zadudniła muzyka, zagrzmiały basy.

161

Jakby dostał obuchem w głowę. Gniew Roberta go przeraził. Przeraziło go coś jeszcze: normalnie zagotowałyby się z wściekłości. Dobijałby się do pokoju syna,

krzyczałby, grożąc najostrożniejszymi sankcjami.

Tymczasem nie mógł się ruszyć. Był jak sparaliżowany. W tym jednym zdaniu Rob uchwycił uśpiony strach Denisa i cisnął mu go prosto w twarz: „Ona już nie wróci! Zrozum to wreszcie, ona już nie

wróci
i!

Zauważył, że drży na całym ciele. Odstawił kieliszek z winem na stół, opadł na sofę i złapał się za głowę. A jeżeli Robert ma rację?

Piątek, 15 lutego

Całą ścianę studia zajmowała fotografia Elaine. Przedstawiała twarz dwudziestotrzyletniej zaginionej kobiety, tę samą, która przed pięcioma laty ukazała się w większości gazet. Duże zalęknione oczy, malujący się wokół ust grymas zgorzknienia. Ciemne rzadkie włosy opadające na wysokie czoło. Nie była to brzydka twarz, ale nie należała też do ładnych. Niepozorna, zbyt okrągła bez wyrazu. Przyjrząwszy się jej bliżej, można było dostrzec smutek w niedokończonych rysach. Na tle zdjęcia w dużych czarnych fotelach siedziały naprzeciwko siebie Rosanna i dziennikarka Lee Pearce. Rosanna długo się zastanawiała, w co się ubrać na tę okazję, w końcu zdecydowała się na czarne spodnie i czerwony błyszczący żakiet. Na nieszczęście gospodyni programu dokonała tego samego wyboru. Miała na sobie tylko o ton ciemniejszą marynarkę, która świetnie komponowała się z długimi blond włosami. Naraz Rosanna wydała się sobie zupełnie nieatrakcyjna ze swoimi krótkimi ciemnymi loczkami. Poza tym uznała, że jest za mocno umalowana.

Charakteryzatorka zapewniła ją wprawdzie, że makijaż w dużej mierze pochłonie oświetlenie w studiu, ale mimo to Rosanna czuła się niepewnie.

Nie powinnam tu była przychodzić, pomyślała zdenerwowana.

Nie tylko dlatego, że czuła się jak kopcuszek w porównaniu z nieznośnie pewną siebie moderatorką o aparycji Barbie. Ponad to zdawała sobie sprawę, że talk-show nastawiony jest na sensację,

a nie na rzeczowe przedstawienie sprawy. „Private Talk” był najtańszym programem dla mas. W przeciwnym razie Nick nie byłby nim aż tak zachwycony.

Siedział w pierwszym rzędzie na widowni. Sala mieściła około pięćdziesięciu osób, wszystkie miejsca były zajęte. W studiu zebrała się głównie młodsza publiczność, ale przyszło także kilka starszych osób. Większość widzów stanowili raczej prości ludzie, jak oceniła Rosanna na pierwszy rzut oka.

- Żałuję, że nie możemy powitać w studiu także Marca Reeve'a

- powiedziała Lee Pearce, uśmiechając się do kamery. - Niestety nie udało nam się go namówić do przyjścia. - Zwróciła się do Rosanny.

- Rosanno, co się dzieje z panem Reeve'em? Ma pani o nim pisać. Zbiera pani informacje. Dlaczego się ukrywa?

Rosanna wyobraziła sobie Marca Reeve'a, jak siedzi w salonie przed telewizorem, chowając twarz w dłoniach. To właśnie dziennikarzom pokroju Lee Pearce zawdzięczał, że jego kariera legła w gruzach. Powodowani wyłącznie żądzą sensacji, formułowali pytania w ten sposób, że podsuwali widzom gotowe odpowiedzi i spychali rozmówcę do defensywy. Skutkiem czego ten od samego początku znajdował się na straconej pozycji.

- Marc Reeve się nie ukrywa i nie ma ku temu żadnego powodu
- odpowiedziała ostro Rosanna. - Od razu zgodził się ze mną spotkać. Ścisłe mówiąc, spotkaliśmy się już dwa razy. To były bardzo otwarte, szczerze rozmowy.

Rosanna nie patrzyła na Nicka, ale czuła, że wzdrygnął się na jej słowa. W przedstawionej mu wersji Reeve odmówił wypowiedzi w tej sprawie.

Prawdopodobnie także sam Reeve, siedząc w domu, z niedowierzaniem patrzył w ekran telewizora, gdyż Rosanna właśnie złamała jeden z punktów ich umowy.

Nadużyła zaufania obu mężczyzn; Nick z pewnością urządzi jej po zakończeniu programu awanturę. Jednakże decyzję o tym, żeby odejść od pierwotnej koncepcji rozmowy, Rosanna podjęła spontanicznie. Dotarło do niej, jaki jest cel wywiadu - napiętnowanie Marca Reeve'a jako sprawcy. Zrobienie z niego mężczyzny, który zwabia obce kobiety do swoje-

go domu, a następnie sprawia, że znikają bez śladu. Mogła wziąć go w obronę, przyznając się do znajomości z nim.

- Bardzo szczerze rozmowy? - dopytywała się Lee. - Czy powiedział pani, co tak naprawdę się zdarzyło?

- Powiedział mi to samo, co już przed laty mówił o przebiegu tamtego wieczoru. Nic ponadto. Jego zeznanie nie wzbudziło moich najmniejszych wątpliwości. Atak przy okazji - dodała Rosanna

- pięć lat temu policja była tego samego zdania.

- Proszę wybaczyć, jeśli moje pytanie zabrzmia nieco naiwnie

- odezwała się Lee, a jej uśmiech zdradzał, że sama bynajmniej nie uważa tego, co zaraz powie, za naiwne - ale miałam i nadal mam trudności, żeby uwierzyć w historyjkę, którą Marc Reeve puścił w obieg. Czy nie uważa pani, że to co najmniej dziwne, że mężczyzna zaczepia na lotnisku kompletnie obcą kobietę i proponuje jej nocleg w swoim domu? Nie żywiąc przy tym żadnych podejrzanych zamiarów? - Ponownie się uśmiechnęła. - A może wydają się pani staroświecka?

Po widowni przebiegł szmer, Lee najwyraźniej o to właśnie chodziło. Widać było wyraźnie, że publiczność trzyma jej stronę, nie uważając jej ani za naiwną, ani za staroświecką. Nie, całkowicie się z nią zgadzano - zachowanie Reeve'a było w najwyższym stopniu podejrzane.

- Nie zaczepił jej - powiedziała Rosanna. - Zderzyli się, kiedy...

- Och! - przerwała jej Lee. - To bardzo dziwne, nie sądzi pani? Na zatłoczonym lotnisku czy nawet tu, w kawiarni naszej stacji telewizyjnej, nieraz zderzyłam się z innymi osobami. Także z mężczyznami. Co by to było, gdybym za każdym razem brała kogoś takiego ze sobą do domu... - nie dokończyła zdania, uśmiechnęła się tylko znacząco. Publiczność wybuchnęła gromkim śmiechem.

Teraz Rosanna poczuła na własnej skórze, w jak niewygodnym położeniu znalazł się za sprawą mediów Marc Reeve.

Mnie również dręczy ta kwestia, pomyślała. Odpowiedź na pytanie „dlaczego”.

Dlaczego ją do siebie zabrał?

164

165

- Co panem powodowało? - zapytała go wczoraj przed południem w małej kawiarni i zdawało się, że kluczowe pytanie zadano mu po raz pierwszy.

Pamiętała jego odpowiedź.

- Czuję, że mam przed sobą nie tylko płaczącą kobietę. Elaine sprawiała na mnie raczej wrażenie... dziecka. Opuszczonego, zrozpaczonego dziecka. Poruszyło mnie jej zwątpienie, całkowita bezsilność. Wydawało mi się, że płacze nie tylko z powodu odwołanego lotu i czekającej ją nocy w hali odlotów. Płakała nad całym swoim życiem. Potem, kiedy mi o sobie opowiedziała, zrozumiałem, że intuicja mnie nie myliła. Znajdowała się w ślepych zaułku. Nic jej się w życiu nie udawało. Była urodzonym pechowcem, szarą myszką, od zawsze stała na straconej pozycji. Aż wreszcie znalazła w sobie odwagę i zrobiła pierwszy krok. Jak na nią naprawdę duży. Przyjmuje zaproszenie do Gibraltaru. Ignoruje błagalne prośby i mniej lub bardziej subtelne próby szantażu emocjonalnego ze strony brata. Drżąc z niepewności, dociera do Londynu. Zdecydowana jest coś zmienić w swojej jałowej egzystencji. Życie pełnią życia. Nie chować się dłużej w cieniu, gdzie nikt jej nie widzi. I co się dzieje? Mgła. Odwołany lot. Znowu przegrywa. Jej życie na powrót pogrąża się w beznadziei. W trzysta sześćdziesiąt cztery wieczory w roku samoloty z Heathrow startują zgodnie z planem, ale nie wtedy kiedy Elaine Dawson wybiera się w podróż. Załamuje się. Przekonanie, że szczęśliwy los znowu ją pominął, nabiera znamion obsesji. Pogrąża się w niewyobrażalnym bólu. Biegnąc, wpada na nadchodzącego z przeciwka mężczyznę. Pech chciał, że tym mężczyzną byłem ja. Pytała pani, co mną powodowało? Myślę, że zareagował we mnie obrońca. Ojciec. Tak, określenie ojciec będzie w tym miejscu najstosowniejsze. Na pewno nie mężczyzna. Proponując jej nocleg, nie miałem w stosunku do niej żadnych zamiarów natury damsko-męskiej. Takie uczucia są wykluczone, kiedy ma się przed sobą dziecko, które płacze tak rozdzierająco, że aż serce pęka. W każdym razie w moim przypadku. To tyle. Nic więcej na ten temat nie jestem w stanie powiedzieć. I nigdy nie będę.

166

- Rosanno? - zapytała Lee. - Czy słyszy mnie pani? Powiedziałam właśnie, że... Rosanna wzięła się w garść. Przytaczanie słów Reeve'a nie miało sensu. Na tej wypudrowanej lalce naprzeciwko Rosanny nie zrobiłyby one najmniejszego wrażenia. Poza tym powiedziałyby wtedy za dużo o Elaine. Klame niczym sobie nie zasłużyła, żeby odslaniać jej osobistą tragedię.

- Tak, słyszałam. Powiedziała pani przed chwilą, że nie każdego mężczyznę, z którym się przypadkowo zderza, zaprasza do siebie do domu. - Uśmiechnęła się równie uprzejmie co jej rozmówczyni, zadowolona, że jej cięta riposta rozpałała w oczach Lee gniewne ogniki. Powoli zaczynała mieć tego dość. Nie zamierzała dać się dłużej wodzić za nos Lee Pearce. - Spróbujmy przedstawić fakty w sposób obiektywny - kontynuowała, nie pozwalając Lee dojść do głosu. - Zapłakana kobieta próbuje wejść do męskiej toalety na lotnisku. Wychodzący akurat mężczyzna zderza się z nią i zwraca jej uwagę na pomyłkę. W tym momencie kobieta załamuje się całkowicie. Oczywiście mężczyzna mógł pójść dalej. Nie znał tej osoby, nic go nie obchodziły jej zmartwienia. Ale czy pani by tak zrobiła? - Powiodła wzrokiem po widowni. - Albo pan? A może pan? Jeden postąpiłby tak, drugi inaczej. Narzekamy na znieczulicę w naszym społeczeństwie. Nikogo nie obchodzi los bliźniego. Ale dziś wieczorem, i nie jest to pierwszy raz, stawia się pod pręgierzem człowieka, który przeciwstawił się tej tendencji, i karze się go za gotowość niesienia pomocy i

odpowiedzialne zachowanie. Zabrał tę młodą kobietę ze sobą do domu. Zaprosił na kolację. Przez pół nocy wysłuchiwał jej zwierzeń. Zaoferował jej pokój gościnny, a następnego dnia odprowadził na stację. Upewnił się, że wsiadła do właściwego pociągu. A jak reaguje na to prasa? Robi z niego gwałciciela. Mało tego, mordercę. Gdyż dokładnie te dwa zarzuty: gwałt i morderstwo, przewijały się w prasie w mniej lub bardziej zawołowanej formie. Również dzisiejsze pytania zmierzają w tym kierunku. Muszę powiedzieć, że trudno wyobrazić sobie lepszy sposób na odstraszenie wszystkich, którzy skłonni byłiby okazać pomoc drugiemu człowiekowi. Wstrzymała oddech. Czowała, że ludzie słuchają z uwagą. Udało jej się dotrzeć do publiczności.

167

- Zapomina pani o jednym - powiedziała ostro Lee. Uśmiech zniknął z jej twarzy.

- Po Elaine Dawson wszelki śluch zagaął. Zniknęła bez śladu. Poszła z Markiem Reeve'em do jego domu i od tamtej pory nikt jej nie widział. Czy w tej sytuacji nie nasuwają się pewne wnioski? Nawet jeśli, jak ma to najwyraźniej miejsce w pani przypadku, bez reszty uległo się urokowi i elokwencji przystojnego prawnika? Rosanna nie dała się sprowokować ostatniej uwadze Lee.

- Użyła pani słowa wnioski, natomiast w mediach pojawiał się zawsze tylko jeden wniosek. W rzeczywistości w grę wchodzi wiele możliwych wyjaśnień.

- Mianowicie?

- Wiem, że w życiu Elaine Dawson istniał pewien mężczyzna. Z uwagi na specyficzną sytuację, wynikającą z poczucia obowiązku wobec brata, Elaine utrzymywała swój związek w całkowitej tajemnicy. Wiem również, że Elaine pragnęła się wyrwać ze swojego dotychczasowego życia. Z powodów, które nie powinny nikogo interesować, a które mnie, znającej ją od dziecka, wydają się zrozumiałe. Mogę sobie wyobrazić, że wykorzystała szansę, którą dawała jej podróż oraz fakt, że przyjęła ona tak nieoczekiwany obrót.

- To znaczy?

Rosanna spojrzała prosto w kamerę.

- Jestem przekonana, że Elaine żyje - powiedziała - i że się ukrywa. Może przebywa na terenie Anglii, może za granicą. Ale żyje. Nikt nie ma prawa ogłaszać jej śmierci tylko dlatego, że skorzystała z prawa do wolności.

Rosanna przeniosła wzrok na widownię, ignorując wściekłe spojrzenie Nicka Simona.

- Może chce, żeby zostawić ją w spokoju - dodała - i czeka, aż zaczniemy respektować to życzenie. Dotyczy to również, a może przede wszystkim, prasy. Na widowni rozległy się gromkie brawa.

Teraz Nick odbierze mi to zlecenie, pomyślała Rosanna.

168

Sobota, 16 lutego

- Wczoraj wieczorem zachowałeś się skandalicznie - powiedział z wściekłością Nick Simon. - Absolutnie skandalicznie. Puszyłaś się jak adwokat przed sądem. Jak adwokat Marca Reeve'a!

Rosanna siedziała nieco oszołomiona w swoim hotelowym łóżku. O wpół do siódmej rano wyrwał ją ze snu telefon. Domyśliła się, że to Nick Simon. Poprzedniego

wieczoru po zakończeniu programu bezskutecznie wypatrywała go w studiu. Rozgniewany pojechał prosto do domu, nie zamieniwszy z nią ani słowa. Tym więcej miał jej teraz do powiedzenia.

- Jak mogłaś tak zaatakować panią Pearce! I właściwie cały program. Nawet nasz własny magazyn. Szkalowałaś ten rodzaj dziennikarstwa, pod którym podpisuje się zarówno „Private Talk”, jak i „Cover”. Zastanawiam się, co przez to chciałaś osiągnąć!

- Nick, ja...

- Mamy zostawić Elaine Dawson w spokoju! Czy nie dociera do ciebie, jak absurdalnie brzmi to w twoich ustach? Piszesz o niej artykuł na zlecenie i pozwalasz sobie publicznie na takie tyrady!

Rosanna była niemal w stanie go zrozumieć.

- Nick, nie powinnam była przyjmować zaproszenia do tego programu - odparła, kiedy wreszcie przerwał na moment, żeby zaczerpnąć powietrza, tym samym dając jej możliwość zabrania głosu. - Gdybym wiedziała, jaką osobą jest ta Lee Pearce, wówczas od samego początku

169

byłoby dla mnie jasne, że to nie ma sensu. Zarzucasz mi, że zachowałam się jak adwokat Reeve'a? Cóż, to dlatego, że pani Pearce przyjęła rolę oskarżyciela. Robiła wszystko, żeby przedstawić go jako winnego.

- Reeve sam mógłby się przed nią obronić. Gdyby przyjął zaproszenie do programu.

- Może po prostu nie chce się bronić z powodu historii, z którą nie ma nic wspólnego!

- Aha. A ty z całą pewnością wiesz, że on nie ma z tym nic wspólnego. Tak?

- Nie jestem wszystkowiedząca. Ale Reeve zrobił na mnie wrażenie bardzo uczciwego człowieka. Nie mogę sobie wyobrazić, jaki miałby mieć motyw. Poza tym policja też nie była w stanie mu nic udowodnić. Nick, nie można przez całe życie prześladować człowieka z powodu zdarzenia, za które prawdopodobnie naprawdę nie ponosi najmniejszej winy.

- Nie w tym rzecz - odparł Nick. - Nie chodzi o odpowiedź na pytanie, czy Reeve jest winny. Szczerze mówiąc, jest mi to obojętne. Sprzedaję ludziom historie i ważny jest dla mnie nakład mojej gazety, nic innego mnie nie interesuje. Mówiąc brutalnie, Rosanno, Marc Reeve, za którym ciągnie się cień podejrzenia, sprzedaje się lepiej niż Elaine Dawson, która po prostu zniknęła i żyje sobie gdzieś daleko stąd jak u Pana Boga za piecem. Taka jest prawda. Wystarczająco długo pracowałaś w tej branży. Powinnaś to wiedzieć.

Milczała. Nick miał rację. Nie mogła powiedzieć, żeby jego słowa kompletnie ją zaskoczyły.

- Poza tym - ciągnął Nick - nie mogłem uwierzyć własnym uszom, kiedy opowiadałaś o twoich osobistych kontaktach z Reeve'em. Dwie długie szczere rozmowy? Ciekawe, że dowiaduję się o nich dopiero z telewizji. W rozmowie ze mną twierdziłaś, że Reeve odmówił wywiadu.

- Wiem. Przykro mi. Musiałam mu obiecać, że nie wspomnę o naszych rozmowach.

- Wobec tego twoja wczorajsza wypowiedź nie była zbyt fortunna.

- Być może. Nie wiedziałam jednak, jak inaczej mogłabym zostać jego adwokatem, jak się sam wyraziłeś. Mam nadzieję, że to zrozumie.

- Powinnaś raczej się martwić, czyja to rozumiem - parsknął Nick. - W końcu to ja opłacam twoją pracę i twój pobyt w Londynie. I całkiem nieźle ci się tu wiedzie!

- Wiem. I rozumiem, jeśli powiesz, że chcesz rozwiązać naszą...

- O nie, tak łatwo mi się nie wywiniesz - przerwał jej Nick. - Pracujesz dalej. Zawarliśmy umowę. Ale od tej chwili zachowujesz się jak należy. Co oznacza, że przy okazji wszystkich kolejnych wystąpień prasowych i telewizyjnych będziesz działać w interesie „Covera”. I jeszcze jedno, Rosanno. Wszystko, dosłownie każdy krok masz wcześniej ze mną omówić. Rozumiemy się? Chcę być na bieżąco informowany. Nie zapominaj, że jestem twoim szefem! - Po tych słowach odłożył słuchawkę.

Rosanna zakłęta w duchu, po czym także odłożyła słuchawkę i w tej samej chwili przeszły ją ciarki, gdyż ponownie rozległ się dzwonek telefonu. Przez chwilę wahała się, czy odebrać, ponieważ nie miała ochoty na kolejną dyskusję. Podejrzewała, że to Marc Reeve. Przed rozmową z nim musiała koniecznie napić się mocnej kawy. W końcu jednak odebrała.

-Tak?

- Rozum ci odjęło, czy co?! - krzyknął Geoffrey do słuchawki. - Co miało znaczyć to wczorajsze przedstawienie? Nie do wiary! Marc Reeve, niewiniątko! I Elaine, która po prostu zwiła z jakimś facetem! Powiedz mi, czy zdajesz sobie sprawę, jaką piramidalną bzdurę puściłaś w obieg?

- Geoffrey, wiem, że masz własną teorię na ten temat, ale musisz po prostu zaakceptować, że...

- Niczego nie muszę akceptować! A już na pewno nie to, że szargasz dobre imię mojej świętej pamięci siostry. Kogo próbujesz z niej zrobić? Lekkomysłną latawicę, która ucieka z kochankiem, zostawiając na pastwę losu bezbronного brata? Która nie miała nawet na tyle przyzwoitości, żeby pożegnać się z żalonym kaleką? Wiesz, co jest

170

171

w tobie najpodlejsze? Dostałaś to zlecenie, gdyż chwaliłaś się naprawo i lewo, że znałaś Elaine od dziecka. Ale ten, kto naprawdę ją znał... zrozumiem to wreszcie... ten, kto naprawdę ją znał, wie, że nigdy nie zrobiłaby czegoś podobnego. Była na to za uczciwa. I za przyzwoita. To cechy, które tobie są niestety kompletnie obce i dlatego...

Rosanna nie miała ochoty słuchać dalej obelg Geoffreya. Zrobiła to, co przed chwilą uczynił Nick Simon - rzuciła słuchawkę na widełki.

- Wystarczy - powiedziała na głos. - Nie tym tonem i nie o tej porze.

W tym momencie telefon znów zadzwonił, Rosanna zignorowała go jednak, wstała z łóżka i poszła do łazienki. Niech sobie dzwoni. To, że Geoff został poszkodowany przez los, nie znaczy, że wszystko mu wolno. Nie powinna była mówić temu histerykowi, w którym hotelu mieszka, niepotrzebnie dała mu numer telefonu.

Kiedy wreszcie się wykapała, ubrała i wysuszyła włosy, poczuła się znacznie lepiej. Rozumiała oburzenie Nicka, potrafiła się nawet wczuć w gniew Geoffreya, mimo to nadal uważała, że postąpiła słusznie. Wszystko inne kosztowałoby ją mniej

nieprzyjemności, ale nie czułaby się z tym dobrze. Wydawało jej się ważniejsze, żeby postępować zgodnie z własnymi przekonaniemiami, niż próbować zadowolić innych. Gdy ponownie zadzwonił telefon, czuła się silniejsza i przygotowana na odparcie kolejnego ataku. Odebrała rozmowę i powiedziała pewnym głosem.

- Halo? Tu Rosanna Hamilton.

- Mówi Marc Reeve. Mam nadzieję, że pani nie obudziłem.

- Skądże. O wpół do siódmej szef zrobił mi awanturę, a jak tylko skończył, zadzwonił Geoffrey Dawson i jeszcze ostrzej mnie potraktował. Jestem więc rześka jak skowronek. Jeśli chce pan na mnie nakrzyczeć, proszę bardzo! Dziś już nic nie jest w stanie wyprowadzić mnie z równowagi!

Reeve roześmiał się cicho.

- Można było się tego spodziewać, nieprawdaż? Mam na myśli reakcję pani szefa i Geoffreya Dawsona!

- Być może. Ale kiedy jest się wyrwanym ze snu, trudno być na coś takiego przygotowanym.

- Bardzo mi przykro. Nie chcę na panią krzyczeć. Wręcz przeciwnie. Chciałbym pani podziękować.

- Czyżby? - zapytała Rosanna zaskoczona.

- Tak. Przyznaję, wczoraj wieczorem i ja byłem początkowo oburzony, kiedy wspomniała pani o naszych rozmowach. W pierwszej chwili pomyślałem... Nieważne. Szybko dotarło do mnie, dlaczego to pani zrobiła. Wygłosiła pani wspaniałe przemówienie w mojej obronie, a przy okazji nieźle dała popalić tej Lee Pearce. Aż miło było popatrzeć.

Rosannie ulżyło.

- Cieszę się, że tak pan to odebrał, panie Reeve. Przez chwilę miałam wrażenie, że sytuacja wymyka mi się spod kontroli, pociesza mnie jednak fakt, że nie poczuł się pan przeze mnie oszukany.

- W każdym razie nie dała się pani zastraszyć Lee Pearce, i to mi się podobało. Proszę powiedzieć, miałaby pani ochotę wybrać się ze mną na obiad? Po tym, jak wczoraj publicznie pani wyznała, że nie uważa mnie za mordercę i gwałciciela, ośmielałem się o to zapytać. Moglibyśmy wyjechać z miasta i poszukać jakiegoś przytulnego pubu. Jest piękna pogoda.

- Ach tak? - Rosanna jeszcze nie wyjrzała przez okno, ciężkie kotary zasłaniały okna.

- Czemu nie. To znaczy, z największą przyjemnością!

Wiedziała, że powinna wziąć się do pracy. Ale po wczorajszym wieczorze, po wszystkich serdecznych porannych pozdrowieniach, po wielodniowej słocie miała wrażenie, że wycieczka za miasto w pogodny dzień to właśnie to, czego jej trzeba.

- Wobec tego o dziesiątej będę czekał na panią przed hotelem - powiedział Marc Reeve.

Bernt Cadwick nie wiedział, co robić. Był tak podekscytowany, że przez całą noc nie zmrużył oka, a w końcu, nie mogąc dłużej wytrzy-

172

173

mać w łóżku, wstał o piątej nad ranem. Na zewnątrz było jeszcze ciemno. Zaparzył sobie kawę i zrobił kanapkę, ale ledwo przełknął kęs. W głowie miał mętlik.

Wreszcie zaczęło świtać. Wyjrzał przez maleńkie okno w salonie i zadarłszy nieco głowę, dostrzegł wysoko pomiędzy domami skrawek nieba. Błękitnego nieba. Zapowiadał się ładny dzień.

Poprzedniego wieczoru został jakby rażony piorunem. Rzadko oglądał „Private Talk”. Za późno się zaczynał, zwykle o tej porze Cad-wick już spał, a tematy poruszane w programie nieszczególnie go interesowały. Wczoraj jednak, skacząc po kanałach, przypadkowo natrafił na Lee Pearce i tylko dlatego nie przełączył od razu na co innego, że gospodyni programu i zaproszona do studia kobieta były prawie identycznie ubrane. One na pewno nie były z tego powodu zachwycone i pan Cadwick, mlaskając z wielkim ukontentowaniem, przez chwilę napawał się ich wpadką. W pewnym momencie padło zaś imię, na którego dźwięk podskoczył w fotelu i powiedział na głos:

- Ha, a to ci dopiero historia! Elaine Dawson.

W programie była mowa o Elaine Dawson.

Przed niespełna dwoma laty wprowadziła się do jego apartamentu - tak nazywał mieszkanie na pierwszym piętrze, gdyż uważał, że brzmi to ładnie. Był wtedy ciepły, wietrzny kwietniowy dzień, kobieta przedstawiła się cicho:

- Elaine Dawson. Ja w sprawie ogłoszenia, chciałabym obejrzeć mieszkanie.

Ponieważ była jedyną zainteresowaną osobą, szybko dobili targu. Kazał sobie pokazać jakiś dowód tożsamości i zażądał kaucji wysokości dwóch miesięcznych opłat, którą kobieta bez szemrania wpłaciła. Pracowała w sklepie obuwniczym niedaleko Morpeth, jednakże jakiś czas później straciła tę posadę i przez kilka miesięcy nie mogła znaleźć zajęcia. Miała kłopoty finansowe i zalegała z czynszem. Mimo to nie wyrzucił jej na bruk. Oczywiście trochę ją popędział, to zrozumiałe, chodziło przecież o pieniądze, które mu się prawnie należały. Koniec końców pozwolił jej zostać w apartamencie, a jego

174

lokatorka znalazła pracę w pubie Pod Słoniem i od tamtej pory nie było żadnych problemów. Teraz, rzecz jasna, rozsadzała go wściekłość. Był dla niej hojny, wyrozumiały. Zawsze chętny do pomocy. I jak mu się odwdzięczyła? Uciekła. Zniknęła bez uprzedzenia i nie pokazała się od czwartku.

Bardzo go to dotknęło. Naprawdę bardzo.

W normalnych warunkach sądziłby, że po prostu - nareszcie! - poznała jakiegoś mężczyznę i spędza w jego towarzystwie upojne noce. Była młoda, najwyższy czas, żeby zaczęła korzystać z życia. Ale nie mógł się powstrzymać, żeby nie powęszyć trochę w jej pokoju, i od razu rzucił mu się w oczy brak rzeczy. Zniknęła walizka, szafa na ubrania była pusta.

Przez kilka minut stał jak sparaliżowany, próbując zrozumieć narzucający się wniosek: uciekła i najwyraźniej nie miała zamiaru wracać. I nie uważała za stosowne go o tym poinformować.

Ogromne zdjęcie w studiu częściowo zasłaniały siedzące na jego tle kobiety. Bernt Cadwick przysunął więc twarz do ekranu, chcąc się upewnić, czy aby na pewno chodzi o jego Elaine Dawson. Mogło przecież istnieć więcej osób o tym imieniu. Słyszał na przykład o pewnym Berncie Cadwicku, który mieszkał zaledwie kilka wsi dalej. W życiu zdarzały się najprzeróżniejsze zbiegi okoliczności.

Może to i ona... Miała takie same włosy, ciemne i gładko przyczesane. Jego Elaine miała znacznie szczuplejszą twarz niż pulchna dziewczyna na fotografii, ale jak zrozumiał z rozmowy dwóch kobiet, zdjęcie zostało zrobione co najmniej pięć lat temu. W ciągu tak długiego czasu dziewczyna mogła pozbyć się dziecięcych krągłości i przeobrazić w zupełnie inny typ kobiety.

Z zapartym tchem oglądał program, z którego dowiedział się, że Elaine Dawson przepadła bez śladu prawie pięć lat temu i że podejrzewano o morderstwo pewnego londyńskiego adwokata. Jednakże zaproszona do studia dziennikarka zdawała się pewna, że Elaine Dawson żyje.

A jeżeli jest tak, jak sądzi on, Bernt Cadwick, to kobieta faktycznie ma rację!

174

175

Bernt Cadwick od zawsze marzył o tym, aby w jego życiu zdarzyło się coś ekscytującego, ale przez sześćdziesiąt osiem lat życzenie to pozostawało niespełnione. I oto teraz zdawała się nadchodzić zmiana. Jeśli jego Elaine Dawson to kobieta, która zaginęła przed pięcioma laty w Londynie, on, Bernt Cadwick, będzie człowiekiem, który rozwiąże tę zagadkę. Przyniesie ulgę rodzinie i oczyści z zarzutów londyńskiego adwokata. Ależ będą mu wdzięczni! Jego nazwisko na pewno trafi na łamy gazet. Dziennikarze zrobią mu zdjęcie na tle domu, poproszą o pokazanie apartamentu, w którym mieszkała Dawson. Będą przeprowadzać z nim wywiady. Prawdopodobnie zaproszą go do „Private Talk”. Oczyma wyobraźni widział, jak siedzi w studiu, a atrakcyjna blondynka zadaje mu pytania. W ciągu jednego wieczoru stanie się znany w całym kraju. Rodzina Dawsonów będzie mu przez lata wysyłać życzenia świąteczne, a może i urodzinowe. Ponieważ na żadną z tych okazji nie otrzymywał kartek, myśl ta wprawiła go w radosny nastrój.

Tym, co przez całą noc spędzało mu sen z powiek i także teraz, w słoneczny poranek, nie dawało spokoju, były trzy pytania:

Czy to pewne, że chodzi o jedną i tę samą osobę?

Do kogo powinien się zwrócić?

I gdzie, do cholery, podziewa się Elaine Dawson?

Ostatnie pytanie niepokoiło go najbardziej. Jeśli bowiem zgłosi się na policję, czy gdziekolwiek indziej, i na wstępie wyzna, że nie ma pojęcia, gdzie przebywa poszukiwana, tylko się ośmieszy. Zatem... najlepiej na razie nic nie mówić.

A co do tożsamości Elaine... nie był całkowicie pewien. Ale był prawie pewien.

Próbując rozstrzygnąć tę kwestię, Cadwick rzucił na szalę dziwaczne zachowanie swojej lokatorki, jej osobliwy tryb życia. To zaś w jego przekonaniu od zawsze sugerowało jakąś tajemnicę z przeszłości. W jasnym świetle poranka znalazł wreszcie odpowiedzi na pytania i mógł przystąpić do obmyślenia planu ataku.

Z zadowoleniem skinął głową. Zacznie od bardzo chytrego posunięcia.

176

W sobotę Angela wyszła w końcu z mieszkania. Włożyła grubą zimową kurtkę, przewiązała szyję szalikiem, na zewnątrz jednak zauważyła, że ubrała się o wiele za ciepło. Na bezchmurnym niebie świeciło słońce, zalewając ziemię pogodnym blaskiem. Zaprojektowane bez polotu osiedle komunalne w Islington, nagie drzewa i bure splechotki trawników pomiędzy blokami - wszystko to wyglądało beznadziejnie,

ale błękitne niebo dodawało uroku nawet tej okolicy, a w powietrzu czuło się zapach wiosny.

Wiosny, której Lindzie nie było dane dożyć.

Angela poczuła, że do oczu ponownie napływają jej łzy. Stłumiła je, starając się odsunąć na bok wspomnienia o siostrze. Odkąd nadeszła wiadomość o śmierci Lindy, Angela nie myślała wyłącznie o okrucieństwie, z jakim została potraktowana siostra, i wreszcie zrozumiała, że albo się rozchoruje, albo oszaleje, jeśli nie przestanie się tym dręczyć. Przynajmniej na chwilę. Dlatego postanowiła, że pójdzie po prostu na spacer, zaczerpnie świeżego powietrza, dopuści do siebie inne wrażenia. Tylko że to było takie trudne. Potwornie trudne. Jakiś czas szła przed siebie bez celu po ulicy i stwierdziła, że robi jej to lepiej niż ciągle siedzenie w domu. Kiedy w końcu zatrzymała się zdyszana - nie zdawała sobie sprawy, jak szybko maszerowała - zauważyła, że stoi przed warsztatem samochodowym, w którym Linda była przez pół roku zatrudniona. Gordon znał tam jednego z pracowników i udało mu się załatwić córce posadę w biurze, gdzie wypisywała rachunki. Linda nienawidziła tego zajęcia i dziewięć miesięcy temu rzuciła pracę, mówiąc, że szybciej skoczy nago z Tower Bridge, niż choćby raz jeszcze przekroczy próg budynku, w którym wykonywała swoje jałowe zajęcia. Angela przypomniała sobie karczemną awanturę, jaka wywiązała się z tego powodu, oszalały z gniewu Gordon wrzeszczał, ale Linda nie zmieniła zdania.

Wtedy Angela też robiła swojej siostrze wyrzuty. Bardzo różniły się tej kwestii.

Angela uważała, że nawet najgorsza praca jest lepsza

177

niż żadna i że życie nie składa się z samych przyjemności. Linda odpowiadała na to, że ma tylko jedno życie i nie chce go zmarnować.

Poruszająca opinia, teraz, po fakcie. Nie tylko zmarnowano, ale odebrano jej życie. Angela pomyślała, że na pewno nieprzypadkowo trafiła właśnie tutaj. Jakkolwiek starała się skupić na czymś innym, nie mogła przestać rozmyślać o Lindzie. Swego czasu często odbierała siostrę po pracy spod warsztatu, po drodze z zakładu ogrodniczego. Nieraz szły do baru naprzeciwko na hot doga. Linda narzekała na pracę. Latem było tak przyjemnie iść razem po ulicy.

Podniosła dłoń i otarła łzy. Zauważyła, że budka z frytkami wciąż stoi na swoim miejscu.

- Cholera - powiedziała na głos. - Cholera jasna. Nagle koło niej pojawił się jakiś cień i usłyszała czyjś głos:

- Jesteś siostrą Lindy Biggs?

Odwróciła się. Przed nią stała wysoka szczupła dziewczyna w roboczym kombinezonie, rude włosy przysłaniała czapka z daszkiem. Czuć było od niej zapach oleju samochodowego.

- Chyba cię znam - odezwała się ponownie. - Nazywasz się Angela Biggs, prawda? Angela wyjęła z kieszeni płaszcza chusteczkę i wydmuchała porządnie nos, zanim odpowiedziała:

- Tak, jestem siostrą Lindy.

- Dawn Sparks - powiedziała dziewczyna. - Uczę się tu na mechanika. - Wskazała na warsztat. - Zobaczyłam cię i pomyślałam, że... eee, chciałabym ci powiedzieć, że

bardzo mi przykro z powodu Lindy. Naprawdę, na początku w ogóle nie mogłam w to uwierzyć. Kiedy przeczytałam o tym w gazecie... Mój Boże, ciarki przeszły mi po plecach. Kto mógł coś takiego zrobić?

Angela spojrzała na nią pytającym wzrokiem.

- Nie wiem.

- Dobrze się z Lindą rozumiałyśmy. Czuła się tutaj bardzo nieszczęśliwa i bez przerwy narzekała, ale lubiłam ją. Było mi przykro, kiedy rzuciła pracę.

178

- Mnie też - powiedziała Angela. - Całej rodzinie. Cieszyliśmy się, że ma tę posadę. Ale... - Wzniosła bezradnie oczy na znak, że w niektórych kwestiach nie mieli najmniejszego wpływu na Lindę.

- Widocznie to było nie dla niej - powiedziała Dawn. - Miała inne wyobrażenie o swoim życiu.

- Myślę raczej - odparła Angela - że nie miała jeszcze konkretnego wyobrażenia. I to był jej problem. Ale była jeszcze taka młoda. Po prostu chciała żyć. Chciała żyć. Obie kobiety zamilkły. Przed oczyma miały Lindę, żywą Lindę, jej śliczną twarz, frywolny strój, głośny śmiech, nieokiełznaną radość. To niewyobrażalne, że teraz, w straszliwy sposób zmasakrowana, leżała w piwnicy oddziału medycyny sądowej, a na jej ciele szukano czegoś, co pozwoliłoby trafić na ślad człowieka, który odebrał jej życie.

- No więc, lubiłam Lindę - odezwała się w końcu Dawn - ale ostatnio trochę się o nią martwiłam. Chodzi o to, że jest... była taka nieostrożna. Zdawała się po prostu nie zwracać uwagi na pewne sygnały ostrzegawcze. Kiedy spotkałam ją z tym nowym chłopakiem, coś mnie tknęło, ale...

Angelę, do tego momentu nieobecna duchem, zelektryzowały słowa dziewczyny. Spojrzała na Dawn.

- Co masz na myśli? Jaki nowy chłopak?

- Miała nowego chłopaka. W każdym razie prowadziła się z nim.

- Chodzi ci o Bena Brooksa?

- Nie. Jego znałam. Czasami tu po nią przychodził. Powinna była z nim zostać. Był naprawdę miły.

- W takim razie o kim mówisz? Nic nie wiedzieliśmy o żadnym nowym chłopaku.

Dawn wyglądała na zaskoczoną.

- Nie? Może nie była jeszcze pewna. Mam nadzieję. Bo ten gość to było dno.

Brutalny i pospolity.

Angela miała ochotę nią potrząsnąć.

- Gdzie ich spotkałaś?

179

- Tutaj w pobliżu. W sklepie za rogiem. Na początku w ogóle Lindy nie poznałam. Kiedy przyszła do nas do pracy, ubierała się normalnie. Ale wtedy przed sklepem... mój Boże, pomyślałam, że wygląda jak... - Ugryzła się w język.

Angela domyśliła się, co chciała powiedzieć Dawn.

- Jak lafirynda - dokończyła za nią. Dawn wyglądała na zakłopotaną.

- No. Trochę tak. Ale może miałam takie wrażenie, bo była w towarzystwie tego gościa. On w każdym razie wyglądał jak alfons. Naprawdę się przestraszyłam.

- Kiedy to było?

- Nie tak dawno. Zdaje się, że tuż przed świętami. Właśnie kupowałam prezenty. Może w połowie grudnia.

- Zagadnęłaś ją?

- Nie, to Linda mnie zauważyła. „Hej, Dawn”, usłyszałam nagle za plecami, odwróciłam się i dopiero po chwili ją poznałam. Miałam wrażenie, że chce chwilę ze mną pogadać, ale facet wydawał się spieszyć. Po prostu pociągnął ją za sobą.

- Przedstawiła ci go jako swojego nowego chłopaka?

- Właściwie to nie. Powiedziała coś w rodzaju: „Oho, znowu się spieszymy!”, ironicznie, jak to Linda. Uznałam, że to jej nowy chłopak. Chociaż nie wiem dokładnie, co ich łączyło.

- Nie wymieniła przypadkiem jego imienia? Dawn wzruszyła bezradnie ramionami.

- Nie, nie powiedziała, jak się nazywa. Nasze spotkanie trwało zaledwie chwilę. Sama się bardzo spieszyłam. Miałam właśnie przerwę obiadową i chciałam kupić chociaż parę prezentów. Nawet nie próbowałam jej zatrzymać. Ale pamiętam, jak przechodząc, pomyślałam sobie: „O Boże, skąd ona go wzięła? Mam nadzieję, że wkrótce go rzuci. Co za zbir!”.

Angeli serce biło jak oszalałe. Jest. Pierwszy ślad. Dowód nowej znajomości w życiu Lindy. Policja była pewna, że w grę wchodził jakiś mężczyzna. Może ten nie miał nic wspólnego z jej śmiercią. A może miał.

- Dawn, to niesłychanie ważne - powiedziała Angela i zauważyła, że głos drży jej ze zdenerwowania. - To bardzo ważne, żebyś spróbowała sobie jak najdokładniej przypomnieć towarzysza Lindy. Każdy najdrobniejszy szczegół, rozumiesz? Policja poszukuje tego mężczyzny, jak na razie nie mają żadnych poszlak. Myślisz, że mogłabyś go opisać?

Dawn nie wyglądała na zachwyconą.

- Czyja wiem... miałabym iść na policję?

- Tak, Dawn, proszę cię. Pójdę z tobą. To pierwszy punkt zaczepienia.

Wyjęła z kieszeni płaszczka telefon, a następnie wizytówkę inspektora Fieldera, którą zawsze nosiła przy sobie.

- Dzwonię do inspektora prowadzącego śledztwo - powiedziała. - Pewnie poprosi, żebyśmy zaraz do niego przyszły. Albo sam tu przyjedzie.

- Ale ja jestem teraz w pracy - zaprotestowała Dawn. - W sobotę kończę o dwunastej. Może potem...

- To za późno - powiedziała Angela. - Inspektor Fielder pogada z twoim szefem. Na pewno nie będziesz miała żadnych nieprzyjemności. Obiecuję!

Dawn sprawiała wrażenie, jakby nie do końca wierzyła Angeli. Zdawało się, że zaczyna żałować, że w ogóle do niej podeszła i wdała się w rozmowę.

Angela zaś w duchu dziękowała losowi, że przywiódł ją tego ranka właśnie tutaj, do byłego miejsca pracy Lindy.

O ile to los sprawił. Chociaż Angela była wierząca, miewała wątpliwości co do życia po śmierci, teraz jednak ogarnęło ją przeczucie, że może to duch zmarłej siostry skierował tutaj jej kroki.

Bocznymi drogami, które tego dnia były puste i skąpane w słońcu, dojechali w okolice Cambridge. Marc Reeve prowadził pewnie i szybko. Sprawiał wrażenie

bardziej rozluźnionego niż podczas ich po-

180

181

przednich spotkań. Rosanna pomyślała, że może to wiązać się z faktem, że tym razem nie wypytuje go, a on nie czuje się w obowiązku tłumaczyć. Sam zaproponował to spotkanie. Wyglądało na to, że po wczorajszym talk-show przestał czuć się jak zaszczute zwierzę.

Chociaż jak na razie jestem jedyną osobą, która bierze go w obronę. Dopiero za jakiś czas okaże się, jaki skutek odniosło moje wystąpienie.

Podczas jazdy Marc Reeve trochę o sobie opowiadał. O tym, że uprawiał niegdyś z pasją sporty wodne, posiadał nawet własną motorówkę.

- W porcie Wiltonfield. To urocze miejsce. Często pływałem po Tamizie.

- A teraz już nie? Potrząsnął głową.

- Po rozwodzie zostawiłem łódź żonie. Nie mogliśmy zostać oboje w tym samym jachtklubie. Takie rozwiązanie miało więcej sensu, moja była żona mieszka w Binfield Heath, to niedaleko stąd, a ja i tak nie miałbym czasu, żeby dbać o łódź.

- Wiele się w pańskim życiu zmieniło, prawda? Nick mówił mi, że przeprowadził się pan.

- Tak, sprzedałem dom. Dla mnie jednego był o wiele za duży. Mam teraz mieszkanie w Marylebone.

- I tam odwiedza pana w weekendy syn?

Na twarz Reeve'a momentalnie opadła zasłona.

- Nie - odparł zdawkowo. - Mój syn nie utrzymuje ze mną kontaktów.

Sposób, w jaki powiedział te słowa, powstrzymał Rosannę od zadawania kolejnych pytań. Była ciekawa, co przyczyniło się do zerwania kontaktów z ojcem - sprawa Elaine Dawson czy rozwód rodziców? Być może zachowanie syna brało się z nadmiernego poczucia solidarności z matką. Prawdopodobnie ta podburzała syna przeciwko ojcu. W każdym razie Rosannie wydało się, że dotknęła najwrażliwszego punktu Reeve'a.

Pub o nazwie Duke of Wellington był prawie pusty. W rogu sali siedziała tylko, milcząc zawzięcie, starsza para, która z nieukrywaną ciekawością przyglądała się nowo przybyłym.

- Podają tu bardzo dobre jedzenie - powiedział Marc. - Moja teściowa mieszkała niedaleko stąd w domu spokojnej starości i od czasu do czasu towarzyszyłem Jacqueline, mojej żonie, w odwiedzinach u matki. Stąd znam tę okolicę.

Kiedy zamówili potrawy, Rosanna ponownie poruszyła drażliwy temat.

- Ile lat ma pański syn? - zapytała ostrożnie.

- Pierwszego marca skończy piętnaście - odparł Marc.

- I nie spotka się pan z nim nawet w urodziny? -Nie.

- Cóż, to...

- Rosanno - powiedział Marc. - Mogę się tak do pani zwracać? Proszę mnie źle nie zrozumieć, ale nie chcę rozmawiać o Joshu. To stało się w jego dziewiąte urodziny, pierwszego marca 2002 roku. Kiedy byłem w pracy, żona z synem wyprowadzili się, nie zostawiając żadnej wiadomości. Potem otrzymałem od adwokatki mojej żony wniosek o rozwód wraz z listem, w którym pisała, że z prawnego punktu widzenia

nie można mi zabronić kontaktów z synem, jednakże chłopiec zdecydowanie odmawia spotkania czy choćby rozmowy. Pomijając jedną bardzo nieprzyjemną wizytę, nigdy się nie widzieliśmy. Od sześciu lat próbuję pogodzić się z tą sytuacją, wolałbym więc już nie wracać do tego tematu.

- Rozumiem. Ale... niech mi pan wybaczy ciekawość... dlaczego od sześciu lat pan to akceptuje? Przecież...

- Oczywiście robiłem wszystko, żeby to zmienić. W odpowiedzi otrzymałem zaświadczenie lekarskie, że Josh reaguje wzmożonym a topowym zapaleniem skóry na myśl o spotkaniu ze mną. Co miałem w tej sytuacji robić? Wykazać się większym uporem? Iść z żoną na udry? Tego nie chciałem... - Reeve bawił się nerwowo solniczką, patrząc przez okno, był słoneczny wiosenny dzień. - To nieprzyjemny temat - powiedział.

Rosanna skinęła głową. Czuła, że nie powinna dalej drażnić tematu, i tak posunęła się za daleko, a nie chciała narażać na szwank kruchej zaufania, jakie między nimi powstało. Dowiedziała się, że problematycz-

182

183

ne relacje Marca Reeve'a z synem nie były powiązane ze sprawą Elaine Dawson. Fakt, że ojciec został napiętnowany przez prasę jako potencjalny morderca, mógł wprawdzie pogorszyć już i tak trudną sytuację, nie był jednak decydujący. Już wcześniej wydarzyło się coś, co skłoniło Josha, żeby z bezlitosną konsekwencją wyprzeć się ojca. Albo chłopiec został zmanipulowany przez matkę. Zapewne nietrudno wpłynąć na zachowanie dziesięciolatka, którym był wówczas Josh, nawet uciekając się do najbardziej niedorzecznych argumentów. W tym przypadku czas pracował na korzyść Reeve'a. Kiedyś Josh będzie wystarczająco duży, żeby wszystko zrozumieć i wyrobić sobie własną opinię.

- Mój pasierb ma szesnaście lat - powiedziała Rosanna. - To trudny wiek.

- Syn z pierwszego małżeństwa pani męża?

- Ze studenckiego związku. Nie planowali dziecka, Robert narodził się w dość niekorzystnym momencie. Matka nie chciała się nim zajmować. Niemal ubłagała mojego męża, żeby wziął go pod opiekę. Początkowo i on nie był z tego powodu zachwycony.

- Ale teraz jest, jak się domyślam. Skinęła głową.

- Owszem. Ale wciąż dochodzi między nimi do starć. I zawsze jest mi trochę szkoda Roberta. Wmawiam sobie, że widać to po nim. Mam na myśli fakt, że przez pierwsze miesiące i lata swojego życia był niechcianym dzieckiem. Spowija go jakby całun smutku. Z tego zaś rodzi się sprzeciw. I agresja. Wszystko to prowadzi do ostrych konfliktów z ojcem. Zdarzają się one coraz częściej.

- Mimo to - powiedział Marc - jakkolwiek relacja między rodzicem a dzieckiem jest lepsza niż żadna. Nawet jeśli składają się na nią w większości kłótnie.

- To prawda - przyznała Rosanna.

Podano obiad. Zgodnie z zapewnieniem Reeve'a okazał się znakomity. Przez kilka minut jedli w ciszy, delektując się potrawami. W pewnym momencie Marc powiedział:

- Zdążyła się pani sporo o mnie dowiedzieć. A ja praktycznie nic o pani nie wiem.

Roześmiała się.

- Co nieco już pan wie. Zastanowił się przez chwilę.

- Chwileczkę... wiem, że mieszka pani w Gibraltarze. Jest pani mężatką i ma szesnastoletniego pasierba. Przed ślubem pracowała pani jako dziennikarka.

Pochodzi pani ze wsi na końcu świata. Ma pani...

- Trzydzieści sześć lat. Teraz Reeve się roześmiał.

- Nie do tego zmierzałem. Zastanawiałem się właśnie nad pani imieniem. Rosanna. Bardzo...

- Bardzo staromodne - znów dokończyła Rosanna.

- Chciałem powiedzieć: bardzo melodyjne. Sądząc po wyrazie pani twarzy, nie przepada pani za swoim imieniem?

Rosanna mimowolnie się skrzywiła.

- Nienawidzę go - powiedziała. - W rzeczywistości jest jeszcze gorsze: na chrzcie nadano mi imiona Rose Anne. Wyobraża pan sobie? Bardzo kocham moich rodziców, ale do dziś nie mogę zrozumieć, co nimi powodowało. Rose Anne Jones. Mój tata zrobił z tego Rosannę i tak już zostało. Uważam, że brzmi trochę lepiej niż Rose Anne. Ale tylko trochę.

- Rose Anne - powtórzył Reeve w zamyśleniu, wsłuchując się w brzmienie. - Mnie się podoba. A jak chciałaby pani mieć na imię?

- Nie wiem. Jako nastolatka chciałam nazywać się Nancy. Albo Patty. Czy coś w tym rodzaju.

- Brzmiały jak imiona amerykańskich cheerleaderek.

- Cóż, dziewczęta w pewnym wieku chętnie widziałyby się w roli cheerleaderki. O długich blond włosach, błękitnych oczach i małym nosku. I oczywiście stosownym imieniu.

- Proszę mi tylko nie mówić, że nie lubi pani koloru swoich oczu i włosów.

Przejechała dłonią po krótkiej fryzurce.

- Zdążyłam się przyzwyczaić. Myślę, że jeszcze mi daleko do tego, by się w pełni zaakceptować, ale zauważyłam, że z czasem jest

184

185

coraz lepiej. To prawdopodobnie jedyna prawdziwa zaleta starzenia się. Fakt, że powoli zaczynamy się akceptować. Reeve przytaknął. Naraz spowaźniał.

- Tak - potwierdził. - To prawda. To rzeczywiście niezwykle ważne, żeby być w zgodzie z samym sobą. Od tego właściwie wszystko zależy, nie sądzi pani? Człowiek jest o wiele spokojniejszy.

Właśnie miała mu odpowiedzieć, kiedy zadzwieczał dzwonek telefonu. Z grymasem niezadowolenia na twarzy wyjęła z torebki aparat.

- Wiem, że nie wypada rozmawiać przy stole. Ale ze względu na Nicka Simona muszę być pod telefonem. Nie mogę sobie pozwolić na kolejną awanturę.

- Nie mam nic przeciwko temu - zapewnił ją Marc. Odebrała rozmowę.

- Halo? Nick? Tak, słyszę cię. - W jej oczach malowało się coraz większe niedowierzanie. Wreszcie, z trudem łapiąc oddech, powiedziała: - Jasne. Daj mi mój numer. Tak. Jasne. Jestem pod telefonem. Będę cię na bieżąco informować.

Oczywiście.

- To niewiarygodne - powiedziała, skończywszy rozmowę. Marc odłożył widelec.

- Co się stało?

- Dzwonił Nick Simon. Ktoś się do niego zgłosił. Nie podał nazwiska. Jakiś mężczyzna z Northumberlandii. Nie zdradził dokładnego adresu. Twierdzi, że Elaine wynajmuje od niego mieszkanie. Rozpoznał ją wczoraj na zdjęciu w telewizji. Ale chce rozmawiać tylko ze mną.

- A to dopiero sensacja! - powiedział Marc.

Upłynął niespełna kwadrans od rozmowy z Nickiem, kiedy ponownie zadzwonił telefon. Oboje, Rosanna i Marc, z podekscytowania niebyli w stanie przełknąć ani kęsa, zapłacili rachunek i prędko opuścili

186

pub, ponieważ w środku był bardzo słaby zasięg. Spacerowali chwilę po wsi, aż na telefonie pojawiły się trzy kreski.

- Tutaj - powiedziała. - Tutaj jest najlepszy zasięg.

Stali przed ogrodem tamtejszej parafii, sponad okalającego go muru wyzierały krzewy forsycji, których pąki tego dnia dosłownie eksplodowały, i intensywny odcień żółci zdominował krajobraz. W powietrzu pachniało wilgotną ziemią i wiosną. Wiał łagodny, ciepły wietrzyk.

- Jaki piękny dzień - powiedziała Rosanna.

Marc przytaknął. Widziała napięcie na jego twarzy. I sprzeczne uczucia. Nadzieja, która się w nim obudziła, walczyła z niedowierzaniem. Pewnie nie chciał chwycić się przedwcześnie myśli, że jego osobisty koszmar wkrótce się ostatecznie zakończy.

- Marc - powiedziała łagodnie Rosanna - może...

- Za wcześnie, żeby się cieszyć - przerwał jej. - Może to jakiś dowcipniś, który więcej nie zadzwoni. A nawet jeśli zgłosi się ponownie, może dalej bawić się z nami w kotka i myszkę. Zakładając natomiast, że jest uczciwy, musimy liczyć się z pomyłką.

- Wiem.

- Kiedy Elaine Dawson zniknęła, zgłosiło się wiele osób. Widziano ją jakoby w najdziwniejszych miejscach. Niektórzy z dzwoniących byli święcie przekonani o tym, co mówili. Ale wszystkie ślady prowadziły donikąd.

Rosanna zrozumiała, że Marc próbuje w ten sposób chronić siebie i swoje uczucia. W przeciwnym razie rozczarowanie byłoby zbyt bolesne.

- Zgodził się rozmawiać tylko ze mną. Ma zgłosić się do Nicka po mój numer, a potem zobaczymy. Marc, znam się trochę na ludziach. Myślę, że będę w stanie ocenić, czy chodzi mu tylko o to, żeby narobić zamieszania wokół swojej osoby. Marc zauważył przy bramie prowadzącej na teren parafii kilka dużych, szarych kamieni.

- Usiądźmy tutaj, zamiast tak stać - rozejrzał się po pustej, cichej ulicy. - Absurdalna sytuacja - powiedział.

187

Kamienie były ciepłe. Rosanna wystawiła twarz do słońca.

- Mogłabym teraz ruszyć w drogę i kilometrami wędrować przez łąki i pola - powiedziała. - Przeskakiwać przez kamienne murki i drewniane bramki. Iść wzdłuż brzegów strumieni, wypatrując w trawie pierwszych prymulek. Oddychać świeżym

powietrzem. Czy ludzie w Anglii potrafią się jeszcze cieszyć wiosną?

Marc spojrzał na Rosannę. Jego spojrzenie wyrażało mieszaninę zdziwienia i zrozumienia.

- Teraz wiem o pani coś jeszcze - powiedział. - Mianowicie, że tęskni pani za domem. Za Anglią. Nie jest pani szczęśliwa w Gibraltarze.

Nie miała ochoty zaprzeczać, mówić o pięknej pogodzie i bliskości Hiszpanii; nie chciała powtarzać frazesu, który padał z ust Denisa za każdym razem, kiedy zachwalał uroki nowej ojczyzny: „Mieszkamy tu, gdzie inni przyjeżdżają na urlop”. Skinęła tylko głową i powiedziała zaskoczona siłą swoich uczuć:

- Tak, Marc. Usycham z tęsknoty za Anglią. Już od lat. Myślę, że to jeden z głównych powodów, dla których przyjechałam propozycję Nicka. Chciałam tu przyjechać. Nie tylko na urodziny ojca. Na parę tygodni. Tak bardzo tęskniłam, że... - nie kończąc zdania, odwróciła wzrok. Prawie nie знаła Marca Reeve'a. Dlaczego mu to wszystko opowiadała?

- I co, czy Anglia jest taka, jaką ją pani zapamiętała? - zapytał Marc. - Czy znalazła pani to, za czym tęskniła?

Wzięła głęboki oddech.

- Tak. Wolałabym, żeby... -Tak?

- Wolałabym się rozczarować. Myślałam, że może idealizuję daleką ojczyznę.

Kurczowo trzymam się wspomnień, które nie mają żadnego związku z rzeczywistością. Sądziłam, że podczas pobytu w Anglii dojdę do wniosku, że nie jest tu lepiej niż w Gibraltarze, wrócę z powrotem na południe i będę miała spokój. To byłoby miłe.

- A teraz dochodzi pani do przekonania, że jednak tu jest lepiej?

188

Obejrzała się. W oddali stał stary budynek parafii. Otaczał go o tej porze roku jeszcze nagi sad, w którym latem drzewa pewnie uginają się pod ciężarem owoców. Wzdłuż ulicy ciągnęły się małe domki. Wszędzie wokół delikatne powietrze. Miejsce przypominało jej trochę Kingston St. Mary. Ale nie to było decydujące. Ostatnie dni były szare, zimne i mokre - typowa pogoda w lutym, a Rosanna mieszkała w samym centrum Londynu, gdzie nic nie wskazywało na nadejście wiosny, ciężka zasłona chmur nie przepuszczała choćby promienia słońca. Mimo to już wtedy towarzyszyło jej to uczucie. Uczucie, że jest w domu. Tam, skąd pochodzi.

- Nie chodzi o to, gdzie jest lepiej - powiedziała. - Sądzę, że rzecz w tym, czy człowiek czuje się gdzieś na miejscu. Ja w Gibraltarze nie czuję się u siebie. Może łatwiej byłoby mi zadomowić się w Afryce Południowej. W Kanadzie albo w Indiach. Ale w Gibraltarze... Nie, to po prostu nie jest miejsce dla mnie.

- To trudna sytuacja. Pani mąż i pasierb są tam.

- Wiem. I powinniśmy być razem. Ale najchętniej zostałabym tutaj. Tu, na tych kamieniach, wpatrzona w słońce. I w ogóle bym się stąd nie ruszała.

- Jest szansa, że pani życzenie się spełni - powiedział Marc - bo prawdopodobnie będziemy tu siedzieć jeszcze godzinami, czekając na telefon od jakiegoś ważniaka, któremu ani się śni zadzwonić. Do wieczora się pani znudzi, obiecuję. Jestem pewien, że na dłuższą metę te kamienie okażą się za twarde.

Spojrzeni na siebie i jednocześnie się roześmiali. Wybuch wesołości przerwał dzwonek telefonu.

Marc Reeve zamilkł i zacisnął wargi.

- Może to on.

- Halo? - zgłosiła się Rosanna matowym ze zdenerwowania głosem.

Po drugiej stronie panowało milczenie. Słysząc było tylko nerwowy oddech. W końcu odezwał się chrypliwy głos starszego mężczyzny.

- Mówi Bernt Cadwick. Bernt Cadwick z Langbury w Northumblandii.

189

- Pan Cadwick! - powiedziała Rosanna.

Znowu przez chwilę milczał. Zbliżał się najważniejszy moment jego życia. Drżał ze zdenerwowania.

- Mam... pewne informacje - wykrztusił wreszcie. - Informacje dotyczące Elaine Dawson.

- Czy Elaine Dawson żyje? - zapytała Rosanna.

Znowu krótkie milczenie. Pan Cadwick był podekscytowany, a do tego nieprzyzwyczajony do rozmów z ludźmi. A już na pewno nie z kompletnie obcą mu osobą.

Rozległ się śmiech. Gardłowy, nieszczerzy śmiech, którego powodu Rosanna nie była w stanie dociec. Z czego tu się śmiać?

- Owszem, żyje - powiedział Bernt Cadwick - i to jak! Znow się roześmiał.

Około południa Denis Hamilton wpadł w rozpacz. Pod wpływem tego uczucia gotów był porzucić wszystkie sankcje, którymi początkowo chciał ukarać syna. Pragnął jedynie wziąć go czule w objęcia.

Gdyby tylko jego syn tu był.

Denis liczył się, rzecz jasna, z tym, że Rob będzie próbował złamać zakaz wzięcia udziału w balu absolwentów, i chciał temu zapobiec. Mimo że na jego biurku piętrzyła się prawie pod sufit sterta papierów, w piątek ponownie wyszedł wcześniej z pracy z zamiarem zatrzymania syna w domu. Jeszcze raz spokojnie z nim porozmawia, przedstawi mu swój punkt widzenia, łudzac ! się, że syn wykaże zrozumienie. Był zdecydowany w razie konieczności zamknąć Roberta w jego pokoju, gdyby ten nie dał się odwieść od udziału w libacji, jak Denis nazywał w duchu szkolną imprezę.

Czekał jednak na próżno. Robert w piątek w ogóle nie wrócił do domu.

Pewnie został w szkole albo u jakiegoś kolegi, nie chcąc ryzykować, że w decydującym momencie ojciec zatrzyma go i zmusi do spędzenia wieczoru w domu. Denis czekał, chociaż zdawał sobie sprawę, że Robert nie wróci, i z minuty na minutę narastała w nim wściekłość. To nie do pomyślenia. Szesnastolatek nie ma prawa tak się zachowywać. Nawet Rosanna, która zawsze go brała w obronę, przyznałaby mu rację. Tym razem konsekwencje będą poważne. Szlaban na spotkania z kolegami przez co najmniej dwa miesiące. Obcięcie kieszonkowego przez następne trzy. Zakaz dostępu do komputera także przez trzy miesiące, który będzie miał jeszcze taką zaletę, że Robert zosta-nie odcięty od gry „World of Warcraft”. A kiedy właściwie jego syn ostatnio pomagał w domu? Wiosnę spędzi na wyrywaniu chwastów i podlewaniu kwiatów w ogrodzie. Trzeba pomalować balustradę na werandzie. Co

jeszcze? Chciał pojechać latem z Rosanną do Anglii. Może o tym zapomnieć. Denis przeszedł przez wszystkie pokoje. Dwukrotnie spróbował dodzwonić się do syna na komórkę, ale tak jak się spodziewał, telefon był wyłączony. Wypił dla uspokojenia dwie whisky z lodem, lecz nie był w stanie niczego zjeść. Żeby tylko nic mu się nie stało! Dwa lata temu prasa rozpisywała się o podobnej imprezie absolwentów, ponieważ dwaj uczniowie przejechali na terytorium Hiszpanii, upili się w sztok, a następnie rozbili się samochodem na moście. Jeden z nich zginął na miejscu. Drugi spędzi resztę życia na wózku inwalidzkim. Denis wyciął wtedy wszystkie doniesienia prasowe na ten temat i położył na biurku syna. Próbował z nim o tym porozmawiać, ale Rob nie był zainteresowany. Ta historia go nie dotyczyła. Zdarza się. Dlaczego z tego powodu miałby rezygnować z przyjemności?

Po jakimś czasie Denis się położył, a ponieważ nie był przyzwyczajony do nadmiernych ilości alkoholu, whisky szybko dała o sobie znać: niemal natychmiast zapadł w sen, przespał całą noc i obudził się w sobotę parę minut po siódmej. Przekonany, że zastanie Roba w swoim pokoju, wstał i zajrzał przez uchylone drzwi do środka. Łóżko było puste, wyglądało na nietknięte.

OK. To jeszcze nie znaczy, że coś się stało. Prawdopodobnie Rob tak się spił, że nie wrócił do domu. Pijane towarzystwo zaległo pewnie w auli, nękane bólem głowy i mdłościami, zbyt zajęte powstrzymywaniem odruchu wymiotnego, żeby przynajmniej zadzwonić do domu i powiedzieć, co się dzieje.

W wieku szesnastu lat! Gdyby jemu, Denisowi, coś podobnego przyszło w tym wieku do głowy!...

Bał się. Bał się o syna. Starał się trzymać swój strach pod kontrolą, nie zachowywać się jak rozhisteryzowana baba. Tylko matki w podobnych sytuacjach tracą głowę i wyobrażają sobie najgorsze. Ojcowie nie widzą w podobnych libacjach nic zdrożnego, jak inaczej chłopak ma zostać mężczyzną? To normalne, podobnie jak nie wrócić na noc do domu i pośmigać trochę samochodami. A może lepiej mieć w domu maminsynka?

Dlaczego ja tego tak nie widzę? zastanawiał się Denis, stojąc w kuchni i pijąc kawę. Wyglądał przez okno, na zewnątrz budził się słoneczny dzień. Dlaczego nie mogę być mniej zasadniczy, taki jak inni ojcowie, i nie przejmować się zanadto?

Może nie sposób być normalnym ojcem, jeśli zbyt długo było się ojcem i matką w jednej osobie. Jeśli przez lata ponosiło się wyłączną odpowiedzialność za dziecko. Jeśli brakowało kogoś, kto pomógłby dźwigać ciężar. Kogoś, kogo można by się poradzić, osoby, która dzieliłaby wszystkie konsekwencje. Do tego dochodziło poczucie bezsilności, że mimo wszelkich starań nie jest się w stanie sprostać potrzebom małego człowieka, którego powołało się na świat. Denis czuł, jak bardzo Robertowi brakuje matki. Nie umiał mu jej zastąpić.

A Rosanna za późno do nich dołączyła. Okazała Robertowi dużo serca i wielkie zaangażowanie. A jednak... Denis uważał, że w ciągu ostatnich dwóch, może trzech lat coraz częściej otrzymywał sygnały świadczące o tym, że zaczęła się wewnątrz dystansować od rodziny, której część stanowiła. Zamykała się w sobie. Jej myśli krążyły w nieznanym mu rejonach. Zdawała się widzieć obrazy, których poza nią nikt nie dostrzegał, którymi nie chciała się z nikim dzielić.

Czy Robert też wyczuwał tę zmianę? Czy to dlatego tak precyzyjnie wyraził w przyływie złości jego lęki? „Ona nie wróci! Zrozum to wreszcie!”

Powiedział coś jeszcze. „To przed tobą uciekła. Ty ją przepędziłeś!”

Nie chciał o tym myśleć. Nie teraz. Te myśli budziły w nim strach i zmuszały do spojrzenia w głąb siebie, na co chwilowo nie czuł się na siłach.

Postanowił wziąć prysznic, ubrać się, pojechać na zakupy, a w drodze powrotnej zahaczyć o szkołę i odebrać Roba. Spróbuje z nim porozmawiać. Pod żadnym pozorem nie będzie na niego krzyczał.

Kiedy wczesnym popołudniem wrócił do domu, bolała go głowa i czuł się kompletnie wykończony. Odstawił kosz z zakupami w kuchni, był jednak zbyt zmęczony, żeby wypakować jedzenie i włożyć je do lodówki. Szukał wszędzie. Nie miał pomysłu, gdzie mógłby jeszcze sprawdzić.

W szkole nikogo nie zastał. W każdym razie żadnych uczniów. Właśnie sprzątano aulę, która wyglądała na zdewastowaną.

- O siódmej już nikogo nie było - wyjaśniła zirytowanemu Denisowi młoda Hiszpanka, ciągnąc za sobą wielki niebieski worek. - Wczesnym rankiem przenoszą się gdzie indziej. Do knajp, barów, dyskotek w Hiszpanii... czyja wiem!
„Czyja wiem!”

Denis musiał się skupić, żeby przypomnieć sobie adresy co najmniej dwóch najlepszych kolegów syna, i podjechał do nich.

Jeden leżał jeszcze w łóżku i spał, ale rodzice go obudzili. W ogóle nie poszedł na imprezę, w związku z czym nie mógł udzielić żadnej informacji.

- Nie mogłem iść na bal - spojrzał gniewnie na matkę.

- Rob też nie - powiedział Denis zmęczonym głosem. Najwyraźniej istnieli jeszcze młodzi ludzie, którzy słuchali się swoich rodziców. Jego syn niestety do nich nie należał.

193

Drugi chłopak, Harry, był wprawdzie na imprezie, wyszedł jednak jeszcze przed północą, nie spotkawszy Roberta.

- Nie było go tam? - zapytał skonsternowany Denis, nie wiedząc, czy to powód do radości czy do jeszcze większych obaw.

- Nie wiem - odparł Harry. - Nie widziałem go, ale to jeszcze o niczym nie świadczy. Był straszny tłok, przyszła masa ludzi, którzy jak mi się zdawało, nie mają nic wspólnego ze szkołą. W tym tłumie nie dało się ani swobodnie poruszać, ani kogokolwiek znaleźć, o ile nie stał przypadkiem obok. Dlatego tak wcześnie wróciłem. Fatalna impreza!

- A czy wiesz, dokąd poszedł Rob po szkole? Zdaje się, że od wczoraj rana nie było go w domu.

Harry wzruszył ramionami.

- Nie mam pojęcia, naprawdę. Poszedł w tę samą stronę co zawsze. Myślałem, że wraca do domu.

- Rozmawialiście o tej imprezie? Mówił, że się na nią wybiera? Harry zastanowił się.

- Zdaje się, że nie był jeszcze zdecydowany.

- I naprawdę nie masz pojęcia, gdzie może się podziewać?

- Nie. Naprawdę.

Przygnębiony i targany złymi przeczuciami Denis ruszył w drogę powrotną do domu, w nadziei że zastanie tam Roba. Ale nie było go. Z pokoju nie dochodziła muzyka, nie migotał ekran komputera. Ani śladu plecaka, który zwykle leżał na środku przedpokoju, czekając, aż ktoś się o niego potknie, rzucony tam niefrasobliwie mimo po tysiącokrotnie powtarzanych prośb. Teraz na jego widok Denis by się ucieszył. Zauważył, że złość uszła z niego, ustępując miejsca strachowi.

Gdzie jest Robert?

Czy powinien już zawiadomić policję?

Musiałby, zgodnie z prawdą, opowiedzieć o kłótni. O tym, że Rob chciał iść na imprezę. Był sobie w stanie wyobrazić odpowiedź funkcjonariusza policji: „Czym pan się martwi? Chłopak bawił się pół nocy, pił bez opamiętania, a teraz trzeźwieje u jakiegoś kolegi. Jak wykuruje kaca, to przyjdzie. Przecież nie narobi sobie wstydu, wracając do domu na czworakach”.

Może i tak.

Może nie ma potrzeby się tak zamartwiać.

Mimo wszystko nie pozbył się obaw. Wręcz przeciwnie, z minuty na minutę jego strach się potęgował.

Wreszcie dotarło do niego, że ma tylko jedno wyjście, jeśli nie chce oszaleć z niepokoju. Sfrustrowany i wściekły odsuwał je od siebie, był bowiem zbyt dumny czy też - jak się do tego przed sobą przyznał - zbyt skostniały, żeby zrobić pierwszy krok, w końcu jednak, kiedy poczuł się przyparty do muru, wzniósł się ponad własne słabości.

Podszedł do telefonu i wybrał numer Rosanny.

7

- To szalony pomysł - powiedziała Rosanna - przecież nie mamy ze sobą nawet szczoteczki do zębów!

- Nie mówiąc o piżamach czy ubraniach ma zmianę - uzupełnił Marc. - Ale... - nie dokończył.

Rosanna skinęła głową.

- Powrót do Londynu trwałby za długo. Jestem zbyt podekscytowana, nie mogę dłużej czekać.

- Myśli pani, że ja czuję się inaczej? - powiedział Marc. Od rozmowy z Berntem Cadwickiem na jego twarzy rysowało się napięcie. Ślad! Po pięciu latach trafiono na ślad. Który może prowadzić do nikąd, ale istnieje szansa, że raz na zawsze oczyści go z zarzutów.

- Jeśli ta kobieta z Northumberlandii to nasza Elaine - powiedziała Rosanna, skończywszy rozmowę z Cadwickiem - wówczas... obiecuję to panu... zmuszę Nicka, żeby nadał tej sprawie rozgłos. „Cover” będzie tak długo wieścić pańską niewinność, aż przyłączą się inne gazety wkraju. Cała Anglia dowie się, że Elaine Dawson żyje i że nie miał pan nic wspólnego z jej zniknięciem.

W połowie drogi spod kościoła, gdzie czekali na telefon od Cad-wicka, do samochodu, zatrzymała się nagle i dodała:

194

195

- Marc, a może byśmy tak zaraz wyruszyli? W tej chwili? Pojedziemy do Langbury,

czy jak tam nazywa się ta miejscowość. Przekonamy się, czy Cadwick mówi prawdę...

Marc również zatrzymał się i spojrział na nią zaskoczony.

- Teraz? Zaraz?

- Nie jest pan ciekaw, czy ta tajemnicza kobieta to nasza Elaine? Cóż, szczerze mówiąc, nie wiem, jak to wytrzymam: powrót do Londynu, nocleg, omówienie dalszego planu działania...

-I uważa pani...

- Możemy wsiąść do pańskiego samochodu i pojechać tam. Chyba że... Chce mi pan towarzyszyć? Może ma pan jakieś inne plany?

Potrząsnął głową.

- Nie, nie mam dziś nic w planach. Chętnie pojedę razem z panią. Nie sądziłem, że mi to pani proponuje!

- Pana najboleśniej dotknęła ta historia. Chodźmy. Czy ma pan atlas samochodowy?

- Tak. Trafimy do Langbury bez trudu. Znajdziemy Elaine, o ile to ona. Ale czy nie powinna pani powiadomić Nicka Simona?

- Sam się zgłosi - przepowiedziała Rosanna. Rzeczywiście, gdy tylko opuścili wieś i ruszyli w stronę autostrady, zadzwonił.

Z podekscytowania wręcz krzyczał do słuchawki:

- I co? Dałem Cadwickowi twój numer telefonu. Zadzwonił? Rosanna odsunęła telefon od ucha.

- Nie krzycz tak. Owszem. Zadzwonił. Podał mi swój adres. Elaine Dawson jest najwyraźniej jego lokatorką. Nick, właśnie tam jadę.

Nick zaczerpnął głośno powietrza. -Co?

- I tak byłem już na wysokości Cambridge. Pomyślałam sobie...

- Co takiego? Jesteś na wysokości Cambridge? Więc praktycznie jesteś już w Northumberlandii? I pomyślałaś sobie, że wpadniesz i obejrzysz sobie tę Dawson?

- Cóż, ja...

- Czy mogę ci przypomnieć, na czym polega twoje zadanie? Wydaje mi się, że na każdym kroku o tym zapominasz. Piszesz dla mnie cykl artykułów. Chodzi przy tym nie tylko o Elaine Dawson, ale również o inne zaginione osoby. I interesuje cię wyłącznie to, co zdarzyło się przed laty. Zrozumiałaś? Nie prowadzisz, do cholery, śledztwa w sprawie Elaine Dawson. To nie jest twoje zadanie! - znowu zaczął krzyzczeć.

- Nick, pan Cadwick zgłosił się do mnie i...

-I co z tego? Dlatego musisz od razu wyruszać w drogę i bawić się w detektywa? A kiedy masz zamiar wykonać zlecenie, za które ci płacę, usiąść wreszcie na tyłku i napisać te artykuły?

- Nick, dostaniesz swoje teksty. Na czas. Ale teraz jest weekend i robię sobie wycieczkę do Northumberlandii, a ty nie możesz mi tego zabronić.

- Nie do wiary!

- Nie chciałbyś się dowiedzieć, czy kobieta, o której mówił Cadwick, to rzeczywiście nasza Elaine Dawson?

- Jasne, że tak. I jeśli to ona, chcę mieć do tego historię. Ale wysłałbym tam któregoś z moich reporterów. Kogoś, kto zna się

na rzeczy. A nie była dziennikarkę, która od pięciu lat nie pracuje w zawodzie!
Teraz Rosanna zdenerwowała się na dobre.

- Jeśli uważasz, że nie potrafisz pisać, trzeba mnie było nie angażować! - odparowała.
- Potrafisz pisać, ale nie jesteś odpowiednią osobą do tego rodzaju dziennikarstwa!
- Nick, odwiedzę Cadwicka, czy tego chcesz czy nie!
- Podaj mi jego adres! -Nie.

Nick zaklął siarczyście. Następnie - ponieważ był człowiekiem, który nie lubił przegrywać, a dotarło do niego, że poniósł porażkę dodał:

- Będiesz mnie na bieżąco informować o swoich poczynaniach, zrozumiano? Chcę o wszystkim wiedzieć. W przeciwnym razie, jak

196

197

tylko cię dorwę, skręcę ci kark, możesz być tego pewna - rzucił słuchawką.

- Jest wściekły - powiedziała Rosanna. Marc posłał jej przelotne spojrzenie.
- Chce pani wracać? Potrząsnęła głową.
- Nie, w żadnym wypadku.
- Nie wspomniała pani, że jestem z panią - powiedział Marc.
- To by go tylko jeszcze bardziej rozjuszyło. Odebrały to jako spisek. Jest już wystarczająco zły, bo zataił przed nim nasze spotkania.
- Traci kontrolę. Nikt tego nie lubi.
- Mógł się tego spodziewać - powiedziała Rosanna. - Nie dam się kontrolować, zna mnie już od dawna.

Znowu zadzwonił telefon. Spojrzała na numer i jęknęła.

- Jak na zawołanie - powiedziała. - Skoro mowa o kontroli, to mój mąż.

Od ostatniej kłótni nie mieli kontaktu i bardzo się niepokoiła, mimo wszystko była niezadowolona, że Denis dzwoni akurat teraz. Nie był to odpowiedni moment na dyskusje.

Ale Denis nie dzwonił, żeby - jak się spodziewała - znowu drażyć ten sam temat. Wyczuła po głosie, że jest zdenerwowany, niemal zrozpaczony. Powiadomił ją, że Robert zniknął. I zapytał, czy w tej sytuacji zamierza wrócić do domu.

8

W domu opieki dla niepełnosprawnych unosiła się silna woń de-! tergentu ze zbyt obfitym dodatkiem aromatu cytrynowego. Przez wyszorowane na błysk okna wpadało słońce, oświetlając nieporadne obrazy pacjentów wiszące na ścianach. Cedric jeszcze nigdy nie widział takich czystych okien. Ani jednej plamki, ani jednej smugi.

198

Na myśl przyszły mu zakurzone okna w jego nowojorskim mieszkaniu, przez które nie było widać praktycznie nic, kiedy popołudniowe słońce świeciło prosto w szyby. O dziwo, jego zapuszczone mieszkanie, z którego czasem uciekał przed brudem i bałaganem, nie wydało mu się teraz przygnębiające. W każdym razie w dużo mniejszym stopniu niż ta niemal brutalna sterylność.

Jak Geoff może tu żyć? zapytał sam siebie, żeby chwilę później udzielić sobie prostej i okrutnej odpowiedzi - nie pozostało mu nic innego.

Właściwie nie miał najmniejszej ochoty jechać do Taunton. Wczesnym rankiem

wsiadł do wypożyczonego samochodu Rosanny, ponieważ jego siostra powiedziała, że tego dnia nie będzie potrzebowała auta, i pojechał do Kingston St. Mary. Tego sobotniego ranka było pusto na drogach i Cedric szybko posuwał się do przodu.

- Pojadę odwiedzić tatę - powiedział Rosannie i po jej uśmiechu poznał, że bardzo się z tego ucieszyła. Samotność owdowiałego ojca martwiła ją. Wdzięczna była więc bratu za troskę.

Cedric miał natomiast wyrzuty sumienia. Oczywiście martwił się o ojca, ale nie oszukiwał się co do rzeczywistego celu swojej podróży do wsi na końcu świata - potrzebował pieniędzy. I nie miał nikogo innego, kogo mógłby poprosić o wsparcie. Nie mógł sobie dłużej pozwolić na drogi hotel. Nie miał pieniędzy na bilet powrotny do Nowego Jorku. Nie był w stanie oddać przyjaciółce za bilet do Anglii. Nie stać go było na sfinansowanie spóźnionego startu zawodowego.

Był bankrutem.

Miał trzydzieści osiem lat, nie miał zawodu, pieniędzy, żony ani dzieci.

W gruncie rzeczy nie osiągnąłem w życiu więcej niż niepełnosprawny Geoffrey.

Tylko że ja nie mam żadnej wymówki. Mam dwie zdrowe nogi, dwie zdrowe ręce.

Jestem silny i niegłupi. Ale w którymś momencie musiałem zboczyć z drogi.

Victor promieniał ze szczęścia. Nieoczekiwane wizyty zdarzały mu się bardzo rzadko, toteż od razu zaprosił syna do pubu Pod Łabę-

199

dziem na obiad. Rozmawiali o telewizyjnym występie Rosanny i oczywiście o sprawie Elaine Dawson. Victor opowiedział mu o wszystkich pracach ogrodniczych, które chciał podjąć na wiosnę.

- Przecież nigdy nie zajmowałeś się ogrodem - odparł Cedric zdziwiony. Jego ojciec był stereotypowym intelektualistą: czytany, inteligentny, bez żadnych praktycznych umiejętności. Wyobrażenie ojca z sekatorem w ręku rozbawiło i zaniepokoiło Cedrica.

- Twoja matka tak bardzo kochała ten ogród - powiedział Victor. - Czuję... czuję, że jestem blisko niej, kiedy go pielęgnuję.

Potem przez chwilę rozmawiali o Hazel, aż wreszcie przy kawie Cedric

wypowiedział swoją prośbę. Czy ojciec mógłby mu pożyczyć trochę pieniędzy...?

- Oczywiście! - zawołał natychmiast Victor. - Ile potrzebujesz? Kiedy Cedric wymienił sumę, Victor przełknął głośno ślinę, ale

jeszcze w pubie wypisał czek i podsunął synowi przez stół.

- Proszę. To powinno ci na jakiś czas wystarczyć.

Było to dużo więcej, niż poprosił. Cedric nieporadnie podziękował i przygotował się na kazanie, które teraz niezawodnie wygłosi ojciec i którego będzie musiał bez protestów wysłuchać. Że tak dalej być nie może, co chce zrobić ze swoim życiem, czy nie sądzi, że już czas dorosnąć, i tak dalej, i tak dalej... Ale Victor nie powiedział nic podobnego, a kiedy opuszczali pub, stwierdził tylko:

- Cedric, chciałbym, żebyś przed powrotem do Londynu wpadł do Geoffa. Nie czuje się dobrze. Moim zdaniem jest w głębokiej depresji. Byłem u niego w zeszłym tygodniu i jego stan bardzo mnie zaniepokoił. Więc gdybyś miał czas...

Miał czas, ale oczywiście nie miał ochoty, czułby się jednak jak ostatni łajdak, gdyby nie spełnił ojcowskiej prośby. Dlatego stał teraz w tej lśniącej chorobliwą czystością

światlicy pośród ludzi na wózkach i czekał na Geoffreya, w kieszeni mając hojny czek, dzięki któremu znów mógł oddychać pełną piersią. Po drodze do Taunton odebrał telefon od Rosanny, połączenie było bardzo słabe, ale udało mu się zrozumieć, że znajdowała się w drodze do Northumberlandii, do wsi o nazwie Langbury, gdzie mieszkał człowiek, który twierdził, że zna zaginioną Elaine Daw-

200
son i wie, gdzie ona obecnie przebywa. Cedric chętnie dowiedziałby się czegoś więcej, ale zanim zdążył zapytać, rozmowa została przerwana i musiał zadowolić się strzępkami, które udało mu się usłyszeć.

Rosanna za bardzo angażuje się w tę sprawę, pomyślał, a chwilę później przyszło mu do głowy pytanie, w jaki sposób zamierza się dostać na północ. Auto miał przecież on. Czyżby pojechała pociągiem? Czy też wynajęła inny samochód? A może zabrała się z Nickiem Simonem, jej szczodrym pracodawcą?

Kiedy Geoff wjechał na wózek do światlicy i zobaczył Cedrica, wydawał się zaskoczony. Trudno było stwierdzić, czy się ucieszył. Ale rzeczywiście kiepsko wyglądał, co do tego Victor miał rację. Cienie pod oczyma. Sine usta.

- Ach, Cedric. Myślałem, że wróciłeś już do Nowego Jorku.

- Cześć, Geoff. Jak widzisz, jeszcze tu jestem... Chciałem pobyc trochę w Anglii, właśnie znowu odwiedziłem ojca...

- Pewnie zlecił ci wizytę u mnie, co? - zauważył przytomnie Geoff. - Twój ojciec jest naprawdę miły, Cedric. To jedyna osoba, która od czasu do czasu tu wpada. Ale nie może mi pomóc.

Cedric nie odpowiedział. Nienawidził tego uczucia niepewności, które Geoffrey był w stanie w ciągu zaledwie kilku sekund w nim wzbudzić. Tej mieszaniny wyrzutów sumienia, litości i bezsilności. Pożałował, że nie sprzeciwił się prośbie Victora, byłby teraz w drodze powrotnej do Londynu - pogwizdując przy opuszczonych szybach, z puszką coli w ręku. A tak...

- Chcesz iść znowu do kawiarni, w której byliśmy z Rosanną? zapytał Geoff. - Czy też wystarczy ci szampańska atmosfera tej wypolerowanej na błysk ohydy - potoczył wzrokiem po pomieszczeniu - pełnej bezsilnych kalek?

-Tu jest w porządku- powiedział Cedric- ale mogę cię też wyprowadzić na spacer, jeśli masz ochotę. Jest ładna pogoda.

Geoff potrząsnął głową.

- Dziękuję. To miła propozycja, ale po takich wycieczkach zawsze czuję się gorzej. Zdrowi ludzie, gwar i zgiełk, piękny boży świat... i powrót do rzeczywistości jest jak uderzenie pięścią w brzuch.

201

Korzystając z zainstalowanej przy wózku klawiatury, podjechał do stołu. Cedric podążył za nim i usiadł naprzeciwko przyjaciela. Ten wpatrywał się tępo w szarawą powierzchnię stołu. Wygląda jak ktoś, kto chce umrzeć, pomyślał nagle Cedric i przestraszył się własnego spostrzeżenia. Nie potrafił wytłumaczyć, po czym to poznał. Może to kwestia aury. Ale gdyby w tej chwili miał zdefiniować pojęcie „zmęczony życiem”, bez wahania podałby za przykład Geoffreya.

Pochylił się w jego stronę.

- Geoffrey - powiedział - kiedyś byłeś w lepszej formie. Mija już dwadzieścia lat od wypadku. Mimo kalectwa zawsze dobrze sobie radziłeś. Pamiętam, jak jeździłeś na wózku po Kingston St. Mary, wszędzie cię było pełno. Miałeś nawet pracę jako kolporter ulotek reklamowych. Teraz wydajesz się... wegetować.

Geoffrey podniósł głowę. Cedrica przeraziła wściekłość i rozgoryczenie w jego spojrzeniu.

- Dziwi cię to? - wyrzucił z siebie. - Dziwi cię, że wegetuję, jak to nazywasz? Rozejrzyj się dookoła i porównaj moje życie ze swoim! Dla przykładu, jak zaczynasz dzień? Biegasz? Czy idziesz do siłowni? Na pewno robisz coś w tym rodzaju, w przeciwnym razie nie miałbyś tak wspaniale umięśnionego ciała!

- Biegam - powiedział Cedric i poczuł się tak, jakby właśnie przyznał się do wstydliwego nawyku.

- Biegasz! - wykrzyknął Geoffrey szyderczo. - Tak myślałem. A wiesz, jak ja zaczynam dzień? Jestem myty, karmiony, a następnie rozpoczyna się mój ulubiony program jelitowy! Wiesz, co to jest?

- Cóż, chyba...

- Wszystko, co wsuwam w siebie od góry przez usta, musi jakoś wydostać się z mojego zdezelowanego ciała. Tak jak u ciebie. Jak u wszystkich. Tylko że moje jelita nie potrafią wykonać tej roboty same. Są kompletnie sparaliżowane, jak prawie wszystko inne w moim ciele. Przychodzi więc pielęgniarz, zakłada gumowe rękawiczki i...

- Geoff! Proszę! - przerwał mu Cedric. Czuł, że na czole perlą mu się kropelki potu, ale nie miał odwagi ich wytrzeć.

Geoff zaśmiał się.

- Widzisz? Nie jesteś w stanie wytrzymać, kiedy ci o tym mówię! A ja muszę to znosić. Dzień w dzień. Od dwudziestu lat. Aż wreszcie dobry Pan Bóg raczy uznać, że dosyć się nacierpiałem, i wypuści ze mnie powietrze. Do tego czasu będzie trwać ten zasrany program.

- Geoff, rozumiem, że...

- Nie. Nic nie rozumiesz. A jeszcze mniej rozumie twoja siostra. Mówisz, że byłem w lepszej formie? Tak, do cholery, to prawda. Kiedy była przy mnie Elaine. Kiedy mieszkaliśmy razem w domu naszych rodziców. Kiedy nie byłem zmuszony dzień w dzień znosić towarzystwa innych kalek i namolnych pielęgniarek. Kiedy miałem dom i kogoś, z kim czułem się związany. Kiedy byłem bezpieczny od instytucji takich jak ta. Wiesz, dlaczego chcę, żeby ten dupek Marc Reeve wreszcie się przyznał? Bo wtedy się dowiem, wreszcie się dowiem, że Elaine została zamordowana. Nie przywróci jej to życia. Ale będę miał pewność, że nie porzuciła mnie z własnej woli. Jesteś w stanie to pojąć? Wykańcza mnie myśl, że mogła tak po prostu uciec. Zostawić mnie na pastwę losu. Zrobić mi coś takiego...

W oczach stanęły mu łzy. I wtedy Cedric zrozumiał. Po raz pierwszy w pełni pojął, dlaczego Geoffrey potrzebuje winnego. Dlaczego chce postawić Reeve'a w stan oskarżenia. Od tego zależał spokój jego duszy, a co za tym idzie, całe jego życie.

- Ale Rosanna uparcie zmierza w przeciwnym kierunku - ciągnął Geoffrey. - Widziałeś ją wczoraj w telewizji? Mój Boże, nikt jeszcze z takim zacięciem nie bronił przestępcy. Nie mogłem wprost uwierzyć własnym uszom. Zdarła sobie gardło,

próbując przedstawić Reeve'a jako świętego, któremu wyrządzono krzywdę. Dlaczego, na litość boską? Co łączy ją z Reeve'em? Wiesz coś o tym? Daje mu się pieprzyć czy jak?

- Eee... nie, nie wydaje mi się - odparł Cedric zbity z tropu. Geoff zaśmiał się.

- Wcale bym się nie zdziwił. Potrafię nieźle wyczuć takie rzeczy, wiesz? Gdy ktoś jest sparaliżowany, tak jak ja, wyostwiają mu się inne zmysły.

202

203

- A jeśli Reeve faktycznie jest niewinny?

Geoffrey chciał ostro zaprotestować, ale Cedric go powstrzymał.

- Chwileczkę. Nie mówię tego ot, tak... Wyobraź sobie, że Elaine zostaje nagle odnaleziona.

- Po pięciu latach! To bardziej niż nieprawdopodobne.

- Przez te pięć lat nikt jej nie szukał. Nic dziwnego, że nic się nie wydarzyło. Ale wczoraj nadano ten program... - przerwał na moment. Nie był pewien, czy Rosanna by sobie życzyła, żeby wspomniał o tajemniczym telefonie z Northumberlandii. Ich ostatnia rozmowa trwała krótko i Cedric ledwie był w stanie zrozumieć siostrę, nie mieli więc możliwości wyjaśnić tej kwestii. Cedric domyślał się, że Rosanna wolałaby na razie utrzymać niesprawdzoną wskazówkę w tajemnicy. Z drugiej strony, co takiego się stanie, jeśli powie o tym Geoffreyowi? I tak nie mógł nic zrobić. A nawet jeśli rozgłosi tę informację w domu opieki - kogo to zainteresuje?

Geoff okazał zaciekawienie.

- Tak? No i co z tym programem? Czy coś z tego wynikło?

- Jeszcze nie wiadomo - powiedział Cedric.

Poczuł się jak plotkarka z magla. Dlaczego opowiadam o tym Geoffowi? zastanowił się. Zdenerwuję siostrę, a w Geoffreyu rozniecę tylko płonne nadzieje. Lecz ostatecznie postanowił to zrobić dla siebie - żeby poczuć się lepiej. Żeby rzucić Geoffreyowi jakiś ochłap, tak jak rzuca się psu kość, a następnie bez wyrzutów sumienia pozostawia go samemu sobie. Ten ośrodek, Geoffrey, stan, w jakim się znajdował, jego depresja - to było dla Cedrica za wiele. Nie potrafił się po prostu pożegnać i wyjść. Zostawić najdroższego przyjaciela z młodych lat w tej norze. Miał potrzebę coś mu podarować, coś, czym mógłby się zająć i co choć odrobinę uśmierzyłoby jego rozpacz.

Ale ze mnie tchórz, pomyślał zrezygnowany.

- Nie znam szczegółów - zaczął ostrożnie - ale zdaje się, że do Rosanny zadzwonił ktoś z widzów. Z jakiejś dziury w Northumberlandii, bodajże Langbury. Twierdzi, że zna Elaine. To jakoby jego sąsiadka, czy coś w tym rodzaju.

Geoff wbił wzrok w Cedrica.

- Co? Elaine? W Northumberlandii?

- Oczywiście może to tylko pomyłka. Przypadkowa zbieżność nazwisk. Zewnętrzne podobieństwo. A może dzwoniący to po prostu jakiś żartowniś. To znaczyłoby, że cała historia jest zmyślona. Ale mimo wszystko...

- Po zniknięciu Elaine policja otrzymała wiele takich telefonów

- powiedział Geoffrey. - Ale wszystkie ślady prowadziły donikąd.

Cedric przytaknął.

- Dlatego i w tym przypadku nie należy się przedwcześnie cieszyć. Ale nie można takiej wskazówki po prostu zignorować.

Choć wydawało się to niemożliwe, Geoffrey jeszcze bardziej pobladł.

- Nie wierzę. Nie wierzę, że Elaine mieszka w Northumberlandii.

- Rosanna jest w drodze do Langbury - powiedział Cedric.

- Wkrótce będziemy wiedzieć coś więcej.

- Naprawdę zrobiłaby wszystko dla tego gościa!

- Dla Reeve'a? Geoffrey, myślę, że naprawdę chodzi jej o Elaine. Ta sprawa nie daje jej spokoju. Chce się dowiedzieć, co stało się pięć lat temu.

- Chce oczyścić Reeve'a z zarzutów.

- Skończ wreszcie z tą obsesyjną myślą! - powiedział Cedric zniecierpliwiony.

Geoff przewrócił oczami.

- No jasne. To proste. Kaleki Geoff opętany obsesyjną myślą! Ułatwiasz sobie sprawę, Cedric! Najpierw opowiadasz mi o jakimś rzekomo nowym śladzie, którym podąża twoja siostra, a następnie wstajesz i uciekasz do swojego życia za tymi przeklętymi murami. Rozpętujesz we mnie burzę uczuć i znikasz. Co mam teraz począć z tą informacją? Czerpać z niej nadzieję? Że Elaine żyje i być może zmięknie, wróci tu i wydobędzie mnie z tej nędzy? Czy wręcz przeciwnie, łudzić się, że to kolejny fałszywy trop? Gdyż w przeciwnym razie będę musiał zmierzyć się ze świadomością tego, że pięć lat temu moja

204

205

siostra rzeczywiście dała nogę. I że być może ani jej się śni ponownie wiązać sobie kulę u nogi w postaci kalekiego brata. - Podniósł głos. Kilku pacjentów spojrzało w jego stronę. Cedric próbował go uspokoić.

- Myślę, że powinieneś poczekać i zobaczyć, co z tego wyniknie, a potem postarać się jakoś z tym żyć. Zamykanie oczu na fakty, tworzenie sobie własnej rzeczywistości i ignorowanie realiów nic ci nie da. To cię tylko wyniszcza. W niczym ci nie pomoże. Wszyscy musimy uczyć się żyć z tym, co życie rzuca nam pod nogi.

- Tak, w szczególności ty. Bo tobie życie rzuca prawdziwe kłody pod nogi!

- A może masz fałszywy obraz mojej osoby. Widzisz jedynie fasadę. Atą jest, przyznaję, znacznie zdrowsza niż twoja. Ale czy mam kontrolę nad swoim życiem, czy jestem zadowolony albo szczęśliwy, nie jesteś w stanie ocenić.

- A po co?

- Otóż to! Co cię obchodzą inni?! Geoffrey, to jest coś, czego przez ostatnie lata zupełnie się oduczyłeś. Nawet jeśli udaje ci się przecisnąć przez gardło kurtuazyjne „Co słyhać?”, widać po tobie, że wcale nie chcesz usłyszeć szczerzej odpowiedzi. Bo tak czy inaczej jesteś przekonany, że każdemu wiedzie się lepiej niż tobie, i uważasz, że nie ma potrzeby, byś choćby przez chwilę wykazał zainteresowanie problemami i troskami innych ludzi.

- Myślę, że lepiej będzie, jeśli sobie pójdiesz. Cedric podniósł się z miejsca.

- Zastanów się nad tym - powiedział już spokojniej. - Byłem kiedyś twoim najlepszym przyjacielem. Może powinienem mieć prawo zwierzyć ci się z moich problemów. Bo, możesz mi wierzyć lub nie, i ja mam problemy!

Zwrócił się do wyjścia. Zatrzymał go chichot - zły, nienawistny chichot. To Geoffrey

śmiał się, spoglądając na Cedrica ze swojego wózka.

- Cedric, nie muszę cię pytać o twoje problemy! - rzekł z drwiną w głosie. - Dobrze je znam. Dobrze wiem, co cię dręczy.

206

- Czyżby? - zapytał Cedric.

Wiedział, że teraz naprawdę powinien wyjść.

- Już od dwudziestu lat dręczy cię myśl, że sprawy mogły potoczyć się na odwrót. Wtedy ty siedziałbyś na moim miejscu, a ja szedłbym do drzwi. To był idiotyczny pomysł. Dla jednego z nas okazał się tragiczny w skutkach. Mówisz, że należy przyjmować to, co życie nam rzuca pod nogi. Niestety, to cholerne życie jest tak niesprawiedliwe, że trudno się z tym pogodzić. Gdyby było inaczej, ty byś tu siedział. Wiesz o tym. I nieważne, jak bardzo starasz się o tym zapomnieć, ta myśl w tobie pracuje. Widzisz - Geoffrey ściszył głos, który teraz brzmiał jeszcze bardziej jadowniczo - w tym miejscu zaczyna się sprawiedliwość. Może jednak mimo wszystko istnieje, tylko różni się od naszych wyobrażeń, i to tak bardzo, że czasami potrzebujemy czasu, żeby ją rozpoznać. Twoja świadomość, Cedric, twoja własna świadomość cię paraliżuje. Mimo całej swojej urody i siły jesteś tak samo sparaliżowany i kaleki jak ja. Cedric, duchowy kaleka. Powiedzieć ci coś jeszcze? Bardzo, ale to bardzo mnie to cieszy!

Znów się roześmiał.

Cedric odwrócił się i szybkim krokiem opuścił salę. Jeszcze w korytarzu gonił go śmiech Geoffreya.

W atlasie Marca znaleźli wprawdzie miejscowość Langbury, ale ponieważ był to zbiór map sprzed dwudziestu lat, nie została w nim jeszcze zaznaczona nowa obwodnica, którą dałoby się dotrzeć do wsi. Starą drogę, którą początkowo jechali, zagroził niespodziewanie biało-czerwony szlaban, za którym jezdnia znikła w chaszczach, a dalej rozpościerało się tylko pastwisko. Był późny wieczór i zapadł już zmierzch. Wieczorne niebo usiane było gwiazdami, temperatura spadła prawie do zera. Marc zatrzymał się, wysiedli oboje z samochodu i przyjrzeni się przeszkodzie.

207

- Obawiam się, że tędy nie pojedziemy - powiedział Marc. - Musimy zawrócić i poszukać jakiegoś rozwidlenia. Przecież do tej przeklętej wsi musi prowadzić jakaś droga.

Rosanna, drżąc z zimna, splotła ręce na piersi. Nie była przygotowana na przymrozki nadchodzącej nocy.

- Mam nadzieję, że kiedy przyjedziemy, pan Cadwick jeszcze nie będzie spał. Marc, jestem taka podekscytowana. Chciałabym jeszcze dziś się przekonać, czy chodzi o naszą Elaine.

Marc spojrzał na zegarek.

- Wpół do dziesiątej. O ile pan Cadwick nie chodzi wyjątkowo wcześniej spać, powinien być jeszcze na nogach. Ruszajmy. Szczerze mówiąc, jestem skonany i chciałbym wreszcie dotrzeć na miejsce.

Zawrócili i zdawało się, że minęła wieczność, zanim dotarli na stację benzynową, gdzie zapytali o drogę do Langbury. Z nową nadzieją w sercach rozpoczęli ostatni etap podróży. O godzinie dziesiątej dojechali do małej wioski, której mieszkańcy

najwyraźniej udali się już na spoczynek. Tylko gdzieś w oknach paliło się jeszcze światło.

- Ludzie chodzą tu wcześniej spać - zauważyła Rosanna ze zdumieniem.

- To koniec świata - powiedział Marc. - Niewiele się tu dzieje. Nawet najbliższe kino jest pewnie kawał drogi stąd. Zastanawia mnie... - urwał w pół zdania.

- Co takiego?

- Jeśli Elaine Dawson, nasza Elaine Dawson, rzeczywiście tu mieszka, chciałbym wiedzieć, dlaczego zaszła się akurat tutaj. To przecież nielogicznie. Kiedy ją spotkałem, zrobiła na mnie wrażenie osoby, która nade wszystko pragnie porzucić zaściankowość i ciasnotę swojej rodzinnej wioski. Langbury wygląda na jeszcze bardziej senną dziurę niż Kingston St. Mary czy mi się tylko tak zdaje?

- W porównaniu z Langbury Kingston St. Mary to niemal światowa metropolia. Też tego nie rozumiem. Ale cała ta sprawa jest niezwykle tajemnicza. Mam nadzieję, że dzisiejszej nocy wreszcie rozwiążemy tę zagadkę.

208

Wyjęła z torebki notatki i z wysiłkiem próbowała je rozszyfrować. Zapisała sobie w punktach wyjątkowo zagmatwany opis drogi do domu pana Cadwicka.

- Zatrzymaj się, Marc! Chyba musimy tu skręcić!

Pogubili się zupełnie w labiryncie uliczek, które były tak wąskie, że Marc kilka razy obawiał się, że utraci boczne lusterka. Rosanna cieszyła się, że poszukiwania powstrzymują ją przed snuciem domysłów. Od rozmowy z Denisem dzisiaj w południe czuła się nieswojo.

Robert.

Wiadomość, że zniknął, nieszczęśliwie ją zaskoczyła. Po tym, jak opowiedział jej o imprezie i o nastawieniu ojca, niemal liczyła się z czymś takim. Wiedziała, że pomimo zakazu Robert weźmie udział w balu, jak również że w konsekwencji tej samowoli dojdzie do kolejnego starcia. Była w miarę spokojna, miała bowiem pewność, że Robertowi nic się nie stało.

- O wypadku dawno byś już wiedział - powiedziała. - Nic mu nie jest, Denis. Był na balu, wie, że będzie miał z tego powodu nieprzyjemności w domu, i woli spędzić weekend u kolegi.

- Byłem u jego kolegów. Nie ma go tam.

- Na pewno nie byłeś u wszystkich. Znasz dwóch, może trzech jego kolegów!

Po kilku sekundach ciszy, którą przerywał jedynie ciężki oddech Denisa, dodała:

- Denis, to nie jest zarzut. Ja też nie znam wszystkich jego kolegów. Robert nie jest zbyt wylewny.

- A więc nie masz zamiaru wracać? - zapytał.

Spojrzała na Marca, który patrzył przed siebie, jakby chciał dać jej do zrozumienia, że nie przysłuchuje się rozmowie, nawet jeśli nie pozostawało mu nic innego, niż być jej mimowolnym świadkiem.

- Denis, nie mogę teraz wszystkiego rzucić. Przyjęłam tutaj zlecenie. Wiesz, że to potrwa kilka tygodni.

- Mój syn zniknął, a...

- Pokłóciliście się i nie ma ochoty wracać do domu. Nie sądzę, żeby coś się stało.

209

- Miałaś dość czasu na zbieranie materiałów. Te przeklęte artykuły możesz pisać też tutaj!

- Nie, nie mogę. Pojawiły się nowe informacje i... ach, Denis, proszę cię, nie utrudniaj mi sprawy. Nie mogę teraz wrócić. Nie mogę ot, tak sobie rzucić zadania, którego się podjęłam. Na moim miejscu zachowałbyś się tak samo.

- Chodzi o mojego syna!

- Z którym sam wszcząłeś awanturę! Dlaczego właściwie zabroniłeś mu iść na ten bal?

- Bo to niebezpieczne.

- Nie możesz go na siłę zatrzymać. Ma szesnaście lat. Chłopcy w jego wieku wrywają się z domu. To normalne. Rozumiem, że się o niego boisz. Ale Rob nie jest lekkomyślny. Uważam, że trochę za bardzo się przejmujesz.

- A więc nie wracasz - skwitował Denis.

Jego głos brzmiał matowo, ale Rosanna wiedziała, że jest taki zawsze, gdy mąż robi się szczególnie zły.

- Nie mogę wrócić teraz. Będziesz mnie na bieżąco informował, dobrze? Jeśli pojawią się problemy, oczywiście...

Nie dokończyła zdania. Denis odłożył słuchawkę.

Rosanna nie miała ochoty rozmawiać z Markiem o Denisie i była wdzięczna, że ten najwyraźniej to wyczuł i nie zadawał żadnych pytań.

Teraz, w Langbury, pomyślała: „Nie mogę się przecież wycofać w takim momencie! Jeśli do poniedziałku Rob się nie znajdzie, będę musiała coś wymyślić, ale teraz chcę się dowiedzieć, co stało się z Elaine. I mogę tylko mieć nadzieję, że...”.

- To musi być gdzieś tutaj - przerwał jej rozmyślenia Marc. „...mogę tylko mieć nadzieję, że moje małżeństwo przetrwa ten

kryzys”, dokończyła myśl, a następnie odsunęła Denisa i Roberta na dalszy plan, gdyż z podekscytowania miała nogi jak z waty i pragnęła się teraz skupić wyłącznie na spotkaniu z panem Cadwickiem.

- Jesteśmy pod numerem siódmym - potwierdziła. - Także nazwa ulicy się zgadza. Ależ tu wąsko! A domy wyglądają, jakby miały się lada chwila zawalić!

210

- W domu pana Cadwicka pali się jeszcze światło - zauważył Marc. - Jak pani sądzi, czy mam tutaj zaparkować? Wprawdzie nikt się nie przeciwie, ale jeśli zacznę szukać innego miejsca, możliwe,

I że nie trafię tu z powrotem.

- Założę się, że o tej porze nikt tędy nie jeździ - powiedziała Rosanna, otwierając ostrożnie drzwi, żeby nie obetrzeć ich o ścianę budynku. - Wielkie nieba, jak Elaine może tu mieszkać?

Bernt Cadwick musiał na nich dosłownie czyhać, albowiem drzwi otworzyły się, zanim którekolwiek zdążyło zapukać. W blasku sączącego się na zewnątrz światła ujrzeli przed sobą starszego mężczyznę w wełnianej kamizelce i wypchanych na kolanach spodniach. Nie miał na nogach kapci, tylko grube szare skarpety. Bila od niego nieprzyjemna woń niemytego ciała i przepoconych ubrań.

Już na pierwszy rzut oka pan Cadwick wydał się Rosannie nie- sympatyczny, jednakże nie potrafiła sprecyzować, skąd bierze się jej awersja. Czują, że Marc odciął

się wewnątrz od całej sytuacji, i zdawała sobie sprawę z powodu - w ten sposób przygotowywał się na rozczarowanie. Bernt Cadwick sprawiał wrażenie człowieka, który wymyśla różne historie, żeby wprowadzić w swoje monotonne życie jakąś odmianę. Ponadto wyglądał na typowego bufona.

- Pan Cadwick? - spytał Marc, wyciągając dłoń. - Nazywam się Marc Reeve. A to Rosanna Hamilton. Rozmawiali państwo przez telefon.

Pan Cadwick przywitał się najpierw z Markiem, następnie podał rękę Rosannie i zachichotał.

- Pan Reeve! I o panu była mowa we wczorajszym programie! Przyjechał pan do mnie? Taki kawał drogi? No cóż, jestem w stanie pana zrozumieć. Od pięciu lat podejrzany jest pan o morderstwo, nieprawdaż?

Rosanna zaczerpnęła powietrza, chcąc ciętą ripostą przywołać Cadwicka do porządku, ale Marc ją uprzedził.

- Rzeczywiście padały pod moim adresem przedwczesne oskarżenia ze strony prasy - odparł uprzejmie - ale miejmy nadzieję, że z pańską pomocą sprawa zostanie wreszcie wyjaśniona.

I 211

- Czy panna Dawson już śpi? - zapytała Rosanna. - Chcielibyśmy ją od razu odwiedzić, o ile to możliwe.

- Najpierw proszę wejść do środka - powiedział Cadwick, postępując krok do tyłu. - Wielki Boże, ale ziąb! Za lekko się pani ubrała, panienko! Ale takie są kobiety, nieprawdaż? Żeby tylko za dużo na siebie nie włożyć. I już zapalenie pęcherza gotowe! - znowu zachichotał, następnie poprowadził swoich gości do mieszkania. Za jego plecami Rosanna przewróciła oczyma. Marc uśmiechnął się do niej.

Jak można się było spodziewać, w zastawionym zwalistymi meblami mieszkaniu było duszno, jakby od miesięcy nikt go nie wietrzył. Prawdopodobnie gospodarz przez całą zimę nie otwierał okien, chroniąc swoje domostwo przed najmniejszym powiewem zimna. Telewizor był włączony na cały regulator. Cadwick wyłączył go, wskazując na dwie szklanki stojące na stoliku przy sofie.

- Czego się państwo napiją? Potrzebna będzie jeszcze jedna szklanka, nieprawdaż? Sądziłem, że będę sam na sam z młodą damą! Nie wiedziałem, że pan Reeve też przyjedzie... - Wyjął z ohydneho kredensu jeszcze jedną szklankę.

- Może sherry?

- To bardzo miło z pana strony, ale dziękujemy, nie będziemy teraz nic pili - powiedziała Rosanna. - Z pewnością jest pan w stanie zrozumieć, że nie możemy się doczekać spotkania z Elaine. Przez telefon powiedział mi pan, że wynajmuje jej mieszkanie. Czy jest w domu?

- Pracuje do późna w nocy w pubie Pod Słoniem - wyjaśnił Cadwick. Mimo sprzeciwu Rosanny nalał sherry do szklanek. - Ha, kto by pomyślał, że mamy tu we wsi coś takiego, prawda? Ale mówię państwu, latem przyjeżdżają tu masy turystów. Jest blisko do morza. Można się wybrać na plażę. A do tego cisza i spokój.

- Zatem panny Dawson jeszcze nie ma w domu? - zapytał Marc.

- Zwykle wraca koło północy - wyjaśnił Cadwick. Podniósł swoją szklankę. - Na zdrowie! Mój Boże, ale jestem podekscytowany. Od dawna nie miałem gości. Od wielu lat!

- Może powinniśmy od razu udać się do pubu - powiedziała Rosanna. Nie tknęła swojego sherry. Szklanka wyglądała na brudną.

- Raczej nie powinniśmy jej nachodzić w miejscu pracy - zastanawiał się na głos Marc. - Możemy być pewni, że wystraszy się na nasz widok. Nasza Elaine, o ile to ona, najwyraźniej próbowała zatrzeć wszelkie ślady i zaszyć się w ukryciu. Nie będzie uszczęśliwiona, widząc nas tutaj.

Rosanna wiedziała, że Marc ma rację.

- Z pewnością będzie taktowniej, jeśli na nią zaczekamy tutaj - zgodziła się.

- Tak, rzeczywiście ta młoda kobieta skutecznie zatarła za sobą wszelkie ślady - powiedział Cadwick podekscytowany. - Kiedy zobaczyłem ją po raz pierwszy, wydało mi się to dziwne. „Coś z nią jest nie w porządku, Bernt”, pomyślałem sobie. Ale była bardzo uprzejma i miała dobre maniery. Zależy mi na tym, żeby ludzie, którym wynajmuję apartament, byli mili.

Chyba nie masz problemów z nadmiarem kandydatów, pomyślała Rosanna. Kto z własnej woli chciałby tu zamieszkać?

- W jakim sensie panna Dawson wydała się panu dziwna? - zapytał Marc.

- Ba - odparł Cadwick - sprawiała wrażenie... wylęknionej. Tak jak człowiek, który żyje w ciągłym strachu. Miałem wrażenie, że się ukrywa!

- Przed kim? - chciała wiedzieć Rosanna.

- Tego niestety nie wiem - musiał przyznać Cadwick. - Nie była zbyt rozmowna.

Często próbowałem ją zagadać, wie pani, chciałem jej jakoś pomóc! Taka młoda wystraszona istota! I taka samotna. Nikogo nie miała! Ani przyjaciół, ani znajomych, nikogo! Jakby była zupełnie sama na świecie. W ciągu tych dwóch lat nie umówiła się z żadnym mężczyzną. To przecież niezdrowe! Kobiety w jej wieku pragną wyjść za mąż, założyć rodzinę, uwić gniazdo! A nie ukrywać się w małej wsi z dala od ludzi!

- Kobiety w jej wieku - powtórzyła Rosanna. - Ile lat może mieć panna Dawson?

- Pod trzydziestkę, jak sądzę.

212

213

Marc i Rosanna spojrzeli po sobie. To by się zgadzało.

- W porządku - poddała się Rosanna. - Poczekamy, aż wróci do domu. Marc, może usiądziemy w samochodzie? Nie chcemy naprzykrzać się panu Cadwickowi - czuła tak silną awersję do tego mężczyzny i jego zapyziałego mieszkania, że pragnęła jak najszybciej wydostać się z dusznego wnętrza.

- Ależ wcale mi się państwo nie naprzykrzają - zapewnił pospiesznie pan Cadwick. - Naprawdę, proszę zostać tutaj! Cieszę się, kiedy ktoś mnie odwiedza. Często czuję się bardzo samotny. Między innymi właśnie dlatego wynajmuję ten apartament. Właściwie nie potrzebuję pieniędzy, emerytura mi wystarcza, ale samotność... bardzo mi dokucza. Nie łatwo to wytrzymać. Pomyślałem sobie, że sublokator to niezłe rozwiązanie. Można napić się razem herbaty, porozmawiać albo pójść na spacer. Niestety, panna Dawson jest taka płochliwa, że musiałem dosłownie na nią czyhać, żeby w ogóle ją czasami zobaczyć. Bardzo, bardzo dziwna osoba. Z jej przeszłością musi wiązać się jakaś tajemnica... - przygryzł dolną wargę. Wyglądał nieswojo. Rosanna miała wrażenie, że chce powiedzieć coś jeszcze, tylko nie do końca wie jak.

- Panie Cadwick? - zaczęła. Przerwał jej.

- Jak już wspomniałem, to bardzo, bardzo dziwna osoba. Czasem mi się wydaje, że ma nie po kolei w głowie. Nie mogę sobie w inny sposób wytłumaczyć, dlaczego...

- Dlaczego co? - zainteresował się Marc. Pan Cadwick zebrał się na odwagę.

- Najwyraźniej się ode mnie wyprowadziła. Dwa dni temu. W czwartek.

- Co to znaczy najwyraźniej? - zapytał Marc szorstko. Cadwick wyglądał żałośnie.

- Chcę przez to powiedzieć, że nie wymówiła mieszkania. Nawet się nie pożegnała. Po prostu zniknęła.

- Nie można przecież ot, tak sobie zniknąć - powiedziała Rosanna. - Jeśli ktoś się wyprowadza, przyjeżdża ciężarówka, zabiera meble... Nie mogło to przecież umknąć pańskiej uwadze!

- Ona nic nie posiada - powiedział Cadwick - oprócz walizki z ubraniami. Nic poza tym nie miała, kiedy się tu wprowadziła. Apartament jest umeblowany. Wszystko jest, nawet podstawki na jajka. Przypuszczam, że wykorzystała te pół godziny, kiedy wyszedłem po zakupy, żeby uciec. Bowiem od tamtej pory jej nie widziałem.

- Wobec tego powinniśmy jak najszybciej udać się do pubu, w którym pracuje - powiedział Marc z kamiennym wyrazem twarzy. - Może jeszcze...

- Tam też się więcej nie pojawiła - powiedział Cadwick, nie patrząc na swoich gości.

- Pytałem o nią w czwartek wieczorem, a potem raz jeszcze, wczoraj, dwie godziny przed programem w telewizji. Justin McDrummond, właściciel, był bardzo poirytowany. Kiedy nie przyszła do pubu, pomyślał, że jest chora, tylko zapomniała zadzwonić i zwolnić się z pracy, ale gdy przyniosłem mu nowinę, że ulotniła się jak kamfora... cóż, musiał przyjąć, że w stosunku do niego zachowała się tak samo. Związała, nie mówiąc nikomu ani słowa.

- Uważa pan więc, że wyjechała z Langbury? I nie wspomniał pan o tym choćby słówkiem w rozmowie przez telefon? Przejechaliśmy taki kawał drogi na... na darmo? - Nie potrafiła wyrazić swojego rozczarowania. Była wściekła. I to jak.

- Do przedwczoraj jeszcze tu była - powiedział Marc pojednawczo. - Może przebywa gdzieś niedaleko. Panie Cadwick, czy jest pan całkowicie pewien, że Elaine się wyprowadziła? A nie wyjechała gdzieś na przedłużony weekend?

- Wszedłem do apartamentu. Szafki są puste. Walizka zniknęła. Nie ma tam żadnych jej rzeczy.

- Czy możemy zobaczyć jej mieszkanie? - zapytał Marc.

- Oczywiście - zgodził się pan Cadwick i poczłapał do kuchni po klucz. Znów czuł się jak ryba w wodzie. Wreszcie wykrztusił z siebie nieprzyjemną informację, nie spłoszył tym jednak swoich gości.

Wszedł po stromych schodkach na górę, otworzył drzwi do apartamentu i zapalił światło.

- To tu - powiedział. - Tutaj mieszkała.

Wnętrze, które zobaczyła Rosanna, wydawało się wręcz stworzone do tego, żeby wpędzić jego mieszkańca w ciężką depresję. Niski sufit. Małe nieszczelne okienka, przez które wpadało do środka lodowate powietrze. Pstrokate tapety. Tania gruba wykładzina dywanowa, w której pewnie kłębiło się od mikroobów. Maleńka sypialnia ze starym łóżkiem. Niewiele większy salonik, w którym stała zdezelowana kanapa i fotel. Urządzając ten tak zwany apartament, pan Cadwick wykorzystał pewnie

wszystkie stare, rozsypujące się meble. Każda inna osoba wywiozłaby je na wysypisko.

Cadwick otworzył szafkę w sypialni. Była pusta.

- Proszę spojrzeć. Nic. To samo w szufladach komody. Na szafie leżała zawsze walizka. Teraz i ona zniknęła.

- Czy była czerwona? - zapytała Rosanna, która przypomniawszy sobie rozmowę z byłym sąsiadem Marca. - Tania czerwona walizka z plastiku?

Cadwick potrząsnął głową.

- Nie, walizka była brązowa. Ciemnobrązowa. Ale wyglądała rzeczywiście tanio. To jeszcze o niczym nie świadczy. W ciągu ostatnich pięciu lat Elaine mogła przecież kupić sobie nową walizkę.

Rosanna rozejrzała się po wnętrzu. Zatem to tu mieszkała Elaine. Jeszcze dwa dni temu. Jęknęła cicho. Jak gdyby coś przeczuwała! Zanim komukolwiek udało się ją odnaleźć, spakowała rzeczy i odeszła.

Marc przerwał zalegającą ciszę.

- Muszę przyznać, że podzielam wrażenie pana Cadwicka. Mieszkanie wygląda na opuszczone. Wszystko przemawia za tym, że Elaine Dawson faktycznie się wyprowadziła.

- I co teraz zrobimy? - zapytała Rosanna.

Nagle poczuła się bardzo zmęczona. Kompletnie wyczerpana. Ponownie przyszła jej na myśl kłótnia z Denisem. Spławiła męża, zbyt zajęta swoim prywatnym pościgiem. Być może powinna była zachować się inaczej. A teraz zabrnęła w ślepą uliczkę i stała tutaj, nie wiedząc, co ze sobą począć. Rozczarowała i prawdopodobnie zraniła Denisa.

216

Wszystko na nic, pomyślała.

- Dziś już nic nie zrobimy - stwierdził Marc. - Poszukamy jakiegoś noclegu, a jutro rano albo wrócimy do Londynu, albo poczynimy dalsze kroki. Zobaczymy. Teraz jestem jednak zbyt zmęczony, żeby rozsądnie myśleć.

- Mogą państwo przenocować u mnie - zaproponował pan Cadwick. - Apartament jest niestety wolny!

- Dziękujemy, ale nie chcemy nadużywać pańskiej uprzejmości - powiedziała Rosanna pośpiesznie. - Spróbujemy—

- Niczego państwo nie znajdą - przerwał jej Cadwick. - Nie w Langbury. W pubie Pod Słoniem też nie wynajmują pokoi. Chcą państwo teraz błądzić po okolicy w poszukiwaniu noclegu?

Marc i Rosanna spojrzeli po sobie. Wizja nie była bynajmniej kusząca.

- Dobrze, jeśli naprawdę nie sprawiłoby to panu kłopotu... - Rosanna zgodziła się zrezygnowana. Przerażało ją to mieszkanie, a jednocześnie była skonana.

Uświadomiła sobie, że od obiadu nic nie jadła, że nie ma ze sobą ani szczoteczki do zębów, ani ręcznika, ani rzeczy na zmianę... Nie przeszkadzało jej to, kiedy gnana ciekawością ruszała w podróż. Teraz zateęskniła za swoim eleganckim hotelowym pokojem, gorącym prysznicem, puszystym szlafrokiem, kieliszkiem białego wina i wielką firmową kanapką z sałatą i majonezem.

Od tego wszystkiego jednak dzieliły ją lata świetlne. Cadwick zachichotał

dwuznacznie.

- Jeśli apartament jest dla państwa zbyt intymnym miejscem, jedna osoba może spać u mnie na dole. Na przykład pan Reeve. Chociaż wolałbym panią Hamilton!

Co za odrażający typ, pomyślała Rosanna. Marc spojrział na nią.

- Czy woli pani, żebym...

Nie wyobrażała sobie zostać sama w tej beznadziei.

- Nie, może pan spać na górze. Nie widzę żadnego problemu. Marcowi najwyraźniej ulżyło. Cadwick sprawiał wrażenie rozczarowanego.

217

- Wobec tego - powiedział niespiesznie - skoro nie mogę nic dla państwa zrobić...

Może wypiją państwo ze mną na dole sherry?

- Panie Cadwick, jesteśmy bardzo zmęczeni - powiedział Marc uprzejmie, ale zdecydowanie. - Chcielibyśmy się położyć.

Cadwick, zwlekając, poczłapał do wyjścia. Próbował zyskać na czasie. Kiedy wreszcie znalazł się na zewnątrz, Marc zamknął starannie drzwi i oparł się o nie plecami. Rosanna zauważyła, że jest wyczerpany.

- No to jesteśmy w... - zaczął, ale przerwał w pół zdania. W tym momencie Rosanna nie zważała na maniery.

- W dupie - dokończyła.

Jeszcze nigdy nie wypowiedziała tego słowa tak żarliwie.

Niedziela, 17 lutego

1

Marinie Dowling weszło w nawyk, żeby każdego ranka przez pół godziny biegać, konsekwentnie - czy to mróz, deszcz, czy gęsta mgła - pracowała bowiem nad tym, żeby przeistoczyć się w grację. Bynajmniej nie była gruba. Ale wszędzie miała akurat tyle ciała, że nie mogła uchodzić za szczupłą. Nieco za szerokie biodra, zbyt okrągły brzuch, o pośladkach i udach wolała nawet nie myśleć. Większość kobiet w tej mieszczańskiej, nieco nudnej, zadbanej dzielnicy na południu Londynu wyglądała tak jak Marina i z lepszym lub gorszym rezultatem próbowała żyć w zgodzie ze swoimi kilogramami. Kobiety te miały mężów i dzieci, najczęściej były bez zawodu, spotykały się po południu z koleżankami na drinka i jakąś przekąskę. Marina nie czuła się przynależna do tej grupy choćby z tego powodu, że pracowała na cały etat jako doradca podatkowy, była rozwiedziona i bezdzietna. W samotne wieczory popijała w dużych ilościach czerwone wino i zagłuszała poczucie samotności, pochłaniając prawdziwe stopy spaghetti. Według niej nic nie było w stanie lepiej pocieszyć niż ciepły makaron pachnący pomidorami. Niestety, w ten sposób przyjmowała całą masę kalorii.

W swoje trzydzieste ósme urodziny w listopadzie ubiegłego roku Marina postanowiła, że musi zmienić swoje życie. Nie chciała dłużej być sama. Pragnęła poznać mężczyznę, z którym mogłaby dzielić życie. Za jeden z warunków sukcesu uznała poświęcanie większej uwagi swojemu wyglądowi. Poprzetykane siwymi pasemkami wło-

221

sy zafarbowała na blond, kupiła sobie modną sportową garderobę i codziennie przebiegała obowiązkową rundkę, przy której musiała się nieźle napocić. Teraz,

cztery miesiące później, lżejsza o cztery kilogramy, żywiła przekonanie, że mogłaby stracić jeszcze więcej na wadze, gdyby w długie zimowe wieczory nie dawała się tak łatwo skusić butelce czerwonego wina. Potencjalny towarzysz życia (dopiero takowy mógłby przyczynić się do radykalnego zerwania z alkoholem) nie pojawił się bowiem jeszcze na horyzoncie. Marina łudziła się, że lato przyniesie jakąś zmianę, ponieważ to doskonała pora na poznanie kogoś, aczkolwiek nie potrafiłaby wytłumaczyć, dlaczego rzeczywiście miałyby tak być.

Był wczesny niedzielny poranek i zapowiadał się piękny słoneczny dzień, błękitne niebo zrzuciło z siebie szarą zasłonę, a przedwiośnie, które dało o sobie znać już minionego dnia, teraz zadomowiło się na dobre. W powietrzu pachniało świeżą wilgotną ziemią. Śpiewały ptaki. W przydomowych ogródkach zakwitły narcyzy. Czasami wiosna w Anglii się nie spóźniała. Na ogół już w połowie lutego kraj zalewała pierwsza fala ciepła, której towarzyszyło gwałtowne przebudzenie natury. Mrozy na wyspie były rzadkością, od marca z reguły się nie zdarzały. Marina pomyślała sobie, że takie dni jak ten są w stanie wynagrodzić niejedno deszczowe lato.

Bieg dobrze jej zrobił. Zasapana i mokra od potu skręciła na podjazd przed domem i wyciągnęła z kieszeni spodni klucze. Teraz nasuwało się pytanie, co począć z resztą dnia. Najpierw się wykąpie, potem napije mocnej gorącej kawy. Może pozwoli sobie na jajko na miękko i parę kromek chleba tostowego. Nie, najwyżej na jedną. Wreszcie musi zacząć się poważnie odchudzać.

A potem? Miała przed sobą cały dzień. Czytała właśnie ciekawą książkę, ale czy naprawdę chciała tę piękną sobotę spędzić w domu? Przewrotność tej pogodnej pory roku polegała na tym, że bardzo dobitnie uświadamiała ona człowiekowi jego samotność. Zimą można było umościć się wygodnie w fotelu przed kominkiem i to wystarczało. Wiosną trzeba było wyjść na zewnątrz, spędzić jakoś długie słoneczne dni, na każdym kroku napotykać rodziny i zakochane pary.

Marina uważała, że popełniła w życiu kilka kardynalnych błędów, ale skąd w młodości mogła wiedzieć, jak potoczą się sprawy? Patrząc wstecz, łatwo było powiedzieć, na którym skrzyżowaniu powinno było się pójść w innym kierunku. Ale stojąc na rozstaju dróg, niełatwo podjąć właściwą decyzję.

Rozmyśliła się i zamiast iść prosto do domu, udała się w stronę garażu. Przyszło jej na myśl, że po śniadaniu mogłaby wyruszyć na wycieczkę rowerową. To oznaczało, że nie będzie musiała siedzieć sama, jak również przybliży ją do celu, którym było uzyskanie upragnionej figury. Rower przez całą zimę stał nieużywany i miała nadzieję, że nadaje się do jazdy. Zaraz to sprawdzi.

Garaż był bardzo obszerny, przeznaczony dla dwóch samochodów, a ponieważ Marina posiadała tylko jeden, reszta miejsca zastawiona była masą potrzebnych i niepotrzebnych sprzętów. Wewnątrz piętrzyły się ogrodowe meble, przechowywała tu również kosiarki do trawy, donice, grabie i szpadel. Trafiły tu także stara sofa, zepsuta pralka, zrolowane dywany, kilka wypchanych po brzegi worków ze starą garderobą, puste kartony i stosy gazet.

Wisząca pod sufitem żarówka od dawna była przepalona, ale przez małe okienka od strony ogrodu wpadało trochę światła. Marina nigdy nie zamykała garażu na klucz. Przedarła się głębiej i dostała do roweru, który na pierwszy rzut oka wyglądał

całkiem porządnie. Obok stał nawet stary rower Kena. Dlaczego nie zabrał go ze sobą? Może jeździ ze swoją piękną nową żoną tandemem? Pewnie nawet podczas uprawiania sportu pragną być możliwie blisko siebie.

Marina przyklękła, obejrzała opony. Powietrze nie uszło przez zimę i były w dobrym stanie. Mogła przejechać na nim wiele kilometrów. Wieczorem będzie ją wszystko bolało, ale poczuje się jak bohaterka.

Wyprostowała się i nagle wydało jej się, że nie jest sama w garażu. Nie potrafiła wytłumaczyć, dlaczego tak niespodziewanie ogarnęło ją to wrażenie, nie usłyszała wszak żadnego dźwięku ani nie zauważyła niczego podejrzanego. Nic się nie poruszyło.

222

223

Mimo wszystko czuła na sobie czyjś wzrok i dostała gęziej skórki na ramionach.

Rozejrzała się dookoła, żałując, że nie widzi lepiej w ciemnościach.

- Jest tu kto? - zawołała. Żadnej odpowiedzi.

- Halo? - odezwała się ponownie.

Każdy mógł się tu dostać bez trudu. Ale czego miałyby szukać ra-buś w tym stosie niepotrzebnych sprzętów? Samochód był zamknięty. Czy w dzisiejszych czasach ktoś pokusi się jeszcze o kradzież roweru, jeśli nie podsunie mu się go pod nos?

A może wcale tu nie chodzi o kradzież, lecz o mnie?

- Bzdura! - powiedziała głośno. Kto chciałby zgwałcić prawie czterdziestoletnią doradczynię podatkową? To byłby kiepski żart, gdyby teraz, po wielu latach, w ciągu których żaden mężczyzna na nią nawet nie spojrzał, padła ofiarą gwałtu. W swoim własnym garażu.

Serce powróciło do normalnego rytmu. Przeszła jej gęsia skórka. Może tylko jej się wydawało.

Co właściwie wyzwoliło w niej taki strach? Nic. Absolutnie nic, poza nagłym przecuciem.

Ktoś tu jest. Ktoś na mnie patrzy. Czuję dwoje wlepionych we mnie oczu.

Jeszcze raz powiedziała na głos:

- Bzdura!

Znowu wszystko powróciło do normalności. Nikt na nią nie patrzył, nikogo tu nie było. Może powoli dziwaczeję? Może to normalne, kiedy jest się za długo samej?

Wychodząc z garażu, mimo wszystko raz jeszcze powiodła wzrokiem po mrocznym wnętrzu. Niewątpliwie było tu wystarczająco dużo zakamarków, żeby ktoś mógł się ukryć. Ale do jej uszu nie docierał najłżejszy nawet szelest, szuranie czy zgrzyty.

Tylko głęboka zimna cisza.

Po prostu poniosła ją wyobraźnia.

Jednakże kiedy weszła do domu, wbrew swojemu zwyczajowi zamknęła za sobą drzwi, dwukrotnie przekręcając klucz w zamku.

224

Rosanna jeszcze nigdy nie spała gorzej niż minionej nocy. W każdym razie takie miała wrażenie tuż po przebudzeniu. Leżała w łóżku Elaine, które było tak zapadnięte, że śpiący, zsunąwszy się w zagłębienie na środku, składał się wpół niczym scyzoryk. Już po kilku godzinach wszystko ją bolało. Do tego męczyły ją

różne obrazy: Rob, który nie wrócił do domu. Denis, który trawiony niepokojem chodził w domu z kąta w kąt, podczas gdy jego żona goniła za cieniem, szukając w Northumberlandii zaginionej przed laty koleżanki.

Czyżby sytuacja wymknęła się jej spod kontroli? Jak inaczej można wytłumaczyć fakt, że wylądowała w tej wsi na końcu świata, w tym okropnym domu, pod dachem odrażającego pana Cadwicka?

Kiedy wreszcie przez okno wpadało do środka blade światło poranka, wstała. Na szczęście pościel wyglądała na czystą. Rosanna przypuszczała, że od zniknięcia Elaine nie była zmieniana - pan Cadwick przekaże ją pewnie, nie piorąc, następnemu lokatorowi,

o ile w ogóle takiego znajdzie - ale Elaine najwyraźniej dbała o higienę. Pościel pachniała przyjemnie proszkiem do prania.

W łazience nie było ręczników, w każdym razie Rosanna ich nie zauważyła.

Znaleziony w koszu z praniem zwinięty w kłębek, zawilgotniały ręczniczek do rąk wzbudził w niej tylko wstręt. Przy lustrze leżał kawałek mydła. Umyła byle jak twarz, przeczesła palcami włosy. Stwierdziła, że okropnie wygląda. Niesforną czuprynę

była w stanie ujarzmić jedynie za pomocą suszarki i całej masy lakieru, ale nie miała ani jednego, ani drugiego do dyspozycji. Jej włosy przypominały sierść chorego kota.

- Albo mówiąc dosadniej, parchatego szczura - mruknęła pod nosem. Dlaczego nie wzięła ze sobą nawet tuszu do rzęs ani kredki do oczu? W torebce znalazła tylko szminkę, lecz to, że jej usta nabrały intensywnego odcienia czerwieni, nie poprawiło ogólnego wrażenia.

W maleńkiej kuchni natknęła się na Marca, który stał tam boso, w bokserkach i podkoszulku. Był zaskoczony, że Rosanna już wstała.

- Myślałem, że o tej godzinie jeszcze pani śpi - powiedział.

225

- Czuję się, jakbym w ogóle nie zmrużyła oka - odparła Rosanna.

- To łóżko to istne narzędzie tortur. A jak się panu spało na sofie?

- Obawiam się, że niewiele lepiej. Kiedy się położyłem, kanapa zapadła się niemal do podłogi. Uważam się za osobę dość sprawną i wysportowaną, ale zaraz po wstaniu poruszałem się jak skostniały starzec. Jeszcze nigdy aż tak nie bolały mnie plecy.

- Ja czuję się, jakby mi ktoś ścisnął kręgosłup w imadle - niepewnie przejechała ręką po włosach. - W łazience niestety nie ma prawie nic, co pozwoliłoby doprowadzić się do ładu. Będzie pan musiał dzisiaj znosić towarzystwo stracha na wróble.

- Ja natomiast nie mogę się ogolić - powiedział Marc. - Ale to jeszcze małe piwo.

Rozejrzałem się tu nieco i proszę sobie wyobrazić, że nie ma nawet kawy. Proponuję się stąd po cichu wymknąć i poszukać tego pubu... nazywa się Pod Słoniem, o ile dobrze pamiętam. Może będziemy mieć szczęście i okaże się, że w niedzielę serwują śniadania. W przeciwnym razie czeka nas prawdopodobnie kawa w schludnym mieszkanku pana Cadwicka, a na to jak sądzę, ma pani nie większą ochotę niż ja. Rosanna wzdygnęła się.

- Nie jestem drobiazgowa, ale kiedy zobaczyłam brudne naczynia w jego kuchni, nabrałam obaw, że można się od niego czymś zarazić. Poza tym ten człowiek jest wprost odrażający. Oblesny, a do tego wścibski. Mieszkając tu z nim pod jednym

dachem, miałabym senne koszmary. Jak pan sądzi, czy ta cała historia jest prawdziwa? Że mieszkała tu jakaś Elaine Dawson? Że ktokolwiek tu mieszkał?

- Pyta pani, bo akurat teraz zniknęła? - Marc skinął głową.

- Dziś w nocy też się nad tym zastanawiałem. Oczywiście istnieje prawdopodobieństwo, że wszystko to sobie po prostu wymyślił. Przypuszczam, że nie zawahałby się przed niczym, żeby tylko zapewnić sobie nieco towarzystwa w swojej jałowej egzystencji. W gruncie rzeczy to nieszczęśliwy człowiek.

- Mimo wszystko nie potrafię mu współczuć.

- W każdym razie to jeszcze jeden powód, żeby iść do pubu. Gdyż właśnie tam, o ile wszystko nie sprzysięgło się przeciwko nam, powinniśmy znaleźć wiarygodne potwierdzenie historii pana Cadwicka. Albo jej zaprzeczenie.

Podczas gdy Marc był w łazience, Rosanna weszła do sypialni, posłała łóżko i zadzwoniła do Denisa. Chciała się dowiedzieć, czy Rob wrócił. Wybierając numer, ścisnęła ją w gardle. Obawiała się kolejnego ataku ze strony męża i tego, że nie będzie w stanie dłużej bronić się przed presją, jaką na nią wywierał, żądając, by wróciła do domu.

Może po prostu powinnam tak zrobić, pomyślała. I tak nie znajdę Elaine, a zebrałam wystarczająco dużo materiałów. Jutro rano mogłabym polecieć do Gibraltaru...

W domu nikt nie odbierał. W niedzielę rano Denis chodził czasem do siłowni.

Możliwe jednak, że dziś jeździł po okolicy, szukając Roberta. To, że nie podchodził do telefonu, jeszcze o niczym nie świadczyło - w weekendy zwykł spać do południa i nawet eksplodująca bomba nie byłaby w stanie wygonić go z łóżka, a co dopiero dzwonek telefonu.

Marc był już ubrany. Włożyli kurtki i na palcach opuścili mieszkanie. Wyglądało na to, że pan Cadwick jeszcze śpi, gdyż oprócz skrzypienia schodów w domu panowała cisza. Siedząc wreszcie w samochodzie, odetchnęli z ulgą.

W świetle dziennym wszystko okazało się dużo prostsze. W mig pojechali wąskimi uliczkami w Langbury, a kiedy zaczęli je systematycznie objeżdżać, wkrótce znaleźli się przed pubem, okazała się budowla z czerwonej cegły. Z przodu był nawet mały ogródek, w którym latem można było usiąść w cieniu wysokich rozłożystych drzew. Teraz gałęzie były jeszcze nagie, a przykryte plandeką poskładane krzesła i stoły opierały się o ścianę budynku.

Rosanna z ulgą stwierdziła, że drzwi do restauracji są otwarte. Kiedy wchodzili do środka, w nozdrza uderzył ich kuszący zapach świeżo zaparzonej kawy. Mężczyzna, który wyglądał, jakby miał za sobą nieprzespaną noc, patrzył na nich zdumiony.

- O tej porze nikt tu nie przychodzi - powiedział. Rosanna uśmiechnęła się.

- Czy mimo wszystko moglibyśmy napić się kawy?

226

227

- Jasne. Kawa jest gotowa - skinął głową mężczyzna. - Na śniadanie trzeba jeszcze trochę poczekać. W niedzielę o dziesiątej otwieramy bufet śniadaniowy. Teraz mogę zaproponować państwu jedynie tosty z dżemem.

- To w zupełności wystarczy - zapewnił Marc. - Musimy tylko coś przekąsić, żeby stanąć na nogi.

Usiedli przy stoliku w rogu, z ulgą zarejestrowali czysty biały obrus i malowany w kwiatki serwis do kawy. Zmęczony mężczyzna sam przyniósł im koszyczek z chlebem tostowym i duży talerz z kilkoma gatunkami dżemów i porcjowanym masłem. Rosanna domyśliła się, że jest to właściciel pubu Pod Słoniem.

Najwyraźniej Marc doszedł do tego samego wniosku, gdyż zapytał:

- Pan Justin McDrummond?

- Tak, to ja. O co chodzi?

- Nazywam się Marc Reeve. A to jest Rosanna Hamilton. Przyjechaliśmy tu z Londynu.

- Nie najlepsza pora roku na urlop w tej okolicy.

- Nie przyjechaliśmy na wypoczynek - sprostował Marc. - Szukamy starej znajomej i powiedziano nam, że pracowała tutaj. Elaine Dawson.

Justin ściągnął brwi.

- Elli?

- Więc to prawda? Pracowała u pana?

Justin z impetem postawił koszyk z pieczywem na stole. Na jego wyczerpanym obliczu malowała się złość.

- A jakże - powiedział. - Pewnie, że tu pracowała! I powiem jedno: państwa znajoma to największa wariatka, jaką w życiu zatrudniałem. Często nie przychodziła do pracy, ale starałem się być wyrozumiały, bo było mi jej po prostu żal. Dlatego to nie w porządku, że... - przerwał w pół zdania.

- Tak? - zapytała Rosanna. - Co jest nie w porządku?

- Żeby się tak po prostu ulotnić - powiedział Justin wściekły. - Z dnia na dzień, bez słowa. O tej porze roku niewiele tu się dzieje

228

ale wieczorami przychodzą miejscowi, wielu przyjeżdża z okolicznych wsi. A wczoraj mieliśmy przyjęcie weselne. Było sto dwanaście osób, które świętowały do pierwszej nad ranem. Elli o tym wiedziała. Zatrudniłem jeszcze dwie osoby do pomocy, ale liczyłem przede wszystkim na nią. A ona po prostu nie przyszła. Ani w czwartek, ani w piątek, ani wczoraj wieczorem. Zniknęła. Musiała przecież zdawać sobie sprawę, że na ostatnią chwilę nie uda mi się znaleźć nikogo na jej miejsce. Elli była przeszkolona, znała się na rzeczy. Nie wyobrażają sobie państwo, jak się wczoraj musieliśmy uwijać. Słowo daję, jeśli kiedyś się tu jeszcze pokaże...

- Może coś jej się stało? - wtrąciła Rosanna. Justin parsknął.

- Byłem skłonny w to uwierzyć. Ale potem przyszedł tu ten stary oblech Cadwick, jej gospodarz. W jego ruderze wynajmowała mieszkanie. I powiedział mi, że wyniosła się od niego z całym swoim dobytkiem. Nawet się nie pożegnała. Zdaje się, że jeżeli ktoś ma wypadek, zostaje porwany czy zamordowany, nie pakuje uprzednio swoich rzeczy, mam rację? Nie, znalazła gdzieś atrakcyjniejszą pracę i lepsze lokum i zwyczajnie prysnęła.

Rosanna sięgnęła do torebki i wyjęła z niej zdjęcie Elaine, które zawsze przy sobie nosiła.

- Czy to ona?

Justin dokładnie obejrzał fotografię.

- Nie jestem pewien - powiedział z wahaniem. - Elli jest dużo szczuplejsza. Niemal

wychudzona.

- Zdjęcie zostało zrobione ponad pięć lat temu - wyjaśniła Rosanna. - Nowszego niestety nie mamy. Przez ten czas mogła oczywiście znacznie stracić na wadze.

- Są w podobnym typie - powiedział Justin. - Kolor włosów się zgadza, fryzura też. Trudno powiedzieć. Ta okrągła osoba na zdjęciu i zabiedzona Elli... Może to i ona. Ale pewności nie mam.

- Elaine miałyby teraz dwadzieścia osiem lat - powiedziała Rosanna. - Pierwszego sierpnia tego roku skończyłyby dwadzieścia dziewięć.

229

- To by się zgadzało - potwierdził Justin. - Szczerze mówiąc, nie wiem, kiedy obchodzi urodziny ani ile ma lat, ale oceniałem ją na niespełna trzydziestkę.

- Długo już tu pracowała? - zapytał Marc.

- Od czerwca zeszłego roku. Zjawiła się któregoś dnia i zapytała, czybym jej nie zatrudnił- Miała szczęście, bo właśnie odeszła kelnerka. Dałem jej posadę.

- Na pewno pokazała panu dokumenty. Dowód tożsamości, świadectwa i tym podobne? - powiedział Marc.

Justin był wyraźnie zmieszany.

- Pokazała mi paszport. Nie miała żadnych świadectw. Powiedziała mi, że wcześniej pracowała na czarno w sklepie obuwniczym, w magazynie.

- I dla pana chciała także pracować na czarno - wywnioskował Marc.

- No cóż, w zasadzie...

- Nie jesteśmy z policji ani z urzędu skarbowego - postawiła sprawę jasno Rosanna. - Nie ma się pan czego obawiać.

Justin opadł obok swoich gości na krzesło, oparł głowę w dłoniach.

- Na początku też wydawało mi się to podejrzane. Wyglądało, jakby przybyła znikąd. Kiedyś już miałem kłopoty z powodu jednego kucharza, Pakistańczyka, który jak się okazało, nie miał prawa pobytu w Anglii, i policja przez niego zrobiła mi nalot. Ale Elli miała przynajmniej brytyjski paszport. Oczywiście mnie też się opłaca zatrudniać na czarno. Ale... może bym ją nawet odesłał z kwitkiem. Tylko że sytuacja była podobna do wczorajszej. Zbliżał się weekend, zapowiedziało się spore towarzystwo. Brałem każdego, kto się nawinął. Zjawiła się wtedy jak na zawołanie, a potem została i... cóż, po pewnym czasie jej przeszłość przestała mnie obchodzić.

Rosanna schowała zdjęcie. Senność minęła jakręką odjął. Być może także na skutek znakomitej kawy, którą popijała małymi łykami.

- Określił pan Elaine mianem wariatki. Co dokładnie miał pan na myśli?

230

Justin zastanowił się.

- Było wniej coś takiego - powiedział. - Coś... jak by to powiedzieć. Coś chorego.

Histerycznego. Depresyjnego. Wszystkiego po trochu. Sprawiała na mnie wrażenie osoby złamanej. Czy normalna młoda kobieta osiedla się w Langbury w mieszkaniu pana Cad-wicka i upatruje sensu swojej egzystencji w pracy u mnie w pubie? Nie miała żadnych przyjaciół. Z nikim nie utrzymywała kontaktów. Nic o sobie nie opowiadała. Tak jakby przybyła znikąd. Nigdy nie wspominała rodziców. Ani rodzeństwa. Przyjaciół, krewnych, nauczycieli, sąsiadów... nikogo. Przecież nawet najmniej towarzyska osoba nie jest w stanie obejść się w życiu bez co najmniej kilku

znajomości, prawda? Ale Elli była inna. Jakby żyła sama jedna na świecie.

- Często zwalniała się z pracy? - dopytywała się Rosanna.

- Tak. Co jakiś czas nie przychodziła przez dwa, trzy dni. Ale zawsze mnie o tym powiadamiała. Jako powód podawała a to ból zęba, a to zapalenie gardła. Czyja wiem. Dziwne... zawsze miałem wrażenie, że zmyśla. Podejrzywałem, że wcale nie jest chora, tylko tak mi mówi. Ale nie mogłem jej tego udowodnić.

- Co pana zdaniem tak naprawdę się z nią wtedy działo? - spytał Marc. Justin znów się zawahał.

- Myślę, że miała ataki paniki. Że od czasu do czasu jej lęki brały górę. I że wówczas nie była w stanie wyjść z tej nory, w której mieszkała.

- Lęki? - zapytała Rosanna. - Miewała lęki? Justin spojrzał na nią zdziwiony.

- Myślałem, że to pani znajoma. Trudno było tego nie zauważyć.

Elli się bała. Potwornie obawiała się kogoś lub czegoś. Za każdym razem kiedy otwierały się drzwi, wzdrygała się ze strachu. Czasem, kiedy ktoś głośno się zaśmiał czy krzyknął, bladła na twarzy... - Po chwili milczenia dodał: - Ośmieliłbym się nawet powiedzieć, że Elli żyła w śmiertelnym strachu. To się czuło. Ale przez cały ten czas nie udało mi się dociec przyczyny.

231

Geoffrey pojął, że litowanie się nad sobą może przejść w nawyk, któremu towarzyszą bardzo nieprzyjemne efekty uboczne. Przez długi czas mogło mu się udawać trzymać innych w szachu, wzbudzać w nich poczucie winy i manipulować nimi, ale kiedyś musi się to obrócić przeciwko niemu.

„Ten, kto zbyt długo i zbyt wygodnie umości się w roli ofiary, rzeczywiście się nią stanie”.

Ktoś mu to kiedyś powiedział, nie pamiętał już kto. Pielęgniarka, lekarz, sanitariusz? Z pewnością ktoś z ludzi, którzy się nim opiekowali i z uporem starali się mu wmówić, że jego życie mimo wszystko ma sens. Uważał, że to bzdura, i wpadał we wściekłość, kiedy jakaś zdrowa osoba miała czelność tłumaczyć choremu, że jego położenie nie jest takie beznadziejne, jak mu się wydaje.

Tak czy inaczej, w tej gadaninie o roli ofiary coś było. Gdyby nie odciął się tak starannie od normalności, miałby teraz komórkę, mógłby zaszyć się w jakimś odludnym miejscu budynku lub wyjść na zewnątrz i stamtąd zadzwonić. Atak musiał skorzystać z publicznego aparatu telefonicznego w korytarzu i liczyć się z tym, że przechodzące osoby podsłuchają jego rozmowę.

Posiadał wprawdzie komórkę z okresu, kiedy mieszkał z Elaine, ale od wieków nie doładowywał karty. Pielęgniarki wielokrotnie mu proponowały, że zrobią to za niego.

- Proszę, panie Dawson. Naładujemy panu telefon! W ten sposób każdy będzie się mógł do pana dodzwonić!

Konsekwentnie odrzucał te propozycje. Niejednokrotnie odpowiadał opryskliwie dobrodusznym siostram. A któż to miałby, jeśli można wiedzieć, się do niego dodzwonić? Czy ktokolwiek do niego dzwonił? Kto w ogóle jeszcze się nim interesował? Praktycznie przestał istnieć dla świata.

Głupio wyszło, pomyślał teraz.

Na szczęście była niedziela. Wszystkie zajęcia w ośrodku opieki odbywały się tego dnia w zredukowanej formie, co oznaczało, że na

korytarzu nie tłoczyli się pacjenci i personel. Istniała więc szansa, że uda mu się w spokoju przeprowadzić rozmowę. W każdej chwili sytuacja mogła jednak ulec zmianie. Geoff wiedział, że musi się śpieszyć - nie wiadomo, kiedy nadarzy się kolejna okazja.

Zdobycie w informacji telefonicznej numeru stacji telewizyjnej, która nadawała „Private Talk”, okazało się łatwe; trudniej było połączyć się z redakcją programu. Naburmuszony kobiecy głos w centrali powiadomił go, że spróbuje, i od tamtej pory Geoff czekał przy telefonie, coraz bardziej poirytowany, słuchając dźwięków jakiegoś nieznanego mu utworu fortepianowego. To była wada niedzieli - podobnie jak w szpitalu, tak i w stacji telewizyjnej nie uwijano się tak gorączkowo jak w pozostałe dni. Ale pracownicy także w weekendy musieli pełnić dyżur. Czy Lee Pearce była dziś w pracy? To właśnie z nią Geoff najbardziej chciał porozmawiać. Przez całą noc nie zmrugnął oka, zastanawiając się, co robić. Wiadomość Cedrica o tym, że być może natrafiono na nowy ślad, z godziny na godzinę potęgowała w nim niepokój, podniecenie i strach. Walczyły w nim różne emocje: nadzieja, że Elaine rzeczywiście żyje, wróci i wybawi go. Obawa, że siostra wprawdzie żyje, ale mogłaby odmówić powrotu, a do tego oświadczyć, że to właśnie przed nim przez te wszystkie lata się ukrywała. Zaraz potem obudziła się w nim nowa myśl: a jeśli to ktoś całkiem inny i tylko Rosanna Hamilton, ta podstępna żmija, mimo wszystko będzie twierdzić, że to właśnie jego siostrę spotkała w Northumberlandii? Zobaczywszy dawną koleżankę z młodych lat w talk-show, Geoff uświadomił sobie dwie rzeczy: Rosanna miała chrapkę na Marca Reeve'a, być może nawet miała już z nim romans. To z kolei tłumaczyło jej zachowanie - pragnęła oczyścić Reeve'a z wszelkich podejrzeń związanych ze zniknięciem Elaine. Za każdą cenę. Według Geoffa była ona w stanie wymyślić sobie, że Elaine żyje, a następnie opublikować tę informację na łamach swojego szmatławca, byle zrehabilitować Reeve'a i przywrócić mu publiczny szacunek. Kto by weryfikował te informacje? Policja już dawno odłożyła sprawę ad acta.

- Jak pan sądzi, ile kobiet i mężczyzn każdego dnia porzuca swoje dotychczasowe życie, znika i rozpoczyna nową egzystencję? - zapytał

232

233

go przed laty jeden z policjantów. - Nawet ludzie, którzy mają rodziny, dzieci. Ludzie, w których życiu pozornie jest wszystko w porządku, po których nikt by się tego nie spodziewał, a którzy w głębi duszy mają wszystkiego dość: odpowiedzialności, zobowiązań, czyja wiem czego jeszcze. I znikają. A całe otoczenie umiera z niepokoju.

W otoczeniu Geoffa nie czuło się niepokoju, i to było najgorsze. Nikt mu tego nie powiedział wprost, ale nie był głupi, wiedział, co próbowano mu dać do zrozumienia - dla wszystkich było jasne, że Elaine uciekła od życia u boku kaleki, który uniemożliwiał jej realizację własnych planów. I wszyscy to rozumieli. Gdyby historia Reeve'a nie wyszła na jaw, a tym samym nie pojawiła się hipoteza morderstwa - nikt by nawet nie ruszył palcem, żeby odnaleźć kobietę, która przepadła jak kamień w wodę.

Cóż, on sam nie był w stanie jechać na północ, żeby sprawdzić, czy to rzeczywiście

jego Elaine tam się przed nim ukryła. Przeklinał teraz swoją bezsilność, swoje unieruchomienie na wózku. Nienawiść do własnego ciała, która trawiła go w nocy, przeszła w nienawiść do Rosanny Hamilton, bo właśnie ona winna była całej tej sytuacji. Miała czelność wchodzić z butami w jego życie i wydawało jej się, że może wtrącać się w cudze sprawy, nie troszcząc się o konsekwencje, które mogły z tego wyniknąć dla innych. To typowe zarówno dla niej, jak i jej brata - tego aroganckiego, obojętnego Cedrica Jonesa. Oboje byli obojętni, gdy w grę wchodziła prawdziwa potrzeba czy rzeczywiste zmartwienia innych ludzi. Jeśli natomiast występowali we własnej sprawie - tak jak teraz Rosanna, najwyraźniej motywowana przez tego swojego Reeve'a - potrafili być aktywni i pomysłowi.

Najbardziej rozjuszył go fakt, że nikt nie zamierzał go o niczym powiadomić. Co potwierdzało podejrzenia Geoffa, że sprawa jest nieczysta. Rosanna nie wspomniała ani słowem, że pojawił się nowy trop, a i Cedric nie miał takiego zamiaru. Dopiero kiedy znalazł się w sytuacji podbramkowej, postanowił mu rzucić jakiś ochłap, żeby odwrócić jego uwagę, ale zaraz gorzko tego pożałował. Rosanna, sprytniejsza z nich dwojga, natrze mu uszu, jak tylko się o wszystkim dowie. I dobrze mu tak.

234

Nad ranem Geoff miał gotowy plan. Nie da się spławić, postawić do kąta i zmusić do milczenia - na pewno nie Rosannie i Cedricowi. Nawet jeśli resztę przeklętego ciała miał unieruchomioną, jego głowa była sprawna i Geoff mógł działać. Posłuży się innymi osobami, które podejmą poszukiwania w Northumberlandii i zniweczą plany Rosanny, jakiegokolwiek by one były. A któż nadawał się do tego lepiej niż dziennikarka telewizyjna Lee Pearce, która zajmowała się już tą sprawą w swoim programie? Na pewno z przyjemnością wymierzy cios Rosannie Hamilton.

Do Geoffa ponownie dobiegł głos kobiety z centrali:

- Łączę - powiedziała znudzona. W słuchawce rozległ się trzask.
 - Halo? - odezwał się inny kobiecy głos, znacznie sympatyczniejszy i weselszy.
 - Dzień dobry - powiedział Geoff. - Mówi Geoffrey Dawson... - zrobił przerwę w nadziei, że jego nazwisko coś powie rozmówcy. Wszak „przypadek Elaine Dawson” był tematem ostatniego programu. Najwyraźniej jednak tak się nie stało.
 - W czym mogę panu pomóc, panie Dawson? - spytała kobieta miłym tonem.
- Tak to jest w dzisiejszych czasach, pomyślał Geoff, już przygotowują następny odcinek i ledwo są w stanie sobie przypomnieć, czym zajmowali się dwa dni wcześniej.

Geoffrey nie obmyślił żadnego konkretnego planu rozmowy przede wszystkim dlatego, że skoncentrował się głównie na logistyce przedsięwzięcia.

- Chciałbym rozmawiać z panią Lee Pearce - poprosił śmiało.
- O co chodzi?
- Nazywam się Geoffrey Dawson - powtórzył z naciskiem. - Jestem bratem Elaine Dawson. Przypomina sobie pani? Elaine Dawson była tematem ostatniego odcinka „Private Talk”. Jednym z tematów - dodał.
- Racja, teraz sobie przypominam. - Głos wciąż brzmiał radośnie i Geoffowi nasunęło się pytanie, co może być powodem

235

tak natrętej wesołości. - O czym chce pan rozmawiać z panią Pearce?

Przynajmniej nie zbyła go informacją, że pani Pearce nie ma w pracy. Co pozwala mieć nadzieję, że moderatorka przebywa na terenie stacji telewizyjnej i istnieje szansa na rozmowę z nią, o ile Geoff zdoła przekonać tę wcieloną pogodę ducha o takiej konieczności.

- Po programie trafiono na nowy ślad - wyjaśnił. - Pojawiły się przesłanki, że moja siostra żyje.

- W takim razie może powinien się pan zgłosić na policję.

- Policja już od dawna nie zajmuje się tą sprawą. Nie sądzę, żeby z powodu jednej informacji przeczesywali Northumberlandię.

Po drugiej stronie rozległo się wyraźne westchnienie.

- Panie Dawson, nie wiem, w jaki sposób pani Pearce mogłaby panu pomóc.

- To nie wszystko - powiedział Geoff pospiesznie.

Usłyszał kroki i ukradkiem się obejrzał. Na końcu korytarza pojawiła się siostra, ale zatrzymała się w drzwiach do jednej z sal i rozmawiała z którymś z pacjentów. Geoff miał nadzieję, że kiedyś lada chwila ruszy dalej, nie zatrzyma się przy nim.

Cholera! Czy to babsko może go wreszcie połączyć?

- Proszę posłuchać - powiedział przytłumionym głosem. - Mam powody sądzić, że pani Hamilton, która w piątek gościła w programie, próbuje w związku z tą sprawą coś zatuszować. Z niezwykle pikantnych powodów osobistych... - znacząco zawiesił głos. „Private Talk” był prymitywnym bulwarowym programem. Miał nadzieję, że udało mu się w ten sposób rozbudzić apetyt swojej rozmówczyni.

Ta zaś ponownie westchnęła, tym razem nawet nie starając się tego ukryć.

- Zapytam panią Pearce, o ile w ogóle uda mi się ją znaleźć - powiedziała. - Możliwe, że jest teraz na zebraniu. Proszę zaczekać!

Słuch Geoffa znowu został wystawiony na pastwę natrętnej muzyki.

236

Pielęgniarka była coraz bliżej, szła dziarskim, zamaszystym krokiem, sygnalizującym powagę jej funkcji, krokiem, jakiego nie cierpiał, a z którym wciąż siłą rzeczy był konfrontowany.

Czy kiedykolwiek siostry zastanawiały się nad tym, jakie wrażenie sprawia ich krok na nas, kalekach? pomyślał Geoff. Czy chcą nam w ten sposób pokazać swoją przewagę, dać do zrozumienia, że są silniejsze? A może niesłusznie zakładam nieistniejący konflikt grup? Może w rzeczywistości jesteśmy im zupełnie obojętni, po prostu wykonują swoją pracę, nad niczym się nie zastanawiając.

Pielęgniarka znalazła się na jego wysokości i posłała mu promienny uśmiech. Uznał to za przejaw perwersji.

- No jak tam, panie Dawson? - Ona też była radosna jak skowronek. Czy wszyscy mają dzisiaj taki cholernie dobry humor? Zwłaszcza ci, którzy muszą pracować? - Jak się pan czuje?

Skinał nieobecnie głową. Czy nie widzi, że rozmawia przez telefon? Czy zachowałaby się tak również w stosunku do kogoś, kto nie jest pacjentem? Ignorując fakt, że człowiek zajęty jest akurat czym innym?

Właśnie chciała zadać mu następne pytanie, ale w tym samym momencie Geoff usłyszał w słuchawce znajomy trzask.

- Panie Dawson? Łączę pana z panią Pearce. Chwilę później odezwał się chłodny

głos.

- Pearce przy aparacie, o co chodzi?

Geoff zasłonił słuchawkę dłonią i na ile pozwalało mu sparaliżowane ciało, odwrócił się do uśmiechającej się pielęgniarki i syknął cicho, ale wyraźnie:

- Niech się pani ode mnie odczepi, do jasnej cholery!

Jeździli trochę bez celu po okolicy, następnie zostawili samochód na niewielkim parkingu blisko morza i poszli na plażę. Poza hukiem fal i krzykiem mew nic nie było słychać. Mimo słonecznej wiosennej po-

237

gody nad morzem wiał przenikliwy wiatr, wdzierający się pod ubranie. Żeby się rozgrzać, szli szybkim krokiem po piaszczystej plaży. Jak okiem sięgnąć, nigdzie nie widać było żywej duszy.

- Nie rozumiem — odezwała się Rosanna. — Określenie „śmiertelny strach” wydaje mi się takie... przesadzone. Przyjeliśmy założenie, że Elaine chciała uciec przed życiem, w którym była uwiązana jako opiekunka swojego brata, i na pewno nie byłaby zachwycona, ujrzawszy go pewnego dnia w drzwiach pubu, ale ta wizja nie napawała jej chyba śmiertelnym strachem. Cóż mógłby jej zrobić?

Marc pochylił się, podniósł mały płaski kamyk i rzucił go w zamyśleniu na ziemię.

- Być może mylimy się, sądząc, że jej zniknięcie... o ile pozostajemy przy hipotezie dobrowolnego zniknięcia... ma coś wspólnego z jej bratem. Wspominała mi wszak o mężczyźnie, który odgrywał w jej życiu niebagatelną rolę. Czy to możliwe, że coś im nie wyszło? Że to przed nim się ukrywa?

- Trudno mi sobie wyobrazić, aby Elaine nawiązała znajomość z facetem, który mógłby później stać się dla niej zagrożeniem - powiedziała Rosanna, a przed oczami stanęła jej przyszczata nastolatka, która wszystkiego i wszystkich się bała i odmawiała udziału w przedsięwzięciach, z jakimi łączył się choćby cień ryzyka. - Była przesadnie ostrożna, wyjątkowo nieśmiała. Zdecydowanie nie z tych, co wystawiają się na niebezpieczeństwo.

- Ale właśnie komuś takiemu może się przydarzyć, że padnie ofiarą drania - stwierdził Marc. - Elaine zrobiła na mnie wrażenie bardzo niedoświadczonej. Nie miała pojęcia o życiu. Była wystraszona, a jednocześnie zbyt nieświadoma, żeby rozpoznać prawdziwe niebezpieczeństwa. Elaine jest... albo była... kimś, kogo z powodzeniem mógł upatrzeć sobie jakiś typ spod ciemnej gwiazdy.

- Ale dlaczego? Dlaczego ktoś miałby się na nią wziąć? Marc wzruszył ramionami.

- Nie mam pojęcia. To nie musi mieć z nią żadnego związku. Są ludzie, którzy po prostu potrzebują ofiary. Wszystko jedno jakiej.

Nie chodzi im o konkretnego człowieka, tylko o typ. Elaine mogła przyciągać takich ludzi. Ale to oczywiście tylko domysły.

- Dobrze, załóżmy, że związała się z nieodpowiednim mężczyzną - powiedziała wolno Rosanna. - Uciekła z nim. I w którymś momencie w ciągu ostatnich pięciu lat coś się zdarzyło. Coś, co niosło ze sobą zagrożenie. Dlaczego w tej sytuacji nie zgłosiła się na policję?

- Być może wiedziała, że w niektórych przypadkach to nic nie daje - powiedział Marc. - Jestem adwokatem, wiem, o czym mówię. Może trafiła na psychopatę, ale ten nie zrobił jeszcze nic, co pozwoliłoby go aresztować. Elaine mogła przeczuwać, że

gość jest groźny, ale policja może interweniować, dopiero kiedy delikwent coś przeszkobie. Czasami ofierze naprawdę nie pozostaje nic innego, jak się ukrywać.

- To by jednak znaczyło, że Elaine... akurat ona!... całkiem nieźle pojęła mechanizmy kierujące życiem.

- Pięć lat to masa czasu. Porzuciła schronienie, jakim było dla niej rodzinne Kingston St. Mary. Być może przeszła intensywny kurs oceny rzeczywistości. Dzisiejsza Elaine ma pewnie niewiele wspólnego z tą sprzed lat. Nie tylko jeśli chodzi o wagę. Rosanna skinęła w zamyśleniu głową.

- Ale dlaczego nie zmieniła nazwiska? To zapewniłoby jej o wiele lepszą ochronę.

- To nie takie proste. W większości przypadków, aby dostać mieszkanie czy pracę, trzeba się wylegitymować. A to oznacza, że musiałaby załatwić sobie fałszywe dokumenty. Jak takiej dziewczynie jak Elaine miałyby się to udać?

- Trudno to sobie wyobrazić - przytaknęła Rosanna. - Ale cała ta historia jest bardzo zagmatwana. Zupełnie nie pasuje do Elaine, jaką znałam.

- Może powinniśmy przestać spekulować - powiedział Marc. - Donikąd nas to nie zaprowadzi. Prawdopodobnie będziemy musieli pogodzić się z faktem, że przyjechaliśmy za późno. Dosłownie minęliśmy się z ukrywającą się w Langbury Elaine Dawson i pew-

238

239

nie nie uda nam się już jej znaleźć. Mieliśmy pecha. Może to ona, a może nie ona. Na tym przyjdzie nam poprzestać. Rosanna przystanęła.

- Dziwię się, że przyjmuje pan to z takim spokojem. W pańskim wypadku stawka jest o wiele wyższa niż w moim. Odnalezienie Elaine oznaczałoby dla pana całkowitą rehabilitację. Ale mam wrażenie, że to ja o wiele mocniej przeżywam, że mało brakowało, a byśmy ją spotkali.

Marc również się zatrzymał.

- Rosanno, nie przeczę, że i ja pokładałem w związku z tym tropem duże nadzieje. Ale jestem realistą. Przypadek Dawson przestał wzbudzać sensację. Nie spotykam się już na każdym kroku z nieufnością. W moim środowisku nikogo już ta sprawa nie interesuje. Odnalezienie jej niewiele by zmieniło.

Rosanna odwróciła wzrok od Marca, gdyż wiedziała, że dotyka drażliwego tematu.

- Ale pański syn... pański syn miałby wreszcie dowód. Czy to dla pana bez znaczenia?

Marc milczał dłuższą chwilę i Rosanna już zaczęła się obawiać, że posunęła się za daleko.

- Proszę wybaczyć - powiedziała pospiesznie. - Nie powinnam była...

- W porządku - przerwał jej Marc. - Ma pani rację. Byłoby warto ze względu na mojego syna. Chociaż to pewnie i tak niewiele by zmieniło.

Szli dalej, zmarznięci, chłostani powiewami zimnego wiatru, i nagle plaża wydała się Rosannie niegościnna i odpychająca, a całe przedsięwzięcie szalone i od początku skazane na niepowodzenie.

Ponownie stanęła. Nie chciała jeszcze bardziej oddalać się od samochodu.

- Marc - powiedziała - chyba powinniśmy...

Przerwała, gdyż Marc zwrócił się w jej stronę i ze zdziwieniem obserwowała zmianę

na jego twarzy, zanim ją pocałował. Był to przelotny pocałunek, właściwie tylko lekkie muśnięcie.

Postąpił krok do tyłu.

- Przepraszam - powiedział. - Zachowałem się... jak uczeń. Rosanna wciąż na niego patrzyła.

- Najlepiej.... - zaczął, ale zaraz przerwał, unosząc w bezsilnym geście dłonie. - Nie powinienem był tego robić.

Rosanna wreszcie odzyskała mowę. - To było...

- Wiem. To było głupie.

- Nie, to nie to... - Szukała właściwych słów. - Nie jestem na pana zła. Naprawdę. Stał przed nią, wcisnąwszy ręce głęboko w kieszenie kurtki. Wargi miał zaróżowione od wiatru.

- Wiem, że jesteś mężatką. Masz pasierbka, który na ciebie liczy. Twoje życie jest gdzie indziej. Mimo wszystko już od rana... ilekroć na ciebie spojrzę... - nie dokończył, jakby było jasne, co chciał powiedzieć.

Rosanna przejechała dłonią po zmierzwiionych włosach, które na wietrze jeszcze bardziej się nastroszyły. Pomyślała, że jest bez makijażu, a na cerze na pewno odcisnęła swoje piętno nieprzespana noc.

- Akurat dzisiaj - powiedziała. - Akurat dzisiaj tak... okropnie wyglądam!

- Akurat dzisiaj - odparł Marc - wyglądasz tak młodo. Wziął ją w ramiona i ponownie pocałował, dłużej i już nie tak

niewinnie jak poprzednio, i tym razem odwzajemniła jego pocałunek i na kilka chwil zupełnie się zapomniała, tak dalece, że nie myślała o Denisie, Robercie, Gibraltarze ani swoim dotychczasowym życiu.

Kiedy parę minut później oderwali się od siebie, dookoła wszystko było takie jak przedtem, pusta plaża, ostre wiosenne słońce i lodowaty wiatr.

Pytanie brzmiało, czy w nich i w ich życiu coś się zmieniło. Tylko jeśli na to pozwolimy, pomyślała Rosanna.

- Moje przeprosiny były najwyraźniej niewiele warte - powiedział Marc. - Nie będę więc nawet próbował cię przekonać, że jest mi przykro. Zresztą musiałbym skłamać.

240

241

- Za co miałbyś przeproszać? - zapytała Rosanna. - Chciałam tego tak samo jak ty. Ale oczywiście... mogą pojawić się problemy, jeśli... posuniemy się dalej.

- Taaak - powiedział niezdecydowanie.

Stali naprzeciwko siebie. Rosannę przytłaczała świadomość, że to ona ma więcej do stracenia. Marc był wolny. Ona nie.

- Zimno mi - powiedziała.

Uwaga zabrzmiała w miarę naturalnie i była zgodna z prawdą.

- Możemy wrócić do samochodu? I pojechać dokądś napić się gorącej kawy?

Nie zdołała powstrzymać się od śmiechu, chociaż miała wrażenie, że pobrzmiwa w nim bezsilność.

W drodze powrotnej wziął ją za rękę, a ona nie protestowała. Po co? Między nimi wydarzyło się coś więcej niż tylko ten gest. Ich pocałunek pozostanie faktem, nawet jeśli teraz się od niego odsunie.

Przeszli o wiele dalej, niż jej się zdawało, i trwało dość długo, zanim dotarli do niewielkiej zatoczki na skraju drogi, gdzie stał samochód. Rosanna opadła z ulgą na siedzenie. Marc zapalił silnik i od razu włączył ogrzewanie.

- Chwilę to potrwa. Ale niedługo powinno zrobić się cieplej... - Nadal nie zbierał się do odjazdu.

- Co się dzieje? - spytała Rosanna. Zawahał się.

- Myślę, że to ty. To ty stanowisz powód, dla którego chciałbym odnaleźć Elaine i stanąć z nią twarzą w twarz. Wiem, że nie mam jej na sumieniu, ale wiele bym dał, żebyś i ty nie miała co do tego cienia wątpliwości.

- Nie mam najmniejszych wątpliwości - odparła Rosanna. - Pozbyłam się ich już na początku, kiedy na poważnie zajęłam się tą sprawą.

Skinał głową, zawrócił i wyjechał na drogę. Chciałaby go przekonać, ile znaczyło dla niej to wyznanie, ale wiedziała, że jej zapewnienia pozostałyby dla niego tylko tym, czym w istocie by były - deklaracjami, których prawdziwości nie mógł stwierdzić.

Nie miało to żadnego znaczenia dla ich przyszłości, gdyż nie było przed nimi wspólnej przyszłości - nie wolno im było jej mieć. Jakie znaczenie będzie miało dla niego, co myśli o nim Rosanna, kiedy znów znajdzie się ze swoją rodziną w Gibraltarze? A czyjej będzie przeszkadzać, że Marc w nią wątpi, gdy powróci do swoich londyńskich obowiązków, aby już nigdy więcej jej nie spotkać?

To było nieistotne. Nie miało znaczenia, czy uda im się odnaleźć Elaine czy nie.

- Musimy ją koniecznie znaleźć - powiedziała wbrew swoim przemyśleniom, kiedy sunęli zalaną słońcem drogą.

Marc spojrzał na nią.

- Rozwiązalibyśmy w ten sposób jeden problem.

Oboje wiedzieli, że pozostanie wystarczająco dużo innych.

- Telefon do ciebie - powiedziała Sally, wsuwając głowę do pokoju Angeli; pokoju, który do niedawna był pokojem Angeli i Lindy. Język jej się plątał.

Angela, która leżała na łóżku, wsłuchując się w głosy swoich wspomnień, zdające się jeszcze wypełniać pokój, który dzieliła z siostrą, kiedy ta jeszcze żyła, podniosła głowę.

- Kto dzwoni?

- Nie dosłyszałam nazwiska - mruknęła Sally. - Takie jakieś dziwne. Prosi cię do telefonu.

Angela podniosła się ociężale. Czowała się chora i rozbita wewnątrz. Wczoraj spędziła długie godziny z Dawn na policji, patrząc, jak dziewczyna przegląda akta przestępców, i czekając, aż pomoże stworzyć portret pamięciowy. Dawn naprawdę się starała, ale powtarzała, że prawie nic nie pamięta.

- Widziałam go zaledwie przez chwilę. Nie przyjrzałam mu się uważnie. Patrzyłam raczej na Lindę. Minęło już tyle czasu...

- Proszę się nie spieszyć - powtarzał Fielder. - Bywa, że potrzeba czasu, żeby coś sobie przypomnieć. Nikt pani nie pogania!

242

243

Dawn nie rozpoznała nikogo w aktach, przy pięciu czy sześciu twarzach się zawahała.

- To mógłby być on - powiedziała, a trzy zdjęcia dalej ktoś inny wydał jej się bardziej podobny. - Nie, to ten. Chociaż z drugiej strony zapamiętałabym przecież takie odstające uszy. A może miał na głowie czapkę?

W końcu narysowano portret pamięciowy, ale ponieważ Dawn było trudno podać jakiegokolwiek szczegóły, Angela nie wierzyła w wartość szkicu. Jej samej ta twarz absolutnie nic nie mówiła.

- Nie. Nikogo takiego nie znam. Nigdy nie widziałam Lindy w jego towarzystwie. Ale muszę przyznać, że nie widziałam jej z żadnym mężczyzną. Ten nowy chłopak stanowił najwyraźniej skrzętnie ukrywaną tajemnicę.

Kiedy obie młode kobiety opuszczały posterunek, inspektor Fielder był mimo wszystko zadowolony.

- Teraz mamy jakiś punkt zaczepienia - rzekł. - Lepšie to niż nic.

- Nie mogłam sobie prawie nic przypomnieć - powiedziała Dawn sfrustrowana.

- To normalne - odparł. - Przecież widziała go pani zaledwie przez chwilę i nie było konieczności, żeby zapamiętywać jego wygląd. Ale teraz pani podświadomość otrzymała impuls i być może gdzieś w zakamarkach pamięci odnajdzie się jeszcze jakieś wspomnienie. Nieraz byłem świadkiem czegoś takiego.

Angela nie była przekonana. Mimo wszystko entuzjastycznie podziękowała Dawn.

- To bardzo miło z twojej strony, że poświęciłaś tyle czasu. Wiesz, jeżeli cokolwiek sobie przypomnisz, jakikolwiek drobiazg, zadzwoń do mnie. A najlepiej od razu do inspektora Fieldera.

Kiedy podchodziła do telefonu, przyszła jej do głowy ta scena. Czyżby to Dawn?

Może coś ją oświeciło?

Rzeczywiście dzwoniła Dawn. Z podekscytowania mówiła nienaturalnie wysokim tonem.

- Angela? To ty?

- Tak. Co się stało?

244

- Prawie w tym samym miejscu co ostatnio - wyrzuciła z siebie Dawn, siedząc z Angielą naprzeciwko inspektora Fieldera. Mimo że była niedziela, Fielder przyjechał do swojego biura w Scotland Yardzie. W kąciakach ust miał zaschnięte resztki sosu pomidorowego i Angela domyśliła się, że u Fielderów na obiad było spaghetti.

- Tuż obok sklepu. Siedział na placu, na skraju fontanny. Gdyby był większy ruch, prawdopodobnie wcale bym go nie zauważyła. Ale dzisiaj sklep jest zamknięty i w okolicy kręci się niewiele osób. Głównie tacy jak ja, którzy w niedzielę nudzą się śmiertelnie i włączają się bez celu po mieście.

- Siedział na skraju fontanny? - zapytał Fielder. - Czy to możliwe, że jeszcze tam...?

Dawn potrząsnęła głową.

- Wstał akurat w chwili, kiedy przechodziłam. Widziałam, jak znika w jednej z uliczek.

- Rozpoznał panią? Czy to dlatego...?

- Nie sądzę. Nie odniosłam takiego wrażenia. Nie patrzył w moją stronę. Po prostu wygrzewał się przez kilka minut na słońcu i poszedł dalej. Tak to w każdym razie wyglądało.

Fielder zaproponował kobietom papierosa, a kiedy odmówiły, wyjął jednego z paczki

i zapalił.

- Panno Sparks, wczoraj nie miała pani pewności co do niektórych twarzy z naszej kartoteki. Czy zechciałyby pani jeszcze raz spojrzeć na zdjęcia? Szansa, że kogoś pani rozpozna, znacznie wzrosła.

Dawn zgodziła się z zapalem.

- Jeśli jest na zdjęciu, poznam go. Tym razem dobrze go sobie obejrzałam. Mój Boże, on na pewno mieszka gdzieś w pobliżu! Kto wie, jak często go spotykałam w tym miesiącu, nie zwracając na niego najmniejszej uwagi

245

Kwadrans później rozpoznała mężczyznę na zdjęciu.

- To on - powiedziała zdecydowanie, wskazując na fizjonomię szatyna, którego żadna z zebranych osób nie chciałyby spotkać w ciemnej uliczce. - Na sto procent! To on!

- Ronald Malikowski - powiedział Fielder powoli.

Angela z odrazą przyglądała się twarzy byłego chłopaka swojej zmarłej siostry. Jak, na litość boską, Linda mogła się z kimś takim zadawać? Jego przestępcza natura tak wyraźnie rzucała się w oczy, że mało kto mógł się łudzić, że uda mu się wyjść cało ze znajomości z tym typem. A co dopiero, jeśli w grę wchodził romans.

- Mój Boże - powiedziała mimowolnie.

- Tak, niezłe z niego ziółko - potwierdził Fielder. - Wielokrotnie karany. Narkotyki, sutenerstwo, szantaż... Wplątany był w całą masę ciemnych interesów. Za każdym razem trafiał na łagodnych sędziów... niestety! Moim zdaniem gość powinien trafić za kratki, i to na długo!

- Czy miał pan z nim do czynienia? - zapytała Angela.

- Nieraz - mruknął Fielder - i byłbym szczęśliwy, gdybym mógł mu się wreszcie dobrać do skóry.

- Sutenerstwo! - powtórzyła Angela. - To pasowałoby do przypadku Jane French!

Przecież pracowała jako prostytutka!

Fielder podrapał się w głowę.

- Zgadza się, ale mimo wszystko... - zawahał się. Obie kobiety spojrzały na niego wyczekująco.

- Malikowski to kawał drania - powiedział Fielder. - Absolutnie odrażający typ, nie stroni od przemocy. To prawda. Ale na ile jestem w stanie to ocenić, a mam trochę doświadczenia, nie jest psychopata. Te wielogodzinne tortury, którym poddano ofiary, tortury pozbawione najwyraźniej jakiegokolwiek celu, są nie do pogodzenia z moją wiedzą na temat Malikowskiego. Mógłbym przysiąc, że nie posunie się do morderstwa.

- Zatem nie sądzi pan, że to on...? - zapytała rozczarowana Dawn. Fielder uśmiechnął się, próbując jej dodać otuchy.

- Dowiemy się, kto to zrobił - obiecał. - Naprawdę bardzo nam pani pomogła, panno Sparks. Teraz mamy konkretny ślad. Jeśli na wet to nie Malikowski jest winien morderstwa, może chodzić o kogoś z jego otoczenia. Prędzej czy później dorwiemy tego typa!

O wpół do piątej Marina wróciła z wycieczki rowerowej. Była z siebie bardzo zadowolona. Wyruszyła około jedenastej, wcześniej zjadła śniadanie, wykąpała się,

posprzątała i uporządkowała to i owo w domu. Wreszcie zebrała się na odwagę i jeszcze raz poszła do garażu, ciekawa, czy ponownie ogarnie ją to osobliwe uczucie, które naszło ją wczesnym rankiem. Tym razem nie odniosła jednak wrażenia, że ktoś ją obserwuje, i w ten sposób ostatecznie zamknęła temat owego dziwnego przeżycia, które jak sobie próbowała wmówić, nie miało żadnego znaczenia.

Z osiedla, na którym mieszkała, łatwo można było wyjechać na tereny podmiejskie. Tak jak w innych dużych miastach, granica pomiędzy blokami, tłumem ludzi, ruchem ulicznym z jednej strony, a łąkami, lasami i małymi wioskami z drugiej była dość niespodziewana. Już wkrótce Marina znalazła się na wąskiej szosie biegnącej wzdłuż kanału, przy którego brzegach po obu stronach ciągnęły się porośnięte trawą wały. Rower toczył się gładko, co jakiś czas musiała pokonywać nieznaczne wzniesienia, z rzadka mijaly ją samochody. Spotkała natomiast masę innych rowerzystów. Tak jak się obawiała, były to głównie rodziny. Albo pary. Nie zauważyła ani jednej kobiety, która samotnie przemierzałaby okolicę. Dziwne, pomyślała. Media donoszą, że żyjemy w społeczeństwie osób samotnych - skoncentrowanych na karierze, odnoszących sukcesy zawodowe kobiety i mężczyźni między trzydziestym a pięćdziesiątym rokiem życia. Ale jeśli w taki dzień jak ten wyszło się z domu, na każdym kroku widziało się szczęśliwe rodziny z co najmniej trójką dzieci. Czyżbym tylko ja była taka niemądra, żeby tędy jechać? - zapytywała się w duchu. A może inne samotne osoby po prostu się na

246

247

coś takiego nie narażają? Zostają w domu albo wybierają miejsca, w których są bezpieczne od widoku szczęśliwych rodzin i par?

Po południu zjadła w wiejskiej gospodzie późny obiad, chociaż nie cierpiała siedzieć sama w restauracji. Była jednak głodna, a poza tym musiała skorzystać z toalety. Kiedy ruszała w drogę powrotną, słońce stało już nisko i powietrze znacznie się ochłodziło. Musiała mocno naciskać pedały, wiatr targał jej włosy. Jak przyjemnie być cały dzień w ruchu. A jeszcze przyjemniej byłoby usiąść w domu we dwójkę przy kominku z lampką wina i rozkoszować się wspólnym wieczorem.

Odstawiła rower do garażu i idąc w stronę domu, poczuła lekki ból w udach. Jutro będę miała zakwasy, pomyślała. I dobrze. Będą mi one co najmniej przez tydzień przypominać o dzisiejszym sportowym wyczynie.

Otworzyła drzwi i weszła do małego przedpokoju, z którego zaraz po prawej stronie prowadziły na górę kręcone schody.

- Wróciłam! - zawołała, chociaż nikt nie mógł jej usłyszeć. Zatem tylko dla siebie napali w kominku i otworzy butelkę wina. Wiedziała, że alkohol przejął w jej życiu funkcję pocieszyciela, ale chwilowo nie widziała możliwości rozwiązania tego problemu.

Weszła do kuchni położonej na tyłach domu. Było to staromodne wnętrze z polakierowanymi na biało meblami, w małym oknie wisiały firanki. Znajdowały się tu także drzwi prowadzące do ogródka, ale schodki wiodące na zewnątrz były tak chwiejne, że używanie ich groziło wypadkiem. Dlatego Marina od jakiegoś czasu wychodziła do ogródka przez sąsiednią jadalnię. Z przyzwyczajenia sprawdziła jednak drzwi kuchenne i z przestachem stwierdziła, że są otwarte.

- Cholera - zaklęła cicho. - Znowu! - Przekręciła klucz w zamku i zasunęła zasuwkę. Ciągłe zapominanie zamknąć te drzwi. Po śniadaniu zawsze wyrzucała na zdezelowane schody okruszki chleba dla pary gołębi, która od lat zamieszkiwała ogródek i z niecierpliwością wyczekiwała posiłku. Nieraz już zdarzyło jej się wrócić z pracy i stwierdzić, że podczas jej nieobecności do domu bez przeszkód mógł wejść włamywacz. Na szczęście jeszcze nigdy nic takiego się nie stało. Okolica nie była zbyt zamożna, a jej dom zdecydowanie nie należał do tych, których wygląd zdradzałby pokaźny stan konta mieszkańców. Fasadę przydałoby się odmalować, w oczy rzucał się również z lekka zaniedbany ogródek. Marina przypuszczała, że stan jej domu sugeruje, iż mieszka tu rodzina, która ledwo wiąże koniec z końcem, i to dawało jej pewne poczucie bezpieczeństwa. Wyjęła z lodówki butelkę białego wina i naląła sobie pełen kieliszek. Potem przeszła do salonu i włączyła telewizor, żeby przerwać nieznośną ciszę. Właśnie nadawano reportaż o sierotach w Indiach. Przez kilka sekund wpatrywała się w ekran. Dziecko...

Przełączyła na inny kanał, na którym wyświetlano jakiś film fabularny sprzed lat, po czym odwróciła się do kominka.

Przykłęła, żeby wyjąć z kosza kilka szczap, kiedy nagle coś usłyszała.

Z góry dobiegło do jej uszu skrzypnięcie drewnianej podłogi. Gdyby miała powiedzieć, skąd dokładnie dochodzi dźwięk, postawiłaby na swój gabinet.

Wyprostowała się i zaczęła nasłuchiwać. Wokół panowała cisza.

Pewnie się przesłyszała. Już miała wrócić do swojego zajęcia, kiedy znowu usłyszała ten sam dźwięk. Mieszkała wystarczająco długo w tym domu, żeby mieć pewność, że to deski podłogowe, a teraz była też przekonana, że dźwięk dobiega z jej gabinetu.

Stała na równe nogi.

Tylko bez paniki, próbowała się uspokoić, w starych domach czasem słychać trzaski.

Nie zdążyła jeszcze włożyć kapci i w samych skarpetkach bezgłośnie wyszła do przedpokoju. Tuż przy drzwiach do salonu pięły się schody na górę.

- Jest tu kto? - Położyła dłoń na klamce drzwi wejściowych. W każdej chwili mogła wybiec na zewnątrz i zawołać kogoś na pomoc. Było tu wystarczająco dużo sąsiadów. Któryś z pewnością ją usłyszy.

Cisza. Marina powiedziała sobie, że zachowuje się jak histeryczka. Istnieją tysiące powodów, dla których deski podłogowe skrzypią.

248

249

A właściwie to jakie? - zapytała się w duchu, i nie przyszło jej nic przekonującego do głowy.

Idź na górę i przekonaj się, inaczej będziesz przez cały wieczór siedzieć jak na szpilkach!

Przez chwilę zastanawiała się, czyby nie zajrzeć do sąsiadki i nie poprosić jej, żeby poszła razem z nią na piętro, ale wydało jej się to żałosne. Prawdopodobnie nic nie znajdą, a potem w całej okolicy będzie się mówić o tym, jaka jest przewrażliwiona i że prześladują ją staropanieńskie lęki.

„Za długo mieszka sama. To jej nie służy. Dziwaczeje. Cóż, nie znajdzie już żadnego mężczyzny!...”

Zacisnęła zęby, włączyła światło w korytarzu i zdecydowanie weszła na górę. Przypomniała sobie to niejasne przeczucie, które ogarnęło ją dzisiejszego ranka w garażu, i uświadomiła sobie, że cały dzień spędziła poza domem, a drzwi kuchenne były otwarte. Każdy mógł bez trudności wejść do środka. Ale po co? Włamywacze wchodzili, żeby coś ukraść, a nie żeby siedzieć w ukryciu i czyhać na gospodynię. A może? Czyżby na górze ukrył się jakiś bandzior, którego nie interesował komputer, biżuteria ani pieniądze, tylko ona...

Bzdura, od tak dawna nie dotykał cię żaden mężczyzna, że zaczynasz snuć fantazje związane z gwałtem, skarciła się surowo, ale wciąż miała serce w gardle. Znalazłszy się na górze, zawsze mogła dobiec do okna, otworzyć je i zawołać w wieczorną ciszę na pomoc.

Kroczyła więc dalej.

Korytarz na piętrze był pusty i pogrążony w ciszy. Odchodziło od niego czworo drzwi - do łazienki, sypialni, dawnego biura Kena, w którym Marina urządziła pokój gościnny, oraz do jej własnego gabinetu. Drzwi do tego pokoju znajdowały się tuż przy schodach i były, w odróżnieniu od pozostałych, lekko uchylone.

Czyżby nie zamknęła ich dzisiaj rano? Czy w ogóle wchodziła do gabinetu? Nie mogła sobie przypomnieć i nie było sensu teraz się nad tym zastanawiać. Drzwi były niedomknięte i mogło to być albo jej dziełem, albo miało związek z czym innym. Zamiast stać na skraju schodów, drżąc ze strachu, zaraz wejdzie do środka i się tego dowie.

250

Wzięła głęboki oddech, wyprostowała się i zdecydowanym krokiem przemaszerowała przez przedpokój, pchnęła drzwi do gabinetu i wyszukawszy na ścianie kontakt, natychmiast włączyła światło. Wisząca pod sufitem lampa zalała jasnym światłem całe wnętrze.

Mimo trawiącego ją strachu Marina była przekonana, że nikogo nie zobaczy.

Wyobrazenie, że ktoś mógłby się włóczyć po jej domu, wydało jej się po prostu zbyt absurdalne.

Ku swojemu przerażeniu zobaczyła na środku pokoju mężczyznę. Stał dokładnie pod lampą. Oślepiony jaskrawym światłem, mrugał oczyma i był równie skonsternowany jak ona.

Sekundę, może dwie stali naprzeciwko siebie. Marina uświadomiła sobie, że mężczyzna jest bardzo wysoki i bardzo młody, i prawdopodobnie silniejszy od niej. Otworzyła usta, chcąc krzyknąć na pomoc, ale właśnie w tej chwili młody człowiek postąpił krok w jej stronę i powiedział:

- Nie! Proszę nie krzyknąć! - w oczach miał strach. Głos mu drżał.

- Co, do cholery... - odezwała się Marina zachrypniętym z przerażenia głosem.

Zaszokował ją fakt, że podczas jej nieobecności ktoś faktycznie wkradł się do domu. Coś takiego zdarzało się w książkach. W filmach. Ale nie w życiu.

Bzdura. Dlaczego nie? Całkiem niedawno przeczytała w gazecie, że w Wielkiej Brytanii co dwie minuty dokonuje się włamania. Podobnie było z chorobami, wypadkami i innymi ciosami od losu - zwykło się sądzić, że zdarzają się one tylko innym ludziom.

- Ja... drzwi były otwarte... - powiedział pospiesznie chłopak.

Stojącą naprzeciwko Mariny osobę można było bowiem określić tylko tym mianem. Teraz, kiedy Marina to zauważyła, zaczęła się powoli uspokajać.

- Drzwi były otwarte? Dlatego wszedłeś do kompletnie obcego domu? Nie do wiary!

- Było mi zimno.

- Czy to ty byłeś dziś rano w garażu? - zapytała Marina. Chłopak skinął głową.

251

- Tak. Ale zmarzłem, więc obszedłem budynek, żeby zobaczyć, czy da się wejść do środka. No i drzwi kuchenne...

- Uciekłeś z domu - stwierdziła Marina - i musiałeś ukryć się akurat u mnie.

Posłuchaj, chcę wiedzieć, jak...

Przerwał jej.

- Czy pani nazywa się Marina Dowling?

- Tak, ale...

Ponownie jej przerwał. Wbił w nią wzrok i powiedział:

- Nazywam się Robert Hamilton. Jestem pani synem.

7

Kiedy wracali z Markiem do Londynu, zadzwonił telefon Rosanny. Było późne popołudnie i zapadł już zmierzch. Do tej pory jeździli po okolicy Langbury, co jakiś czas się zatrzymywali, rozglądali po wsiach, jak gdyby istniała jakakolwiek szansa, że uda im się przypadkiem spotkać Elaine Dawson. Usiłowali pogodzić się z tym, że minęli się z poszukiwaną o włos, oraz że będą musieli się poddać i żyć dalej z tajemnicą, która miała na zawsze pozostać niewyjaśniona. Ponadto trzeba było jakoś poradzić sobie z uczuciami, które się w nich narodziły i którym dali jednoznaczny wyraz na plaży. Ani razu nie wspomnieli tego, co się między nimi wydarzyło.

Rosanna obawiała się tej rozmowy. Z czołem opartym o szybę obserwowała przez okno przesuwany się przed jej oczami jeszcze zimowy krajobraz. Jednego była pewna - nie wolno jej więcej spotkać się z Markiem Reeve'em. Musi jak najszybciej wrócić do Gibraltaru. Tam było jej miejsce, tam była potrzebna. Losy Elaine należały do przeszłości. To tajemnica, której nie sposób wyjaśnić i której rozwikłanie nie należało do obowiązków Rosanny. Denis i Robert byli natomiast częścią teraźniejszości, jej teraźniejszości.

A co z twoją przyszłością? zapytywała się Rosanna. Nie potrafiła sobie na to pytanie odpowiedzieć. Było ono zbyt niebezpieczne.

Właśnie opuścili Northumberlandię i zmierzali w kierunku Yorku, kiedy zadzwonił telefon. Gwałtownym ruchem Rosanna wyjęła komórkę z torebki. Może to Denis, który pragnie ją powiadomić, że Robert wrócił cały i zdrowy do domu.

- Tak? - krzyknęła do słuchawki.

- Pani Hamilton, na miłość boską, gdzie się pani podziewa? Gdzie pani jest?

Nie od razu rozpoznała głos rozmówcy, wiedziała jednak, że to nie Denis.

- Kto mówi?

- To ja! Bernt! Bernt Cadwick!

- A, to pan, panie Cadwick. Co się stało? - kątem oka spostrzegła, że Marc odwrócił głowę w jej stronę.

Z podekscytowania staruszek ledwo był w stanie mówić.

- Mam ją! Elaine Dawson! Mam ją! Proszę jak najszybciej przyjechać! Niech się pani pospieszy!

Twarz pana Cadwicka nabrała niezdrowego, ciemnoczerwonego odcienia. Ciśnienie zapewne niebezpiecznie mu podskoczyło. Kiedy po ponad godzinie Marc i Rosanna wreszcie do niego dotarli, stał w drzwiach swojego domu, przestępując z nogi na nogę. Marc jechał wprawdzie szybciej, niż nakazywały znaki, ale przejeżdżali przez liczne wioski, gdzie musiał choć na chwilę zdjąć nogę z gazu, a raz zatrzymali się na stacji, ponieważ w przeciwnym razie dotoczyliby się do Langbury na ostatniej kropli benzyny.

- Nareszcie! - zawołał pan Cadwick podekscytowany. - Nareszcie! Mój Boże, gdzie się państwo podziewali?

- Byliśmy już prawie w domu - powiedziała Rosanna szorstko. Nie ufała Cadwickowi. Facet był według niej zdolny przywołać ich z powrotem na to odludzie tylko po to, żeby następnie im wyjaśnić, że Elaine niestety znowu zniknęła.

- No, panie Cadwick, gdzie ona jest? Gdzie jest Elaine Dawson? Pogroził jej palcem.

252

253

- Naprawdę byłem na panią już troszkę zły, pani Hamilton! To bardzo nieładnie, że dziś rano tak po prostu się państwo wymknęli. Bez słowa pożegnania. Tak się nie robi.

-Panie Cadwick, jest niedziela i nie chcieliśmy pana z samego rana budzić - powiedział Marc. - Zatem panna Dawson wróciła? Cadwick ściszył głos i wskazał palcem okna na piętrze.

- Na górze. Jest w apartamencie. Zamknąłem ją tam. Rosanna wzdrygnęła się.

- Zamknął ją pan? Jak mógł pan ją tak po prostu uwięzić?!

- A co, myśli pani, że dobrowolnie by zaczekała, aż państwo wreszcie przyjadą? - zawołał Cadwick. - Chciała tylko odebrać pieniądze i znowu dać nogę.

- Jakie pieniądze? - zapytał Marc.

- Kaucję. Złożyła kaucję wysokości dwóch miesięcznych opłat. Chciała ją odebrać. Pewnie potrzebuje pieniędzy, żeby opłacić nowe mieszkanie. Ha, bardzo sprytnie ją podszedłem. Powiedziałem, że na górze zostały jej rzeczy, i poprosiłem, żeby je wzięła. A gdy tylko weszła do środka, szybko zamknąłem drzwi od zewnątrz. I zadzwoniłem do pani!

- To może kosztować pana oskarżenie o pozbawienie wolności i molestowanie - powiedział Marc.

Cadwick uśmiechnął się. Był purpurowy na twarzy z emocji. Zanosilo się na to, że to będzie najlepszy dzień jego życia.

- Nie zgłosi się na policję. Idę o zakład. Nie ona. Za bardzo się boi.

- Czy możemy wejść teraz na górę? - zapytała Rosanna. - Chcielibyśmy tylko poznać tę kobietę, a potem każde może iść w swoją stronę.

Cadwick zawahał się.

- Tamten mężczyzna też był już na górze - wymamrotał. Rosanna i Marc spojrzeli po sobie.

- Jaki mężczyzna?

- Jak to jaki, gość z prasy.

- Z prasy? Zawiadomił pan prasę?! - zawołała Rosanna. Cadwick spojrział na nią zirytowany.

254

- Oczywiście, że nie. Jedynym przedstawicielem mediów, z jakim rozmawiałem, był pan Simon z „Covera”, i to od niego otrzymałem pani numer telefonu. Nie mam pojęcia, skąd prasa dowiedziała się o całej sprawie. W każdym razie nagle ktoś się u mnie pojawił.

- Tony Harper z „Daily Mirror” - odezwał się głos za ich plecami. Ze słabo oświetlonego przedpokoju wynurzył się mężczyzna. Rosanna nie była w stanie powiedzieć, czy stał tam przez cały czas. Podszedł do pana Cadwicka. - Otrzymaliśmy dzisiaj wskazówkę, że przebywa tu kobieta, która od lat uchodzi za zaginioną.

- Jeszcze tego brakowało! - powiedziała Rosanna oburzona.

- Kto udzielił panu tej informacji? - zapytał ostro Marc Reeve. Harper wzruszył ramionami.

- Lee Pearce z „Private Talk”. Podsunęła to mojemu szefowi. Nie mam pojęcia, jak się o tym dowiedziała. W każdym razie miałem sprawdzić, czy ta kobieta na górze - głową wskazał na sufit - czy ta kobieta to poszukiwana Elaine Dawson. Dlatego proponuję, żebyśmy udali się tam teraz razem, żeby ją zidentyfikować. I zaraz znikam. Muszę jeszcze poszukać noclegu.

- Chyba nie sądzi pan, że pójdziemy z panem na górę i sprzedamy siedzącą tam kobietę panu i pańskiej gazecie - powiedział Marc. - Kimkolwiek ona jest i jakkolwiek skończy się ta historia, to nie pański interes!

Tony uśmiechnął się i zapukał palcami w przewieszoną przez ramię torbę.

- Mam jej zdjęcie. Co oznacza, że tak czy inaczej dowiemy się, kim jest. Ale mogliby państwo ułatwić mi pracę, udzielając potrzebnych informacji.

- Proszę wybić to sobie z głowy! - powiedział Marc z wściekłością. - Niech się pan stąd czym prędzej wynosi! W przeciwnym razie będziemy tu stać całą noc, bo na pewno nie wejść w pańskim towarzystwie na górę!

Harper wzruszył ramionami. Nie sprawiał wrażenia urażonego.

- Szef mi wspominał, że próbują państwo coś zatuszować. Mnie to nie przeszkadza, panie Reeve. Im bardziej podejrzane są pańskie

255

zamiary, tym lepiej dla mojej gazety. Jak już wspominałem, mam w aparacie kilka niezłych zdjęć, a tego co nas interesuje, dowiemy się i bez pańskiej pomocy. - Złożył ukłon panu Cadwickowi. - Do widzenia, panie Cadwick. Muszę się rozejrzeć za noclegiem. Może później jeszcze do pana wpadnę! Cadwick z zapalem skinął głową.

- Proszę przychodzić, kiedy tylko będzie pan miał ochotę. Gdy Tony Harper zniknął w ciemnościach, Rosanna zwróciła się do Cadwicka.

- To pan zadzwonił do Lee Pearce! - zawołała. - Proszę się przyznać!

Cadwick potrząsnął głową. Był do głębi dotknięty.

- Przysięgam, że nie. Do nikogo innego nie dzwoniłem, tylko do pani! Ten facet zjawił się dzisiaj po południu w drzwiach mojego domu i zasypał mnie całą masą pytań. Zaprosiłem go do środka, a kiedy siedzieliśmy w salonie, przyszła panna

Dawson. Zamknąłem ją na górze i... - zamilkł zażenowany.

-...a wówczas pan Harper chciał koniecznie wejść na górę i zrobić jej zdjęcie - dokończył Marc. - A pan nie miał nic pilniejszego do roboty, niż pomóc mu w spełnieniu tego życzenia.

- A jak ona mnie potraktowała? - zaczął bronić się Cadwick. - Jak mogła tak uciec bez słowa, zostawiając mnie tu samego? Atyle dla niej zrobiłem! To bynajmniej nie było miłe! Jestem bardzo rozgoryczony i...

- Panie Cadwick, czy możemy teraz wejść na górę i zobaczyć się z panną Dawson? - przerwała chłodno Rosanna.

Kiedy wchodzili za Cadwickiem po schodach, szepnęła:

- Jak to się mogło stać? Marc wzruszył ramionami.

- Nie mam pojęcia. Nick Simon nie wchodzi w grę?

- Przecież nie włączałby z własnej woli do sprawy konkurencji. Szybciej przyjechałby tu osobiście, niż wysłał kogoś z „Daily Mirror”!

- Masz rację. Ale oprócz nas jest jedyną osobą, która o tym wiedziała. Chociaż nie... powiedziałaś o tym jeszcze swojemu bratu...

- Cedric? On na pewno nie zwróciłby się z tą informacją do prasy. Wykluczone.

- Wyjaśnimy to później. Teraz mamy co innego do roboty. Dotarli na górę i stanęli przed wejściem do apartamentu. Pan

Cadwick otworzył drzwi.

- Proszę bardzo - powiedział cicho - niech państwo wejdą. Znają już państwo układ mieszkania.

Rosanna i Marc przekroczyli próg i znaleźli się w ciemnym wnętrzu, z którego niespełna dwanaście godzin wcześniej wymknęli się na palcach. Rosanna spodziewała się, że już w progu powita ich rozjuszona młoda kobieta, Elaine albo ktoś inny, i zażąda od nich wyjaśnień. Ale w korytarzu było pusto, a w pokojach panowała absolutna cisza.

Mam nadzieję, że nie udało jej się wydostać przez okno, przeleciało przez głowę Rosannie. Byłoby to jednak dość karkołomne przedsięwzięcie i trudno było sobie coś takiego wyobrazić.

Weszła za Markiem do salonu. Pomieszczenie rozjaśniała jedynie stojąca w rogu salonu lampa, która rzucała słabe, rozproszone światło.

Na sofie siedziała kobieta. Miała na sobie grubą parkę, szalik i rękawiczki. Sprawiała wrażenie, jakby lada moment miała wyjść - co pewnie było zgodne z jej życzeniem.

Kiedy Marc i Rosanna weszli do środka, odwróciła się w ich stronę, nie odezwała się jednak ani słowem, nie ruszyła się z miejsca. Po prostu na nich patrzyła. W jej oczach nie było wściekłości. Ani złości, cienia gniewu czy przynajmniej zmieszania. Jej spojrzenie wyrażało rezygnację. Pogodzenie z losem. Mieli przed sobą skuloną i niepozorną istotę, której zależało tylko na jednym - na tym, żeby nie wzbudzać zainteresowania, przejść przez życie niezauważoną. Kobieta najwyraźniej bała się, ale jej strach osiągnął stadium, wktó-rym wypaliła się w niej woła walki. Już dawno temu lęk stał się nieodłączną częścią niej samej, tak jak ręce, nogi, usta czy nos. Zapadł głęboko w jej wnętrze i oplótł na podobieństwo pajęczyny.

Rosanna zauważyła coś jeszcze - to nie była Elaine Dawson.

- Muszę powiadomić twojego ojca - powiedziała Marina. - Na pewno umiera z niepokoju. Chyba to rozumiesz? Wzruszył ramionami.

- Nie wiem. Czy to konieczne? - zapytał niezadowolony. Marina wciąż jeszcze miała nogi jak z waty i trzęsły jej się ręce.

Gdyby okazało się, że w pokoju na górze ukrywa się prawdziwy włamywacz, nie wzbudziłoby to w niej większego przerażenia.

Jej syn. Robert. Chłopiec, którego widziała po raz ostatni, kiedy miał cztery tygodnie - rumiany, pulchny niemowlak z delikatnym meszkiem na główce. Niewinna istota, która nie chciała jej denerwować, ale która bez przerwy płakała, mało spała i prawie cały czas była głodna. Dziecko, które rozbudziło w niej gamę lęków i wywoływało wielogodzinne ataki hysterii.

Siedzieli w salonie. Robert napalił w kominku, Marina przygotowała w tym czasie trzy wielkie kanapki i zrobiła kakao.

Czy szesnastolatkom daje się do picia kakao? zastanawiała się, stojąc w kuchni i popijając białe wino, żeby uspokoić jakoś skołatane nerwy. Z trudem była w stanie utrzymać nóż w rozdygotanych dłoniach. A może powinnam zaproponować mu wino - myślała. Nie, żadnego alkoholu. Co piją młodzi ludzie? Pewnie colę. Ale nie mam w domu coli.

Kakao okazało się dobrym wyborem. Robert wypił kubek gorącego napoju i w mig pochłonął kanapki.

- Mój Boże - powiedziała, przyglądając mu się. - Dlaczego przez cały dzień nie zajrzałeś do lodówki? Chyba dawno nic nie jadłeś?

Potrząsnął głową.

- Od wczoraj. Ale nie chciałem ci kraść jedzenia.

Przecież jestem twoją matką, miała już na końcu języka, ale to zdanie wydało jej się czystą hipokryzją. Dlaczego Robert miałby ją traktować jak matkę? Sama nigdy nie poczuwała się do tej roli. W gruncie rzeczy byli parą obcych sobie osób, które siedziały razem w salonie i nie miały pojęcia, co dalej.

Patrzyła na niego z ukosa. Był bardzo podobny do Denisa, nawet niektóre jego gesty przypominały jej młodzieńczą miłość sprzed lat. Nie widziała natomiast żadnego podobieństwa do siebie. Był ładny. Wyrośnięty. Wyglądał na wysportowanego. A jednocześnie wydawał się bardzo wrażliwy. Nieśmiały.

- Jak mnie znalazłeś? - spytała.

Od wielu lat nie utrzymywała kontaktów z Denisem. Robert podniósł na nią wzrok.

- Kilka lat temu znalazłem twój adres u taty na biurku - wyjaśnił - i przepisałem go. Ot, tak sobie. A teraz wpadłem na pomysł, żeby do ciebie zajrzeć. Kto wie, pomyślałem, może będę miał szczęście i okaże się, że wciąż tam mieszka.

Jak przez mgłę przypomniała sobie, że powiadomiła Denisa o zmianie adresu, kiedy przeprowadziła się do tego domu. Musiało to być jakieś osiem lat temu. Wysłała mu lakoniczną wiadomość, że wyszła za mąż i mieszka pod poniżej podanym adresem. Później zastanawiała się, po co w ogóle go o tym informowała. Niczego od niego nie chciała. Kiedy Robert skończył trzy latka, Denis przysłał jej kilka zdjęć małego.

Odpisała, żeby więcej tego nie robił, że pragnie zamknąć ten rozdział swojego życia. Od tamtej pory Denis ani razu do niej nie napisał. Marina zdawała sobie sprawę, że uważają za najbardziej nieczułą kobietę na świecie, ale dla niej był to jedyny sposób poradzenia sobie ze świadomością, że ma syna, który nie może stać się częścią jej codziennego życia.

Osiem lat. Przez tyle lat Robert musiał przechowywać jej adres.

-I po prostu pojechałeś na lotnisko, kupiłeś bilet i przyleciałeś do Londynu? - zapytała.

Świadczyło to według niej o dużej samodzielności szesnastolatka.

Robert przytaknął, siląc się na obojętność, ale widać było, że odczuwa lekką dumę.

- Mniej więcej. Zarezerwowałem bilet przez Internet. Na lotnisku musiałem go tylko odebrać.

- A jak zapłaciłeś?

259

Wyraz pewności siebie zniknął z twarzy Roberta.

- Kartą kredytową taty. Ale wszystko mu oddam. Mam pieniądze na książeczkę oszczędnościowej.

- Ale karty użyłeś na lotnisku. Czy to znaczy, że zwiąłeś, zabierając ze sobą kartę kredytową ojca?

- Nie wziąłem ani grosza więcej. Naprawdę. Bałem się, że nie będą chcieli mi sprzedać biletu, kiedy się zorientują, że mam dopiero szesnaście lat, i dlatego... - nie dokończył zdania.

- Bardzo sprytnie - powiedziała Marina, ponieważ nic innego nie przyszło jej do głowy.

Robert, unikając jej wzroku, patrzył na ogień w kominku.

- Nie chcę wracać do ojca. Nie rozumiemy się.

- Opowiedz mi, co dokładnie między wami zaszło?

- Właściwie przez cały czas coś jest nie tak - powiedział Robert. - Ciągłe się na mnie wyżywa. Nic mu się we mnie nie podoba. Na nic mi nie pozwala. Najchętniej zamknąłby mnie w klatce. Teraz poszło o imprezę. Bał absolwentów. Wszyscy mieli przyjść. Tylko mnie ojciec zabronił. Bo jak twierdzi, wszyscy by się upili, a ja wsiadłbym z kimś do samochodu i rozbił się na najbliższym drzewie. Boże, przecież nie jestem głupi! - spojrzał wyzywająco na Marinę.

- I zamiast na imprezę pojechałeś na lotnisko - dokończyła.

- Nie mogłem tego dłużej wytrzymać. Na jesieni skończę siedemnaście lat! Jak długo jeszcze ma zamiar traktować mnie jak dziecko? Na domiar złego... - zająknął się.

- Co takiego? - zapytała Marina.

- Rosanna odeszła. Teraz już w ogóle nie da się z nim wytrzymać.

- Rosanna?

Robert nie ukrywał zdziwienia.

- Nie wiedziałaś, że tata się ożenił?

- Nie, nie pisał mi o tym. Nie utrzymujemy kontaktu.

- Pięć lat temu. Rosanna jest naprawdę fajna. Dużo bardziej otwarta niż ojciec, wyrozumialsza. Zwykle bierze moją stronę. Jest naprawdę w porządku.

- A dlaczego odeszła?

- Kiedyś pracowała jako dziennikarka. Dostała zlecenie w Angli i i.

- W takim razie wróci!

Robert przeniósł wzrok na Marinę.

- Nie sędzę.

- Dlaczego tak ci się wydaje?

- Nie układa się między nimi. Ciągłe się kłóca. Rosanna jest nieszczęśliwa w Gibraltarze. Jest nieszczęśliwa z ojcem.

- Może tylko tak ci się zdaje. Może Rosanna i twój ojciec widzą to inaczej. Poza tym w związkach zdarzają się trudniejsze okresy, kiedy partnerzy nie mogą się porozumieć, ale potem wszystko wraca do normy.

Robert potrząsnął głową.

- Nie. W ich przypadku jest inaczej. - Po chwili niespodziewanie zapytał: - Masz męża?

- Jestem rozwiedziona.

- Sama widzisz. Czasami nie da się uratować związku - powiedział Robert.

- To zupełnie inna historia. Posłuchaj, tak jak powiedziałam, muszę powiadomić twojego ojca. Ma prawo wiedzieć, gdzie jesteś.

- Ale...

- Jeśli tego nie zrobię, popełnię przestępstwo.

- Przecież jesteś moją matką.

- Ale on ma prawo do opieki. Poza tym uważam, że nie zasłużył sobie na to, żeby go narażać na taki stres. To nie w porządku. Niezależnie od tego, że masz z nim na pieńku.

Robert skrzywił się.

- Nie chcę do niego wracać.

- Chodzisz tam przecież do szkoły. Masz tam przyjaciół, całe swoje życie... nie możesz ot, tak sobie rzucić tego wszystkiego. I to tylko dlatego, że twój ojciec uważa, że jesteś za młody na imprezy, na których pije się alkohol! Nawiasem mówiąc, mnie też to się nie podoba. Alkohol w twoim wieku? Nie jestem pewna, czy u mnie miałbyś większe szanse, żeby coś podobnego przeforsować.

- Chodzi o... całokształt - powiedział mgliście Robert.

Marina domyślała się, co ma na myśli jej syn. Była z Denisem przez jakiś czas. Znała go. Wiedziała, że to dobry człowiek, ale dyplomacja nie należała do jego mocnych stron. Kiedy chciał postawić na swoim, potrafił być szorstki i obcesowy. Właśnie z tego powodu często się kłócili. Dla dojrzewającego chłopaka musiało to być jeszcze trudniejsze.

- Podaj mi, proszę, wasz numer telefonu - nie ustępowała Marina. - Muszę z nim porozmawiać. Mogę też zadzwonić do informacji, ale tak byłoby prościej.

- W porządku - odparł niechętnie.

Spojrzał jej prosto w oczy i nagle Marina to zauważyła. Oczy. Ma moje oczy, pomyślała.

Miała wrażenie, jakby patrzyła w swoje odbicie w lustrze. Niesamowite uczucie.

- Czy mogę tu zostać? - zapytał. Wystraszyła się.

- Na noc?
- Na zawsze...
- Robert, ja...
- Nie chcę wracać do ojca. Nie mam nikogo. Jesteś moją matką. Myślałem...
- Co?

- Myślałem, że ucieszysz się, że możesz mnie poznać.

- Przykro nam - powiedziała Rosanna do Bernta Cadwicka - ale ta kobieta nie jest Elaine Dawson, której szukamy.

Stali w korytarzu. Nikomu nie przyszło do głowy, żeby zamknąć drzwi, przez które wpadało do środka lodowate powietrze. Cadwick był wyraźnie rozczarowany.

Sensacja, na którą liczył, w ciągu kilku sekund okazała się mrzonką.

Na pewno nie jest rozczarowany bardziej ode mnie, pomyślała Rosanna.

262

Nagle dopadło ją zmęczenie i uczucie głębokiej frustracji. Dopiero teraz uświadomiła sobie, jak wielkie nadzieje pokładała w tej wyprawie. Kiedy się wydawało, że muszą przerwać poszukiwania, ponieważ minęli się z Elaine, było jej przykro, ale karmiła się jesz cze nadzieją, że to ona. I że może uda się ją znaleźć.

Teraz stało się jasne - podążali fałszywym tropem. Wskazówka, która pojawiła się po pięciu latach od zniknięcia Elaine - co samo w sobie graniczyło z cudem - okazała się mylna. To tylko kobieta, która przypadkowo nosiła to samo nazwisko i wykazywała dalekie podobieństwo do poszukiwanej. Znowu przyjdzie im odejść z niczym.

Zagadka już pewnie nigdy nie zostanie wyjaśniona.

- Ale - powiedział pan Cadwick, nie dając za wygraną, jakby swoim uporem mógł zmienić fakty - ta kobieta jest w najwyższym stopniu osobliwa!

- Owszem - potwierdziła Rosanna. Spłoszone spojrzenie, ten strach... niewątpliwie coś jest z nią nie w porządku.

- Ale to nie czyni z niej osoby, której szukamy - dodał Marc.

- Chciałem jak najlepiej - bąknął pan Cadwick.

- Jesteśmy panu naprawdę bardzo wdzięczni - powiedziała niechętnie Rosanna.

Stali w korytarzu, nie wiedząc, co ze sobą począć.

Dziś nie uda nam się już wrócić do Londynu, pomyślała Rosanna i zaraz przyszło jej nagle do głowy, że musi koniecznie zadzwonić do Denisa.

Usłyszeli ciężkie kroki i jak na komendę wszyscy się odwrócili. Kobieta o nazwisku Elaine Dawson wychodziła powoli z mieszkania.

- Mogę już iść? - zapytała.

Rosanna zastanawiała się, jak można być tak pokornym i uległym. Najpierw Cadwick zamknął ją na klucz w apartamencie. Następnie napuścił na nią dziennikarza i dwoje kompletne obcych ludzi, którzy ku jej konsternacji najwyraźniej spodziewali się zastać w środku kogoś innego. Rosanna nie byłaby ani trochę zdziwiona,

263

gdyby kobieta dała się ponieść złości, zwymyślała ich, żądając wyjaśnień i przeprosin. Mogłaby nawet zagrozić im policją. Ona natomiast jakby coraz bardziej kurczyła się, zapadała w sobie i zdawała się mieć w głowie tylko jedną myśl - jak stąd uciec. Sprawiała takie wrażenie, jakby najchętniej rozplynęła się w powietrzu. Jej spojrzenie zdawało się mówić: „Nie ma mnie! Zapomnijcie o mnie! Nigdy mnie

nie widzieliście. Nie istnieję!"

- Oczywiście, że może pani odejść - powiedziała Rosanna, wyręczając pana Cadwicka, który właściwie powinien udzielić odpowiedzi. Ten jednak milczał ze wzrokiem wbitym w podłogę. - Bardzo nam przykro. Padła pani ofiarą zbieżności nazwisk, lecz i tak to, co się tutaj stało, nie powinno mieć miejsca. Naprawdę bardzo panią przepraszam.

Kobieta wpatrywała się w Rosannę. W jej oczach czaił się strach.

- Ten mężczyzna zrobił mi zdjęcie - powiedziała cicho. - Czy znają go państwo?

Rosanna potrząsnęła głową.

- To dziennikarz - odparła. - Wiem, od kogo otrzymał informację, ale nie mam pojęcia, w którym miejscu nastąpił przeciek. Spróbuję się tego dowiedzieć, ale jak na razie nie mam żadnych punktów zaczepienia.

Kobieta spojrzała na nią przerażona.

- Dziennikarz? - spytała, z trudem łapiąc powietrze.

- Tak, z „Daily Mirror”. Ale...

- Po co mu moje zdjęcie? Co on chce zrobić?

Rosanna wyczuła w głosie swojej rozmówczyni narastającą panikę. Położyła dłoń na ramieniu nieznanym.

- Pewnie nic - powiedziała, próbując ją uspokoić. - Nie jest pani osobą, o którą nam chodziło. Pani zdjęcie nie powinno mieć dla prasy najmniejszej wartości. Nawet jeśli ktoś je opublikuje, szybko okaże się, że...

- Co to znaczy: „jeżeli ktoś je opublikuje”? Co to ma znaczyć? Czy mam rozumieć, że...

- Prawdopodobnie nikt nie... - wtrącił się Marc, ale młoda kobieta, w niczym niepodobna do zastraszonej osoby, którą jawiła się jeszcze przed chwilą, przerwała mu.

- Prawdopodobnie? Prawdopodobnie? Nie mogę liczyć na prawdopodobieństwo! Muszę mieć pewność, absolutną pewność, że moje zdjęcie nie ukaże się w prasie! Rozumie pan? Absolutną pewność!

Była blada jak ściana.

- To ważne! - zawołała. - To bardzo ważne! Nie mają państwo pojęcia...

Ku przerażeniu Rosanny wybuchnęła płaczem. Szlochała głośno i rozpaczliwie, następnie osunęła się na podłogę, zwinęła w kłębek i leżała tak na brudnym parkiecie, zanosząc się płaczem.

Jakoś udało im się sprowadzić ją po schodach i pomóc jej wsiąść do samochodu.

Było jasne, że nie mogą tej kobiety zostawić samej sobie i odjechać. Ponadto Rosanna czuła, że niezależnie od tego, co owa młoda kobieta, Elaine Dawson, ma im do powiedzenia, nie powinna tego mówić w obecności Bernta Cadwicka. Miał wypisaną na twarzy żądzę sensacji i nie wiadomo, co zrobiłby z informacjami, gdyby znalazł się w ich posiadaniu. Rosanna wciąż podejrzewała, że to on powiadomił Lee Pearce. Nie miała pojęcia, czego tak bardzo boi się nieznaną kobietą, ale wiedziała, że Bernt Cadwick nie jest właściwym człowiekiem, by powierzać mu tajemnice.

Cadwick zaproponował im ponownie nocleg w salonie, a kiedy zrozumiał, że nie uda mu się zatrzymać gości, wpadł w gniew. Wypominał im brak wdzięczności i

szacunku i lamentował nad ogólną znieczulicą w społeczeństwie, ale nikt go nie słuchał. Marc zdołał posadzić kobietę, która po wybuchu hysterii pograżyła się w apatii, na tylnym siedzeniu samochodu, a Rosanna zajęła miejsce obok niej.

Nie zważając na obelgi Cadwicka, odjechali w ciemną noc. Rosanna wpatrywała się uważnie w tylne lusterko, chcąc się upewnić, czy aby nie zauważył ich kręcący się po okolicy Tony Harper, który mógłby zacząć ich śledzić. Ale najwyraźniej chwilowo dał im spokój. Wokół było cicho, mogli mieć więc nadzieję, że poza oszalałym ze złości Cadwickiem nikt nie zauważył ich odjazdu.

264

265

Przez mniej więcej dwadzieścia minut jechali szosą, nie odzywając się do siebie ani słowem, gdy nagle Marc skręcił w boczną polną drogę, którą zauważył w świetle reflektorów. Przejechali kawałek po wertepach, wreszcie się zatrzymali. Marc wyłączył silnik oraz światła na zewnątrz i w środku auta.

Odwrócił się do kobiet na tylnym siedzeniu.

- Wiem, że to nie najlepsze miejsce na postój - powiedział przeprasząco - ale przynajmniej znajduje się poza zasięgiem upiornego pana Cadwicka. Uważam, że zanim pojedziemy dalej, powinniśmy porozmawiać. O tym, czy panna Dawson w ogóle chce nam towarzyszyć. Albo dokąd mamy ją podrzucić. A może... - Po krótkiej chwili wahania ciągnął: - A może powie nam pani, panno Dawson, czego się pani tak boi. Uważam, że... Jesteśmy w pewnym sensie odpowiedzialni za incydent z dziennikarzem „Daily Mirror”, chociaż jego obecność nam również była nie na rękę. Ale może będziemy w stanie pani pomóc...

Kobieta nie zareagowała. Patrzyła prosto przed siebie, jakby go w ogóle nie usłyszała.

Dotknąwszy jej ręki, Rosanna stwierdziła, że jest zwiotczała i lodowata.

- Panno Dawson, Elaine, może najpierw powinniśmy pani co nieco wyjaśnić. Jak z pewnością zdążyła się już pani zorientować, padła pani ofiarą pomyłki. Poszukujemy kobiety, która zniknęła pięć lat temu i tak jak pani, nazywała się Elaine Dawson. Pan Cadwick zgłosił się do mnie po programie, który obejrzał w telewizji, twierdząc, że poszukiwana przez nas osoba jest jego lokatorką. Dlatego ja i pan Reeve przyjechaliśmy tutaj z Londynu. Jak się jednak okazało, nazywa się pani wprawdzie Elaine Dawson, ale...

Teraz kobieta zareagowała. Po raz pierwszy od załamania, które przeszła w mieszkaniu Bernta Cadwicka, z własnej woli poruszyła się. Obróciła głowę i spojrzała na Rosannę. W oczach wciąż miała przerażającą pustkę, coś jednak się zmieniło. Dało się w niej wyczuć jakieś tchnienie życia, nadzieję, że będzie mogła wreszcie przestać się ukrywać.

266

- Nie nazywam się Elaine Dawson - powiedziała i niespodziewanie otworzyła drzwi samochodu.

- Proszę tego nie robić! Nie zajdzie pani daleko! - zawołała Rosanna, sądząc, że kobieta próbuje uciec.

Ta jednak nie chciała uciekać. Wychyliła się na zewnątrz i wstrząsana torsjami, zwymiotowała na polną drogę.

Kiedy było po wszystkim, sapiąc ciężko, powróciła na swoje miejsce. Wzięła chusteczkę, którą podała jej Rosanna, i wytarła usta.

- Przepraszam - powiedziała wreszcie. Znów zwróciła wzrok na Rosannę.

- Nazywam się Pamela - powiedziała. - Pamela Luke. Przez ostatnie lata ukrywałam się pod nazwiskiem Elaine Dawson. - Sięgnęła do torebki i po chwili, znalazłszy to, czego szukała, rzuciła Rosannie na kolana angielski paszport.

Otworzywszy dokument, Rosanna nie mogła uwierzyć własnym oczom.

- To nie do wiary - wykrztusiła.

- Co takiego? - zapytał Marc.

Z konsternacją wpatrywała się w dokument. Nie mogło być mowy o pomyłce.

Zdjęcie, dane osobowe...

Trzymała w ręku paszport zaginionej Elaine Dawson.

Poniedziałek, 18 lutego

1

Pit Wavers nie spędzał z Ronem tyle czasu co dawniej i trochę tego żałował. Lubił go i dobrze czuł się w jego towarzystwie, ale musiał zaakceptować fakt, że owa sympatia jest raczej jednostronna. Spędzili razem wspaniałe chwile przed laty w Londynie, lecz Ron nie był w stanie zrozumieć niektórych spraw i miał do niego o nie żal.

- Jesteś chory - powiedział mu kiedyś, a Pit poczuł się bardzo dotknięty. Kto inny dostałby za taką wypowiedź w zęby, ale Ron pozostawał jego przyjacielem i było mu wolno więcej niż innym. Pit tolerował jego wybryki, na jakie nikt inny nie miałby prawa sobie pozwolić. Z drugiej strony Pit nie wyobrażał sobie, że komukolwiek mogłoby przyjść do głowy go krytykować. Większość ludzi z jego otoczenia starała się nie wchodzić mu w drogę. Był wprawdzie niewysoki, ale silny jak lew. A jeśli ktoś go rozjuszył - nawet jeszcze silniejszy. Ponadto łatwo tracił panowanie nad sobą. Rzuciwszy się na przeciwnika, trudno mu było się od niego oderwać. Działał wówczas jak w transie. Uwielbiał krzyki maltretowanych, jęki i skomlenie, dźwięk łamanych żeber i wykręcanych stawów. Sprawiało mu rozkosz, kiedy tryskała krew albo pękały kości zuchwy.. Ron też nie patyczkował się ze swoimi wrogami, ale przygotowując ofiarę do przyjęcia na oddział intensywnej terapii, zachowywał zimną krew. Był brutalny, lecz w odróżnieniu od Pita nie podniecał się przemocą. Pit, znęcając się nad ofiarą, odchodził od zmysłów, wpadał w ekstazę, a wybuch dzikiej, bezmyślnej przemocy przechodził w wyrafinowane tortury. Nieczęsto pozwalał sobie na coś takiego - rzadko miał ku temu okazję - ale jeśli już, wtedy używał sobie do woli. Nie był w stanie się powstrzymać. Nawet za cenę przyjaźni. Nie rozumiał, dlaczego Ron tak się z tego powodu unosi. Powinieneś być bardziej tolerancyjny, chłopie, myślał nieraz. W gruncie rzeczy to przecież nic takiego. Nie warto się sprzeczać.

Tego poniedziałkowego ranka właśnie zmierzał do domu Rona w Islington.

Bezpowrotnie minęły czasy, kiedy razem mieszkali, tworząc idealną męską wspólnotę, okraszoną różnorodnymi, dłuższymi i krótszymi romansami z pięknymi młodymi dziewczętami

o długich włosach i obfitym biuście, które prędko pojmowały, że muszą się podporządkować swoim mężczyznom, jeśli nie chcą obudzić się ze złamanym nosem

albo wybitym zębem. Pit uwielbiał zastraszać kobiety. Lubił widzieć w ich oczach strach, podobało mu się, kiedy głos odmawiał im posłuszeństwa. Kobiety, jak zaobserwował, miały dużo lepszą intuicję niż mężczyźni. Mało która dziewczyna nie doceniała jego możliwości. Mężczyznom zdarzało się to notorycznie. Wiązało się to z faktem, że miał metr sześćdziesiąt trzy wzrostu. Faceci brali go za kurdupla, nadęte zero, które puszy się jak kogut. Miało to oczywiście swój urok. Pit był dużo silniejszy i brutalniejszy, niż skłonni byli przypuszczać jego przeciwnicy, i zanim biedacy zdążyli pojąć swój błąd, tkwili po szyję w bagnie. Pit rozkoszował się chwilą, w której na ich twarzach zaczynała malować się świadomość pomyłki i żal z powodu pochopnie nawiązanej znajomości.

Jak zawsze, tak i tego ranka Londyn obudził się z przeraźliwym rykiem ulicy, miliony ludzi rozlały się po placach, chodnikach i stacjach metra. Ze wszystkich stron dochodził gwar głosów, a pośród nich słychać było klaksony samochodów, pisk hamulców, ryk silników i dzwonki rowerów. W poniedziałki w mieście panował wyjątkowy zgłęb, ścisk i urwanie głowy. Co za wspaniałe widoki, ta chaotyczna krzątanina. Do tego błękitne niebo zwiastujące bliskie nadejście wiosny. Koniec z mgłami i zimową pluchą. Zaczynała się najpiękniejsza pora roku.

268

269

Pit skręcił w uliczkę prowadzącą do bloku, w którym Ron zajmował mieszkanie na parterze. Zjawił się akurat na czas, zdążył jeszcze zobaczyć, jak Ron opuszcza dom w eskorcie gliniarzy, z rękami na plecach. Na zewnątrz czekał już radiowóz, obok stało jeszcze dwóch funkcjonariuszy policji.

Sprawa była oczywista - Ron Malikowski, który zobaczył od środka niejedną celę i salę rozpraw, ale jeszcze nigdy nie miał okazji gnić przez dłuższy czas za kratkami, właśnie został aresztowany.

W ten słoneczny poranek, który zapowiadał się tak obiecująco.

Cholera! Co się stało?

Pit natychmiast skrył się za rogiem, gdyż szybko do niego dotarło, że byłoby ze wszech miar nierozsądne pokazać się teraz glinom. Odruchowo sięgnął po broń, którą trzymał za paskiem i którą często brał ze sobą, wychodząc na dwór. Jednakże zaraz cofnął rękę. Gdyby chodziło o film, mógłby teraz zacząć strzelać na oślep, żeby umożliwić kumpłowi ucieczkę, ale przecież nie robi czegoś tak bezsensownego i niebezpiecznego w rzeczywistości. Zaczął się gorączkowo zastanawiać. Co mogło się stać? Za co te cholerne gliny przyskrzytniły Rona? Chociaż ich przyjaźń nie była już tym czym kiedyś, w dalszym ciągu byli na bieżąco, jeśli chodzi o wzajemne poczynania. Dokładnie rzecz ujmując, wiedzieli z grubsza, w jakie ciemne machinacje wplątany jest akurat kumpel. A z tego co wiedział Pit, u Rona aktualnie nic konkretnego się nie działo. Pit musiał z żalem przyznać, że jego towarzysz z wiekiem spotulniał. Wprawdzie wciąż zarabiał na życie sutenerstwem, przy czym w grę wchodziły również dziewczęta z Europy Wschodniej, ale od dłuższego czasu panował przestój w dostawie żywego towaru. Kobiety pracujące dla Rona zdążyły się jakoś pogodzić ze swoim losem. Dla większości z nich praca na ulicy była mimo wszystko lepsza niż powrót do nędzy, od której uciekły - tak w każdym razie twierdził Ron. Mało prawdopodobne, żeby któraś nagle pobiegła na policję,

ryzykując w ten sposób deportację. Na samym początku, kiedy dziewczęta uświadamiały sobie, jaki los czeka je w Anglii, niektóre próbowały tej drogi. Zdarzało się też, że jakaś nie mogła już dłużej wytrzymać i robiła w desperacji coś głupiego.

Jednakże, przynajmniej jak do tej pory, żadnej nie udało się wyjść poza fazę planowania. Ron miał genialny system nadzoru. Za każdym razem intrygi wychodziły na jaw. Intensywna obróbka ze strony Rona i jego kumpli miała zwykle taki skutek, że dziewczęta traciły chęć ucieczki. Stawały się tak uległe, że ich zachowanie zaczynało nudzić. Pit lubił, kiedy kobiety próbowały się bronić. Odnajdywał przyjemność w łamaniu ich woli, ale oczywiście to było możliwe, jeśli istniała jeszcze jakakolwiek wola. Kobiety, które Ron brał w obroty, na koniec nie były w stanie przeliterować własnego imienia. Więc jeśli to nie jakaś dziwka, to co? Dręczyło go niejasne przecucie, że aresztowanie mogło mieć coś wspólnego z nim. Z historią tej przeklętej zdziry Lindy. O nieba, to była ostra dziewczucha! Niestety nie potrafiła trzymać gęby na kłódkę i ciągle musiała mu pyskować. Krnąbrna małolata. W końcu się wkurzył... Właściwie chciał ją tylko trochę utemperować, ale sprawy wymknęły się spod kontroli. Potem przeczytał w gazecie, że znaleziono jej ciało. Czy istnieli świadkowie, którzy widzieli ją z Ronem? Tych dwoje kilka razy spotkało się w mieście.

Pit zaklął cicho.

Ron był wprawdzie kimś w rodzaju przyjaciela, ale na pewno nie będzie go krył. Jeżeli policja spróbuje obarczyć go winą za śmierć Lindy, bez najmniejszych skrupułów opowie, co naprawdę się wydarzyło. A to z kolei oznacza, że już za kilka godzin u Pita mogą zjawić się gliny.

Lepiej na razie w ogóle nie wracać do domu.

Ale dokąd ma iść? Cholera jasna! Gdyby przynajmniej wiedział, co dokładnie się stało! Może zupełnie niepotrzebnie obawia się powrotu do domu. Z drugiej strony wolał nie ryzykować.

Do diabła. Jeżeli chodzi o Lindę, ma poważny problem.

Nie jadł jeszcze śniadania i liczył właściwie na to, że u Rona napije się świeżej mocnej kawy, a teraz nic z tego. Poszedł więc do najbliższej kawiarni, zamówił cappuccino, usiadł w ciepłym kącie i zaczął się zastanawiać. Przez dwa, może nawet trzy dni nie powinien

270

271

pokazywać się w pobliżu swojego domu. Było to w najwyższym stopniu irytujące, bo nic ze sobą nie zabrał. Miał kilku kumpli, u których mógł od biedy zakwaterować się na jakiś czas, ale pomyślał, że najlepiej byłoby zadekować się u kogoś, kogo nie znał Ron. Nie wiadomo, kogo wsypie jego przyjaciel, próbując ratować własny tyłek. Cholera jasna! Wpadł jak śliwka w kompot!

Wypił kilka łyków, kawa przyjemnie go rozgrzewała. Może powinien przejrzeć najpierw dzisiejszą prasę, a nuż trafi na coś, dzięki czemu uda mu się wyjaśnić sprawę. Z leżącego na barze stosu gazet wziął do ręki „Daily Mirror” i wrócił do stolika.

Morderstwo Lindy, o którym prasa z prawdziwą przyjemnością rozpisywała się w

ostatnich dniach, zniknęło z pierwszych stron. Nawet skrupulatnie przeglądając cały numer, Pit nie znalazł najdrobniejszej wzmianki na ten temat. Ale rzecz jasna, nie musiało to znaczyć, że policja zaniechała gorączkowych poszukiwań sprawcy - być może nawet podążała już jakimś konkretnym śladem. Przecież gliny nie udostępniały prasie wszystkich informacji.

Nie posunął się ani o krok. Dowiedział się tylko tyle, że prasa nie donosi o żadnym nowym wykroczeniu, które mogłoby mieć związek z Ronem. To zaś zwiększało prawdopodobieństwo, że chodzi o Lindę.

Apatycznie kartkował gazetę. Nagle zamarł z wrażenia.

- To niemożliwe - mruknął pod nosem.

W oczy rzuciło mu się bardzo słabe zdjęcie na jedną trzecią strony - niedoświetlone i lekko poruszone, ale widoczną na nim twarz rozpoznałby pośród tysiąca innych.

Pomimo upływu lat i kiepskiej jakości fotografii.

Mimo że kobieta na zdjęciu najwyraźniej próbowała zmienić swój wygląd. Miała ciemne włosy, a nie blond, tak jak kiedyś. Pięć lat temu sięgały jej do pasa, teraz była ostrzyżona na pazia. Prosty strój, zero makijażu, o ile był w stanie rozpoznać. W każdym razie stanowiła przeciwieństwo kobiety wampa. Wyglądała raczej na skromną gospodynię domową z jakiegoś małego miasteczka. Z tym że wyglądała dużo smutniej niż przeciętna gospodyni domowa, na jej twarzy malowało się przygnębienie i strach.

272

I nic dziwnego - ma cholernie ważne powody, żeby się bać.

To była Pamela. Na sto procent. Nigdy nie zapomni tych dużych, obfitych ust.

Doskonale uformowanego nosa. Niegdyś uchodziła za piękność. Mogłaby znów nią być, gdyby przestała ukrywać się pod maską niepozorności.

Zabawne. Zawsze wiedział, że któregoś dnia ją znajdzie. Ale że zostanie mu zaserwowana przez jedną z największych brytyjskich gazet...

Z uwagą przeczytał krótki artykuł i trochę się zdziwił. Wynikało z niego, że Pamela ukrywa się pod nazwiskiem Elaine Dawson i mieszka w maleńkiej miejscowości o nazwie Langbury w Northumberlandii.

Northumberlandia! To wcielenie męskich marzeń siedzi gdzieś na końcu świata, na północy Anglii... Nie do wiary!

O ile dobrze zrozumiał, kobieta o nazwisku Elaine Dawson zniknęła pięć lat temu w tajemniczych okolicznościach, a mężczyzna, którego w związku z jej zaginięciem podejrzewano, twierdził, że nie miał z nią nic wspólnego. Teraz zaś zaświtała mu nadzieja, że na podstawie jakiejś wskazówki ze strony społeczeństwa uda mu się odnaleźć ją w Langbury. Trop okazał się jednak fałszywy. W gazecie pisano o przypadkowej zbieżności nazwisk.

Gościa, któremu tak bardzo zależało na wyjaśnieniu sprawy, niejakiego Marca Reeve'a, adwokata z Londynu, wspierała w jego wysiłkach dziennikarka, Rosanna Hamilton, która jak pisano: „postawiła sobie za punkt honoru oczyścić z zarzutów mężczyznę, za którym od lat ciągnie się cień podejrzeń, a który również prywatnie od dawna nie jest jej obojętny”. Na zakończenie artykułu „Daily Mirror” subtelnie dawał do zrozumienia, że Reeve i Hamilton być może mieli nadzieję, że uda im się sprzedać fałszywą panną Dawson jako prawdziwą i w ten sposób udowodnić, że

zaginiona kobieta nie padła ofiarą przestępstwa, lecz żyje sobie w spokoju na północy Anglii. Dzięki czujności mediów ich plan został jednak zniweczony.

Niezła historia, pomyślał Pit. Ciekawe, skąd „Mirror” się o tym dowiedział?...

Wszystko jedno. I co teraz mam zrobić z tą informacją?

273

Korciło go, żeby od razu wyruszyć do Langbury. Skoro i tak nie mógł wrócić do swojego mieszkania, to może wycieczka na północ, prawie do Szkocji, byłaby dobrym sposobem na zabicie czasu. Tym sposobem doprowadziłby do końca sprawę, która musiała zostać dokończona, albowiem Pit nie chciał któregoś dnia odejść z tego świata z niewyrównanym rachunkiem.

Jeszcze żadna kobieta nie odważyła się na to co ona. Czas, by w końcu zrozumiała, że popełniła błąd, oszukując go i wystawiając na pośmiewisko. Takiego mężczyzny jak Pit się nie porzuca. A jeśli już, trzeba za to słono zapłacić. Pamela musiała zdawać sobie z tego sprawę, stąd jej zafarbowane włosy, fałszywe nazwisko, odległe miasteczko i przerażony wzrok utkwiony w obiektywie aparatu. Uśmiechnął się. Miała pecha! Tak dobrze się ukryła i pewnie czuła się już całkiem bezpieczna. Aż tu nagle - pewnie przez przypadek - została wplątana w sprawę zaginionej przed laty kobiety i jej zdjęcie pojawiło się w prasie. Notatka na marginesie, którą pewnie nikt się nie zainteresuje.

Nikt oprócz niego.

Miał ochotę od razu wyruszyć na północ, ale powstrzymał się i postanowił najpierw wszystko na spokojnie przemyśleć. Pamela to wprawdzie wstrętne babsko, ale nie jest głupia. Wie, że została nakryta i że jej zdjęcie mogło ukazać się w prasie. Nie będzie przecież ryzykować i czekać w Langbury, aż znajdzie ją tam Pit.

Prawdopodobnie karmiła się nadzieją, że nie przeczyta wzmianki w gazecie, a jeśli nawet, nie rozpozna jej na zdjęciu. Nie mogła jednak na to liczyć. Zbyt dobrze wiedziała, co ją czeka, kiedy Pit stanie z nią twarzą w twarz.

Z pewnością opuściła już wieś.

Ale dokąd się udała?

Jeśli nie chciał szukać na oślep w całej Northumberlandii, nie mając nawet pewności, że Pamela przebywa jeszcze w tej okolicy, musiał wykorzystać wszystkie punkty zaczepienia. Po pierwsze Marc Reeve i jego dzielna obrończyni Rosanna Hamilton. Reeve pracował w Londynie jako adwokat, znalezienie go nie powinno być trudne.

274

Może w ten sposób posunie się do przodu. Niewykluczone, że zabrali ją ze sobą do Londynu.

Dopił kawę, złożył gazetę i wsunął ją do wewnętrznej kieszeni kurtki. Świeża kawa postawiła go na nogi i był teraz dobrej myśli. Aresztowanie Rona zepsuło mu poranek, ale teraz pojawiło się światelko w tunelu.

Gwiżdżąc pod nosem, wyszedł z kawiarni i włączył się w tłum przechodniów, który jak co rano zalewał ulice Londynu.

Spróbuj odnaleźć Reeve'a, a przy okazji zastanowi się, co zrobi z Pamelą, jak już ją złapie.

Życie jest pełne miłych niespodzianek!

Podczas gdy Marc parzył kawę, Rosanna dyskretnie rozejrzała się po jego mieszkaniu. Dwa pokoje, wnęka kuchenna - to wszystko, ale prawdopodobnie więcej nie potrzeba samotnemu mężczyźnie, który spędza co najmniej dwanaście godzin w biurze. W salonie na ścianie wisiała akwarela przedstawiająca żaglówkę na tle kamiennego portu. W prawym dolnym rogu Rosanna odkryła inicjały J. R. Jacqueline Reeve. Przypomniała sobie, co mówił o byłej żonie Reeve'a pan Hall, ich dawny sąsiad - była utalentowaną i znaną malarką. Obraz był bardzo ładny, ale dość ponury. To dziwne, że Marc tak wyeksponował pracę swojej byłej żony, ale to dowodziło, że potrafił wznieść się ponad niektóre sprawy. Rosanna nie wyczuła w jego głosie nienawiści ani urazy, kiedy opowiadał o Jacqueline i ich nieudanym małżeństwie. Pobrzmiewał w nim raczej smutek. Reeve nie był zainteresowany tym, by dowieść czyjejs winy. Być może kiedyś tak było, ale ten etap miał już za sobą. Mimo utraty syna - czuła wyraźnie, że pozostawiło to głęboką zadrę i wciąż przysparzało mu cierpienia - potrafił rzeczowo ocenić sytuację.

Oprócz obrazu w mieszkaniu nie było żadnych osobistych przedmiotów. Nic. Ani książek, ani płyt. Żadnych fotografii w ramkach,

275

żadnych bibelotów. Ani jednej rośliny na parapecie. Może to normalne dla mężczyzny, który stawiał pracę na pierwszym miejscu. Czy miał gdzieś zdjęcie swojego syna? Może w sypialni. Rosanna zajrzała przez uchylone drzwi do środka, ale nie odważyła się wejść. Zauważyła podwójne łóżko przykryte niedbale pledem, obok na podłodze stos gazet. Więcej nie było widać.

Rosanna i Marc posadzili apatyczną Pamelę Lukę na sofie, gdzie zastygła niczym posąg. Rosannie przyszedł do głowy ranny kociak, którego kiedyś znalazła i przyniosła do domu. Zwierzę było tak poturbowane i zmęczone, że znieruchomiało w pozycji, w której je posadziła. Nie miało siły, żeby choćby ruszyć łapą. Mimo jej wszystkich wysiłków stworzenie nie przeżyło.

Podczas nocnej podróży do Londynu Pamela nie odezwała się ani słowem i w końcu Rosanna przestała pytać o paszport Elaine, odkładając ten temat na odpowiedniejszą chwilę. Pamela jeszcze tylko raz wykazała się gwałtowną reakcją. Kiedy Marc zapytał, czy mają ją odwiedzić do domu, krzyknęła przerażona:

- Nie! Na litość boską, tylko nie to! Muszę stąd wyjechać!

- Ale pani rzeczy - wtrąciła się Rosanna. - Musi pani przecież...

- Nie mogę tu zostać! Proszę mnie stąd zabrać!

- Wobec tego weźmiemy panią ze sobą do Londynu - zdecydował Marc. - Ale tam będzie nam pani musiała wyjaśnić kilka spraw, panno Luke. To dla nas naprawdę ważne.

Pamela oparła głowę o szybę i pogrążyła się w milczeniu.

Jechali przez noc, pośród ciemności widzieli jedynie światła mijanych samochodów.

Rosanna i Marc również milczeli. W pewnym momencie Marc zjechał na parking.

- Muszę sobie zrobić przerwę. Nie chcę zasnąć za kierownicą. Postanowił pójść z Rosanną do całonocnej restauracji. Oboje

prosilili Pamelę, żeby im towarzyszyła, ale nie zareagowała. Siedziała nieruchomo z głową opartą o szybę. Ale nie spała, oczy miała szeroko otwarte.

Rosanna wyraziła obawę, że Pamela może wykorzystać sytuację i uciec, lecz Marc

uznał to za mało prawdopodobne.

- Jest zbyt wyczerpana. I zdaje sobie sprawę, że stąd się nigdzie nie dostanie. Zostaw ją lepiej w spokoju. Pewnie po prostu chce odpocząć od nas, w ogóle od wszystkiego i wszystkich.

Restauracja była pusta i skąpo oświetlona, a kobieta za barem miała końską szczękę i była w złym humorze. Dobrze, że przynajmniej podawali całkiem przyzwoitą, mocną kawę. Rosanna i Marc usiedli przy jednym z plastikowych stolików. Na blacie ktoś napisał zielonym flamastrem „I love Jeremy forever”.

Rosanna nie oddała Pameli paszportu Elaine. Teraz wyjęła go z torby.

- Jednak nie na próżno jechaliśmy do Langbury - powiedziała. - Teraz bowiem mamy prawdziwy ślad. Paszport Elaine. Nie do wiary. Niemniej jestem jeszcze bardziej zdezorientowana niż wcześniej!

- Czy jesteś całkowicie pewna, że to paszport Elaine? - zapytał Marc.

Był blady i oczy miał zaczerwienione ze zmęczenia, ale w jego głosie pobrzmiwało napięcie.

Rosanna otworzyła dokument.

- Nie może być mowy o tylu przypadkowych zbieżnościach. Elaine Susan Dawson.

To jej pełne imię- Urodzona pierwszego sierpnia tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego dziewiątego roku w Taunton, Somerset. Data i miejsce się zgadzają - zamknęła paszport. - Jakies pytania? Zdjęcie przedstawia ponad wszelką wątpliwość naszą Elaine. Marc, nie ma najmniejszych wątpliwości. Kiedy dowiemy się, w jaki sposób tajemnicza Pamela Luke weszła w jego posiadanie, znacznie przybliżymy się do rozwiązania zagadki.

- Sama nam to powie - stwierdził Marc. - Pytanie tylko kiedy... Jest w głębokim szoku. Czegoś panicznie się boi i ten strach ją całkowicie paraliżuje. Właściwie powinniśmy zgłosić się z nią i z tym paszportem na policję.

- Nie możemy zawieść jej zaufania. Powinniśmy zabrać ją dokądś, gdzie będzie mogła odpocząć.

- Wobec tego proponuję pojechać do mnie - powiedział Marc. W mieszkaniu jest cicho i pusto, będzie tam mogła dojść do siebie.

276

277

i

Ale to tymczasowe rozwiązanie, rozumiesz? Musimy iść na policję. Nie mam ochoty na koniec wzbudzić jeszcze podejrzeń, że próbowałem zatrzeć jakieś ślady czy zataić dowody. Chcę grać w otwarte karty.

Rosanna skinęła głową.

- Oczywiście. To jasne. Po prostu nie wydaje mi się dobrym pomysłem, żeby iść z nią od razu na posterunek. Mogę sobie wyobrazić, że podczas przesłuchania nie odezwałaby się ani słowem.

- Poza tym chciałbym się dowiedzieć, kto napuścił na nas Lee Pearce - powiedział Marc. - Ten Tony Harper może narobić nam kłopotów, Rosanno. Jeśli jego artykuł w jakiegokolwiek postaci ukaże się, zanim zgłosimy się na policję, będziemy na straconej pozycji.

- Wobec tego - powiedziała, odsuwając kubek po kawie - ruszajmy w drogę. Musimy

jak najszybciej wrócić do Londynu.

Na przedmieścia stolicy dotarli bardzo wczesnym rankiem, mimo to utknęli w korku. Była godzina ósma, kiedy wreszcie weszli do mieszkania Marca, które znajdowało się w nowoczesnym, nieciekawym domu wielorodzinnym. Wszyscy troje byli niewyspani, mieli zdrętwiałe nogi i piekły ich oczy. Rosanna na gwałt potrzebowała kąpieli. Dawno nie czuła się tak brudna, zaniedbana i nieatrakcyjna. Obecność Marca i uczucie, jakie w niej wzbudzał, dodatkowo zwiększały uczucie dyskomfortu. Marc wyszedł z kuchni, niosąc tacę, na której stał duży dzbanek kawy, trzy filiżanki, cukiernica i dzbanuszek z mlekiem.

- To na początek - powiedział. — Mam skoczyć do piekarni naprzeciwko i przynieść parę muffinów?

Rosanna przerwała inspekcję mieszkania i powstrzymała się od snucia domysłów na temat charakteru jego właściciela.

- Ja pójdę. Ty zostań z Pamelą i spróbuj wlać w nią trochę kawy!

Kiedy wróciła, niosąc dużą paczkę świeżych pachnących muffinów z jagodami, Pamela siedziała przy stole i piła kawę. Policzki nieco jej się zaróżowiły.

Marc siedział naprzeciwko niej. Nic nie wskazywało na to, żeby w ciągu ostatnich kilku minut prowadzili ożywioną rozmowę, jak stwierdziła z rozczarowaniem Rosanna. Miała nadzieję, że Pamela w końcu się przełamie i zacznie z nimi rozmawiać.

Wypakowała pieczywo do stojącego na stole koszyczka, przysiadła się do pozostałej dwójki i posłodziła kawę.

Następnie spojrzała poważnie na Pamelę.

- Pamelo, nie chcemy wywierać na panią presji. Ale bardzo nam zależy, żeby wyjaśniła pani, jak weszła w posiadanie paszportu mojej koleżanki Elaine. Proszę. Niestety mamy niewiele czasu.

Pamela odstawiła filiżankę z kawą.

- Otóż to - zgodziła się z Rosanną. — Mamy niewiele czasu. Jeżeli ten reporter opublikował moje zdjęcie; Pit poruszy niebo i ziemię, żeby mnie znaleźć. A potem mnie zamorduje.

W jej głosie słychać było strach, a jednocześnie niezbitą pewność, która ze względu na brutalność jej wypowiedzi zaszokowała Rosannę i Marca.

Spojrzeli na nią przerażeni.

- Zamorduje? - powtórzyła Rosanna a Marc niemal jednocześnie zapytał:

-Kto to jest Pit?

Pamela najpierw odpowiedziała na pytanie Marca.

- To psychopata. Morderca. Najniebezpieczniejszy człowiek, jakiego w życiu spotkałam. Zamordował już jedną kobietę. I ze mną zrobi to samo. Jest chory.

- Zamordował kobietę? - powtórzył za Pamelą Marc. - I chce zabić panią? Dlaczego, na litość boską, nie poszła pani na policję? Wiedząc o tym...

- W przypadku mężczyzn takich jak Pit policja nie jest w stanie nic zrobić.

Pamela przerwała mu. Uśmiechnęła się. Nie był to radosny uśmiech, ale zdradził on, że Pamela Lukę jest wyjątkowo atrakcyjną kobietą - co ze zdziwieniem skonstatowała Rosanna. Gdyby się inaczej ubrała i umalowała, mogłaby pracować jako fotomodelka. Tymczasem całą energię wkładała w to, żeby wyglądać jak szara

myszka.

278

279

- Jeżeli udowodni mu się morderstwo, spędzi co najmniej kilkadziesiąt lat za kratkami - powiedział Marc.

- A jeżeli nie uda mu się tego udowodnić? - odparła Pamela. - Panie Reeve, sam pan wie, jak to jest. Nikogo nie obchodzi ofiara. A co dopiero ewentualna kolejna ofiara. To sprawca wzbudza zainteresowanie i zrozumienie. Nawet jeśli zamykają mordercę, wypuszczają go potem przed czasem na wolność, gdyż znajduje się psycholog, który poświadczy, że sprawca przeszedł resocjalizację. Wszyscy będą go chwalić za tak zwane dobre sprawowanie, a nikt przecież nie może zajrzeć mu do głowy, żeby się przekonać, czy z jego strony to nie zwykła gierka. Nigdy nie uwolniłabym się od Pita. Jedynym wyjściem, jakie przed sobą widziałam, było życie w ukryciu.

- Ta kobieta, którą jak pani twierdzi, zamordował Pit... - zaczęła Rosanna. - Czy to mogła być...

- Kto taki? - Elaine Dawson? Pamela potrząsnęła głową.

- Nie. Znałam tę kobietę. Nazywała się Jane French. Była prostytutką. To z pewnością nie była pani Elaine.

- Nic z tego nie rozumiem - powiedział Marc. - A skąd wzięła pani ten paszport?

- Znalazłam go w mieszkaniu Rona. I zabrałam. W nadziei że kiedyś mi się przyda.

- Kto to jest Ron?

- Ron Malikowski. Najlepszy przyjaciel Pita. Byli nierozłączni.

- A co to za jeden, ten Ron? - zapytała Rosanna.

- Sutener. Bezwzględny i wyjątkowo brutalny. Ale w odróżnieniu od Pita nie jest psychopata, to po prostu pozbawiona skrupułów kanalia, która wykorzystuje kobiety, żeby zarobić na życie. Jeśli któraś z dziewczyn chce się wycofać z interesu, on i jego ludzie łamią jej wolę, wielokrotnie ją gwałcą. Ale nie wydaje mi się, żeby kogoś zabił. Nie jest typem mordercy.

- I to u niego znalazła pani paszport Elaine? - chciała upewnić się Rosanna. - Co, na litość boską, Elaine mogła mieć wspólnego z sutenerem?

Pamela wzruszyła ramionami.

- Może dla niego pracuje. Dziewczynom odbiera się paszporty. Z reguły trzyma się je pod kluczem i nikt nie ma do nich dostępu. Paszport Elaine leżał w szufladzie biurka w sypialni Rona. Zdziwiłam się, ale uznałam to za niedbalstwo, niedopatrzenie. I zobaczyłam w tym szansę.

Rosannie kręciło się w głowie. Myślała o Elaine, małej Elaine Dawson z Kingston St. Mary. Elaine prostytutką? Myśl ta była nie mniej absurdalna niż wyobrażenie sobie w tej roli królowej.

- Elaine nigdy by się do tego nie posunęła - powiedziała, nie posiadając się z oburzenia.

- Może nie miała innego wyjścia, została do tego zmuszona - powiedział Marc. - Zwłaszcza że ten Malikowski zdaje się stosować drakońskie metody, by postawić na swoim.

- Ale w jaki sposób mogło dojść do ich spotkania? Odprowadziłeś ją przecież do metra jadącego na lotnisko. Czyżby zaczął ją po drodze? Albo na lotnisku? Może z

jakiegoś powodu zrezygnowała z podróży do Gibraltaru i właśnie jechała z powrotem do Kingston St. Mary, kiedy się na niego natknęła?

- Pozostaje to w sferze domysłów - powiedział Marc. - Nie zapominajmy o panu X, tajemniczym nieznajomym. Przyjacielu Elaine, o którym mi wspomniała. Może to właśnie on.

- Elaine na pewno by się z kimś takim nie zadawała. Matka zawsze ostrzegała ją przed mężczyznami. Wszędzie wietrzyła zboczeńców.

- Ale właśnie takim dziewczętom zdarzają się najgorsze pomyłki - stwierdził Marc. - Są zalęknione i podejrzliwe, a jednocześnie zupełnie niedoświadczone. Jeśli jakiś mężczyzna choć odrobinę zna się na rzeczy, z łatwością może taką osobę uwieść. Potrafi zdobyć jej zaufanie i podbić serce. Zanim kobieta zauważy, z kim ma do czynienia, już jest w pułapce.

280

281

Rosanna pokiwała głową. Wiedziała, że Marc ma rację. Bez wątplenia mogło być tak, jak mówił.

Ponownie zwróciła się do Pameli, która beznamytnie przysłuchiwała się rozmowie.

- Pamela, to naprawdę ważne, żeby poszła pani z nami na policję - powiedziała niemal błagalnym tonem. - Sprawa jest zbyt skomplikowana, żeby ją pani na poczekaniu wyjaśnić, ale w związku ze zniknięciem Elaine podejrzewano o morderstwo Marca Reeve'a. Nigdy nie został oficjalnie oskarżony i policji nie udało mu się niczego udowodnić, ale do dzisiaj ten cień... ciągnie się za nim i za jego rodziną. Gdyby w końcu udało się nam dowiedzieć, co tak naprawdę stało się z Elaine, mógłby raz na zawsze zamknąć ten dramatyczny i przykry rozdział swojego życia.

Pamela patrzyła na niego z niedowierzaniem.

- Podejrzewano go? - spytała, wskazując głową na Marca. - Mój Boże, to czysty absurd. Przecież on nie jest typem mordercy. Rosanno, niestety nie wiem, co się stało, ale najwyraźniej owa Elaine w jakiś sposób nawiązała kontakt z Ronem albo z Pitem, albo z obydwojema. A to, muszę z przykrością powiedzieć, bardzo zły znak. O ile jeszcze żyje, tkwi po uszy w bagnie, i to już od lat! Może pani być tego pewna! Później Pamela opowiedziała im całą swoją historię. Mówiła monotonnym głosem, z osobliwie obojętnym wyrazem twarzy.

Informowała o straszliwych potwornościach, a kiedy skończyła, na kilka minut zapadła cisza, której nie przerwało ani jedno słowo. Rosanna czuła się, jakby dostała obuchem w głowę. Wydawało jej się, że znalazła się w jakimś koszmarnym śnie, z którego lada chwila się przebudzi.

W końcu to jednak właśnie ona przerwała ciężkie milczenie.

- Muszę koniecznie wziąć prysznic - powiedziała i tym zdaniem, które nijak się miało do tego, co przed chwilą usłyszeli, zdjęła spoczywający na nich urok.

282

Marc zaproponował, że odwiezie Rosannę do hotelu, ale ta potrząsnęła głową.

- Lepiej zostań z Pamelą, złapię taksówkę.

Oczywiście mogła się również wykąpać u Marca, ale potrzebna jej była czysta bielizna, nowe ubranie, kosmetyki. Minęło czterdzieści osiem godzin, w ciągu

których nie miała możliwości się odświeżyć, i przez cały ten czas nosiła te same rzeczy - nawet w nocy. W razie konieczności gotowa była pójść pieszo do hotelu, żeby tylko zrzucić z siebie to ubranie.

Zaproponowała Pameli, że weźmie ją do siebie, ale na myśl o wielkim, pełnym ludzi hotelu Pamela znów się wzdrygnęła.

- Nie, lepiej nie. Zostanę tutaj.

W cichym mieszkaniu Marca zdawała czuć się nieco bezpieczniej.

Marc zdołał przesunąć dwa poranne spotkania na popołudnie, ale powiedział, że najpóźniej o wpół do dwunastej będzie musiał jechać do biura. Jego sekretarka była w dalszym ciągu chora i miał masę zaległości.

- Do tej pory zdążę wrócić - powiedziała Rosanna. - I albo uda mi się zabrać Pamelę do siebie, albo zostanę z nią tutaj. Na razie nie powinna być sama. Jeszcze zaszyje się gdzieś w Londynie albo rzuci z mostu do rzeki, albo zrobi jakieś inne głupstwo. Jest bardzo osłabiona psychicznie, i nic w tym dziwnego!

Zamówiwszy taksówkę, Marc odprowadził ją na ulicę.

- Wiesz, że musimy się zgłosić na policję - powiedział, kiedy znaleźli się sami. - Pamela nie może przecież dzień i noc siedzieć u mnie w domu albo u ciebie w hotelu. Nie możemy zatrzymać dla siebie tego, co nam powiedziała. Chociażby z racji mojego zawodu nie mogę sobie na coś takiego pozwolić. Muszę złożyć zeznanie, nie mam innego wyjścia.

Rosanna skinęła głową.

- Porozmawiam z nią, kiedy wrócę tu koło południa. Myślę, że to zrozumie. Stali naprzeciwko siebie. W powietrzu czuło się chłód, chociaż świeciło słońce.

283

Marc wyciągnął dłoń, dotknął przelotnie jej twarzy.

- To była wyjątkowa chwila tam w Northumberlandii - powiedział cicho. - Wtedy na plaży. To było dla mnie coś szczególnego.

Wiedziała, że nie powinna w ogóle dawać się wciągać w tę rozmowę, mimo wszystko odpowiedziała:

- A teraz? Tu, w Londynie, to wyjątkowe uczucie gdzieś się ulotniło?

Zamyślił się. Zdawało się, że nie chce udzielić jej pochopnej odpowiedzi. Ta rozmowa nie była zwykłą wymianą uprzejmości.

- Moje uczucia się nie zmieniły - powiedział w końcu. - Ale muszę być ostrożny. Nie wiem, co będzie dalej. Wiem tylko, że sytuacja jest dla mnie niekorzystna. Nie chciałbym się angażować.

Podniosła bezradnie ręce.

- Chciałabym móc coś...

- Proszę, nie czuj się odpowiedzialna - przerwał jej. - Oboje jesteśmy w trudnej sytuacji. Proponuję, żebyśmy najpierw zajęli się rozwiązaniem zagadki Elaine i Pameli, o ile to w ogóle możliwe. A potem zobaczymy.

Rosanna mimowolnie się uśmiechnęła, choć nie był to radosny uśmiech.

- To bardzo rozsądne.

- Jedyne, co możemy teraz zrobić, to starać się zachować rozsądek - odparł.

Podjechała taksówka. Marc otworzył drzwi.

- Dobrze wiedzieć, że niedługo znowu cię zobaczę - dodał po chwili.

Gdyby było inaczej, chyba bym tego nie zniosła, pomyślała Rosanna, i tak bardzo przstraszyła ją ta myśl, że odjeżdżając, nie obejrzała się nawet, żeby zobaczyć, czy jej macha. Patrząc przed siebie, zastanawiała się, co się właściwie z nią dzieje i jak mogło do tego dojść. Ale zanim znalazła odpowiedź - o ile takowa w ogóle istniała - zadzwonił telefon. Nick Simon znowu gotował się z wściekłości.

Przeczytał dzisiejsze wydanie „Daily Mirror”.

284

Rosanna wpadła do hotelu i wzięła w recepcji klucz do swojego pokoju. Obok znajdował się stojak z gazetami, chwyciła „Daily Mirror”, zapłaciła o wiele za dużo i nie zważając na wołanie portiera, który chciał wydać jej resztę, pobiegła do windy. Po drodze na górę znalazła artykuł, którego szukała. Ze zdjęcia patrzyła na nią przerażona Pamela, obok znajdował się tekst, którego autor bez ogródek zarzucał jej i Marcowi próbę zatuszowania prawdy, a ponadto sugerował ich romans. Tak jak można się było spodziewać, Tony Harper porozmawiał pewnie raz jeszcze z Berntem Cadwickiem, stąd wiedział, że kobieta, którą u niego widział, nie była poszukiwaną Elaine.

- To nie do wiary! - powiedziała na głos. Marc miał rację: jak najszybciej muszą zgłosić się na policję.

Kiedy wjechała na górę, od razu pobiegła do pokoju brata i zaczęła walić w drzwi.

- Cedric? Jesteś tam? Otwórz, proszę! To ja, Rosanna! Wpuść mnie!

Już się obawiała, że znowu spędził noc poza hotelem i nie ma go w pokoju, ale po chwili, która jej wydała się wiecznością, usłyszała zgrzyt klucza w zamku, a następnie otworzyły się drzwi. Przed nią stał zaspany Cedric w samych slipkach.

- Co się dzieje? - zapytał. - O co ten raban? Przepchnęła się obok niego do pokoju, stanęła twarzą do brata

i wcisnęła mu do ręki gazetę.

- O to. Muszę z tobą o tym porozmawiać! Zamknął drzwi i zajrzał do gazety.

- Kto to? - zapytał zdezorientowany.

- Nazywa się Pamela. Pamela Luke. Od pięciu lat ukrywa się pod nazwiskiem Elaine Dawson!

Mimo że jeszcze na dobre się nie obudził, udało mu się wyciągnąć zaskakująco błyskotliwe wnioski.

- Ta kobieta z Northumberlandii. To nie nasza Elaine. Przypadkowa zbieżność nazwisk. Ale dlaczego pokazują ją w gazecie?...

285

Rosanna wypluła z siebie całą wściekłość, którą piętnaście minut wcześniej wyładował na niej Nick Simon.

- Otóż to, dlaczego jest w gazecie? - zawołała. - To dobre pytanie, braciszku!

Dlaczego nagle w tej zapomnianej dziurze w Northumberlandii w kluczowym momencie zjawia się reporter? Został wysłany za nami w pogoń przez naszą pocztową Lee Pearce. Od dwunastu godzin zadreczę się pytaniem, jak Pearce mogła się o tym dowiedzieć!

- Skąd ja mam to wiedzieć? - zapytał Cedric.

Wbiła mu palec w nagą pierś. Z cichym okrzykiem bólu cofnął się o krok.

- Ponieważ - krzyknęła - tylko dwie osoby poza mną i Markiem wiedziały o telefonie

z Langbury. Nick Simon, który musiałby chyba zwariować, żeby sprzedać tę informację konkurencji, oraz ty. Opowiedziałam ci o tym. A teraz mam straszliwe podejrzenie, że to właśnie tobie zawdzięczam ten przeciek!

Wybuch gniewu Rosanny rozbudził Cedrica na tyle, że znowu był w stanie trzeźwo myśleć.

- Chwileczkę - powiedział wściekły. - Co to za brednie! Myślisz, że zwróciłem się z powierzoną mi przez ciebie informacją do prasy? Uważasz, że mógłbym wpaść na tak perwersyjny pomysł? Czyś ty oszalała?

- Cóż, nie mam innego...

- Jest jeszcze człowiek, który dzwonił do ciebie z Langbury. Czy pomyślałaś o tym, że mógł poinformować nie tylko ciebie? Może obdzwonił pół Londynu?

Zamknęła usta. Przecież sama od początku podejrzewała pana Cadwicka. Można się było po nim czegoś takiego spodziewać. Już nieco spokojniej zapytała:

- Zatem z nikim o tym nie rozmawiałaś?

- Oczywiście, że nie. Z kim miałbym... - Przerwał. Zauważyła, że odrobinę pobladł.

- O, Boże - mruknął.

Od razu wyciągnęła właściwy wniosek.

286

- A więc jednak z kimś o tym rozmawiałaś. Z tatą? Ale on nigdy... Nie miał odwagi na nią spojrzeć.

- Nie, nie z tatą. Z Geoffem.

- Z Geoffem?

- Odwiedziłem go w sobotę w domu opieki. Atmosfera była okropna. Geoff był w fatalnym nastroju. Zachowywał się wobec mnie agresywnie, a jednocześnie sprawiał wrażenie kompletne załamanego. Nie wiem, jak ci to wytłumaczyć... W każdym razie w pewnym momencie poczułem potrzebę, żeby ofiarować mu coś, co tchnęłoby w niego trochę nadziei. - Teraz spojrzał na siostrę. - To było tchórzostwo. Chciałem odciągnąć jego uwagę od siebie. Żeby przestał robić mi wyrzuty, które wyczuwałem w każdym jego słowie. Pomyślałem, że kiedy się dowie, iż trafiono na ślad kobiety, która być może jest jego siostrą... To oczywiście głupota. Niepotrzebnie rozbudziłem w nim nadzieję, nie mając pojęcia, czy jest jakakolwiek szansa, że okaże się to prawdą... Zresztą i tak nic to nie pomogło. Od razu zwierzył podstęp, który miał jakoby pozwolić ci oczyścić z zarzutów Reeve'a...

Wzięła głęboki oddech.

- To samo sugerują w gazecie. Myślę, że mamy już pewność, komu zawdzięczamy ten artykuł.

- Sądzisz, że Geoff naprawdę chwycił za telefon i...

- Geoff jest opętany myślą, że Marc Reeve to morderca. Zrobiłby wszystko, żeby to udowodnić. Albo żeby przynajmniej zapobiec udowodnieniu jego niewinności.

Cedric przejechał dłonią po włosach. Podobnie jak u siostry sterczały one na wszystkie strony.

- Tak mi przykro, Rosanno. Nie powinienem był tego robić. Nie przyszło mi do głowy, że może to wywołać reakcję łańcuchową, ale... Mimo wszystko nie powinienem był tego robić.

Przeleciał oczami artykuł.

- Swoją drogą - powiedział ostrożnie - dlaczego... to znaczy, abstrahując od faktu, że przypisuje ci się romans z Markiem Reeve'em, co na pewno przysporzy ci problemów, kiedy Denis się o tym dowie, nie bardzo rozumiem w czym problem. Co jest takiego

287

straszego w tym artykule? Znaleźliście niewłaściwą osobę, sprawa została wyjaśniona, a jutro wszyscy o tym zapomną. Geoff zadbał tylko o to, by uniemożliwić wam sprzedanie fałszywej Elaine jako jego siostry, a zakładam, że i tak nie mieliście takiego zamiaru! Potrząsnęła głową.

- Oczywiście, że nie. Takie podejrzenie mogło narodzić się tylko w przeżartym nienawiścią umyśle Geoffa. Mimo to ten artykuł oznacza katastrofę. Ale tego nie mogłam się nawet domyślać w momencie, kiedy rozwiązał ci się język.

Cedric wprowadził ją do pokoju i wskazał fotel.

- Usiądź.

Zdjął z wieszaka szlafrok, włożył go i usiadł naprzeciwko siostry na niezastłanym łóżku.

- Teraz opowiedz mi wszystko po kolei - zażądał i po chwili dodał: - Wyglądasz okropnie, jeśli wolno mi wyrazić swoje zdanie.

- Ostatnią noc spędziłam na autostradzie. Poprzedniej nocy nie zmrużyłam oka, ponieważ miałam potwornie niewygodne łóżko, a w sobotę rano ostatni raz się kąpałam. - Zaczepnęła powietrza. - Cedric, wplątaliśmy się w naprawdę upiorną historię i obawiam się, że Elaine faktycznie nie żyje. Ta kobieta, którą spotkaliśmy w Langbury, Pamela Luke, pochodzi z Liverpoolu, z rozbitej rodziny alkoholików. Jedenaście lat temu, w wieku osiemnastu lat, wyjechała do Londynu, utrzymywała się z różnych dorywczych prac. Poznała mężczyznę, Pita Waversa, i została jego dziewczyną. Pit miał bliskiego przyjaciela, Rona Malikowskiego. Obu mężczyzn cechuje niesłychana brutalność. Zajmowali się wówczas - pomijając innego rodzaju działalność przestępczą - przede wszystkim su-tenerstwem. Współpracowali z siatką handlarzy żywym towarem, którzy przywozili do Anglii kobiety ze Wschodu i zmuszali je przemocą do prostytucji. Pamela z czasem zrozumiała, że o ile Malikowski jest wprawdzie brutalny, ale przynajmniej przewidywalny, o tyle Wavers zasługuje na miano psychopaty. W każdym razie dziś tak się o nim wyraża. Groził jej straszliwą zemstą, gdyby kiedykolwiek przyszło jej do głowy go opuścić, a ona ma pewność, że nie była to

tylko czcza gadanina. Dzień i noc marzyła o ucieczce, ale brakowało jej odwagi. Pit zaczął się systematycznie nad nią znęcać, tak że była coraz bardziej zastraszona.

- Dlaczego nie zgłosiła się na policję? - zapytał Cedric.

- Straciła wiarę w to, że ktoś mógłby jej pomóc. Pit i Ron mieli grupę znajomych, było jasne, że policja nie zaaresztuje ich wszystkich. Domyślała się, jaki los ją czeka. Do dziś nie ma za grosz zaufania do policji.

- Rozumiem - skinął głową Cedric. Rosanna ciągnęła:

- Pod koniec października 2002 roku stało się coś, co spowodowało u Pameli traumę, od której według mnie do dziś się nie uwolniła. Jedną z prostytutek pracujących dla Pita i Rona, Angielka o nazwisku Jane French, dała nogę. Jane przez jakiś czas miała romans z Pitem i ta ucieczka tak zraniła jego męską dumę, że kompletnie oszalał.

Poruszył niebo i ziemię, żeby ją znaleźć, i faktycznie wreszcie trafił na jej ślad, i pod koniec listopada odnalazł ją w ruinie domu w Hackney, gdzie się przed nim ukryła. Pamela, w owym czasie daleka od tego, żeby postrzegać Jane jako swoją rywalkę, mimo swojego związku z Pitem próbowała ją ostrzec, ale zjawiała się za późno. Była świadkiem tego, jak Wavers przez wiele godzin znęcał się nad młodą kobietą, a następnie ją zamordował. Na jej szczęście Wavers nie zauważył, że jest obserwowany.

- O Boże - powiedział Cedric przerażony.

- Myśl o ucieczce stała się dla Pameli niemal obsesją. Wiedziała, że jej relacja z Pitem Waversem wcześniej czy później skończy się jakimś aktem przemocy. Poznała jego najciemniejszą stronę, całymi dniami i nocami żyła w strachu. W końcu w kwietniu 2003 roku odkryła przypadkowo w szufladzie biurka w mieszkaniu Malikowskiego angielski paszport. Malikowski zawsze odbierał kobietom dokumenty, ale przeważnie przechowywał je w niedostępnym dla innych miejscu. Pameli również odebrano wszystkie papiery. W tej sytuacji znalezisko stanowiło dla niej prawdziwą szansę. Udało jej się zabrać paszport. A teraz zgadnij, do kogo należał?

288

289

- Nie mam pojęcia.

Wyjęła paszport z torebki i podała go bratu. Widziała, jak jego oczy robią się okrągłe ze zdziwienia, kiedy go otworzył.

- To niemożliwe! - powiedział.

- Teraz rozumiesz, dlaczego wydaje mi się, że Elaine albo nie żyje, albo jest w poważnych tarapatach? W styczniu 2003 roku znika bez śladu. W kwietniu tego samego roku jej paszport zostaje odnaleziony w mieszkaniu sutenera w Islington. Cedric, gdzieś pomiędzy mieszkaniem Marca Reeve'a a lotniskiem Heathrow Elaine musiała spotkać Rona Malikowskiego albo Pita Waversa. I to doprowadziło ją do zguby.

Cedric wstał z miejsca.

- Rosanno, musisz natychmiast zgłosić to na policję - powiedział. Skinęła głową.

- Wiem. Problem stanowi Pamela. Umiera ze strachu.

- Zabraliście ją ze sobą do Londynu?

- Siedzi w mieszkaniu Marca i wzbrania się przed wyjściem. Pięć lat temu udała jej się ucieczka. Od tego czasu ukrywa się w różnych miejscach, przede wszystkim na północy Anglii. Pod nazwiskiem Elaine Dawson.

- Czy to nie ryzykowne? Przecież to nazwisko było znane Waversowi.

- Pewnie. Ale musiała przedłożyć jakieś dokumenty, żeby dostać pracę, wynająć pokój, a innych nie miała.

- Pięć lat... Dlaczego nie wyjechała za granicę? Rosanna wzruszyła ramionami.

- Ze strachu. Legitymowała się lewymi papierami i nie miała pojęcia, skąd one pochodzą. Gospodarzowi w Northumberlandii można było je bez większych obaw pokazać, ale w przypadku kontroli granicznej sprawa mogłaby okazać się trudniejsza.

- Ale pięć lat... I nadal się obawia tego Waversa? Przecież po tak długim czasie pewnie już o niej zapomniał.

- Twierdzi, że jego żądza zemsty z czasem tylko się nasila. Poza tym musi teraz iść na posterunek i złożyć na niego doniesienie. Nie będzie zachwycony, kiedy Pamela opowie policji, kto zabił Jane French oraz co on i Malikowski mają jeszcze na sumieniu.

- Tak, rozumiem. Ale mimo wszystko musicie iść na policję. Nie ma innego wyjścia. A co na to Reeve?

- Jest tego samego zdania. Twierdzi, że powinniśmy jak najszybciej to zgłosić.

- Ma absolutną rację. Rosanno...

- Wiem. Ale naprawdę martwię się o Pamelę. Przez ten przekłety artykuł - wskazała gazetę - być może znalazła się w wielkim niebezpieczeństwie. Wavers może trafić na jej ślad. Pamela jeszcze nic nie wie o tym paszkwile, ale wczoraj była oczywiście świadkiem wizyty reportera i wie, że ma on jej zdjęcia. Swoją drogą ciekawe, jak mu się udało tak szybko posłać tę fotografię do redakcji...

- Wystarczył laptop, na który przegrał zdjęcia, i dostęp do Internetu. A to nie jest żaden problem. Fotografia i wszystkie potrzebne informacje trafiły na biurko naczelnego akurat przed oddaniem numeru do druku.

- Tak się głupio składa, że w artykule podano także nasze nazwiska. To punkt zaczepienia dla Waversa.

- Przede wszystkim może bez trudu znaleźć adres Reeve'a. Dlatego jego mieszkanie nie jest najbezpieczniejszym schronieniem dla panny Luke. Chociaż w dalszym ciągu jestem zdania, że jej obawy są mocno przesadzone. Jasne, że po tym wszystkim co przeszła, ma prawo reagować w ten sposób. Ale osobiście trudno mi sobie wyobrazić, że Wavers po pięciu latach nie ma nic lepszego do roboty, niż uganiać się za kobietą, która kiedyś od niego uciekła.

- Nie uda ci się jej przekonać. A nie chcę jej dręczyć, rozumiesz? Ta kobieta przeszła piekło. Jak mogłabym iść teraz na posterunek, żeby następnie zjawić się w mieszkaniu Marca z policjantem u boku i zmusić ją do złożenia zeznań... Czułabym się jak zdrajczyni.

Spojrzeli na siebie. W końcu Rosanna powiedziała:

- Mam zamiar zrobić rzecz następującą... Marc zgłosi się na policję i opowie o wszystkim, co wiemy. Najpierw jednak umieszczę Pamelę w bezpiecznym miejscu. W jakimś pensjonacie pod Londy-

nem. Oczywiście zostanie tam zakwaterowana pod fałszywym nazwiskiem. Może nawet z nią zostanę... to zależy od tego, jak będzie się czuła. Dopiero kiedy policja zaaresztuje Waversa, Pamela opuści swoją kryjówkę.

- Policja będzie chciała od razu z nią porozmawiać. Wzruszyła ramionami.

- W takim razie z pewnością jakiś funkcjonariusz będzie mógł się z nią spotkać. Ale ona musi znaleźć się w bezpiecznym miejscu. Jak sam powiedziałaś, mieszkanie Marca Reeve'a się do tego nie nadaje, a na myśl o przeniesieniu się do naszego hotelu wpadła w popłoch... zbyt centralnie położony, za dużo ludzi.

Cedric wstał.

- To niezły pomysł, ale pozwól, że ja się tym zajmę - powiedział zdecydowanym tonem. - W końcu to ja nawarzyłem tego piwa. Pojadę z panną Luke na prowincję, znajdę jakieś odludne miejsce i tam będę czekał. Ty i Marc jesteście za bardzo zaangażowani w tę sprawę.

- Naprawdę byłbyś gotów to zrobić? Skinął głową.
- To przecież mnie Pamela Lukę zawdzięcza, że jej zdjęcie ukazało się w prasie. Chciałbym to jej jakoś zrekompensować. Poza tym...
- Tak? - spytała, kiedy Cedric przerwał w pół zdania.
- Poza tym chciałbym zrobić coś pożytecznego - powiedział. - Od tyłu dni gniję już w tym hotelu, śpię do południa, wydaję pieniądze taty...
- Pożyczyłeś od ojca pieniądze?
- Myślisz, że parę nędznych dolców starczyłoby mi na ten hotel?
- Cedric...
- Wiem. Nie mogę tak dłużej żyć. Jasne. Nawet sobie nie wyobrażasz, jak bardzo prześladowuje mnie ostatnio ta myśl.
- To dobrze, że chcesz pomóc Pamela. Ale to nie zmieni nic w twoim życiu, wiesz o tym!

Wyglądał na zniecierpliwionego.

- Wiem, wiem! Ale pozwól mi od czegoś zacząć, dobrze? To dopiero początek. Pierwszy krok. Potem zobaczę, co dalej.

292

- W porządku. - Nie chciała go dłużej dręczyć, ale obawiała się, że to jeden z typowych dla Cedrica zrywów: robi coś spektakularnego, coś wyjątkowego, co ze wszech miar zasługuje na uznanie, przez co jednak nie posunie się ani o krok do przodu.

To nie był odpowiedni moment, żeby o tym rozmawiać. Mieli zbyt wiele innych palących problemów. Podniosła się z miejsca.

- Idę się wykapać i przebrać. I zadzwonić do Denisa. Od piątku wieczór Rob nie pojawił się w domu.

-Co?

- Pokłócili się z powodu imprezy, na którą Denis nie pozwolił mu iść. Ciągle to samo. Dlatego nie sądzę, że coś mu się stało. Myślę, że Rob jest po prostu wściekły na ojca i ukrywa się u któregoś ze swoich przyjaciół. Mimo wszystko to musi być dla Denisa okropne.

- Może Rob ukrywa się również dlatego, że ciebie nie ma - powiedział Cedric. To nie przyszło jej do głowy.

- Tak myślisz?

- Sądzę, że twoi mężczyźni w Gibraltarze, każdy na swój sposób, odchodzą od zmysłów. Jesteś w tej rodzinie czynnikiem stabilizującym. Kiedy ciebie nie ma, obaj mają poważne problemy.

- Nie mogę przez cały czas ich pilnować.

- Oczywiście, że nie. Ale za każdym razem kiedy próbujesz przeciąć pępowinę, tracą na chwilę grunt pod nogami. Spróbuj to zrozumieć.

Rosanna podeszła do drzwi. Była tak zmęczona, że mogłaby zasnąć na stojąco. Jednocześnie nerwy miała napięte jak struny. Jej własne życie przywodziło na myśl zwariowany, przerażający film.

- Rosanno - powiedział Cedric, kiedy stała już w drzwiach. - Czy to, co tu piszą, to prawda? Że... że łączy cię coś z Markiem?

Jako dzieci Rosanna i Cedric kłócili się do upadłego i czasami chcieli wydrapać sobie

oczy, ale nigdy nie mieli przed sobą tajemnic. Jedno było najbliższym powiernikiem drugiego.

- Tak - odpowiedziała bez ogródek - to prawda.

293

Cedric zagwizdał przez zęby.

- No to masz więcej problemów, niż sądziłem.

Nic nie odpowiedziała, tylko wyszła z pokoju. Na zewnątrz oparła się o ścianę i głęboko odetchnęła.

Po kolei. Nie wszystko naraz. Inaczej oszalejesz. Jedno po drugim.

Następny krok to długi gorący prysznic. Dopóki się nie umyje, nie będzie myśleć o żadnych problemach.

4

Pit Wavers zostawił swój samochód na parkingu. Auto stało w bezpośrednim sąsiedztwie jego domu i chociaż miał przy sobie kluczyki, uważał, że nie warto ryzykować. Poza tym jeśli Ron puści farbę i zacznie go szukać gliny, jego tablice rejestracyjne znajdą się niebawem w centrum zainteresowania policji. Nie był głupi. Nie miał zamiaru dać się wsadzić na dwadzieścia lat za kratki, tylko dlatego że załatwił dwie dziwki, które i tak były nikomu niepotrzebne.

Znał kumpla, który winien był mu przysługę, i od niego postanowił pożyczyć samochód.

- Możliwe, że będę mógł ci go oddać dopiero za kilka dni - powiedział.

Kumpel wypalił już kilka skrętów i popatrzył na Pita szklistym wzrokiem.

- Jasne. Nie ma problemu - mruknął.

Pit miał wrażenie, że za dziesięć minut mężczyzna nie będzie mógł sobie przypomnieć, komu właściwie pożyczył swój samochód.

Tym lepiej.

Odnalezienie adresu Marca Reeve'a w książce telefonicznej na pocztę okazało się błahostką. Natychmiast tam pojechał i przez jakiś czas przechadzał się przed piękną budowlą z piaskowca, której

fasady zdobiła bogata sztukateria. Biuro znajdowało się, jak wynikało z tabliczki na ścianie, na pierwszym piętrze, ale miał wrażenie, że jest puste. Okna wychodziły na północ i dodatkowo zacięniały je wysokie, choć jeszcze nagie drzewa. O tej godzinie powinno palić się światło, ale w środku było ciemno.

W końcu zadzwonił i tak jak się spodziewał, odpowiedziała mu cisza. Adresu Rosanny Hamilton nie udało mu się znaleźć. W Londynie mieszkała cała masa osób o tym nazwisku, również takich, których imię zaczynało się na R. Znalezienie tej właściwiej było wręcz niemożliwe. Jeżeli w jakiś sposób miał dotrzeć do Pameli Luke, to tylko przez Marca Reeve'a.

Przez chwilę stał przed wejściem, nie wiedząc, co robić, kiedy nagle z domu wyszła starsza kobieta w futrze i zmierzyła go nieufnie wzrokiem.

- Pan do kogo? - zapytała wysokim, nieprzyjemnym tonem.

- Do mecenasa Reeve'a - powiedział Pit.

Zafascynowany patrzył na grube złote kolczyki w jej uszach. Zawsze kiedy ludzie tak bezwstydnie obnosili się ze swoim bogactwem, miał ochotę załatwić ich jednym uderzeniem i wziąć sobie to, czym go bez najmniejszych oporów prowokowali.

Lecz niewątpliwie nie był to najlepszy moment, żeby folgować swoim zachciankom.

- W biurze nikogo nie ma - powiedziała starsza kobieta.

- Mieszkam na parterze, wiedziałabym, gdyby było inaczej. Słyszę każdy krok dochodzący z góry, rozumie pan? To mankament starych domów. Skrzypiąca podłoga. Człowiek nigdy nie ma spokoju.

- Mój Boże, to musi być faktycznie uciążliwe - powiedział Pit.

- Mam bardzo ważne akta dla pana Reeve'a. Musi je jak najszybciej otrzymać. Nie ma nawet jego sekretarki?

- Od tygodnia jest chora na grypę. - Staruszka była naprawdę dobrze poinformowana. Nieufność na jej twarzy się pogłębiła.

- Gdzie ma pan te akta?

- W samochodzie - pospieszył Pit z wyjaśnieniem. - To straszny ciężar. Dlatego najpierw chciałem sprawdzić, czy ktoś jest w środku.

Kobieta wzruszyła ramionami. Pit wyczuł zapach ciężkich, drogich perfum.

- Mogę wpuścić pana do środka, żeby mógł pan postawić akta przed drzwiami biura - zaproponowała.

To nie było to, czego oczekiwał Pit. Udał lekkie oburzenie.

- Na litość boską! To bardzo poufne dokumenty! Mam oddać je panu Reeve'owi do rąk własnych, inaczej będę miał nieprzyjemności.

- Podrapał się w głowę, jakby się nad czymś zastanawiał.

- A nie wie pani przypadkiem, gdzie mieszka Reeve? - zapytał.

- Mógłbym mu je podrzucić do domu.

- Oczywiście, że wiem, gdzie mieszka pan Reeve - powiedziała oschle sąsiadka. - Ale nie jestem pewna, czy wolno mi podać panu jego adres.

A ja jestem pewien, że znam kilka niezłych trików, żeby cię zmusić do gadania, ty głupia krowo, pomyślał Pit. Zrezygnowany odwrócił się żeby odejść.

- W takim razie... trudno - powiedział cicho. Był już na ulicy, kiedy dobiegł go jej głos.

- Proszę poczekać, jeśli to rzeczywiście takie ważne... Odwrócił się do kobiety.

- Proszę pani, kiedy pan Reeve się dowie, że to dzięki pani tak szybko otrzymał te akta, z pewnością panią ozłoci - powiedział z ulgą.

Pół minuty później miał adres Reeve'a.

Gdy zaparkował samochód naprzeciwko jego domu, przyszło mu do głowy, że być może czeka tu zupełnie bez sensu i że w końcu będzie musiał przerwać całą akcję.

Nie miał pojęcia, czy Reeve jest już z powrotem w Londynie, czy może kręci się gdzieś po Nort-humberlandii. Dlaczego nie przyszedł w poniedziałek rano do pracy?

Jego sekretarka była chora, tym bardziej więc powinien pojawić się w biurze.

Możliwe, że brał udział w rozprawie sądowej i dopiero za jakiś czas tu przyjedzie. W tym przypadku pod wieczór powinien pojawić się w domu. O ile nie będzie nocował gdzie indziej. Czyż „Mirror” nie pisał w niezawołowany sposób o tym, że między

nim a tą dziennikarką coś jest?

296

Im intensywniej się nad tym zastanawiał, tym większa ogarniała go niepewność.

Stojące nisko zimowe słońce nie oświetlało jeszcze ulicy i w samochodzie było zimno. Pit nie odważył się pozostawić włączonego silnika, nie chcąc zwracać na

siebie uwagi. W dzisiejszych czasach roilo się od tych okropnych ekologów, którzy z powodu każdego - w ich przekonaniu - zbędnego grama dwutlenku węgla wpadali w furie. A jeżeli Ron okazał się rozmowny, to wydano już nakaz aresztowania Pita. To bardzo niekorzystny moment, żeby z powodu drobnego wykroczenia przeciwko środowisku znaleźć się na muszce posterunkowego.

A może jednak powinien jechać do Northumberlandii? Jego nienawiść do Pameli, wściekłość z powodu aresztowania Rona, cała ta cholerna sytuacja dała mu taki zastrzyk adrenaliny, że na samą myśl o tym, że mógłby być teraz na autostradzie i przycisnąć gaz do dechy, Pit niemal popadł w euforię. Starał się jednak trzymać swoje uczucia na wodzy. Nie czas folgować swoim potrzebom. Northumberlandia jest duża. Nie znajdzie tam ani Pameli, ani Marca Reeve'a, ani całej tej Hamilton. Tu, w Londynie, miał przynajmniej jakiś adres.

Chuchając w zdrętwiałe dłonie, spróbował je ogrzać, potem roz-tarł zgrabiące palce. Gdyby tylko nie było aż tak zimno! Już za sam fakt, że odmraża sobie tyłek w samochodzie, Pameli należało się szczególne traktowanie. Dotknął pistoletu, niemal z czułością przejechał dłonią po zimnym metalu. Rozerwie ją na strzępy. Prawie pięć lat marzył o tym, żeby stanąć z nią twarzą w twarz. Teraz zaserwuje jej coś naprawdę specjalnego.

Jej ucieczka tak Pita zaskoczyła, że przez kilka dni nie mógł uwierzyć, iż dziewczyna naprawdę to zrobiła. Na domiar złego stało się to akurat w momencie, kiedy nie czuł się najlepiej. Był dzień jak co dzień - zimny, deszczowy kwietniowy poranek. Pit już od dwóch tygodni zmagał się z przeziębieniem i gorączką. Owego wtorku leżał z bólem głowy na sofie i polecił Pameli, żeby natychmiast przyniosła mu dwie aspiryny. Słyszał, jak szpera w łazience, jakiś czas później weszła do pokoju.
- Aspiryna się skończyła. Mam skoczyć do apteki?

297

Miała podbite prawe oko po ich ostatniej kłótni. Do dziś to pamiętał. Pamiętał również, że pomyślał - „nie pozwól jej wyjść. Zadzwoń po Rona albo pošlij kogoś innego, tylko nie wypuszczaj tej dziwki z domu”.

Pit wiedział, że dziewczyna myśli o ucieczce. Rozpoznał sygnały. Pamela porzuciła nadzieję na odzyskanie jego względów. Żyła w ciągłym strachu przed jego atakami agresji. Stała się nieatrakcyjna, schudła, zbladła i miała nerwowy tik w oku. Trzymała się od niego na dystans, gdyż musiała się liczyć z tym, że w każdej chwili może dostać pięścią w twarz - także bez powodu. Pit wiedział, że najłatwiej można zastraszyć człowieka, zachowując się zupełnie nieprzewidywalnie. Pamela nie miała pojęcia, jak się zachować, żeby wprawić go w dobry humor, i przez to jej życie zamieniło się w piekło.

Już jakiś czas temu odebrał jej dokumenty, a ponadto zamykał ją na klucz w mieszkaniu, kiedy szedł gdzieś sam. Chodził z nią na zakupy i dbał o to, żeby nie kręciła się sama po mieście. Kiedyś lubiła biegać, musiała jednak porzucić to hobby, bo nie miał ochoty jej towarzyszyć.

Nie potrzebował jej już jako swojej dziewczyny. Był czas, kiedy szalał za nią, ale teraz działała mu wyłącznie na nerwy. Nie była już tak atrakcyjna jak kiedyś. Mimo młodego wieku na jej twarzy malowała się zgryzota. Już od dawna, nie ukrywając tego, rozglądał się za innymi kobietami i w końcu miał nawet przelotny romans z

Jane French, tą małą dziwką, która próbowała mu uciec.

To on decyduje, kiedy kobieta może iść w odstawkę, tylko on! I Pamela też się o tym przekona.

Owego kwietniowego dnia w końcu pozwolił jej wyjść po aspirynę, bo od bólu głowy dostał mdłości i nie miał już siły organizować innych posłańców. Potem zasnął, a kiedy się obudził, stwierdził, że minęły ponad trzy godziny. Do apteki było pięć minut na piechotę. Po Pameli w mieszkaniu oczywiście ani śladu.

Zataczając się z bólu, przeszedł przez mieszkanie, wołał ją, szukał w szafach i pod łózkami. Jej rzeczy były na swoim miejscu, ale to nic nie znaczyło. Mogła uciec z jedną walizką.

W łazience, głęboko w szafce, znalazł napoczęte opakowanie aspiryny. Okłamała go, mówiąc, że nie ma więcej lekarstwa.

Po zażyciu dwóch tabletek poczuł się nieco lepiej. Mimo że sprawa była jasna jak słońce, wmawiał sobie, że Pamela wróci. Przecież nie mogła mu zrobić czegoś takiego. Może kto inny, ale nie Pamela ze swoim nerwowym tikiem i poddańczym charakterem. Pokręci się trochę po okolicy, ale w końcu przyjdzie z podkulonym ogonem. Zgotuje jej takie przyjęcie, że nigdy nie zapomni.

Jeszcze przez następne dwa dni był pewien swego. Trzeciego dnia Ron mu powiedział:

- Człowieku, ona cię zostawiła, zrozum to wreszcie. Uciekła, i więcej jej nie zobaczysz.

Do dziś pamięta, jak słysząc te słowa, o mało nie udusił się z wściekłości i nienawiści.

Z upływem lat jego nienawiść, o dziwo, nie osłabła. Drzemała przyczajona gdzieś w zakamarkach jego umysłu, ale czasem nagle, bez konkretnego powodu, wybuchała ze wzmożoną siłą. Wtedy Pit jeździł po mieście, wszędzie jej wyglądając. Tak jak w pierwszych tygodniach po jej zniknięciu. Był jak ogłupiały. W takich momentach liczyło się tylko jedno. Żeby ją znaleźć.

Ron często próbował mu wytłumaczyć, że jest szalony.

- Człowieku, czego od niej chcesz? Przecież między wami i tak wszystko było skończone. Po co uganiać się za kobietą, która wyłącznie działała ci na nerwy?!

- Ty też nie popuszczasz, jak któraś ci zwieje!

- Dziewczyny to moje źródło utrzymania. Mój kapitał. Muszę je zastraszyć, inaczej szybko by mi pouciekały, a ja zgryzałbym tynk ze ścian. Ale ty i Pamela to zupełnie co innego. Zapomnij o niej!

To nie miało sensu, Ron nie był w stanie zrozumieć, co przeżywa Pit. Zawsze będzie nosił w sobie urazę z powodu tego, co mu zrobiła. Nie był w stanie utrzymać na wodzy wściekłości, jaką wzbudziła w nim, odchodząc. To uczucie było jak niegasnący ogień złakniony kolejnej ofiary. Ów płomień trawił go od środka. Dopiero kiedy doprowadzi sprawę do końca, uspokoi się.

298

299

Niezwykle rzadko, przeważnie nad ranem, docierał do niego ból, który na co dzień skrywał się pod zasłoną wściekłości. Pit uświadomił sobie, że potrzebuje wybuchów agresji, żeby utrzymać go na wodzy. atW przeciwnym razie nie byłby w stanie go

znieść.

To odkrycie go zaskoczyło. Skąd brał się ów ból? Przecież nie kochał Pameli. Tylko jej pożałował, ale w ostatnim okresie ich związku była mu wręcz ciężarem. Nie rozumiał tego. Wiedział jedynie, że koniecznie musi ją odnaleźć.

Nareszcie prawie dotarłem do celu, powiedział do siebie i zaczął chuchać w zgrabiące dłonie.

Do tego stopnia pogrążył się w rozmyślaniach, że przez jakiś czas zapomniał obserwować ulicę. Serce podskoczyło mu do gardła, kiedy zauważył dwie osoby wchodzące do budynku, w którym mieszkał Reeve. Mężczyznę i kobietę. Może to Reeve i Hamilton? Oczywiście mógł to być również ktokolwiek inny, w końcu w domu mieszkało więcej osób. Niestety nie dostrzegł, czy zadzwonili domofonem, czy otworzyli drzwi kluczem. Przytknął twarz do szyby, ale niewiele to pomogło. Para zniknęła we wnętrzu budynku. Drzwi za nimi się zatrzasnęły.

Przynajmniej coś zaczęło się dziać. Ta kobieta to z pewnością nie była Pamela, tego był pewien. Pamela była wyższa i inaczej się poruszała. Ramiona miała wysunięte do przodu i prawie zawsze splatała ręce na piersi. Miała ładny, obfity biust, który w ten sposób próbowała ukryć. Mężczyzn traktowała jak wrogów, zatem starała się nie przyciągać ich uwagi. Już zanim spotkała Pita, zachowywała się w ten sposób. Jej ojciec miał w tym swój udział. Od kiedy zaczęła dojrzewać, nie czuła się bezpieczna we własnym domu.

Natomiast tamta kobieta szła wyprostowana, z podniesioną głową i nawet od tyłu było po niej widać, że posiada co najmniej przeciętną dawkę pewności siebie. Mogła to być ta Hamilton, dziennikarka. Nienawidził takich kobiet.

Wzmógł czujność i już nie spuszczał budynku z oka. Przez dłuższą chwilę nic się nie działo. Spojrzał na zegarek. Była za dwadzieścia dwunasta. Siedział tu od ponad dwóch godzin. O ile Reeve w ogóle

był w domu, z pewnością miał tam cieplej niż Pit. Przydałaby mu się gorąca kawa.

Właśnie się zastanawiał, czy nie zejść na chwilę z posterunku i nie pójść do najbliższej kawiarni, gdy drzwi budynku otworzyły się i wyszła z niego dwójka ludzi. Mężczyzna i kobieta. Po brązowej skórzanej kurtce rozpoznał mężczyznę - był to ten sam facet, który mniej więcej przed kwadransiem wszedł do środka, ale teraz towarzyszyła mu inna kobieta. To była Pamela.

Nawet gdyby nie widział jej aktualnego zdjęcia w gazecie, pomimo upływu lat i znacznej zmiany wyglądu, od razu by ją rozpoznał. Nowa fryzura - krótkie ciemne włosy zamiast blond grzywy

- czyniła z niej zupełnie inny typ kobiety- Był pewien, że w dalszym ciągu nosi krzykliwe stroje, okazało się jednak, że dziewczyna stanowi teraz całkowite przeciwieństwo poprzedniego wcielenia

- ubrana była bardzo niepozornie. Miała na sobie czarne dżinsy, oliwkową wiatrówkę, szary szalik i czarne sznurowane półbuty. Ani śladu makijażu, o ile był w stanie z daleka rozpoznać. Wyglądała bezbarwnie i nieatrakcyjnie. I sprawiała wrażenie starszej niż w rzeczywistości.

O Boże, co ona ze sobą zrobiła? pomyślał Pit zdumiony.

Serce biło mu jak oszałałe. Czuł, że ciśnienie niebezpiecznie mu podskoczyło.

Zakreśliło mu się w głowie i chociaż siedział, odruchowo chwycił obydwoma rękami

kierownicę.

Oto ona. Nagle stanęła mu przed oczyma. Przypomniał sobie, jak owego kwietniowego dnia wychodziła z domu. W dzinsowej minispódniczce i w srebrnych szpilkach. Blond włosy, związane w koński ogon, kołysały się na plecach.

A teraz ukradkiem wymykała się z jakiegoś londyńskiego mieszkania. Po kusej spódniczce i szpilkach nie został ślad. Ale krąg wreszcie się zamknął i niebawem wszystko powróci na swoje miejsce.

Korciło go, żeby wyskoczyć z samochodu, przebiec przez ulicę, dać towarzyszowi Pameli w zęby i porwać dziewczynę. Zabrać ją w jakieś odludne miejsce, gdzie nikt by im nie przeszkadzał. Gdzie mógłby się z nią w spokoju porachować.

300

301

Ale to byłoby nierozsądne. Nie tu w centrum Londynu. Facet z pewnością stawiałby opór, krzykiem wzbudziłby zainteresowanie przechodniów. Ktoś zanotowałby numery rejestracyjne jego samochodu. Daleko by nie ujechali.

Pamela powiodła niespokojnym wzrokiem po ulicy i Pit zsunął się na siedzeniu, chowając się za deskę rozdzielczą. Niesamowite, że tak jak dawniej ręce miała skrzyżowane na piersi. Nie przestała być czujna.

I słusznie.

Kiedy wychylił się zza kierownicy, zobaczył, że mężczyzna - prawdopodobnie Reeve - otwiera zaparkowany przed wejściem do budynku samochód z londyńską rejestracją i wpuszcza Pamelę do środka. Następnie obszedł auto i usiadł za kierownicą. Zapiął pasy. Lada chwila ruszą.

W tej chwili Pit musiał zdecydować, co robić.

Właściwie sprawa była prosta. Pojedzie za nimi. Nic innego mu nie pozostało.

Kiedy samochód, w którym siedziała Pamela, wyjechał na ulicę, Pit również ruszył. Ręce miał mokre od potu. Nie może stracić ich z oczu, ale nie powinien się trzymać zbyt blisko. Jeśli Pamela z jakiegoś powodu spojrzy w tylne lusterko, może go rozpoznać. Pit nie zmienił się i domyślał się, że jego widok prześladował ją w snach. Znała każdą zmarszczkę na jego twarzy.

Teraz musisz dać z siebie wszystko, powiedział do siebie Pit.

Od dawna nie czuł takiego napięcia.

I takiego zdecydowania.

5

Dochodziła czwarta po południu. Marc i Rosanna siedzieli w biurze Scotland Yardu w gabinecie inspektora Fieldera i mieli wrażenie, że wreszcie rozmawiają z właściwą osobą.

Po tym jak Cedric i Pamela odjechali w nieznane, Marc udał się do swojego biura, ale właściwie tylko po to, żeby odebrać pocztę i ostatecznie odwołać przełożone na popołudnie spotkania.

Następnie pojechali z Rosanną na najbliższy posterunek policji, gdzie utknęli w biurze wyjątkowo flegmatycznego biurokraty, który protokołował każde ich słowo i przez cały czas dawał im wyraźnie do zrozumienia, że ich opowieść jest niezwykle ekscytująca, ale nie jest pewien, czy mają traktować poważnie czy uważać za żart. W końcu Marc stracił cierpliwość i powiedział zdecydowanie, że chce rozmawiać z

przełożonym policjanta. Po krótkiej dyskusji jego żądanie zostało spełnione. Wtedy wreszcie coś drgnęło, szczególnie gdy padło nazwisko Jane French. Nastąpiły ożywione rozmowy przez telefon, w których wyniku Marc i Rosanna zostali przewiezieni wozem policyjnym do Westminsteru, do dwudziestopiętrowego budynku, w którym mieściła się siedziba Scotland Yardu. Zaprowadzono ich do sali konferencyjnej i poinformowano, że zaraz zajmie się nimi inspektor Fielder. Czekaając, Rosanna po raz kolejny spróbowała dodzwonić się do Denisa, ale nie było go ani w domu, ani w biurze, nie odbierał także telefonu komórkowego. Coraz bardziej martwiła się o Roberta, a jednocześnie narastała w niej złość na Denisa. Najwyraźniej postanowił ukarać ją za pobyt w Anglii, pozostawiając w całkowitej niewiedzy. Uświadomiła sobie, że jeśli ich związek ma przetrwać, będą musieli przeprowadzić całą serię wyjaśniających rozmów - o ile w ogóle uda im się znaleźć jakąkolwiek płaszczyznę porozumienia. Mimo całego napięcia, jakie odczuwała, przepełniał ją głęboki smutek. Tyle się zmieniło w ciągu tych kilku dni.

Wreszcie pojawił się Fielder, mężczyzna spokojny, a na pierwszy rzut oka także niepozorny i powściągliwy. Przy bliższym poznaniu dochodziło się jednak do wniosku, że błędem byłoby nie doceniać jego zdecydowania i determinacji.

Fielder zaprowadził ich do swojego gabinetu i wskazał miejsca naprzeciwko siebie przy biurku. Kiedy jego sekretarka przyniosła kawę, inspektor odezwał się wreszcie: - Twierdzą państwo, że wiedzą, kto w listopadzie 2002 roku zamordował Jane French? Proszę mi wszystko opowiedzieć.

302

303

Rosanna pozwoliła Marcowi przedstawić całą zawikłaną historię. Fielder słuchał w skupieniu, ani razu nie przerywając. Kiedy Marc skończył, jako pierwsze padło pytanie:

- Gdzie znajduje się teraz Pamela Luke?

- Jest z moim bratem - odparła Rosanna. - Gdy tylko znajdą jakieś schronienie, skontaktują się z nami.

- Panna Luke powinna być teraz tutaj - powiedział na to Fielder, marszcząc czoło. Marc skinął głową.

- Wiemy o tym. I chętnie byśmy ją tu przyprowadzili. Ale nie udało nam się jej do tego nakłonić. Inspektorze, ta kobieta znajduje się w głębokim szoku. Jest przekonana, że Pit Wavers za sprawą zdjęcia w prasie trafił na jej ślad. Ze strachu przed jego zemstą nie zgodziła się złożyć na niego doniesienia. Na to oczywiście nie mogliśmy się zgodzić, ale nie chcieliśmy wywierać na nią presji w obawie, że mogłaby wpaść w panikę.

- Rozumiem - powiedział Fielder.

- Przystała na kompromis, że zgłosimy się na policję dopiero wtedy, gdy ona znajdzie się w bezpiecznym miejscu. Będzie tam przebywać dopóty, dopóki Wavers nie zostanie schwytany.

- Czy pańskie mieszkanie, panie Reeve, nie wydało się panu wystarczająco bezpieczne?

Marc potrząsnął głową.

- Nie chodzi o to, co mnie wydaje się bezpieczne. Chodzi o uczucia panny Luke. Ta

zaś twierdziła, że skoro moje nazwisko padło w artykule opublikowanym dzisiaj w „Daily Mirror”, Pit Wavers z łatwością może odnaleźć mój adres. Nie chciała tam zostać. Skłonny jestem twierdzić, że nieco wyolbrzymia zagrożenie. Jednakże nie udało nam się jej przekonać, że wbrew jej przeczuciom jej życie nie jest w niebezpieczeństwie.

- Rozumiem - powtórzył Fielder. Następnie dodał: - Panie Reeve, jest pan adwokatem, więc zna się pan na rzeczy. Zakładam, że zdaje pan sobie sprawę, że decyzja o wywiezieniu z Londynu w nieznanym kierunku tak ważnego świadka nie była słuszna.

Marc przyjął zarzut.

- Oczywiście. Rozwahałem różne rozwiązania i w końcu podjąłem taką, a nie inną decyzję. Ze zrozumiałych powodów nie jest ona po pańskiej myśli.

- Cedric, mój brat, niebawem się do nas odezwie - zapewniła Rosanna.

Fielder zignorował tę uwagę. Rosanna czuła wyraźnie, że jest zły, próbował jednak tego nie okazywać.

- Czy panna Luke wymieniła kiedykolwiek nazwisko Lindy Biggs? - zapytał Fielder. Marc zmarszczył czoło.

- Dopiero co pisano o niej w prasie, prawda? Młoda kobieta, której ciało znaleziono w Epping Forest.

- Istnieje zbieżność pomiędzy tą sprawą a zabójstwem Jane French. Naturalnie to mało prawdopodobne, że panna Luke wie coś na ten temat, skoro od lat ukrywa się w Northumberlandii.

- Nigdy nie wymieniła tego nazwiska - powiedziała Rosanna.

- Sądzi pan, że Pit Wavers kilka dni temu znów bestialsko zamordował kobietę? - zapytał Marc z niedowierzaniem i widać po nim było, że powoli zaczyna traktować poważniej paniczny strach Pameli.

- Oba zabójstwa wykazują wiele podobieństw - powiedział ostrożnie Fielder.

Zastanawiał się przez chwilę, po czym dodał: - Dziś rano aresztowaliśmy Rona Malikowskiego. Pewien świadek widział go w grudniu w towarzystwie Lindy Biggs.

- Malikowski został aresztowany? - zapytał Marc. - To najbliższy przyjaciel Waversa! Nie należy wyciągać zbyt pochopnych wniosków, ale trybiki zaczynają się zazębiać. Fielder był tego samego zdania.

- Niewątpliwie. Malikowski uparcie zaprzecza, jakoby brał udział w obu przestępstwach. Ale jak dotąd nie wymienił żadnego nazwiska. To przypuszczalnie kwestia czasu. Tacy jak on bez skrupułów wsypią kumpla, żeby tylko ratować własną skórę.

- Inspektorze - powiedziała Rosanna - czy ma pan jakiś pomysł, co mogło się stać z Elaine Dawson?

304

305

Już dawno zauważyła, że Fielder nie jest skory do spekulacji. Może snuł domysły, ale na pewno nie zwykł dzielić się nimi. Rosanna była jednak niezwykle ciekawa, co doświadczony funkcjonariusz Scotland Yardu ma w tej sprawie do powiedzenia.

- Fakt, że pięć lat temu wszelki śluch po niej zaginął oraz że krótko po zniknięciu Elaine jej paszport został znaleziony w mieszkaniu mężczyzny, który przesłuchiwany

jest w związku z dwoma morderstwami, niestety nie wróży nic dobrego - powiedział Fielder. - Nawet jeśli się okaże, że to nie Malikowski, tylko jego najlepszy kumpel jest tym, kogo szukamy, nie polepsza to sytuacji. Nie będzie chyba dla pani zaskoczeniem, jeśli powiem, że w przypadku Elaine Dawson należy być przygotowanym na najgorsze.

Rzeczywiście, Rosanna nie była zaskoczona. Liczyła się z taką odpowiedzią.

- Wiem - powiedziała.

- Zapytamy o to Malikowskiego - powiedział Fielder. - Będzie nam musiał wyjaśnić, w jaki sposób paszport znalazł się w jego posiadaniu. Swoją drogą, czy ma pani przy sobie ten dokument? Czy też panna Lukę nadal podróżuje pod przybranym nazwiskiem?

Rosanna otworzyła torebkę, wyjęła paszport i podała go inspektorowi. Ten, obejrzawszy dokument starannie, odłożył go na bok. Było jasne, że go zatrzyma. Podniósł się, dając tym do zrozumienia, że uważa rozmowę za zakończoną, i padł Rosannie, a następnie Marcowi na pożegnanie rękę.

- Dziękuję, że państwo przyszli. Dostarczyli nam państwo niezwykle ważnych informacji. Państwa adresy w Londynie są nam znane. Chciałbym prosić, żeby przez jakiś czas nie opuszczali państwo miasta. Poza tym, jak tylko poznają państwo miejsce pobytu Pameli Lukę, mają obowiązek nas powiadomić.

- Może pan na nas polegać - powiedział Marc.

Rosanna spojrzała ukradkiem na telefon. Cedric jeszcze się nie zgłosił.

Wyruszyli z Pamelą cztery godziny temu.

Cedric wyjechał z Londynu w kierunku Somerset, właściwie nie zastanawiając się, co robi, ale tę drogę najlepiej znał i wielokrotnie nią jeździł. Ostatni raz w zeszłą sobotę. Przez chwilę rozważał, czy nie pojechać po prostu do ojca i nie zakwaterować się u niego, ale kiedy to zaproponował, Pamela z oburzeniem odrzuciła ten pomysł.

- Nie! Pit mógłby nas tam znaleźć. Musimy pojechać w jakieś neutralne miejsce.

- Szczerze mówiąc, nie wydaje mi się, żeby Wavers mógł nas tam znaleźć. Zna wprawdzie nazwisko Hamilton, ale Rosanna przyjęła je po mężu. To prawie niemożliwe, żeby udało mu się dowiedzieć, jak nazywała się wcześniej i gdzie mieszkała.

Pamela tylko odpowiedziała:

- Nie zna go pan.

Zarzucił więc ten pomysł. Może to i lepiej. Musiałby wtajemniczyć ojca w całą sprawę, a to mogłoby się okazać dla staruszka zbyt dużym obciążeniem.

Raz po raz wpadali w korek i w ślimaczym tempie posuwali się do przodu. W miarę upływu czasu Cedric coraz częściej ponawiał propozycję, żeby zatrzymać się w następnej wsi i poszukać jakiejś kwatery, ale Pamela za każdym razem stanowczo się sprzeciwiała.

- Jesteśmy jeszcze za blisko Londynu!

- Niedługo dojedziemy do Bristolu! - powiedział Cedric. - Wydaje mi się, że znajdujemy się poza zasięgiem wszystkich londyńskich zbirów!

Powoli zaczął sobie uświadamiać, jak trudnego zadania się podjął. Chętnie porozmawiałby z Pamelą, żeby się czegoś o niej dowiedzieć, ale kobieta torpedowała wszelkie próby nawiązania kontaktu. Spoglądał na nią ukradkiem sponad kierownicy.

Siedziała skulona, z rękami splecionymi na piersi i przez całą drogę nie zmieniała pozycji. Głowę schowała w ramionach niczym nieufny zółw. Sprawiała wrażenie, jakby najchętniej rozmyśla się w powietrzu albo w jakiś inny sposób stała się niewidzialna. Otaczała ją aura strachu, jej lęk wyda-

306

307

wał się wręcz namacalny. Cedric odniósł wrażenie, że strach stał się nieodłączną częścią tej kobiety. Nawet jeśli wszyscy Waversi świata znajdą się za kratkami, strach pozostanie. Świat jawił się Pameli Luke jako miejsce grozy, podobnie jak zwierzęciu, które było zbyt długo maltretowane, żeby móc wierzyć jeszcze w ludzką dobroć.

Kiedy zapadł zmrok i dojeżdżali do Glastonbury, zmierzając w kierunku Burnham-on-Sea, Cedric postanowił przeciwstawić się Pameli i jej panicznym poleceniom:

„Dalej! Dalej!”. Zrozumiał, że z własnej woli kobieta nigdy się nie zatrzyma.

Wjechał w zatoczkę na skraju szosy i zaparkował. Spojrzał na Pamelę. Jej wychudzona blada twarz, oświetlona ostatnimi promieniami słońca, z jakiegoś powodu przywiodła mu na myśl wąski sierp księżyca.

- Pamelo, teraz rozejrzemy się za jakimś pokojem - powiedział łagodnie, ale wyczuła, że Cedric nie ma ochoty na dyskusje. - Możemy jechać aż do Kornwalii, a nawet jeszcze dalej, ale kiedyś dotrzemy na koniec kraju i tam trzeba będzie zawrócić.

Anglia jest wyspą!

Widział, że skinęła głową.

- Wiem. Tylko że... - zawahała się. - Czuję, że jestem w niebezpieczeństwie - powiedziała w końcu. - Serce mi bije jak oszalałe. Coś... - szukała słów, którymi mogłaby wyrazić swoje przeczucia, ale zamilkła.

- Pamelo, rozumiem to, ale proszę mi wierzyć, nie kieruje się pani obiektywną oceną sytuacji, tylko strachem - powiedział. - Wie pani, jak to jest. Kiedy się boimy, na każdym kroku wietrzymy niebezpieczeństwa. Pamiętam czasy, kiedy byłem małym chłopcem. Potwornie bałem się piwnicy naszego domu. Za każdym razem kiedy musiałem zejść na dół, żeby przynieść coś do picia, słyszałem dziwne odgłosy albo widziałem błyszczące w ciemnościach oczy. Mógłbym przysiąc, że sobie tego nie wymyśliłem, raz nawet naprawdę się zdenerwowałem, kiedy mój ojciec wspomniał coś o fantazjowaniu. Dzisiaj wiem, że w piwnicy nie było duchów. W pobliżu nie ma żadnego Pita Waversa. Jesteśmy już prawie nad morzem i jutro pokażę pani

308

plażę w Burnham-on-Sea. Często tam kiedyś bywałem. To piękna okolica. Może uda się pani tam na chwilę zapomnieć o strachu!

Zauważył, że nie całkiem udało mu się ją przekonać, ale przynajmniej już się nie broniła. Nie dlatego, że przestała się bać, lecz ponieważ pojęła, iż nawet gdyby uciekła na koniec świata, strach zawsze będzie jej towarzyszył.

Znalezienie kwatery okazało się trudniejsze, niż sądzili. Noc zapadała szybko, a Cedric klął w duchu, że nie postawił na swoim i nie zaczął już wcześniej rozglądać się za noclegiem. Dojechali do Can-nington, gdzie znajdowało się kilka pensjonatów, ale niestety większość była jeszcze zamknięta. O tej porze roku nikt nie spodziewał się gości i nie był skłonny naprędce sprzątać pokoju, dlatego że nieoczekiwanie zjawiała się dwójka chętnych. Cedric zastanawiał się, czy nie jechać dalej do

Bridgewater i nie poszukać miejsca w hotelu, ale Pamela znów wpadła w popłoch.

- Nie, tylko nie hotel - powiedziała błagalnym tonem i Cedric zrezygnował z przekonywania jej.

- Proszę spróbować u pani Blum, zaraz za rogiem - poradziła mu kobieta, do której zajrzeli, gdyż tabliczka na domu informowała, że są u niej wolne pokoje. Te jednak zostały świeżo pomalowane i nie były jeszcze gotowe. - Pani Blum ma cztery apartamenty w domu na skraju wsi. Może tam uda się państwu coś wynająć.

Rada okazała się dobra. Pani Blum nie była wprawdzie zachwycona, że w ten zimny wieczór musi podnieść się z sofy, ale wizja nieoczekiwanego zarobku postawiła ją na nogi.

- Na jakie nazwisko? - zapytała nieufnie i Cedric postanowił nie ryzykować.

- Państwo Jonesowie - powiedział. - Jesteśmy przejazdem, ale może zatrzymamy się tu na parę dni.

- Dziwna pora na podróżowanie - skomentowała pani Blum, kręcąc głową. - Trzeba było wcześniej coś zarezerwować. Nie grzeję zimą w apartamentach, rozumieją państwo. Nie opłaca się, kiedy nikt w nich nie mieszka. Gdybym wiedziała...

- Poradzimy sobie - zapewnił ją Cedric.

309

- Terma gazowa dobrze działa. Ale trochę to potrwa, zanim zrobi się ciepło.

Pani Blum pojechała przodem swoim autem, Cedric i Pamela ruszyli za nią. Opuścili wieś i jechali krętymi drogami. Wkrótce, jak okiem sięgnąć, nie widać było żadnych świateł, które wskazywałyby na ludzkie osady. Tylko od czasu do czasu mijali jakiś samochód.

Pamela zapadła się głębiej w siedzenie.

- Ale pustkowie!

Cedric zareagował lekką irytacją.

- Nie chciała pani jechać do miasta i zatrzymać się w normalnym hotelu. Nie możemy bez końca szukać. Jestem zmęczony i chciałbym się wreszcie położyć. Żeby znaleźć coś lepszego, powinniśmy byli trochę wcześniej zacząć szukać. Przed zapadnięciem zmroku!

Nic nie odpowiedziała, ale widział, że się trzęsie. Miał ochotę objąć ją ramieniem, żeby się uspokoiła, nie odważył się jednak na ten gest. Miał wrażenie, że mógłby ją w ten sposób jeszcze bardziej wystraszyć.

W pewnym momencie pani Blum zboczyła z szosy i wjechała na kręty podjazd. Po obu stronach rosły wysokie drzewa, które choć jeszcze nagie, stały tak blisko siebie, że pochłaniały światło księżyca, i wszystko tonęło w głębokim mroku. Cedric wprawdzie się nie bał, ale zdawał sobie sprawę, że nie jest to odpowiednie miejsce dla jego towarzyski.

Jutro poszukamy czegoś innego, postanowił w duchu.

Mieli przed sobą nową i nieszczerownie piękną budowlę z płaskim dachem. Była ona zaprojektowaną zupełnie bez polotu, surową i pozbawioną ozdób.

- Mój mąż przed laty odziedziczył tę ziemię - wyjaśniła pani Blum. - Rozebraliśmy stary budynek i zbudowaliśmy ten. Są tuczące ry apartamenty. Zadłużyliśmy się wtedy po uszy, ale latem co roku mamy komplet gości i niedługo będziemy nad kreską.

Wyglądała na bardzo zadowoloną z siebie. Cedric uważał, że jest tak samo

antypatyczna jak jej dom, natomiast Pamela nadal pozostawała obojętna na wszystko. Weszli do środka za gospodynią. Pani Blum otworzyła pierwsze drzwi odchodzące od korytarza i wkroczyła do mieszkanek, które

- jak Cedric szybko się zorientował - składało się z dwóch małych sypialni, łazienki i salonu z niszą kuchenną. Apartament urządzone był tanim kosztem i wyposażony tylko w najniezbędniejsze sprzęty. I rzeczywiście, w środku panował ziąb. Trudno. Jedną noc mogą tu wytrzymać.

Pani Blum pokręciła coś przy wiszącej na ścianie termie, która

- co z ulgą zarejestrował Cedric - zgrzytając i sapiąc, obudziła się do życia.

- Niedługo zrobi się cieplej - powiedziała pani Blum. Wręczyła im klucz i poprosiła o zapłacenie z góry za pierwszą noc.

- Jutro do państwa zajrzę - obiecała i było jasne, że jej odwiedziny mają służyć jedynie pobraniu opłaty za kolejne dni. Cedric wiedział, że latem wybrzeże w okolicy Kanału Bristolskiego zalewają masy turystów. To tłumaczyło fakt, dlaczego ta niesympatyczna kobieta nie miała problemów z wynajęciem położonego na pustkowiu domu o wyglądzie bloku komunalnego.

A może okolica jest wyjątkowo ładna, pomyślał Cedric. Jutro się dowiemy.

Starannie zamknął drzwi za panią Blum, nie tyle z przezorności, ile z troski o Pamelę. Ta stała na środku brzydkiego salonu z rękami wciąż splecionymi na piersi. Była biała jak kreda.

- A teraz - powiedział Cedric z przesadną werwą w głosie - zadzwonię do Rosanny i powiem jej, gdzie nas zaniósł. Być może ma dla nas jakieś nowiny. Może Wavers siedzi już za kratkami.

Na wyświetlaczu telefonu komórkowego zauważył informację o kilku nieodebranych rozmowach, najwyraźniej nie usłyszał w samochodzie dzwonka. To pewnie Rosanna.

Jasne, jego siostra nie umiała sobie wytłumaczyć, dlaczego to tak długo trwało.

Zauważył, że nie ma zasięgu, i zaklął w duchu. Nic dziwnego - do tej odludnej zalesionej doliny nie docierał żaden sygnał. Spróbował skorzystać z telefonu stojącego na barku w kuchni, ale ze słuchawki dochodziła głucha cisza. Aparat nie był podłączony. Cholerna, skąpa jędrza!

Domyślił się, że potrzebna jest karta telefoniczna, żeby aktywować połączenie, i że pani Blum w ten sposób dodatkowo zarabia na gościach.

Pamela wlepiła w niego wzrok.

- Telefon nie działa?

- Potrzebna jest karta. Pewnie pani Blum się obawia, że ktoś mógłby ją swoimi rozmowami wpędzić w ruinę.

- Komórka też nie działa?

- Nie ma zasięgu. Pewnie wystarczy wyjść na ulicę. Zaraz...

- Nie! - Pamela jeszcze bardziej pobladła. - Proszę teraz nie wychodzić!

- Muszę zadzwonić do siostry. - Cedric zastanawiał się przez chwilę. - Nie wiem jak pani, ale ja jestem głodny jak wilk. Proponuję wsiąść do samochodu i pojechać do jakiegoś pubu w Burnham, żeby coś zjeść. Stamtąd będziemy mogli zadzwonić.

Pamelą zdawały się targać sprzeczne uczucia.

- A jeśli wyjedziemy i w tym czasie...

- Co takiego? - zaczynała go denerwować. Wyglądała jak wystraszona mysz z

szeroko otwartymi oczyma.

- W tym czasie Pit może wejść do środka i zacząć się tu na nas. Myśl ta wydała mu się tak absurdalna, że omal nie wybuchnął

śmiechem. Zdołał się jednak powstrzymać, czuł bowiem jej autentyczny strach.

- W tym celu musiałby najpierw się dowiedzieć, gdzie jesteśmy. Jak miałoby mu się to udać? Przecież nie trafi przypadkiem do tego sielankowego zakątka!

Nie wyglądała na przekonaną, ale nie oponowała. Cedric miał wrażenie, że w ogóle rzadko sprzeciwia się mężczyznom. Pewnie w przeszłości wystarczająco często tego żalowała.

Wziął z półki kluczyki do samochodu.

- Chodźmy. Wyszli w ciemność.

Dookoła panowała cisza, nawet najłżejszy podmuch wiatru nie poruszył nagich gałęzi drzew.

7

Rosanna stała w hotelowym pokoju i właśnie się zastanawiała, czy czarna sukienka, którą ma na sobie, nie jest aby za krótka i czy nie zostanie odczytana jako jednoznaczna zachęta, kiedy nagle rozległ się dzwonek telefonu. Ku swemu zaskoczeniu usłyszała głos Denisa. Wielokrotnie próbowała się z nim połączyć, już niemal straciła nadzieję, że kiedykolwiek uda im się porozmawiać. Aż tu nagle sam się zgłosił. Jego głos brzmiał matowo.

- Rosanno? To ja...

Potrzebowała paru sekund, żeby otrząsnąć się z zaskoczenia, a wtedy, zamiast się z nim przywitać, wybuchnęła:

- Denis? To nie do wiary! Wiesz, jak się martwiłam?

- Rosanno...

- Ostatnia wiadomość, jaką od ciebie otrzymałam, to informacja o zniknięciu Roberta. Następnie również ty zapadasz się pod ziemię, nie dajesz znaku życia i nie odbierasz telefonów. Coś wiadomo?

- Rob poleciał do Londynu do swojej matki. Rosanna przez chwilę nie mogła złapać tchu.

- Co takiego? - zapytała z niedowierzaniem.

-Rosanno, jestem w Londynie. Przyleciałem dzisiaj po południu. Marina powiadomiła mnie wczoraj wieczorem. Nie chciała, żebym przyjeżdżał. Sądzę, że Rob też sobie tego nie życzył. Ale... po prostu nie mogłem dłużej wytrzymać w Gibraltarze.

Denis jest w Londynie. W pobliżu. Rosanna poczuła nagle ciężar na piersi.

- Czy możemy się spotkać? Z trudem przełknęła ślinę.

- Kiedy?

- Teraz. Wezmę taksówkę i przyjadę do ciebie do hotelu. Rosanna umówiła się z Markiem na kolację, ale chodziło o Roberta i miała wrażenie, że nie może wykręcić się od tej rozmowy.

- W porządku - powiedziała niechętnie.

Przez chwilę zdawało się, że Denis chce o coś jeszcze zapytać, pewnie nie uszło jego uwagi, jak mało entuzjastycznie zare-

agowała na propozycję spotkania. Ale po krótkim wahaniu rzucił tylko:

- W takim razie do zobaczenia! - i odłożył słuchawkę. Chwilę później znów zadzwonił telefon. Tym razem Cedric.

- Było zajęte! - rzekł z wyrzutem.

W tle rozlegał się gwar rozmów i brzęk szklanek.

- Cedric! Nareszcie! Gdzie jesteście?

- W Burnham, w hrabstwie Somerset. Pamela nie pozwoliła mi się wcześniej zatrzymać. Najchętniej pojechałaby na koniec świata. Faktycznie jest kompletnie skołowana.

- Cedric, byliśmy z Markiem w Scotland Yardzie. Ron Malikowski, facet, w którego mieszkaniu Pamela znalazła paszport Elaine, dziś rano został aresztowany w związku z popełnionym w zeszłym tygodniu morderstwem. Możliwe jednak, że to sprawka Waversa. Policja go szuka.

- To dobrze. Mam nadzieję, że wkrótce go przyskrzynią.

- Nie podobało im się, że Pamela opuściła Londyn. Inspektor prowadzący śledztwo chce koniecznie z nią porozmawiać.

- Nie sądzę, żeby udało mi się ją nakłonić do powrotu do Londynu, dopóki Wavers przebywa na wolności.

- Ale może zgodziłaby się na spotkanie w Burnham. Gdzie się dokładnie zatrzymaliście?

- Kawalek drogi za Cannington. W straszliwym apartamencie... nie zostaniemy tam dłużej niż jedną noc. Właścicielka odłączyła telefon i nie mam tam zasięgu. Teraz dzwonię z pubu, gdzie przyszliśmy coś zjeść. Jutro znajdziemy coś lepszego.

- Proszę zadzwoń do mnie jutro rano, jak tylko będziesz mógł. Inspektor Fielder musi porozmawiać z Pamelą.

- Jasne. Zadzwonię. Z samego rana. Obiecuję.

Pożegnali się. Rosanna stanęła przed lustrem. Sukienka napraw dę była za krótka, ale nie miała ochoty się przebierać. Przyjrzała się swojemu odbiciu. Masz problem, Rose Anne!

Właściwie sytuacja zaczynała się powoli klarować. Przestępstwo, którego ofiarą padła Elaine - ani ona, ani policja nie miała wątpliwości, że do takowego doszło - zostanie wkrótce wyjaśnione. Biorąc pod uwagę wszystkie dostępne informacje, kluczową postacią w tej sprawie zdawał się Pit Wavers. Schwytywanie go to tylko kwestia czasu. Być może Pamelę Luke uda się wówczas zacząć nowe życie. Marc uwolni się od horroru przeszłości. Geoff Dawson otrzyma dowód, że siostra nie porzuciła go z własnej woli, i może dzięki temu odzyska spokój ducha. Niewykluczone, że uda się pochować Elaine w rodzinnym grobie na cmentarzu w Kingston St. Mary. Wszystko będzie dobrze.

A ja wrócę do Gibraltaru i będę żyła długo i szczęśliwie u boku Denisa.

Na twarzy w lustrze malowała się troska.

Zakochałam się w Marcu. Czy mogę zachowywać się tak, jakby nic się nie stało, i powrócić do rzeczywistości, którą na chwilę porzuciłam? Życ długo szczęśliwie u boku Denisa? Być szczęśliwą w Gibraltarze? Zadowolona ze swego trybu życia? Jeśli miała być ze sobą szczerą, odpowiedź na ostatnie trzy pytania brzmiała „nie”.

I na tym polegał problem. Udawało jej się ignorować i wypierać ze świadomości fakt, że nie jest szczęśliwa w małżeństwie, aż w jej życiu nie pojawił się inny mężczyzna. Teraz jednak był Marc. Nie mogła dłużej uciekać przed rzeczywistością, chowając głowę w piasek.

Odwróciła się od lustra. Marc! Musi do niego zadzwonić i odwołać dzisiejszą kolację!

Na razie spotkanie z mężem jest ważniejsze.

- Czy masz jakieś plany na wieczór? - zapytał Denis niespodziewanie, kiedy po formalnym powitaniu w hotelowym foyer usiedli w fo-telach. Kelner przyniósł dla Rosanny wodę mineralną, a dla Denisa dżin z tonikiem. Denis, który zawsze przykładał dużą wagę do swojego wyglądu, był wyjątkowo niedbale ubrany: miał na sobie dżinsy, lekko przybrudzoną koszulę w kratkę i marynarkę, która kolorystycznie nie

314

315

pasowała do całości. Był źle ogolony i wyglądał na bardzo zmęczonego.

Prawdopodobnie od zniknięcia Roberta nie zmrużył oka. Rosanna w odpowiedzi na jego pytanie potrząsnęła głową.

- Nie, nie mam żadnych planów.

- Bardzo ładnie wyglądasz.

- Dziękuję.

- Cóż - Denis odkaszlnął. - Sytuacja jest niewesoła. Jak już wspomniałem...

-...Rob uciekł do swojej matki. Rozmawiałeś z nim? Jak się czuje?

- Jest zdezorientowany. Nie był zachwycony, widząc mnie w Londynie, i właściwie niewiele się odzywał. Najważniejsze, co mi powiedział, to że nie chce wracać ze mną do Gibraltaru.

- Przecież chodzi tam do szkoły!

- Twierdzi, że równie dobrze może też chodzić do szkoły w Londynie. I to prawda.

- Chce zamieszkać z matką? Denis wzruszył ramionami.

- Wygląda na to, że nie ma jeszcze konkretnego planu. Wydaje mi się, że przede wszystkim chce się uwolnić ode mnie. Nie zastanawia się nad konsekwencjami swojej decyzji. Uciekł z domu i udał się do jedynej osoby, która mu pozostała, do swojej matki.

- A jak ona na to zareagowała?

- Marina? Chyba trochę ją to wszystko przerasta. Rob nie uprzedził jej o swoim przyjeździe. Ukradkiem wszedł do jej domu. Właśnie wróciła z wycieczki i już chciała wołać na pomoc, gdyż wzięła go za włamywacza. Nagle z dnia na dzień ma syna, który domaga się, żeby zachowywała się wobec niego jak matka. Wzięła kilka dni wolnego, żeby spędzić z nim trochę czasu. Robi, co może.

- W gruncie rzeczy to nawet dobrze, że się poznali - powiedziała Rosanna. - Przecież matka Roberta nie umarła. Osobiście zawsze uważałam, że to przykre, że nie mają ze sobą żadnego kontaktu. Robert jest w trudnym wieku. To czas poszukiwania własnej tożsamości, a do tego potrzebna jest matka. Być może jego ucieczka do Anglii jest raczej wyrazem tej potrzeby niż skutkiem waszej kłótni.

316

- Czy chcesz przez to powiedzieć, że nasza kłótnia popchnęła go tylko do tego, czego już wcześniej pragnął?

- Myślę, że już od dłuższego czasu dręczy go kwestia jego narodzin. Ma z Mariną sporo do wyjaśnienia. Może nie należy się temu sprzeciwiać.

- Jest coś jeszcze - powiedział Denis.

Nie patrzył na Rosannę, spoglądał w głąb hotelowego foyer, gdzie panowało wieczorne zamieszanie; kręcili się tu umówieni na służbowe kolacje biznesmeni, stało kilka starszych par, które sądząc po strojach, wybierały się na koncert albo do teatru, nowo przybyli goście, którzy ciągnąc za sobą walizki na kółkach, zmierzali w kierunku recepcji. Panował gwar, skądś dobiegały dźwięki pianina.

- Jest coś jeszcze - powtórzył Denis. - Robert był w kiepskim stanie, zanim... zanim uciekł z domu. Wbił sobie do głowy, że do nas nie wrócisz. Najwyraźniej już od jakiegoś czasu żywi takie obawy, a twój pobyt w Londynie tylko go w nich utwierdził. Wydaje mi się, że jego świat drży w posadach. Boi się, że lada chwila nasza rodzina się rozpadnie. Sądzę, że gdyby jedyną przyczyną jego ucieczki był mój zakaz, zwróciłby się do ciebie. Biorąc pod uwagę fakt, że doskonale się rozumiecie, byłoby to logiczne. Ale jemu się wydaje, że cię traci. Albo że już stracił. Dlatego nazwał Marinę jedyną osobą, którą ma oprócz mnie. Próbuje zastąpić cię Mariną. Jest to oczywiście niemożliwe i z pewnością się nie uda...

Rosanna była zadowolona, że mówiąc, uparcie omija ją wzrokiem, obawiała się bowiem, że ma panikę wypisaną na twarzy i patrząc na nią, Denis wszystkiego by się domyślił.

- Tak... tak ci powiedział? - zapytała po chwili nie swoim głosem. - Że nie wrócę? Denis wciąż na nią nie patrzył.

- Powiedział, że nie jesteś ze mną szczęśliwa. I że odejdziesz. Wyraził się bardzo jasno.

Nic nie odpowiedziała. Wreszcie Denis skierował spojrzenie w jej stronę.

317

- Czy to możliwe, że ma rację?

Kurczowo obejmowała dłońmi szklanekę z wodą. Nagle zobaczyła samą siebie jak w lustrze — świeżo umyte włosy, mocniejszy niż zwykle makijaż, o wiele za krótka sukienka. Denis miał przed sobą zupełnie inną kobietę. Odpowiedź leżała jak na dłoni.

- Nie wiem - powiedziała, kiedy milczenie przedłużało się. ~ Naprawdę nie wiem. Zaczerpnął głęboko powietrza.

- Czy zdajesz sobie sprawę, jak mogę to odebrać? Skinęła głową.

Patrzył wprost na nią.

- W twoim życiu jest inny mężczyzna. I to z nim byłaś umówiona dziś wieczór.

- Denis, proszę cię...

- Czy możesz być ze mną szczerą?

- Jestem szczerą, mówiąc, że nie wiem. Poznałam innego mężczyznę, to prawda. Ale nie wiem, czy ten związek ma przyszłość, nie wiem, czy tego w ogóle chcę. Nie mam jasności co do własnych uczuć ani do tego mężczyzny, ani do ciebie. Potrzebuję czasu.

- Czasu! - powiedział drwiąco, ale w jego głosie pobrzmiwało wielkie

rozczarowanie i ból.

- Denis, najpierw muszę sama jakoś się z tym wszystkim uporać. - Spojrzała na niego błagalnie. Miała nadzieję, że ją zrozumie. - Kiedy za ciebie wyszłam, całkowicie dostosowałam się do twojego stylu życia. Do twojego kraju, twojego syna, twoich Przyjaciół. Zostawiłam wszystko, co należało do mnie. I nie jestem szczęśliwa.

- Ale wtedy...

- Wiem. Nikt mnie do tego nie zmuszał. Lecz na dobrą sprawę nie miałam wyboru, jeśli chciałam być z tobą. Od początku było jasne, że żyjemy twoim życiem, a nie moim.

- Już wtedy prowadziłem w Gibraltarze dobrze prosperującą, agencję nieruchomości. Nie mogłem jej przecież rzucić.

- A ja miałam pracę, która sprawiała mi przyjemność.

318

- Ale nie miałaś własnej firmy. Równie dobrze mogłaś znaleźć pracę gdzie indziej. Ja musiałbym zostawić wszystko, co przez lata budowałem, i zaczynać zupełnie od początku.

- Tak. I dlatego ta kwestia nigdy nie była przedmiotem dyskusji. Być może właśnie z tego względu nigdy nie udało ci się zrozumieć, jak dalece wyszłam ci naprzeciw. Sama przed sobą nie chciałam się do tego przyznać. Jednakże kiedy podjęłam temat pracy w Gibraltarze, tak długo starałeś się mi to wyperswadować, aż się poddałam. Pod koniec miałam wrażenie, że siedzę w domu, robię pranie, gotuję i łagodzę wasze spory. To mi nie wystarczało. Denis, to dla mnie o wiele za mało...

Pokiwał głową.

- Chciałem po prostu... chciałem, żeby Rob miał prawdziwą rodzinę. Żeby w domu czekała na niego matka, kiedy wraca ze szkoły. Żeby jego dni miały jakiś rytm. Kiedy byłem z nim sam, ciągle musiałem organizować dla niego opiekę, oddawałem go to tu, to tam... Żyliśmy od jednego prowizorycznego rozwiązania do następnego. Nie chciałem ponownie go na coś takiego narażać. Pragnąłem zapewnić mu poczucie bezpieczeństwa.

Dotknęła jego ramienia. Wiedziała, jak bardzo kocha Roberta. Wiedziała również, że jej uczucia do niego właśnie tu brały swój początek - w jego miłości do syna i we wzruszeniu, jakie to w niej wywoływało. Ale jej uczucie niszczyło wynikające z miłości do syna zadanie, które złożył na jej barki. Denis widział ją tylko w jednej roli - jako doskonałą matkę dla Roberta. Nic innego go w niej nie interesowało. Aż w końcu i ona zaczęła postrzegać się w ten sposób.

- Może to właśnie był problem - powiedziała Rosanna. - Szukałeś przede wszystkim matki dla Roberta. Myśl o żonie zepchnąłeś na dalszy plan. Ale najsmutniejsze jest to, że mimo wszystkich twoich starań Rob nie czuje się z tym szczęśliwy.

- Tak - powiedział. - Chyba masz rację.

Oczy miał zaczerwienione ze zmęczenia. Rosanna zapragnęła wziąć go w objęcia, pogłaskać mu twarz i zapewnić, że wszystko będzie dobrze.

319

Ale to nie byłoby szczere.

- Daj mi trochę czasu - poprosiła raz jeszcze. - W ciągu ostatnich kilku lat pogubiłam się. Muszę się zastanowić, co chcę zrobić ze swoim życiem.

Potał zmęczone oczy.

- Jak miałyby to wyglądać? Mam czekać, aż w końcu mi powiesz, że zdecydowałaś się na kogoś innego i nie wracasz.

- Nie chodzi o to, na którego mężczyznę się zdecyduję. Chodzi o coś znacznie ważniejszego.

W jego oczach zapalił się gniew.

- Czyżby? Nie chodzi o mężczyznę? Spójrz na siebie! Twój wygląd jest zachętą dla niego, żeby pozwolił sobie wobec ciebie na więcej, niż przystoi w stosunku do mężatki. Może to zrobić, jak tylko będziesz miała za sobą tę nieprzyjemną rozmowę ze swoim małżonkiem, którego odeślesz do byłej przyjaciółki i ich wspólnego syna. Fundując mi na pożegnanie słodką gadkę o poszukiwaniu własnej tożsamości i prosząc, żebym dał ci trochę czasu. Czasu, który bez wątpienia spędzisz w bardzo przyjemny sposób. Tyle jest dla mnie jasne.

- Nie spałam z tym mężczyzną i nie mam takiego zamiaru.

- Dlatego nałożyłaś na twarz kilogram pudru i masz na sobie sukienkę, w której musisz uważać, żeby nie było widać ci majtek, o ile w ogóle je nosisz. Dla mnie nigdy się tak nie stroiłaś.

- Bo tego nie lubisz.

- Owszem - powiedział dobitnie - nie lubię!

Podniósł się z fotela, odstawił z impetem szklankę na stół i przywołał kelnera obsługującego gości w foyer.

- Pozwól, że ja zapłacę. W końcu chwilowo tu mieszkam. Potrząsnął głową.

- Chyba mogę zaprosić cię na drinka. To cię do niczego nie zobowiązuje.

Wyglądał na tak zranionego, że chciało jej się płakać.

- Chciałabym zobaczyć się z Robem - powiedziała. - Może jutro?

- Zadzwoń do niego - odpowiedział zdawkowo.

Niezdecydowani stali naprzeciwko siebie. Potem pojawił się kelner i Denis zapłacił rachunek.

- Tak, zadzwonię do niego. - Rosanna powtórzyła jego słowa.

- A jak twoje zlecenie? - zapytał Denis. - Będące powodem czy raczej pretekstem dla twojego pobytu w Anglii?

- To bardzo zagmatwana historia - odparła, nie dając się sprowokować jego uwadze. -

Ale sprawa powoli zaczyna się wyjaśniać. - Do głowy przyszedł jej Cedric, który siedział teraz z Pamelą w Can-nington, oraz gorączkowo poszukująca Pita Waversa policja. I nagle przed oczyma stanął jej Geoff, zgorzkniały, żądny zemsty Geoff, wegetujący w okropnym domu opieki w Taunton. W ciągu ostatnich kilku dni tak wiele się w jej życiu wydarzyło, dużo więcej niż przez ostatnie pięć lat w Gibraltarze. Denis dał jej symbolicznego buziaka w policzek. Poczwała na twarzy łaskotanie jego zarostu. Denis się nie ogolił! Był naprawdę w nie najlepszym stanie.

Patrzyła za nim, jak opuszczał hotel. Zniósł tę rozmowę z większą godnością, niż się spodziewała.

Nagle poczuła potrzebę, żeby zaszyć się w swoim pokoju i wypłakać.

Nie zadzwoni już dzisiaj do Marca. Wydało jej się to niestosowne.

8

Parę minut po dwudziestej drugiej Cedric i Pamela opuścili pub i udali się w drogę

powrotną do apartamentu. Dość długo siedzieli w restauracji, albowiem żadne z nich nie miało ochoty wracać do lodowatego, urządzonego bez smaku mieszkania, które na nich czekało. W pubie było niewiele osób, ale mimo to panowała przyjemna, ożywiona atmosfera. W dużym kamiennym kominku palił się ogień, a jedzenie, które im podano, znakomicie smakowało. Cedric jadł z apetytem, Pamela tylko podziobała widelcem w talerzu i odłożyła sztucce na bok.

320

321

- To bez sensu. Nie uda mi się nic przełknąć.

Cedric zadzwonił do Rosanny i zaraz potem zrelacjonował rozmowę Pameli - Malikowski został aresztowany, trwają poszukiwania Waversa. Chwilowo zataił fakt, że oficer śledczy chciał jak najszybciej porozmawiać z nią i że nazajutrz będą musieli skontaktować się ze Scotland Yardem. To mogło poczekać. Cedric obawiał się, że Pamela mogłaby znów wpaść w panikę, a nie chciał sobie psuć wieczoru. W sumie był zadowolony, że znajdują się w Somerset, cieszył się na jutrzejszy spacer nad morzem. Jakkolwiek powód ich podróży był dość osobliwy, mimo wszystko wyprawa stanowiła dla niego miłą odmianę od londyńskiego hotelu, w którym przesypiał dnie, a noce spędzał na pijatykach, próbując zagłuszyć obawy związane z przyszłością. Jedyne ta kobieta naprzeciwko niego nieco psuła mu humor. Irytowała go jej bladość, szeroko otwarte, przerażone oczy, spłoszone spojrzenie, którym raz po raz omiatała drzwi, jakby obawiała się, że w każdej chwili może wejść przez nie do środka ucieleśnienie zła. Nie chcąc być wobec niej niesprawiedliwy, starał się mieć na uwadze, że przeszła piekło i z oczywistych względów świat budzi w niej grozę. Ale nie do końca rozumiał, dlaczego nawet w tym niewinnym miasteczku, z dala od Londynu, nadal drży jak osika.

Przeszła ciężki uraz, a takie osoby często zachowują się irracjonalnie, próbował sobie wytłumaczyć jej reakcję.

Wypił trochę za dużo piwa, właściwie tylko dlatego, żeby opóźnić moment wyjścia z pubu. Ponieważ był przyzwyczajony do spożywania alkoholu w dużych ilościach, czuł się całkiem normalnie, ale z pewnością nie powinien był siadać za kierownicą. Wszystko jedno. Jakoś muszą przecież dostać się do swojego luksusowego apartamentu.

W samochodzie Pamela nagle powiedziała:

- Nie rozumiem, dlaczego policja musi szukać Pita. Dlaczego nie pójdą po prostu do jego mieszkania i go nie zaarrestują?

- Prawdopodobnie nie było go w domu, kiedy po niego przyszedł i - odparł Cedric - i możliwe, że do tej pory się tam nie zjawił. Jego mieszkanie jest na pewno pod obserwacją. W końcu wpadnie w pułapkę. Może nawet już został złapany.

- Chyba że wie o aresztowaniu Rona.

- Skąd miałby to wiedzieć? Wzruszyła ramionami.

- W tym środowisku informacje szybko się rozchodzą. Skoro Pit do tej pory nie został schwytany, z pewnością ktoś doniósł mu o aresztowaniu Rona. W tej sytuacji nie wróci z własnej woli do domu.

- Czy aresztowanie Malikowskiego musi od razu oznaczać, że

i jemu grozi ten sam los?

- Z pewnością będzie się tego obawiał. Pit nie jest głupi. Jest niebezpieczny i chory, ale to sprytny facet. I zna Rona. To najlepsi kumple, ale dla własnej korzyści jeden wyspałby drugiego bez wahania.

- Bardzo szlachetnie - mruknął Cedric.

- Nie wiedzą, co to szlachetność - powiedziała Pamela. - A nawet gdyby wiedzieli, wydawałoby im się to śmieszne.

Cedric zaklął pod nosem, gdyż zorientował się, że minął zjazd do domu pani Blum. W ciemności łatwo było przeoczyć wąską leśną dróżkę. Włączył wsteczny bieg i podjechał kawałek do tyłu, a następnie skręcił. Kiedy zatrzymali się przed samotną bryłą domu, zwrócił się do Pameli.

- Pamelo, niech mi pani wytłumaczy, w czym rzecz. Powiedzmy, że Wavers liczy się z tym, że mógłby zostać aresztowany, i ukrywa się, możliwe nawet, że wykazuje się przy tym sprytem i wielką ostrożnością. Ale właśnie dlatego nie ruszy na poszukiwanie pani, żeby zaspokoić swą perwersyjną żądzę zemsty. Jest zbyt zaaferowany ratowaniem własnej skóry. Jak miałby tu trafić? Niech się pani rozejrzy! Nikt nas tutaj nie znajdzie!

Wyczuł, że Pamela się trzęsie.

- Nie zna go pan - szepnęła.

- Nie, nie znam go, ale kieruję się zdrowym rozsądkiem - wyjaśnił Cedric i wysiadł z samochodu. - Pamelo, proszę się nie oba-

322

323

wać. Rozumiem, co musi pani czuć, ale naprawdę nie ma pani powodu tak się zadręczać.

Ani mnie, dodał w duchu.

Odnaleźli w ciemnościach drogę do wejścia. Cedric otworzył drzwi. Włączył światło i weszli do środka. Piec gazowy dyszał głośno, wydzielając przykrą woń, ale dawał niewiele ciepła. W pomieszczeniach wciąż było bardzo zimno.

- Czy łóżka są posłane? - zapytał Cedric. Pamela zajrzała do sypialni.

-Nie.

Tego się obawiał.

- Wobec tego musimy najpierw poszukać pościeli. Mam nadzieję, że jest tu coś takiego!

W małej szafie w salonie znaleźli poszewki. Wyglądały na czyste, ale były nieco zwilgotniałe i czuć je było stęchlizną. Pameli zdawało się to nie przeszkadzać, ale Cedric powoli zaczynał przeklinać w duchu tę przygodę.

Skoro świt wyjeżdżamy stąd, postanowił. I poszukamy jakiegoś ładnego i zadbanego hotelu.

- W którym pokoju będzie pani spała? - zapytał. - Niech pani wybiera.

Potrząsnęła głową.

- W ogóle nie będę spała. Zostanę w salonie.

- A to dlaczego?

- Będę czuła się bezpieczniej.

- Nie wierzę własnym uszom! Potrzebuje pani snu! Przecież musi być pani skonana.

A Waversa tu nie ma. Jestem tego pewien!

Ponownie potrząsnęła głową. W szeroko otwartych oczach widać było przerażenie.

- Mam złe przeczucia - szepnęła.

On też czuł, że mało brakuje, a wpadnie we wściekłość. Do diabła, właściwie powinno być mu to obojętne. Niech przesiedzi całą noc w tym zimnym pokoju, marznąc i wpatrując się w okna. Ale wówczas następnego ranka jej nerwy będą w jeszcze gorszym sta

nie, a on będzie musiał to znosić. Denerwowała go i próbował odpowiedzieć sobie na pytanie, dlaczego tak rwał się do tego zadania. To nie był jego problem, tylko Rosanny.

- Może zamiast wciąż pielęgnować w sobie owe złe przeczucia, powinna pani spróbować je zignorować - powiedział poirytowany. - Nic pani nie je, nie chce pani spać, nic dziwnego, że jest z panią coraz gorzej!

- Czuję, że Pit... - powiedziała ze łzami w oczach, ale Cedric przerwał jej ostro w pół słowa:

- Niech pani wreszcie da spokój z tymi przeczuciami! Wmawia to sobie pani i szczerze mówiąc, działa mi już tym na nerwy! - podniósł na nią głos. Kiedy mijał ją, żeby wyjść z pokoju, krzyknęła, robiąc przed nim gwałtowny unik. Zatrzymał się w pół kroku. - Pamelo - powiedział cicho.

Wydała z siebie dźwięk, który przywodził na myśl maltretowanego psa albo bite dziecko.

- Pamelo - powtórzył.

Wyciągnął ostrożnie rękę w jej stronę, ale zaraz ją cofnął.

- Pamelo, przykro mi. Nie chciałem pani przestraszyć. Co on pani zrobił? Co on takiego pani zrobił?

Nie odpowiedziała. W jej oczach widać było wyłącznie strach.

- Proszę się uspokoić - poprosił. Skinęła głową.

- Wydawało mi się... - zaczęła, ale nie dokończyła zdania.

- Wiem, co się pani wydawało - odezwał się Cedric. - Proszę tak nigdy więcej nie myśleć. - Odgarnął z czoła krótkie zmierzwiłone włosy. - Nie wszyscy mężczyźni są tacy jak Pit Wavers - powiedział.

Była kłębkim nerwów i dotarło do niego, że teraz na pewno nie zaśnie.

- Wie pani co, posiedzimy razem w salonie - powiedział. - Rozejrzę się w kuchni, czy pani Blum nie ukryła gdzieś alkoholu. Mały drink dobrze by nam zrobił.

Nic nie odpowiedziała, ale dostrzegł w jej oczach wdzięczność. Była mu wdzięczna, że nie upiera się przy tym, by poszła spać. Była mu wdzięczna, że nie zostawił jej samej.

324

325

Z nadzieją zaczął otwierać jedną po drugiej kuchenne szafki. Łyk czegoś mocniejszego pomógłby Pameli nabrać trochę rumieńców. I nieco ją uspokoił. Cedric nie wiedział, co go obudziło. Minęła chwila, zanim doszedł do siebie i uświadomił sobie, gdzie się znajduje - leżał w niewygodnym fotelu w wyziębionym pokoju, dookoła panowała ciemność. Przemarzył do szpiku kości i wszystko go bolało. Spróbował wstać, ale w tym momencie poczuł przeszywający ból w karku i z trudem

powstrzymał krzyk. Niewygodna pozycja i lodowate zimno zupełnie go rozstroiły. Dlaczego światło jest zgaszone? Przypomniawszy sobie, że siedzieli tu z Pamelą, każde z nich trzymało w dłoni szklaneczkę z whisky, którą jakiś turysta zostawił w kuchni. Pili i trochę rozmawiali, ale pamiętał, że czuł się coraz bardziej zmęczony i kosztowało go wiele wysiłku, żeby nie zasnąć. W końcu musiał go zmorzyć sen. Pamela poszła pewnie do łóżka i zgasiła światło.

Podniósł się z miejsca, po omacku znalazł lampę, która - jak sobie przypominał - stała obok fotela. W ostatniej chwili udało mu się jej przytrzymać i nie przewrócić. Obrzucił spojrzeniem gazową termę, która nie wydawała już nawet żadnych dźwięków.

Jutro zażadam od tej kobiety zwrotu części pieniędzy, pomyślał z wściekłością. Spojrzał na zegarek. Minęło mniej czasu, niż sądził, było dopiero wpół do dwunastej. Spał najwyżej pół godziny.

Później zastanawiał się, co go właściwie obudziło, ale odpowiedzi na to pytanie już nigdy nie będzie mu dane poznać, zresztą może nie ma to znaczenia. Ale ze zgrozą myślał o tym, co mogłoby się stać, gdyby się nie przebudził. Gdyby spał dalej, zwinięty w niewygodnym fotelu... Było to przecież możliwe.

Od strony drzwi do apartamentu dobiegł jakiś dźwięk. Ktoś próbował otworzyć zamek. Ktoś, kto otworzył już zewnętrzne drzwi, znajdował się w budynku.

326

Dźwięk był jednoznaczny, ale Cedric próbował sobie wmówić, że albo się przesłyszał, albo istnieje jakieś logiczne wytłumaczenie. A może udzieliła mu się histeria Pameli, tak że słyszał i widział rzeczy, których w rzeczywistości nie było? Na myśl o Pameli przyszło mu do głowy pewne wyjaśnienie. Może wyszła i niechcący zatrasnęła za sobą drzwi? A teraz, nie chcąc go budzić, próbowała się dostać do środka. To absurd, przecież w takiej sytuacji nie włamywałaby się do mieszkania. Równie absurdalny wydał mu się pomysł, że Pamela miałaby w nocy wychodzić na dwór. Z drugiej strony była tak rozdygotana, że być może kierowała się jakąś niezrozumiałą dla innych logiką.

Postanowił, że nie będzie tak stać na środku pokoju, czekając, co się stanie, tylko pójdzie do drzwi i je otworzy. Do diabła, przecież na co dzień mieszkał na Manhattanie, który z całą pewnością nie należał do najbezpieczniejszych miejsc na świecie. Jeszcze tego brakowało, żeby dał się komuś zastraszyć w idyllicznym Somerset.

Wszedł do małego przedpokoju i właśnie miał podejść do drzwi, kiedy usłyszał ciche syknięcie. Dobiegało ono z łazienki, która sąsiadowała z salonem.

- Jest tutaj - szepnął głośno.

Zajrzał do pomieszczenia. W środku było zupełnie ciemno.

- Pamela? - zapytał cicho.

- Jest przy drzwiach - powiedziała szeptem.

Pewnie siedziała skulona w ciemnościach i Cedric wyobrażał sobie, że musi się trząść jak osika. Najwyraźniej i ona usłyszała dochodzące z zewnątrz odgłosy, w przyprawie paniki wyłączyła wszystkie światła i schowała się w łazience, czyli najbardziej nieodpowiednim miejscu, gdyż nie było z niego ucieczki.

Fakt, że Pamela znajduje się w mieszkaniu, oznaczał coś jeszcze i uświadomiwszy to

sobie, Cedric poczuł się nieswojo - to nie ona próbowała się dostać do środka.

Kto to, na litość boską, może być?

Przez chwilę Cedric nie wiedział, co robić. Stał jak sparaliżowany i w głowie miał tylko jedną myśl: jak mogłem być tak głupi!

327

Żeby nocować na tym odludziu. Ani telefonu, ani zasięgu! Jak, na Boga, mogłem...

Tutaj musiał przerwać. Drzwi otworzyły się i w progu pojawił się gnom o szalonym spojrzeniu. Cedric od razu wiedział, że to Pit Wavers.

Mały, brutalny i chory psychicznie. A do tego uzbrojony.

- Gdzie ona jest? - zapytał.

- Nie wiem, kogo ma pan na myśli - odparł Cedric.

Pit Wavers wystarczająco długo mieszkał z Pamela, a dodatkowo przez ostatnie pięć lat nieprzerwanie o niej myślał od świtu do nocy. Znał ją na wylot. Znał ją lepiej niż samego siebie, gdyż na wszelki wypadek sobie nigdy tak uważnie się nie przyglądał. Z pistoletem wycelowanym w Cedrica przeszedł bokiem do łazienki i włączył światło.

Cedric usłyszał krzyk Pameli.

- Wiedziałem - powiedział Pit. - Szczur zawsze chowa się tam, gdzie najciemniej. Nic się nie zmieniłaś, Pammy. Wstawaj i podejdź do mnie.

Stał oparty o framugę drzwi, wciąż celując w Cedrica.

- Proszę posłuchać... - zaczął Cedric, nie wiedząc dokładnie, co właściwie chce powiedzieć. Może mu surowo nakazać: „Proszę natychmiast stąd wyjść”? To śmieszne. Wavers miał nad nim przewagę. Trzymał palec na spuście. Wystarczyło go tylko lekko zgiąć.

Cedric zauważył, że zaczyna się pocić jak mysz.

- Zamknij się - powiedział. - I na ciebie przyjdzie kolej, sukinsynu.

Pamela wyszła z łazienki. Posłuchała rozkazu i stanęła tuż obok Pita. Ten chwycił ją za włosy, brutalnie za nie pociągnął, tak że jej głowa znalazła się na wysokości jego przedramienia. W tej pozycji ją przytrzymał.

- Zapomniałaś, że zabroniłem ci ścinać włosy? - zapytał. - I czy nie umówiliśmy się, że będziesz zawsze robić to, co ci każę? - Znow ją pociągnął. Pamela krzyknęła, z bólu napłynęły jej do oczu łzy.

Cedric nie wahał się ani chwili dłużej. Momentalnie dotarło do niego, że nie mają nic do stracenia. Wavers ich zabije. Oboje.

328

Z nim rozprawi się pewnie szybciej, Pameli poświęci więcej czasu. Ale zanim wszędzie słońce, oboje będą martwi i nie mają co liczyć na pomoc.

Dał nieoczekiwanego susa do przodu i jednym silnym ruchem wytrącił Waversowi broń z ręki. Pistolet prześliznął się po posadzce do łazienki. Zaskoczony Wavers wypuścił Pamelę-

- Hej! - krzyknął zbity z tropu. Cedric stał tuż przed nim.

- Albo natychmiast stąd wyjdiesz - powiedział. - Albo będziesz miał ze mną do czynienia. Ale trzymaj się z daleka od Pameli!

Zamiast odpowiedzi Cedric dostał cios pięścią. Przewrócił się do tyłu, a z nosa trysnął mu ciepły strumień krwi. Poczuł nieludzki ból.

Mam złamany nos, pomyślał, a w chwilę później nakazał sobie - wstawaj!

Natychmiast wstawaj, zanim podniesie broń!

Jakoś udało mu się podnieść. Choć był o półtorej głowy wyższy od Waversa, umięśniony i wysportowany, ani przez moment nie uległ iluzji, że ma przewagę nad tym chorym na umyśle karłem. Wavers był przyzwyczajony do bójek, miał stalowe mięśnie i prawdopodobnie był niezwykle zwinny. Do tego czerpał niemal nadludzką siłę z chorobliwej wściekłości. Było mu w zasadzie wszystko jedno, czy kogoś zabije, czy zrobi z niego kalekę..

Pamela określiła go mianem psychopaty- Cedric pojął, że miała rację.

Wziął zamach i zadał Waversowi cios w podbródek, po którym ten zatoczył się pod drzwi. Zanim zdążył się zorientować, co się dzieje, pięść Cedrica ponownie wylądowała na jego twarzy. Wavers uchylił się przed kolejnym uderzeniem i rozpoczął kontratak. Uderzył przeciwnika tak silnie w brzuch, że ten przez moment nie mógł złapać tchu. Zrobiło mu się ciemno przed oczyma. Skulił się, a chwilę później poczuł przeszywający ból po prawej stronie klatki piersiowej. Czubek buta Waversa wylądował między jego zębami. Z przerażeniem zrozumiał, że wynik tej walki jest przesądzony. Przegrał. Nie popełnił wprawdzie błędu, bagatelizując możliwości Waversa, nie

329

wyobrażał sobie jednak, że ma on aż tyle siły. Próbował się jeszcze bronić i kopnął Pita w podbrzusze - które w młodzieńczych potyczkach było nietykalne, ale jak zdążył się domyślić, w tym pojedynku nie obowiązywał kodeks honorowy - i Wavers zawył z bólu i przez chwilę był niezdolny do walki. Cedric, sapiąc ciężko, wyprostował się, wytarł twarz przedramieniem i zauważył, że z rękawa swetra kapie mu krew. U jego stóp leżał Wavers, skulony jak embrion, i cicho skamlał.

Wewnętrzny głos podpowiadał Cedricowi, że to odpowiedni moment, aby jednym celnym kopnięciem w głowę pozbawić go na jakiś czas przytomności, ale zbyt długo się wahał, próbując pokonać opór, który mimo wszystko zabraniał mu atakować leżącego na ziemi bezbronnego człowieka. Wprawdzie walczył ze sobą zaledwie kilka sekund, ale to w zupełności wystarczyło Waversowi. Niespodziewanie wyciągnął ręce, objął dłońmi prawą nogę Cedrica i jednym gwałtownym szarpnięciem pociągnął go do przodu. Cedric natychmiast stracił równowagę, którą i tak z trudem udawało mu się do tej pory utrzymać, i runął do tyłu. Poczuł, że uderza głową o coś twardego i zanim stracił przytomność, zdążył pomyśleć - cholera, to by było na tyle.

Nie wiedział, jak długo leżał nieprzytomny, ale kiedy otworzył oczy, ujrzał w drzwiach Waversa. Stał bez ruchu. Lekko pochylony do przodu. Przyczajony.

Cedric czuł wyłącznie ból. Z nosa na całą twarz promieniował palący ból, do tego nozdrza były spuchnięte do tego stopnia, że z trudem mógł oddychać. Wydawało mu się, że głowa za chwilę mu eksploduje. Próbuąc się podnieść, z trudem powstrzymał krzyk. Po prawej stronie klatki piersiowej poczuł przeszywające ukłucie i domyślił się, że Wavers złamał mu kopniakiem co najmniej jedno zebro, o ile nie więcej. Z zaciśniętymi zębami udało mu się podeprzeć na łokciach i podnieść głowę. Zdumiało go to, co zobaczył. W drzwiach salonu, odwrócona do niego plecami, stała Pamela. W ręku trzymała pistolet Waversa. Wycelowała go wprawdzie w swojego wroga, ale

nie wyglądała przekonująco. Trzęsa się tak bardzo, że w najlepszym wypadku trafiłaby w ścianę, sufit albo podłogę, ale nie w Pita.

- Zmiataj stąd - powiedziała zachrypniętym głosem i Cedric domyślił się, że powtórzyła to po raz kolejny.

Wavers nieszczerze się tym przejął. Cedric, mimo że jeszcze otumaniony, wiedział, że sytuacja lada chwila może ulec zmianie. Przez chwilę Wavers nie był w stanie zareagować - tak bardzo zaskoczyło go, że Pamela się broni. Zapewne zdarzyło się to po raz pierwszy. Za kilka sekund dotrze do niego, że ze strony tej kompletnie znerwicowanej kobiety nic mu nie grozi.

Cedricowi udało się usiąść. Do diabła, jeszcze nigdy w życiu nic go tak nie bolało. Ale chyba nie mógł zbyt długo leżeć nieprzytomny. Scena, która rozgrywała się właśnie na jego oczach, nie mogła trwać dłużej niż minutę, może dwie. Mimo obrażeń znowu mógł jasno myśleć.

- Pamela, podaj mi broń - powiedział, ryzykując, że kobieta ze strachu wypuści pistolet.

- Cedric! - zawołała.

- Broń! - zawołał.

Zrobiła szybki krok w jego stronę.

Teraz on trzymał rewolwer. Nie mógł niczego zagwarantować, ale z ulgą stwierdził, że nie drżą mu dłonie.

Siedząc na podłodze z pistoletem w ręku i ze spokojem mierząc w Waversa, powiedział beznamiętnie:

- Zastrzelę cię, Wavers! Możesz mi wierzyć. Jeden krok i jesteś martwy!

Wyglądało na to, że Wavers wyciągnął z tego wnioski. Zanim ktokolwiek zdążył coś powiedzieć albo inaczej zareagować, zwinnym ruchem wymknął się przez drzwi.

Zniknął tak nagle, że zdawało się, że w ogóle go tu nie było. Wokół panowała cisza. Pamela przyklękła obok Cedrica.

- Potrzebuje pan lekarza!

Cedric, próbując się wyprostować, jęknął z bólu.

- Pamela, obawiam się, że on tu wróci. Musimy stąd uciekać.

- Ale jeśli się zabarykadujemy...

- Otworzył wytrychem drzwi do domu i do apartamentu. Nie da się ich już zamknąć.

Drzwi wewnętrzne są nic niewarte. Zresztą...

-Co?

- Nikt nie wie, gdzie jesteśmy, nawet Rosanna nie zna dokładnego miejsca naszego pobytu. Jediną osobą, która przyjdzie tu rano, jest pani Blum. Nie żywię do niej specjalnej sympatii, ale nie możemy pozwolić, by wpadła w łapy tego świra. Zabije ją bez najmniejszych skrupułów, żeby tylko uniemożliwić wezwanie policji.

- Z pewnością to zrobi - potwierdziła Pamela.

- Niech mi pani pomoże wstać - poprosił Cedric. Wspierając się na jej ramieniu, udało mu się podnieść z podłogi.

Stał przygarbiony i lekko pochylony na bok. Ból z prawej strony doprowadzał go do szaleństwa. Oddychał z coraz większym trudem.

- Słyszała coś pani? - zapytał. - W ciągu ostatnich pięciu minut? Odgłos silnika?

Spojrzała na niego skonsternowana.

- Skoro Wavers nas tutaj znalazł, musiał nas śledzić już od Londynu. A to oznacza, że przyjechał samochodem.

- Nie zwróciłam uwagi - powiedziała zrozpaczona. - Nie mam pojęcia. Nie umiem powiedzieć, czy coś słyszałam czy nie. Nie wiem nawet, czy w salonie byłoby w ogóle cokolwiek słyszać!

Cedric też tego nie wiedział i tak jak ona nie zwrócił uwagi na dźwięki dochodzące z zewnątrz. Popelnili błąd. Wavers mógł kręcić się wokół domu, ale mógł też uciec.

Nie mieli pojęcia, gdzie jest. Ale musieli liczyć się z najgorszym.

Cedric zacisnął dłoń na rewolwerze.

- Spróbujemy dostać się do samochodu - powiedział. - Jesteśmy uzbrojeni. A on nie. To nasza jedyna szansa.

Kobieta na skraju załamania nerwowego. Ciężko ranny mężczyzna, który nie jest w stanie utrzymać się na nogach. I rewolwer. Zdawał sobie sprawę, że mają marne szanse.

Wtorek, 19 lutego

Mijała północ, kiedy wreszcie udało im się dotrzeć do drzwi. Bardzo powoli posuwali się do przodu, kilka kroków przez korytarz zajęło im całą wieczność.

Cedric był w stanie oddychać jedynie przez usta, każdy oddech powodował straszliwy ból w płucach. Co chwilę przystawał i pochylony do przodu przeczekiwał kolejne ataki, zanim zrobił następny krok. Starał się nie myśleć o tym, czego naczytał się o złamaniach żeber. Czasem zdarzało się, że pacjenci dopiero kilka dni po wypadku stwierdzali pęknięcie albo złamanie, ponieważ wcześniej nic nie czuli, natomiast inni, tak jak Cedric, od razu prawie mdleli z bólu. Często działo się tak dlatego, że złamane żebra poważnie uszkodziły jakiś organ. Najgroźniejsza była perforacja płuca. Jeśli chory nie otrzymał w porę pomocy, coś takiego mogło okazać się nawet śmiertelne w skutkach. Cedric zastanawiał się, czy fakt, że z takim trudem oddycha i męczy go potworny ból, wskazuje na najbardziej pesymistyczną wersję wydarzeń.

Szybko odsunął od siebie te myśli. Nic teraz nie da, że będzie wyobrażał sobie najgorsze. Musiał się skupić na tym, jak wydostać się z domu i wyjechać z tego zapomnianego przez Boga i ludzi lasu.

Gdyby tylko mógł się szybciej poruszać! Najgorsze było to, że czający się na zewnątrz Wavers, widząc ich ślimacze tempo, z łatwością wywnioskuje, jak ciężko ranny jest jego przeciwnik. Rzeczywiście Cedric czuł się słabo i kręciło mu się w głowie, tak że nie był pewien,

333

czy w razie konieczności w ogóle udałoby mu się oddać strzał, a co dopiero mówić o tym, żeby miał w kogoś trafić.

Przegrywam tę walkę, pomyślał ponownie.

Kiedy byli już prawie przy drzwiach, znów się na chwilę zatrzymał. Zacerpnął powietrza i został za to ukarany rozdzierającym bólem w klatce piersiowej - jakby ktoś wbijał mu w ciało nóż.

- Do diabła, Pamela - powiedział cicho - jak mogła się pani zadawać z tym typem?

W ciemnościach widział tylko zarys jej twarzy, ale dostrzegł blask w jej oczach. Były szeroko otwarte. Musiała być ledwo żywa ze strachu.

- To pierwszy człowiek w moim życiu, który mnie pokochał - odparła i widząc jego zdziwienie, dodała: - Tak mi się przynajmniej zdawało. Przez pierwsze dwa lata gotowa byłam całować ziemię, po której chodził, jeśli tylko by tego ode mnie zażądał.

Drzwi prowadzące na zewnątrz były przymknięte. Cedric lekko je uchylił i wyjrzał ostrożnie. Noc była cicha i wśród drzew panowały kompletne ciemności, ale mimo wszystko Cedric miał wątpliwości, czy to wystarczy, żeby ukryć się przed wzrokiem Waversa. Tym bardziej że nie byli w stanie poruszać się bezgłośnie, przede wszystkim on, ze względu na swoje obrażenia. W mroku dostrzegł ich samochód. Nie zdawał sobie sprawy, że zaparkował aż tak daleko od domu, dobre dziesięć metrów od wejścia. Zaklął w duchu. Wystarczyło zatrzymać się kilka kroków bliżej i sprawa byłaby teraz o wiele prostsza!

Dookoła domu rosły zarośla i drzewa, spośród których nie dochodził żaden dźwięk. Otaczał ich nieprzenikniony gąszcz. Cedric był gotów się założyć, że Wavers gdzieś tu się ukrył. Noc oferowała mu znakomity kamuflaż.

Oczywiście Wavers nie wie, że telefon nie jest podłączony i że nie mam tu zasięgu, pomyślał Cedric. Musi liczyć się z tym, że już dawno zawiadomiliśmy policję.

Pozostając w tym miejscu, naraża się na spore niebezpieczeństwo.

Ich sytuacja przypominała grę w rosyjską ruletkę. Musieli podjąć ogromne ryzyko i nie mieli pojęcia, jak to się skończy.

- Niech pani posłucha - powiedział cicho. Pobiegniemy teraz, tak szybko jak się da, do samochodu. Stoi po prawej stronie, niestety spory kawałek stąd. Da pani radę?

-Tak.

- Ma pani kluczyki?

- Tak. - Wzięła je z komody, kiedy prowadziła Cedrica przez pokój.

- W porządku. No to w drogę i proszę nie rozglądać się na boki. Jest za ciemno. I tak zobaczymy Waversa dopiero, gdy... będzie tuż obok nas.

czuł, że Pamela znów zatrzęsa się ze strachu.

- Hej! - powiedział, siląc się na optymizm, zabrzmiało to jednak mało przekonująco. - Jesteśmy uzbrojeni, proszę o tym nie zapominać!

- Ale jeśli zaatakuje nas od tyłu - szepnęła - wówczas nie będzie miał pan nawet okazji strzelić.

Przez cały ten czas mógł zajść nas od tyłu, pomyślał Cedric. Uświadomił to sobie, kiedy szli przez korytarz. Może ukrył się na górze? - przyszło mu na myśl. Nic jednak nie powiedział. Jeśli Pamela wpadnie teraz w panikę, bynajmniej nie ułatwi to sprawy.

- A może jednak zaczekamy do rana? - znów podjęła temat. Cedric z coraz większym trudem chwycił powietrze.

- Pamela, potrzebuję pomocy lekarskiej. I to jak najszybciej. Obawiam się, że jestem ciężko ranny.

Nic nie widział w ciemnościach, ale zdawało mu się, że skinęła głową.

- W takim razie chodźmy - powiedziała z takim zdecydowaniem, jakiego nie widział u niej przez ostatnie spędzone razem dwanaście godzin.

Było to dziesięć najdłuższych metrów w jego życiu. Jeszcze nigdy droga tak bardzo mu się nie dłużyła. Kiedyś przed laty wziął udział w nowojorskim maratonie. Pod

koniec biegu zaczęły boleć go płuca i miał wrażenie, że trasa nigdy się nie skończy. Ale tamten ból nie był nawet w połowie tak straszny jak teraz. Finisz wyścigu nie był

334

335

aż tak ciężki, długi i beznadziejny jak te dziesięć metrów, które miał do przejścia tej nocy.

Cedric nie pozwalał sobie na przerwy, chociaż czuł, że nogi zaraz odmówią mu posłuszeństwa. Był bliski omdlenia i miał tylko nadzieję, że zanim straci przytomność, będą już daleko stąd.

Bez przeszkód dotarli do auta. Pamela otworzyła samochód pilotem i z impetem szarpnąwszy za kłamkę, posadziła jęczącego z bólu Cedrica na miejscu pasażera. Potem obiegała samochód. Kiedy usiadła za kierownicą, powiedział:

- Niech pani zajrzy na tylne siedzenie. Szybko!

Sam nie był się w stanie odwrócić, a obawiał się, że podczas jazdy zobaczy nagle Waversa we wstecznym lusterku. Samochód wydawał się na pierwszy rzut oka zamknięty, ale kto wie? Sapiąc ze strachu, Pamela odwróciła się.

- Pusto - powiedziała.

- W takim razie ruszajmy!

Pameli tak drżały dłonie, że nie od razu udało jej się zapalić silnik.

- Potrafię prowadzić tylko automat - szepnęła.

- Cholera. Wszystko jedno. Jakoś sobie pani poradzi.

- Tak, ale...

- Proszę jechać, jakkolwiek. Uciekajmy stąd. Muszę się dostać do szpitala... - Cedric poczuł, że robi mu się niedobrze. Z trudem znosił duszności. Miał nadzieję, że Pamela będzie na tyle przytomna, żeby pojechać na najbliższy posterunek policji albo od razu do szpitala, jeśli straci przytomność. Liczył na to, że nie zatrzyma się gdzieś po drodze i nie zacznie płakać. Nie wiedział, co mu dokładnie dolega, ale mógł iść o zakład, że jeśli jak najszybciej nie trafi do lekarza, w ciągu kilku godzin zejdzie z tego świata.

Pistolet wysunął mu się z dłoni. Nie był w stanie nic na to poradzić. Stracił czucie w palcach i uszły z niego resztki energii. Świat zaczął mu wirować przed oczyma.

- Gazu!

Samochód powoli ruszył. Podskakiwali na wertepach. Pamela siedziała pochylona do przodu, z nosem przyklejonym do szy-

by. Nie włączyła świateł. Może to i lepiej. Kiedy wyjadą na szosę, musi jej powiedzieć, gdzie jest pokrętło. Może będzie jeszcze w stanie. Zdawało mu się, że język spuchł i pokrył się szorstkim nalotem.

Jeszcze chwila i po mnie, pomyślał.

Jednocześnie ożyła w nim nadzieja.

Byli w samochodzie. Jechali. Uciekamy stąd. Ten drań nic już nie może nam zrobić. W tym momencie Pamela tak gwałtownie nacisnęła na hamulec, że Cedric poleciał do przodu. Zawył z bólu.

- Dlaczego, do cholery... - zaczął i zaraz zamilkł. Zauważył auto stojące w poprzek drogi tuż przed wyjazdem na szosę.

- Cholera - wykrztusił.

James Bond w takiej sytuacji naciska na gaz i przelatuje nad maską samochodu.

Pamela natomiast bezskutecznie próbowała wrzucić wsteczny bieg.

- Nie mogę znaleźć wstecznego! - krzychała.

- Tylko nie do tyłu - wydusił z siebie Cedric. Z bólu ledwie mówił. - Nie do tyłu...
będziemy... wtedy... w pułapce.

Zauważył jakąś postać, która wyszła z samochodu. Jakiś cień. To Pit Wavers.

Pamela rozpaczliwie walczyła ze skrzynią biegów.

- Niech pan strzela! - zawołała, kiedy Wavers był już blisko. - Niech pan strzela.

- Upuściłem... pistolet...

Skrzynia biegów wydała żalosny zgrzyt. Cedric domyślił się, że zaraz się rozsypie.

Pamela szarpała w jedną i w drugą stronę za dźwignię, ale pewnie zapomniała
wcisnąć sprzęgło.

Wavers szedł w ich kierunku, w każdej chwili gotowy zrobić unik, gdyby zaczęli do
niego strzelać.

Pomimo że Cedric znajdował się na granicy omdlenia, był jeszcze w stanie pomyśleć

- Wavers dużo ryzykuje. To oznacza, że w rewolwerze jest jeszcze tylko jedna albo
dwie kule. Szyba znacznie

336

337

zmniejsza precyzję trafienia. Jeśli uda mu się uchylić od strzałów, za chwilę będzie
nas miał.

- Gdzie jest ten przeklęty pistolet? - krzyknęła Pamela piskliwie.

- Gdzieś... pod... moimi... nogami...

Przestała szarpać za dźwignię i pochyliła się nad Cedrickiem. Ten patrzył na blade,
lśniące od potu oblicze Waversa. Nigdy wcześniej nie widział tak wykrzywionej
nienawiścią twarzy.

To koniec, myślał zrozpaczony, nawet jeśli znajdzie broń, to koniec. Nie... dam rady...
dłużej...

Wavers był coraz bliżej. Teraz stał tuż przy samochodzie.

- Mam - syknęła Pamela.

Wynurzyła się znad jego kolan. Przed oczami Cedrica wszystko zdawało się
rozpływać.

- Strzelaj - szepnął. - Strzelaj, do cholery!

Przypomniał sobie, jak drżały jej dłonie, kiedy przedtem celowała do Waversa.

Niemożliwe, żeby teraz udało jej się trafić. Byli zgubieni.

- Strzelaj - powtórzył mimo wszystko, chociaż nie wiązał z tym już żadnej nadziei.

Od huku wystrzału omal nie pękły mu bębenki. Kula przeleciała przez szybę, która w
ciągu ułamków sekund przemieniła się w ogromną pajęczynę. Zapadając w sen,
Cedric słyszał jeszcze powtarzające się raz po raz głuche odgłosy naciskania na spust.

- Skończyły się naboje! - krzyknęła Pamela wysokim, piskliwym głosem. - Cedric,
skończyły się naboje!

Wiedziałem, pomyślał. No proszę, wiedziałem! Następnie stracił przytomność.

Środa, 20 lutego 1

Żałoba, a w jeszcze większym stopniu niepojęta groza, która zawładnęła życiem

rodziny Biggsów, przeobraziła twarze jej członków w nieruchome maski. Takie było pierwsze wrażenie inspektora Fieldera, kiedy powtórnie ich odwiedził. Zaledwie w ciągu kilku dni wszyscy się zmienili, nawet chłopcy, mimo że za wszelką cenę starali się nie okazywać, jak bardzo dotknęła ich rodzinna tragedia.

Są w szoku, pomyślał Fielder, i widać to po nich.

Dotyczyło to przede wszystkim Angeli. Rozpacz wyłobila głębokie bruzdy na jej twarzy. Mimo młodego wieku jej oblicze naznaczone było zgryzotą. Oczy straciły swój dawny blask, wargi sznurowała, przez co wydawały się węższe niż w rzeczywistości.

Jej ojciec, Gordon, sprawiał wrażenie lunatyka. Wyglądał jak człowiek uwięziony w dziwnym koszmarze, jak ktoś, kto stracił wszelką nadzieję, że kiedykolwiek się przebudzi. Rozpacz ustąpiła miejsca całkowitej apatii. Nie był w stanie obronić się przed tym, co uczyniła z nim brutalna śmierć córki.

Najmniej zmieniona wydawała się Sally, a wiązało się to z faktem, że była ciągle pijana i alkohol otoczył jej świadomość panczerem, który chronił ją przed rzeczywistością. Jedyne zmiany polegały na tym, że z niewyjaśnionych powodów piła teraz wódkę z wąskiego wysokiego kieliszka do szampana. Ze skupieniem na twarzy dolewała sobie trunku, przytrzymując jedną ręką drugą, żeby powstrzymać drżenie. Zachowywała się tak, jakby kieliszek

341

i butelka stanowiły esencję jej życia. Jakby tylko one jeszcze się dla niej liczyły.

Tak jak ostatnio, siedzieli w znajomej już Fielderowi kuchni. Zebrali się wszyscy członkowie rodziny, mimo że dopiero zbliżało się południe. Chłopcy zdawali się wykorzystywać śmierć siostry jako pretekst, żeby przestać chodzić do szkoły, również Angela najwyraźniej zwolniła się na dłuższy czas z pracy.

Możliwe, że tracą nawet to marne oparcie, dzięki któremu jako tako się trzymali, przyszło do głowy Fielderowi i na myśl o tym poczuł się nagle bardzo smutny i zmęczony.

- Czy przynosi nam pan jakieś nowiny? - zapytała Angela. Włosy miała zaczesane do tyłu i była nieumalowana. Najwyraźniej wygląd stał się jej obojętny.

- Czy to ten mężczyzna, którego zidentyfikowała Dawn? Fielder potrząsnął głową.

- Najprawdopodobniej nie. Ale zeznanie panny Sparks jest dla nas niezmiernie ważne. Wszystkie informacje, jakie udało nam się do tej pory zebrać, wskazują na bliskiego kumpla Malikowskiego, i to jego podejrzewamy o dokonanie morderstwa. Nazywa się Pit Wavers. Czy przypominają sobie państwo, żeby Linda kiedykolwiek wspominała o kimś takim?

Zebrani spojrzeli po sobie. Oprócz Sally, która właśnie próbowała po raz kolejny wykonać ekwilibrystyczny wyczyn z butelką i kieliszkiem do szampana.

- Nie - odezwał się Gordon. - Nigdy nie wymieniła tego nazwiska.

- Z całą pewnością nie - potwierdziła słowa ojca Angela - w przeciwnym razie bym to zapamiętała. Problem polegał na tym, że przez ostatnie pół roku w ogóle nic nam nie mówiła.

- Przedwczoraj rano zaaresztowaliśmy Malikowskiego - powiedział Fielder - i po jakimś czasie zaczął śpiewać. Według jego zeznań Pit Wavers i Linda poznali się latem zeszłego roku. Malikowski twierdzi, że Wavers zagadnął ją w metrze, ale

szczegóły nie zostały ustalone. Trudno orzec, czy naprawdę się w niej zakochał, czy tylko udawał uczucie. W każdym razie zgrywał przed nią światowca, zapra-

szał do drogich restauracji i dawał hojne prezenty. To pokrywałoby się z pani obserwacją, że Linda nagle zaczęła nosić kosztowne stroje i zdawała się żyć ponad stan. Malikowski twierdzi, że Linda szybko uzależniła się od Waversa. Pragnęła mu się przypodobać, zabiegała o jego uznanie i względy. Mówi, że to typowy model wszystkich związków Waversa. Jakimś sposobem udawało mu się za każdym razem dość szybko nauczyć swoje dziewczyny posłuszeństwa.

- To w ogóle do Lindy niepodobne - powiedziała Angela bezbarwnym tonem.

Fielder przesłał jej współczujące spojrzenie.

- Być może właśnie jej silny charakter ją zgubił - powiedział półgłosem. -

Malikowski zeznał, że uczucie Waversa do Lindy prędko osłabło i miał zamiar zrobić z nią to, co wcześniej czy później robił ze wszystkimi dziewczętami: wysłać ją na ulicę. I nieźle się przy tym wzbogacić.

Gordon wydał z siebie okrzyk przerażenia. Ukrył głowę w dłoniach.

- O mój Boże - szepnął.

- Okazało się to niełatwe, gdyż Linda stawiała opór. Malikowski mówi, że tych dwoje ciągle się kłóciło. Potem Wavers jakoś dowiedział się, że Linda go oszukała, jeśli chodzi o warunki jej życia. Podobno powiedziała mu, że mieszka tylko z siostrą, w końcu jednak do Waversa dotarła wieść, że ma jeszcze ojca, matkę i trzech braci. To sprawiało, że mogła stanowić dla niego zagrożenie. Do tej pory Wavers zadawał się z młodymi dziewczętami, które zerwały wszelkie kontakty z rodziną. Malikowski przypuszcza, że Wavers podczas którejś z coraz częstszych awantur stracił nad sobą panowanie. A to do niego podobne. Nie znosi sprzeciwu. Łatwo wtedy traci kontrolę.

- Czy na pewno nie sam Malikowski...? - zapytała Angela.

- Na obecnym etapie śledztwa nie możemy być niczego pewni - powiedział Fielder. -

Mamy z Malikowskim jeszcze niejedno do omówienia. Zostanie skazany za zmuszanie do prostytucji, gwałty i pobicia. Dysponujemy jednak bardzo wiarygodnym zeznaniem

342

343

świadka w sprawie Jane French. Pewna osoba widziała z ukrycia, jak Pit Wavers zamęczył tę młodą kobietę na śmierć. Z uwagi na podobieństwo czynów wiele przemawia za tym, że jest on również zabójcą Lindy. Nie mamy jednak na to jeszcze dowodów.

- Czy mogą państwo aresztować tego Waversa? - zapytała Angela. - Czy policja go szuka?

Fielder przez chwilę milczał zakłopotany.

- Wavers nie żyje - powiedział w końcu.

- Nie żyje? - powtórzył jeden z braci z takim niedowierzaniem, jakby było to coś niewyobrażalnego.

- Wavers został zabity w nocy z poniedziałku na wtorek w Kornwalii. Zastrzeliła go w obronie własnej kobieta, która od lat się przed nim ukrywała i którą wreszcie odnalazł. Kiedy przywieziono go do szpitala, był nieprzytomny i niezdolny do

złożenia zeznań. Po kilku godzinach zmarł.

Kiedy Fielder skończył, w pokoju zaległa cisza. Wszyscy próbowali uświadomić sobie znaczenie słów, które przed chwilą usłyszeli.

Pierwsza odezwała się Angela.

- W takim razie nigdy nie będziemy mieli pewności - powiedziała.

Fielder wzruszył bezradnie ramionami.

- Na pewno nie w formie zeznania Pita Waversa. Zobaczymy, czy na oddziale medycyny sądowej uda się na podstawie śladów uzyskać jakieś dowody. Możliwe, że Malikowski nie powiedział nam jeszcze wszystkiego. Ma tyle spraw na sumieniu, że na pewno okaże się skłonny do współpracy z policją. Ale biorąc pod uwagę obecny stan wiedzy i moje wieloletnie doświadczenie, możemy być na dziewięćdziesiąt procent pewni, że to Pit Wavers zamordował Lindę.

- Nie będzie procesu - powiedziała Angela.

- Nie - odparł Fielder. - Nie będzie procesu przeciwko Wa-versowi.

Znowu zaległa cisza. Sally walczyła z butelką, bełkocząc pod nosem coś, czego nikt nie był w stanie zrozumieć.

344

- Chciałbym móc stanąć z nim twarzą w twarz - powiedział Gordon, a jego słowa wywołały na twarzy najstarszego syna cyniczny uśmiech.

- I co wtedy, tato? Co wtedy? Co byś mu zrobił? Pokazał mu swoje mięśnie?

- Uważaj, bo zaraz sam zobaczysz moje mięśnie - parsknął Gordon, ale nie zabrzmiało to przekonująco.

- Proszę mi wierzyć - powiedział Fielder - ja również nie jestem zadowolony z takiego zakończenia. Wolałbym jednoznaczne dowody i rzetelną sprawę sądową. Co się tyczy duetu Wavers i Malikowski, prowadzimy obecnie jeszcze jedno śledztwo w sprawie zaginionej przed laty kobiety, która także mogła paść ich ofiarą. Również w tej kwestii śmierć Waversa znacznie utrudnia nam dochodzenie. To pod każdym względem niefortunne, ale nic nie możemy zrobić. Nie przywrócimy mu życia.

- Oczywiście, że nie - powiedziała Angela zmęczonym głosem.

Fielder podniósł się z miejsca. Chętnie napiłby się kawy, ale nikomu nie przyszło do głowy, żeby mu to zaproponować. Poprzedniej nocy spał zaledwie trzy godziny.

Potrzebował czegoś, co postawiłoby go na nogi.

- Zależało mi, żeby jak najprędzej się państwo o tym dowiedzieli - powiedział. -

Dlatego tu przyszedłem. Niezależnie od tego, do jakich wniosków dojdziemy, nie zwróci to państwu córki i siostry. Ale z doświadczenia wiem, że w takich

przypadkach bliskim ofiary jest jeszcze ciężiej, jeśli nie znają prawdy. Mimo

wszystko trzeba spróbować odnaleźć spokój. Wydaje mi się, że jest to możliwe tylko wówczas, gdy ma się jasny obraz sytuacji. Z czasem udaje się na tym poprzestać.

Nikt mu nie odpowiedział. Gordon patrzył tępo przed siebie. Sally miała zamknięte oczy. Bracia stali ze wzrokiem wbitym w podłogę i czubkami butów rysowali wzory na linoleum.

- Odprowadzę pana do drzwi - powiedziała Angela.

Ona odnajdzie swoją drogę, pomyślał Fielder, ma więcej rozumu i siły niż cała rodzina razem wzięta. Jeśli ta historia jej nie załamie, poradzi sobie.

345

Stojąc już w drzwiach, powiedział:

- Niech pani płacze, panno Biggs. Może brzmi to brutalnie, ale trzeba dać ujście cierpieniu. Nie zagłuszać go, tak jak pani matka, ani nie skrywać pod maską obojętności, tak jak pani ojciec. Musi pani zaakceptować ten nieludzki ból. Tylko wtedy...

Zawahał się. Spojrzała na niego uważnie. -Tak?

- Tylko wtedy uda się pani kiedyś powrócić do życia. I wziąć je w swoje ręce. Jestem pewien, że pani siostra by tego chciała.

Skinęła głową i uściśnęła mu rękę na pożegnanie. Niezbyt mocno, ale i nie całkiem bezsilnie. Jej dłoń była zimna jak lód.

Czcza gadanina, pomyślał, schodząc po schodach. Co właściwie chciałem jej przez to powiedzieć?

Przetarł oczy. Był naprawdę skonany.

- Oczywiście, Rosanno, doskonale cię rozumiem - powiedział Nick.

- Nie jestem z tego powodu szczęśliwy, ale rozumiem cię.

Po gwałtownych dyskusjach, jakimi kończyły się ich poprzednie spotkania, znów rozmawiał z nią przyjaźnie, rozpoznała w nim dawnego Nicka, w którym widziała raczej przyjaciela niż szefa. Przyniosło jej to ulgę. Właśnie wymówiła mu zlecenie, porzuciła pracę nad cyklem artykułów. Mógł przecież na nią nakrzyczeć. Obawiała się, że w takiej sytuacji wybuchłaby płaczem. Miała zupełnie zszargane nerwy.

Wydarzenia ostatnich dni zostawiły wyraźny ślad. Najbardziej przeżywała obrażenia swojego brata. Pit Wavers złamał mu kilka żeber, ból znacznie utrudniał oddychanie.

Nick spojrzał na nią współczująco. Siedzieli w jego biurze, każde z nich miało przed sobą filiżankę z kawą, ale Rosanna swojej nawet nie tknęła.

- Jak się czuje Cedric? - zapytał. - Na pewno już do niego dzwoniłaś.

346

Jasne. Myślę, że najgorsze ma już za sobą. Leży w szpitalu w Taunton i jest z nim ojciec. Opowiedziałam tacie, co się stało, i cała ta historia zupełnie wytrąciła go z równowagi. I przeraziła.

- To imponujące, że Pameli Luke udało się sprzątnąć Waversa jednym strzałem. I to z zimną krwią. Całkiem niezłe.

- Szansa, że trafi, graniczyła niemal z cudem. Mieliśmy ogromne szczęście. Przed wszystkim Cedric.

- Czy panna Luke jest teraz w Londynie? Rosanna skinęła głową.

- Przejęła pokój Cedrica w moim hotelu. Jest bez przerwy przesłuchiwana przez Scotland Yard. To wszystko wygląda na jedno wielkie bagno. Wavers i jego kumpel Malikowski są wplątani w całą masę przestępstw. Ale Wavers był z nich dwóch gorszy. Przypisuje się mu popełnienie dwóch morderstw. Jeżeli uda się udowodnić, że zabił Elaine, wówczas nawet trzech.

- Czy są jakieś przesłanki, żeby tak sądzić?

- Zależy, jak na to patrzeć. Pamela znalazła paszport Elaine w mieszkaniu Malikowskiego. Ten jednak zdecydowanie zaprzecza, jakoby w ogóle znał Elaine czy kiedykolwiek był w posiadaniu jej dokumentów.

- Też bym na jego miejscu zaprzeczał.

- Ale do innych czynów, które zarzuca mu policja, przyznał się.

- W przypadku Elaine mamy prawdopodobnie do czynienia z morderstwem. A to zupełnie inny kaliber. Tak czy inaczej trafi za kratki, pytanie tylko, na jak długo...

- Zobaczmy - powiedziała Rosanna.

Uwagę Nicka zwróciła bladość na twarzy Rosanny i jej przygnębione spojrzenie.

- Co się dzieje? Wyglądasz na nieszczęśliwą. Przetarła dłonią oczy.

- Jestem po prostu zmęczona. Stan Cedrica... i to wszystko...

- Myślę, że powinnaś jak najprędzej wrócić do domu, do swojej rodziny. Porządnie się wyspać i wypocząć. Nie jestem na ciebie zły z powodu tych artykułów. Uwierź mi.

347

Rosanna odpowiedziała cicho:

- Robię sobie wyrzuty. To ja wprawiłam w ruch całą tę lawinę nieszczęść. Powinnam była skoncentrować się na pisaniu artykułów, żeby ci na czas je oddać. Niepotrzebnie wszczynałam na własną rękę śledztwo.

- To zupełnie naturalne, że zależało ci na wyjaśnieniu zagadki zniknięcia Elaine - powiedział Nick. - A swoją drogą, co takiego właściwie zrobiłaś? Lawinę wywołał talk-show, a ty wystąpiłaś w nim na moją prośbę. To ja skontaktowałem z tobą gospodarza Pameli Luke. Gdybyś go zignorowała, zwróciłby się gdzie indziej i nie spocząłby, dopóki ktoś by się nie nabrał. Facet był spragniony rozgłosu, przecież sama tak powiedziałaś.

- Pewnie. Ale nie musiałam dać mu się wodzić za nos. Powinnam była zachować więcej rozsądku. Popelniliśmy błąd, dając posłuch obawom Pameli, nawet jeśli wydawały się nam one zrozumiałe. Powinniśmy byli odstawić ją na posterunek, zamiast wywozić z Londynu i wciągać w to jeszcze Cedrica. To było szaleństwo!

- Przecież nie mogłaś przypuszczać, że Wavers tak szybko ją znajdzie i ruszy za nią w pościg!

Gwałtownie potrząsnęła głową.

- Właśnie że tak! Powinnam była zdawać sobie sprawę, że jeśli tylko zajrzy do gazety, zdobędzie wszystkie potrzebne informacje. W artykule padło nazwisko Marca Reeve'a, i to była kluczowa wskazówka. W mgnieniu oka znalazł w książce telefonicznej adres kancelarii. Policja dowiedziała się, że od mieszkającej w tym samym budynku kobiety wyciągnął jego prywatny adres. Potem wystarczyło trochę poczekać. Wiedział, że Pamela albo tam się pojawi, albo Marc Reeve zaprowadzi go do niej. Zwietrzył ślad i odtąd musiał się tylko wykazać odrobiną cierpliwości.

-Ale...

- Nie wierzyłam Pameli - powiedziała z rozpaczą w głosie - i to był mój największy błąd. Była niemal nieprzytomna ze strachu i wciąż tylko powtarzała, że Wavers opętany jest myślą o zemście. Uważałam, że to przesada. Nie umiałam sobie wyobrazić, by ktoś po pięciu latach

348

mścił się na kobiecie za to, że kiedyś go porzuciła. Pięć tygodni, może pięć miesięcy po jej zniknięciu, ale pięć lat?! Nie wierzyłam, że gotów jest stanąć na głowie, by ją dopaść. Jak widać, myliłam się w ocenie sytuacji. Pamela dobrze go знаła.

Powinnam była wziąć poważnie jej słowa. Wiedziała, że jest chory psychicznie...

Nazwała go psychopatą. Zignorowałam to. I przez to mój brat o mało nie stracił

życia! - Rosanna próbowała powstrzymać napływające do oczu łzy. Nick wstał, obszedł stół i podał jej chusteczkę. Rosanna wytarła oczy. Tylko nie zacznij ryczeć, nakazała sobie w duchu. Czowała, że trudno byłoby jej przestać.

Pogłaskał ją po ramieniu.

- Spróbuj zobaczyć w tym coś pozytywnego - powiedział. - Wiele się wydarzyło, ale dzięki temu niejedno się wyjaśniło. Pit Wavers nie żyje. A Cedric przeżył i wyjdzie z tego. Wavers nie żyje! Psychopata, morderca, człowiek, który stanowiłby zawsze zagrożenie dla innych. Pamela Luke nie musi już dłużej ukrywać się pod przybranym nazwiskiem i w jakichś opuszczonych wioskach na końcu świata. A my otrzymaliśmy cenne wskazówki dotyczące losów Elaine Dawson. Wprawdzie nie mamy jeszcze całkowitej pewności, ale powoli klaruje się wniosek, że padła ofiarą Rona Malikowskiego i Pita Waversa. To bardzo przykre, ale z drugiej strony oznacza rehabilitację Marca Reeve'a, za którym przestanie wreszcie ciągnąć się cień podejrzeń. Także Geoffrey Dawson, brat Elaine, odnajdzie w końcu spokój. Teraz przynajmniej wie, że siostra nie opuściła go z własnej woli. Wie, jaki tragiczny los ją spotkał. Kiedy ktoś znika, dla bliskich nie ma nic gorszego niż niepewność. Śmierć można opłakiwać i zazwyczaj z czasem udaje się pogodzić się ze stratą. Można dalej żyć. Na razie Dawson nie będzie tego widział w ten sposób, ale rozwiązując tę zagadkę, wyświadczyłaś mu wielką przysługę. Coś w jego życiu się zmieni. Przystanie wegetować, rozmyślając o przeszłości. Pożegna się z Elaine i zajmie się swoją przyszłością.

Wiedziała, że Nick ma rację, a mimo wszystko czuła się kompletnie wyczerpana, zupełnie pozbawiona energii.

349

Może po prostu sprawy ją przerosły. Zgniotła chusteczkę, wsunęła ją do torebki i wstała.

- Nick, nie chcę ci dłużej zawracać głowy - powiedziała. - Dziękuję za wyrozumiałość. I za... przyjaźń. Miło było... - uśmiechnęła się - miło było znowu pooddychać dziennikarskim powietrzem!

- Cała przyjemność po mojej stronie - powiedział Nick. - Jak dojdiesz do siebie i znów nabierzesz ochoty, dzwoń. Zawsze możesz dla mnie pracować!

Stojąc na dole przed budynkiem redakcji, Rosanna poczuła się nieco lepiej.

Serdeczność Nicka bardzo jej pomogła. Zaskakująco ciepłe jak na luty słońce ogrzewało jej twarz. Zamrugła oczyma. I co teraz?

W rozmowie nie padło ani słowo na ten temat, ale było jasne, że Rosanna musi wyprowadzić się z drogiego hotelu. Od tego momentu jej pobyt w Londynie nie był dłużej finansowany przez „Covera” i Rosanna miała wątpliwości, czy Nick w ogóle zgodzi się opłacić jej dotychczasowe wydatki. Zerwała umowę i tylko od jego dobrej woli zależało, czy i w jakim stopniu będzie gotów ponieść koszty. Nie był do niczego zobowiązany. Nie miała własnych pieniędzy. Czy Denis zgodzi się zapłacić rachunek za hotel?

Trudno było to sobie wyobrazić.

Na myśl o Denisie coś jej się przypomniało i zakłęła pod nosem. Rob! Obiecała, że we wtorek do niego zadzwoni. Tymczasem była już środa, a Rosanna przez tę całą

lawinę wydarzeń zupełnie zapomniała o swoim pasierbie. Denis odnotował pewnie kolejny minus na jej koncie. W ostatnim czasie popełniała jedną gafę za drugą. Wyjęła telefon z torebki i stojąc na ulicy, wybrała numer Denisa. Od razu odebrał.

-Tak?

- Denis? To ja, Rosanna. Bardzo mi przykro...

- Mnie nie musisz przeproszać - przerwał jej lodowato.

Nie liczyła na zrozumienie z jego strony i nie było dla niej ni czym nowym, że znowu została zepchnięta do defensywy. Poczwała, jak kielkuje w niej gniew, a jednocześnie jakiś wewnętrzny głos nie pozwalał jej na to uczucie. Nie uświadamiała sobie tego wcześniej, dopiero teraz dotarło do niej wyraźnie, że sprzeczne emocje często pojawiały się w jej związku z Denisem.

- Jesteście jeszcze w Londynie? - spytała.

- Rob jest jeszcze w Londynie. Ja przyleciałem wczoraj do Gibraltaru. Musiałem iść do pracy, nie ma na to rady. Rob kategorycznie odmówił powrotu. - W głosie Denisa słyhać było pretensję, a zarazem przygnębienie. Rosannie zrobiło się go żal.

Wyobrażała sobie, jak bardzo musi cierpieć.

- Dużo się wydarzyło - powiedziała, chociaż domyślała się, że Denis nie jest tym zainteresowany. - Cedric leży w Taunton w szpitalu. Został brutalnie pobity przez pewnego psychopata. Ten sam człowiek prawdopodobnie zamordował przed pięcioma laty Elaine Dawson.

- Aha - powiedział Denis.

- Zrezygnowałam z pisania artykułów. Zerwałam umowę. Po tym wszystkim, co się stało...

Czekała na reakcję, ale Denis milczał.

- Zadzwoń do Roberta - powiedziała w końcu. - Wszystko mu wyjaśnię. Jestem pewna, że mnie zrozumie.

- A kiedy zamierzasz wrócić do domu? - zapytał Denis. - O ile w ogóle masz taki zamiar?

- Najpierw muszę zająć się Cedrikiem. Na razie zatrzymam się u taty. Nie mogę tak po prostu zniknąć. To ja... wpakowałam Cedri-ca w tę kabałę i...

- Zatem twój plan, żeby znowu pracować dla Nicka Simona, nikomu nie wyszedł na dobre - zauważył Denis. - Rob jest kompletnie zdezorientowany, Cedric leży w szpitalu, Elaine i tak to nie przywróci życia, a na koniec jeszcze się okazuje, że nawet nie napiszesz tych artykułów. Szkoda było zachodu. Przyniosło to wyłącznie nieprzyjemności, nawet tym, którzy nie są bezpośrednio zaangażowani w tę historię.

- Przynajmniej wiadomo, co się przytrafiło Elaine. I poznaliśmy sprawcę.

350

351

-I co z tego? Jakie to ma dla nas znaczenie? Innymi słowy, czy wyjaśnienie zagadki sprzed lat było powodem, dla którego przyjęłaś to zlecenie? Nie chodziło o odkrycie prawdy, więc nie zachowuj się teraz tak, jakbyś osiągnęła zamierzony cel. W gruncie rzeczy sprawy wymknęły się spod kontroli.

- Ja widzę to inaczej - powiedziała Rosanna, ale nawet ona czuła, że zabrzmiało to niepewnie, i zrozumiała, że nie uda jej się przekonać Denisa. Żadne, nawet

najmocniejsze argumenty nie były w stanie zmienić jego nastawienia. Czuł do niej żal, miał poważne problemy ze swoim synem i nic innego go nie interesowało.

- Zadzwoń później - powiedziała, pragnąc jak najszybciej zakończyć tę nieprzyjemną rozmowę. - Jeszcze dziś jadę do Kingston St. Mary. Do usłyszenia, Denis!

- Pozdrów ojca - powiedział oficjalnie i odłożył słuchawkę.

Schowała telefon, starając się powstrzymać płacz, na który zbierało jej się nie tylko pod wpływem rozmowy z mężem, ale na skutek wszystkich wydarzeń ostatniej doby.

- Nie płacz. Rób po prostu to, co do ciebie należy - powiedziała na głos, a dwóch zaskoczonych przechodniów odwróciło się w jej stronę.

Tylko co teraz należało zrobić?

Pojedzie do hotelu, spakuje się, spróbuje zapłacić za pokój kartą kredytową, która podczepiona była pod konto Denisa, mając nadzieję, że się uda.

Pożegna się z Pamelą Lukę, o ile ta będzie akurat w hotelu, a nie w biurze inspektora Fieldera, co wydawało się dużo bardziej prawdopodobne.

Pojedzie na dworzec i znajdzie połączenie do Taunton.

Z domu spróbuje zadzwonić do Roba. Nie chciała rozmawiać z nim w pośpiechu, na ulicy.

Nadchodzącą noc spędzi w swoim starym pokoju, w rodzinnym domu w Kingston St. Mary, i na myśl o tym zrobiło się jej lżej na sercu. Nawet dorosły człowiek

potrzebował czasem gniazda, w którym mógłby się schronić. Rosanna zawsze miała bardzo dobrą relację z ojcem. Może mu o wszystkim opowie. O swoim małżeństwie

352

z Denisem. O tym, jaka nieszczęśliwa była zawsze w Gibraltarze. O Marcu, który...

Na wspomnienie Marca Reeve'a przerwała rozmyślania.

To pierwsze, co musi zrobić. Zadzwoń do Marca i pożegnaj się przed wyjazdem do Kingston St. Mary.

- Coś mi tu nie pasuje - powiedział inspektor Fielder, marszcząc w zamyśleniu czoło.

Siedział w kawiarni w Mayfair, popijał podwójne espresso, zagryzając je rożkiem, który był tak twardy, jakby pochodził z zeszłego wieku. Tego dnia nie jadł jeszcze

śniadania, a wczoraj nie zdążył na kolację. Poczawszy nagły spadek ciśnienia, posłuchał rady swojej współpracownicy, Christy McMarrow, i dał się namówić na kawę i jakąś przekąskę.

Zamierzali odwiedzić Pamelę Lukę, ale nie zastali jej w hotelu. Klucz leżał w przegródce. Recepcjonista wyjaśnił im, że panna Lukę opuściła pokój około ósmej rano.

- Nie wymeldowała się - dodał. - Nie miała też ze sobą żadnego bagażu.

- Nie posiada bagażu - odburknął Fielder, rozglądając się niespokojnie po foyer. - Nikt by się nie zorientował, czy wyjeżdża czy tylko idzie na spacer.

- Dlaczego miałyby wyjechać? - zapytała Christy.

Zwróciła uwagę na bladość twarzy szefa, który po krótkich wykrętach przyznał, że może to mieć związek z niskim poziomem cukru. Ponieważ i tak chcieli

porozmawiać o sprawie Waversa, a w foyer ktoś mógłby podsłuchać ich rozmowę, Christy namówiła go do pójścia do kawiarni, która bezpośrednio sąsiadowała z

hotelem. „Jeśli Pamela wróci, zauważą ją.

- Co panu nie pasuje? - zapytała Christy.

Zamówiła tylko wodę mineralną, chciała bowiem jak najszybciej schudnąć.

- To, że nie ma jej w hotelu?

- Umówiliśmy się przecież, że przez cały czas będzie do naszej dyspozycji.

- Ale siedząc cały czas w pokoju hotelowym, można oszaleć. Niewykluczone, że musiała wyjść coś kupić: pastę do zębów, pończochy czy krem. Nie uprzedziliśmy jej o naszej wizycie.

- Po wyjściu od Biggsów próbowałem się do niej dodzwonić. Już wtedy nie było jej w pokoju.

Christy McMarrow nie wyglądała na zdziwioną. Pamela Luke wiele przeszła.

Wczoraj przewieziono ją radiowozem z Taunton do Londynu. Fielder godzinami z nią rozmawiał. Poprzednia noc musiała być dla niej koszmarem - spotkanie z jej niegdysiejszym oprawcą, ciężkie obrażenia Cedrica, celny strzał do Waversa, który okazał się dla niego śmiertelny. Udało jej się nawet zawieźć nieprzytomnego Cedrica na posterunek policji, skąd natychmiast wezwano karetkę pogotowia. Pamela z trudem radziła sobie z prowadzeniem samochodu, do tego jechała bez świateł, bo nie mogła znaleźć włącznika. Prawdopodobnie tylko dzięki temu, że jechała po wiejskich nieuczęszczanych drogach, uniknęła poważnego wypadku. Christy była sobie w stanie wyobrazić, że po tych przeżyciach młoda kobieta pragnęła wydostać się z ciasnoty czterech ścian i przejść się po mieście. Musiały ją prześladować straszliwe obrazy. Na kilku metrach kwadratowych hotelowego pokoju, chodząc z kąta w kąt, z pewnością ani na chwilę nie udałoby jej się przed nimi uciec.

Fielder odłożył rogalik, który nie nadawał się do jedzenia.

- Nie chodzi mi tylko o to, że nie ma jej w hotelu - powiedział. - Kilka jej wypowiedzi wydaje mi się sprzecznych - przetarł zmęczone oczy. - Ta kobieta jest pełna sprzeczności.

- Wiele przeszła.

W zamyśleniu zamieszał kawę.

- Powiedziała, że znalazła paszport Elaine Dawson pięć lat temu w szufladzie w sypialni Malikowskiego. Wielokrotnie odwiedzała razem z Waversem Malikowskiego w jego mieszkaniu. Kiedy dopytywałem się, gdzie dokładnie leżały dokumenty, wspomniała komodę, ale nie pamiętała, w którym miejscu pokoju miałyby się ona znaj-

dować. Wczoraj rozmawiałem z Malikowskim. Twierdzi, że Pamela Luke z całą pewnością nigdy nie była u niego w sypialni. Poza tym podobno nie ma i nie było tam nigdy żadnej komody.

- To nie musi być prawda.

- Byliśmy w jego mieszkaniu. Rzeczywiście w sypialni nie ma komody. W ogóle nie ma tam mebla z szufladami. Stoi jedynie japońskie łóżko i gigantyczna biała szafa z przesuwanymi drzwiami. Poza tym nie ma tam żadnych sprzętów.

- Przez pięć lat mogło się coś zmienić.

- Meble nie wyglądają na nowe. Ale mimo wszystko oddelegowałem funkcjonariusza, żeby poszukał w mieszkaniu jakichś zdjęć. Może istnieją stare fotografie, które pozwolą wyjaśnić tę kwestię.

Christy potrząsnęła głową.

- Czy wierzy pan choćby w jedno słowo tego człowieka? Przecież to najgorszego

sortu sutener. Przemocą i gwałtem zmuszał do prostytucji kobiety z Europy Wschodniej, które zwabiano do Anglii pustymi obietnicami. To kanalia. Albo sam zamordował Elaine Dawson, albo załatwił ją jego kumpel Pit Wavers. On zatrzymał papiery, bo w tej branży dokumenty zawsze mogą się przydać. Natomiast Wavers to morderca, który przed niczym się nie wahał.

- Dlaczego któryś z nich miałby zamordować Elaine Dawson?
- Z tego samego powodu, dla którego zginęły Jane French i Linda Biggs.
- Obie miały romans z Waversem.
- Może dotyczy to także Elaine.
- Nie była w jego typie.
- Niech pan posłucha... - zaczęła Christy, ale Fielder jej przerwał.
- To bardzo ważne, Christy. Wavers miał zadatki na seryjnego mordercę, a w takich wypadkach zawsze można znaleźć jakieś podobieństwa u ofiar. Jane French, Pamela Luke i Linda Biggs uosabiają ten sam typ kobiety, chociaż Luke tak dobrze się zakamuflowała, że na pierwszy rzut oka wcale tego nie widać. Wszystkie były młode, bardzo atrakcyjne, ubierały się w podobnym stylu, który można

354

355

uważać za tandetny, ale trafiał on w stu procentach w gust Waversa. Pochodziły z rodzin, w których nie szanowano ich i nie zapewniono im poczucia bezpieczeństwa, wielokrotnie były konfrontowane z przemocą. Miały stosunkowo słabe wykształcenie. To wszystko nie dotyczy Elaine Dawson.

- Wziął pan tamtą sprawę pod lupę? Fielder skinął głową.
- Nie bez powodu jestem dzisiaj ledwo żywy. W nocy jeszcze raz przestudiowałem wszystkie akta i protokoły sprzed pięciu lat. Elaine miała średnie wykształcenie i pracowała jako asystentka medyczna. Jej pracodawca scharakteryzował ją wprawdzie jako bardzo nieśmiałą i zamkniętą, ale także sumienną i inteligentną. Uchodziła za bardzo czytaną osobę. Ta kobieta z pewnością skończyłaby studia, gdyby po śmierci rodziców nie musiała troszczyć się o sparaliżowanego brata. Nigdy nie wyjechała z Somerset, podobno mówiła coś o jakimś przyjacielu, ale nikt go nie widział. Była bardzo niedoświadczona. Na zdjęciach widać puciołowatą dziewczynę, która nigdy się nie malowała. Typ szarej myszki, której nikt nie zauważa. Wavers z pewnością by się nią nie zainteresował, a Malikowski nie zwerbowałby jej do swojej stajni. Poza tym nie wydaje mi się, żeby dała się zbałamucić takim typom. Przy całym swoim braku doświadczenia oceniam ją jako osobę o stabilnym systemie wartości.
- Ale w jakiś sposób jej paszport musiał się znaleźć w mieszkaniu Malikowskiego.
- W jakiś sposób jej paszport musiał się znaleźć w posiadaniu Pameli Luke - uściślił Fielder.

Christy McMarrow dyskretnie sięgnęła po wzgardzony rogalik swojego szefa i odłamała kawałek. Już od dwóch tygodni była na diecie. Czowała taki głód, że mogłaby ugryźć blat stołu.

- Myśli pan, że Pamela zmyśliła tę historię?
 - Powiedziałem tylko, że jest w niej kilka sprzeczności. Może jestem wobec niej niesprawiedliwy, ale nie chcę zignorować żadnej niejasności.
- Christy odłamała następny kawałek rogalika.

Bierze pan pod uwagę możliwość, że Pamela Luke zamordowała Elaine Dawson i przywłaszczyła sobie jej paszport? - zapytała bez ogródek. - Czy słusznie się domyślam?

- Ujmijmy to w ten sposób... Kierując się zarówno intuicją, jak i moją na razie dość powierzchowną znajomością osoby Elaine Dawson, uważam za bardziej prawdopodobne, że ta młoda dziewczyna z prowincji, opisywana przez wszystkich, którzy ją znali, jako skrajnie nieśmiała, dała się raczej omotać kobiecie niż mężczyźnie. Tym bardziej że takie typy jak Malikowski i Wavers mają na twarzy wypisaną brutalność i prymitywizm.

- Ale jak miałyby do tego dojść? - dopytywała się Christy. Fielder wzruszył ramionami.

- Żeby się tego dowiedzieć, musimy mieć zeznania Pameli Luke. Wydaje mi się, że to, co nam powiedziała, jest tylko do pewnego stopnia zgodne z prawdą. Była świadkiem zabójstwa Jane French, i to pozostawiło w niej trwałą urazę. Od tej pory dzień i noc marzyła o ucieczce. Wiedziała jednak, na jakie niebezpieczeństwo się naraża. Wavers odebrał jej dokumenty. Ale nawet gdybyje miała, nie mogła po prostu uciec i zacząć gdzieś wszystkiego od nowa. Musiała przybrać fałszywą tożsamość.

- I wtedy na jej drodze pojawiła się Elaine Dawson? - zapytała sceptycznie Christy.

- Jedenastego stycznia 2003 roku Elaine Dawson opuściła mieszkanie Marca Reeve'a, adwokata, który zaoferował jej nocleg. Ten widział, jak wsiadała do metra, którym miała pojechać na Heathrow, żeby złapać jakiś lot do Gibraltaru i zdążyć na ślub koleżanki. Załóżmy, że zeznania Reeve'a są prawdziwe. Możemy zatem dać wiarę jego słowom, że Elaine była bezsilna i zrozpaczona, a życie w charakterze opiekunki brata było dla niej coraz bardziej nieznośne. Podobno kilkakrotnie powiedziała Reeve'owi, że najchętniej w ogóle nie wracałaby do domu. Faktem jest, że nie poleciała do Gibraltaru. Zniknęła.

- I sądzi pan, że tego dnia w metrze znalazła się przypadkiem Pamela Luke, kobiety zaczęły rozmawiać, Elaine opowiedziała jej

357

1

o swoim ciężkim położeniu, na co Pamela obiecała jej złote góry: nową pracę, nowe życie. Tymczasem zwabiła ją w jakieś odludne miejsce, zaciukała i odebrała jej paszport. Tak doskonale ukryła ciało, że do tej pory go nie odnaleziono. Niech pan wybacz, szefie, ale brzmi to mało prawdopodobnie.

- Faktem jest, że nasza panna Lukę potrafi cholernie dobrze strzelać.

- Sądzi pan...?

- Sądzę, że brawurowy strzał, którym przedostatniej nocy sprzątnęła Waversa, nie był przypadkowy. Koniecznie musimy to sprawdzić. Trzeba przyznać, że Pamela Lukę znalazła się w sytuacji bez wyjścia. Była ciemna noc, znajdowała się na pustkowiu w samochodzie, którego nie potrafiła prowadzić, z ciężko rannym mężczyzną u boku, który ledwo oddychał i był zupełnie bezbronny. Przed nią stał psychopatyczny morderca, co do którego zamiarów nie miała wątpliwości. Sama powiedziała, że drżała jak osika, i wierzę jej. Drżała jeszcze, kiedy o tym mówiła. W rewolwerze miała tylko jeden nabój, co znaczy, że nie mogła strzelać na oślep, w nadziei że

któraś zbłąkana kula dosięgnie Waversa. Dzieliła ich szyba samochodu. Naprawdę wszystko sprzyścięło się przeciwko niej. Mimo to załatwiła go jednym strzałem. Kula utkwiała tuż obok serca. Moim zdaniem ta kobieta zna się na rzeczy.

- Albo miała niesamowite szczęście.

- Jeśli okaże się, że zeznania Pameli Lukę odnośnie do mieszkania Rona Malikowskiego, czyli rzekomego miejsca znalezienia paszportu, nie są zgodne z prawdą, winna nam będzie co najmniej jakieś wyjaśnienie - powiedział Fielder.

- Co teraz robimy? - zapytała Christy. Inspektor spojrział na zegarek.

- Mamy jeszcze pół godziny. Może w tym czasie pojawi się panna Lukę, wtedy zabierzemy ją od razu na przesłuchanie. W przeciwnym razie wrócimy sami do biura. Sprawdzimy, czy nasz kolega posunął się do przodu z rekonstrukcją sypialni Malikowskiego sprzed pię-

ciu lat. Potem zadzwonię do Taunton. Jak tylko Cedric Jones będzie zdolny rozmawiać, chcę go przesłuchać.

Fielder niecierpliwie bębnił palcami po blacie stołu.

Christy skinęła na kelnerkę. Teraz to już nie ma znaczenia. Zamówi sobie jeszcze jeden rogalik.

4

- Nie jedź dzisiaj do Taunton. Zostań chociaż do jutra.

Rosanna stała w biurze Marca niezdecydowana i zbyt zdenerwowana, żeby móc usiedzieć jeszcze choć chwilę na miejscu. Wymeldowała się z hotelu i pojechała z walizką do Marca, ponieważ usilnie prosił ją o to przez telefon. Nigdy wcześniej nie była u niego w biurze. Pod ścianami stały sięgające sufitu regały z książkami, stopy akt piętrzyły się na stolikach i na podłodze. Podczas gdy w mieszkaniu Marca panował sterylny porządek, jego biuro przedstawiało obraz chaosu. Marc stał pośrodku tego bałaganu w poluzowanym krawacie i z zawiniętymi rękawami koszuli, jakby zupełnie nie radził sobie z sytuacją.

- Moja sekretarka jest cały czas chora. Nie mogę się stąd ruszyć. Tonę po uszy w robocie. Od dwóch tygodni sprawy biurowe leżą odłogiem... - Przejechał dłonią po włosach. - Proszę, Rosan-no, o szóstej będę mógł wyjść. Podaruj nam jeden wspólny wieczór. Pójdziemy razem coś zjeść, porozmawiamy.

Nie patrząc na niego, wyglądała przez okno.

- Marc, mam wrażenie, że igram z ogniem. Jestem mężatką. Nie mogę tak po prostu...

- Co takiego?

- Nie mogę tak po prostu robić tego, na co mam ochotę - powiedziała cicho.

- Chcę tylko porozmawiać - odparł Marc. Bezradnie wzruszyła ramionami.

- Wymeldowałam się z hotelu. I jestem praktycznie bez pieniędzy.

358

359

- Możesz pojechać do mnie. Dam ci klucze do mieszkania i poczekaś na mnie.

Możesz u mnie przenocować, a jutro rano pojedziesz do Taunton.

- Wiesz, jak mój mąż by zareagował, gdybym u ciebie przenocowała?

- W takim razie wypożycz samochód i jedź jeszcze dzisiaj do Taunton. Ale najpierw porozmawiajmy. Mam przeczucie... - zadzwonił telefon, ale Marc go zignorował. - Mam przeczucie, że jeśli teraz wyjedziesz, już nigdy cię nie zobaczę.

Rosanna milczała. Telefon także zamilkł, ale chwilę później dzwonek rozległ się ponownie i świdrował im boleśnie uszy. Marc najwyraźniej nie zamierzał odbierać, dopóki Rosanna nie ulegnie jego prośbom.

- No dobrze - powiedziała wreszcie. Marc odetchnął z ulgą.

- Proszę - wziął z zawalonego papierami biurka dwa klucze. - Do mieszkania i do samochodu. Weź moje auto. Znasz drogę?

- Tak, ale...

- Ja przyjadę metrem. To nie jest żaden problem. Proszę. Znowu zadzwonił telefon.

- Odbierz wreszcie - powiedziała Rosanna. - Poradzę sobie. Wychodząc z gabinetu, zauważyła, że podnosi słuchawkę i macha jej na pożegnanie.

Ze ściśniętym sercem zastanawiała się, czy postąpiła słusznie.

Kiedy przed domem Marca próbowała zaparkować w wąskiej zatoczce samochód, z którym nie była jeszcze obeznana, zadzwięczała jej komórka. Klnąc w duchu, wyciągnęła aparat z torebki.

- Tak? - powiedziała, z trudem łapiąc oddech. Zablokowała ulicę i miała nadzieję, że nikt nie będzie chciał tędy przejechać.

- Pani Hamilton? Mówi Fielder. Proszę mi powiedzieć, czy domyśla się pani, gdzie może się podziewać panna Pamela Lukę?

360

- Nie. A nie ma jej w hotelu?

- Wyszła dzisiaj około ósmej. Teraz dochodzi pierwsza i jeszcze się nie pojawiła.

- Czy był pan z nią umówiony?

- Poniękad. Miała być przez cały czas do naszej dyspozycji. Tym bardziej mnie to dziwi. Nawet jeśli musiała załatwić sprawunki, coś takiego nie może trwać pięć godzin! A na większe zakupy nie ma pieniędzy.

Rosanna zauważyła, że Fielder jest bardzo poważny. Ba, zaniepokojony.

- Gdzie pani teraz jest? - zapytał. Nie chciała mu mówić prawdy.

- Mam zamiar spotkać się ze znajomymi w Londynie - wyjaśniła. - A dziś wieczorem albo jutro rano wybieram się do Taunton. Chcę odwiedzić brata.

- Proszę mi dać znać, kiedy będzie pani wracać do Gibraltaru, dobrze? Możemy pani jeszcze potrzebować.

- Na pewno do pana zadzwonię, inspektorze. Zawahał się.

- Pani Hamilton, odnalazła pani Pamelę Lukę w Northumberlandii i spędziła z nią wiele godzin. Czy ta kobieta powiedziała coś, co pozwoliłoby się domyślać, gdzie może się obecnie znajdować? Coś, czego do tej pory pani nam nie przekazała, ponieważ wydawało się to pani bez znaczenia?

Rosanna zastanowiła się. Wiedziała, do czego zmierza Fielder.

- Sądzi pan, że Pamela uciekła? Że się ukrywa?

- To niewykluczone - powiedział Fielder. - Chcę być z panią zupełnie szczery. Jej zeznania zawierają pewne sprzeczności. W kwestii miejsca znalezienia paszportu Elaine Dawson.

- Znajdował się w sypialni tego sutenera. Malikowskiego, czy jak mu tam. Tak przynajmniej powiedziała mnie i adwokatowi Reeve'owi.

- Mamy niezbite dowody na to, że jej opis mieszkania Malikowskiego nie zgadza się z rzeczywistością. Prawdopodobnie ni-

m

gdy nie była w jego sypialni. Zatem nie mogła tam znaleźć paszportu.

- Minęło pięć lat. Może...

- Może wspomnienia zatarły się jej w pamięci. Tak. To oczywiście możliwe. Ale możliwe jest również, że specjalnie zataiła przed nami prawdę. Niestety muszę przyznać, że z uwagi na jej nagłe zniknięcie skłaniam się ku temu drugiemu wyjaśnieniu.

Rosanna zauważyła w tylnym lusterku zbliżający się samochód, który nie miał najmniejszych szans jej minąć.

- Inspektorze, stoję niemal w poprzek ulicy - powiedziała prędko. - Muszę kończyć. Bardzo mi przykro, ale nie mam pojęcia, gdzie może przebywać Pamela Luke. Jeśli coś mi przyjdzie do głowy, zadzwonię do pana!

Kierowca za nią zatrafił zniecierpliwiony. Rosanna odłożyła telefon i zaparkowała. Tylnym kołem stała na chodniku, przód auta wystawał na ulicę. Kiedy wysiadała, dwóch przechodniów pokiwało z politowaniem głowami. Spociała się jak mysz. Czy to przez parkowanie? Czy aż tak zdenerwowała się rozmową z inspektorem Fielderem?

Wchodząc powoli po schodach do mieszkania Marca, zastanawiała się nad słowami Fieldera. Wydawał się przekonany, że Pamela kłamała w kwestii miejsca znalezienia paszportu. Ale jaki mogła mieć ku temu powód?

Ponieważ weszła w posiadanie dokumentu w sposób, którego nie chciała zdradzić, pomyślała Rosanna. Po plecach przeszły jej ciarki. Czyżby w całej tej zagmatwanej historii Pamela była nie tylko ofiarą? Dlaczego tak nagle zniknęła?

Rosanna otworzyła drzwi i weszła do środka. Mieszkanie było ciche, chłodne i bezosobowe, takie jakie zachowała w pamięci. W kuchni stała w zlewie filiżanka po kawie, obok leżał zwinięty papier do pieczenia, a na nim resztki muffina. Muffin i filiżanka kawy - to najwyraźniej typowe śniadanie Marca.

Nagle pomyślała, jak samotny musi się czuć, kiedy stojąc rano w kuchni, je w pośpiechu ten skromny posiłek. Czy w takich chwilach myślał o rodzinie, którą kiedyś miał? O żonie, która nakrywała do stołu. O dziecku, które trajkotało przy śniadaniu.

Mało o sobie opowiadał, tłumił wszystkie emocje. Ciekawe, jak silnie wciąż odczuwał stratę?

Otworzyła lodówkę. Była żałośnie skromnie zaopatrzona. Napoczęta butelka wody mineralnej, zakorkowane białe wino. Paczka margaryny, opakowanie chleba. Zawinięty w folię maleńki kawałek sera cheddar. To wszystko.

Rosanna poczuła głód, ukroiła sobie kawałek chleba i sera i zjadła na stojąco bez talerzyka, popiła kilkoma łykami wody. Dopadły ją wyrzuty sumienia. Zakupy zdawały się nie należeć do najmocniejszych stron Marca, a ona jeszcze wyjadała mu ostatnie zapasy. Mogła iść do najbliższego supermarketu i wypełnić lodówkę kilkoma smakołykami, ale szybko porzuciła ten pomysł. Nie chciała się narzucać. Marc był dorosłym mężczyzną. Potrafił o siebie zadbać.

Przeszła się po salonie. Tak jak za pierwszym razem zafrapował ją bezosobowy charakter tego wnętrza. Przypominało umeblowany pokój do wynajęcia albo apartament hotelowy. Być może właśnie tak Marc traktował swoje mieszkanie.

Niewykluczone, że po rozwodzie zostawił wszystkie meble żonie albo zdeponował je gdzieś w magazynie, żeby nie przypominały mu o dawnym życiu, i przeniósł się do pierwszego lepszego mieszkania. Z pewnością mógłby pozwolić sobie na coś ładniejszego, ale zdecydował inaczej. Dlaczego? Czyżby cała historia wycisnęła na nim większe piętno, niż był skłonny przyznać? Jeśli wierzyć statystykom, w dzisiejszych czasach rozpada się co trzeci związek. Ale jak boleśnie musiał przeżyć rozstanie z synem, jego jedynym dzieckiem. Pomyślała o Denisie, który choć czasem postępował niewłaściwie w stosunku do Roberta, był z nim związany każdą komórką swego ciała. Denis byłby zrozpaczony, gdyby spotkał go los Marca, co do tego nie miała wątpliwości. Być może Marcowi było obojętne, gdzie i w jakich warunkach mieszka. Jego życie ograniczało się do pracy. Prawdopodobnie w mieszkaniu tylko nocował. Była sobie w stanie wyobrazić, że nawet weekendy spędza w biurze.

362

363

Na myśl o Denisie i Robercie przypomniała jej się własna obietnica. Wyjęła aparat i wystukała numer Roba. Czowała się nieswojo. Wiedziała, że Rob zwykł zadawać pytania w bardzo bezpośredni sposób. Nie chciała go okłamywać, ale co ma odpowiedzieć, gdy ją zapyta, jak wyobraża sobie przyszłość. Sama jeszcze tego nie wiedziała.

Rob odebrał po pierwszym sygnale. Musiał rozpoznać jej numer, bo od razu rzucił:

- Rosanna?

- Cześć, Rob. Co ty właściwie wyprawiasz?

- Nie wiem.

- Pewnie, że wiesz! To zrozumiałe, że chciałeś pojechać do matki, ale powinieneś był uprzedzić swojego ojca. Bardzo się o ciebie martwiliśmy.

- Hm...

- Jak się masz?

- Dobrze.

- Twoja matka jest z tobą?

- Poszła na zakupy. Ale zaraz powinna wrócić. Potem mamy coś razem zrobić. Iść do McDonalda, czy coś w tym rodzaju. Tata jest w Gibraltarze.

- Wiem, rozmawiałam z nim wczoraj przez telefon. Rob... - zawahała się, gdyż nie chciała powtarzać tego, co prawdopodobnie mówili mu wszyscy dorośli dookoła. Nie odważyła się jednak powiedzieć mu tego, co chciała. - Rob, wiesz przecież, że nie możesz tak po prostu wszystkiego rzucić. Twoje życie jest w Gibraltarze. Chodzisz tam do szkoły. Nie możesz ot, tak sobie przenieść się tutaj.

- Ale ty tak zrobiłaś.

- To co innego. Ja...

- Po prostu nagle wyjechałaś i tata i ja przestaliśmy się dla ciebie liczyć. Zapomniałaś o nas. Miałaś do mnie wczoraj zadzwonić, ale najwyraźniej nie jestem wystarczająco ważny.

Nie miała ochoty opowiadać mu całej historii. Zresztą była ona dla nich bez znaczenia. Dlatego powiedziała tylko:

364

Mój brat Cedric miał wypadek i leży w szpitalu. W Taunton. Dlatego wczoraj nie

miałam do niczego głowy. Przykro mi, że z tego powodu zapomniałam do ciebie zadzwonić. Rob przez chwilę milczał.

- Gdzie teraz jesteś? - zapytał.

- W Londynie. U... przyjaciół. Ale prawdopodobnie jeszcze dziś wieczorem pojedę do Taunton. Chcę odwiedzić Cedrica.

- Mogę jechać z tobą?

Tego się obawiała. Chciała pojechać do Kingston St. Mary, zaszyć się w swoim domu, zastanowić nad przyszłością. Rob był ostatnią osobą, której w tej sytuacji potrzebowała.

- Rob, to niemożliwe. Ty...

- Dlaczego?

- Ponieważ powinieneś jak najszybciej polecieć z powrotem do Gibraltaru, do twojego ojca. Co ma powiedzieć nauczycielom?

- Moglibyśmy potem wrócić razem!

- Jeszcze nie wiem, kiedy wrócę.

Ponownie zaległo krótkie milczenie, po czym Robert, równie wściekły jak zrozpaczony, powiedział:

- Nie wiesz, czy w ogóle wrócisz! I w tym cały szkopuł! Mam rację? I dlatego nie chcesz, żebym był przy tobie!

- Nie wiem, jak będzie się czuł Cedric. Od tego wszystko zależy.

- A jeśli czuje się dobrze? Polecisz wtedy z powrotem?

- Na razie z całą pewnością nie czuje się dobrze.

- To pewnie po twojej myśli - powiedział Rob zaczepnie. Rosanna zdała sobie sprawę, że kurczowo trzyma telefon, do tego tak mocno przycisnęła aparat do ucha, że aż ją rozboleło. Wzięła głęboki oddech, starając się opanować zdenerwowanie.

- Rob, jesteś niesprawiedliwy - powiedziała spokojnie. - I myślę, że o tym wiesz.

Potrafię doskonale zrozumieć twoją trudną sytuację, ale nie ty jeden masz problemy, i musisz to zaakceptować. Poza tym uważam, że skoro już jesteś w Anglii, powinieneś wykorzystać czas, żeby lepiej poznać swoją matkę. A nie siedzieć ze mną przy łóżku Cedrica!

365

- Już ją poznałem - powiedział cicho Robert. - Nie możemy się dogadać.

-Ale...

- Jest całkiem miła. Myślę, że naprawdę się stara. Ale w gruncie rzeczy nie ma zielonego pojęcia o mnie i w ogóle o młodzieży. Jedyne, co jej przychodzi do głowy, to ciągnąć mnie ze sobą do McDonalda albo chodzić ze mną do kina na filmy dla dzieci. Jest totalnie zestresowana i myślę, że już nie może doczekać się mojego wyjazdu.

- Rob, bądź dla niej bardziej wyrozumiały! Pojawiasz się niespodziewanie w jej życiu i oczekujesz, że od razu ma wiedzieć, jak z tobą postępować, co lubisz i na co miałbyś ochotę! Oczywiście, że jest zestresowana tą sytuacją, na jej miejscu też bym była. Każdy by był.

- Ale z tobą było inaczej. Z tobą to było takie... naturalne!

- Mieliśmy więcej czasu, żeby się nawzajem poznać.

- Od samego początku byłaś w porządku!

- A ty byłeś sporo młodszy. Dziesięcioletni chłopiec jest mniej wymagający.

Wystarczyło podarować ci koszulkę odpowiedniej drużyny piłkarskiej, żeby zdobyć twoje serce. Teraz masz szesnaście lat. Jest o wiele trudniej.

- Ale przynajmniej wiedziałaś, która drużyna jest odpowiednia. - Robert upierał się przy swoim.

Rosanna roześmiała się.

- Muszę ci coś wyznać. Twój tata mi wtedy podpowiedział. Nie miałam pojęcia o piłce nożnej.

Zdawało się, że Rob potrzebuje chwili, żeby przetrwać tę informację.

- To nie ona jest moją matką. Ty nią jesteś! - powiedział. Następnie odłożył słuchawkę.

- Cholera - zaklęła na głos Rosanna. Zastanawiała się, czy zadzwonić do niego po raz drugi. Zdecydowała się jednak tego nie robić. To nic nie da, kręcili się w kółko.

Pewnie znowu będzie próbował zmusić ją do podjęcia decyzji, na co nie była w tej chwili go-

towa. Może to tchórzostwo, ale na razie nie będzie się z nim kontaktować.

Spojrzała na zegarek. Wpół do drugiej. Co mam robić w długie popołudnie, które mnie czeka? - zadała sobie pytanie.

W końcu postanowiła wybrać się na spacer. Przez ponad godzinę chodziła po zimnym cichym mieście. Słoneczna pogoda ostatnich dni zmieniła się, niebo znów zasnuły białe smugi, słońce świeciło słabiej. Było bezwietrznie. Niedaleko domu Marca znajdował się mały park, który bardzo spodobał się Rosannie. Jakiś czas siedziała na ławce, patrząc w zamyśleniu na staw. Widok parku obudził w niej wspomnienia ciepłych letnich wieczorów w Londynie. Upał bijący od chodników. Parki pełne spacerowiczów, deskorolkowców, ludzi siedzących na trawie i jedzących lody. Szelest liści starych potężnych drzew oraz unoszący się ponad wszystkim zapach miasta - kurzu, benzyny i spalin.

Oto moje miasto.

Jeszcze nigdy nie uświadomiła sobie tego z taką klarownością jak w tej chwili. Moje miasto. Moje życie. Ile czasu można bezkarnie zmarnować, żyjąc wbrew sobie?

Poczuła, że całkiem przemarzła. Wstała więc i ruszyła z powrotem do mieszkania Marca.

Kiedy znalazła się w środku, natychmiast rozebrała się i wzięła długi gorący prysznic. Potem wyjęła z walizki świeżą bieliznę, ciepły sweter i grube skarpety i ubrała się. Włączyła telewizor, obejrzała odcinek jakiejś opery mydlanej - dwie kobiety walczyły zacięcie o względy tego samego mężczyzny, który był piękny, młody i tak ograniczony, że Rosanna nie wzięłaby go nawet za darmo.

Było wpół do piątej, kiedy otworzyła butelkę białego wina, którą znalazła w lodówce, i naląła sobie spory kieliszek.

O piątej wypiła drugą lampkę i do tego stopnia pozbyła się skrupułów, że odważyła się wejść do sypialni swojego gospodarza - w nadziei że natknie się tam na jakiś osobisty szczegół, na coś, co pozwoliłoby jej lepiej poznać tego mężczyznę.

Na pierwszy rzut oka pokój zdradzał to samo co reszta mieszkania. Niziutkie łóżko,

na tyle szerokie, że mogło pomieścić dwie osoby,

366

367

i na tyle wąskie, że śpiąc w pojedynkę, nie czuło się zagubionym. Nie było nawet szafki nocnej. Na podłodze przy łóżku stała tylko lampa. Pod nią leżała sterta gazet i czasopism.

Naprzeciwko okna, wychodzącego tak jak reszta okien w mieszkaniu na ulicę, znajdowała się obszerna jasnoszara szafa na ubrania.

Dwie pary dżinsów i sweter leżały niedbale przerzucone przez oparcie polakierowanego na biało wiklinowego fotela, który stał w kącie.

Natomiast prawie całą ścianę naprzeciwko łóżka zajmował biały regał z chaotycznie poupychanymi książkami. Niektóre stały w rzędach, inne piętrzyły się w stosach, sugerując, że Marc Reeve ma jednak jakieś życie poza pracą i zdarzają mu się wieczory, które spędza w domu na lekturze, popijając wino.

Jednakże również w sypialni nie zauważyła fotografii syna.

Zaczęła oglądać książki. Marc preferował biografie, w szczególności te dotyczące osób związanych z historią Anglii. Zajmowały one większą część regału. Trzy pozycje Olivera Cromwella, dwie Tomasza Morusa. Obok stały inne książki historyczne, przeważał temat rewolucji - Wielka Rewolucja Francuska, rewolucja rosyjska, rewolucja angielska. Liczne tomy o II wojnie światowej. Poza tym kilka kryminałów Dorothy Sayers oraz - na ten widok Rosanna uśmiechnęła się - dzieła zebrane Stephena Kinga.

Wzięła kilka książek do ręki i przekartkowała je. Marc był uważnym i prawdopodobnie wielokrotnym czytelnikiem, gdyż książki były podniszczone. Tu i ówdzie dopisał ołówkiem na marginesie nieczytelny komentarz. Przede wszystkim miał jednak skłonność do używania listów i pocztówek w charakterze zakładek i pozostawiania ich w książkach. W regale roilo się wręcz od korespondencji i Rosanna wiedziała, że nie powinna w nich myszkować. Mimo wszystko przeleciała oczyma kartkę, którą znalazła w „Zbrodnia wymaga reklamy” Dorothy Sayers. Pocztówka przedstawiała błękitne morze oraz sielankową zatoczkę z białym piaskiem i nadesłana została z Prowansji.

Kochany Marcu,

jesteśmy tujuż prawie trzy tygodnie. Pogoda jak marzenie, niestety plaże są zatłoczone, ale wpadliśmy na pomysł, żeby wynająć jacht i popłynąć do odległych zatoczek. Kąpiel tam jest prawdziwą przyjemnością. Ajak Ty się miewasz?

Słyszeliśmy, że w Anglii ciągle pada. Powinieneś być pojechać z nami. Spędzać wakacje samemu w domu to przecież nic przyjemnego. Może następnym razem...?

Serdecznie pozdrawiamy

Ellen i Dan.

Spróbowała odcyfrować datę na stemplu pocztowym. Sierpień 2002. Rok, w którym rozstał się z żoną. Jego pierwsze lato po rozwodzie. Przyjaciele chcieli go zabrać ze sobą na wakacje, ale najwyraźniej odmówił. Sprawa Elaine była jeszcze przyszłością. Czy przyjaciele także później go wspierali? Czy raczej pozostawili go samemu sobie? Wszak przeszedł także kryzys zawodowy. Być może dla niektórych przestał być interesujący. Typ zwycięzcy nagle przedzierzgnął się w nieudacznika.

Znalazła jeszcze kilka rachunków, ulotek reklamowych oraz kupon na pizzę. Marc postawił krzyżyk przy pizzy diablo, którą opisywano jako bardzo pikantną. Rosanna uśmiechnęła się. Zamówiłaby to samo.

Sięgnęła pojedną z biografii Cromwella, z której wypadł złożony list. Zła na siebie, ale niezdolna się powstrzymać, rozprostowała kartkę. Po prawej stronie zauważyła napisany tłustym drukiem nagłówek:

Stowarzyszenie Ojcowie w Potrzebie.

Przejechała językiem po spierzchniętych ustach. List datowany był na 25 listopada 2002 roku. Poniedziałek. Zaczęła czytać.

Szanowny Panie Reeve,

cieszymy się ogromnie, że mogliśmy Pana poznać w ze szły piątek naprzyjęciu w Vino Veritas. Myślę, że to nie przy

368

369

padek, że w tłumie stu pięćdziesięciu gości nawiązywaliśmy rozmowę. I okazało się, że mamy podobny problem.

Jak już wspomniałem, Stowarzyszenie Ojcowie w Potrzebie, czy krócej OwP, zostało powołane do życia pięć lat temu i od tamtej pory odnotowało znaczny przyrost członków. Są nimi mężczyźni, którym - podobnie jak nam - odmówiono kontaktu z dziećmi i zażądano jedynie wypłacania alimentów. Nakazuje się nam łożyć horrendalne sumy, jednocześnie wszelkimi środkami próbując ograniczyć lub całkowicie zabronić kontaktów z naszymi dziećmi.

Razem jesteśmy silni. W każdym razie silniejsi niż każdy z osobna. Niejedno udało nam się już osiągnąć, ale mamy przed sobą jeszcze wiele zadań. Dla wielu z nas wsparciem są rozmowy z osobami, które dotknął podobny los, z ludźmi, którzy znają ten problem z własnego doświadczenia.

Nasze kolejne spotkanie odbędzie się w następny piątek, dwudziestego dziewiątego listopada w restauracji, której adres znajdzie Pan poniżej. W imieniu pozostałych członków naszego stowarzyszenia mam przyjemność serdecznie na nie Pana zaprosić. Nie muszę dodawać, jak bardzo zależy nam na przyjęciu do naszego grona akurat prawnika.

Liczę na pozytywną odpowiedź z Pańskiej strony.

Serdecznie pozdrawiam...

Pod spodem znajdował się nieczytelny podpis oraz napisany od ręki adres restauracji i pośpiesznie naszkicowana mapka dojazdu. Rosanna stała z listem w dłoni.

OwP.

Słyszała już o tego rodzaju organizacjach. Jako dziennikarka była przed laty obecna na jednym z takich spotkań i opisała je w artyku-

le. Tym, na co wtedy zwróciła uwagę, była autentyczna rozpacz wielu ojców po rozstaniu z dziećmi, ale także oburzenie, które brało się z poczucia bezprawia. Pamiętała, że bardzo ją to wówczas poruszyło. Nie odniosła wrażenia, że ma do czynienia z bandą dziwaków. Widziała raczej grupę bardzo nieszczęśliwych ludzi. Czy Marc wstąpił do tego stowarzyszenia? Czy pogodził się z sytuacją, jakie deklarował, gdy była mowa o Joshu, to tylko pozory? Może skrywał w ten sposób

rozpacz, którą dzień w dzień z trudem starał się opanowywać? Czyżby to surowe mieszkanie, pusta lodówka, przytłaczająca samotność, którą czuło się w tych czterech ścianach, były wyrazem głębokiego smutku, który ani na chwilę go nie opuszczał? Nieco za późno usłyszała dźwięk otwieranych drzwi. Nie zdążyła schować listu do książki. Trzymała go wciąż w ręku. Przed nią stał Marc.

- Tutaj jesteś - powiedział pogodnie. - Udało mi się wyjść trochę wcześniej. Posłuchaj, jak ty zaparkowałaś samochód? Trudno tamtędy przejechać! - Nie wydawał się na nią zły. Wtedy jego wzrok padł na list. - To mój list? - zapytał, marszcząc czoło.

Rzadko kiedy tak bardzo się wstydziła.

- Wiem, zachowałam się okropnie. Właściwie chciałam tylko obejrzeć książki i...
- I od razu trafiłaś w dziesiątkę - powiedział.

Każdy oddech sprawiał mu ból. Ale przynajmniej znowu mógł oddychać. Ostatnie, co sobie przypominał, to ciemność, w którą się zapadł. Kiedy się obudził, wokół stali lekarze i pielęgniarki, a on podłączony był do respiratora. Przez chwilę czuł się bliższy śmierci niż życia, ponieważ nie potrafił dostosować się do urządzenia i panicznie próbował złapać powietrze, ale w końcu jakoś odnalazł rytm.

- Mamy go - powiedział ktoś z ulgą i Cedric ujrzał nad sobą zatroskane twarze i wpatrzone w niego oczy.

370

371

- Proszę oddychać miarowo - poleciła pielęgniarka, na co chętnie by jej wytłumaczył, jak straszliwie go wszystko boli, ale okazało się, że nie może mówić. Domyślił się, że musiał dostać zastrzyk uspokajający, gdy po chwili znowu opadły mu powieki. Kiedy się obudził, nie był już podłączony do maszyny, ale ból zdawał się jeszcze silniejszy. Miał nadzieję, że zaaplikowano mu jakieś środki przeciwbólowe. W przeciwnym razie nie byłby pewnie w stanie tego wytrzymać.

Minął dzień i drugi. Cedric dotychczas nigdy nie leżał w szpitalu i czuł się okropnie. Ten zapach. Wstrętne linoleum na podłodze. Sztywna pościel. Jedzenie. Ale najgorsze było to, że jest unieruchomiony. Zupełnie bezbronny.

- Doznał pan wielokrotnego złamania - wyjaśnił mu lekarz, siwowłosy, ale dość młodo wyglądający mężczyzna. - Ma pan pęknięte cztery sąsiadujące ze sobą zębra. Niebezpieczeństwo przy tego rodzaju złamaniach polega na tym, że mogą zostać uszkodzone organy wewnętrzne. Miał pan kłopoty z oddychaniem i obawialiśmy się już, że zostało uszkodzone płuco. Ale miał pan szczęście. Zarówno płuco, jak i inne organy pozostały nietknięte.

- To dlaczego nie mogłem oddychać? - zapytał Cedric. Pamiętał straszliwe duszności, które poprzedzały utratę przytomności.

- Z powodu bólu - powiedział lekarz. - Przy tego rodzaju obrażeniach to normalne. Oddychanie przysparza takiego cierpienia, że pacjent instynktownie broni się przed nim. Może to prowadzić do wstrzymywania oddechu, czasem również do całkowitej blokady psychicznej. Niektórzy pacjenci muszą znów mozolnie uczyć się oddychać. Ale w pana przypadku obyło się bez większych problemów.

Wawers, ty dupku, pomyślał Cedric, niech no tylko cię dorwę, odpłacę ci się z

nawiązką. Obiecuję!

W szpitalu pojawił się również ojciec Cedrica. Był zatroskany i przerażony, ale starał się tego nie okazywać.

- Chłopcze, mój chłopcze! Co ty wyprawiasz?

- Tato, czy wiesz, co się stało z Pamelą? - zapytał Cedric. Zauważył przy tym, że niełatwo mu mówić, pozostając w bezruchu.

A każde, choćby najmniejsze poruszenie przyplącał piekielnym bólem, który przeszywał mu klatkę piersiową.

- Pamela? Ta kobieta, która była z tobą? O ile wiem, przebywa w Londynie. Jest przesłuchiwana przez policję. Mój Boże, wpakowałaś się w niezłą kabałę. Rosanna mówiła mi, że...

Powoli Cedric wszystkiego się dowiadywał. Powiedziano mu, że Pamela zastrzeliła Pita Waversa. Zawiozła go na najbliższy posterunek policji. Siedziała teraz w biurze Scotland Yardu. Właściwie wszystko dobrze się skończyło.

Teraz musi tylko wyjść ze szpitala. Lekarz ocenił, że na dniach będzie mógł wrócić do domu.

- Pańskie zębra mogą zrastać się równie dobrze tu jak i tam. Damy panu wystarczającą ilość środków znieczulających, żeby nie musiał pan przez cały czas leżeć w łóżku. Ale proszę się oszczędzać, rozumiano? Na razie musi pan zapomnieć o bieganiu!

Późnym popołudniem zjawił się u niego policjant, którego pielęgniarka ostro napomniwała, żeby nie naprzykrzał się choremu dłużej niż dziesięć minut. Ten wyjaśnił Cedricowi, że przyjechał na zlecenie Scotland Yardu, a następnie zaczął wypytywać go o Pamelę Luke.

- Panna Luke zniknęła. Jej przesłuchanie nie zostało jeszcze zakończone i miała pozostać do dyspozycji policji. Dzisiaj rano o ósmej opuściła hotel. Od tamtej pory jej nie widziano. Czy wie pan, dokąd mogła się udać?

- Nie, nie mam bladego pojęcia.

- Musimy ją znaleźć.

- Przykro mi, ale nie umiem panu pomóc.

- Może jednak coś zwróciło pańską uwagę?

- Śmiertelnie bała się Pita Waversa, początkowo wydawało mi się, że przesadza i histeryzuje. Jak się później okazało, jej przecucie śmiertelnego niebezpieczeństwa było jak najbardziej uzasadnione.

Policjant spojrział w akta.

- Czy powiedziała panu coś na temat paszportu, który jakoby znalazła pięć lat temu w mieszkaniu... Rona Malikowskiego?

372

373

- Nie rozmawialiśmy na ten temat. W ogóle niewiele mówiła. Wciąż tylko powtarzała, że się boi. Że przeczuwa jakieś nieszczęście. Niestety nie brałem tego poważnie. Dlatego teraz tu jestem.

Kiedy policjant odszedł, Cedric przypomniał sobie sformułowanie, którego użył w rozmowie z nim: „Paszport, który jakoby znalazła”.

Zabrzmiało to tak, jakby Scotland Yard miał wątpliwości co do prawdziwości jej

zeczności.

Był na siebie zły, że nie zapytał od razu, o co chodzi. To pewnie przez te środki przeciwbólowe jego głowa pracowała tak wolno. Nie potrafił na czas zareagować. Ale właściwie dlaczego Pamela uciekła? Czego się jeszcze obawia?

Zaczął się zmierzchać i Cedric właśnie znów przysnął, kiedy ponownie otworzyły się drzwi. Podniósł głowę i w tym samym momencie zajęczał z bólu, a po części również z zaskoczenia. Do sali wjechał na wózku Geoffrey.

- Twój ojciec do mnie zadzwonił i powiedział, co się stało - zaczął Geoff - więc pomyślałem... że zajrzę do ciebie.

- Jak się tu dostałeś?

- Opiekunka mnie przywiozła. Czeka na dole - uśmiechnął się z przekąsem. - Ponieważ nie mogą mnie nigdy namówić do żadnej aktywności, niemal skakali z radości pod sufit, kiedy im powiedziałem, że chcę odwiedzić kolegę w szpitalu. Wszyscy wręcz palili się do tego, żeby mnie tutaj przywieźć. Dotarłem więc bez trudu.

- To naprawdę miło z twojej strony - mruknął Cedric. Leżał sztywno w łóżku.

- Przepraszam, że na ciebie nie patrzę. Ale kiedy się poruszam, ból jest nie do wytrzymania!

- Czasami ciało potrafi dać się człowiekowi we znaki - powiedział Geoff, a Cedric prychnął:

- Szczególnie ty coś o tym wiesz!

Po chwili milczenia Geoff znów się odezwał.

- Posłuchaj, zdaniem pielęgniarki nie mogę długo u ciebie siedzieć, dlatego przejdę od razu do rzeczy. Chciałbym cię przeprosić.

- Za co?

- No... kiedy złożyłem do kupy wszystko, czego dowiedziałem się od twojego ojca, zrozumiałem, że nawarzyłem niezłego piwa swoim telefonem do pani Pearce z „Private Talk”. Wywołałem tym lawinę, która... której można było uniknąć.

- Muszę przyznać, że nie był to najlepszy pomysł.

- Cedric, byłem taki wściekły na twoją siostrę. Widziałem ją w programie, jak próbuje oczyścić z zarzutów Marca Reeve'a. Potem ty opowiedziałeś mi o tej Elaine z Northumberlandii. I o tym, że Rosanna jest w drodze do niej. Wiedziałem, że to nie może być moja Elaine, i miałem rację. Pomyślałem, że Rosanna pojedzie tam i będzie próbowała jakichś sztuczek, żeby tylko oczyścić z podejrzeń tego swojego Reeve'a. Mów co chcesz, ale to on jest winny!

- A nawet gdyby tak było? Geoff, znasz ją wystarczająco dobrze! Nie dopuściłaby się najmniejszego oszustwa. Przecież nie jest głupia!

- W każdym razie - kontynuował Geoff - wpadłem na pomysł, żeby zadzwonić do pani Pearce i podsunąć jej tę informację. Pomyślałem, że pod okiem prasy Rosanna na pewno nie zacznie żadnej nieczystej gry. Lee Pearce oczywiście od razu połknęła haczyk. Obiecała wysłać na północ zaprzyjaźnionego kolegę...

- Którym okazał się reporter z „Daily Mirror”.

- Tak. - Geoff westchnął ciężko i dodał: - Napytałem wam biedy i naraziłem wasze życie na niebezpieczeństwo. Naprawdę bardzo mi przykro. Mam nadzieję, że przyjmiesz moje przeprosiny.

Cedric machnął ręką i zaraz syknął z bólu.

- Jasne. Zapomnijmy o tym. Byłeś po prostu...

-...opętany tą jedną myślą. Że Marc Reeve to morderca. Chciałem go za wszelką cenę dopaść. A teraz wygląda na to, że... myliłem się od samego początku.

Cedric spytał ostrożnie:

- Wiesz, że Elaine najprawdopodobniej... nie żyje? Geoff pokiwał głową.

- Dowiedziałem się tego od twojego ojca. Podobno faktycznie padła ofiarą przestępstwa. O ile dobrze zrozumiałem, podejrzany

374

375

jest jakiś londyński sutener. Nie rozumiem wprawdzie, jak miałyby trafić na kogoś takiego...?

Elaine i londyński sutener - także Cedricowi trudno było to sobie wyobrazić. Znowu przyszły mu do głowy słowa policjanta: „Paszport, który jakoby znalazła...”.

Czy rzeczywiście śledztwo miało się ku końcowi? Dlaczego Pamela zniknęła?

Cedric uznał, że nie ma powodu niepotrzebnie mącić w głowie Geoffreyowi.

- Geoff, pewnie nigdy nie dowiemy się, jak było naprawdę, ale istnieje wiele możliwych wyjaśnień. Wiemy, że z powodu odwołanego lotu Elaine była zrozpaczona i dezorientowana. Może na lotnisku usłyszała, że nie ma już żadnych lotów albo wszystkie miejsca są zarezerwowane. A może sama zrezygnowała z podróży, bo nagle straciła odwagę. Ktoś ją zaczepił. Wsiadła z tym kimś do samochodu. Była niedoświadczona i lekkomyślna, musisz o tym pamiętać. Poszła z Reeve'em do domu. Następnym razem mogła mieć mniej szczęścia.

- Mimo wszystko chciałbym to wiedzieć.

- Pit Wavers nie żyje, ale może jego kumpel powie policji coś więcej.

Geoff przytaknął, po czym dodał:

- Wiesz, być może zabrzmi to dziwnie, ale mimo iż teraz mam niemal pewność, że moja siostra nie żyje, wreszcie ta sprawa przestała mnie dręczyć. Najgorsza była dla mnie zawsze myśl, że mnie zostawiła. Po prostu odeszła, zostawiając na pastwę losu. Zadręczałem się tą myślą. Świadomość, że Elaine została zamordowana, jest straszna, ale nareszcie czuję się lepiej. Nie porzuciła mnie.

Cedric pomyślał, że Geoff nie może mieć co do tego pewności, ale nie śmiał wyrazić na głos swoich zastrzeżeń. Jeden z możliwych scenariuszy wyglądał tak, że Elaine wciągnięto do samochodu, zawieziono w jakieś odludne miejsce i zamordowano.

Inny natomiast zakładał, że Elaine świadomie związała się z jakimś mężczyzną, żeby uciec przed ciasnotą swojej dotychczasowej egzystencji. Być może poznała kogoś w Londynie albo ktoś był w jej życiu już od dłuższego czasu. Cedric przypomniał sobie, że Rosanna mówiła o jakimś przyjacielu, o którym Elaine wspomniała w rozmowie z Reeve'em.

Jaką rolę odegrała w tym wszystkim Pamela?

Było jeszcze wiele niejasności i być może Geoff kiedyś będzie musiał się z nimi zmierzyć, ale chwilowo odczuwał ulgę i Cedric nie chciał pozbawiać go złudzeń.

Przez chwilę milczeli, następnie Geoff odkaszlnął i powiedział:

- Właściwie po to do ciebie przyszedłem. Chciałem cię przeprosić i powiedzieć ci, że czuję się lepiej, no i... oczywiście, żeby zobaczyć, jak się masz.

Cedric ostrożnie podniósł dłoń.

- Cieszę się, Geoff. Naprawdę. Bardziej, niż jestem w stanie to okazać.

Geoff delikatnie dotknął ręki Cedrica.

- Chcesz wrócić do Stanów?

- Jak tylko będę mógł się ruszać. Jeszcze kilka tygodni zostanę pewnie u ojca. Jemu to też na pewno dobrze zrobi.

- Odwiedzisz mnie jeszcze?

- Myślisz, że mógłbym wyjechać bez pożegnania? - oburzył się Cedric.

Geoff odwrócił się na wózek i skierował do drzwi.

- Geoff - zawołał za nim Cedric. Wózek zatrzymał się.

-Tak?

- Chciałbym, żebyśmy pozostali w kontakcie. Z Taunton do Nowego Jorku jest kawałek drogi, ale od czego jest Internet i telefony. Powinniśmy... cóż, dobrze by było, gdyby jeden wiedział, co porabia drugi i jak mu się wiedzie.

- Świetny pomysł - zgodził się Geoff.

Kiedy wyjeżdżał z pokoju, kółka cicho zaskrzypiały na linoleum. Cedric ostrożnie podniósł głowę i spojrzał w stronę zamykających się drzwi.

376

377

To dopiero początek, pomyślał. Ale po tym wszystkim, co się stało, może nawet lepszy, niż mogłem się spodziewać.

Był bardzo zmęczony. Rozmowa z policjantem i odwiedziny Geoffreya wyczerpały go.

Cholera, cały czas kiepsko ze mną, westchnął.

Nagle ktoś delikatnie otworzył drzwi. To pewnie pielęgniarka. Boże, czy nie dadzą mu się przespać?

Jeszcze raz ostrożnie obrócił głowę. Niech wreszcie przestanie go wszystko boleć przy najdrobniejszym ruchu!

Postać, która szła na palcach w jego stronę, wydała mu się znajoma, ale patrząc pod światło, nie od razu rozpoznał twarz. Dopiero gdy szlochając usiadła przy jego łóżku, wiedział, kto złożył mu wizytę.

- Pamela! - zawołał, nie posiadając się ze zdziwienia. - Jak tu się dostałaś?

Była zapłakana. Patrzyła na niego wystraszona.

- Cedric! Cedric, musisz mi pomóc!

- Spokojnie - odpowiedział Cedric. W duchu przeklinał fakt, że leży unieruchomiony w łóżku. Miał ochotę przyciągnąć ją do siebie, pogłaskać po głowie, jakoś pocieszyć.

- Spokojnie. I trochę ciszej! Bo zaraz przyjdzie pielęgniarka i cię stąd wyprosi!

- Czekałam cały czas na korytarzu, aż ten facet na wózku wreszcie sobie pojedzie.

Cedric...

- Pamela, szuka cię policja! Wiesz o tym? Skinęła głową.

- Uciekłam. Nie wiedziałam, co robić! Jesteś jedyną osobą, do której mogę się zwrócić. Jechałam autobusem i autostopem i... Byłam cały dzień w drodze. Jestem skonana!

Było to po niej widać. Wyczerpana, blada, włosy miała w nieładzie. Wyglądała jak bezdomna. Cedric obawiał się, że pielęgniarka zaczęłaby bić na alarm, gdyby

nieopatrznie zajrzała właśnie teraz do pokoju.

- Na Boga, Pamela! Jak' mogłaś tak po prostu zwać w trakcie śledztwa? Dlaczego to zrobiłaś?

Pamela starała się powstrzymać napływające do oczu łzy.

- Bo ten gliniarz, Fielder, czy jak mu tam, mi nie wierzy! Wczoraj wieczorem sobie to uświadomiłam. Nie wierzy mi i próbuje mnie zapędzić w kozi róg. Nie jestem głupia, widzę, jak ktoś chce mnie wykiwać! Przez całą noc nie spałam i stwierdziłam, że muszę odejść, inaczej będę miała kłopoty i...

- Ciszej! Czy koniecznie chcesz zwrócić na siebie uwagę pielęgniarek? Co to znaczy, że ci nie wierzy? W co nie wierzy? - przerwał jej Cedric.

Pamela wzięła głęboki oddech.

- W to, że znalazłam paszport Elaine Dawson w mieszkaniu Rona Malikowskiego.

- Dlaczego ci nie wierzy? - zapytał Cedric podejrzliwie. - Przecież naprawdę go tam znalazłaś?

Pamela milczała.

- Pamela! Wszystkim powiedziałaś, że...

- Wiem, co wszystkim powiedziałam! - przerwała mu gwałtownie.

Cedricowi udało się tak przekręcić głowę, że mógł jej spojrzeć w oczy.

- Kłamałaś - stwierdził. Pamela wbiła wzrok w podłogę.

- Tak - powiedziała ledwo słyszalnie.

Miał ochotę nią potrząsnąć. Był wściekły i rozczarowany. Ponieważ wiedział, że powodem kłamstwa mogło być tylko jedno: Pamela nie chciała, żeby policja dowiedziała się o czymś, co miała na sumieniu. Weszła w posiadanie paszportu Elaine w sposób, o którym nikt nie mógł się dowiedzieć. Prawdopodobnie Pamela nie była o wiele lepsza od tych zbirów, których tak bardzo się bała. A on miał ją za ofiarę! Zjechał z nią pół Anglii w poszukiwaniu miejsca, gdzie czułaby się bezpieczna. Próbował ją chronić. Dał się dla niej pobić. Teraz zaś leżał niezdolny do jakiegokolwiek ruchu w łóżku, każdy oddech przypłycał piekielnym bólem i oto dowiaduje się, że został oszukany. Bez skrupułów.

- To jak było naprawdę? - zapytał. - Pamela, powiedz wreszcie prawdę! Jak wpadł ci w ręce paszport Elaine?

378

379

Znów wybuchnęła płaczem, ale tym razem nawet nie próbowała walczyć ze łzami.

- Nigdy mi nie uwierzysz - wyszłochła.

- Odpowiedziałem na zaproszenie i udałem się na spotkanie - mówił Marc - ale nie przystąpiłem do OWP. Mój problem polegał trochę na czym innym.

Siedzieli w mieszkaniu Marca na podłodze, oparci plecami o sofę. Pili wino, które otworzyła Rosanna. Na zewnątrz zapadła już noc. Nad barkiem w kuchni paliła się lampa, poza tym w mieszkaniu było ciemno.

Marc nie był na nią zły. Nie miał pretensji o to, że weszła do jego sypialni i szperała w jego książkach. Ani o to, że przeczytała jego list.

Poszedł do łazienki, wziął prysznic i przebrał się. Dżinsy i sweter zastąpiły garnitur i krawat.

- Masz ochotę gdzieś wyjść? - zapytał. Potrząsnęła głową.

- Marc, chciałabym nauczyć się cię rozumieć.

Nalali wina do kieliszków i usiedli na podłodze. Rozmawiając, patrzyli, jak na pokój powoli zaczyna opadać zmrok. Rosanna opowiedziała mu o swoim dniu. O rozmowie z Fielderem. O tym, że Pamela najwyraźniej próbuje coś ukryć. O spacerze. O uczuciach, które ogarnęły ją w mieszkaniu Marca.

- To mieszkanie nic o tobie nie mówi. To... komfortowa noclegownia. Takie na mnie robi wrażenie. Jak wygląda twoje życie?

W ten sposób rozmowa zeszła na list. I na to, co się z nim wiązało.

- Bynajmniej nie uważałem za pomyłkę tego, czym zajmowali się ci mężczyźni. Rozumiałem, o co, czy raczej przeciwko czemu, walczyli. Ale mój przypadek był zupełnie inny. Żony i były żony większo-

ści tych mężczyzn rzucały im kłody pod nogi, próbując uniemożliwić kontakt z dziećmi. Robiły to przy zastosowaniu wszelkich dopuszczalnych prawnie metod. Niejedna z zasłyszanych tam historii jeżyła włos na głowie. Natomiast moim problemem nie była Jacqueline. Mój problem stanowił Josh. To nie moja była żona stawała okoniem, tylko mój syn. Dlatego sytuacja była taka beznadziejna.

- Beznadziejna - powiedziała Rosanna - to odpowiednie słowo. Słowo, które doskonale do ciebie pasuje. Tłumaczy smutek w twoich oczach. Uśmiech, w którym nie ma prawdziwej radości. Mieszkanie, w którym zaczynam marznąć. Całe twoje życie przesiąknięte jest beznadzieją.

Uśmiechnął się lekko.

- Tak. Masz rację.

- Kiedy znalazłam ten list, który napisał do ciebie jakiś zrozpaczony ojciec, nagle poczułam, że mam w ręku klucz. Zrozumiałam, że odtrącenie cię przez syna odegrało, i nadal odgrywa, w twoim życiu dużo ważniejszą rolę, niż jesteś skłonny przyznać. Każdą rozmowę na ten temat ucinałeś i wydawało mi się to normalne, ale zawsze dawałeś mi do zrozumienia, że pogodziłeś się ze swoim losem. Że nabrałeś do całej sprawy dystansu. Ale w rzeczywistości... to wciąż jątrząca się rana.

Schowwał głowę w dłoniach.

- Rosanno, z nikim jeszcze o tym nie rozmawiałem. Próbowałem przestać się tym zadreć. Nie chciałem być jednym z mężczyzn, którzy przystępują do tego typu organizacji - obrzucił spojrzeniem leżący na sofie list. - Taka retoryka wydaje mi się żalosa. Nie znoszę określeń w stylu „towarzysze niedoli”. Myślę, że w ogóle nie lubię słowa „niedola” w odniesieniu do mojej osoby.

- Dlaczego nie walczyłeś o Josha?

- Walczyłem, i to jak! Próbowałem wszystkiego. Pisałem do niego listy. Raz nawet czekałem na niego pod szkołą. Próbowałem z nim porozmawiać. Ale kategorycznie odrzucał wszelkie próby nawiązania kontaktu.

- Ale dlaczego? Jak syn może wyrzec się swojego ojca?

380

381

Marc znowu podparł głowę rękoma.

Wyglądał na bardzo zmęczonego i starszego niż w rzeczywistości.

- Złożyło się na to wiele czynników. Myślę, że bardzo go rozczarowałem. Kochałem

go ponad wszystko, ale nie docierało do mnie, że dziecko musi czuć rodzicielską miłość, musi czuć, że rodzice poświęcają mu swój czas. Natomiast ja byłem ciągle nieobecny ojcem. Na domiar złego często zdarzało mi się robić coś, czego, szczególnie wobec dzieci, należy unikać: nie dotrzymywałem słowa. Obiecywałem mu jakieś atrakcje na weekend, następnie okazywało się, że mam więcej pracy, niż sądziłem, i nici ze wspólnej soboty. Ot, tak, po prostu. Nigdy z nim o tym nie rozmawiałem. Uważałem za normalne to, że stawiam pracę na pierwszym miejscu, w końcu dzięki niej utrzymywałem rodzinę. Myślałem, że Josh to wie i zdaje sobie sprawę, że nie może być inaczej. W rzeczywistości nieraz przeze mnie płakał. Czuł się odrzucony i zraniony. Ale ja tego nie zauważałem.

-I...

- Poza tym był świadkiem, jak jego matka często przeze mnie płakała.

- Dlaczego? Zwlekał z odpowiedzią.

- Spędzała dużo czasu sama. Może z tego powodu zaczęła sobie... wyobrażać różne rzeczy. Na pewnym etapie naszego małżeństwa przestała mi wierzyć, że tylko przez pracę zaniedbuję rodzinę. Początkowo sporadycznie oskarżała mnie o romans z koleżanką z pracy albo klientką, ale wystarczyło z nią spokojnie porozmawiać, żeby pozbyła się podejrzeń. Z czasem te myśli zaczynały brać nad nią górę. Przybrały niemal obsesyjny charakter. Twierdziła, że oglądam się na ulicy za młodymi atrakcyjnymi kobietami i bez najmniejszych oporów flirtuję na przyjęciach, nie zwracając na nią uwagi. Raz po raz wybuchały z tego powodu awantury. Wówczas zupełnie traciła kontrolę. Ciskała przedmiotami, płakała i krzyczała. Na koniec dostawała spazmów i uciekała do pokoju Josha, żeby się wypłakać.

i

Uważałem, że w ten sposób wyrządza chłopcu ogromną krzywdę, ale byłem zupełnie bezradny.

- Czy za każdym razem jej podejrzewania były nieuzasadnione?

- zapytała Rosanna. Przypomniały jej się słowa byłego sąsiada Marca. Jacqueline nie była jedyną osobą, która uważała go za wiarołomnego męża.

- Rosanno, wyznam ci szczerze, że w owym czasie tyle pracowałem, że nie znalazłbym nawet siły na romans. Absorbowała mnie kariera zawodowa. Miałem wybujałe ambicje. Byłem zdecydowany wejść na sam szczyt. Płacili za to moi bliscy i na pewno mieli prawo mieć o to do mnie pretensje. Ale nigdy nie zdradziłem Jacqueline.

Rosanna przebiegła wzrokiem po pokoju.

- W całym mieszkaniu nie ma ani jednego zdjęcia twojego syna

- powiedziała cicho.

Przytaknął.

- Nie byłbym w stanie tego wytrzymać.

- Nie możesz znieść nawet swoich starych mebli, mam rację?

- Tak. Wynająłem umeblowany apartament. Tak jest mi łatwiej.

- Kiedy ostatni raz widziałeś Josha?

- Po zniknięciu Elaine. W gazetach pisano o mnie. Czekałem na Josha pod szkołą.

Pragnąłem mu wytłumaczyć, że... że wszystko, co przeczytał w prasie, to nieprawda. Chciałem, żeby wysłuchał mojej wersji wydarzeń. Powiniennem był wiedzieć, że to

będzie kropla, która przepelni czarę.

- Nie chciał z tobą rozmawiać? - zapytała Rosanna.

- Oczywiście, że nie. Pod szkołą pojawiła się również Jacqueline, która przysłała go odebrać. Josh krzyczał, żebym go zostawił w spokoju, a Jacqueline była oburzona, że w ogóle miałem czelność po tym wszystkim, co się stało, jeszcze go nachodzić.

Ludzie zatrzymywali się, niektórzy mnie rozpoznali. Ktoś zaproponował, że wezwie policję... To był koszmar. Pojąłem, że nic nie wskóram. Od tamtej pory zaniechałem jakichkolwiek prób. W moim życiu zapanowała... by użyć twego sformułowania... beznadzieja. W kwestii

382

383

Josh nie liczyłem już na nic. Nie miałem też, i może to jest jeszcze gorsze, odwagi walczyć.

- Często o nim myślisz?

- Codziennie.

Z lekkim wahaniem wzięła go za rękę. Nie bronił się.

- Dlaczego tak bardzo się starasz, żeby nikt tego nie zauważył? - zapytała. - Człowiek czuje się samotny, kiedy skrywa w sobie to, co go najbardziej porusza i zajmuje.

- Jest mi łatwiej, kiedy o tym nie mówię.

Pomyślała o tym, co przed chwilą Marc powiedział o liście. Że nie lubi określenia „towarzysz niedoli”. Jak trudno mu w ogóle dojść do ładu z pojęciem niedoli.

- Przypuszczam, że ta tragedia w pewnym sensie oznacza dla ciebie porażkę, zgadza się? Uważasz, że...

Spojrzał na nią gniewnie.

- Rosanna, cóż za imponujący zmysł dedukcji! Chcesz powiedzieć, że czuję się przegrany? Owszem, a jak miałbym się czuć? Doprowadziłem moje małżeństwo do ruiny. Straciłem miłość mojego syna. A kiedy raz w życiu wcieliłem się w rolę samarytanina, potraktowano mnie jak gwałciciela i mordercę. Czy nie sądzisz, że to wystarczy, żeby czuć się przegrany? - raptownie wstał, podszedł do okna i wyjrzał na oświetloną latarniami ulicę, która wciąż była niemal nieprzejezdna, gdyż zastawiał ją źle zaparkowany samochód Marca.

- Cholera - powiedział wściekły - po prostu czuję się lepiej, kiedy o tym nie mówię.

Zastanawiam się, dlaczego kobiety zawsze o wszystkim muszą rozmawiać!

Rosanna również podniosła się z podłogi zirytowana nagłą zmianą nastroju gospodarza.

- Myślałam...

- Co myślałaś? Że dobrze jest rozdrapywać rany, bo jak się w końcu przestanie, to mniej boli? Powiedziałaś, że chcesz nauczyć się mnie rozumieć. A może ja wcale nie chcę być zrozumiany. Może po prostu chcę, żeby zostawiono mnie w spokoju. Nie jestem w sta-

nie zmienić mojej relacji z Joshem i dlatego lepiej dla mnie, żeby bez przerwy o tym nie myślał.

- Rozumiem. Bardzo mi przykro, że... - próbowała znaleźć odpowiednie słowo.

Spojrzał na nią z niechęcią.

- Przykro mi, że przeczytałam ten list - powiedziała w końcu. - Nie powinnam była

tego robić. Może w ogóle nie powinnam była tu przychodzić.

Nie zaprzeczył, tylko ponownie wyjrzał przez okno.

Atmosfera zmieniła się z minuty na minutę. Rosanna zrozumiała, jak cienka była fasada spokoju i równowagi, którą wznosił wokół siebie Marc. Został głęboko zraniony i uważał się za przegranego. Był odtrąconym ojcem, który stracił wszelką nadzieję, że kiedykolwiek uda mu się pojednać z synem. Znosił ten ból, znieczulając się pracą i starając wyprzeć myśli o przeszłości. Był to typowo męski sposób radzenia sobie z tragedią, dziewięciu na dziesięciu mężczyzn postąpiłoby podobnie. Wyciągnęła dłoń i pogładziła go lekko po ramieniu. Natychmiast się odsunął.

- Muszę przestawić samochód - powiedział, odwracając się od okna. Sięgnął po leżące na stoliku przy kanapie kluczyki. - Nie może tak zostać na noc.

Był już przy drzwiach, kiedy Rosanna, zdjeta nagłym strachem, powiedziała:

- Nie, Marc! Nie odchodź! Zatrzymał się.

- Chcę tylko przestawić samochód.

Nie wiedziała do końca, skąd bierze się jej strach i czy jest on uzasadniony. Ale coś jej podpowiadało, że jeśli Marc wsiądzie teraz do samochodu, może po prostu odjechać. Uda się do najbliższego pubu, gdzie będzie próbował w głośnym gwarze zagłuszyć swoje myśli i spędzi wieczór nad kuflem piwa. Albo pojedzie do biura i zaszyje się pod stosem akt.

- Proszę, nie odchodź - powtórzyła.

384

385

Nagle poczuła, że nie wytrzyma sama w tym pustym, zimnym mieszkaniu, na próżno na niego czekając. Nie chciała jutro z rana wyjechać do Taunton ze wspomnieniem tego niefortunnego wieczoru kończącego ich znajomość.

- Chcę tylko przestawić samochód - powiedział po raz trzeci i w jego głosie dało się wyczuć zniecierpliwienie, ale najwyraźniej dotarły do niego obawy Rosanny, gdyż położył kluczyki na blacie kuchennym i postąpił krok w jej stronę.

- Co się dzieje? - zapytał.

Nic nie odpowiedziała. Napięcie pomiędzy nimi było zbyt duże. Nie musiała nic mówić.

Spotkali się na środku pokoju i jednocześnie wyciągnęli do siebie ręce i padli sobie w objęcia. Stali wtuleni w siebie, jakby rozpaczliwie szukali pociechy i schronienia, ale trwało to zaledwie moment. Dotyk ich ciał wywołał wybuch pożądania, w jednej chwili do głosu doszły wszystkie uczucia, które z trudem tłumili w ostatnich dniach. Nie mogli się już dłużej opierać. Mimo to Rosanna, której przemknął przez głowę Denis i złożona mu na ślubie obietnica, spróbowała po raz ostatni zapobiec temu, co zdawało się nieuniknione.

- Samochód - szepnęła. - Nie może tam zostać na noc...

- Do diabła z samochodem - powiedział szorstko Marc. Jego skóra pachniała płynem do kąpieli. W oddechu czuć było wino, które razem pili.

Potem zawsze wspominała ten zapach. Płyn do kąpieli, którego nazwy nie знаła. Wino, które właściwie nie należało do najlepszych, a mimo to całkiem sporo go wypija. Światło latarni za oknami. Szorstki dywan. Niedrogi i funkcjonalny, jak

wszystko w tym mieszkaniu. Spartański, jak całe życie Marca.

Zastanawiała się, czy kochając się z nią, pozbył się smutku, lecz jego twarz nic nie zdradzała, a Rosanna nie odważyła się zapytać.

Następnego ranka czar nie prysł, mimo że dzień był szary i mglisty, ani śladu słońca, do którego wszyscy mieszkańcy Londynu już się przyzwyczaili, traktując jako wyraz ostatecznego zwycięstwa wiosny nad zimą. Wydawało się, że powrócił listopad. Na pierwszy plan znów wysunęły się nagie gałęzie drzew, miasto pograżyło się w szarości. Mgła pochłaniała wszelkie dźwięki. Wystarczyło wyjrzeć przez okno, a zaczynało się marznąć. Na dworze było mokro i zimno.

W nocy Rosanna i Marc przenieśli się z podłogi w salonie do łóżka i zasnęli wtuleni w siebie. Tej nocy jeszcze kilkakrotnie się kochali, rozmawiali, zasypiali, raz Rosanna płakała, nie wiedząc nawet dlaczego. Marc nie zadawał jej pytań. Jak gdyby czuł, że w odpowiedzi nie będzie w stanie znaleźć słów, by opisać to, co przeżywa.

Wstali o wpół do siódmej, ponieważ Marc musiał iść na rozprawę do sądu. Rosanna odkryła w zamrażalniku kilka muffinów, które zostały ze śniadania z Pamelą.

Marc wyjął dwa i włożył do mikrofalówki. Zaparzył dwie kawy.

- To dziwne uczucie - powiedział. - Śniadanie we dwoje. Dawno mi się to nie zdarzyło.

- Czy od rozwodu nie została u ciebie na noc żadna kobieta? Uśmiechnął się.

- W tym mieszkaniu nie. W ciągu pierwszego półrocza po rozstaniu spotkałem się z kilkoma kobietami, ale to było jeszcze w poprzednim domu. W końcu znudziły mi się te romanse na jedną noc. Potem człowiek czuje jeszcze większą pustkę. Tak przynajmniej było w moim wypadku.

Rosanna zamieszała kawę.

- Jak odbierasz to, co między nami zaszło?

- Mam nadzieję, że minioną noc nie była ostatnia.

- Dzisiaj powinnam pojechać do Taunton.

- Może wstrzymasz się z podróżą do jutra? Dzisiaj będę miał urwanie głowy, ale jutro od piątej jestem wolny. Mógłbym z tobą pojechać, jeśli masz ochotę.

- Do Kingston St. Mary?

- Masz coś przeciwko temu?

- Mój ojciec...

- Byłby zaszokowany?

- Nie ma pojęcia, że nie układa mi się z Denitem. Muszę go najpierw oswoić z tą myślą. Kilka miesięcy temu owdowiał i dopiero zaczął jakoś sobie radzić po stracie.

A tu nagle zjawiam się ja i oświadczam mu, że moje małżeństwo legło w gruzach! - spojrzała smutno na Marca. - Bardzo by to przeżywał. Ma dość konserwatywne poglądy.

- Rozumiem - powiedział Marc.

Oparł się plecami o lodówkę, Rosanna stała naprzeciwko niego przy barku. Było tak, jak sądziła: Marc jadł śniadanie na stojąco w niszy kuchennej.

- Posłuchaj, Rosanno - powiedział. - Proponuję, żebyś pojechała do Kingston St.

Mary. Sama. Odwiedzisz swojego brata i ojca. Spróbujesz sobie odpowiedzieć na pytanie, jak sobie to wszystko wyobrażasz. Czego tak naprawdę chcesz.

Uporzędkujesz swoje sprawy. Nie spiesz się.

- Trudno mi będzie cię zostawić.

- A czy sądzisz, że mnie jest łatwo pozwolić ci wyjechać? Ale przecież masz rodzinę. Męża i pasierba. W moim przypadku jest dużo prościej. Ty

' musisz zrobić o wiele poważniejszy krok. Może potrzebujesz po prostu kilku dni, żeby to i owo przemyśleć.

Wiedziała, że Marc ma rację. Ale myśl, że miałyby go tu zostawić samego, sprawiła jej nieoczekiwany ból.

- Możesz wziąć mój samochód. Nie będzie mi potrzebny ani teraz, ani przez weekend.

-Ale...

- Proszę, weź go. Wtedy przynajmniej będziesz zmuszona...

- Do czego? - zapytała, kiedy nagle zamilkł.

Odstawił kawę, wyjął delikatnie Rosannie z ręki filiżankę. Przy ciągnął ją do siebie, wtulił twarz w jej szyję.

- Będziesz zmuszona wrócić do mnie - wyszeptał. - Przecież nie możesz uciec samochodem, który do ciebie nie należy. Przyjedź do mnie w przyszłym tygodniu.

Proszę. Dłużej nie wytrzymam.

Kiedy Marc opuścił mieszkanie, Rosanna umyła filiżanki po kawie i odstawiła je do szafki. Następnie poszła do sypialni, żeby pościła łóżko, wtuliła twarz w prześcieradło, chłonąc zapach, który został na pościeli po wspólnie spędzonej nocy. Przypomniła sobie, jak bardzo wczoraj tęskniła za tym, żeby uciec do rodzinnej wsi, zaszyć się w domu swojego dzieciństwa i spróbować odnaleźć spokój. Owa potrzeba w ciągu nocy całkowicie się ulotniła, nie było po niej śladu. Miała wyrzuty sumienia na myśl o Cedricu, który pobity i ranny leżał w szpitalu, ale już jej tak do niego nie ciągnęło. Chciała być z Markiem. Czekać na niego, kiedy będzie wieczorem wracał z pracy. Posmakować nocnego życia w Londynie, pójść do restauracji, wypić lampkę wina. Wrócić z nim za rękę do domu. Leżeć całą noc w jego objęciach.

- No to ładnie - powiedziała na głos. - Kompletnie się zadurzyłaś.

Wykonała całą masę bezsensownych czynności, których nie było potrzeby robić - wytarła wyimaginowany kurz z czystego regału z książkami, opróżniła niewypełniony nawet do połowy kosz na brudną bieliznę i nastawiła pranie, zniosła na dół prawie pustą torbę ze śmieciami. W którymś momencie przestała się łudzić, że jeszcze tego dnia wyruszy do Taunton. Nie tylko dlatego, że obawia-

388

389

ła się rozstania z Markiem. Bała się przede wszystkim tego, co tam na nią czekało - telefonów od Denisa i Roberta, wyrzutów ze strony ojca, ostrzeżeń Cedrica. Jakie wrażenie odniosą jej bliscy? Tak dobrze skrywała przed nimi frustrację ostatnich lat, czasem nawet nie dopuszczała jej do siebie, wszyscy będą zatem przekonani, że rzuca szczęśliwe małżeństwo dla namiętnego romansu. Prawie wszyscy. Cedric coś zauważył. Ale inni... Pomyślał, że zwariowała. Nikt jej nie zrozumie. Przez cały weekend będzie musiała się tłumaczyć, a na koniec nie otrzyma rozgrzeszenia. Zaparzyła sobie gorącej herbaty i stanęła przy oknie. Popijając ją małymi łykami, rozmyślała.

Cedric chwilowo mnie nie potrzebuje. Tata jest przy nim i troszczy się o niego. Rob jest u matki i nawet jeśli nie czuje się tam najlepiej, ten pobyt jest dla niego ważny. Denis wrócił do pracy i najwyraźniej liczy się z tym, że jeszcze przez jakiś czas zostanie w Anglii. Rzuciłam zlecenia dla Nicka. Pamelą Lukę zajął się Scotland Yard i nawet jeśli rzeczywiście coś kręci, to nie moja sprawa.

Była wolna. W gruncie rzeczy mogła robić, co chce. Po raz pierwszy od dłuższego czasu. Uwolniła się od swojego zadania żony i matki. Od obowiązków córki i siostry. Od swoich zobowiązań jako dziennikarka.

Nagle uświadomiła sobie, co chce zrobić. Coś, do czego nie była zobowiązana. Coś, czego nikt się po niej nie spodziewał. A najmniej Marc.

Wylała resztę herbaty do zlewu, włożyła kozaki i płaszcz, przeciągnęła szczotką po włosach, które przy takiej pogodzie jak dziś były szczególnie trudne do ujarznienia. Wzięła kluczyki do samochodu i wyszła z mieszkania.

Miała nadzieję, że dobrze zapamiętała nazwę. Marc wymienił ją tylko raz. Binfield Heath.

Rosanna znalazła miejscowość w atlasie samochodowym Marca. Binfield Heath, nieopodal Henley-on-Thames. Przed laty nie-raz odwiedzała to miejsce. Była dziesiąta, kiedy wyjechała na M40 w kierunku Oksfordu.

Wkrótce zjechała z autostrady i posuwała się dalej bocznymi drogami, mijając małe urocze wsie i miasteczka położone nad Tamizą. Mgła nie była wprawdzie tak gęsta jak wczesnym rankiem, ale biały całun nadal spowijał łąki, kamienne mury, połyskujące czernią gałęzie drzew, dachy domów, stajnie i pastwiska. Raz po raz niespodziewanie wylaniały się spośród łąk kościoły albo murowane zagrody. Kilka razy zauważyła rzekę, raz wpadła jej w oko barka sunąca majestatycznie po wodzie. Mgła powodowała, że Tamiza, podobnie jak okoliczne wsie i lasy, wyglądała nadzwyczaj dostojnie. Okolica pogrążona była w ciszy, sprawiała wrażenie wymarłej. Co jakiś czas Rosanną wstrząsał dreszcz, którego źródłem nie było zimno, gdyż ogrzewanie w samochodzie działało bez zarzutu. Marzła z powodu panującej wokół atmosfery. Wiedziała, że jedzie przez jedną z najpiękniejszych angielskich prowincji i latem, albo po prostu przy ładnej pogodzie, okoliczne wsie wyglądają bajecznie. Dzisiejszego dnia przyoblekła je beznadzieja. Niepotrzebnie zjeżdżała z autostrady. Minęła miejscowości Marlow, Henley i Shiplake. Zbliżała się do Binfield Heath. Była to mała wioska, która w ten ponury dzień, kiedy mgła zasnuła krajobraz, sprawiała wrażenie przypadkowej zbieraniny kilku domków gdzieś na pustkowiu. Prawdopodobnie uliczki i domy pięły się po otaczających wieś zboczach, ale wzgórza były niewidoczne spod szarej zasłony mgły. W centrum wsi znajdowało się skrzyżowanie, przy którym wznosił się okazały budynek z czerwonej cegły. Mieściły się tam sklep oraz poczta i wyglądało na to, że to jedyne tego rodzaju przybytki w promieniu wielu mil. Zauważyła też szyld informujący, że latem w sąsiednim ogródku można napić się herbaty i zamówić ciastko.

Całkiem tu ładnie, pomyślała Rosanna. Zaparkowała samochód przed budynkiem i postanowiła zapytać o Jacqueline Reeve. Przypuszczała, że wszyscy tu się znają i że sklep, przed którym się znajdowała, jest sercem wsi i ważnym punktem przepływu informacji.

Kiedy wysiadła z samochodu, w twarz uderzyło ją wilgotne, zimne powietrze. Zawahała się. Czy to nie czyste szaleństwo? Jeszcze może zawrócić. Zostawić w spokoju Binfield Heath i Jacqueline Reeve. Co więcej - może wrócić do Londynu, odstawić samochód Marca przed domem, zabrać swoją walizkę i pojechać pociągiem do Taunton. Odwiedzić tatę i Cedrica, a następnie wrócić z zadowolonym Robertem do Gibraltaru. Kontynuować swoje dotychczasowe życie. Zapomnieć o krótkim interludium w Anglii. O Elaine, Pameli, Waversie i Marcu.

Szaleństwem byłoby postąpić inaczej, pomyślała Rosanna, a zaraz potem w przyływie paniki przyszło jej do głowy, że najwyraźniej traci kontrolę. Mimo wszystko zamknęła samochód, postawiła kołnierz i weszła do sklepu, którego asortyment sięgał od kawy i herbaty, poprzez śrubki i gwoździe, po gazety i pocztówki. Oferowano tu wszystko, czego mieszkańcy na co dzień potrzebowali. Stojąca za ladą młoda kobieta kartkowała z nieco znudzoną miną jakieś czasopismo. Tak jak można się było spodziewać, znała Jacqueline Reeve.

- O tak, wiem, gdzie mieszka! To naprawdę utalentowana malarka! Jesteśmy z niej bardzo dumni! - Spojrzała ciekawie na Rosannę. - Czy jest pani właścicielką galerii? - Nie. Przyjechałam w... prywatnej sprawie.

- Ach tak. - Sprzedawczyni była nieco rozczarowana. - Stąd może pani dojść do niej na piechotę. Trzeba przejść kawałek tą ulicą i zaraz skręcić w prawo. To trzeci dom po lewej. Tam mieszka.

- A gdzie ma swoje atelier?

- W tym samym domu. Bez trudu pani trafi.

Może gdyby odnalezienie jej okazało się trochę trudniejsze, zawróciłabym, pomyślała Rosanna, kiedy znalazła się znowu na zewnątrz.

Pięć minut później stała przed domem Jacqueline. Był to stary mały budynek - bielone wapnem ściany, polakierowane na czerwono drzwi frontowe i słomiany dach. Przed wejściem znajdował się mały ogródek, kwitły w nim krokusy. Do ściany przytwierdzona była krata, przy której rósł przycięty krzak róży. Latem pewnie cały front domu zdobiły kwiaty.

Widok był sielankowy, ale tak silnie kontrastował z domem w Belgravii - dawną londyńską siedzibą Reeveów, że Rosanna była zaszokowana. Domek w Binfield Heath reprezentował zupełnie inny świat, inny styl życia. Jak mały Josh przyjął taką zmianę?

Otworzyła furtkę, przeszła po mokrych nieregularnych kamieniach i do drzwi. Nikt nie zareagował na jej ciche pukanie, ale kiedy delikatnie popchnęła drzwi, same się otworzyły, potrącając zawieszony pod sufit dzwonek. Rosanna stała w małym holu, gdzie na ścianach wisiało wiele obrazów. Na wszystkich bez wyjątku widoczne były okoliczne motywy. Łąka nad rzeką. Wzgórza w bladym świetle poranka. Żaglówka na Tamizie. Ze względu na tematykę akwarele mogłyby wydać się kiczowate, ale wcale takie nie były. Rosanna pomyślała, że są ładne. Każdą z nich bez wahania powiesiłaby w swoim mieszkaniu.

W powietrzu czuło się zapach farb i terpentyny. Gruba ciemnozielona zasłona odgradzała hol od sąsiedniego mieszkania. W tle słychać było cichą muzykę

fortepianową.

- Witam panią, w czym mogę pomóc? - zza zasłony wynurzyła się kobieta i spojrzała na Rosannę.

Miała na sobie ciemnoszary golf i džinsy, a na wierzchu pochłapaną farbą, białą męską koszulę do kolan. Ciemne włosy upięła z tyłu licznymi spinkami. Była nieumalowana. Jednak była to jedna z najpiękniejszych kobiet, jakie Rosanna w życiu widziała.

Przełknęła ślinę. Kto by pomyślał, że Marc miał tak atrakcyjną żonę? Dlaczego Jacqueline obawiała się, że mąż mógłby ;

ją zdradzać? Jakaż kobieta mogłaby się z nią równać?

Uprzejmie, ale trochę zniecierpliwionym tonem Jacqueline po wtórzyła:

- W czym mogę pomóc? Jestem trochę zajęta...

Rosanna poczuła się okropnie. Była natarczywa i niedyskretna. Prostacka.

Najchętniej wymamrotałaby jakieś przeprosiny i opuściła czym prędzej ten dom i to miasteczko, ale z jakiegoś powodu nie była w stanie się ruszyć. Stała jak sparaliżowana.

392

393

- Pani Jacqueline Reeve? - spytała.

- Tak, to ja.

Rosanna zebrała się na odwagę i wyciągnęła do niej rękę.

- Rosanna Hamilton.

Jacqueline wytarła dłoń w koszulę i przywitała się.

- Miło mi, pani Hamilton. Co panią do mnie sprowadza?

- To trochę skomplikowane... - powiedziała powoli Rosanna.

- Czy chodzi o obrazy? O moją wystawę, która ma się odbyć w przyszłym tygodniu?

- Nie, nie. Moja wizyta nie ma z tym nic wspólnego. Ja... - W pomieszczeniu było ciepło. Rosanna poczuła, że stojąc tu w zimowym płaszczu, zaczyna się pocić. -

Chodzi o pani męża - powiedziała wreszcie. - O pani byłego męża, Marca Reeve'a.

Oblicze Jacqueline natychmiast spochmurniało. Chociaż nie zrobiła ani kroku, zdawało się, że nagle dystans między kobietami znacznie się zwiększył.

- Och, nie wiem, co... - zaczęła.

Rosanna odzyskała w tym czasie nieco pewności siebie.

- Proszę - powiedziała - to dla mnie bardzo ważne. Czy zgodziłaby się pani poświęcić mi kilka minut?

Jacqueline nie wydawała się zachwycona.

- Jestem bardzo zajęta. W przyszłym tygodniu mam wystawę i sama nie wiem, jak do tego czasu...

- Tylko kilka minut - przerwała jej Rosanna. - Proszę!

Jacqueline poddała się. Pewnie wyczuła desperację w moim głosie, pomyślała Rosanna, albo po prostu zaintrygowałam.

- W porządku - powiedziała Jacqueline, odsuwając na bok zasłonę. - Proszę wejść.

Niech pani zdejmie płaszcz i usiądzie. Napije się pani herbaty?

- Zatem jest pani nową dziewczyną Marca - powiedziała Jacqueline. Jej głos nie brzmiał wrogo, sprawiała raczej wrażenie nieco ubawio-

nej. Nie zaprowadziła Rosanny do atelier, lecz zaproponowała jej miejsce przy stoliku w małej kuchni. Rosanna nareszcie mogła zdjąć gruby płaszcz i rozejrzeć się po wnętrzu. Spojrzawszy przelotnie na wiszące na ścianie lustro w ratanowej ramie, zobaczyła swoją bladą chudą twarz i ciemne włosy, które jak się obawiała, z powo du wilgoci sterczały bardziej niesfornie niż zwykle. Zrezygnowana zapytała się w duchu, czy kiedykolwiek nadejdzie dzień, w którym będzie zadowolona z siebie i ze swojego wyglądu. Prawdopodobnie nigdy. W każdym razie nie stanie się to dopóty, dopóki na swojej drodze będzie spotykać takie gracje jak była żona Marca. Kobiety piły gorącą słodką herbatę owocową. Z pomieszczenia obok wciąż dobiegały kojące dźwięki pianina.

Pewnie czerpie inspirację z muzyki. Cóż za ekstrawagancki styl życia! Wieś, mgła, zapach farby... cisza, którą zakłóca jedynie muzyka... Zatem to dla tego wszystkiego porzuciła życie w Londynie u boku takiego mężczyzny jak Marc!

- Cóż - odpowiedziała Rosanna na uwagę Jacqueline - znamy się od niedawna. Ale jesteśmy... - zamilkła.

-...bardzo zakochani - dokończyła za nią Jacqueline. - Tak, wyobrażam sobie. To bardzo atrakcyjny mężczyzna. Jest wyrozumiały, wielkoduszny i łagodny. Jestem w stanie zrozumieć, że się pani w nim zakochała.

Powiedziała to w otwarty i nieskrępowany sposób. Rosanna dozukiwała się w jej głosie ironii, ale niczego podobnego nie wyczuła Jacqueline zdawała się mówić szczerze.

- Pani Reeve, ja...

- Proszę zwracać się do mnie Jacqueline.

- Jacqueline, nie mam pewności, czy to w porządku, że tu je stem. Dziś rano spontanicznie podjęłam decyzję, żeby do pani przyjechać. Marc nie ma o tym pojęcia. Pewnie byłby oburzony.

- Prawdopodobnie.

- Ale jest kilka niejasności, które... Są sprawy, które trudno mi pojąć... - przerwała. Nie powinnam tu była przyjeżdżać, pomyślała znekana. Bełkoczę coś bez ładu i składu i czuję się jak idiotka.

Jacqueline pochyliła się nieco do przodu.

- Co chce pani wiedzieć, Rosanno? Co panią tak niepokoi? Czyżby tamta historia sprzed lat?

- Ma pani na myśli...

- Sprawę tej kobiety. Jak jej było na imię... Madeleine...?

- Elaine. Elaine Dawson.

- Otóż to. Elaine Dawson. Zna pani tę historię? I to jak, pomyślała.

-Tak.

- I pragnie się pani ode mnie dowiedzieć, czy uważam, że mój mąż zamordował Elaine Dawson? Obawia się pani, że zakochała się w mordercy?

Rosanna rozluźniła się nieco i oparła wygodniej na krześle. Przynajmniej w tej kwestii od samego początku nie miała wątpliwości.

- Nie. Nie obawiam się tego. Ale rzeczywiście moja wizyta u pani ma związek z

Elaine Dawson. Cała ta historia jest zbyt zagmatwana, żeby ją napędce wyjaśnić, ale wygląda na to, że zagadka jest już bliska rozwiązania. Wydaje się, że Elaine Dawson rzeczywiście padła ofiarą przestępstwa. Policja ma niemal stuprocentową pewność, kto jest mordercą.

Pit Wavers. Martwy Pit. A co z Pamelą Luke, która opuściła Londyn? Czy to możliwe, że uciekła do Cedrica? Jak poczuje się Cedric, jeśli okaże się, że Pamela nie jest tylko niewinną ofiarą? Czyżby mój brat przebywał w towarzystwie morderczyni? Rosanna czym prędzej przegoniła te myśli. Nie była to odpowiednia chwila, żeby się nad tym wszystkim zastanawiać. Ale Jacqueline zauważyła zmianę na jej twarzy.

- Ach tak? - zapytała. - Sprawa została wyjaśniona?

- Można tak powiedzieć. Sądzę, że w najbliższych dniach będzie można dowiedzieć się wszystkiego z prasy. I w związku z tym przyszło mi do głowy...

- Co takiego?

Rosanna zdobyła się na odwagę.

396

- Chodzi o Josha. Pani syna. A dokładnie o jego relacje, czy raczej brak relacji z ojcem. Co częściowo ma związek ze sprawą Dawson i podejrzeniami wobec Marca, z których nigdy nie udało mu się całkowicie oczyścić.

-

- Jacqueline, Marc potwornie cierpi. Zrezygnował z walki o syna, ale fakt, że Josh zerwał z nim wszelkie kontakty, rzuca cień na jego życie. Ucieka w pracę, udało mu się nawet osiągnąć sukces, ale jest niezwykle samotny, nie ma w nim odrobiny radości.

- Nie może być aż tak samotny. Ma przecież panią!

- Ale ja nie jestem w stanie zastąpić mu syna. Ta sytuacja jest bardzo trudna również dla mnie ... Marc czuje się samotny, nawet gdy jesteśmy razem. Jest samotny wśród ludzi. Jest samotny, kiedy się śmieje.

- Cóż - powiedziała obojętnie Jacqueline, ale choć starała się nie dać tego po sobie poznać, dawny spokój ją opuścił. Sięgnęła po leżącą na komodzie paczkę papierosów, zaproponowała jednego Rosannie, a kiedy ta odmówiła, zapaliła. Zaciągnęła się głęboko dymem.

- Jak miałabym pomóc? - zapytała. Rosanna utkwiała w niej wzrok.

- Czy nie widzi pani żadnej możliwości zbliżenia pomiędzy Joshem a jego ojcem? Może jakieś krótkie spotkanie. Rozmowa. Czy w ogóle istnieje szansa na odnowienie zerwanego kontaktu? Jeśli się okaże, że Marc faktycznie nie popełnił żadnego przestępstwa, i kiedy...

- Rosanno! Niechże się pani obudzi! - przerwała jej ostro Jacqueline. Podniosła się z krzesła, stanęła na środku kuchni z papierosem w dłoni. - Ani przez chwilę nie wierzyłam, że Marc mógłby mieć coś wspólnego ze zniknięciem tej Dawson. I wiem, że Josh wgłębi duszy też nigdy wto nie wierzył. Jeśli policja odnalazła sprawcę i w najbliższych dniach dowiemy się o tym z gazety, nie będzie to dla nas zaskoczeniem. Cieszę się, że Marc raz na zawsze zostanie oczyszczony z podejrzeń. Ta sprawa wiele go kosztowała. Tyle że dla mnie nie będzie to nic nowego. Ani dla Josha.

397

!Ale...

- Oczywiście, że Josh interesował się tą sprawą. Na zasadzie: widzisz, jaki tata jest okropny, teraz jeszcze zamordował jakąś kobietę! W pewnym sensie wykorzystał tę okoliczność jako dodatkowe usprawiedliwienie decyzji o zerwaniu kontaktów. W ten sposób zagłuszył poczucie winy, które być może odczuwał wobec ojca. Nikt przecież nie mógł go zmusić, żeby spędzał weekendy z człowiekiem, na którym ciążyło takie podejrzenie, prawda? W pewnym sensie ta sprawa była mu nawet na rękę. Wywołała ona oczywiście również wiele sprzecznych uczuć... z powodu tych artykułów w prasie jeszcze bardziej znenawidził ojca. Wiedziała o tym cała szkoła, koledzy z drużyny piłkarskiej, wszyscy sąsiedzi... Josh miał niespełna dziesięć lat. Czy wyobraża sobie pani, jak strasznie musi czuć się syn, kiedy dowiaduje się czegoś takiego o własnym ojcu? Gwałciciel i morderca! Nikogo nie interesowało, że te zarzuty nie były niczym poparte, że policja prędko pozbyła się wobec Marca wszelkich podejrzeń. Ludzie uwielbiają takie historie, mroczne i ekscytujące. Oboje zostaliśmy napiętnowani. Przy czym dla Josha było to dużo trudniejsze niż dla mnie.

- Wyobrażam sobie - powiedziała Rosanna. - To musiało być dla niego straszne. Jacqueline, proszę mi powiedzieć, jeśli wydam się pani niedyskretna i wścibska, ale jednego nie jestem w stanie sobie wytłumaczyć. Nie rozumiem tej synowskiej nienawiści do ojca.

Jacqueline zaśmiała się, nie sprawiała jednak przy tym wrażenia rozbawionej. Zgasła papierosa na talerzyku i usiadła na krześle.

- Josh rozstał się z ojcem. Nieodwołalnie. Tak samo jak ja. Rosanna wiedziała, że posuwa się za daleko.

- Ale dlaczego? Skąd decyzja o tym rozstaniu?

Jacqueline patrzyła na nią przez chwilę. Nie wrogo, raczej w zamyśleniu. Rosanna obawiała się, że zaraz wstanie i zakończy tę rozmowę. Miło było panią poznać, Rosanno, ale moje kłopoty małżeńskie nie powinny pani interesować. Sama go pani pozna. Życie z drugim człowiekiem to coś więcej niż kilka namiętnych nocy. Niech się pani sama przekona, jak wygląda przekłeta codzienność z Markiem Reeve'em. Na jej miejscu też bym tak zareagowała, pomyślała Rosanna. Ale Jacqueline nie odezwała się ani słowem - Sięgnęła po następnego papierosa. Trzymała go niezapalonego w palcach, W końcu powiedziała cicho:

— Rosanno, życie z Markiem to było piekło. Dla mnie, a co za tym idzie, także dla Josha. Nie sądzę, żeby syn był w stanie wybażyć mu krzywdę, którą wyrządził jego matce.

Pokój był ciasny i urządzony bez smaku, ale Pamela wolała to niż londyński moloch. Tam wydawało jej się, że zaraz zwariuje. Nie dało się otworzyć okien, nie radziła sobie z regulacją ogrzewania i czuła się przytłoczona tamtejszym luksusem. Sama tylko łazienka, ogromna i wyłożona marmurem, z lustrem na całą ścianę, działała na nią deprymująco. Żeby wydostać się na chwilę na ulicę i zaczerpnąć świeżego powietrza, musiała przejść przez hotelowe foyer, które przypominało halę lotniska. Tłum ludzi, gwar głosów, ciekawskie spojrzenia, spieszący we wszystkie strony pracownicy hotelu. Od panującego tam hałasu i pośpiechu pękała jej głowa. I do tego ten inspektor Fielder. Był miły, zaproponował jej kawę i wodę mineralną i

przyjaźnie się do niej odnosił. Ale nie mogła znieść jego oczu, tego zimnego, nieustępliwego spojrzenia. Swoi mi pytaniami dał jej odczuć, że jej nie ufa. Nie wierzył w jej zeznania dotyczące miejsca znalezienia paszportu. Nie wierzył, że nigdy wcześniej nie miała w ręku broni. Uśmiechał się dobrotliwie, za dając surowym tonem pytania. Wciąż drażył temat. Nie dawał jej chwili wytchnienia. Nie mogła już tam wytrzymać. Ani w hotelu, ani tym bardziej w pokoju przesłuchań. Być może za długo żyła w ukryciu. W odciętych od świata miejscach. Stroniąc od ludzi.

Podeszła do niskiego okna, pchnęła okiennice. Zimne, wilgotne powietrze wtargnęło do pokoju. Odetchnęła głęboko. Przed do

398

399

mem rozciągała się osiedlowa uliczka, na dworze nikogo nie było widać. Na trawniku zauważyła wiewiórkę, która czmychnęła do sąsiedniego ogródka. Poza tym cisza i spokój, które działały kojąco na jej skołataną nerwy.

Cedric polecił jej ten pensjonat. Wcisnął jej do ręki dwadzieścia funtów i wysłał tutaj. Chętnie zostałaby u niego w szpitalu, ale wiedziała, że siostra oddziałowa nie byłaby tym zachwycona.

- Chcesz, żeby zaczęła zadawać ci nieprzyjemne pytania, a na koniec jeszcze wezwała policję? - zapytał Cedric.

Oczywiście nie miała na to najmniejszej ochoty.

Właścicielka wynajęła jej pokój bez większych ceregieli, ale rano, kiedy przyniosła jej obfite śniadanie, które Pamela pozostawiła prawie nietknięte, okazała się ciekawska i wścibska. Do Pameli dotarło, że musi jak najszybciej się stąd wynieść. Wyglądała niedbale i nie miała ze sobą bagażu - idealne połączenie, żeby rozniecić wyobraźnię gospodyni i wzbudzić jej podejrzenia.

- Ojciec odbierze mnie jutro ze szpitala - powiedział Cedric - a potem wstąpimy po ciebie. Pamela, na razie możesz zamieszkać w pokoju mojej siostry. Ale jedno musi być dla ciebie jasne: ani ja, ani mój ojciec nie będziemy cię chronić przed Scotland Yardem. Musisz się do nich zgłosić. Powiesz im wszystko to, do czego przyznałaś się przede mną!

Pamela odwróciła się od okna. Zmarzła, ale zimne powietrze trochę ją orzeźwiło. Na razie zostawi okno otwarte. Nie była pewna, czy Cedric jej uwierzył. Wszystko mu opowiedziała, a on wysłuchał jej uważnie, ani razu nie przerywając.

- Dlaczego nie powiedziałaś tego na samym początku? - zapytał, kiedy zamilkła, a Pamela spróbowała mu wyjaśnić, że bała się ściągnąć na siebie podejrzenia.

- Właśnie teraz ci nie ufają - powiedział.

To prawda. Popełniła błąd. Nie musiał jej tego mówić. Teraz potrzebowała jego pomocy.

W pokoju na ścianie wisiał staroświecki porcelanowy zegar, którego tarczę okalała girlanda zielonych liści, a wahadła zrobione

były z winogron. Gdzie się kupuje coś takiego? Dochodziła dwunasta. Pewnie jeszcze trochę potrwa, zanim Cedric i jego ojciec po nią przyjadą. O ile w ogóle to zrobią, a nie naślą na nią policję.

Przez ostatnie dwa dni prześladował ją widok Pita Waversa. Ale nie silnego,

krzywonożego, brutalnego Pita, przed którym przez lata się ukrywała, żyjąc w śmiertelnym strachu, tylko tego, który leżał bez ruchu na leśnej drodze, gdzieś pod Cannington w Somerset. Z kulą w piersi. Z zamkniętymi oczyma.

Pochyliła się nad nim. Ze strachu ledwo była w stanie oddychać. A jeśli tylko udaje? myślała. Może nagle zerwie się, chwyci ją za nadgarstek, drugą pięścią uderzy w brzuch, tak jak zwykł robić to dawniej? Kiedy strzeliła, upadł na ziemię. Zdążyła jeszcze to zauważyć, zanim przednia szyba zamieniła się w ogromną pajęczynę. Ale nie była w stanie powiedzieć, czy go trafiła. Równie dobrze mógł się uchylić.

Choć nie miało to najmniejszego sensu, z początku Pamela próbowała dalej strzelać do niewidocznego wroga, lecz w pistolecie nie było już naboju i w końcu dała za wygraną. Siedziała bez ruchu w samochodowym fotelu. Dosłownie zamarła ze strachu. Przygotowana na to, że w każdej chwili Pit może pojawić się przy drzwiach. Że ujrzy małe okrutne oczy. Jego oczy zawsze go zdradzały. Przeczytała kiedyś w gazecie, że psychopatę cechuje całkowity brak empatii, dlatego niezdolny jest do współczucia czy szacunku dla drugiego człowieka. Wiedziała, że Pit cierpi na poważne zaburzenie osobowości. Jej rozpacz się pogłębiała.

W końcu zdała sobie sprawę, że nie może tak siedzieć i wpatrywać się w rozbitą szybę. Cedric najwyraźniej stracił przytomność. Oddychał ciężko i nieregularnie. Potrzebował pomocy lekarza.

Wreszcie wysiadła. Na to wspomnienie ciarki przeszły jej po plecach. Nagle wpadło jej do głowy, że Pit mógł zacząć się tuż przy samochodzie i chwyci ją za kostkę, kiedy będzie wysiadać. Wciąż trzymała w ręku broń, chociaż było to zupełnie zbędne. Wystrzeliła już jedyny nabój, jaki miała.

400

401

Pamela obeszła samochód i omal nie potknęła się o ciało Pita, który leżał w tym samym miejscu, w którym upadł. Patrzyła na niego, słyszała w uszach pulsowanie krwi i czekała, aż coś się stanie, nie wiedząc, co to miałyby być.

Na myśl o Cedricu zmusiła się do działania. Jeśli jeszcze trochę tu postoi, Cedric umrze. Pochyliła się nad Pitem, nasłuchiwała i przyglądała mu się uważnie. Nie była w stanie stwierdzić, czy żyje. W końcu przemogła się i położyła mu dłoń z lewej strony na piersi; wyczuła lekkie bicie serca. Mogło to być jednak również drżenie jej własnej dłoni - nie była w stanie z całą pewnością stwierdzić. Kiedy zabrała rękę, poczuła, że dłoń jest mokra i klei się, i po chwili zaskoczenia dotarło do niej, że to krew.

Trafiłam cię w serce, Pit. Spójrz tylko, mała Pam, ścierwo, jak mnie często nazywałeś, przyszła, strzeliła i trafiła w dziesiątkę. Nieźle. W życiu byś się czegoś podobnego nie spodziewał, co?

Nie, nigdy by się tego nie spodziewał. Jeszcze dwie godziny temu, w tym okropnym apartamencie, nie zrobiła na nim najmniejszego wrażenia, kiedy nagle wymierzyła w niego broń. Wtedy sama nie wierzyła, że jest do czegoś takiego zdolna. Dlatego tak drżała. I poczuła ulgę, kiedy Cedric wziął od niej pistolet.

Zalała ją fala euforii, ale nie była to prawdziwa ulga. Chciało jej się śmiać, płakać i krzyczeć jednocześnie. Była na skraju hysterii.

Wolno ci się załamać, dopiero kiedy zawieziesz Cedrica do szpitala! - powiedziała

sobie.

Rzuciła bezużyteczny pistolet w trawę i pokonawszy wewnętrzny opór, wzięła Pita pod pachy i przeciągnęła go na bok. Potem wsiadła do jego samochodu i z ulgą stwierdziła, że kluczyki są w stacyjce. Poddałaby się, gdyby przyszło jej jeszcze szukać kluczyków u martwego albo ciężko rannego, brojącego krwią Pita. Ręce jej się trzęsły i dopiero za czwartym razem zdołała zapalić silnik. Przetawiała samochód, tylko tyle, żeby nie zagradzał drogi. Następnie wysiadła, podbiegła do samochodu Cedrica i znów trwało całą wieczność, zanim udało jej się go uruchomić. W drodze do szpitala - dopiero po fakcie uświadomiła sobie, że jechała bez świateł - mówiła do niego w duchu.

Nie martw się. Zaraz będziemy w szpitalu. Tam ci pomogą. Pit nie może nam już nic zrobić. Załatwiłam go, co o tym sądzisz? Leży w lesie, martwy lub prawie martwy. Ale nam, nam musi się udać!

Pozostało dla niej tajemnicą, w jaki sposób faktycznie jej się udało. Błądziła po okolicy, nie mając pojęcia, gdzie się właściwie znajduje. Najważniejsze, żeby dojechać do jakiegoś miasteczka, znaleźć szpital albo posterunek. Kiedy wreszcie w jakiejś zaspanej miejscowości zauważyła podświetlony szyld POLICJA, omal nie popłakała się z radości.

Jak przez mgłę przypominała sobie niewygodne plastikowe krzesło w komisariacie, na którym siedziała co najmniej przez godzinę z kubkiem kawy w ręku, cicho i nieprzerwanie płacząc.

Znowu podeszła do okna, tym razem po to, żeby je zamknąć. Było chłodno, a nie mogła sobie pozwolić na przeziębienie.

Nie sądziła, że kiedykolwiek jeszcze wspomni ciepło swojego brata Liama. Był to brutalny mężczyzna, podły i podstępny, leniwy pijak, ale to on zabierał swoją małą siostrę na strzelnicę. Liam miał obsesję na punkcie broni. Zanim alkohol zamienił go we wrak człowieka, każdą wolną minutę spędzał, trenując strzelanie do celu. Pam, zmuszona ciągle ukrywać się przed ojcem, który odkąd skończyła jedenaście lat, wodził za nią lubieżnym spojrzeniem, a dwa lata później zaczął regularnie nachodzić ją w sypialni, raz przebłagała brata, żeby wziął ją ze sobą. Liam źle ją traktował, ale przynajmniej się do niej nie dobierał. Pamela miała wrażenie, że w pewnym momencie szkolenie siostry w swoim ulubionym rzemiośle zaczęło mu nawet sprawiać przyjemność. Ona natomiast, pragnąc przypodobać się bratu, dawała z siebie wszystko i szybko zaczęła robić postępy.

- Ma wrodzony talent - chwalił się. - Jak tak dalej pójdzie, kiedyś wyląduje w policji! Rzeczywiście wylądowała, ale w innej roli, niż wyobrażał sobie Liam. Chętnie dałaby mu znać, że w gruncie rzeczy uratował jej życie, ale ostatni raz widziała go dwanaście lat temu, kiedy pijany w sztok spał zwinięty w kłębek przy wejściu do centrum handlowego w Liverpoolu, śmierdzący i spuchnięty od wódki. W rękach ści-

402

403

skął butelkę, a kiedy go obudziła, nie poznał jej. Od tamtej pory nie miała od niego żadnych wieści.

Krótko po tym, jak zamieszkała u Pita, dowiedziała się przypadkiem, że posiada on broń. Pistolet leżał w głębi szafki na buty, schowany za gumowcami, kijami

bejsbolowymi i zatechłym szalikiem. Ponieważ Pamela domyśliła się, że Pit nie życzyłby sobie, żeby tam szperała, i zdążyła już poznać jego wybuchowy charakter, nie zdradziła się przed nim ze swoim odkryciem. Kierując się niewytłumaczalną ostrożnością, nie wspomniała mu również ani słowem o tym, że strzela jak zawodowiec. Przeczuwała, że któregoś dnia jej nieoczekiwana przewaga może okazać się ważna.

Kiedy Pit zaczął traktować ją jak popychadło i szykanować, a nawet regularnie dopuszczał się wobec niej przemocy, życie Pameli zdominował ciągły strach przed nim i zaczęła marzyć o posiadaniu własnego pistoletu. Ulgę przynosiło jej wyobrażenie, że trzyma lufę wymierzoną w twarz swojego oprawcy, naciska na spust i trafia prosto w okrutne, roześmiane oblicze. Miała ten obraz przed oczyma, kiedy bił ją pięściami w brzuch, kiedy tak brutalnie uprawiał z nią seks, że krzyczała z bólu, kiedy włókł ją za włosy przez mieszkanie, żeby pokazać jakąś plamkę, którą przeoczyła podczas sprząwania. Ta wewnętrzna ucieczka nie pozwalała jej ulec rozpacz, rzucić się z okna czy podciąć sobie żyły. W najbardziej mrocznych momentach uświadamiała sobie jednak, że nigdy nie zdobędzie się na odwagę, żeby naprawdę to zrobić. Nie zaczął się na niego przy drzwiach, żeby go z zimną krwią zastrzelić, kiedy będzie wchodził do mieszkania. Ale w owym czasie czerpała z tych marzeń siłę. Gdy podjęła decyzję o ucieczce, zastanawiała się, czy wziąć ze sobą pistolet, aby mieć się czym bronić, ale dwa tygodnie przed jej odejściem rewolwer nagle zniknął z szafki. Najwyraźniej Pit uznał, że kryjówka nie jest wystarczająco bezpieczna. Nie udało jej się dowiedzieć, gdzie później schował broń.

I oto wreszcie zrobiłam to, pomyślała i mimo że czuła się fatalnie, poczuła lekkie podekscytowanie. Po tylu latach wreszcie jej marzenie się spełniło. Załatwiła Pita. Jeśli nie trafi teraz do więzienia, po raz pierwszy od naprawdę długiego czasu będzie wolna.

Ponownie przeniosła spojrzenie na kiczowaty zegar. Minęło pięć minut.

Czy jest sens czekać na Cedrica i jego ojca? Być może pan Jones od razu wezwie policję. Ale dokąd miałyby pójść? Bez pieniędzy, bez dokumentów. Nawet bez bielizny na zmianę. Poza tym pewnie wyślą za nią list gończy.

- Zaufaj mi! - powiedział do niej Cedric minionego wieczoru przy pożegnaniu. - Sama możesz tylko pogorszyć swoją sytuację!

„Zaufaj mi!”

Usiadła na łóżku i ukryła twarz w dłoniach. Jeśli czegokolwiek w życiu się nauczyła, to tego, żeby nigdy nie ufać mężczyźnie, i nadal wzbraniała się wewnętrznie przed powierzeniem swojego losu Cedricowi.

Nienawidziła tego uczucia bezradności. Pięć minut później obgryzła paznokcie do krwi i podjęła decyzję - poczeka jeszcze pół godziny. Jeżeli Cedric i jego ojciec do tej pory się nie zjawią, zniknie na zawsze.

Mgła jeszcze bardziej zgęstniała. Za oknem zalegała szara, nieprzenikniona masa. W kuchni panowało przyjemne ciepło. Jacqueline zaparzyła kolejny dzbanuszek herbaty, postawiła na stoliku cukier. Paliła jednego papierosa za drugim.

- Trochę to trwało, zanim się zorientowałam, że Marc jest notorycznym poligamistą. Być może nie zachowywał się tak od samego początku naszego związku. Zrazu powstrzymywały go jeszcze uczucia, które do mnie żywił. Ale z czasem... pozbył się

zahamowań. Najgorsze było to, że nie musiał właściwie nic robić. Kobiety rzucały mu się na szyję. Nie chodzi tylko o jego wygląd. Pociągała je także jego osobowość. Ta zdystansowana, poważna natura, nie-

404

405

naganne maniery, powściągliwa serdeczność... Może nie ma w tym nic dziwnego, że mężczyzna, któremu podaje się wszystko na talerzu, gnuśnieje.

Rosanna sięgnęła po herbatę. Napój był gorący i sparzyła się w język. Syknęła z bólu i odstawiła filiżankę.

Jacqueline opatrnie odebrała reakcję Rosanny.

- Tak, rozumiem, że nie jest pani miło to słyszeć - powiedziała - ale chciała pani znać prawdę.

- Chciałabym się dowiedzieć, dlaczego jego syn... Jacqueline roześmiała się.

- Nie domyśla się pani? Każdego wieczoru, kiedy Marc nie wracał na noc do domu, mimo że mi to obiecał, Joshua budził mój płacz. Wchodził wtedy do naszej sypialni, gdzie leżałam sama w wielkim pustym łóżku i wypłakiwałam sobie oczy. „Tata jeszcze nie wrócił?”, pytał wówczas, a ja mu odpowiadałam, że ojciec musiał znowu zostać dłużej w pracy. „Nie płacz, mamo”, mówił i wchodził pod koldrę, obejmował mnie i wtulał twarz w moje mokre od łez policzki. Początkowo chyba wierzył, że tatuś rzeczywiście tak dużo pracuje i że płaczę po prostu dlatego, że jestem sama. Ale był coraz starszy, a moje kłótnie z Markiem przybierały na sile. Josh coraz więcej rozumiał i w końcu zorientował się, o co naprawdę chodzi. Tatuś nie pracował, tylko leżał z innymi paniami w łóżku, i to właśnie z tego powodu mamusia tak bardzo cierpiała. Czy rozumie pani, że w takich warunkach syn ma prawo znienawidzić ojca?

Rosanna nic nie odpowiedziała, tylko zadała następne pytanie:

- A czy Marc naprawdę po prostu nie pracował? Wyznał mi, że był w tym czasie pracoholikiem. Zdaje sobie sprawę z tego, że zaniedbywał rodzinę, i bardzo tego żałuje.

- Wie pani co... - powiedziała Jacqueline. - Gdybym właśnie zaczynała nowy związek, nie spieszyłabym się z opowiadaniem partnerowi, że moje małżeństwo rozpadło się z powodu niewierności. Oczywiście, pomijając wszystko inne, Marc był pracoholikiem. To chorobliwie ambitny człowiek. Czuł się silniej związany ze swoją kan-

celarią niż ze mną. To był, obok jego niewierności, kolejny problem. Zawsze wystawiał nas do wiatru. Niezależnie od tego, co zaplano waliśmy jako rodzina: weekendową wycieczkę nad morze, wyjście do kina czy wyprawę rowerową, w dziewięciu na dziesięć przypadków mogłam być pewna, że spędzę dzień tylko z Joshem. Marc za wsze w ostatnim momencie dzwonił, że wypadło mu coś niezwykle ważnego. Mogłam iść o zakład, że tak się stanie. I nie uwierzy mi pani, jak gorzko może płakać chłopiec, któremu raz po raz coś ta kiego się zdarza.

- I sądzi pani, że w większości przypadków... -...pieprzył jakąś blondynkę, zamiast pracować? Myślę, że za

chowował równowagę. Kancelaria, z którą był związany, rzeczywiście wyciskała ze swoich pracowników ostatnie soki i wyznawano tam chyba pogląd, że wolna sobota

jest dla prawnika czymś wręcz nieprzyzwoitym. Nie wiem, ile razy błagałam go, żeby stamtąd odszedł, ale on przekonywał mnie, że znalazł idealną odskocznnię do kariery. Swoją drogą to ciekawe, że kiedy w związku z tą Dawson jego nazwisko znalazło się w prasie, czym prędzej się z nim pożegnali. Przez lata wypruwał sobie dla nich żyły, poświęcił swoje życie rodzinne, a teraz tak im się spieszyło, żeby się go pozbyć. Ale - wzruszyła ramionami - to już nie była moja sprawa.

Rosanna postanowiła kuć żelazo póki gorące.

- Marc opowiadał mi, że zarzucała mu pani romanse - odezwała się. - Ale twierdził, że była to swego rodzaju... obsesja z pani strony. Podobno był zbyt zajęty i zestresowany, żeby romansować. Przysiągł mi, że ani razu pani nie zdradził.

Jacqueline roześmiała się.

- Obsesja? Na jego miejscu też bym to tak nazwała. Zresz tą w jego ustach to dość łagodne sformułowanie. Mnie bez prze rwy wmawiał, że jestem chora psychicznie. Wie pani, to był ciężki okres, opiekowałam się wtedy moją schorowaną matką. Przebywała w domu starców w okolicach Cambridge i ciągle do niej jeździłam. Czułam się taka nieszczęśliwa, patrząc na jej cierpienie. W tamtym czasie często płakałam. Byłam bardzo smutna, ale w żadnym razie

406

407

nie chora nerwowo. I niczego sobie nie wmawiałam, a to właśnie sugerował mój mąż. Potrafiłam jasno ocenić sytuację i wyraźnie widziałam, co się wokół mnie dzieje.

Czy rzeczywiście? Rosanna nie chciała popadać w stereotypowe myślenie, ponadto zdawała sobie sprawę, że jej uczucie do Marca nie zwiększa bynajmniej jej umiejętności obiektywnej oceny sytuacji. Nie była jednak skłonna przyjąć bez zastrzeżeń słów Jacqueline. Ta kobieta wydała jej się nieco ekscentryczna. Osiedliła się na odludziu i malowała akwarele. Zmusiła swojego syna do życia na prowincji, drastycznie zmieniając ich wcześniejszy styl życia w Londynie na wiejską egzystencję. Może i Jacqueline miała talent, ale czy właśnie utalentowani artyści nie przejawiają skłonności do uciekania w świat fantazji? Marc rzadko bywał w domu, sam przyznał, że zaniedbywał emocjonalnie żonę i syna. Ale czy to od razu musi oznaczać, że skakał z kwiatka na kwiatek? Oskarżenia Jacqueline były dość niekonkretne. Mówiła o kobietach, które masowo rzucały mu się na szyję, ale ani nie wymieniła imienia, ani nie opisała żadnej z nich. Rosanna oczekiwałaby czegoś w rodzaju: „Była taka jedna blondynka, z którą spotykał się przez kilka miesięcy” albo „Zawsze kiedy wyjeżdżałam do matki, widywał się z kobietą, która mieszkała trzy domy dalej”. Po kimś tak otwartym jak Jacqueline można by się spodziewać jakichś szczegółów. Na koniec sama przyznała, że była w tamtym czasie wystawiona na ogromny stres związany z długotrwałą chorobą matki. „W żadnym razie nie byłam nerwowo chora”, powiedziała Jacqueline, ale osoba, która regularnie jeździ z Londynu do Cambridge, żeby tam patrzeć na cierpienia ukochanej matki, osoba, która z tego powodu często płacze, jest co najmniej wyczerpana nerwowo. Być może Jacqueline czuła się opuszczona przez swojego ciężko pracującego męża, co jeszcze potęgowało jej smutek i samotność i skłaniało ją do niesprawiedliwych sądów. Mogło

być tak, a mogło być również całkiem inaczej. Rosanna usłyszała dwie przeciwstawne relacje i miała niejasne wrażenie, że ani jednej, ani drugiej wersji nie uda jej się nigdy ostatecznie potwierdzić.

Odsunęła filiżankę i podniosła się, dając tym samym do zrozumienia, że nie chce dłużej nadwierać cierpliwości gospodyni.

- Wiem, że jest pani bardzo zajęta - powiedziała i nie chce pani dłużej przeszkadzać.

Jestem wdzięczna za szczerą rozmowę,

Jacqueline również wstała, trzymając w palcach zapalonego papierosa.

- Miło mi było panią poznać - powiedziała, i zabrzmiało to szczerze. - Życzę pani, żeby była pani z Markiem szczęśliwa. Szczęść liwsza niż ja.

- Czy nie ma żadnej szansy na pojednanie ojca i syna? Marc ni czego goręcej nie pragnie.

Jacqueline wzruszyła bezradnie ramionami.

- Szczerze mówiąc, nie sądzę, żeby udało mi się coś wskórać. Przekażę Joshowi, że tajemnica Elaine Dawson została wyjaśniona, ale jak pani powiedziałam, to był tylko pretekst do zerwania kontaktów. Być może Josh musi jeszcze trochę podrosnąć, żeby znowu zbliżyć się do ojca. Bardzo by mnie to ucieszyło.

- Tak - powiedziała Rosanna ze smutkiem. Jej wspaniały plan, żeby zorganizować dla Marca pojednanie z synem, spalił na panewce. Czy w ogóle warto było jechać do Binfield Heath? Dowiedziała się kilku rzeczy, o których wolałaby nie wiedzieć. Jeśli Jacqueline Reeve uległa urojeniom, mogą się one okazać zaraźliwe. Niezależnie od tego, co się stanie, oskarżenia Jacqueline po zostawia w Rosannie cień wątpliwości, która będzie ją dręczyć i dawać o sobie znać za każdym razem, kiedy Marc uraczy ją jakąś niespójną wymówką. Nagle dotarło do niej, że powinna była za niechać tej wycieczki.

Wychodząc, zapytała:

- Czy Marc zachował się w typowy dla siebie sposób, przygarniając obcą zrozpaczoną kobietę i proponując jej nocleg?

Jacqueline ściągnęła brwi.

- Jeśli owa kobieta byłaby atrakcyjna, takie zachowanie oce niłabym jako typowe. Ale widziałam później jej zdjęcie w gazecie. Myślę, że powodowała nim po prostu litość.

408

409

- To dobra cecha.

- Nie twierdzę, że Marc jest złym człowiekiem - powiedziała Jacqueline. - Kiedyś byłam w nim bardzo zakochana. Potrafi być bardzo ciepły i serdeczny. Myślę, że naprawdę zrobiło mu się żal tej Dawson. Często okazywał spontaniczną gotowość niesienia pomocy. Pamiętam, jak lubiano go w jachtklubie, przynajmniej w okresie gdy spędzaliśmy tam niemal każdy weekend. Potem i na to nie starczało mu czasu. Ale wcześniej, kiedy ktoś był w potrzebie, mógł zawsze liczyć na Marca.

- Też go takim poznałam.

- Wobec tego nic nie stoi na przeszkodzie waszemu wspólnemu szczęściu - stwierdziła Jacqueline, ale tym razem Rosannie zdawało się, że wyczuwa w jej głosie lekką ironię.

Wyszły na zewnątrz. Mgła uderzyła je w twarz niczym ciężka mokra ścierka.

- Latem musi tu być bardzo malowniczo - zauważyła Rosanna.

- Tak, to prawda - potwierdziła Jacqueline. - Jednak mimo całego uroku ta wieś jest nieco zaściankowa. Ale mam tu w okolicy sporo znajomych, i to uprzyjemnia mi życie.

Kobiety podały sobie ręce na pożegnanie. Po zaledwie kilku krokach Rosanna zniknęła w gęstej mgłę.

Jest tak jak wtedy, pomyślała i zatrzęsła się z zimna. Tamtego styczniowego wieczoru. Kiedy odwołano wszystkie loty. Kiedy Elaine utknęła na lotnisku. Czy kiedykolwiek dowiemy się, co się stało?

Kiedy i gdzie Elaine natknęła się na swojego mordercę?

I czy był nim rzeczywiście Pit Wavers?

Mgła utrzymała się nad Londynem do samego wieczora. Dzień miał się ku końcowi i zaczęło się zmierzchać, a ołowiana szarość za oknami nie ustępowała. Rosanna zjadła coś w Burger Kingu i wypila trzy filiżanki kawy, żeby się nieco ożywić, następnie zrobiła zakupy

410

na kolację i wczesnym popołudniem wróciła do mieszkania Marca. Była przycięta. Żałowała, że pojechała do Binfield Heath.

Okolo czwartej zadzwoniła do ojca. Victor od razu odebrał telefon.

- Dobrze, że dzwonisz - powiedział.

Wyczuła troskę w jego głosie. - Kiedy przyjedziesz?

- Wkrótce. Mam... mam tu jeszcze coś do załatwienia. Jak czuje się Cedric?

- Biorąc pod uwagę, co przeszedł, powiedziałbym, że całkiem nieźle. Dziś w południe odebrałem go ze szpitala. Ma jeszcze silne bóle, ale bierze lekarstwa.

Wyjdzie z tego.

- Tato, co się dzieje? Słyszę, że coś jest nie tak! Victor zdawał się ze sobą walczyć.

- Pamela Luke jest tutaj. Rosanna na moment zaniemówiła.

- Pamela Luke? Scotland Yard jej szuka!

- Wiem. Jest na górze u Cedrica, który próbuje ją namówić, żeby zgłosiła się na policję. Wczoraj wieczorem zjawiała się u niego w szpitalu. Wygląda jak bezdomna i jest zupełnie wykończona nerwowo. Muszę ci powiedzieć, że bardzo mi się to wszystko nie podoba.

Rosanna była w stanie go zrozumieć. Biedny tata! Prawy i aku-ratny - największe wykroczenie, jakiego dotychczas się dopuścił, to dwa albo trzy mandaty za parkowanie w niedozwolonym miejscu. A teraz pod jego dachem ukrywa się podejrzana młoda kobieta, której poszukuje policja i która prawdopodobnie działała wspólnie z pozbawionymi skrupułów przestępcami. Przed dwoma dniami zastrzeliła mężczyznę, a jego syn stając w jej obronie, został pobity i miał złamane cztery żebra. Victor Jones musiał czuć się, jakby wylądował w sennym koszmarze.

- Mógłbyś połączyć mnie z Cedrickiem? - zapytała Rosanna.

- Chwileczkę - odpowiedział Victor sztywno i wybrał jakiś numer na telefonie.

Moment później zgłosił się Cedric.

- Rosanna?

411

- Cedric! Co się u was dzieje? Dlaczego Pamela uciekła? Możesz rozmawiać? Cedric westchnął.

- Jest obok w twoim pokoju i właśnie się położyła - powiedział. - Jest wykończona. Napytała sobie biedy, kłamiąc na samym początku. To nieprawda, że znalazła paszport Elaine w sypialni Rona Malikowskiego. Nigdy tam nie była, i policja już o tym wie.

- Ale... skąd w takim razie go wzięła? Czyżby... miała coś wspólnego ze zniknięciem Elaine?

- Twierdzi, że nie. Ale ciężko jej będzie to udowodnić po tym, jak na początku zaczęła coś kręcić.

-Ale gdzie...?

- Mówi, że znalazła dokumenty na ulicy. W styczniu 2003 roku. Najwyraźniej bezpośrednio po zniknięciu Elaine.

- Gdzie?

- W jakimś odległym miasteczku. Wiltonfield, czy coś takiego. Kawalek drogi od Londynu. Pojechali z Pitem na wycieczkę i Pamela podobno zauważyła paszport leżący tuż obok kontenerów na używaną odzież, które stały na skraju wsi na parkingu. Dokument leżał na ziemi. Podniosła go i włożyła do kieszeni płaszcza. Pit niczego nie zauważył. W domu stwierdziła, że paszport został wystawiony na nazwisko Elaine Dawson i że kobieta była w tym samym wieku co ona. Zobaczyła w tym szansę, ukryła paszport, a w kwietniu zdecydowała się na ucieczkę.

- Wierzysz jej?

- Trudno mi powiedzieć. Jeżeli to prawda, to...

- Ktoś wyrzucił ubrania Elaine do kontenera na odzież.

- Elaine była na lotnisku. Pewnie włożyła paszport do kieszeni płaszcza, ponieważ spodziewała się, że lada chwila będzie musiała go pokazać. To jasne, że wcześniej czy później ktoś musiał go znaleźć.

- Ale zwykle coś takiego zgłasza się policji.

- Chyba że ktoś jest w podbramkowej sytuacji i taki paszport może stać się dla niego kluczem do nowego życia.

Rosanna przez chwilę milczała.

- To znaczy...

- To znaczy, że także według tej wersji Elaine padła najprawdopodobniej ofiarą przestępstwa - dokończył za nią Cedric. Po co miałyby sama wyrzucać swój paszport gdzieś na prowincji do pojemnika na odzież? Albo pozbywać się swoich rzeczy? To bez sensu.

- Ale w takim razie znowu nie wiadomo, kto jest sprawcą. Pa mela przypadkowo znalazła paszport, a to oznacza, że przestępstwo wcale nie musiało rozegrać się w jej środowisku. W tej sytuacji Wavers i Malikowski nie wchodzi w grę jako podejrzani.

- Ich udział w zbrodni nie jest ani mniej, ani bardziej prawdopodobny niż jakiegokolwiek innego kryminalisty- zgodził się Cedric. - To będzie dla Geoffa tragedia. Tak mu ulżyło, kiedy poznał sprawcę.

- Jak, na litość boską, Elaine trafiła do tego miasteczka?

- Nie mam pojęcia. Może wsiadła z jakimś bandytą do samochodu. Ten zabrał ją w

odludne miejsce, zgwałcił, zabił, zakopał gdzieś w lesie, a następnie wyrzucił jej ubrania. Takie historie niestety się zdarzają.

- Ale przecież pojechała na Heathrow!

- Pamiętaj, że była zrozpaczona. Może po drodze wysiadła z metra. Tego, co stało się potem... prawdopodobnie już nigdy się nie dowiemy.

Rosannie przyszła do głowy jeszcze jedna myśl.

- Wobec tego dlaczego Pamela chciała ściągnąć podejrzenia na Rona

Malikowskiego? Czy Wavers nie lepiej się do tego nadawał? Przecież popełnił już jedno przestępstwo.

- Też ją o to zapytałem. Tłumaczy to strachem. Wydawało jej się, że bezpieczniej będzie zarzucić coś Malikowskiemu z uwagi na możliwą zemstę Waversa. Panicznie się go bała. Sam to zauważyłem, kiedy byłem z nią w podróży. Oczywiście, kiedy Wavers już nie żył, najlepiej byłoby jego obarczyć winą. Ale ponieważ tobie i Reeve'owi zdążyła już powiedzieć coś innego, nie mogła się wycofać. Musiała trzymać się raz obranej wersji, zgodnie z którą paszport znalazła w sypialni Malikowskiego.

- Dlaczego nie powiedziała na samym początku, co tak naprawdę się stało? Przecież jej opowieść jest całkiem prawdopodobna!

- Rosanno, Pamela dorastała w środowisku przestępczym - tłumaczył cierpliwie Cedric - i jak tylko uciekła z domu, zaraz znowu trafiła do półświatka. Przestępstwa, albo przynajmniej wykroczenia, stanowiły element jej codzienności. Takie osoby funkcjonują inaczej niż ty czyja. My byśmy po prostu powiedzieli, co się stało, bo mielibyśmy czyste sumienie i w ogóle nie przyszłoby nam do głowy, że ktoś może zarzucić nam kłamstwo. Ale tacy ludzie jak Pamela wiedzą, że samo ich pochodzenie czyni z nich podejrzanych. Jedną nogą stoją w areszcie i z reguły im się nie dowierza. Dlatego z punktu widzenia Pameli jej postępowanie miało sens. Składając takie zeznania, oddalała od siebie podejrzenia o współudział. Miała przecież pierwszorzędny motyw, żeby pozbyć się Elaine: była zdesperowana i potrzebowała dokumentów. Tyle że kłamiąc, nawarzyła sobie piwa.

- A co ty o tym myślisz? Wierzysz jej? Cedric zawahał się.

- Raczej tak - powiedział w końcu. - Nie potrafię tego dokładnie wyjaśnić, ale nie sądzę, żeby próbowała mnie oszukać. Oczywiście mogę się gorzko rozczarować. Kobieta, która przez pięć lat żyła pod fałszywym nazwiskiem, przyzwyczajona jest do tego, żeby udawać. Może jest kuta na cztery nogi. Nie wiem.

- Na mnie zrobiła wrażenie ofiary. Nie wygląda mi na sprawcę.

- W każdym razie potrafi naprawdę dobrze strzelać. To też mi wyznała. Brat ją nauczył, kiedy była nastolatką. To, że załatwiła Waversa jednym strzałem, bynajmniej nie było szczęśliwym trafem. Trafiła, bo jest w tym cholernie dobra.

- A Wavers posiadał broń, do której miała dostęp.

- Tak - powiedział Cedric. - Być może tak było. A może zupełnie inaczej.

- Cedric, Pamela musi zgłosić się na policję - powiedziała Rosanna z naciskiem. - Nie może się u was ukrywać. Nie wolno ci na to narażać ojca. W ogóle mu się to nie podoba i nie powinniśmy go w to wciągać.

- Wiem - zgodził się Cedric. Robię co w mojej mocy, żeby ją przekonać. Możesz mi wierzyć.

Przez chwilę oboje milczeli. Chciałabym, żeby wreszcie było po wszystkim, pomyślała Rosanna. Żebyśmy mieli pewność, co tak naprawdę się stało. Usłyszała klucz w zamku. Marc! Będzie zaskoczony, widząc ją tutaj. Jeszcze nie zdecydowała, czy opowiedzieć mu o swojej wizycie u jego byłej żony.

- Muszę kończyć - powiedziała. - Marc właśnie wrócił.

- Jesteś u Marca Reeve'a? - zapytał jej brat.

- Tak - odpowiedziała i odłożyła słuchawkę.

Nie miała ochoty poznać zdania Cedrica na ten temat. Nie brakowało jej problemów. Dręczyło ją niejasne uczucie, że coś przeoczyła, coś, co powinno wynikać z rozmowy z Cedrikiem. Umknął jej jakiś szczegół, przy którym powinna była się zatrzymać.

Ale chociaż bardzo się starała, nie przychodziło jej do głowy, co to może być.

W nocy Rosanna nie mogła spać. Czuła się przytłoczona problemami, zbyt wiele myśli kołatało jej w głowie. Późnym wieczorem spojrzała na telefon i zauważyła, że Denis dwukrotnie próbował się z nią skontaktować, ale nie miała odwagi oddzwonić. Sądził, że jest w Kingston St. Mary. Jak miałyby mu wyjaśnić, dlaczego wciąż jeszcze przebywa w Londynie?

Marc, zobaczywszy ją w mieszkaniu, był równie zaskoczony jak uradowany.

- Hm? - zapytał cicho, przyciągając ją do siebie. - Co się stało? Dlaczego nie pojechałaś do brata?

- Nie chciałam stąd wyjeżdżać - odpowiedziała.

Potem wylądowali w sypialni i dwie godziny spędzili w łóżku. Zignorowała dzwonek telefonu, nie dając tym samym swojemu mę-

414

415

żowi możliwości jej dopaść. Następnie otulili się w szlafroki i z kupionych przez Rosannę zapasów ugotowali kolację, zapalili świece i otworzyli butelkę wina, którą Marc przyniósł z piwnicy. Ciemność i mgła pozostały na zewnątrz i małe smutne mieszkanko stało się nagle przytulnym i ciepłym schronieniem, w którym panowało romantyczne poczucie wspólnoty. Podczas kolacji Rosanna zrelacjonowała Marcowi swoją rozmowę z Cedrikiem i opowiedziała mu o wyznaniu Pameli.

Marc słuchał uważnie.

- A to dopiero ! - powiedział, kiedy skończyła. - Czy to, co mówi Pamela, wydaje ci się prawdopodobne?

Rosanna wzruszyła ramionami.

- Sama nie wiem. Praktycznie jej nie znam, spędziłam z nią niewiele czasu. Cedric, który zdążył lepiej ją poznać, skłonny jest jej wierzyć. Ale oczywiście nie może mieć pewności.

- Jeżeli to, co mówi Pamela, jest prawdą, sprawa stała się tak samo zagmatwana jak na początku - stwierdził Marc.

Na jego twarzy odmalowała się głęboka frustracja.

- Znowu znalazłem się w kręgu podejrzanych! - dodał po chwili.

- Myślę, że już nikt cię nie bierze pod uwagę - natychmiast zaprzeczyła Rosanna. - Przecież...

- Odprowadziłem ją do metra i na moich oczach odjechała w kierunku Heathrow.

- Powiedziałeś jej, że musi się przesiąść?

- Jasne. Na South Ealing miała zmienić linię na Piccadilly Line. Może się zagapiła. Wsiadła do niewłaściwego pociągu i wylądowała zupełnie gdzie indziej. Pewnie nigdy się tego nie dowiemy... Wiesz co, Rosanno? - odsunął pełen talerz i wstał od stołu. - Ciągłe myślenie o tym, co się stało, powoli doprowadza mnie do szału. To bez sensu. Chciałbym, żebyśmy wreszcie odłożyli sprawę ad acta i zapomnieli o niej. Nie rozmawiali więcej na ten temat, Rosanna nie odważyła się też wspomnieć Marcowi o wizycie u Jacqueline. Atmosfera już i tak była dość napięta, po co miała do reszty psuć nastrój. Obejrżeli w telewizji jakiś talk-show, wypili wino, a Rosanna poczuła, że zaczyna ją drapać w gardle i pieką ją oczy. Jakby nie miała dość kłopotów, jeszcze się przeziębiła. Tego jej tylko brakowało.

Kiedy leżała w łóżku, ból gardła przybrał na sile. W głowie miał łamętlik. Słuchała równomiernego oddechu śpiącego Marca. Przed oczyma przewijały jej się niepokojące sceny. Wyobrażała sobie Marca, jak spaceruje po Londynie w towarzystwie młodych atrakcyjnych kobiet. Ona zaś siedzi sama w domu zżerana przez zazdrość i za martwią się. Zobaczyła Marca, który wraca pewnego dnia pachnący damskimi perfumami i próbuje wykpić się jakimś kłamstwem. Rosanna wręcz czuła frustrację, która by ją dopadła w takiej sytuacji. Domyślała się, jak ciężko byłoby jej żyć, gdyby bez przerwy zadreślała się pytaniem, czy Marc przypadkiem nie kłamie.

W końcu wstała z łóżka i przeszła na palcach do salonu. Zapaliła światło w niszy kuchennej, wyjęła z szafki szklankę i napełniła ją. Zimna woda uśmierzyła nieco ból gardła. Ze szklanką w dłoni przespacerowała się po pokoju. Próbowała się wyciszyć. Nie mogła pozwolić, żeby wyobraźnia wzięła górę. Bezsensowność sprzyjała snuciu fantazji, w nocy widziało się upiory, które rozmywały się w świetle poranka.

Marc już jakiś czas temu zaprzeczył wszystkiemu, co mówiła o nim jego żona. Opisał ją jako chorobliwie zazdrosną osobę, która sama niemal wpędziła się w obłąd. Pod żadnym pozorem nie próbował zaprezentować siebie jako idealnego męża, wspaniałego ojca i opiekuńczą głowę rodziny. Obszedł się sam ze sobą bezlitośnie, przyznając się do wszystkich błędów. Ale twierdził, że nigdy nie zdradził swojej żony. Dlaczego miałyby wierzyć Jacqueline, a nie jemu?

„Gdybym właśnie zaczynała nowy związek, nie spieszyłabym się z opowiadaniem partnerowi, że moje małżeństwo rozpadło się z powodu niewierności”, powiedziała Jacqueline. Oczywiście miała rację. Mimo wszystko nie musiało być tak, jak mówiła. Mogło być tak, jak odpowiadał Marc.

Rosanna przycisnęła rozpalone czoło do chłodnej szyby okna. To tak jak w sprawie Elaine i Pameli. Mogło być tak, jak utrzymywała

416

417

Pamela. Mogło też być zupełnie inaczej. Wszystko rozmywało się w morzu niepewności. Albo ginęło we mgle.

Na myśl o Pameli przypomniała sobie, że zeznanie młodej kobiety wywołało w niej jakieś skojarzenie. Kiedy Cedric relacjonował opowieść Pameli, w umyśle Rosanny

zapaliła się czerwona lampka.

Ale w którym momencie, do diabła, to się stało? I dlaczego?

Wypiła wodę do końca. Ból gardła wzmógł się, a na domiar złego czuła, że ma gorączkę.

W takim stanie niczego nie zdołam wyjaśnić, pomyślała. Może powinnam wreszcie dać sobie z tym wszystkim spokój, pogodzić się z nierozwiązaną tajemnicą? Skupić się raczej na wspólnej przyszłości z Markiem. Dlaczego uparłam się, żeby bawić się w detektywa?

Piekły ją oczy. Przeniosła nieobecne spojrzenie na akwarelę na ścianie, namalowaną przez Jacqueline Reeve. Zasnute chmurami niebo. W tle góry, których szczyty niknęły w deszczu. Szara woda. Na tle muru żaglówka stojąca na kotwicy w porcie. Przygnębiający obraz, smutny i mroczny.

Coś przedarło się do jej świadomości.

Jacht. Spuszczone żagle. Deszcz.

Dlaczego Jacqueline maluje takie smutne obrazy? - zastanowiła się. Przecież tak uwielbiali z Markiem wodę...

W tym momencie uświadomiła sobie, co przez cały czas nie dawało jej spokoju. Co gryzło ją od momentu, kiedy Cedric zrelacjonował jej swoją rozmowę z Pamelą. Miejscowość. Wiltonfield. Już wcześniej słyszała tę nazwę. Kiedy Marc opowiadał jej o swojej łodzi podczas podróży do Cambridge. Wspomniał o klubie, do którego należeli. Jachtklub w Wiltonfield.

Momentalnie się przebudziła. Serce zaczęło jej szybciej bić.

Tylko spokojnie, pomyślała, nie daj się ponieść emocjom.

Wróciła do kuchni, napełniła ponownie szklanekę. Piła w skupieniu małymi łydkami. Utkwiła wzrok gdzieś w ciemności nocy za oknem.

Podsumujmy fakty - zakładając, że opowieść Pameli Luke jest prawdziwa.

W styczniu 2003 roku, zaraz po zniknięciu Elaine, Pamela Luke znajduje jej paszport na skraju podlondyńskiej wsi. W Wiltonfield. Dokument leży tuż obok pojemnika na odzież.

W Wiltonfield znajduje się również jachtklub, do którego odd lat należą Jacqueline i Marc.

Błąd. Skoncentruj się!

W styczniu 2003 roku Marc już nie należy do klubu. Po rozwodzie nie chciał spotykać tam żony i wymówił członkostwo. Mo torówkę pozostawił żonie. Ta posiada ją do dziś i jest aktywnym członkiem klubu.

Rosanna przypomniała sobie, co powiedziała jej Jacqueline - jest w stanie wytrzymać w Binfield Heath tylko dlatego, że wielu jej znajomych mieszka w okolicy.

Oczywiście. Wiltonfield musi leżeć gdzieś niedaleko, jedną albo dwie wsie dalej.

Być może większość członków klubu mieszka w okolicy Binfield Heath i

Wiltonfield. To ludzie, których Jacqueline zna od lat, z którymi się przyjaźni. Dlatego wybrała Binfield Heath na swoją nową siedzibę. Nie czuje się tam samotna.

W styczniu 2003 roku Marc Reeve zabiera kompletnie roztrzęsioną Elaine Dawson ze sobą do domu. Następnie młoda kobieta znika bez śladu. Wkrótce potem jej paszport znaleziony zostaje w miejscu, gdzie znajduje się łódź Jacqueline Reeve, w niedalekim sąsiedztwie jej nowego domu.

Czy to przypadek?

Rosanna rozmasowała sobie skronie. Być może była chora i miała gorączkę, ale nie straciła zdolności logicznego myślenia. Nie może być mowy o przypadku.

Sprawa zniknięcia Elaine zaczęła się od Reeve'a. Ma niewątpliwie związek z rodziną Reeve'ów. Ale być może nie z Markiem.

W jej głowie zakiełkowała nowa myśl. Czy to możliwe, że Jacqueline miała jakiś związek ze sprawą Elaine Dawson? Kobieta

ta - przed pięcioma laty oczekująca na rozwód - która nikomu nie wydała się w najmniejszym stopniu podejrzana.

Chorobliwie zazdrosna żona, która miała niemal obsesję na punkcie niewierności męża.

W takim świetle przedstawił ją Marc. Powiedział, że bez przerwy go podejrzewała.

Prześladowała swoimi oskarżeniami. Ich życie od pewnego momentu składało się wyłącznie z kłótni, zarzutów i scen zazdrości. Miała idée fixe, że Marc ją zdradza.

On zaś twierdził, że nigdy nie dał jej powodu do podejrzeń.

Jeśli to prawda, Jacqueline faktycznie uległa swego rodzaju obsesji. Trzeba przyznać,

że w trakcie rozmowy z Rosanną nie mówiła o niczym innym. Również sąsiad donosił o kłótniach, które z tego powodu wybuchały między małżonkami. Przy założeniu, że Marc mówił prawdę i był wprawdzie pracoholikiem, ale nie wiarołomnym mężem, powoli wyłaniał się obraz kobiety, która zamknęła się w świecie własnych fantazji i straciła kontakt z rzeczywistością.

A jeśli tamtego wieczoru Jacqueline widziała, jak Elaine wchodzi z Markiem do domu?

Rosanna przyłożyła zimną szklankę do czoła, jak gdyby w ten sposób dało się zbić gorączkę. Ubzdurzyła coś sobie czy też było to jedyne logiczne wytłumaczenie?

Jacqueline musiałaby znajdować się w pobliżu domu. Może siedziała w samochodzie? Czyżby nawet dziewięć miesięcy po rozstaniu wciąż śledziła swojego męża? Jeśli faktycznie była chorobliwie zazdrosna i uległa swego rodzaju obsesji, pewnie trudno jej było skończyć z przyzwyczajeniem, mimo że rozstała się z mężem i wyprowadziła z miasta.

Niewykluczone, że Jacqueline znalazła się tego dnia na lotnisku. Sama chciała dokądś polecieć, ale z powodu mgły okazało się to niemożliwe, i przypadkowo widziała, jak jej mąż odchodzi z inną kobietą. A może jechała następnego ranka metrem? Zagadnęła Elaine? Podstępem wywabiła ją z miasta?

Rosanna zmusiła się do spokojnej i rzeczowej analizy. Wszystkie te hipotezy sprawiały wrażenie absurdalnych, ale teoretycznie były

420

prawdopodobne. Niezależnie od tego, czy to przypadek czy też sytuacja, którą Jacqueline z rozmysłem zaplanowała, nie można było wykluczyć, że pani Reeve zobaczyła coś lub dowiedziała się czegoś, co stało się pożywką dla jej obsesji. I co wtedy?

Czy to możliwe, że Jacqueline Reeve zamordowała Elaine Dawson?

Było to tak samo prawdopodobne, a raczej nieprawdopodobne, jak wyobrażenie, że zrobił to sam Marc. Jednakże głównym podejrzanym pozostawał nieznan sprawca.

Być może wywodził się on ze środowiska, w którym takie przestępstwa, jak pobicia

ze skutkiem śmiertelnym i morderstwa na tle seksualnym, rabunkowym czy też motywowane fascynacją przemocą, były na porządku dziennym. Nikt nie kwestionował istnienia półświatka. Prasa codziennie donosi o nowych zbrodniach. Ale Marc nie należał do tego środowiska. Rosanna nigdy nie podejrzewała o to także Jacqueline. Lecz wykluczenie ich z listy potencjalnych sprawców oznaczało, że miejsce znalezienia paszportu trzeba uznać za przypadkowe.

Ale i to było prawdopodobne. Przypadki się zdarzają.

Wzdrygnęła się, usłyszawszy kroki za plecami. Z sypialni wyłonił się Marc i zamrugnął oślepiiony światłem, które Rosanna zapaliła w niszy kuchennej.

- Obudziłem się i zauważyłem, że cię nie ma - powiedział. Co się dzieje? Nie możesz spać?

- Chyba się przeziębiam - odparła Rosanna. - Boli mnie gardło. Przyszłam się czegoś napić.

Marc wziął ją w ramiona. Dotyk jego ciepłego ciała sprawił, że poczuła się nieco lepiej.

- Biedactwo. Nie możesz tak stać w samej piżamie. Zmarzniesz - odsunął ją nieco od siebie, spojrzał na nią uważnie i przyłożył jej rękę do czoła. - Masz gorączkę - stwierdził.

Wszystko przez tę chorobę. Chyba dlatego dała się | tonieć tym szalonym dywagacjom. Mimo wszystko...

421

- Marc, czy to możliwe... - zaczęła, ale w połowie zdania urwała. Czy to możliwe, że twoja żona widziała cię wtedy? Twoja chorobliwie zazdrosna żona? Kiedy przyprowadziłeś Elaine do domu?

Jeszcze za wcześnie na to pytanie. Za wcześnie na to, żeby konfrontować go z tym straszliwym podejrzeniem.

- Tak? - zapytał.

Uśmiechnęła się i potrząsnęła głową.

- Ach, nic takiego. Masz rację, zimno tu. Chodźmy się lepiej położyć. ,

Piątek, 22 lutego

1

Przypuszczenia Rosanny okazały się słuszne - Wiltonfield leżało nieopodal Binfield Heath, po drodze do Reading. Była to mała senna wioska położona pośród łąk i lasów, tuż nad brzegiem spokojnie płynącej w tym miejscu szerokim korytem Tamizy. Widok krętych uliczek i małych domów z czerwonej cegły z pomalowanymi na kolorowo drzwiami był idylliczny, zwłaszcza że w ciągu dnia nieco się wypogodziło - choć niebo wciąż było zachmurzone, ale przynajmniej opadła mgła. Wiosna stała u progu, trawa lada chwila miała wystrzelić w górę, a lśniąca wilgocią ziemia zdawała się tylko czekać, żeby wypuścić na wolność kiełkujące pod jej powierzchnią życie. Słoneczne dni wprawiły w ruch mechanizm wegetacji, powrót zimy tylko go nieco spowolnił. Kiedy znów się ociepli, ziemia zakipi feerią barw. Rosanna od razu odnalazła miejsce, gdzie stały kontenery, o których opowiadała Pamela. Wiltonfield było tak małe, że niemal w mi nutę dało się przejść dookoła. I rzeczywiście, na zachodnim krańcu wsi przy szosie znajdował się parking, z którego można było wyruszyć w różnych kierunkach na wędrowkę - o przebiegu tras

informowały kolorowe tabliczki. Duża plansza prezentowała szczegółowo florę i faunę okolicy i wskazywała drogę do położonej pod wsią gospody, w której podobno można było dobrze zjeść, oraz do jachtklubu, który najwyraźniej znajdował się w pobliżu restauracji.

Na skraju parkingu stały trzy duże kontenery na używaną odzież. Obok umieszczono tabliczkę, na której proszono o oddawanie tylko

423

garderoby nadającej się jeszcze do użytku i po uprzednim jej zapakowaniu. Buty należało wrzucać połączone w pary.

Tego zimnego ranka nie było tu żywej duszy. Rosanna zaparkowała samochód i podeszła do kontenerów. Żeby ochronić się nieco przed chłodem, splotła ręce na piersi. Przed wyjazdem z Londynu zakupiła w aptece tabletki na ból gardła i lek na obniżenie temperatury. Czuła się nieco lepiej, ale nie miała się co ludzić - była chora i jutro, a najpóźniej pojutrze będzie musiała położyć się do łóżka. Właściwie już dziś obiecała to Marcowi. Podczas śniadania zerkał na nią raz po raz zatroskany i w końcu poprosił, żeby została w domu, dopóki nie wróci.

- Dzisiaj jest piątek. Powinienem być wcześniej - powiedział, kiedy się żegnali.

Wyjrzała przez okno i z ulgą stwierdziła, że poszedł w kierunku stacji metra. Zatem miała do dyspozycji samochód.

Wstrząsały ją dreszcze. Nie tylko z powodu zimna, również na myśl o tym, na jakim odludziu się znalazła. Pięć lat temu w styczniu było pewnie podobnie. Latem i w weekendy roiło się tu zapewne od turystów, ale zimą nikt się tutaj nie zapuszczał. W zimowy poranek dało się bez trudu wyrzucić niepostrzeżenie ubrania. Czego jeszcze można się tu było pozbyć? Pytanie brzmiało: jeśli ktoś - czyżby Jacqueline? - wyrzucił tutaj ubrania Elaine, co w takim razie stało się z samą Elaine? Nigdy przecież nie odnaleziono jej ciała.

Rosanna kichnęła, wyjęła chusteczkę i wydmuchała nos. Jestem chora, pomyślała, i płaczą mi się myśli. Wyobraziła sobie ciężką, potężną Elaine i delikatną, filigranową Jacqueline. Jak taka drobna kobieta miałaby pozbyć się ciała? Czy nie okazałoby się to ponad jej siły?

W zamyśleniu powiodła wzrokiem po łąkach, by na dłużej zatrzymać spojrzenie na rzece. Wprawdzie dało się stąd zobaczyć drugi brzeg, ale koryto było w tym miejscu bardzo szerokie. Rozłożyste wierzby chyliły gałęzie ku wodzie. Jeśli utopi się kogoś w rzece, nie trzeba kopać grobu.

Jachtklub znajdował się niedaleko stąd. A tym samym również motorówka Jacqueline.

Pod wpływem nagłego impulsu Rosanna wróciła do samochodu. Idąc, spojrzała jeszcze przelotnie na tablicę informacyjną. Zgodnie ze wskazówkami do jachtklubu należało jechać cały czas prosto Rosanna chciała tam zadać tylko jedno proste pytanie. Może tośza lone, ale skoro już tu się znalazła...

Dziesięć minut później była w klubie. Przed sobą miała duży drewniany pawilon i wychodzący na jezioro rozległy taras ze stolami i krzesłami, które przykryto na zimę plandeką. Nieco dalej ciągnęły się długie pomosty, przy których przycumowano liczne większe i mniejsze motorówki. Tuż obok siedziby klubu stał dom mieszkalny, ale okiennice były pozamykane. Latem musiał tu być spory ruch. Ale teraz panowała

tu przytłaczająca pustka.

Rosanna zaparkowała samochód powyżej budynku i zeszła wąską piaszczystą ścieżką do brzegu. W zimnym powietrzu unosił się zapach rzeki. Zasnute chmurami niebo nie przepuszczało promieni słonecznych, które mogłyby oświetlić wodę. Fale o odcieniu żółtawej szarości miały w sobie coś odpychającego, niemal niebez piecznego.

Budynek klubu i pomost otoczono wysokim parkanem i Rosanna już zaczęła się obawiać, że w tym miejscu zakończy się jej wycieczka, ale zauważyła, że brama jest otwarta, a obok stoi rower, Ktoś był w klubie.

Przeszła przez furtkę, postąpiła kilka kroków w stronę pomostu, a następnie okrążyła pawilon. Zauważyła, że budynek zjednej strony jest otwarty. Tędy wchodziło się do swego rodzaju magazynu, który zastawiony był różnymi sprzętami i ogromnymi szafami Szerokie schody prowadziły na górną kondygnację. Prawdopodobnie tam przechowywano sprzęt do żeglowania. Rosanna znuw otworzyła drzwi do jakiegoś pomieszczenia. W nadziei że znajdzie tam osobę, do której należał rower, zapukała. Nie otrzymawszy żadnej odpowiedzi, otworzyła po prostu drzwi i weszła do środka. W nozdrza uderzył ją ostry zapach detergentów

424

425

Zobaczyła stoły i krzesła, kilka obrazów statków na ścianach i wielki bar zastawiony butelkami i szklankami. Za barem stała starsza kobieta, która zajęta była właśnie myciem zlewu. Przed barem stało wiadro, odkurzacz i kilka plastikowych butelek ze środkiem do mycia.

- Dzień dobry - zawołała Rosanna. Jej głos zabrzmiał nieco ochryple. Kobieta za barem wzdrygnęła się.

- O Boże, ależ mnie pani wystraszyła - powiedziała z wyrzutem. - O tej porze nikogo się tutaj nie spodziewam!

- Przykro mi. Pukałam.

- Zamyśliłam się. O co chodzi? - Kobieta patrzyła na nią podejrzliwie.

Rosanna podeszła bliżej. Zauważyła, że podłoga została świeżo umyta i że zostawiła na niej ślady zabłoconych butów. Z pewnością nie był to dobry sposób, żeby zyskać sobie przychylność mrukliwej sprzątaczkii.

- Nazywam się Rosanna Hamilton. Jestem starą przyjaciółką Jacqueline Reeve.

- Aha. I czego pani tu chce? Rosanna spróbowała się uśmiechnąć.

- Chodziłyśmy razem do szkoły, ale potem wyjechałam i przez wiele lat mieszkałam za granicą. Chciałabym ją odnaleźć. Wiem, że jest rozwiedziona...

- A kto nie jest dzisiaj rozwiedziony? - odparła zrzędlawie rozmówczyni. - Mój stary zmył się już dziewięć lat temu. Po prostu mnie zostawił. Myśli pani, że inaczej musiałabym tu sprzątać? Ale nie starcza mi do pierwszego. Wszystko podrożało.

- To prawda. Nie jest łatwo.

- Wczoraj wieczorem było tu przyjęcie. Jak przyszłam dziś rano, zastałam tu niezgorszy bajzel. Ktoś z klubu świętował urodziny. Wieczorem też tu byłam. Nie należę oczywiście do tej śmietanki, ale zwykle na takich imprezach stoję za barem. Można sobie trochę dorobić.

- Naprawdę dużo pani pracuje - powiedziała Rosanna współczującym tonem, jednocześnie zastanawiając się, jak ma sprowadzić rozmo-

wę na motorówkę Jacqueline i ów styczniowy poranek przed pięcioma laty. I tak pewnie niczego się nie dowie. Kto by zapamiętał jakiś dzień sprzed wielu lat, w którym nie wydarzyło się nic spektakularnego.

- O tej porze roku nie mogę narzekać. Niewiele się dzieje. Tylko od czasu do czasu jakieś przyjęcie urodzinowe albo niedzielne spotkanie członków klubu. Latem co wieczór kłębią się tu tłumy. A w weekendy urządzają sobie grilla na tarasie. Jak się ma pieniądze, można przyjemnie żyć...

Rosanna przytaknęła, a następnie dodała:

- Wie pani, wracając do Jacqueline...

- Tutaj jej pani nie spotka. Od lat już nie należy do klubu.

- Nie? - Rosanna była kompletnie zaskoczona. Nawet Marc o tym nie wiedział. - Przecież to był jej drugi dom!

- Cóż, nikt z nas nie umiał zrozumieć jej decyzji. Może wiązała się z jej synem.

Dojrzewający chłopcy kosztują sporo energii...

- A łódź? - zapytała Rosanna.

Sprzątaczką wykonała nieokreślony ruch dłonią, wskazując za okno.

- „Heaven's Gate”. Stoi przy kei. Pani Reeve sprzedała jacht komuś z klubu. Bardzo chciał mieć tę łódkę.

- Kiedy to było?

- Mój Boże, nie wiem dokładnie? Minęło już parę lat.

- Mniej więcej. Pamięta pani rok, może miesiąc?

Kobieta sprawiała wrażenia, jakby rzeczywiście starała się sobie przypomnieć.

- Niech no pani zaczeka... to było zaraz po tym, jak moja córka urodziła dziecko...

- To znaczy...

- W listopadzie 2002 roku. Dokładnie trzydziestego listopada. Mój pierwszy wnuk!

- Wspaniale! Czy sprzedaż łodzi mogła mieć miejsce w styczniu? W 2003? - Rosanna drżała z podekscytowania.

- Tak, zdaje się, że sprzedała ją po Nowym Roku. W styczniu albo w lutym. Na pewno nie później, pamiętam, że była jeszcze zima. Tak, to musiało być mniej więcej w tym czasie.

426

427

- I od tamtej pory Jacqueline nie pokazała się tu więcej?

- W każdym razie nic o tym nie wiem. Zdaje się, że spotyka się prywatnie z kilkoma osobami z klubu, czasami o niej opowiadają. Podobno utalentowana z niej malarka. Urządza wystawy i tym podobne. Aleja nie interesuję się sztuką. Nie stać mnie na obrazy.

- Może sobie pani przypomina, czy Jacqueline w połowie stycznia wypłynęła jeszcze gdzieś łodzią? - zapytała Rosanna. - Około dziesiątego albo jedenastego?

Na twarzy rozmówczyni znowu pojawiła się nieufność.

- A jakie to ma znaczenie?

- Po prostu chciałabym wiedzieć. Czy to możliwe, że wypłynęła na rzekę? A może ktoś inny wypożyczył „Heaven's Gate”?

- Nie mam pojęcia. Nie siedzę tu przez cały czas.

- Hm. - Rosanna próbowała nie dać po sobie poznać podekscytowania. Czy to dlatego Jacqueline sprzedała motorówkę zaraz po zniknięciu Elaine? Czy też jest to kolejny przypadek?

- Kawałek stąd w dół rzeki znajduje się śluza Mapledurham - odezwała się kobieta. - Tamtejszy strażnik powinien to wiedzieć. Jeżeli ktoś zabrał „Heaven's Gate” gdzieś dalej, musiał tamtędy przepływać. Strażnik notuje numer łodzi, datę i godzinę.

Wszystko ma zapisane w zeszycie.

Rosanna zacisnęła palce na torebce.

- Gdzie dokładnie znajdę tego strażnika?

- Musi pani pojechać prosto tą drogą. Już z daleka zobaczy pani służę, nie da się jej przeoczyć.

- Dziękuję. Bardzo dziękuję! - Rosanna pobiegła do drzwi. Była tak podekscytowana, że zupełnie zapomniała, jak bardzo źle się czuje.

- Chwileczkę - zawołała za nią kobieta - po co pani tam chce jechać? Myślałam, że szuka pani przyjaciółki?

Rosanna nic nie odpowiedziała. Usłyszała tylko pomstowanie sprzątaczk:

- No nieee, naprawdę. Ale mi pani zabłociła podłogę. I w ogóle po co...

Rosanna wbiegła już na pomost. Zimne powietrze wywoływało ból w płucach.

„Heaven's Gate"! Gdzie stała „heaven's Gate"?

Na końcu pomostu odkryła motorówkę. Była to urocza, pomałowana na niebiesko drewniana łódź, na burcie białą farbą napisano jej nazwę. Po drugiej stronie widniał numer.

Rosanna poszperała chwilę w torebce, wyjęła kawałek papieru i zanotowała ołówkiem numer. Obejrzawszy się, spostrzegła, że sprzączka obserwuje ją podejrzliwie przez okno pawilonu. Wszystko jedno. Miała to, czego chciała. Teraz uda się do śluzy Mapledurham.

- A właściwie dlaczego mnie porzuciłaś? - zapytał Robert.

Powiedział to zupełnie niespodziewanie i tak niewinnie, jakby chciał się dowiedzieć, dlaczego zdecydowała się na szarą terakotę w kuchni. Domyślał się, że jego matka już od kilku dni obawia się właśnie tego pytania, i napawał się władzą, jaką czerpał z jej strachu. Sam mógł zdecydować, kiedy skonfrontuje ją z tematem, z którym wiązały się jedne z jej najnieprzyjemniejszych wspomnień. W każdym razie miał taką nadzieję. Przecież dziecka nie porzuca się tak po prostu jak starego płaszcza. Siedzieli w kuchni przy obiedzie. Przedpołudnie ciągnęło się niemiłosiernie, Robert spędził je w salonie, pokazując ostentacyjnie Marinie, jak straszliwie nudzi się w jej towarzystwie. Marina zdołała się na niespotykaną oryginalność i zaproponowała wyjście do Pizza Hut, ale Robert zaprotestował.

- Tylko nie bar szybkiej obsługi! Od kiedy tu przyjechałem, ciągle dostaję byle co do jedzenia! Czy obilo ci się kiedyś o Uszy, że dorastająca młodzież powinna od czasu do czasu zjeść też jakieś świeże warzywa?

Wzdrygnęła się. Następnie włożyła buty oraz płaszcz i wzięła do ręki portfel.

428

429

- W porządku, idę kupić warzywa - powiedziała chłodnym tonem. - Idziesz ze mną?

Robert siedział zwinięty w kłębek w fotelu przed telewizorem. Właśnie leciał jakiś stary odcinek „Ulicy Sezamkowej”, który bynajmniej go nie interesował, ale zdążył się zorientować, że Marina nie cierpi, kiedy w ciągu dnia ogląda telewizję.

- Nieee. Nie mam ochoty. Idź sama!

Przyniosła ziemniaki i brokuły, a następnie zaczęła się męczyć z ich przygotowaniem. Podczas jednego z długich wspólnych wieczorów, kiedy próbowała nawiązać z Robertem rozmowę, powiedziała mu, że nie umie gotować i w związku z tym robi to bardzo niechętnie. Właśnie dlatego sprawiło mu taką przyjemność zagonienie jej do kuchni, ale kiedy siedzieli przy stole, zrozumiał, że zrobił na złość sam sobie - nieczęsto zdarzało mu się jeść coś równie mdłego i bez smaku. Zastanawiał się, czy Marina kiedykolwiek słyszała o soli i pieprzu. W duchu zateęsknił za soczystą pizzą ze wszystkimi dodatkami, posypaną dużą ilością spływającego po brzegach sera. Był zły na siebie.

Dlatego zadał to pytanie. Potrzebował jakiegoś ujścia dla swojej frustracji.

Marina zamarła z podniesionym do ust widelcem. Robert obserwował ją uważnie i spostrzegł, że jej źrenice nieco się powiększyły. Powoli opuściła dłoń i odłożyła widelec na talerz.

- Może czas o tym porozmawiać - powiedziała wreszcie. Patrzył na nią wyczekująco. Miał nadzieję, że zacznie się trząść albo wybuchnie płaczem, ale zdawała się nad wyraz opanowana.

- Robbie, to nieprawda, że cię nie chciałam. Ja...

Nigdy wcześniej nie zwróciła się do niego per Robbie, nie cierpiał tego zdrobnienia.

- Nazywam się Robert. Albo Rob!

- W porządku, Rob. Ale wtedy tak na ciebie mówiłam. Robbie.

- Nie trwało to przecież aż tak długo, żebyś teraz nie mogła się odzwyczaić! Z tego co wiem, po czterech tygodniach miałaś mnie już dość i wzięłaś nogi za pas.

430

- Zostawiłam cię pod opieką twojego ojca.

- Związałaś. I nie ma znaczenia, czy oddałaś mnie mojemu ojcu czy postawiłaś w koszu pod drzwiami sierocińca.

- Niezupełnie. Sierociniec to sierociniec. Ojciec to ojciec. Uwierz mi, twoje dzieciństwo w sierocińcu w niczym nie przypominałoby tego, jakie zapewnił ci Denis.

Była spokojna. Wzbudzała w nim taką agresję, że miał ochotę rzucić jej w twarz talerz z tą ohydą breją. W tę twarz, w której rozpoznał swoje oczy.

- Większość dzieci zostaje przy matce! Musiała przyznać mu rację.

- Wiem. Ale... byłam taka młoda. Byłam w trakcie studiów. Po prostu nie wiedziałam... - wzruszyła bezradnie ramionami.

- O ile się nie mylę, siedemnaście lat temu istniały już pigułki antykoncepcyjne.

Dlaczego się nie zabezpieczałaś, skoro nie chciałaś mieć dziecka?

- Źle znosiłam pigułkę. Staraliśmy się uważać, ale...

- Ale wydarzył się wypadek. Niestety. Bagno. Jakbyś mnie nazwała, mamusiu? Które słowo wydaje ci się najodpowiedniejsze? Wypadek? Niestety? Bagno? -

Zauważył, że lekko drży. To nie tak miało być. To ona powinna się trząść!

- Nie podoba mi się żadne z tych słów - powiedziała Marina.

- Żadne nie odnosi się do ciebie. Byłeś... jesteś tym, czym są wszystkie dzieci: darem. Czyżby sobie z niego kpiła?

- Ale prezentów się nie oddaje!

- Zdarzają się wspaniałe prezenty, które jednak w danym momencie życia przerastają obdarowanego. - Odsunęła talerz i wstała.

- Mnie to przerosło, Rob. Nie dojrzałam do dziecka. Jeżeli kiedyś sam zostaniesz ojcem, zrozumiesz, o czym mówię. Dzieci są niezwykle wymagające. Płaczą. W dzień i w nocy. Ciągłe chcą jeść i pić. Cały czas trzeba je przewijać. Nosisz je całymi godzinami w nocy na rękach, kołyszysz i zastanawiasz się, dlaczego nie chcą zasnąć. Oczy cię pieką i niemal płaczesz ze zmęczenia. Wiesz, że następnego dnia

431

masz ważny egzamin. Wiesz, że po tej nieprzespanej nocy będziesz musiał z samego rana wstać i zanieść dziecko do niańki, żeby zdążyć na uczelnię. Wiesz, że prawie zaśniesz na egzaminie i że go oblejesz. I zastanawiasz się, ile egzaminów musisz jeszcze oblać, żeby wreszcie wyrzucono cię ze studiów. Zaczynasz się martwić o swoją przyszłość i... ach - zmęczonym, zrezygnowanym gestem przetarła oczy. - Każda sytuacja jest inna. Moja była właśnie taka.

Robert także wstał. Zaczął rozmowę opanowany, a teraz, po kilku minutach, miał nogi jak z waty i kręciło mu się w głowie. Zdenerwowały go jej słowa, bezgranicznie go rozsierdziły.

- A więc to ja jestem wszystkiemu winien? Bo byłem takim męczącym niemowlakiem?

- Oczywiście, że nie. Nie to miałam na myśli. Chciałam po prostu ci to jakoś... wytłumaczyć - podniosła bezsilnie rękę. - Prawdopodobnie cokolwiek teraz powiem, będzie nie tak. Usiądźmy, zaparzę kawy i spróbujemy na spokojnie...

- Tacie się jakoś udało - przerwał jej Rob. - Też był w trakcie studiów. Też musiał zdawać egzaminy i tak dalej. Ale mimo wszystko się mną zaopiekował.

- Wiem. Był starszy, bardziej odpowiedzialny. On... -...mnie kochał. W odróżnieniu od ciebie.

- Ja też cię kochałam, Rob. Żadna matka nie oddaje swojego dziecka z lekkim sercem. Uwierz mi. Ale po takiej ciąży...

Znów jej przerwał.

- Teraz nie tłumacz się hormonami, jakby to one były wszystkiemu winne! Z tego co wiem, u każdej normalnej kobiety są one odpowiedzialne właśnie za to, żeby kochała i chroniła swoje dziecko. Tak to działa w przypadku każdej kotki. Ale nie w twoim!

- Teraz upraszczasz sprawę - powiedziała Marina - i zastanawiam się, czy naprawdę chcesz ze mną porozmawiać, czy tylko wyładować na mnie swoją złość, którą oczywiście masz prawo odczuwać. W takim razie nie powinnam nic mówić. Chciałabym, żebyś spróbował mnie zrozumieć, ale najwyraźniej nie ma na to najmniejszych szans.

432

Spojrzał na nią drwiącym wzrokiem.

- Czy przynajmniej się opłacało? Zmierzać po trupach do celu, usuwając ze swojej drogi wszystko, co mogłoby utrudnić jego zniknięcie? Czy jesteś teraz szczęśliwa? Zadowolona ze swojej pracy z tego domu? Samotności? Bez męża, bez dzieci? Czy

to jest to, czego chciałaś? Żeby przypadkiem nie musieć się o nikogo troszczyć, nie musieć z niczego rezygnować. Tylko zapomniałaś, że na koniec nie będziesz miała nikogo, kto by zaopiekował się tobą. Ale może wcale ci na tym nie zależy?!

W końcu kąciki ust lekko jej zadrżały. Trafił w drażliwy punkt. Była sama, żałośnie sama, zwrócił na to uwagę. Nikt się nianie interesował. Rzadko kiedy dzwonił telefon, nikt jej nie odwiedzał, nie wychodziła ze znajomymi. Spędzała długie i beznadziejne wieczory. Marina płaciła wysoką cenę za swoją wolność i Roberta bardzo cieszył ten widok.

- Nie chcę o tym rozmawiać - powiedziała z trudem. Była bliska płaczu.

Odsunął gwałtownie krzesło, chwycił kurtkę, którą na złość Marinie położył na lodówce.

- Muszę stąd wyjść. Potrzebuję świeżego powietrza.

- Dokąd idziesz?

- Na spacer. ,

- Rob! - obeszła stół, chciała go chwycić za ramię, ale zrobił unik, jakby próbowała go uderzyć.

- Mam już jedną matkę - wyjaśnił - i dlatego na szczęście cię nie potrzebuję. Rosanna jest moją mamą. To wspaniała kobieta. Ma wszystko, czego ty nie masz.

- Jestem przekonana, że to fantastyczna osoba. I cieszę się, że mogła dać ci to, czego nie otrzymałaś ode mnie. Ale...

-Tak?

-Ach, już nic- odparła Marina. Po co poruszać ten temat? De nis powiedział jej, że jego małżeństwo przechodzi kryzys i nie wia domo, czy Rosanna do nich wróci. Patrząc na Roberta, w którego oczach pojawiła się nagle niemal dziecięca bezradność, zorientowała się, że pomyślał o tym samym. Był przerażony.

Zrobiło jej się go żal. Było jej tak szkoda tego wyrośniętego, zagubionego, wrażliwego chłopaka, że miała ochotę zrobić to, na co się nie zdobyła, kiedy był niemowlęciem - wziąć go w objęcia, przytulić swoją twarz do jego policzka i szepnąć mu do ucha, że wszystko będzie dobrze. Ukołysać go do snu.

Dziś było to absolutnie niemożliwe.

- Kiedy wrócisz? - spytała.

- Nie wiem - odparł, wychodząc z kuchni.

Chwilę później usłyszała trzaśnięcie drzwiami. Po głośniejszym wymianie zdań w domu zaległa osobliwa, przytłaczająca cisza.

Do tej pory obchodzili się z daleka jak skłócone koty. Teraz w końcu stało się. Bomba eksplodowała. Może to i dobrze. Wcześniej czy później musiało się coś takiego stać. Ale to tak bardzo bolało.

Marina usiadła na krześle. Schowała twarz w dłoniach i rozplakała się.

Marc był zirytowany, kiedy wczesnym popołudniem Rosanna wpadła do jego biura. Niczego nie podejrzewając, otworzył domofonem drzwi wejściowe i wyszedł do przedpokoju, żeby przywitać klienta, kiedy nagle zobaczył przed sobą kobietę, która jak sądził, leży w łóżku z objawami grypy.

- Cześć - powiedział. - Miałaś nie wychodzić na dwór! - Spozrzegł, że Rosanna ma rozpalone policzki, a oczy dziwnie jej błyszczą. Ciężko oddychała i była bardzo

zdenerwowana.

- Co się stało? - zapytał. Rosanna opadła na krzesło.

- Muszę ci coś powiedzieć - wyrzuciła z siebie. Usiadł obok niej, ujął jej dłonie.

- Zdaje się, że masz gorączkę - powiedział.

- Nie mam pojęcia. Może i tak. Marc, odkryłam coś niewiarygodnego.

- Najpierw się uspokój. Dlaczego w ogóle biegasz po dworze? Wysunęła dłonie, zaczęła nerwowo szukać czegoś w torebce i wyjęła kartkę, na której było coś nabazgrane.

- „Heaven's Gate” przepływała jedenastego stycznia 2003 roku o godzinie ósmej rano przez służę Mapledurham w Purley n Tha mes. Jedenastego stycznia! Błędym świtem!

Patrzył na nią, nic nie rozumiejąc.

Była tak zdenerwowana, że z trudem przychodziła jej logiczna relacja.

- Rozmawiałam ze strażnikiem przy służbie. Sprawdził w swoich notatkach. Dzień po zniknięciu Elaine, z samego rana, łódź twojej byłej żony płynęła w dół Tamizy. We mgle. Czy wiesz, co to oznacza?

Wciąż jeszcze nie mógł otrząsnąć się ze zdziwienia.

- Nie. Co takiego? I dlaczego...?

- Po pierwsze, paszport. Paszport Elaine został przecież znaleziony w Wiltonfield. Niedaleko jachtklubu. Po drugie, ta tajemnicza wycieczka o tak nieludzkiej porze. A może Jacqueline częściej wypuszczała się zimą zaraz po wschodzie słońca na przejażdżkę łodzią?

- Nie. Wydaje mi się, że nikt nie miałby na to ochoty. Ale...

- Wiesz, czego jeszcze się dowiedziałam? Zaraz potem łódź została sprzedana. Kupił ją ktoś z klubu. Jacqueline nie jest już właścicielką „Heaven's Gate”!

- Nie wiedziałem o tym - powiedział Marc zaskoczony. Powoli zaczynało do niego docierać, do czego zmierza Rosanna.

Zbladł.

- Nie chcesz chyba przez to powiedzieć, że...

Widząc, jakie wzburzenie wywołały w nim jej słowa, uświadomiła sobie, że powinna była przekazać mu tę informację w bardziej delikatny sposób. Przyłożyła na moment lodowate dłonie do rozpalonych policzków, jakby w ten sposób chciała ostudzić emocje.

- Nie wiem, Marc. Nie wiem, co się stało, i nie chcę teraz rzucać podejrzeń, które mogłyby przysporzyć innym kłopotów, ale z którejkolwiek strony na to spojrzeć, trudno uwierzyć, że to przypadek.

434

435

Skłonna jestem sądzić, że Jacqueline miała coś wspólnego ze zniknięciem Elaine, chociaż rzecz jasna, brakuje jeszcze wielu części w tej układance i istnieją pewne sprzeczności, ale... Przerwał jej.

- Motyw, Rosanno. Nie widzę żadnego motywu. Dlaczego Jacqueline miałyby zależeć na... mówiąc delikatnie... zniknięciu Elaine? Skąd w ogóle miałyby ją znać? Rosanna, nie patrząc na Marca, wyglądała przez okno. Nie chciała widzieć jego spojrzenia, kiedy dowie się, jak głęboko grzebała w jego życiu.

- Marc, odwiedziłam ją. Wczoraj. Byłam w Binfield Heath, w jej atelier. Rozmawialiśmy półtorej godziny.

- Nie wierzę własnym uszom!

- To prawda. I przez cały czas Jacqueline mówiła tylko o jednym: o twojej niewierności. O twoich zdradach. O tym, że według niej przez wszystkie lata waszego małżeństwa praktycznie nieustannie ją zdradzałeś. Do dzisiaj jest przekonana, że tak było.

Marc wstał. Rosanna czuła, że stara się pohamować narastającą w nim złość.

- Mój Boże - mruknął.

Rosanna też podniosła się z miejsca.

- Marc, właśnie tu należy szukać motywu. W jej zazdrości. Mówiłeś mi, że jest chora. Że wyobrażała sobie rzeczy, które w rzeczywistości nie miały miejsca. Że właśnie z tego powodu ciągle się kłóciliście. Że rzucała przedmiotami, niszczyła sprzęty, kiedy wydawało jej się, że znowu masz romans. W końcu odeszła, ale czy myślisz, że dzięki temu pozbyła się swojej obsesji? Być może jeszcze przez długie miesiące gotowała się z wściekłości i rozpacz, czując się oszukana i porzucona. Mogło to trwać lata.

- Ale jak...

- Marc, wszystko sprowadza się do jednego pytania. Czy mogła was widzieć? Ciebie i Elaine? Owego styczniowego wieczoru, kiedy zabrałeś ją ze sobą do domu? Czy to możliwe, że was zauważyła i wyciągnęła z tego fałszywe wnioski?

436

Potrząsnął głową.

- To absurd - odparł Marc.

Ale powiedział to bez przekonania.

- Prawdziwość twojej... teorii zależy od tego, czy Pamela Lukę nie kłamie co do miejsca znalezienia paszportu - mówił Marc. [choć początkowo sprzedała nam i policji zupełnie inną wersję, naj wyraźniej w dalszym ciągu jesteś skłonna jej wierzyć. Wydaje mi się to dość nierozważne.

Marc mówił przytłumionym głosem, choć dookoła panował hałas. Opuścili biuro, ponieważ w pewnym momencie Marc oświadczył, że musi natychmiast wyjść na zewnątrz.

- Zaraz tu oszaleję. Chodźmy gdzieś.

Siedzieli dwie ulice dalej w kawiarni, która w to piątkowe popołudnie powoli wypełniała się gośćmi. Miejsca przy małych stolikach zajmowały gospodynie domowe, biznesmeni i studenci. Wszyscy popijali cappuccino albo mleczne koktajle, we wnętrzu rozbrzmiewały wybuchy śmiechu, burzliwe dyskusje i przyjacielskie pogawędki. Marc i Rosanna znaleźli wolny stół w rogu sali, zamówili wodę mineralną i espresso, a następnie rozejrzeli się, chcąc się upewnić, czy nikt im się nie przysłuchuje. Gwarna kawiarnia to nie najlepsze miejsce na tego typu rozmowę, ale Rosanna była w stanie zrozumieć, że Marc nie mógł wytrzymać w biurze, a w nieskalanej ciszy swego mieszkania nie czułby się wiele lepiej. Na szczęście szybko stwierdziła, że nie mają się czego obawiać - nikt tutaj nie zwracał na nich uwagi.

- Załóżmy, że Pamela i tym razem nie mówi prawdy - Rosanna podjęła zarzut Marca.

- Z tego by wynikało, że podała pierwsze miejsce, jakie jej przyszło do głowy. Wszak

nie mogła mieć pojęcia, że znajduje się tam jachtklub, do którego należała Jacqueline.

- Taki przypadek jest jednak możliwy. To popularna okoliczność wycieczkowa. Z pewnością rzeczywiście była na tym parkingu...

437

Wiedziała przecież, że stoją tam kontenery na odzież. Kiedy nie była w stanie dłużej bronić swojego początkowego zeznania, że znalazła dokumenty u tego sutenera Malikowskiego, wymyśliła coś innego. Wymieniła znane jej Wiltonfield, ponieważ nie chciała po raz drugi popełnić tego samego błędu.

- W porządku. Załóżmy, że to faktycznie przypadek, ale czy nie zastanawia cię, dlaczego Jacqueline wypłynęła jedenastego stycznia o wschodzie słońca na rzekę? W mglisty zimny poranek? Strażnik przy służbie na pewno mnie nie okłamał. Czy potrafisz to jakoś wyjaśnić?

Marc zamieszał kawę. Zmarszczył czoło.

- Nie - odparł po chwili. - Nic nie przychodzi mi do głowy na oczekaniu. Ale wydaje mi się nie w porządku, żeby z tego powodu zarzucać jej Bóg wie co. Na pewno okaże się, że istnieje jakieś logiczne wytłumaczenie.

- Pozostaje nam do wyjaśnienia fakt, dlaczego zaraz po jedenastym stycznia sprzedała łódź. Tak nagle. Po tylu latach.

- Czy wiesz to na pewno? Że sprzedała łódź po jedenastym stycznia? Może zrobiła to wcześniej?

Rosanna zawahała się. Sprzątaczką w klubie nie potrafiła udzielić jej dokładnej odpowiedzi na to pytanie. Była jedynie pewna, że sprzedaż miała miejsce po Nowym Roku, jeszcze zimą, zatem najpóźniej w lutym.

- Nie - powiedziała niechętnie. - Nie jestem pewna. Ale można to łatwo sprawdzić.

- Jeśli Jacqueline sprzedała „Heaven's Gate” przed jedenastym stycznia, oznaczałoby to, że tego ranka Tamizą płynął ktoś inny.

- Tak czy inaczej, to bardzo osobliwe.

- Zgadza się. Ale nie musi mieć nic wspólnego ze zniknięciem Elaine.

Rosanna zwiesiła głowę. Była tak oszołomiona wszystkimi tymi odkryciami, a teraz jeszcze okazało się, że nic nie jest pewne. Może Pamela znowu ich oszukała? Czyżby Rosanna dokonała nadinterpretacji i w rzeczywistości miała do czynienia ze zwykłym zbiegiem okoliczności?

- Zastanów się - powiedział Marc. - Kiedy i w jaki sposób Jacqueline miałyby się dowiedzieć, że Elaine u mnie nocowała? Mu siałaby czatować pod moimi drzwiami.

- Chorobliwie zazdrosne żony są do czegoś takiego zdolne. Nie byłaby pierwsza.

- Od dziewięciu miesięcy nie byliśmy już razem.

- Mimo wszystko mogła cię śledzić. Niektórzy ludzie jeszcze do tego po rozwodzie wpadają w szal, jeśli były partner pozna kogoś.

- No dobrze. A potem? Jak sobie to wyobrażasz? Czekala w samochodzie przed moim domem? Następnego ranka zobaczyła, jak wychodzimy z domu? Poszła za nami na piechotę do metra? Wsiadła do pociągu? Zaczepiła Elaine? Namówiła ją, żeby ta z nią poszła? Przeprowadziła samochód, który stał przez cały czas niezauważony przede mną pod moim domem? Pojechała z nią do Wiltonfield? Musiałaby się bardzo spieszyć, w przeciwnym razie nie udałoby się jej już o ósmej

przepłynąć przez służbę. Zamordowała Elaine na par kingu? Czy dopiero na łodzi? Kiedy tak mówił, hipoteza faktycznie wydawała się absurdalna i nieprawdopodobna. Rosanna nic nie odpowiedziała.

Chyba rzeczywiście nieco się zagalopowałam, pomyślała nieszczęśliwa.

Marc oparł dłonie na stole, utkwiał w niej spojrzenie.

- Rosanno, znam bardzo dokładnie słabostki mojej byłej żony, prawdopodobnie lepiej niż ktokolwiek inny. Dała mi się poznać jako osoba histeryczna, znerwicowana, fanatyczna, chorobliwie za zdrosna i nierzadko autodestrukcyjna. Mimo wszystko to coś innego niż morderczyni. Bo to właśnie jej zarzucasz: zamordowanie Elaine Dawson.

- Niczego jej nie zarzucam - powiedziała Rosanna. - Wymię niłam tylko kilka zdarzeń, w których przypadkowość śmiem wątpić, Ale te zdarzenia dopuszczają oczywiście wiele wniosków.

- Spróbuj to sobie wyobrazić. Przecież poznałaś Jacqueline. Jesl niska i drobna. Elaine była wyższa od niej o głowę i ważyła kilka ki logramów więcej. Zmierzasz do tego, że Jacqueline utopiła Elaine

438

439

w rzece. Jak miałyby to zrobić? Czy znalazłaby na to siłę? Poza tym żeby dokonać morderstwa, trzeba mieć w sobie kryminalny potencjał. Nigdy nie zauważyłem czegoś podobnego u Jacqueline.

- Ale zdarzały się jej wybuchy agresji, kiedy ponosiła ją zazdrość? Coś takiego może się źle skończyć. Chociaż mówi się wówczas o morderstwie w afekcie, które popełnione zostało nieumyślnie.

- Hipoteza, którą skonstruowałeś, zakłada czyn dokonany z premedytacją.

- Może początkowo chciała z nią tylko porozmawiać. A dopiero potem sytuacja eskalowała... - Rosanna zdawała sobie sprawę, że jej argumenty są mało przekonujące. A była już tak pewna swego. W ciągu paru minut cała jej teoria legła w gruzach. Podparła głowę dłońmi. Chyba była zbyt chora, żeby móc wymyślić cokolwiek sensownego.

Poczuła na sobie wzrok Marca i spojrzała na niego. Był bardzo poważny.

- Rosanno - powiedział - dlaczego koniecznie musisz to wiedzieć? Po tylu latach. Dlaczego tak się upierasz, żeby dowiedzieć się, co stało się z Elaine Dawson? Dlaczego nie zostawisz tej sprawy? Dlaczego podążasz coraz to nowym tropem i gubisz się w coraz bardziej karkołomnych spekulacjach?

Wzruszyła ramionami.

- Nie wiem. To...

- Dlaczego pojechałaś do Jacqueline? Nie mogę tego pojąć! Dlaczego koniecznie musiałaś odwiedzić moją byłą żonę?

Dlaczego? Sama często zadawała sobie to pytanie. Powodowało ją przede wszystkim pragnienie, żeby za pośrednictwem Jacqueline doprowadzić do pojednania Marca z synem. Podświadomie jednak mogła kierować się jeszcze czymś innym. Chciała w ten sposób zbliżyć się do Marca, dowiedzieć się czegoś o jego przeszłości. Czyżby wciąż jeszcze mu nie ufała? Nie знаła odpowiedzi.

- To z mojego powodu - przerwał jej rozmyślenia. - Mam rację? Może nie zdajesz

sobie z tego sprawy, ale spoczywający na mnie cień podejrzania nie daje ci spokoju. W końcu wszystko co masz, to moje zapewnienie, że nic nie zrobiłem Elaine i że wiem na temat jej losów tyle co wszyscy. Może to prawda, może i nie. Nie jestem w sta nie ci tego udowodnić. Miałaś nadzieję, że od Jacqueli ne dowiesz się czegoś o moim charakterze. Ale przede wszystkim pragniesz się do wiedzieć, co tak naprawdę się stałoikto za tym stoi. Dopiero wtedy będziesz mogła uznać sprawę za zamkniętą. Wyzbędziesz się wątpli wości, które drażą twój ą świadomość. Czy słusznie się domyślam, że to jest prawdziwa przyczyna? Że to nie pozwala ci spocząć?

Miała ochotę zaprzeczyć, ale sama nie była pewna swoich mo tywów. Czy w tym, co mówił Marc, nie było ziarnka prawdy? Czyżby udzieliła jej się nieufność, którą wyczuwała w otoczeniu, i wciąż miała jeszcze wątpliwości, które pragnęła ostatecznie rozstrzygnąć?

To wszystko mogło, rzecz jasna, odgrywać pewną rolę, ale było coś jeszcze. Problem Elaine był skomplikowany i wielowarstwowy.

Rosanna potarła piekące oczy. Czuła się zmęczona.

- Mogę tylko powtórzyć po raz kolejny: nie wiem. Świadomie nie żywię wobec ciebie żadnych podejrzeń, ale trudno rozpoznać mi wszystkie czynniki, które wchodzi tu w grę. Wiem jednak, że odkąd jestem w Anglii i przyjąłem zlecenie Nicka, dręczy mnie poczucie winy wobec Elaine. Myślę, że towarzyszy mi ono już od lat, ale do tej pory dość skutecznie je wypierałam. Teraz dało o sobie znać i czasem odczuwam niemal fizyczny ciężar.

Marc wydawał się nieco zaskoczony.

- Poczucie winy? Dlatego że...

- Dlatego że zaprosiłam ją na ślub. To z mojego powodu opuściła małe bezpieczne Kingston St. Mary i zdecydowała się na podróż za granicę. Jednym powodem byłam ja i moje wesele. Dlatego nie ustannie prześladuje mnie myśl, że jestem Elaine winna rozwiązanie zagadki jej tajemniczego zniknięcia. Nie dlatego, że miałoby to jej albo komukolwiek innemu pomóc, lecz dlatego... że nie powinna popaść w zapomnienie. W przeciwnym razie może okazać się, że jej zniknięcie, a być może jej śmierć, spotkało takie samo zaintereso wanie, jak całe jej życie... nikt się tym nie przejął. I wówczas na za wsze pozostanie kimś, na kogo się nie zwraca uwagi.

440

441

Marc skinął głową, czuła, że ją rozumie.

- Ale - zaczął ostrożnie - nie ma przecież nic złego w tym, że zaprosiłaś ją na ślub. To miły, przyjacielski gest. Spróbowałaś pomóc jej wyrwać się z tej monotonii i samotności, w której już zapuściła korzenie i z której nie potrafiła się samodzielnie wydostać.

Rosanna uśmiechnęła się smutno. Jak to ładnie brzmiało! Gdyby tylko to była prawda!

- Chciałabym, żebyś miał rację. Chciałabym móc uwierzyć, że zachowałam się jak wielkoduszna przyjaciółka, która pragnęła pomóc Elaine. Ale było inaczej. Nie działałam z tak szlachetnych pobudek.

Wyciągnął rękę nad stołem i ujął jej dłoń. Spojrzał na nią poważnie. Rosanna

widziała po wyrazie jego twarzy, że bardzo stara się ją zrozumieć.

- Czym wobec tego się kierowałaś?

Czuła, że coraz bardziej pieką ją zaczerwienione od gorączki policzki.

- Kierowałam się - powiedziała smutno Rosanna - kierowałam się, jak sądzę, tym samym co większość mieszkańców Kingston St. Mary w odniesieniu do Elaine. Zrozum: była urodzonym nieudacznikiem. Szła przez życie niezauważona, a jeżeli ktokolwiek zwracał na nią uwagę, to właśnie ze względu na to, że była tak skrajnie niepozorna i nieśmiała. Elaine należała do tego rodzaju dziewcząt, których nie prosi się do tańca i przed którymi ludzie wpychają się w sklepie do kolejki. Regularnie zdarzały się sytuacje, kiedy ludzie mówili: „Musimy coś zrobić dla biednej Elaine!”. Wtedy zapraszano ją na jakąś uroczystość, urodziny albo święto lokalnej wspólnoty. Jednakże zawsze się przy tym czuło, że tak naprawdę nie chodzi o Elaine, tylko o to, żeby ktoś mógł odegrać rolę samarytanina, albo co gorsza, żeby w towarzystwie znalazła się osoba, w porównaniu z którą wszyscy inni wypadają lepiej. U boku Elaine każdy czuł się atrakcyjny, hojnie obdarowany przez los, niezależnie od tego, jakie sam miał problemy. Nikomu nie powodziło się aż tak źle jak Elaine choćby z tego powodu, że zawsze mógł liczyć

442

na poprawę własnej sytuacji. Ona natomiast nie miała takiej na dziei i nikt z mieszkańców nie wierzył, by w jej życiu coś mogło się zmienić na lepsze. Tym bardziej po wypadku jej brata. To był wyrok skazujący ją na życie w staropanieństwie w charakterze opie kunki przykutego do wózka kaleki. Inni oblewali egzaminy, ich związki się rozpadały, popadali w długi lub tracili pracę, ale przy najmniej żyli. Zawsze można było sobie powiedzieć: wpakowałem się w tarapaty, ale nie jest ze mną aż tak źle jak z Elaine. I od razu człowiek czuł się lepiej.

- Rozumiem - powiedział Marc. Spojrzała na niego.

- Uważasz, że to swego rodzaju nadużycie? Zastanowił się.

- Nie nazwałbym tego w ten sposób. Myślę, że to po prostu... bardzo ludzkie. Poza tym nikt nie zmuszał Elaine do trwania w tej sytuacji. Mogła przecież porzucić swoją rolę.

-Ale...

- Wiem, łatwo powiedzieć. Ale taka jest prawda. Nie musiała być szarą myszką. Nie musiała pozwalać, żeby inni wpychali się przed nią do kolejki. Nie musiała się dawać wykorzystywać bratu. Nikt nie ponosił winy za to, że była taka, jaka była. Co inni mogli na to poradzić, że żyła w ten sposób? Nikt nie był za nią odpowiedzialny. Dotyczy to także ciebie.

- Kiedy wysłałam do niej zaproszenie, wydałam się sobie bardziej wielkoduszna. Biedna Elaine! Wiedziałam, że w żaden sposób nie ubarwi uroczystości, ale w swojej dobroci i tak ją zaprosiłam. W rzeczywistości pragnęłam jej pokazać, co udało mi się osiągnąć: miałam atrakcyjnego, spełnionego zawodowo męża, uroczego pasierba i przepiękny dom w słonecznym Gibraltarze. Wyprawiałam oszałał mające przyjęcie weselne. Dobrze wiedziałam, że Elaine będzie się męczyć podczas tej uroczystości i że znowu usunie się w cień, ale porównując się z nią, mogłam czuć się jeszcze bardziej wyjątkowo, i nie chciałam z tego zrezygnować.

Ścisnął jej dłoń.

- Masz rację, to rzeczywiście nieładnie. Ale wiele osób postąpiłoby tak samo. Przecież nie jesteśmy święci.

- Krótco przed ślubem zadzwoniłam do Cedrica i opowiedziałam mu, że Elaine przyjęła moje zaproszenie. Żartowaliśmy sobie z niej... że nigdy nie zdobędzie się na to, żeby zostawić Geoffreya, że pewnie znowu wystąpi w sukience z najbardziej staromodnego sklepu w Taunton. W końcu założyliśmy się. Cedric powiedział, że nie przyjedzie, bo nie uda jej się właściwego dnia i o właściwej godzinie wsiąść do właściwego samolotu. Ja twierdziłam, że przyleci, tylko najpierw pojedzie do niewłaściwego kościoła, zanim w końcu, złana potem, nas znajdzie. Uważaliśmy, że to zabawne. Ale kiedy... naprawdę nie przyjechała, okazało się, że... nie ma się z czego śmiać.

Marc skinął głową.

- Rozumiem. Spróbuj jednak pogodzić się z tym, że cokolwiek się stało, nie ma żadnego związku z tobą. Ktoś inny, nie ty, winny jest zniknięcia Elaine. Nawet gdybyś zapraszając Elaine na swój ślub, kierowała się najbardziej szlachetnymi pobudkami, nic by to nie zmieniło.

- Gdybym wcale jej nie zaprosiła, nie doszłoby do nieszczęścia. Wiedziałam, że ta podróż ją przerośnie.

- Ale skazałabyś ją na izolację. Ta podróż mogła okazać się dla niej szansą. Gdyby wszystko się udało, bez wątpienia wzmocniłoby to jej wiarę w siebie. Może kiedyś ponownie odważyłaby się wyruszyć w podróż. To była dla niej możliwość, żeby zdystansować się trochę od Geoffreya, zrobić pierwszy krok w kierunku wolności. I trzeba przyznać, że to jedno jej się udało. Wbrew protestom brata. Mówiła mi, że urządził z tego powodu scenę, ale mimo wszystko wyjechała. Jak na Elaine to miłowy krok. Niewykluczone, że byłby to dla niej początek nowego życia. Nikt nie umiał przewidzieć, że sprawy potoczą się inaczej.

Słowa Marca jej pomogły, ale wciąż była wewnętrznie roztrzęsiona.

- Mimo wszystko chciałabym wiedzieć, co się stało. Jestem jej to winna.

- A jeżeli słuszna jest nasza początkowa hipoteza? Jeśli odeszła z własnej, nieprzymuszonej woli? Po prostu uciekła i ma nadzieję, że nikt nie trafi na jej ślad?

- W takiej sytuacji nasuwa się pytanie, dlaczego jej paszport leżał w kontenerze na odzież w Wiltonfield?

Marc wzruszył ramionami.

- Nie wiem.

- Chcę jutro jeszcze raz tam pojechać - powiedziała Rosanna - Do Wiltonfield. Chcę się dowiedzieć, kiedy dokładnie Jacqueline sprzedała łódź. I komu.

Marc patrzył na nią na wpół rozbawiony, na wpół zrezygnowany.

- Naprawdę nie daje ci to spokoju.

- Pojedziesz ze mną?

Wyciągnął z portfela dwa banknoty i położywszy je na stole, wstał.

- Tak, pojedę z tobą - powiedział bez protestu. - Ale teraz zaprowadzę cię do domu. Naprawdę wyglądasz na chorą i chyba podskoczyła ci temperatura. Jedno mogę ci obiecać: jeśli do jutra nie poczujesz się lepiej, raczej przywiążę cię do łóżka, niż

pozwolę ci się włóczyć po Wiltonfield.

Pokiwała głową. Wiedziała, że nie będzie musiał jej krępować, jeśli jej stan się nie polepszy.

Wówczas i tak nie będzie w stanie zrobić ani kroku.

Sobota, 23 lutego

1

Wieczorem rozegrała się bardzo nieprzyjemna scena. Później Marina nie mogła długo zasnąć i czuła, że serce bije jej jak oszalałe. Po kłótni przy obiedzie Robert jakiś czas spędził na dworze, wrócił około czwartej i bez słowa zamknął się w pokoju gościnnym, który zajmował w czasie u matki. Kiedy zawołała go na kolację, nie zareagował. Dopiero

o wpół do dziesiątej zszedł na dół. Marina, która siedziała w salonie i oglądała telewizję, usłyszała, jak zdejmuje kurtkę z wieszaka.

Wyszła do przedpokoju.

- Chcesz się jeszcze przejść po okolicy? - zapytała, siląc się na bez troski ton, chociaż obawiała się, że ma w planach coś więcej. Wtarł we włosy słoik żelu i oblał się butelką płynu po goleniu.

Rob włożył kurtkę.

- Wychodzę - wyjaśnił. - Idę tam, gdzie się coś dzieje.

- Co to znaczy?

- To co powiedziałem. Jest piątek wieczór. Nie będę przecież siedział na przedmieściu i oglądał jakichś idiotycznych teleturniejów!

- Dokąd dokładnie chcesz pójść? Wzruszył ramionami.

- Jeszcze nie wiem. Rozejrzę się.

- Rob, przecież w ogóle nie znasz miasta. Nie masz tu żadnych znajomych ani przyjaciół. I skończyłeś dopiero szesnaście lat!

Puścił jej uwagę mimo uszu, zdjął z haczyka klucze do domu, które dała mu na czas jego wizyty, i już zbierał się do wyjścia.

446

- Rob! - powiedziała Marina surowo. Odwrócił się niechętnie w jej stronę. - Co?

- Nie zgadzam się. Londyn to nie małe miasteczko. Nie mogę cię puścić samego. To zbyt niebezpieczne!

Silił się na obojętność, próbując w ten sposób zademonstrować swoją wyższość, ale w jego oczach czaiła się wściekłość i ból.

- Jak masz zamiar temu zapobiec?

- Zabraniam ci.

Na jego twarzy pojawił się uśmiech.

- Po co to przedstawienie, mamusiu? - zapytał. - Naprawdę myślisz, że możesz mi czegoś zabronić? Wiesz, ile mnie obchodzi, na co się nie zgadzasz? Tyle! - Mówiąc to, pokazał jej środkowy palec i zanim Marinie udało się otrząsnąć z szoku i zareagować, zniknął w ciemnościach.

Marina nie była w stanie powiedzieć, jak minął jej ten wieczór. Spędziła go przed telewizorem, ale nie docierało do niej nic z pro gramów, które oglądała. Piła wino, i to w zbyt dużej ilości, łzy spływały jej po policzkach i przed oczyma przewijały się dwie sceny. Dzień, w którym urodził się Rob, moment, w którym pielęgniarka

włożyła jej w ramiona maleńkiego różowego noworodka, na co Marina zareagowała płaczem, tak histerycznym i rozdzierającym, że trzeba jej było dać zastrzyk na uspokojenie. Oraz scena, która rozegrała się dzisiaj wieczoru - młody mężczyzna pokazujący jej obsceniczny gest i, nie zważając na jej protesty, wychodzący z domu, trzaskając za sobą drzwiami. Zdawało jej się, że bezpośrednią i nieuniknioną konsekwencją tamtych łez była nienawiść, jaką Marina zobaczyła dziś w oczach swojego syna i jaka do głębi ją przeraziła.

Około północy poszła do łóżka, do czwartej nad ranem prawie w ogóle nie spała, nasłuchując dźwięków, które zwiastowałyby powrót Roberta, i próbując opanować przyspieszony oddech. W końcu zasnęła, ale już o wpół do siódmej obudziła się. Zaszło jej w gardle i pękała jej głowa.

447

Z jękiem podniosła się z łóżka. Miała potężnego kaca. Chyba wypła więcej alkoholu, niż sądziła.

Wstała, włożyła szlafrok i podreptała boso do gościnnego pokoju. Wewnątrz panował chaos; właściwie od początku wizyty Robert nie słał łóżka, nie wkładał bielizny i skarpetek do szuflady, tylko wszystko zostawiał tam, gdzie akurat zdjął. Zapach wody kolońskiej wisiał jeszcze w powietrzu. Ale jej syna nie było.

Marina zeszła na dół. Podłoga w przedpokoju była lodowata. Rzuciła okiem na wieszak przy drzwiach, ale tak jak się spodziewała, ani kurtki Roberta, ani kluczy tam nie było. Nie ulegało wątpliwości - tej nocy Robert nie wrócił do domu.

W kuchni na stole stały dwie puste butelki po winie. Jedna z nich, jak sobie mglście przypominała, była jeszcze w połowie pełna, drugą odkorkowała wczoraj. Wypiła sama półtorej butelki. Nic dziwnego, że czuła się tak, jakby ktoś włożył jej głowę w imadło.

Wyjęła z szafki szklanę, nalała sobie wody z kranu i wypiszy ją duszkiem, ponownie napełniła szklanę. W szufladzie znalazła ostatnią aspirynę i wrzuciła ją do szklanki.

Musi się zastanowić, co teraz zrobić.

Na zewnątrz świtało, mgła opadła i zapowiadał się słoneczny dzień. Zimno pięło się po jej nagich łydkach. Czekała, aż aspiryna się rozpuści, zastanawiała się, czy zadzwonić do Denisa. W ten sposób przeniosłaby na niego część przytłaczającego ją ciężaru. Z drugiej strony Denis nie mógł nic w tej chwili zrobić i tylko niepotrzebnie by się zdenerwował. Może nic takiego się nie stało. Tylko gdzie Robert spędził tę noc?

Wypiszy lekarstwo, Marina poszła do łazienki i wzięła długi gorący prysznic. Następnie ciepło się ubrała, zjadła kromkę chleba tostowego i napiła się mocnej kawy. Poczła się trochę lepiej. Ponieważ wydawało jej się, że oszaleje, jeśli zostanie w domu, postanowiła wsiąść do samochodu i przejechać się po okolicy. Robert mógł kręcić się gdzieś w pobliżu. Na pewno miało to więcej sensu niż beczynne siedzenie w domu. Musi wyznaczyć sobie jakiś limit czasowy, po którego przekroczeniu zadzwoni do Denisa, a następ-

448

nie w porozumieniu z nim powiadomi policję. Trzecia po południu, Jeżeli do tej pory chłopak nie wróci ani się z nią nie skontaktuje, podejmie oficjalne kroki.

Wyszła z mieszkania. Był słoneczny, zimny i cichy poranek. Większość mieszkańców jeszcze spała.

- Podziwiam cię - powiedział Cedric łagodnie. - Jesteś taka silna i taka dzielna.

Naprawdę.

- Chciałabym się tak czuć - powiedziała Pam. - Silna i dzielna. Ale teraz wyłącznie się boję.

Pamela wyglądała na zmęczoną. Tonęła w szarym swetrze Cedrica, który włożyła, aby móc uprać swoje rzeczy. Była nieumalowana, ciemne włosy miała zaczesane do tyłu. Wyglądała na młodszą niż w rzeczywistości. Można by ją wziąć za dwudziestolatkę. Albo nawet nastolatkę.

Znajdowali się w salonie w rodzinnym domu Cedrica, Pam siedziała z kolanami pod brodą na kanapie, Cedric w fotelu. Wciąż jeszcze dokuczał mu ból, ale nieco już zelżał i dziś rano wziął mniej środków przeciwbólowych niż poprzedniego dnia. Na zewnątrz rozszalała się wiosna. W domu słychać było ciche tykanie zegara. Tego sobotniego ranka z ulicy nie dobiegały żadne dźwięki.

Cedric i Pamela czekali na policję.

Victor taktownie zostawił ich samych i poszedł na targ, żeby zrobić zakupy na weekend.

Trzy kwadranse wcześniej Pamela zgodziła się wreszcie powiadomić inspektora Fieldera, i Cedric od razu do niego zadzwonił

Fielder, który osobiście odebrał telefon, napadł na niego:

- Jest u pana? Od jak dawna? Cedric nie chciał kłamać.

- Od środy wieczorem.

- I dopiero teraz pan do mnie dzwoni!?

449

- Pamela potrzebowała czasu. Nie jestem denuncjantem. Dzwonię do pana za jej zgodą.

Fielder był wściekły, ale zorientował się, że nie jest to odpowiedni moment, żeby prawić Cedricowi kazania.

- Jest pan w domu swojego ojca? - upewnił się. - W porządku. Wyślę do państwa kogoś z posterunku w Taunton. Panna Lukę zostanie bezzwłocznie przewieziona do Londynu.

- Tak, liczyliśmy się z tym - powiedział Cedric, podał Fielderowi dokładny adres i odłożył słuchawkę.

- Nie martw się - powiedział w końcu. - Mówisz prawdę i inspektor ci uwierzy. Jestem tego pewien.

- Ja nie. Raz już go okłamałam. Nie ma powodu, żeby mi wierzyć.

- Nic ci się nie stanie.

Pamela wyglądała na bardzo przygnębioną.

- Szkoda, że nie możesz pojechać ze mną. Potrząsnął z ubolewaniem głową.

- Gdybym mógł, bez wahania bym to zrobił. Ale to za długa droga, niestety nie jestem jeszcze na chodzie.

- Jasne. Musisz się oszczędzać. To okropne, że przeze mnie tak cierpisz. Żałuję, że nie mogłam ci oszczędzić tego spotkania z Pitem. Ale... - podniosła ręce w bezradnym geście. - Nie powinnam była się z nim wiązać. Odkąd to zrobiłam,

tragedia wisiała w powietrzu.

- Nie był to najszczęśliwszy wybór - zgodził się Cedric. Następnie dodał w zamyśleniu: - Ciekawe, co cię w nim pociągało. Jak mogło ci się wydawać, że go kochasz. Był taki brutalny. Chory. Nieobliczalny. To widać na pierwszy rzut oka. Wzruszyła ramionami.

- Miałam wrażenie, że naprawdę dla niego coś znacę. Nigdy wcześniej nic podobnego mi się nie zdarzyło. To było dla mnie coś... wyjątkowego. Brzmi niewiarygodnie, co?

- Nie. Ale to niesamowicie smutne.

Skinęła powoli głową, następnie potarła oczy dłońmi, jakby próbowała wymazać wspomnienie swojego dręczyciela, które wypaliło się na siatkówce. Nagle spytała:

- Kiedy masz zamiar wrócić do Nowego Jorku?

- Zostanę, dopóki lekarze nie pozwolą mi podróżować po wiedział Cedric. - Cieszę się, że mogę tu trochę побыć Tacie do brze to robi.

- Jest bardzo samotny. -Tak.

- Odwiedzisz jeszcze tego przyjaciela? Tego na wózku? Pamiętasz, tamtego wieczoru, kiedy do ciebie przyszedł, był w szpitalu,

- Geoffrey. Geoffrey Dawson. To brat Elaine. Tak, chcę go od wiedzie. Też jest bardzo samotny.

- Skąd się znacie?

- Z... o mój Boże, po prostu znamy się od zawsze. Dorastaliśmy tu... Już w piaskownicy bawiliśmy się razem. Chodziliśmy do jednej szkoły. Na uniwersytet. Byliśmy nierozłączni. Aż do czasu kiedy... zdarzył się wypadek.

- Co się stało? - zapytała Pam.

Cedric zawahał się. Nigdy o tym nie opowiadał. W jego otoczeniu wszyscy to respektowali. Ale Pam nie mogła o tym wiedzieć.

- To było... Wiesz co, nie chcę o tym mówić - powiedział sztywno. Pamela spojrzała na niego uważnie, ale zamilczała.

Cedric z trudem odwrócił się do okna. Ulica zalana była słońcem. Panowała cisza i spokój. W ogrodzie zakwitły pierwsze narcy zy. Jeszcze nikt się nie zjawił.

Pam podążyła za jego wzrokiem.

- Jeżeli nie wyląduję za kratkami - powiedziała - mogłabym odwiedzić cię w Nowym Jorku?

Był zadowolony, że nie drażyła tematu Geoffreya.

- Pewnie - powiedział. - Byłoby mi bardzo miło.

- Jeszcze nigdy nie byłam w Nowym Jorku. W ogóle w Stanach Zawsze myślałam, że nie dam rady tam pojechać.

- Nowy Jork na pewno ci się spodoba. Dla mnie to najlepsze miasto na świecie. - Cedric wyjrzał ponownie przez okno, powiódł

wzrokiem po pustej ulicy, małych domkach po przeciwnej stronie, które drzemały za żywopłotami i kamiennymi murkami, narcyzach,

450

451

które zasadziła i pielęgnowała jego matka. Po raz pierwszy ujrzał w całej wyrazistości tę wiejską idyllę. Mimo że czuł się tu jak w domu, mimo uroku tego

miejsca, nagle ogarnęła go tak silna tęsknota za Nowym Jorkiem, że mógłby wskoczyć do najbliższego samolotu.

- To jedyne miejsce, w którym chcę żyć. Pamela wstała i podeszła do okna.

- Jak tu pięknie - powiedziała. - Jako dziecko musiałeś się tu czuć bardzo bezpiecznie.

Miała rację. Bezpieczeństwa doświadczył w nadmiarze i było ono dla niego czymś tak oczywistym, że być może nie potrafił go w pełni docenić. Kingston St. Mary i tutejsze życie wydawało mu się zaściankowe i rzadko zastanawiał się nad tym, ile pewności siebie i stabilności zawdzięcza opiece i spokojnej miłości rodziców. W ostatnich latach miał wrażenie, że jest niczym liść na wietrze, męczył się i narzekał, bo nie był w stanie nadać trwałych podstaw ani swojemu życiu zawodowemu, ani osobistemu. Jednakże patrząc na Pamelę, widząc w jej oczach głęboko zakorzeniony strach, uświadomił sobie, ile siły czerpie ze swojego spokojnego, szczęśliwego dzieciństwa. Wielokrotnie zbaczał z drogi, odczuwał niepewność na myśl o przyszłości, ale teraz zrozumiał, że fundamentem jego osobowości jest ufność, jaką pokłada w życiu i której nigdy się nie pozbędzie. Uczucie, że zasługuje na udane życie, było w nim równie głęboko zakorzenione, jak w przypadku Pameli przeświadczenie, że życie jest najniewdzięczniejszym wrogiem, z jakim przyszło zmierzyć się człowiekowi. Pamela od pierwszego oddechu знаła tylko zagrożenie. A on znał tylko miłość.

Przez chwilę zastanawiał się, do czego mogłoby między nimi dojść, gdyby rzeczywiście przyjechała do Nowego Jorku. Była inna niż wszystkie kobiety, jakie do tej pory poznał, i polubił ją. Zainteresowała go bardziej niż jakakolwiek inna dziewczyna i możliwe, że owo zainteresowanie zamieniłoby się w fascynację. Czas pokaże. Nie wiadomo, czy Pamela w ogóle przyjedzie. Wiele zależało od przebiegu śledztwa, od tego, czy Scotland Yard da wiarę jej zeznaniom.

452

Cedric uświadomił sobie, jak bardzo mu na tym zależy. miał na dzieję, że Pamela go nie okłamała.

Usłyszał zbliżający się samochód, który zwolnił i w końcu zatrzymał się przed domem.

Pamela odwróciła się od okna. Była bardzo blada.

- Przyjechali - powiedziała.

Naraz wydała mu się całkowicie zagubiona. Na zewnątrz ktoś trzasnął drzwiami.

Cedric z trudem podniósł się z fotela. Przy każdym ruchu od czuwał jeszcze piekielny ból. W duchu przeklinał swoją powolność. Czuł się jak starzec.

- Boję się - powiedziała Pamela.

- Wiem - odrzekł.

Stali naprzeciwko siebie. Z zewnątrz doleciało ich uszu ponowne trzaśnięcie drzwiami. Najwyraźniej policjantów było dwóch.

- Naprawdę nie masz nic przeciwko temu, żebym przyjechała do ciebie do Nowego Jorku? - zapytała Pamela.

Wpatrywała się w niego szeroko otwartymi oczyma. Zdawało się, że wiele zależy od jego odpowiedzi.

- Tak, byłbym szczęśliwy - powiedział, i była to prawda. Już teraz cieszył się na myśl

o jej przyjeździe. - Naprawdę, Pamela, będę na ciebie czekał.

Zaskrzypiała ogrodowa furtka.

- To do zobaczenia.

Nagle Cedric poczuł potrzebę, żeby coś jej podarować. Coś... co ich połączy, kiedy Pamela będzie daleko od niego w Londynie, a inspektor Fielder weźmie ją w krzyżowy ogień pytań. Kiedy on poleci do Nowego Jorku i rozdzieli ich ocean. Kiedy bliskość, która stała się ich udziałem tego słonecznego zimowego poranka w tym małym pokoju, odejdzie w przeszłość.

- To było na pierwszym roku studiów - powiedział pospiesznie. - Geoff i ja mieliśmy po osiemnaście lat. Jakiś kolega obchodził urodziny. Byliśmy zaproszeni.

Rozległy się ciężkie kroki na ogrodowej ścieżce.

453

Pamela słuchała go z uwagą.

- Rodzice kolegi wyjechali. Cały dom był do naszej dyspozycji. Na imprezę przyszły tłumy. Było z pięćdziesięciu albo sześćdziesięciu gości.

Rozbrzmiał dzwonek u drzwi. Cedric mówił dalej.

- To było dwa dni przed Bożym Narodzeniem. Nie padał śnieg, ale noc była mroźna. Alkohol lał się strumieniami. Ryczała muzyka. Wydawało nam, się, że... że to najlepsza impreza w naszym życiu.

- Rozumiem - powiedziała Pamela.

- W którymś momencie ja, Geoff i jeszcze paru innych chłopaków znaleźliśmy się na balkonie na pierwszym piętrze domu. Dochodziła czwarta nad ranem. Byliśmy pijani. Ktoś wpadł na pomysł, żeby przejść się po balustradzie.

Ponownie rozległ się dzwonek do drzwi.

- Niestety, po fakcie nie wiadomo było, kto rzucił ten idiotyczny pomysł. Jak wspomniałem, byliśmy kompletnie nawaleni. Geoff twierdził później, że była to moja propozycja. Nie mogę ani potwierdzić, ani zaprzeczyć, bo po prostu nie wiem. -

Zamilkł na moment. - Zabawa polegała na tym, że dwie osoby stawały naprzeciwko siebie na balustradzie i przechodziły na drugą stronę, przy czym trzeba było się minąć. Balustrada była bardzo szeroka. Ale i bardzo śliska. Pokrywał ją szron, jak nam później powiedziano. Ale wtedy oczywiście tego nie zauważyliśmy.

Cedric poczuł, że coś w nim drgnęło. Cała bezradna rozpacz, którą nosił w sobie od tamtej nocy, która tak głęboko zagnieździła się w jego sercu, że pozostawała przed nim ukryta, dała o sobie znać. Wyłynęła na powierzchnię, dławiąc go.

- Początkowo wszystko szło dobrze. W końcu i my z Geoffem stanęliśmy naprzeciwko siebie...

Cedric miał tę scenę przed oczyma. Ciemne, usiane gwiazdami niebo. Rozświetlone okna domu. Twarze przyglądających się im gości. Geoffrey, który szedł w jego kierunku pijany, zataczając się. On sam balansował, machając w powietrzu rękoma, żeby utrzymać równowagę. Spotkali się dokładnie w połowie drogi.

454

- Próbowaliśmy się obok siebie precyzyjnie przesuwać. Nagle... obaj się po tknęliśmy. To, co wydarzyło się później, było czystym przy padkiem. Nie miało to żadnego związku z tym, który z nas był bardziej wysportowany, szybszy czy bardziej przewidujący. To był przypadek.

Pamela domyśliła się, co się stało.

- Ty spadłeś na balkon - powiedziała - a twój przyjaciel na drugą stronę.

- Nie dość, że spadł z pierwszego piętra... - powiedział Cedric. Jego głos brzmiał, jak sam zauważył, dziwnie bezbarwnie.

- Pod balkonem znajdował się basen. Wybetonowany, dziesięć metrów na dziesięć... Ostatnie zdanie oraz to, co z niego wynikało, rozniosło się echem po pokoju.

- Oczywiście w grudniu nie było w nim wody.

Pamela nic nie powiedziała. Wcześniej, kiedy miał jeszcze kontakt z osobami, które były świadkami wypadku, często padały słowa: „Nic nie mogłeś na to poradzić. Nie wiadomo, kto wpadł na ten idiotyczny pomysł. Wszyscy, którzy brali udział w tej kretyńskiej zabawie, są w równym stopniu winni czy raczej niewinni”. Albo:

„Geoffrey nie był małym dzieckiem. Podjął ryzyko. Nikt go do tego nie zmuszał. Tylko on jest odpowiedzialny za swój los”.

- Musimy otworzyć drzwi - powiedział Cedric. - W przeciwnym razie policja weźmie dom szturmem.

Pamela przytaknęła. Potem objęła go bardzo delikatnie w nie mym geście zrozumienia.

Następnie podeszła do drzwi i otworzyła dwóm funkcjonariuszom, którzy mieli zawieźć ją do biura Scotland Yardu w Londynie.

Kiedy Marina straciła już nadzieję i właśnie miała wracać do domu, niespodziewanie odnalazła Roberta. Przeszukała całe osiedle, zata czając coraz szersze koła wokół domu, zaglądała do ogrodów, obje-

455

chała wszystkie przystanki autobusowe, kilka razy nawet wysiadła, żeby przejść się po małych skwerach, ale nigdzie nie było go widać. W końcu doszła do wniosku, że była zbyt naiwna. Dlaczego Rob miałby znajdować się w okolicy? Zapowiadał się słoneczny dzień, ale w powietrzu czuło się jeszcze zimno. Przecież nikt rozumny nie będzie po nieprzespanej nocy kręcić się po dworze.

W takim razie gdzie był? Gdzie znalazł schronienie?

Nie powinnam była pozwolić mu wyjść, pomyślała Marina, ale wiedziała, że nie udałooby się jej zatrzymać go w domu. Rob był tak zdeterminowany, że w razie konieczności gotów był się z nią awanturować.

- Cholera jasna! - powiedziała na głos, uderzając ręką w kierownicę. Miała dość wyrzutów sumienia, które osaczały ją ze wszystkich stron. Czuła się winna, bo nie powstrzymała Roberta przed wyjściem. Czuła się winna, bo najwyraźniej przez cały ten czas niewłaściwie go traktowała. Czuła się winna, bo przed laty nie zachowała się jak matka.

Po raz pierwszy, od kiedy Robert niespodziewanie się u niej pojawił, była naprawdę wściekła.

Zrobiła ostatnią rundę po obrzeżach osiedla, gdzie stały najnowsze domy. W ogródkach było tu jeszcze pusto, nieco dalej rozciągał się potencjalny teren pod zabudowę - pole porośnięte młodymi so-senkami i chaszczami jeżyn. Tam go zobaczyła. Robert szedł wąską ścieżką, wydeptaną przez wiele pokoleń zajęcy, i w niczym nie przypominał krnąbrnego, kipiącego złością młodego mężczyzny, który poprzedniego wieczoru postawił na swoim. Teraz wyglądał żałośnie - zmarznięty,

głodny, zmęczony, ze zwieszonymi ramionami... Bez wątpienia miał za sobą ciężką noc.

Zahamowała obok niego, pochyliła się nad siedzeniem pasażera i otworzyła drzwi.

- No już - zawołała. - Wsiadaj!

Nie usłyszał nadjeżdżającego samochodu i wzdrygnął się wystraszony. Kiedy ją poznał, twarz mu spochmurniała, zacisnął szczęki i potrząsnął głową.

456

- Jesteś kompletnie przemarznięty i założę się, że nie jadłeś śniadania - powiedziała. - Ja na twoim miejscu nie odmówiłabym gorącej kąpieli, czystych ubrań, kawy i kilku tostów.

Powłócząc nogami, podszedł do samochodu i nadąsany wsiadł do środka.

Marina domyślała się, gdzie Rob spędził noc. Po drugiej stronie ugoru, przez który szedł, znajdowały się ogródki działkowe.

-Włamałeś się do jakiegoś domku? - spytała. - Mam nadzieję, że niczego nie zniszczyłeś?

Wzruszył ramionami.

Zauważyła, że wciąż jeszcze kipi ze złości.

Wyłączyła silnik.

- Posłuchaj - zaczęła. - Nie mam ochoty ciągnąć tej gry. Nie mam zamiaru każdego ranka patrzeć na twoje nadąsane oblicze, wysłuchiwać twoich pytań i bez przerwy się tłumaczyć. Powiedziałam ci już wszystko, co było do powiedzenia. Wyjaśniłam ci, dlaczego wówczas zachowałam się tak, a nie inaczej, podałam ci powody. Mógłbyś spróbować mnie zrozumieć, choć oczywiście nie mogę cię do tego zmusić. Nie chcę się bez końca powtarzać i czuć, jakbym siedziała na ławie oskarżonych. Nie chcę ponownie przeżyć czegoś ta kiego jak wczoraj wieczorem, nie spać przez całą noc, zastanawiając się, gdzie się podziewasz. Nie mam ochoty po raz kolejny objeżdżać z samego rana wszystkich ulic, szukając cię i zastanawiając się, czy przypadkiem nie przytrafiło ci się coś złego. Zrozumiałeś?

Nie patrząc na Marinę, Rob odburknął coś na odczepnego. Za uważyła, że usta ma zsiniałe z zimna.

- Jeżeli nie zechcesz zmienić swojego zachowania - kontynuo wała - nie będziesz mógł u mnie zostać ani chwili dłużej. Zarezerwu jesz sobie najbliższy lot do Gibraltaru i wrócisz do swojego ojca.

Robert wciąż patrzył tępo przed siebie.

- Wybiłem szybę - powiedział cicho. Marina nie była zdziwiona.

- Wiedziałam. Żeby się dostać do domku działkowca?

-Tak.

457

- Odnajdziemy właściciela. I zapłacisz za szkodę. Ze swojego kieszonkowego. Skinął głową.

Ponownie włączyła silnik.

- Teraz pojedziemy do mnie. Potem mnie poinformujesz, co postanowiłeś. Czy chcesz zostać u mnie jeszcze przez parę dni na nowych zasadach, czy mamy od razu kupować bilet.

W końcu odwrócił się do Mariny. Był blady jak ściana.

- Chcę pojechać do Rosanny.

Tym razem zarówno siedziba klubu, jak i leżący obok budynek, w którym - jak wyjaśnił jej Marc - mieszkał bosman, były zupełnie opuszczone. Po terenie nie krzątała się nawet sprzątaczką, na parkingu nie stał ani jeden samochód, przy płocie nie było roweru. W ciszy zimowego przedpołudnia do ich uszu dobiegał jedynie krzyk wodnego ptactwa. Nad rzeką weszło słońce, swoimi promieniami tnąc ostatnie delikatne pasma chmur. Raz po raz podmuch wiatru marszczył fale i wówczas przycumowane przy kei łodzie lekko się kołysały.

- Nic się nie zmieniło - powiedział Marc.

Zatrzymał się powyżej pawilonu, na piaszczystej ścieżce schodzącej do brzegu, i patrzył na rozciągający się przed nim widok.

- Jakby czas stanął w miejscu. Nawet zapach jest ten sam. Rosanna, która stała nieco wyżej, spróbowała spojrzeć na tę

scenę jego oczyma. Czy przyszły mu do głowy beztroskie weekendy, które spędził tu ze swoją żoną i synem? Czy wyobrażał sobie ich troje, jak przygotowują łódź do wypłynięcia? Josh w krótkich spodenkach i koszulce, radosny i szczęśliwy, że jest z mamą i tatą. Piękna Jacqueline, która pewnie zabierała na pokład blok i zestaw do rysowania, żeby uchwycić w swoich szkicach widoki i atmosferę chwili. I on, Marc, który cieszył się na nadchodzący relaks. Ale

458

mogło też być zupełnie inaczej. Może te wspólne weekendy wypełniały kłótnie i wzajemne oskarżenia. Może nawet na łódce Jacques Line nie przestawała rzucać pod jego adresem podejrzeń i robić mu wyrzutów. Niewykluczone, że Marc wcale nie miał przed oczyma radosnych wspomnień.

- Kiedy byłeś tu ostatnio? - zapytała Rosanna. Marc zamyślił się.

- Musiało to być jakiś czas przed naszym rozwodem. Nawał pracy dość szybko wyparł weekendy w klubie, poza tym układało nam się coraz gorzej w małżeństwie. W końcu Jacqueline przyjeżdżała tu tylko z Joshem.

- Brakowało ci tego? Pływania? Przyjaciół?

- Po rozwodzie brakowało mi tylko Josha. Na nic innego nie starczyłoby miejsca.

Zeszli ścieżką w dół. Coraz wyraźniej czuć było zapach rzeki. Marc zaczerpnął głęboko powietrza. Nie docenił siły wspomnień, które go tu dopadły. Pobyt w tym miejscu męczył go. Josh uwielbiał się bawić przy brzegu. Drażył kanały, budował tamy, wznosił na skarpie całe miasta z ziemi i gliny - sapiąc z wysiłku, z wysuniętym językiem. Czasami pomagał mu ojciec - jeśli znalazł na to czas.

Marc zastanawiał się, czy Josh wspominał te chwile, czy zachował je w pamięci jako coś przyjemnego? Czy też odeszły w zapomnienie, zostały wyparte przez wspomnienie ojca pędzącego z jednego spotkania na drugie, ojca, z którym rzadko miał okazję porozmawiać, ojca, który właściwie nie zasługiwał na to miano?

Odwrócił się do Rosanny i zauważył, że została kawałek w tyle. Trzymała telefon przy uchu i rozmawiała z kimś. W zamyśleniu nie usłyszał dzwonka. Przyglądał się jej. Noc przyniosła poprawę, Ro-

sanna czuła się znacznie lepiej niż poprzedniego wieczoru. Chyba nie miała już gorączki. Marc wolałby, żeby porzuciła plan ponownej podróży do

Wiltonfield. Chciałby, żeby w końcu przestała drążyć sprawę Elaine. Jeżeli chcą wspólnej przyszłości, powinni spróbować odnaleźć spokój.

Nagle Marc pomyślał o przeciwnościach losu, jakie mają jeszcze przed sobą. Rosanna jest mężatką i przytłaczają ją myśl o tym, że będzie musiała podjąć trudną decyzję. Jak długo zajęta jest sprawą Elaine, tak długo może uciekać przed koniecznością zmierzenia się z faktami.

Rosanna skończyła rozmawiać przez telefon i podeszła do Marca. Wyglądała na zatroskaną.

- Dzwoniła Marina. Była przyjaciółką mojego męża. Matka Roberta. Są z nim problemy, chłopak wydaje się kompletnie skołowany i koniecznie pragnie się ze mną zobaczyć. Mówi, że nie wróci do ojca, nie chce zostać u niej, chce być tylko ze mną.

- Więc może powinnaś... Potrząsnęła głową.

- Powiedziałam, że przyjadę do niej dzisiaj po południu. Do tego czasu będzie musiał poczekać.

Zbliżali się do wejścia na teren klubu. Marc miał jeszcze klucze, ale uprzedził, że w ciągu ostatnich pięciu lat mogły zostać wymienione zamki. Mieli szczęście - udało im się otworzyć bramę prowadzącą na posesję. Przeszli przez znaną już Rosannie halę i wydostali się na pomost. Keja zalana była słońcem. W jasnym świetle przedpołudnia połyskiwały małe czyste łódki. Na niektórych siedziały mewy. Ptaki dostały się tu znad morza - lecąc w górę rzeki, dotarły w głąb lądu.

- Nawet łódź jest przycumowana w tym samym miejscu - stwierdził Marc, kiedy dotarli na skraj pomostu i zatrzymali się przy „Heaven's Gate”. - Naprawdę nic się nie zmieniło.

- Możemy wejść na pokład? - zapytała Rosanna. Marc zawahał się.

- Łódź nie należy do mnie. Wygląda na to, że Jacqueline też nie jest już jej właścicielką.

- Nie ma tu przecież żywej duszy. Nowy właściciel nie miałby pewnie nic przeciwko temu. Zresztą mógłbyś powiedzieć, że chciałeś obejrzeć łódkę z powodów sentymentalnych.

- Musielibyśmy ściągnąć plandekę.

460

- Przecież nikt tu nie przyjdzie - nalegała.

Marc w końcu się poddał. Rosanna obserwowała, jak szybkimi wprawnymi ruchami odwiązuje plandekę i chowają z tyłu w kajucie. Widać było, że dobrze zna tę łódkę. Ale zauważyła również, że nie czuje się na niej komfortowo. Najchętniej przerwałby całe to przedsięwzięcie, które wydawało mu się bez sensu. Rosanna nie umiała wytłumaczyć, dlaczego koniecznie chce wejść na pokład. Działała pod wpływem impulsu. Miała przeczucie, że właśnie tu, w Wiltonfield, na tej łodzi, może przybliżyć się do odpowiedzi na pytanie o los Elaine. Rzecz jasna, nie wiedziała, czy to co nazywała przeczuciem, nie jest w rzeczywistości jej pobożnym życzeniem i czy w rezu Itacie posunie się choćby o krok do przodu.

Rosanna weszła za Markiem na pokład. Teraz, kiedy łódź została odkryta, w nozdrza uderzył ich zapach stęchlizny.

- Sądzisz, że ktoś był tu w zimie? - zapytała. Marc wzruszył ramionami.

- Trudno powiedzieć. Ale wydaje mi się, że nie. Wszak pływa nie w zimie we mgle to żadna przyjemność.

- Czy możemy wypłynąć na rzekę?

- I co jeszcze? - Przeciągnął dłońmi po włosach. - O co ci cho dzi, Rosanno? Co takiego masz nadzieję odkryć? Czego chcesz się w ten sposób dowiedzieć?

Nie potrafiła tego wytłumaczyć.

- Chciałabym coś poczuć. Jeśli Jacqueline płynęła tamtego ranka Tamizą, chciałabym wiedzieć, co czuła.

- Co miałyby to dać?

- Nie wiem. Może nic. Mam wrażenie, że ta łódź odegrała jakąś ważną rolę. Więcej nie potrafię powiedzieć.

- Na wodzie jest bardzo zimno. Dużo chłodniej niż na lądzie, Wystarczy, że masz gripę. Obawiam się, że przez tę eskapadę naba wiesz się tylko zapalenia płuc. I nic więcej.

Rosanna patrzyła na oszalowany pokład, z którego wзираł ster. Znajdowała się tam również skrzynka zamknięta na kłódkę.

- W środku jest motor, tak?

461

- Owszem.

- Masz zamek do kłódki?

- Mam zamek do kłódki, której używaliśmy kiedyś. Nowy właściciel z pewnością już dawno go wymienił.

- Spróbuj. Jeśli nie będzie pasował, nie możemy nic na to poradzić. Obiecuję ci, że wówczas zejdziemy na ląd, wrócimy do Londynu i już nigdy więcej nie wspomnę o całej sprawie.

Marc zaklął po cichu i wyciągnął z kieszeni kurtki pęk kluczy. Były tam klucze do mieszkania, samochodu, biura i mały kanciasty kluczyk. Wsunął go do kłódki.

Zamek otworzył się.

- Bingo! - wykrzyknęła Rosanna.

Marc patrzył na otwartą kłódkę z mieszaniną złości i rezygnacji na twarzy.

- Chcesz teraz wypłynąć na rzekę? Motorówką, która nie należy do nas? Wiesz, że możemy sobie w ten sposób napytać biedy?

- Przecież nie musimy wcale wiedzieć, że łódź nie należy już do Jacqueline. W każdym razie ty nie musisz nic o tym wiedzieć.

- To jakiś obłąd! O co ci właściwie chodzi? Próbujesz przeprowadzić rekonstrukcję wydarzeń? Wyobrazić sobie Jacqueline i Elaine płynące tą łodzią w styczniowy poranek pięć lat temu? Na co liczysz? Myślisz, że nagle cię olśni?

Rosanna stała naprzeciwko Marca na chybotzącej się lekko łodzi. Nagle opuściła ramiona.

- Może masz rację. Chyba się zagalopowałam.

Wyglądała na niešťęśliwą i sfrustrowaną. Była przeziębiona i rozczarowana.

Marcowi zrobiło się jej żal. Uświadomił sobie, że tutaj w tym miejscu, Rosanna musiała zamknąć pewien temat. Zakończyć wewnętrzne zmagania ze sprawą, której nie była w stanie nikomu, a być może nawet samej sobie wytłumaczyć. Koniec końców chodziło o to, żeby pożegnać się z Elaine i z nadzieją, że zdoła kiedykolwiek

wyjaśnić jej los.

- Spróbuję uruchomić motor - powiedział. - Jak zapali, wypłyniemy na rzekę. Jak nie, nie będę kradł benzyny z innych łodzi.

462

W porządku? Jeśli nie będzie paliwa, wrócimy do domu i zapomnimy o całej sprawie.

Rosanna zgodziła się.

Przy trzecim podejściu motor zaczął się krztusić i wreszcie za skoczył.

- Pomóż mi odcumować łódź - powiedział Marc. - Wypływamy na szerokie wody.

Marc miał rację - na rzece wiał bardzo silny i mroźny wiatr. Rosanna wtuliła twarz w kurtkę, splótła ręce na piersi. Wełnianą czapkę naciągnęła głębiej na czoło, żałując jednocześnie, że nie posłuchała Marca. Po tej wycieczce pewnie rozchoruje się na dobre.

Łódź powoli sunęła do przodu. Płynęli tą samą drogą, którą wówczas o świcie przemierzała Jacqueline albo ktoś inny. Wzdłuż rzeki ciągnęły się łagodne wzgórza łąk, rzędy starych wielkich wierzb, tu i ówdzie rosły przy brzegu szuwały, poprzecinane łachami piasku, obmywanymi przez fale. Mijali wioski, co jakiś czas na ich drodze pojawiało się uśpione o tej porze roku miasteczko. Widzieli samotnego rowerzystę, który z trudem pokonywał wyboistą drogę biegnącą równoległe do nadbrzeżnej skarpy. Pomędzy osadami roztaczał się samotny krajobraz i nic nie wskazywało na to, że znajdują się nieopodal ogromnej metropolii. Zapuscili się na prowincję, byli z dala od świata i ludzi. Zupełnie sami. Kiedy dopływali do Purley, Marc zapytał:

- Chcesz przepłynąć przez śluzę? To może jakiś czas potrwać. Rosanna, zmęczona, zaprzeczyła ruchem głowy.

- Nie, niekoniecznie.

Skuliła się na ławeczce i wyobrażała sobie, jak pięć lat temu musiała się czuć Jacqueline Reeve. Na pokładzie wiozła nieżyjącą już być może Elaine, nerwowo zastanawiając się, czy uda jej się bez przeszkód przepłynąć przez śluzę. Pozbyć się balastu, zatrzeć Ślady Trzęsła się z nienawiści do męża, zrozpaczona, że to uczucie pchnęło ją do straszliwego czynu.

!63

Tamtego dnia panował pewnie poranny zimowy mrok, od wschodu ponad horyzontem wstawał szary, mglisty i przytłaczający dzień. Wycieczka w celach rekreacyjnych wydawała się Rosan-nie wykluczona. Nie była w stanie wyobrazić sobie, żeby przejazdka „Heaven's Gate”, która odbyła się bladym świtem jedenastego stycznia 2003 roku, mogła mieć niewinne podłoże.

Jakby czytając w jej myślach, siedzący przy sterze Marc powiedział:

- Powinniśmy koniecznie ustalić datę sprzedaży łodzi. Jeśli przyjmiemy, że miała ona miejsce krótko przed decydującą datą, można będzie przyjąć, że na Tamizę wypłynął jej nowy właściciel, uradowany z zakupu. A jeżeli zakup nastąpił zaraz po niej, mógł chcieć wypróbować łódź.

- Zimą, o tej godzinie? Wzruszył ramionami.

- Może Jacqueline nie mogła ustalić z kupcem żadnego innego terminu. Spędzała wtedy dużo czasu, zwłaszcza weekendy, u swojej matki w Cambridge. W grę

wchodziła sobota, miała już plany na ten dzień i jedyną porą, jaką mogła zaproponować, był wczesny ranek. Sądziysz, że to niemożliwe?

Wiedziała, że to prawdopodobne. Jeżeli się głębiej zastanowić, okazuje się, że u podstaw wielu osobliwych zachowań ludzkich leżą zupełnie niewinne powody. Być może to teoria Rosanny była absurdalna.

- Czy możemy już zawrócić? - zapytał Marc. - Chciałbym dopłynąć do klubu i przycumować łódź, zanim ktoś się tam pojawi. Naprawdę wątpię, czy uda nam się z tego wykpić.

Rosanna zdawała sobie sprawę, że Marc ma rację. Nie było sensu pływać dłużej po rzece. Nie doznała olśnienia. W dalszym ciągu miała dziwne przeczucie, ale nie potrafiła powiedzieć, czy jest ono uzasadnione.

- Tak, możemy wracać - powiedziała. - To chyba był z mojej strony idiotyczny pomysł, żeby... inscenizować tę wycieczkę. Nic mi to nie dało.

Dochodziła dziesiąta, kiedy ujrzeli w oddali keję jachtklubu. Wyglądało na to, że w dalszym ciągu nikogo tam nie ma. Okna i drzwi były pozamykane i o ile Rosanna była w stanie dostrzec z tej odległości, na parkingu nie pojawiły się żadne samochody. Mieli szczęście, nikt nie dowie się o ich wypadzie.

- Wiem, co zrobię - powiedziała Rosanna. - Muszę raz na za wsze zamknąć ten temat. Nie wytrzymam dłużej tej niepewności. Za bardzo zaangażowałam się w tę historię. Muszę się wreszcie od niej uwolnić.

Siedzieli naprzeciwko siebie. Marc przyglądał się jej badawczo.

- To będzie trudne - powiedział. - Za daleko zabrnęłaś.

- Wiem. Mimo to uda mi się. - Ale...

- Zadzwońię do inspektora Fieldera. Opowiem mu o tym, co odkryłam: że ktoś tego decydującego dnia zrobił sobie wycieczkę po Tamizie łodzią twojej żony. O tym, że paszport Elaine został znaleziony tu, w Wiltonfield, zdażył się już dowiedzieć, o ile Cedricowi udało się namówić Pamelę, żeby oddała się w ręce policji. Resztę musi odkryć sam. Być może wyciągnie zupełnie inne wnioski niż ja.

- Jeśli Jacqueline zaprzeczy, jakoby owego dnia wypłynęła na rzekę, policja zweryfikuje jej alibi - powiedział Marc - a „Heaven's Gate” zostanie poddana badaniu kryminalistycznemu. Ono wykaże, czy Elaine była na łodzi.

- Po pięciu latach?

- Nawet nie wiesz, jakimi technologiami dysponuje dzisiaj policja. Jeżeli była na pokładzie, da się to udowodnić.

Marc wyglądał jak półtora nieszczęścia. Rosanna domyślała się, że niełatwo mu będzie wydać w ręce policji jako podejrzaną o mor derstwo swoją byłą żonę, jedyną osobę bliską jego synowi. To, co nastąpi, odbije się przede wszystkim na Joshu.

Udowodnienie winy Jacqueline będzie dla niego katastrofą.

Rosanna wyciągnęła dłoń, lecz nagle onieśmielona nie dotknęła

Marca.

464

465

- Marc, rozumiem, że to dla ciebie trudne. Ale nie mogę zachować tego dla siebie. Nie... nie mogłabym z tym żyć. Zdaję sobie sprawę, że dla Jacqueline może to oznaczać, że stanie przed sądem, i...

Marc potrząsnął głową. Jeszcze bardziej pobrał na twarzy.

- Jacqueline nie stanie przed sądem. Na cały czas, o którym mowa, ma alibi.

Rosanna wbiła w niego wzrok.

- Dziesiątego stycznia 2003 roku zmarła jej matka - wyjaśnił Marc. - Tego samego dnia, kiedy spotkałem Elaine na Heathrow. Ponieważ w ośrodku opieki zauważono, że stan kobiety dramatycznie się pogorszył, już dziewiątego stycznia poinformowano ją przez telefon. Jacqueline bezzwłocznie udała się do Cambridge. Jedenastego i dwunastego stycznia załatwiała formalności związane z pogrzebem. Przez ten czas Josh był u przyjaciółki Jacqueline. Moja była żona powiadomiła mnie o tym zaraz po swoim powrocie. Wśród personelu ośrodka opieki znajdzie się cała masa świadków, którzy mogą potwierdzić jej obecność.

Rosanna wciąż jeszcze nie rozumiała.

- Ale... dlaczego...?

- Przykro mi, Rosanno - powiedział Marc. - Ale Jacqueline nie wchodzi w grę jako sprawca.

Łódź, zboczywszy z kursu do portu, kołysała się przy brzegu. Wciąż znajdowali się w pobliżu jacht klubu. Gdyby ktoś się tam pojawił, od razu by zauważył, że „Heaven's Gate” nie jest przycumowana na swoim miejscu, lecz zdaje się dryfować na falach nieco powyżej ośrodka. Z pewnością wywołałoby to zdziwienie, ale Marca, któremu jeszcze przed chwilą było tak spieszo, zdawało się to w ogóle nie obchodzić. Nawiasem mówiąc, nigdzie nie było widać żywej duszy. Budynek klubu, parking i keja ziały pustką.

Rosanna siedziała w niezmienionej pozycji, skulona na taweczce. W głowie kłębiły się jej tysiące myśli, ale nie była w stanie ich pochwycić. Przytłaczała ją masa obrazów, możliwości i wyobrażeń, które wbrew jej woli wdzierały się do świadomości.

Marc wciąż siedział za sterem. Motor turkotał na luzie. W jasnym przedpołudniowym słońcu Marc wyglądał niemalże na chorego. W końcu zaczął mówić.

- Kiedy dwa tygodnie temu zadzwoniłaś do mnie w sprawie tego artykułu do „Covera”, wiedziałem, że szykują się problemy. Nawet sobie nie wyobrażasz, jak bardzo byłem wzburzony na wieść, że ktoś chce odgrzebywać tę historię. Nie mogłem w nocy spać. I postanowiłem się z tobą spotkać. Żeby w ten sposób zachować kontrolę.

Jego słowa docierały do niej jak przez mgłę.

- Już... już wtedy mi to powiedziałaś - z trudem wydobyła z siebie głos. - Obawiałaś się, że znowu... zaczną się zarzuty i oskarżenia. Dlatego przystałaś na spotkanie.

- Tak - potwierdził Marc - dlatego zgodziłem się z tobą spotkać.

Rosanna utkwiała wzrok w przeciwległym brzegu. Mimo że drzewa były jeszcze nagie, krajobraz sprawiał pogodne wrażenie. Wyglądał na nietknięty przez zło tego świata i mroczne tajemnice, które skrywali w sobie ludzie.

- Co przede mną przemilczałaś? - zapytała. - Czego jeszcze nie wiem?

Marc zdawał się szukać właściwych słów.

- Nie opowiedziałem ci, co zdarzyło się tamtej nocy - powiedział w końcu. - Tamtej

nocy, kiedy była u mnie Elaine.

- Bo nie miało to według ciebie znaczenia? Spojrzał na nią niemal pobłaźliwie.

- Dobrze wiesz, że miało to znaczenie. W przeciwnym razie mógłbym to bez wahania opowiedzieć.

Poczuła, jak wielki ciężki kamień spoczął na jej sercu. Ścisnęło ją jednocześnie w gardle, tak że z trudem łapała oddech. Niewyobrażalna myśl, która poczęła się w jej głowie, była tak szokująca, że Rosanna za żadną cenę nie chciała jej do siebie dopuścić. Nagle

466

407

stało się dla niej jasne, dlaczego damy w epoce wiktoriańskiej miały w zwyczaju omdlewać, kiedy przerastała je sytuacja, w której się znalazły. Po raz pierwszy w życiu pragnęła po prostu stracić przytomność i mieć nadzieję, że zanim się ocknie, wszystko się jakoś ułoży. Wiedziała jednak, że to niemożliwe. Chociaż oddychała z wielkim trudem, wiedziała, że nie zemdleje. I że nic się nie zmieni.

- Czy to prawda, że Elaine była tutaj, na tej łodzi? - zapytała. Jej głos brzmiał nieswojo, zupełnie inaczej niż zwykle. Marc skinął głową.

- Ale dlaczego? - szepnęła. - Dlaczego wziąłeś Elaine na pokład?

- Otóż to, dlaczego - powtórzył. - To dobre pytanie. Dlaczego w ogóle zabrałem ją do siebie? Dlaczego wplątałem się w tę przekłętą historię?

- Dlaczego...? Przerwał jej.

- Czy zastanawiałaś się kiedykolwiek nad swoimi „dlaczego”? Dlaczego chciałaś pisać o Elaine? Dlaczego zdecydowałaś się grzebać w przeszłości? Dlaczego nie mogłaś dać sobie w końcu spokoju? Dlaczego nie mogłaś dać sobie w końcu spokoju?!

- Początkowo - zaczęła Rosanna - potraktowałam to jak zwykłe zlecenie. Pozwoliło mi ono wyrwać się z mojej monotonnej egzystencji.

- A potem? Co tobą powodowało? Dlaczego od pewnego momentu nie byłaś w stanie myśleć o niczym innym? Dlaczego pozwoliłaś, by ta sprawa tobą zawładnęła? Odwiedziłaś Jacqueline. Myszkowałaś w jachtklubie. Wypytywałaś strażnika przy służbie. Dlaczego? Czy to twoje zadanie? Ktoś ci za to płaci? Dlaczego nie trzymałaś się z daleka od sprawy, która przekraczała twoje kompetencje? Co, do cholery, tak cię pociągało w zabawie w detektywa?

Rosanna zsunęła z czoła wełnianą czapkę. Nagle zalała ją fala gorąca. Chyba znowu podskoczyła jej gorączka. Słowa Marca odebrała jako atak i nie rozumiała, dlaczego zadaje jej te pytania. Opowiedziała mu wszystko o sobie i o Elaine. Powinien wiedzieć, dlaczego nie potrafiła przestać drażnić tej sprawy.

468

Marc, jakby czytając jej w myślach, w pewnym momencie powiedział:

- Przez pięć lat ani twoja znajomość z Elaine, ani poczucie winy nie skłoniły cię do tego, żeby rozpocząć tę szaloną pogoń. I nagle wydaje ci się, że nie możesz przestać. I jest ci najzupełniej obojętne, kogo przy tym wpędzisz w nieszczęście!

Rosanna spróbowała wziąć głęboki oddech.

- Pojęcie „sprawiedliwości” zdaje się nie mieć dla ciebie żadnego znaczenia! - powiedziała.

Marc roześmiał się sarkastycznie.

- Sprawiedliwość! Powiedz mi, czy na świecie w ogóle coś takiego istnieje?! Czy to sprawiedliwe, że Jacqueline podburzała przeciwko mnie syna? Czy to sprawiedliwe, że Josh odrzucał każdą próbę rozmowy czy wyjaśnienia sytuacji? Czy to sprawiedliwe, że tak dalece zaraziła go swoją obsesją, że chłopiec do dzisiaj mnie nienawidzi? Gdzie widzisz tu sprawiedliwość?

Do głowy przyszedł jej list, który zaledwie przed dwoma dniami znalazła w regale z książkami. Stowarzyszenie Ojcowie w Potrzebie. Czytając go, miała wrażenie, że zagłębia w głąb jego duszy. W tym kompletnie anonimowym, nic niemówiącym mieszkaniu dotknęła w owej chwili istoty jego jestestwa. To była bolesna zadra, która jątrzyła się już od wielu lat i nie dawała mu spokoju.

Jego syn. Strata, której do tej pory nie przeboleał. Rosanna przypomniała sobie, że kiedy czytała list, przez głowę przemknęła jej myśl - tu znajduje się klucz do rozwiązania zagadki.

Wtedy jednak nie zdawała sobie jeszcze sprawy z tego, jakie drzwi można nim otworzyć.

- Josh - powiedziała. - To wszystko w pewnym sensie ma związek z Joshem.

- Tak - powtórzył cicho. - To wszystko w pewnym sensie ma związek z Joshem.

Ponad sitowiem wzbil się nagle z głośnym krzykiem do lotu jakiś wodny ptak. Oboje, Rosanna i Marc, wzdrygnęli się wystraszeni.

- Elaine nie żyje - powiedziała Rosanna. - Leży gdzieś na dnie rzeki. Powyżej śluzy. Marc przytaknął.

Nie odczuwała wściekłości. Jedynie smutek.

- Dlaczego nigdy... nie odnaleziono jej ciała?

- Jest owinięte łańcuchem od kotwicy. Nie mogło wypłynąć.

- Jej ubranie?

- Była ubrana. Pomyślałem nawet o tym, żeby zatopić jej torebkę i walizkę. Ale kiedy wróciłem do samochodu, zauważyłem, że w środku został jej płaszcz. Wyrzuciłem go do kontenera na parking. Nie przypuszczałem, że w kieszeni mógł znajdować się paszport. Sądziłem, że dokumenty miała w torebce. Ale pewnie było tak, jak przypuszczasz... miała paszport pod ręką, gotowy do kontroli. - Marc potrząsnął głową. - Mówi się, że większość zbrodni zostaje wyjaśniona właśnie w ten sposób, za sprawą drobnego niedopatrzenia, minimalnej niezgodności. W moim przypadku to był paszport. Ten przeklęty paszport. Zgubił mnie fakt, że nie przeszukałem kieszeni płaszcza.

- W normalnych warunkach sprawa wydałaby się już dawno temu - powiedziała Rosanna. - Gdyby paszport nie wysunął się z kieszeni płaszcza i nie upadł obok kontenera, toby znaleźli go pracownicy Czerwonego Krzyża i przekazali policji. Albo gdyby wpadł w ręce komuś innemu niż Pameli Luke. A nie kobiecie, która rozpaczliwie potrzebowała nowej tożsamości. Każdy inny znalazca bez wątpienia zwróciłby dokument. Fakt, że paszport został odnaleziony w pobliżu jachtklubu, zwróciłby uwagę policji na twoją osobę. Motorówkę z pewnością poddano by

szczegółowemu badaniu. W pewnym sensie... miałeś sporo szczęścia.

- Szczęścia! - zwiesił głowę, chowając twarz w dłoniach. - Tamtej nocy przeżyłem istny koszmar. Rosanno, nie jestem mordercą. Przypadek chciał, że znalazłem się w sytuacji, która wymknęła mi się spod kontroli. Musiałem działać. Żeby zażegnać skutki katastrofy, zmuszony byłem zachować się jak przestępca. Zatarłem ślady i... pozbyłem się ciała. - Marc podniósł głowę i spojrzął na Rosannę. Jego

470

oczy błyszczały nienaturalnie. - Rosanno, to był wypadek. Uwierz mi. Tej nocy wydarzył się straszliwy wypadek, a to co miało miejsce potem, mogło mnie uratować, choć w rzeczywistości doprowadziło do zguby. Właściwie to musiało się w ten sposób zakończyć...

- Czy powiedziała ci, po co tam pojechała... do Wiltonfield, czy jak tam nazywa się ta dziura? - zapytał Robert.

W ciągu ostatnich kilku godzin pytał o to już z dziesięć razy.

- Połączenie było bardzo słabe, przecież ci już mówiłam - odpowiedziała cierpliwie Marina. - Zdaje się, że wspomniała coś o wycieczce łodzią po Tamizie, ale nie jestem pewna, bo ledwo ją słyszałam.

- Po co miałyby pływać w lutym po rzece?

- Świeci słońce. To czarująca okolica. Może ktoś z jej znajomych posiada jacht.

-Niby kto?

Marina wzruszyła ramionami.

- Skąd mam to wiedzieć? Przecież nawet nie znam Rosanny!

Siedzieli w kuchni. Rob wziął długi gorący prysznic i włożył świeże ubranie. W tym czasie Marina nakryła stół do śniadania i zaparzyła dzbanek herbaty z cytryną. Po wybuchu agresji, mroźnej nocy spędzonej w ogródku działkowym i po tym, jak Marina odnalazła go w opłakanym stanie, jego zachowanie zmieniło się. Gniew gdzieś się ulotnił, napastliwy, krnąbrny nastolatek ustąpił miejsca niepewnemu chłopcu, który zdawał się nie mieć pojęcia, co ze sobą począć, i który widział przed sobą tylko jedno jedyne wyjście - powrót do Rosanny. Do kobiety, która była dla niego jak matka.

- Przypuszczam, że poznała jakiegoś mężczyznę - powiedział ponuro Rob.

Szyję obwiązał grubym szalikiem; pomyślał o tym trochę za późno, gdyż był już porządnie zachrypnięty. Włosy miał jeszcze mokre po kąpieli.

471

- Dlaczego miałyby poznać jakiegoś mężczyznę? - zapytała ze zdziwieniem Marina.

- Kiedy telefonowałem do niej po raz pierwszy, akurat była umówiona z jakimś facetem - wyjaśnił Rob. - Słyszałem, jak ktoś zadzwonił z recepcji i powiadomił ją, że ten mężczyzna czeka na nią na dole. Najwyraźniej mieli zamiar spędzić razem wieczór.

- Przecież nie ma w tym nic nadzwyczajnego! Może to jakiś jej stary znajomy. Albo ktoś, z kim spotykała się w sprawach zawodowych. Kobieta i mężczyzna mogą spędzić razem wieczór i nie oznacza to, że mają romans.

- Ale mam jakieś głupie przeczucie - upierał się Rob. - Rosanna pokłóciła się z ojcem. I to nie dopiero przed samym wyjazdem, właściwie kłócili się już od roku. Co chwila. A teraz nie może się przemóc, żeby wrócić do domu. Wynajduje coraz to

nowe powody. A teraz ta wycieczka po Tamizie. Idę o zakład, że nie jest sama!

- A nawet jeśli! Mówię ci, Rob, coś sobie wymyślasz. Rosanna przez wiele lat mieszkała w Londynie, wiem to od Denisa. To jasne, że ma tu wielu znajomych. Co w tym złego, że się z nimi spotyka?

Robert wpatrywał się w talerz, na którym leżał nietknięty tost.

- A jeżeli nie zadzwoni?

- Obiecała zadzwonić. Jeszcze dzisiaj.

- A potem będzie próbowała mi wmówić, że nic jej z tym mężczyzną nie łączy.

Następnie poda mi jakąś wymówkę, dlaczego nie może wrócić do Gibraltaru.

Dlaczego właściwie ciągle jeszcze jest w Londynie? Już w czwartek miała pojechać do swojego brata do Taunton. Musi ją tu trzymać coś niezwykle atrakcyjnego, skoro nie może się od tego oderwać!

- Rob! - Marina pochyliła się do przodu, spoglądając poważnie na syna. - Rosanna jest dorosłą kobietą i może robić, co chce. Nie masz prawa jej szpiegować czy wymagać od niej wyjaśnień. W ten sposób możecie się tylko od siebie oddalić. Robert odsunął talerz.

- Jedziesz ze mną do Wiltonfield? - zapytał. Marina zmarszczyła czoło.

472

- Co? Teraz?

- Jeśli nie chcesz, pojedę autostopem. Jakoś sobie poradzę

- Nie powinniśmy tego robić.

- Chcę się dowiedzieć, z kim tam jest. I mam zamiar z nią porozmawiać.

- Nie masz prawa. Rob, bądź rozsądny, ty... Miał szeroko otwarte oczy, drżały mu usta.

- Boję się. Dlatego mam do tego prawo. Boję się, że moja rodzina się rozpadnie. Nie mogę tu siedzieć i czekać, aż to się stanie.

Chcę mieć pewność.

Mówiąc to, wstał od stołu. Marina również podniosła się z miejsc.

- Rob...

- Zawieziesz mnie tam czy nie?

Zrezygnowana skinęła głową. W przeciwnym razie gotów znów uciec i tłuc się autostopem, pomyślała. Nie wiadomo, co się może stać.

- Zawiozę cię.

7

- Myślę, że wszystko zaczęło się od tego, że Elaine tej nocy zbyt wiele mi o sobie opowiedziała. Kiedy siedzieliśmy w tej włoskiej restauracji, jedliśmy spaghetti i piliśmy wino... może odrobinę za dużo wina... odniosłem wrażenie, że puściła w niej jakąś wewnętrzną tamę. Była taka zrozpaczona. Odwołany lot, będący dla mnie i dla wielu innych pasażerów powodem do zdenerwowania, dla niej oznaczał kompletną katastrofę. Z jej punktu widzenia musiało się to przytrafić akurat jej, urodzonej nieudacznicy. Nie była w stanie ocenić obiektywnie tego zdarzenia jako pechowego przypadku, który nie dotyczył tylko jej. Była zdruzgotana i przelała na mnie wszystkie swoje zale, opo wiedziała mi historię całego życia, które od pierwszego

dnia było jed nym wielkim splotem nieszczęść. Nie miała przyjaciół, nie lubiano
473

jej w szkole, wyrosła na niezbyt urodziwą nastolatkę, na szkolnych potańcówkach zawsze podpieraała ściany, żaden chłopak się nią nie interesował, rodzice dość wcześnie ją osierocili. Kolejnym nieszczęśliwym zdarzeniem był wypadek brata, w którego wyniku wylądował on na wózku. Chwila, w której Elaine przejęła nad nim opiekę, stanowiła dla niej przypieczętowanie jej izolacji, tym bardziej że brat za wszelką cenę starał się ją do siebie przywiązać. Elaine marzyła o tym, żeby wyjść za mąż, mieć dzieci, ale nie widziała najmniejszej szansy na realizację tych planów. Po pierwsze z uwagi na rolę, jaką zajmowała w życiu swojego brata, po drugie dlatego, że żaden mężczyzna nigdy nawet na nią nie spojrział. Powiedziała mi, że przez całe życie była pomijana. Zarówno przez ludzi, jak i przez szczęśliwy los. Narzekała, że jest taka niepozorna. Zrobiła na mnie wrażenie zupełnie zrozpaczonej.

Wysłuchałem jej raczej z uprzejmości niż dlatego, że mnie to interesowało. Dość miałem własnych problemów. Między innymi spotkanie, które nie doszło do skutku z powodu odwołanego lotu, no i oczywiście Josh. Czekał mnie rozwód z Jacqueline. Wiedziałem, że nie ma szans, by nasza rodzina jeszcze kiedykolwiek się zeszyła. Josh nie chciał mnie znać, ale miałem nadzieję, że jakoś zdołam nawiązać z nim kontakt, przekonać go do tego, żeby spojrział i ocenił sytuację z innej perspektywy. Zastanawiałem się, czy uda mi się wywalczyć przed sądem prawo do opieki nad synem, co w obliczu niechętej, żeby nie powiedzieć pełnej nienawiści, postawy Josha wydawało się trudne. Krótko mówiąc, moje własne życie nie wyglądało zbyt różowo, ale nie miałem ochoty opowiadać o tym tej obcej kobiecie. Zacząłem już żałować, że w ogóle wziąłem ją do siebie. Mówiła za dużo i w tak przygnębiający sposób, że jeszcze bardziej popsua mi humor.

Kiedy wróciliśmy do domu, pokazałem jej pokój gościnny. Obok znajdował się pokój Josha. Wyprowadzając się, Jacqueline wzięła większość rzeczy, ale to co zostało - głównie zabawki, z których mój syn już wyrósł - leżało od dziewięciu miesięcy nietknięte. W każdym razie nietrudno było się zorientować, że to pokój dziecienny. Drzwi były otwarte.

1

Elaine natychmiast zapytała, czy mam dzieci. (Odpowiedziałem, że mam syna, który mieszka z moją byłą żoną. Wtedy próbowała odwrócić rolę... Dlatego powiedziałem na wstępie, że wszystko zaczęło się od tego, że za dużo mi o sobie opowiedziała. Być może krótki spacer na świeżym powietrzu, z restauracji do domu, złagodził działanie alkoholu, a może powodowało ją coś innego. W każdym razie wyglądała, jakby zaczęła żałować, iż do tego stopnia się przede mną otworzyła, prezentując się jako nieatrakcyjna, pechowa stara pan na. Uświadomiła sobie, że teraz patrzę na nią jej oczami, a nie był to bynajmniej pociągający widok. Jednocześnie była na tyle wstawiona, że pozbyła się po części zarówno swojej nieśmiałości, jak i po czucia rzeczywistości. Odniosłem wrażenie, że zakiełkowała w niej nadzieja, że ten wieczór mógłby okazać się dla nas obojga wstępem i do dłuższej znajomości. Nie powiedziała nic podobnego wprost. Ale zasugerowała, że to los zdecydował o naszym spotkaniu.

O Boże, pomyślałem, tylko nie to! Miałem nadzieję, że zaraz położy się do łóżka i zaśnie, a następnego dnia z samego rana opuści mój dom. I że raz na zawsze zniknie z mojego życia.

Jednakże wbrew moim oczekiwaniom uczepliła się tematu Josha. Ponieważ nie mogła odwołać tego, co mi opowiedziała, próbowała ściągnąć mnie do swojego poziomu i w ten sposób wejść ze mną w komitywę. Nie sądzę, żeby to było z jej strony świadome posunięcie. Prawdopodobnie działała instynktownie. Być może każda inna osoba zachowałaby się na jej miejscu tak samo.

Elaine nie była w ciemnie bita. Od razu się zorientowała, że Josh stanowi moją największą bolączkę. Rozbite małżeństwo, utrata syna - to wystarczyło, żeby zobaczyć we mnie równie żalosego nieudacz nika jak ona sama. Może i osiągnąłem w życiu więcej niż Elaine, ale potem wszystko zaprzepaściłem i byłem równie samotny jak moja rozmówczyni. Mam ją cały czas przed oczyma, jak siedzi po turecku w pokoju Josha, głaszcząc jakiegoś sfilcowanego misia, i lamentuje nad moim nieszczęśliwym losem. Nie była przy tym szczególnie de likatna. Wszystko, co kiedykolwiek usłyszała albo przeczytała o losie dzieci z rozbitych rodzin, zaserwowała mi na tacy szok dla

474

475

młodych duszyczek, zaburzenia emocjonalne, rozdarcie wewnętrzne. Mówiła również o nieuleczalnym smutku ojca, który traci swoje jedyne dziecko. Pytała, jak jestem w stanie z tym żyć, jak sobie radzę. Czy zmieniło mnie to w uczuciowego kalekę, zgorzkniałego samotnika?

W tym tonie ciągnęła swój monolog. Początkowo byłem tylko zirytowany, próbowałem ją powstrzymać, ograniczając się do skąpych, nic niemówiących odpowiedzi. Ale Elaine nie ustępowała. Drażyła coraz głębiej, chciała wiedzieć, dlaczego nasze małżeństwo się rozpadło. Jak często widuję Josha. Jak wyglądają nasze kontakty. Czy sądzę, że pomimo rozwodu jestem w stanie zbudować i utrzymać stabilną, zażyłą relację z synem.

Do dziś nie rozumiem, dlaczego dałem się tymi niedyskretnymi uwagami i pytaniami zapędzić w kozie róg kompletnie obcej mi osobie. Jestem adwokatem. Dorosłym mężczyzną. Umiem chłodno odpierać słowne ataki, w końcu na tym polega mój zawód. Teraz, po fakcie, mogę jedynie powiedzieć, że jeśli chodzi o Josha, byłem dużo wrażliwszy, niż mi się zdawało. Stałem w drzwiach jego dawnego pokoju i miałem go przed oczyma, jak siedział wieczorami na swoim piętrowym łóżku i przeglądał książki albo jak godzinami bawił się kolejką. Wtedy z całą ostrością dotarło do mnie, że te chwile bezpowrotnie odeszły do przeszłości, że nic podobnego już nigdy się nie zdarzy. Ból po stracie syna ugodził mnie ze wzmożoną siłą.

Ujrzałem tę nad wyraz niesympatyczną, obcą kobietę, która głaskała misia mojego syna i gadała, co jej ślina na język przyniesie. Nie chciałem jej dłużej gościć w swoim domu, nie miałem z nią nic wspólnego.

Pamiętam, że nagle obraz przed moimi oczyma stracił na ostrości i przez krótką straszliwą chwilę narastała we mnie agresja. Miałem ochotę podejść do niej, chwycić ją obydwoma rękoma, postawić na równe nogi i przyłożyć jej pięścią w twarz, a następnie wyrzucić za drzwi. Chciałem tylko jednego - żeby się w końcu zamknęła.

Żeby przestała obracać nóż w ranie. W owej chwili, chcąc złagodzić własne cierpienie, gotów byłem zadać jej ból.

Lecz nie uczyniłem tego. Jak wspomniałem, nie jestem mordercą, Stronię od przemocy. Samo wyobrażenie, że mógłbym coś ta-

476

kiego zrobić, i chęć skrzywdzenia jej, którą przez chwilę poczułem, przeraziła mnie do głębi.

Jak przez mgłę przypominam sobie to, co nastąpiło później. Wiele razy próbowałem odtworzyć w pamięci dokładny przebieg wydarzeń. Jednego jestem pewien - nic jej nie zrobiłem. Nie tknąłem jej nawet palcem. Zdaje się, że spróbowałem jeszcze pokojowo zakończyć ten temat, mówiąc, że nie mam ochoty kontynuować rozmowy i kładę się spać. Pamiętam, że wstała, podeszła do mnie i odparła, że uciekanie przed problemami, uchylanie się od zmierzenia się z samym sobą nie jest wyjściem. Coś w tym stylu. Psychologia dla kucharek. Niestety, tego typu książki zalewają rynek i ich czytelnicy sypią z rękawa dobrymi radami.

Tak czy inaczej, Elaine nie odpuszczała. Nie zauważyła, jak bardzo jestem rozsierdzony. Gdyby była wyposażona w choćby śladowe resztki intuicji, wiedziałaby, że najwyższy czas dać mi spokój. Wtedy sprawy potoczyłyby się zupełnie inaczej. Ale wydaje mi się, że spodobała jej się rola mojego prywatnego psychologa. Nic tak skutecznie nie odsuwa uwagi od własnych zmartwień jak intensywna analiza problemów innych osób. Elaine powiedziała, że powinienem przyznać się do własnych błędów, i wtedy coś we mnie pękło. Od momentu kiedy Jacqueline i Josh mnie zostawili, nie robiłem nic poza zastanawianiem się nad własnymi błędami. Zamęczałem się tym, wciąż od nowa poddając się wiwisekcji. Bywałem dla siebie bezlitosnym sędzią, a od tamtej nocy jestem nim nieprzerwanie aż do dziś. Nie odczuwałem zatem potrzeby, żeby słuchać wywodów tej dwudziestotrzyletniej wiejskiej dziewczyny. Nie miałem ochoty narażać się na dodatkowy stres tylko dlatego, że jakaś panna Dawson wbiła sobie do głowy, że podda mnie psychoanalizie. Ale dzisiaj wiem - a dokładnie rzecz ujmując, zdałem sobie z tego sprawę już następnego dnia - że zachowałem się jak idiota. To nienormalne, że dałem jej się tak przyprzeć do muru. Elaine mnie nie знаła. Tym bardziej nie znała Jacqueline i Joshua. Nie rozumiała naszej sytuacji. Nie wiedziała, o czym mówi, Powinienem był zareagować chłodno i obojętnie. Niepotrzebnie dałem się sprowokować do... no właśnie, do czego?

Przysięgam, że nie wiem, co powiedziałem czy zrobiłem. Zdaje się, że nagle zacząłem krzyczeć. Co sobie właściwie wyobraża, jak śmie wtrącać się w moje życie? Skąd przyszło jej do głowy, że jestem ciekaw jej żalostnej egzystencji? Niech się lepiej czym prędzej wynosi. Powiedziałem, że jest mi obojętne, gdzie spędzi noc, ale na pewno nie w moim domu. Niech zmyka i nie wraca.

Byłem roztrzęsiony. Pamiętam, że pobladła na twarzy. Widziałem, że jest śmiertelnie przerażona. Naprawdę nie zauważyła, że sytuacja już od jakiegoś czasu eskalowała. Mój wybuch musiał kompletnie ją zaskoczyć. Do dziś zastanawia mnie, czemu się tak przestraszyła. Najwyraźniej wydałem się jej niesłychanie groźny. Sam odczuwałem to inaczej. To znaczy, widziałem się raczej w roli ofiary. W moim przekonaniu to ja zostałem zaatakowany, zraniony, nie pozostało mi nic innego, jak

krzyczeć w swojej obronie. Nie chciałem jej zrobić krzywdy. Chciałem tylko, żeby się wyniosła. Żeby się zamknęła. Żeby mnie zostawiła w spokoju.

Elaine natomiast musiała pomyśleć, że lada chwila rzucę się na nią z pięściami. Być może krzyknąłem nieco głośniejszy, niż chciałem. Może moją twarz zniekształcił ohydny grymas gniewu. Nie wiem. Elaine wyszła z pokoju, ruszyła tyłem w kierunku schodów, nie spuszczając mnie z oka, jakby się obawiała, że mógłbym przyłożyć jej od tyłu młotkiem w głowę. Możliwe, że i ja ruszyłem z miejsca, podszedłem do niej za blisko, tak że obawiała się z mojej strony ataku. Jak już wspomniałem, moje wspomnienia z tamtej nocy są rozmyte i niekompletne.

Schody w moim starym domu są wąskie i strome. Możliwe, że Elaine potknęła się już na pierwszym stopniu, możliwe, że zeszła kilka kroków w dół. Nie jestem w stanie tego powiedzieć. Dość, że nagle zobaczyłem, jak spada. Przestraszyłem się, ale nie byłem zdolny do żadnej reakcji. Może mógłbym ją jeszcze przytrzymać. Ale prawdopodobnie odległość między nami była zbyt duża. W każdym razie stałem jak sparaliżowany. Poleciała do tyłu, kilkakrotnie uderzając głową o kamienne schody. To był potworny dźwięk. Głośny łoskot. Jakby jej głowa rozpadła się na tysiąc kawałków. Nic takiego jednak

nie nastąpiło. Leżąc na dole, wyglądała, jakby nic jej się nie stało. Ale kiedy wreszcie zszedłem do niej - wydaje mi się, że trwało to dość długo, choć nie jestem w stanie powiedzieć, ile czasu dokładnie mi zajęło - zatem kiedy w końcu zszedłem i pochyliłem się nad nią, za uważyłem, że nie żyje.

Przypuszczam, że skrzyła sobie kark. Duża, gruba, martwa kobieta leżała w moim domu na podłodze. Jeszcze przed chwilą siedziała w pokoju Josha i działała mi na nerwy swoimi wywodami. Sprawy potoczyły się tak szybko. Tak strasznie szybko. Ale w ten właśnie sposób zdarzają się katastrofy, prawda? Roz grywają się w ciągu kilku sekund. Są wynikiem kilku drobnych błądów, małych potknięć. Przez nieuwagę lub z innych banalnych powodów. Zazwyczaj nie dzieje się nic albo prawie nic dramatycznego. W naszym przypadku sprawa wyglądała tak, że byłem roztrzęsiony, gotowałem się ze złości, ale nie stanowiłem dla Elaine najmniej szego zagrożenia. W jej mniemaniu nasza przyjacielska rozmowa w okamgnieniu zmieniła się w wybuch wściekłości i gniewu. Tyle że wszystko mogło się jeszcze dobrze skończyć. Mogła po prostu opuścić mój dom. Wydaje mi się nawet, że zawołałbym ją z powrotem. Nie wyrzuciłbym jej w tę zimną mglistą noc za drzwi. Gdyby tylko przestała zamęczać mnie tematem Josha, w ciągu kilku minut byłbym się uspokoił. Chciałem tylko, żeby wreszcie do niej dotarło, że ma mnie zostawić w spokoju.

Ale doszło do tragedii. I nie dało się jej odwrócić, nic już nie można było zrobić. Musiałem się zastanowić, jak wyjść cało z opresji.

-I pomyślałeś sobie, że jeżeli jakoś pozbędziesz się ciała Elaine i za tuszujesz sprawę, wyjdiesz z tego cało? - zapytała Rosanna.

Wciąż znajdowali się w tym samym miejscu na rzece, w koły szące się lekko motorówce. Marc siedział naprzeciw niej. Na Iwida

478

479

nadal wiał zimny wiatr, ale słońce stało już wyżej i mocniej ogrzewało ziemię.

Zrobiło się cieplej. Poza tym nic się nie zmieniło, nie było widać żywego ducha. Tylko raz na jakiś czas krzyki ptaków przerywały ciszę.

Nic się zmieniło, a zarazem nic nie było takie jak wcześniej.

Rosanna czuła się dziwnie otępiała, a jednocześnie walczyły w niej całkowicie przeciwstawne emocje. Jakaś jej część zdystansowała się do opisanych przez Marca wydarzeń, patrzyła jak przez mgłę na rzekę, łódź i siedzącego naprzeciwko mężczyznę, dźwięki docierały do niej znacznie przytłumione. Natomiast jakaś inna jej część obserwowała wszystko wyostrzonymi zmysłami i z bolesną wyrazistością docierało do niej każde słowo.

Rosanna wiele by dała, żeby tego wszystkiego nie usłyszeć.

Marc uniósł bezradnie ręce.

- A co miałem zrobić? Zdybałem na lotnisku obcą kobietę, zabrałem ją ze sobą do domu, a teraz ona leżała martwa u moich stóp. Jak miałbym to wytłumaczyć policji?

- Tak, jak to przed chwilą zrobiłeś. Powiedzieć, co się stało.

- Myślisz, że ktoś by mi uwierzył?

- Metody kryminalistyczne są obecnie bardzo zaawansowane. Sądzę, że można by zrekonstruować przebieg wydarzeń. W wyniku takiego postępowania dałoby się stwierdzić, czy mówisz prawdę.

- Możliwe. To by mi jednak niewiele pomogło. - Marc przetarł zaczerwienione ze zmęczenia oczy. - Ta sprawa i tak w znacznym stopniu zaszkodziłaby mojej karierze. Wydało mi się mało prawdopodobne, żeby kancelaria, w której miałem zostać współnikiem, była w dalszym ciągu zainteresowana współpracą. Ale to nie wszystko... Jak sądzisz, jak to... nieszczęście odbiłoby się na decyzji sądu w kwestii prawa do opieki nad dzieckiem? Głównym zarzutem były moje rzekome związki pozamałżeńskie. I oto przed sądem staje mężczyzna, który zaczepia na lotnisku obcą kobietę i zabiera je do domu. To, że jedna z nich skończyła ze złamanym karkiem na podłodze mojego mieszkania, nie zwiększyłoby mojej wiarygodności. A może uważasz, że to wizytówka człowieka, któremu z czystym sumieniem można powierzyć opiekę nad małoletnim chłopcem, już wcześniej mającym poważne problemy ze swoim ojcem?

Josh. Znowu chodziło o Josha. Był on wątkiem przewodnim tej historii i osią całej tragedii.

- Wydawało ci się, że jeśli pozbędziesz się ciała, nikt nie będzie szukał Elaine?

- Oczywiście, że nie. Po tym wszystkim, co od niej usłyszałem, wiedziałem, że przynajmniej jej sparaliżowany brat podniesie raban. Ale miałem nadzieję, że policja nie podejmie w tej sprawie żadnych zdecydowanych kroków. Jeśli znika dorosła kobieta, a nie ma pod staw sędzić, że w grę wchodzi przestępstwo, rzadko kiedy wzbudza to zainteresowanie policji.

- Ale chyba wziąłeś pod uwagę, że ktoś mógł was razem w i dzieć.

- Oczywiście. Wystarczająco długo siedzieliśmy w restauracji, w której jestem dobrze znany. Mógł nas zobaczyć któryś z sąsiadów. Liczyłem jednak na to, że zdjęcie Elaine nie ukaże się w prasie. Przecież nie każda zaginiona osoba od razu trafia na łamy gazet. Pomyślałem, że dopóki to się nie stanie, mogę spać spokojnie. Zdawałem sobie sprawę, ile w ten sposób ryzykuję. Ale istniała szansa, że uda mi się wyjść z tej historii bez szwanku, i chciałem ją wykorzystać.

Rosanna potrząsnęła głową.

- Jakie to... wyrachowane. Zrobiłeś to... z zimną krwią!

- Teraz, po pięciu latach, może ci się tak wydawać. Ale tam tej nocy czułem się zupełnie inaczej. Myślę, że na początku byłem w szoku, co oznacza swego rodzaju ucieczkę przed własnym przeżeniem. Działalem w sposób przemyślany, ale było to możliwe tylko dzięki temu, że zostałem jakby odcięty od siebie samego. Wybiegłem na zewnątrz, przyprowadziłem samochód i zaparkowałem tuż przed drzwiami. Było wpół do dwunastej, w sąsiednich domach pogaszono już światła. Dla pewności poczekałem jeszcze pół godziny, a ponieważ wokół nadal panowała cisza, postanowiłem działać. Wziąłem Elaine na ręce i zaniósłem do samochodu. Najniebezpieczniejsze było przejście przez ogród. Gdyby ktoś zobaczył mnie przez

480
okno... ale wyglądało na to, że miałem szczęście. Następnie zaniósłem do samochodu jej torebkę, walizkę i płaszcz. Elaine leżała na tylnym siedzeniu. Przykryłem ją kocem. Wróciłem do domu i wtedy puściły mi nerwy.

Marc wyglądał tak żałośnie, że Rosanna poczuła nieodpartą potrzebę, żeby choć na chwilę wziąć go za rękę. Pragnęła mu pokazać, że mimo wszystko jest po jego stronie. Ale z jakiegoś powodu nie zdołała się przemóc.

- Miałem nogi jak z waty, trzęsły mi się ręce. Nie byłem w stanie prowadzić samochodu. Z tego co pamiętam, usiadłem po prostu na schodach i w tej pozycji spędziłem kilka godzin. Powoli docierało do mnie, w jak potwornej sytuacji się znalazłem. Uświadomiłem sobie, że na zewnątrz w moim samochodzie leży ciało kobiety, którego za wszelką cenę muszę się pozbyć. Straciła życie w moim domu. Przez sam fakt, że zaniósłem ją wraz z jej rzeczami do samochodu, odciąłem sobie drogę powrotu. Musiałem doprowadzić sprawę do końca, ale nie wiedziałem jak. Wiedziałem tylko, że w jednej chwili wylądowałem w koszmarze. I pojąłem, że moje życie, które mimo wszystkich ran i zdraśnień było całkiem zwyczajnym życiem, już nigdy nie powróci do normalności. Rosanna siliła się na rzeczowy ton.

- Kiedy przyszło ci do głowy, żeby wypłynąć z Elaine na rzekę?

- Nie wiem. Dziwne w całej sytuacji było to, że z jednej strony byłem zrozpaczony i miałem wrażenie, że zaraz zwariuję, a równocześnie mój umysł pracował na najwyższych obrotach, próbując znaleźć jakieś wyjście. Powtarzałem sobie, że nikt nie może nigdy odnaleźć jej ciała, ponieważ wówczas policja by podjęła śledztwo i prędko wpadła na mój ślad. W końcu przyszła mi do głowy łódź. Nawiasem mówiąc, nie miałem pojęcia, że Jacqueline zamierzają sprzedać. To czysty przypadek, że zrobiła to wkrótce po wypadku.

- O której godzinie wyruszyłeś?

- Myślę, że mogła być szósta nad ranem. Czułem się wycieńczony. Ale jakimś sposobem zmusiłem się do działania. W jachtklubie oczywiście nikogo nie było. Na szczęście miałem jeszcze wszystkie

482

potrzebne klucze... Jak wiesz, posiadam je do dziś. Przygotowanie motorówki do wypłynięcia nie stanowiło problemu, nie zdażyłem jeszcze wyjść z wprawy. Możesz mi wierzyć, przeniesienie Elaine z parkingu wąską dróżką na łódź nie było łatwe. Kiedy wróciłem do samochodu po walizkę i torebkę, dosłownie spływałem potem.

Jak wspomniałem, przeoczyłem płaszcz, gdyż zsunął się podczas jazdy pod siedzenie.

- Dlaczego przepłynąłeś przez służę? To przecież zupełnie zbędne ryzyko!

- Tego także nie zaplanowałem. Ale na rzece, w pewnej odległości przede mną i za mną, płynęły dwa frachtowce. Nie mogłem ryzykować wyrzucania większego... przedmiotu za burtę. Ktoś mógł to zauważyć. Płynąłem więc dalej w nadziei, że w końcu wyrwę się z uścisku obu statków. Niestety, udało mi się to dopiero po przepłynięciu przez służę Mapledurham. Zostawiłem w tyle statki i mogłem... doprowadzić sprawę do końca.

- A kiedy wróciłeś...

-...Znalazłem płaszcz i wiedziałem, że mam problem. Ale nie starczyło mi siły, żeby powtórnie wypłynąć na rzekę. Poza tym zrobiło się widno i wzrastało niebezpieczeństwo, że ktoś pojawi się w klubie. Zatem po prostu ruszyłem, a przejeżdżając obok parkingu z kontenerami na odzież, spontanicznie zdecydowałem się wyrzucić tam płaszcz. Było to ryzykowne, ale z drugiej strony pomyślałem sobie, że nikt nie skojarzy tej części garderoby z Elaine. To był zupełnie przeciętny, tani płaszcz, nic szczególnego. Będzie leżał w pojemniku wśród spodni i swetrów i w końcu trafi do potrzebujących. Rzeczywiście, nie miałem z tego powodu problemów. Gdyby

w kieszeni nie został paszport...

Rosanna pomyślała, że najboleśniej w obecnej sytuacji była dla niej świadomość, że Marc przez cały ten czas sprytnie ją zwodził.

- Kiedy jechaliśmy do Northumberlandii - powiedziała rozgoryczona - przepełniała mnie nadzieja, że spotkamy tam Elaine, cieszyłam się na tę myśl również ze względu na ciebie, gdyż to OSt

483

tecznie oczyściłoby cię z podejrzeń. A ty siedziałeś obok mnie w samochodzie i przez cały czas wiedziałeś, że nie możemy jej spotkać. To było niemożliwe. Ale zachowywałeś się tak, jakbyś...

- A jak miałem się zachować? Miałem ci powiedzieć: Rosanno, oszczędźmy sobie tej podróży, Elaine leży na dnie Tamizy, a wiem to, bo sam ją tam wrzuciłem? Musiałem podjąć tę grę. Byłem zdenerwowany i dezorientowany, ale sądziłem, że to przypadkowa zbieżność nazwisk. Kiedy wypłynęła sprawa z paszportem, kiedy rozpoznałaś w nim ponad wszelką wątpliwość dokument Elaine, czułem się, jakbym dostał obuchem w głowę. Zacząłem się rozpaczliwie zastanawiać, jak mogło do tego dojść. Pamela Lukę zeznała, że znalazła paszport w mieszkaniu sutenera, ale w jaki sposób on się tam dostał? Sądziłem, że papiery znajdują się w torebce, ale jeśli założymy, że w jakiś sposób odłączyła się od reszty i wypłynęła na powierzchnię, a fale wyrzuciły ją na brzeg, byłoby to przecież widać. Jeśli paszport leży tygodniami czy miesiącami w wodzie, nie może potem wyglądać jak nowy! Kiedy w końcu padła nazwa Wiltonfield, domyśliłem się, co się stało. I wtedy uświadomiłem sobie, że przegrałem.

Mimo wszystko grał dalej. Wysłuchiwał jej teorii, sprawiał wrażenie, jakby naprawdę

wczuł się w jej sytuację i razem z nią martwił. Troszczył się o nią, kiedy się przeziębila, a minionej nocy trzymał ją mocno w objęciach. Czy przez cały ten czas tylko udawał? Również w kwestii uczuć? Czy pozorował namiętność, aby przywiązać ją do siebie? I przeszkodzić jej w tym, żeby podzieliła się z kimś swoją wiedzą, żeby - jeżeli kiedykolwiek pozna prawdę - nie pobiegła prosto na policję? Marc kontynuował:

- Najstraszniejsze czy najtragiczniejsze jest to, że zatuszowanie wypadku wcale nie uchroniło mnie przed katastrofą. Po zniknięciu siostry Geoffrey Dawson zrobił takie przedstawienie, że jej zdjęcie faktycznie ukazało się w prasie. Kilka dni po tych wydarzeniach uprzedziła mnie moja sąsiadka. To bardzo miła kobieta, dręczona przez męża. Szepnęła mi przez płot, że jej mąż zamierza zgłosić się na policję, gdyż jest pewien, że widział mnie z zaginioną kobietą, której zdjęcie zobaczył w gazecie. Wiedziałem, że to początek lawiny. Następni przypo-
484

mną sobie o mnie pracownicy i goście restauracji. Musiałem przejść do ofensywy. Dlatego sam zgłosiłem się na policję, praktycznie w tym samym czasie co mój sąsiad. Opowiedziałem całą historię, oczywiście ze zmienionym zakończeniem. Znasz moją wersję.

- I nawet dość sprytnie ją okrasileś. Bowiem zakładałam, że ów tajemniczy przyjaciel, o którym rzekomo opowiadała ci Elaine, był twoim wymysłem.

- Tak - przyznał Marc. - Chciałem jakoś uwiarygodnić teorię, że Elaine uciekła. Policja dość szybko połknęła haczyk. Nawiasem mówiąc, Geoffrey Dawson sam się do tego przyczynił. Do tego stopnia tyranizował policję, że w końcu wszyscy nabrali pewności, że Elaine nie mogła mieć zamiaru dobrowolnie do niego wrócić. Było dla wszystkich zrozumiałe, że wołała dać nogę z kochankiem.

- Przecież w twoim samochodzie można było znaleźć ślady ciała.

- Nikt nie widział potrzeby, żeby poddawać mój samochód inspekcji. Sam przyznałem, że Elaine nim jechała. Tak jak przyznałem, że była w moim domu. Byłem otwarty i chętny do współpracy. Ani przez chwilę policja nie uznała mnie oficjalnie za podejrzanego o morderstwo. Ale prasa owszem, bowiem Geoffrey Dawson poszczuł na mnie dziennikarzy, a ci potrzebowali sensacji. To wszystko miało fatalny wpływ na Josha. Że wziętem do siebie tę dziewczynę, było potwierdzeniem tego, co przez cały czas opowiadała mu o mnie Jacqueline. Moja sytuacja nie mogła być gorsza, gdybym już na samym początku powiedział prawdę. Gdybym tamtej nocy od razu zadzwonił na policję i po karetkę i dokładnie zrelacjonował przebieg wypadków. Bowiem, tak czy inaczej, straciłem syna, dobre imię i zaprzepąściłem, przynajmniej częściowo, swoją karierę. Ale - Marc podniósł bezradnie ręce - nie można przewidzieć przyszłości.

Kiedy dotarli do kei, Marc zeskoczył z łodzi, przyciągnął ją do mostu i starannie przycumował. Następnie pomógł Rosannie, która w swoim oszołomieniu nie była zdolna do jakiegokolwiek działania, wydostać się na brzeg. Kiedy stanęli naprzeciw sobie, Marc spojrzał na nią badawczo. Rosanna lekko drżała.

- Jesteś wykończona - stwierdził. - I chyba wzrosła ci gorączka. Posłuchaj, bądź

rozsądna, idź na parking, usiądź w samochodzie i poczekaj tam na mnie. Ja zrobię porządek na łodzi i przyjdę do ciebie.

Była zbyt słaba, żeby protestować. Wolałaby zostać z Markiem i zasypać go pytaniami, ale czuła, że ledwo trzyma się na nogach i że jest rozpalona. Żegluga po Tamizie w ten zimny, wietrzny poranek dała jej w kość. A do tego jeszcze te rewelacje, o których się właśnie dowiedziała.

- W porządku - powiedziała cicho.

Marc przyciągnął ją do siebie. Jego uścisk był taki jak zawsze - silny, serdeczny i niosący otuchę. Mimo wszystko Rosannę uderzyło boleśnie to, że nie czuje w tym gości ciepła. W każdym razie nie czuła go teraz, a może nie poczuje go już nigdy więcej.

Powoli zaczęła iść pod górę. Tylko raz się odwróciła, ale Marc zajęty przy łodzi nie zauważył jej spojrzenia.

Nie zamordował jej, powiedziała do siebie, dlatego nie muszę rewidować mojej oceny, że nie jest przestępcą. To był po prostu wypadek. Katastrofa, której ani on, ani Elaine nie byli w stanie przewidzieć. Takie rzeczy się zdarzają.

Rosanna wiedziała jednocześnie, że takich rzeczy zazwyczaj nikt nie próbuje zatuszować. Ludzie tracili życie w wyniku upadku ze schodów czy przyjęcia niewłaściwych leków albo topili się w basenie, lecz nikt nie zanosił ich potem na statek i nie wyrzucał do rzeki. I nie odgrywał przed innymi przedstawienia. Ale czy można to nazwać przestępstwem? Kiedy Rosanna dotarła do samochodu, miała zadyszkę. Z powodu tak niewielkiego wzniesienia. Musiała być naprawdę chora. Samochód nie był zamknięty. Otworzyła drzwi od strony pasażera, opadła na siedzenie, odchyliła do tyłu głowę i zamknęła oczy. Była skonana, marzyła o tym, żeby położyć się do łóżka i odpocząć w spokoju. Ale była rozdygotana wewnątrz i wiedziała, że za nic w świecie nie udałoby jej się teraz zasnąć.

486

Musiała spróbować go zrozumieć. Jeśli jej się to uda, może będą mieli szansę na wspólną przyszłość. Jeżeli natomiast pozostanie w niej irytacja, niepewność i strach, oznacza to, że dotarła do kresu krótkiego związku z Markiem Reeve'em. Czy Marc zachował się jak kryminalista? Tego wieczoru znajdował się w wyjątkowym stanie. Był o krok od rozwodu. W najbliższej przyszłości miała zostać rozstrzygnięta przed sądem kwestia praw do opieki czy kontaktów z synem, który tyle dla niego znaczył. Sam uważał, że nie sprawdził się jako ojciec. Pogląd ten z pewnością podzielał Josh i prawdopodobnie sędzia byłby tego samego zdania. Zarzucano mu dwie rzeczy - nadmierne poświęcenie dla kariery, właściwie przez dwadzieścia cztery godziny na dobę, oraz ustawiczną niewierność. Do tego pierwszego Marc gotów był bez protestów się przyznać, drugiemu zarzutowi zdecydowanie się sprzeciwiał. Ale teraz pojawił się namacalny dowód na jego życie pozamałżeńskie - młoda kobieta, którą poznał na lotnisku i wziął do siebie do domu i która na domiar złego, spadając ze schodów, skrzyła sobie kark. Fatalny splot okoliczności - nic dziwnego, że w takiej sytuacji Marc stracił głowę. Pod wpływem impulsu przeniósł ciało Elaine wraz z jej rzeczami do samochodu. Jak sam powiedział, w tym momencie uświadomił sobie, że nie ma odwrotu - kryminolodzy bez trudu poznaliby, że ciało było przenoszone z miejsca na miejsce, być może wykazałaby to także autopsja. W ciągu kilku minut

sytuacja, której nikt nie mógł przeciwko niemu wykorzystać, przynajmniej w prawnym sensie, wzbogacona została o okoliczności czyniące go podejrzanym. Marc mógł tylko zapewniać, że nie popchnął Elaine, zanim spadła. Ale kto dałby wiarę jego słowom po tym, jak podjął już kroki zmierzające do zatuszowania sprawy? Sprokował sytuację, która wymogła na nim dalsze działania. Wprowadził w ruch pewien mechanizm i wkrótce utracił kontrolę. Bezpośrednio po śmierci Elaine zareagował pod wpływem szoku, CO spowodowało, że potem mógł już tylko działać, odpowiadając na kolejne, zmieniające się, zewnętrzne wymogi. Kiedy zgłoszenie na policję okazało się konieczne do ratowania własnej skóry, jak na ironię

487

pociągnęło to za sobą te nieprzyjemności, których starał się uniknąć. Stracił syna i jego kariera zawodowa legła w gruzach.

Rosanna otworzyła oczy i wyjrzała na zewnątrz. Marca nigdzie nie było widać, pewnie wciąż jeszcze był na pomoście.

Może to wcale nie myśl, że zachował się jak przestępca, tak mnie męczy, tylko świadomość, że mnie oszukał. Że przez cały ten czas coś przede mną udawał.

Ale co innego mógł zrobić?

Może powinien był wcześniej powiedzieć jej prawdę. W momencie, kiedy obopólna sympatia przerodziła się w romans. Albo wtedy gdy spostrzegł, jak męczy ją ta historia, jak usilnie próbuje znaleźć rozwiązanie. Ale nie zrobił tego, tylko w dalszym ciągu podtrzymywał swoje kłamstwa. Dopiero przyparty do muru, kiedy stało się jasne, że w wyniku jej zeznań policja bez trudu do niego dotrze, do wszystkiego się przyznał. Nie może być mowy, że dobrowolnie i z własnej inicjatywy wyznał prawdę. Niezależnie od tego, jak dalej potoczą się sprawy, w Rosannie na zawsze pozostanie to gorzkie wspomnienie.

Dowiedziała się również czegoś o Elaine. Wielokrotnie próbowała sobie wyobrazić, jak ta młoda kobieta zachowywała się owej nocy. Wydawało się do niej podobne, że wylała przed zupełnie obcym mężczyzną cały swój żal. Natomiast całkowicie nie pasowała do niej rola, jaką przyjęła później - pocieszycielki i doradczyni.

Zadziwiająco, że jako obiekt swojej podjętej zapewne w dobrej wierze interwencji psychologicznej upatrywała sobie akurat opanowanego, spokojnego Marca Reeve'a, który wznosił wokół swojej osoby tak perfekcyjną fasadę. Jakaż samotnością, bólem i rozpaczą musiał emanować tamtego wieczoru? W każdym razie Elaine dostrzegła w nim człowieka, który potrzebuje pomocy - aczkolwiek także chęć odwrócenia uwagi od własnych zwierzeń miała w tym swój udział, kiedy nieproszona przez nikogo podjęła się roli psychoanalityka. I może właśnie tu leżała kolejna trafna odpowiedź na pytanie, dlaczego Marc zabrał Elaine z lotniska. Zawsze tłumaczył to litością, którą poczuł na widok zrozpaczonej kobiety. Ale może i on odczuwał na Heathrow

strach

488

na myśl o tym, że przyjdzie mu wrócić do ciemnego pustego domu - i że pozostanie sam na sam ze wspomnieniami i myślami o rozwodzie. Spotkanie w Berlinie oznaczało dla niego możliwość jedno- albo dwudniowej ucieczki od męczącej sytuacji. W obliczu przymusowej zmiany planów Marc zdobył się na pomocny gest, z którego również dla niego wypływały pewne korzyści; Elaine była wprawdzie

nieatrakcyjna, histeryczna i denerwująca, ale mogła odwrócić jego uwagę i w ten sposób się do czegoś przydać. Rosanna ani przez moment nie miała wątpliwości, że Marc nie wiązał z zaproszeniem Elaine do domu nadziei na przelotny romans. Ale jej towarzystwo, jej gadanina mogła, jeśli nie powstrzymać, to przynajmniej nieco ograniczyć jego bolesne rozmyślania. Niestety, Elaine mówiła trochę za dużo. I źle dobrała temat.

Rosanna poczuła, że zrobiło jej się gorąco, i otworzyła drzwi. Wpadające do środka zimne powietrze ochłodziło nieco jej rozpaloną twarz. Wsiadła, obeszła samochód, próbując dojrzeć między drzewami i krzewami pomost. Zobaczyła samotny, zalany słońcem budynek klubu oraz kilka jachtów, ale nie widziała „Heaven's Gate”. Z miejsca, w którym stała, pawilon zasłaniał widok tylnej części pomostu.

Ile czasu potrzeba, żeby doprowadzić łódź do porządku? A w ogóle ile czasu już minęło? Spojrzawszy na zegarek, stwierdziła, że jest wpół do dwunastej, ale niewiele jej to pomogło, ponieważ nie miała pojęcia, o której godzinie przybili do brzegu. Oszacowała, że wróciła do samochodu jakieś trzy kwadransy temu. Przecież przykrycie motorówki plandeką nie może trwać tak długo. A może nie mógł sobie poradzić? Bez wątplenia posiadał doświadczenie, ale jego nerwy musiały być w strzępach.

Mimo że ledwo trzymała się na nogach, ruszyła w dół, żeby mu pomóc.

Keja była skąpiana w słońcu. Latem musiało być wspaniale siedzieć sobie na pomoście i moczyć nogi w wodzie. Stojąc na samym dole,

489

Rosanna nagle o tym pomyślała. Piękne, romantyczne miejsce. Do tego sielankowego obrazu w ogóle nie pasowało wyobrażenie mężczyzny, który w mglisty styczniowy poranek niesie na statek ciało kobiety.

Zatrzymała się przy „Heaven's Gate”. Spodziewała się, że Marc albo krząta się jeszcze przy łodzi, albo siedzi na ławce, pogrążony w myślach nad swoim życiem. Ale łódź była pusta. Nie była nawet przykryta. Wyglądała tak samo jak przed godziną, kiedy z niej wysiadła.

- Marc! - zawołała.

Jej głos zabrzmiał obco i nierealistycznie w panującej tu ciszy. Niczym jakiś irytujący dźwięk, zupełnie nie na swoim miejscu.

- Marc, jesteś tutaj? - Rosanna spróbowała zajrzeć do kajuty, ale było za ciemno, żeby coś zobaczyć. Przyciągnęła łódź do kei i weszła na pokład. Kosztowało ją sporo wysiłku, żeby odsunąć właz do kajuty, lecz w końcu udało się i weszła przygarbiona do niskiego pomieszczenia. W środku czuć było stęchliznę i wilgoć. Rosanna zauważyła naprzeciwko siebie dwie wyściełane ławki, stół, półki wypełnione najróżniejszymi przedmiotami - znajdowała się tam butelka oleju, dwie książki, okulary, kilka monet. Nigdzie ani śladu Marca, nic nie wskazywało, że w ogóle wchodził do kajuty.

Tu, na jednej z tych ławek, musiało pięć lat temu spoczywać ciało Elaine. Marc z pewnością je tu ukrył, pozostawienie zwłok na pokładzie byłoby zbyt ryzykowne. Dostała gęsiej skórki i czym prędzej opuściła kajutę. Nie była w stanie dłużej znieść przesładujących ją obrazów.

Znalazłszy się ponownie na kei, rozejrzała się, ale oprócz mew, których ochrypły krzyk niezmiennie rozlegał się dookoła, nikogo nie było widać. Przez cały ten czas Rosanna prawie wcale nie zwracała uwagi na ptaki, stanowiły one część krajobrazu, część tego dnia, ale teraz, usłyszawszy je, wzdrygnęła się. Ich krzyk potęgował panujący tu posepny nastrój. Mimo wydarzeń ostatnich godzin dzień wydawał się Rosannie aż do tej pory słoneczny i pogodny. W jednej chwili obraz przedpołudnia uległ zmianie. Teraz rzuciły jej się w oczy nagie

490

drzewa, zimny błękit nieba, odpychający widok zamkniętych okiennic w domku bosmana. Żadnego dymu z komina, który wznosiłby się w oddali ku niebu, żadnych głosów czy dźwięków, które wskazywałyby na bliskość ludzi.

Jestem tu zupełnie sama, pomyślała.

Nie. Gdzieś w pobliżu musi być Marc.

Nagle ogarnął ją strach.

- Marc! - zawołała ponownie, ale jej głos zabrzmiał cicho i trwożliwie, i nie był to skutek przeziębienia.

Wróciła na brzeg i przebiegła przez otwartą część pawilonu. Szarpnęła za klamkę przy drzwiach prowadzących do sali klubu, ale były zamknięte. Czy Marc miał klucz również do tego pomieszczenia? Ale czemu by się tam zamknął?

Zatrzymała się przy płocie i skierowała wzrok w stronę parkingu. Może Marc jest przy samochodzie? Nie mogła jednak nic dojrzeć. Tak szybko jak umiała, pobiegła na wzgórze. Czowała kłujący ból w klatce piersiowej, z każdym oddechem zimne powietrze drażniło jej gardło. Trzęsła się z zimna, a równocześnie była cała złana potem.

Marca nie było ani w samochodzie, ani nigdzie w jego pobliżu. Rosanna zatrzymała się, żeby zaczerpnąć powietrza. Nie rozumiała, co mogło się stać. Przecież miał tylko zabezpieczyć łódź. Może nagle opadł z sił i nie był w stanie tego zrobić. Musiał być bardzo wzburzony. Ale dlaczego się przede mną ukrywa? Ponieważ stanowią dla niego zagrożenie. Nagle strach chwycił ją za gardło, zaschło jej w ustach. Przez cały ten czas myślała wyłącznie o swoim rozczarowaniu, bólu i utracie zaufania, spowodowanym wyznaniem Marca, ale nie przyszło jej do głowy, że także on, siłą rzeczy, inaczej widzi teraz jej rolę w ich wzajemnej relacji. Do tej pory stanowili parę, która wspólnie podążała śladami niewyjaśnionej historii, ramię w ramię, we wspólnej sprawie. Jak się okazało, od samego początku było zupełnie inaczej, Marc udawał, a Rosanna żyła w iluzji.

Zdrugiej strony zostali kochankami. Było dla niej niejasne, w jakim stopniu Marc grał i w tej kwestii.

491

Ale teraz do całej sprawy doszedł nowy aspekt - w okamgnieniu Marc mógł stać się człowiekiem poszukiwanym przez policję. I od Rosanny zależało, czy pogoń się rozpocznie.

Nie rozmawiali jeszcze o tym, co dalej. Ostatnią rzeczą, jaką od niej usłyszał, była decyzja o powiadomieniu inspektora Fieldera o tym, czego się dowiedziała - wtedy był to fakt, że paszport Elaine Dawson został znaleziony w Wiltonfield, że Jacqueline posiada tam motorówkę, która jedenastego stycznia 2003 roku wczesnym rankiem

przepełnęła przez służbę w Mapledurham.

Teraz wiedziała dużo więcej. I nie powiedziała mu, że zachowa te informacje dla siebie. Właściwie jeszcze się nad tym nie zastanawiała. Pytanie brzmiało, jak bardzo Marc się jej obawia. I do czego jest się w stanie posunąć, żeby oddalić grożące mu niebezpieczeństwo?

- Bzdura! - powiedziała na głos, jednocześnie rozglądając się nerwowo, ale w dalszym ciągu nie było nikogo widać.

Marc nie jest przestępcą. Śmierć Elaine była wypadkiem, na który zareagował w sposób nieprzemyślany, a co za tym idzie, całkowicie niewłaściwy, lecz mimo wszystko jej nie zabił. Mam na to tylko jego słowne zapewnienie. Nic więcej. Nigdy nie dowie się na pewno. Będzie się nad tym zastanawiać przez resztę życia. Czy Elaine cofnęła się w stronę schodów, a następnie z nich spadła? Czy też Marc ją zaatakował, popchnął, uderzył, może zupełnie stracił nad sobą panowanie i miał na sumieniu więcej, niż się do tego przyznał?

Jakkolwiek doszło do tragedii, Marc zrobił wszystko, żeby ją zatuszować. Jak daleko był w stanie się posunąć? Nawet gdyby policja uwierzyła mu na słowo, nawet gdyby został ukarany jedynie za wprowadzenie w błąd organów śledczych, a nie za morderstwo, jego kariera legnie w gruzach. Prasa zadba o to, by nie udało mu się znów stanąć na nogi. Pojednanie z Joshem, na które Marc wciąż liczył, mając nadzieję, że kiedy chłopiec dorośnie, będzie w stanie go zrozumieć, odsuwało się w sferę mrzonek.

To ja mogę przyczynić się do jego ostatecznej katastrofy życiowej.

Marc zdawał sobie sprawę z jej wyrzutów sumienia wobec Elaine i poczucia powinności względem brata. Czy miał chociaż cień nadziei, że Rosanna zachowa dla siebie to, czego dowiedziała się dzisiaj na pokładzie „Heaven's Gate”?

A jeśli na to nie liczy, to jak się zachowa? Czy będzie czekał, aż Rosanna skontaktuje się ze Scotland Yardem? Czy też...

Dlaczego się przede mną chowa? Gdzie jest? Co zamierza?

Rosanna prędko wsiadła do samochodu, otworzyła półkę przed siedzeniem pasażera i przeszukała ją. Oczywiście nie znalazła zapasowego klucza. Kto by go trzymał w takim miejscu? Nie mogła odjechać. Stała na tym pustkowiu, nie mogąc się stąd wydostać, a gdzieś nieopodal był Marc, mężczyzna, który czuł się przyparty do muru. Nie miał - przynajmniej w swoim przekonaniu - już nic do stracenia.

Przez chwilę Rosanna zastanawiała się, czyby nie zamknąć się w samochodzie z nadzieją, że kiedyś pojawi się bosman albo ktoś z członków klubu. Czyżby w to piękne przedpołudnie nikt nie miał ochoty wypłynąć na rzekę? Nikt nie zamierzał zająć się remontem swojej łodzi, napić się czegoś w klubie albo zrobić tutaj cokolwiek innego? W sobotę większość osób wybierała się najpierw na zakupy. Może jakiś czas potrwać, zanim ktoś tu się pojawi.

Nikt nie wiedział, gdzie jest Rosanna.

Zaraz, to nieprawda. Przypomniała sobie rozmowę - sprzed ilu godzin? Dzwoniła do niej Marina, matka Roberta, była przyjaciółką Denisa. Rosanna powiedziała jej wprawdzie, gdzie się znajduje, ale połączenie było bardzo słabe i nie mogła mieć pewności, że tamta ją usłyszała. Poza tym obiecała, że za jakiś czas sama zadzwoni. Minie trochę czasu, zanim Rob zacznie się zastanawiać, dlaczego Rosanna się nie

zgłasza. O ile w ogóle go to zdziwi. Już raz w ciągu ostatnich kilku dni o nim zapomniła.

Kluczyki do samochodu zatrzymał Marc. W każdej chwili mógł otworzyć drzwi od zewnątrz. Jak miałyby równocześnie kontrolo wać czworo drzwi i klapę do bagażnika?

Nagle wzdygnęła się, gdyż zdało jej się, że usłyszała jakiś od głos, ale wokół panował spokój, musiała się przesłyszeć. W dole, na
492

l') i

pomoście i przy pawilonie nic się nie działo. Marc mógł wrócić na parking szerokim łukiem przez las i zejść ją z zupełnie innej strony. Mógł nadejść z każdej strony. Czy w tym upatrywał swojej jedynej szansy? Czy zamierzał uciszyć Rosannę, w nadziei że policja nie skojarzy wypowiedzi Pameli Lukę z jego osobą? Czy byłby w stanie posunąć się do czegoś takiego?

Właściwie w ogóle go nie znała. Zakochała się w nim - był atrakcyjny, uprzejmy, pociągająca go jego melancholijność. Ale w kluczowych kwestiach okłamał ją. Opowiadając o sobie, wciąż coś przed nią udawał i zmyślał. Dlatego niewiele się o nim dowiedziała poza tym, że jest znakomitym aktorem. W gruncie rzeczy nie miała nawet pojęcia, czy nie był jednak wiarołomnym mężem, jak utrzymywała Jacqueline. A przede wszystkim nie wiedziała, czy jest mordercą.

Musi stąd uciekać. Tak szybko jak to możliwe. Zbyt długo już tu na niego czeka. Nie istniało żadne niewinne wyjaśnienie jego nieobecności. Przyszło jej do głowy, że uciekł pieszo wzdłuż rzeki, lecz tak absurdalne zachowanie zupełnie do niego nie pasowało. Raczej gdzieś się zaczął i czekał na odpowiednią okazję, żeby pozbyć się kobiety, która mogła zniszczyć mu życie.

Najbliższa wieś, Wiltonfield, była oddalona o dwie i pół mili. Spora odległość do przebycia na piechotę, ale nie pozostało jej nic innego.

Biegnij tak szybko jak się da!

Rosanna chwyciła torebkę pod pachę, ignorując to, że nogi się pod nią uginają i trawi ją gorączka. Na chorobę będzie miała czas później.

Ruszyła, raz po raz oglądając się za siebie. Wokół panowała cisza i spokój.

10

Wiltonfield! - zawołał Rob, zobaczywszy tablicę przy drodze. Jeszcze tylko trzy mile!

494

,

- Nie dasz się odwieść od pomysłu, żeby tam jechać? - zapytała Marina. - Jeżeli Rosanna wypłynęła w rejs, i tak jej nie spotkamy.

- No to na nią poczekamy. Chcę wiedzieć, z kim tam jest.

- Rob! Nie masz do tego prawa!

Robert nic nie odpowiedział, patrzył prosto przed siebie. Marina zdążyła poznać go już wystarczająco dobrze, żeby wiedzieć, jaki potrafi być uparty.

Dotarli do miejscowości Wiltonfield i powoli jechali główną drogą. Po ich lewej stronie płynęła Tamiza, jednakże widok na rzekę przesłaniały domy i wąski pas lasu. Wypatrywali kierunkowskazu na port albo keję lub tablicy z ofertą wycieczek po

rzece. Ale nic takiego nie zauważyli.

- Nie ma tu nic w tym rodzaju - powiedziała Marina, kiedy zbliżali się do wyjazdu ze wsi. - Mówiłam ci, że połączenie było bardzo słabe. Nawet nie jestem pewna, czy dobrze usłyszałam nazwę miejscowości.

- Ale gdzie indziej mielibyśmy jej szukać? - upierał się Rob. - Nie mamy innej możliwości!

- Owszem, mamy. Możemy wrócić do domu i poczekać na telefon od Rosanny. Wtedy będziesz mógł zadać jej wszystkie nurtujące cię pytania.

Posłał jej niemal pogardliwe spojrzenie.

- Myślisz, że powie mi prawdę? Że poznała jakiegoś innego faceta i że zamierza się ulotnić? Będzie próbowała mnie zbyć. Tak jak robi to już od wielu dni.

Minęli tablicę przy wyjeździe ze wsi, kiedy nagle Rob zawołał:

- Zatrzymaj się! Zapytam tę kobietę!

Wzdłuż ulicy spacerowała staruszka z psem. Marina zahamowała, Rob wyskoczył z samochodu. Po chwili zaaferowany przybiegł z powrotem.

- Chyba dobrze rozumiałaś. Jest tu jakiś jachtklub około dwóch i pół mili za wsią. Musimy jechać cały czas prosto.

Marina, która miała nadzieję, że przedsięwzięcie weźmie w łeb, przewróciła oczyma. Źle się czuła w tej sytuacji, nie odpowiadała jej rola,

495

jaka przypadła jej w udziale. To, że szesnastoletni Rob, gnany strachem i zazdrością, śledzi swoją macochę, od biedy można jeszcze zrozumieć. Ale że dorosła i rozsądna kobieta go w tym wspiera, to zupełnie inna sprawa. Wiedziała, co nią powoduje - strach, że Rob mógłby ponownie uciec, obawa przed kolejną awanturą. Marina nie chciała się skompromitować przed żoną swojego dawnego przyjaciela. Ale jej zachowanie świadczyło o tym, że zupełnie nie radzi sobie z dzieckiem, które przed szesnastoma laty wydała na świat i które wychowali za nią inni.

Miejscowość Wiltonfield leżała na niewielkim wzniesieniu. Szosa biegła łagodnym łukiem w dół i wchodziła w głęboki las. Mimo że drzewa nie miały jeszcze liści, rosły tak blisko siebie, że prawie w ogóle nie przepuszczały światła. Latem musiało tu być przytulnie, cieniście i urokliwie. Ale tego lutowego dnia panująca tu atmosfera wydawała się raczej ponura i groźna.

- Niedługo powinien pojawić się jakiś kierunkowskaz - powiedziała Marina i niemal w tym samym momencie Rob zawołał:

- Jest tutaj! Zatrzymaj się! Jest tutaj!

Marina nadepnęła na hamulec. Ku swojemu zaskoczeniu zobaczyła kobietę idącą pustą ciemną szosą. Nie biegła, raczej się wlokła. Twarz miała zasłoniętą szalikiem. Szła lekko pochylona do przodu.

- To Rosanna! - zawołał Rob.

Marina zatrzymała samochód i zjechała tuż przed nią na pobocze. Rob natychmiast wyskoczył z auta.

- Rosanna!

Kobieta wzdrygnęła się. Marina widziała wyzierające sponad szalika szeroko otwarte oczy. Oczy, w których malował się strach.

- Rosanno, co się stało?! - zawołał Rob. Marina także wysiadła.

- Nazywam się Marina - powiedziała, wyciągając rękę. - Jestem matką Roberta. Rozmawialiśmy przez telefon. Bardzo mi przykro, że przyjechaliśmy bez uprzedzenia, ale Rob nie mógł się doczekać i...

- Musimy stąd uciekać - przerwała jej Rosanna.

Głos miała zachrypnięty. Marina dopiero teraz zauważyła, że kobieta jest silnie przeziębiona i najprawdopodobniej ma gorączkę.

W takim stanie nikt rozsądny nie wybiera się w lutym na wycieczkę łodzią, pomyślała skonsternowana.

- Jest pani bez samochodu? - zapytała, rozglądając się, jakby spodziewała się gdzieś ujrzeć auto Rosanny.

Także Rosanna rozejrzała się nerwowo, jak wydało się Marinie.

- Przyjechaliśmy tu samochodem Marca. Ale... - nie dokończyła zdania.

Marina odniosła wrażenie, że Rosanna nie wie, jak w kilku słowach przedstawić zagmatwaną historię.

- Kto to jest Marc? - natychmiast zapytał Rob.

- W każdym razie niebo was mi zesłało - powiedziała Rosanna, pozostawiając pytanie bez odpowiedzi. Następnie kichnęła. - Niestety nabawiłam się grypy - dodała. Marina wzięła ją pod rękę.

- Powinna pani leżeć w łóżku, a nie chodzić po ulicy. Na pewno zaś nie pływać łódką. Niech pani wsiada. Pojedziemy do mnie do domu. Potem możemy porozmawiać.

Chciała zawrócić do samochodu, ale nagle Rosanna zawahała się.

- Marc został w jachtklubie - powiedziała. - Przynajmniej tak mi się zdaje...

- Kto to, do cholery, jest Marc? - zapytał ponownie Rob. Rosanna pogładziła mechanicznie jego ramię.

- To zbyt skomplikowane, żeby wyjaśnić ci na poczekaniu. Po prostu... straciliśmy się z oczu i pomyślałam... Martwię się o niego - spojrzała na Marinę. - Czy mogłabym panią poprosić o pewną przysługę? Czy zechciałaby pani pojechać ze mną z powrotem do jachtklubu? Z panią i Robertem czuję się bezpieczniej i będę mogła przynajmniej rozejrzeć się za Markiem.

Marina nie miała pojęcia, o co chodzi, ale w głosie kobiety wy czuła troskę.

- W porządku - zgodziła się.

Samochód Marca wciąż stał na swoim miejscu. Rosanna miała na dzieję, że Marc odjechał albo że będzie w samochodzie, ale wyglądało

na to, że przez cały ten czas nie pojawił się na parkingu. Miejsce sprawiało wrażenie opuszczonego. Przy domku bosmana wciąż panował spokój, także na dole koło budynku klubu i na pomoście było pusto.

Mogłam tu siedzieć i czekać aż do śmierci, pomyślała Rosanna. Gdzie on jest? I na co czeka?

- Czy mogłabyś nam wreszcie wytłumaczyć, co jest grane? - zapytał siedzący na tylnym siedzeniu Robert.

Jednocześnie Marina powiedziała:

- Ależ tu pusto. Czy to samochód pani... znajomego?

- Tak. Zastanawiam się... - Rosanna otworzyła drzwi.

Muszę na nich sprawiać wrażenie stukniętej. Może faktycznie

mi odbiło. Właściwie powinniśmy jak najszybciej się stąd zabierać, pomyślała.

- Obiecuję, że później wszystko ci wyjaśnię - powiedziała pospiesznie. - Teraz zejść jeszcze raz na dół i poszukam Marca. Jeżeli za piętnaście minut nie wrócę, wezwijcie policję.

Rob wytrzeszczył oczy ze zdziwienia. Marina szepnęła:

- O Boże...

Rosanna powoli schodziła w dół zbocza. Który to już raz dzisiejszego dnia? Straciła rachubę, wiedziała jedynie, że za każdym razem czuje na sercu coraz większy ciężar. Tyle się zdarzyło i musiała to jakoś przetrwać. Ale co do jednego miała jasność.

Kiedy potykając się, szła przez las zdającą się nie mieć końca ścieżką, postanowiła uwierzyć Marcowi na słowo, że Elaine zginęła w wyniku nieszczęśliwego wypadku. Że to nie była zbrodnia. Uświadomiła sobie, że będzie w stanie z tym żyć, jeśli zachowa tę wiedzę dla siebie. O ile policja za sprawą zeznania Pameli nie odkryje prawdy, od niej nigdy niczego się nie dowie. Nie miała obowiązku bawić się w detektywa. To nie jej zadanie denuncjować mężczyznę, którego kocha. Marc musi się o tym dowiedzieć. I to jak najszybciej.

Problem polegał na tym, że w tej chwili bała się mężczyzny, którego kochała. Była świadoma tego, że jest wobec niego niesprawiedliwa. Zniknął, ale to nie musiało oznaczać, że czyha na okazję, żeby wyrządzić jej krzywdę. Gdyby chciał, już dawno mógł to zrobić.

498

Siedziała całe wieki na górze, w samochodzie, gdzie była całkowicie bezbronna. Ale nie wykorzystał tego. Czyżby uciekł? Stracił głowę, wpadł w panikę? Tak jak tamtej nocy...

Rosanna przecięła na skos pawilon i weszła na pomost. Nie miała większej nadziei, że zastanie Marca na łodzi, i rzeczywiście, tak jak poprzednio była ona pusta.

Rozejrzała się. Marc mógł ukryć się na którymkolwiek z jachtów, ale co by mu to właściwie dało?

- Marc! - zawołała.

W odpowiedzi usłyszała tylko krzyk mewy. Czowała się odrobinę pewniej, wiedząc, że Rob i Marina czekają w pobliżu, ale mimo to sytuacja napawała ją strachem. Jeszcze raz zawołała jego imię, ale odpowiedziała jej cisza.

Powoli zeszła z powrotem do brzegu i zanurzyła się w mroku pawilonu. W nozdrza uderzył ją ponownie zapach drewna. Po prawej stronie znajdowały się półki, na których składowano dziecięce łódki. Zauważyła korytarz, wzdłuż którego ustawione były przy ścianach wysokie szafki należące do członków klubu. Ruszyła tym przejściem, ale w ciemnościach nie była w stanie prawie nic dojrzeć i wkrótce zatrzymała się przed ścianą. Nikt tu się przed nią nie schował.

Cofnęła się i w słabym świetle wpadającym z obu stron do magazynu odczytała godzinę na zegarku. Minęło prawie dziesięć minut. Musi się pospieszyć, w przeciwnym razie Marina i Rob zawiadomią policję. Spojrzała na schody prowadzące na ciemny strych. - Marc! - zawołała przytłumionym głosem. Miała jeszcze parę minut. Akurat tyle, żeby zdążyła wejść na górę i się rozejrzeć.

Serce jej waliło, kiedy wchodziła po schodach. Spodziewała się tam zupełnych ciemności i obawiała się, że w pośpiechu nie uda jej się znaleźć kontaktu, ale przez

małe przybrudzone okienko wpadało na strych nieco światła. Pomieszczenie było ogromne, rozciągało się bowiem nad całym budynkiem. A do tego ciężko było się w nim nie zgubić. Na szerokich belkach stropowych znajdowały się haki, na których rozpięte były żagle. Ogromne białe płachty płótna za pewne zdjęto jesienią i powieszono tutaj do wyschnięcia lub żeby się przewietrzyły. Dzielily one poddasze na małe nisze, korytarze i pomieszczenia, tworząc swego rodzaju labirynt. Każde dziecko na ten widok wpadłoby w zachwyty.

Rosanna pomyślała jedynie: „O mój Boże!”. W pierwszym odruchu chciała uciekać, zbiec na dół i jak najszybciej wrócić do samochodu. I tak nie miała już czasu. Wydało jej się mało prawdopodobne, żeby Marc gdzieś tutaj się ukrył. Mógł wpaść w panikę, ale nie chowałby się przecież w tak niedorzecznym miejscu, gdzie bez trudu mógł zostać odkryty. A może wcale nie miał zamiaru tu pozostać, tylko czekał, aż Rosanna wejdzie na górę, żeby... Zdaje się, że postanowiłaś mu wierzyć? Nagle Rosannę ogarnęło osobliwe uczucie, że nie jest sama. Może nie konkretnie w tym pomieszczeniu, ale w budynku. Czy to złudzenie, czy słuszna intuicja? Chyba zaczynały jej puszczać nerwy. Zatrzymała się i stojąc bez ruchu, nasłuchiwała w otaczających ją ze wszystkich stron ciemnościach, próbując wyłowić jakieś dźwięki. Serce waliło jej jak młotem. Słyszała swój własny oddech. Do jej uszu docierało skrzypienie drewnianych belek i krokwi, ale wiedziała, że w przypadku drewnianej konstrukcji to normalne. Pewnie dlatego właśnie miała wrażenie, że jest tu ktoś jeszcze. Drewno nieprzerwanie pracuje. Ale to jeszcze nie powód, żeby popadać w paranoję.

Ponownie odwróciła się w stronę schodów. Musi wracać do auta. Nie ma sensu dalej brnąć przez ten gąszcz białych żagli.

W tym momencie całkiem wyraźnie usłyszała jakiś dźwięk. Nie potrafiła go jednak zidentyfikować. Nie umiałaby powiedzieć, czy to czyjś oddech, czy kroki... Ale na pewno był to odgłos, który wyraźnie odcinał się od skrzypienia drewna. I dobiegał od strony schodów. Ktoś wchodził na górę.

Szedł cicho, starając robić jak najmniej hałasu.

Rosanna cofnęła się na palcach o krok. W pierwszej chwili chciała go zawołać: „Marc? Czy to ty? Jestem tutaj, na górze!”, ale instynkt podpowiadał jej, żeby była cicho.

Ktokolwiek to był - dlaczego się skradał?

500

Nagle, jakby ktoś uderzył ją pięścią w brzuch, dotarło do niej, że ma odciętą drogę ucieczki. Siedziała na strychu jak mysz w pułapce. Rob i Marina zadzwonią na policję. Jak długo potrwa, zanim przyjadą tu funkcjonariusze? Czy Rob i jego matka zaczną szukać jej na własną rękę?

Chciała krzyczeć, ale nie mogła wydobyć z siebie głosu. Teraz słyszała już całkiem wyraźnie i nie miała wątpliwości - ktoś szedł po schodach.

Stała pod osłoną żagli. Szorstkie płótno drapało ją w policzek. W ciemnościach mieszały się ze sobą zapachy - woda, drewno, olej maszynowy, detergenty, stęchlizna. Cofnęła się w głąb strychu.

Ktoś - czyżby Marc? - dotarł na górę. Słyszała, że się zatrzymał. Próbował zorientować się w labiryncie. Wzrok musiał mu się najpierw przyzwyczaić do

ciemności. Rosanna zdążyła już oswoić się z mrokiem, i to dawało jej pewną przewagę. Ale koniec końców pewnie nic jej to nie da. W którymś momencie zatrzyma się przy ścianie, albo zapłacze się w labiryncie żagli. Lada moment staną oko w oko.

Pod jej stopami zaskrzypiała deska. Natychmiast przystanąła, wstrzymując oddech. Jeden nieopatrzny ruch może ją zdradzić. Musi być ostrożniejsza.

Skręcając za róg, omal nie potknęła się o leżący na ziemi zwój lin. W ostatniej chwili udało jej się przejść nad nim.

Żagle wokół niej poruszyły się. Ktoś był tuż obok.

W następnej chwili zdarzyło się kilka rzeczy jednocześnie.

Nie zważając na to, że uczyni niepotrzebny hałas, Rosanna skręciła za róg.

Ktoś zawołał:

- Rosanno!

Zatrzymała się i wydała okrzyk przerażenia na widok tego, co ukazało się jej oczom.

Nagle poczuła ramiona, które chwyciły ją od tyłu, silne ciepłe ramiona, a czyjaś twarz przylgnęła do jej policzka, i usłyszała zachrypnięty głos Roberta:

- Nie patrz, Rosanno, nie patrz tam!

Nie była jednak w stanie oderwać wzroku od ciała, które niemal niezauważalnie się kołysało. Od wykrzywionych w śmiertelnym grymasie rysów Marca Reeve'a.

- Rosanno, jestem tutaj!

Nie mogła przestać krzyczeć.

Sobota, 1 marca

- Powinieneś do niej zajrzeć - nalegała Pamela. - Już od prawie godziny jest na górze. Może cię potrzebuje.

- Przecież koniecznie chciała być sama - powiedział Cedric. czuł się nieswojo.

Obawiał się załamania nerwowego siostry i nie chciał być jego świadkiem. - A może ty byś...?

- Ty jesteś jej bratem. Ze mną nic jej nie łączy.

Wreszcie Cedric wysiadł z samochodu. Zaparkowali przed domem, w którym mieszkał niegdyś Marc Reeve. Jacqueline Reeve przekazała Rosannie klucze, mówiąc, że może wziąć sobie z mieszkania jakąś pamiątkę - cokolwiek zechce.

Rosanna nie czuła się dobrze, dlatego Cedric i Pamela pojechali z nią, potem jednak poprosiła ich, żeby poczekali na nią na dole.

- Chciałabym zostać przez chwilę sama - powiedziała. Pamela miała rację - ta chwila ciągnęła się już godzinę. Cedric przeszedł przez ulicę. Wciąż bolały go złamane żebra, ale

było już nieporównywalnie lepiej niż na samym początku. Poruszał się o wiele swobodniej i całkiem nieźle zniósł podróż z Taunton do Londynu. Niebawem powróci do dawnej formy.

Drzwi wejściowe do budynku były lekko uchylone. Wspiął się po schodach i wszedł do mieszkania. Jego siostra stała nieruchomo na środku salonu i sprawiała wrażenie, jakby już przed godziną za stygła w takiej pozycji.

- Pamela zasugerowała, że powinienem do ciebie zajrzeć ode zwał się. - Długo cię nie było...

Rosanna powoli odwróciła się w jego stronę.

- Długo? - zapytała.
- Jesteś tu już od godziny. Sprawiała wrażenie zaskoczonej.
- Nie zdawałam sobie z tego sprawy.

Cedric przebiegł wzrokiem po pokoju. Mała nisza kuchenna wyłożona kafelkami. Proste meble, ani ładne, ani brzydkie - niepozorne. Szarawa wykładzina. Poczuł, że robi mu się zimno.

Jak można tak żyć, zastanawiał się, jak można wytrzymać w takim sterylnym chłodzie?

Jedynym osobistym szczegółem była akwarela wisząca na ścianie. Statek na tle portowego muru. Obraz stanowił przynajmniej jakieś urozmaicenie pośród innych przedmiotów, których jedynym kryterium doboru była ich funkcjonalność, ale motyw był tak mroczny i melancholijny, że w najmniejszym stopniu nie rozpraszał ponurej atmosfery panującej w tym miejscu.

Rosanna podążyła wzrokiem za jego spojrzeniem.

- Wszyscy żyjemy uwięzieni w świecie pozorów - powiedziała. - Nawet kiedy nam się wydaje, że potrafimy przejrzeć istotę rzeczy. Marc perfekcyjnie wykreował swój wizerunek i nawet ja nie zauważyłam, że był on bardzo powierzchowny i niekompletny. Zdolny prawnik. Ambitny. Atrakcyjny. Inteligentny. Tak. Ale przede wszystkim Marc był niezwykle depresyjnym człowiekiem. Ukrywanie tego przed otoczeniem kosztowało go masę energii.

- Patrząc na to mieszkanie, rzeczywiście można dojść do takiego wniosku - przyznał Cedric. - To wewnątrz jest wyjątkowo... - szukał właściwego określenia.

- Bezosobowe - odpowiedziała mu Rosanna. - Chłodne. Pozbawione życia. Co dzieje się we wnętrzu człowieka, który stworzył sobie takie otoczenie?

- Czy sądzisz, że to historia z Elaine wpędziła go w taki stan? Czy rozstanie z synem?

- Myślę, że już wcześniej przejawiał skłonności do depresji. Wyrazem tego była na przykład ucieczka w pracę. Ale tak mało o nim

504

wiem. Nie wiem nic o jego dzieciństwie, młodości, pochodzeniu. W ciągu dwóch tygodni naszej znajomości najbardziej zajęty był tym, żeby podtrzymać swoją wersję wydarzeń sprzed pięciu lat. Pewnie czuł się przyparty do muru. Ciągłe musiał reagować na moje kolejne rewelacje. Bez przerwy drażyłam tę sprawę, nie dałam mu ani chwili wytchnienia. Byłam całkowicie skupiona na tym, żeby udowodnić jego niewinność. W końcu... nie widział dla siebie innego wyjścia.

Cedric czuł wyraźnie smutek swojej siostry, smutek wymieszany z bólem, który pozostawił po sobie w tym pomieszczeniu Marc Reeve. Miał ochotę wziąć ją w objęcia, ale wydawało mu się, że Rosanna by tego nie chciała.

Powiedział więc tylko:

- Rosanno, Reeve sam wmanewrował się w tę sytuację bez wyjścia. Zaczęło się to tej nocy, kiedy zdarzył się wypadek. Niepotrzebnie postanowił go zatuszować. To był początek końca.

- Tak - Rosanna wyjrzała przez okno, za którym stałowe niebo pogłębiało ponury nastrój dnia. - Masz rację. Ale wcale nie musiało się to skończyć w ten sposób.

Gdybym stała po jego stronie... gdyby o tym wiedział... wówczas byłaby jeszcze dla niego jakaś nadzieja.

- A może i nie. Takie spekulacje nie mają sensu. Rosanno, jestem w stanie sobie wyobrazić, jak się czujesz, ale... to nic nie pomoże. Tylko się zamęczasz. Dokładasz sobie zmartwienia, stojąc w tym okropnym mieszkaniu. Weź coś, jakąś pamiątkę, i chodźmy stąd.

- Co mam wziąć? Cedric, naprawdę nie mam pojęcia, który z tych przedmiotów miałby mi o nim przypominać.

Rosanna wyglądała na bardzo nieszczęśliwą. Cedric najchętniej wziąłby ją za rękę i wyprowadził z mieszkania.

- I co teraz zamierzasz? - zapytał.

Wzruszyła ramionami. Cedric miał wrażenie, że swoim pytaniem choć na chwilę oderwał ją od rozmyślań o Marcu.

- Jeszcze nie wiem. Spróbuję znaleźć jakąś pracę w Londynie.

I mieszkanie.

- Czy to już postanowione, że nie wrócisz do Denisa?

-Tak.

- A Robert?

Jej zatroskana twarz, na której wydarzenia ostatnich dni wycisnęły swoje piętno, na chwilę się wygładziła i złagodniała.

- Rob był dla mnie ostoją podczas trzęsienia ziemi. W tamtej straszliwej chwili kiedy... znalazłam Marca... Mój Boże, on ma dopiero szesnaście lat. Ale był taki silny. Taki opanowany. Trzymał mnie w ramionach i myślę, że tylko dzięki niemu przetrwałam ten moment. Nie wiem, co by się stało, gdyby nie on.

- Bardzo cię kocha.

- Chciałby ze mną zamieszkać.

- Ale na to potrzebna jest zgoda Denisa.

- Może uda mi się z nim porozumieć. Przez cały czas chodziło mu przecież tylko o to, żeby Rob był szczęśliwy. Myślę, że nie będzie stawiał nam przeszkod.

Zamilkli i Cedric pojął, że jego mała siostra właśnie przewraca do góry nogami całe swoje dotychczasowe życie. I to z taką determinacją i zdecydowaniem, że był dla niej pełen podziwu.

- Za kilka dni wracam do Nowego Jorku - oznajmił. - Czuję się już całkiem nieźle. Lekarz twierdzi wprawdzie, że powinienem jeszcze poczekać, ale nie mogę znieść bezczynności. Jakoś to będzie.

- Zabierasz ze sobą Pamelę?

- Chciałaby ze mną polecieć, ale nie wydaje mi się, abym był dla niej odpowiednim mężczyzną. Najpierw powinienem uporządkować własne życie.

- Może Pamela potrzebuje tylko odskoczni. Cedric, to silna kobieta, w przeciwnym razie nie przetrwałaby ostatnich kilku lat. Sądzę, że nie będzie dla ciebie ciężarem.

- Lubię ją - odparł Cedric. - Choć nie mam pojęcia, co z tego będzie.

- Je też nie mam pojęcia, jak powinno wyglądać moje życie - powiedziała Rosanna.

- Wpakowaliśmy się w niezłą kabałę - westchnął Cedric, odgarniając włosy z czoła w geście bezsilności. - Byłem u Geoffa - dodał nagle. - Ostatni raz. Pożegnaliśmy się.

506

- Pewnie triumfował, co? Okazało się, że przez cały czas miał rację. Cedric roześmiał się. Po raz pierwszy tego dnia.

- Stary dobry Geoff. Nasz Katon. „Poza tym uważam, że Marc Reeve jest sprawcą”. Powtarzał to niczym mantrę. I w końcu przyznano mu rację. Ale nie triumfował. Po prostu mu ulżyło, że wreszcie ma pewność i może zamknąć ten rozdział. Ostatecznie tylko to się liczy.

Rosanna była w stanie go zrozumieć. Domyślała się, co to znaczy zakończyć pewien rozdział. Raz na zawsze pozbyć się wątpliwości. Cedric zdawał się czytać jej w myślach.

- Czy właśnie to cię tak męczy? - zapytał ostrożnie. - Że nigdy nie będziesz miała pewności, czy Marc Reeve mówił prawdę? Czy Elaine zginęła w wyniku nieszczęśliwego wypadku? Czy jednak ją zaatakował?

Potrząsnęła głową.

- Nie. Jeszcze tam, w Wiltonfield, postanowiłam mu zaufać, i tego się będę trzymać. Dałam wiarę jego słowom. Ale... nie zdążyłam mu tego powiedzieć. Nie zrobiłam nic, żeby pokazać mu inne wyjście niż to, na które się zdecydował. I to mnie dręczy. Pewnie nigdy nie przestanie...

Co miał jej na to odpowiedzieć?

- Samobójstwo Marca było aktem paniki - odezwał się wreszcie. - Podobnie jak pozbycie się ciała Elaine. W krytycznych sytuacjach najwyraźniej działał w sposób nieprzemyślany.

- To kolejna z tych rzeczy, których nikt, kto obcował z Markiem na co dzień, by się po nim nie spodziewał - powiedziała Rosanna. - Nikomu by coś takiego nie przyszło do głowy. Stworzył perfekcyjny kamuflaż. - Wyciągnęła dłoń i ujęła brata za rękę.

- Chodźmy stąd. Nie ma tu nic, co mogłabym ze sobą wziąć. Nie tylko dlatego, że mieszkanie jest takie sterylne. Raczej dlatego, że w ogóle go nie znałam.

Wyszli na zewnątrz. Zimny wiatr zamiatął ulicę, mimo że zaczął się marzec i wiosna była tuż-tuż.

Pierwszy marca, pomyślała Rosanna, urodziny Josha. Już nigdy nie pojedna się ze swoim ojcem. Ale może wcale tego nie chciał.

507

Pamela wysiadła z samochodu i dreptała po chodniku w tę i z powrotem ze splecionymi na piersi rękoma. Miała zaczerwieniony nos, zsiniałe z zimna usta, ale sprawiała wrażenie rozluźnionej, wreszcie nie wyglądała jak zaszczute zwierzę. Jednym strzałem na zawsze uwolniła się od swojego oprawcy Pita Waversa. W ten sposób pociągnęła do odpowiedzialności zabójcę Jane French i Lindy Biggs. Od tej pory w jej spojrzeniu można było dostrzec pierwsze oznaki pewności siebie, zaczątki nowej siły.

- Mój Boże, nareszcie jesteście - powiedziała, na widok zbliżającego się rodzeństwa. - Jest strasznie zimno. Zmarzłam na kość.

Stali naprzeciwko siebie, niezdecydowani, co dalej.

- I co teraz? - zapytał Cedric. - Co zrobimy z resztą dnia?

Co zrobimy z resztą naszego życia? - poprawiła go w myśli Rosanna. Z pewnością Cedric, u którego wyczuwała podziw dla swego rzekomego zdecydowania, nie umiałby udzielić jej odpowiedzi na to pytanie. Skąd mógł wiedzieć, że to, co bierze za zdecydowanie, to zwykła rozpacz. Chyba nie był w stanie zrozumieć pustki panującej w jej sercu.

- Jeśli o mnie chodzi - powiedziała Pamela - potrzebuję czegoś na wzmocnienie. Co powiecie na podwójną wódkę w jakiejś przytulnej knajpcie?

- Dobry pomysł - podchwycił propozycję Cedric. Zostawili samochód pod domem Reeve'a i poszli razem ulicą,

pograżeni w milczeniu. Zaraz powinni znaleźć jakąś kawiarnię. Tam zastanowią się, co zrobić później. I jeszcze później.

Przez resztę dnia.

I przez resztę życia.

Charlotte Link Echo winy

(Das Echo der Schuld) Tłumaczenie: Marta Archman

W pobliżu skalistej wyspy Skye uszkodzony jacht niemieckiego małżeństwa, Livii i Nathana Mo-ore, nabiera wody i idzie na dno. Rozbitkowie uchodzą z życiem, ale tracą cały dobytek. Ocalałym z katastrofy oferują gościnę angielski bankier Frederic Quentin i jego żona Virginia, zabierając gości do małego miasteczka w Norfolk, na skraju którego mają posiadłość.

Wraz z pojawieniem się tajemniczej pary cudzoziemców w okolicy zaczynają nagle znikać małe dziewczynki, które policja odnajduje po czasie martwe i zgwałcone. Na mieszkańców pada strach. Ale do Virginii, matki kilkuletniej dziewczynki, wydaje się nie docierać groza sytuacji i niebezpieczeństwo czyhające na jej córeczkę. Całą jej uwagę pochłania Nathan, którym jest coraz bardziej zafascynowana...

Charlotte Link Przerwane milczenie

(Am ende des schweigens) Tłumaczenie: Sława Lisiecka

Od lat spędzają wspólnie urlop w idyllicznej angielskiej posiadłości Stanbury: jej właścicielka Patricia wraz z mężem Leonem i dwiema córkami, psycholog Tim z cierpiącą na depresję żoną Eve-lin, naukowiec Aleksander z córką Ricardą i niedawno poślubioną, dużo młodszą od siebie żoną, Jessicą. Trzech mężczyzn łączy od czasów szkolnych bliska przyjaźń. Nowa w tym towarzystwie Jessica szybko zauważa, że beztrudny nastrój jest jedynie złudzeniem i że wszyscy urlopowicze jakoś dziwnie się zachowują, zupełnie jakby mieli coś do ukrycia. Niepokojącej atmosfery nie poprawia pojawienie się tajemniczego Phillipa Bowena, przekonanego o swoim pokrewieństwie z Patricia i zgłaszającego pretensje do Stanbury. Im bardziej Jessica analizuje fakty, tym gorzej czuje się w samotnym domu. Jej złowrogie przeczucia potwierdzają się, gdy pewnego dnia wraca z samotnego spaceru po okolicy i zastaje w domu makabryczny widok.

Charlotte Link to mistrzyni zagadkowej intrygi. Przerwane milczenie to kolejny, mroczny kryminał, od którego nie sposób się oderwać.